

CZARNA SERIA

Talent i pisarska pasja Edwardsona sprawiają, że jego powieści wprost kipią od emocji. Pod tym względem autor nie ma sobie równych wśród Szwedów.

Dagens Nyheter

Napisany z rozmachem kryminał, który od pierwszej do ostatniej strony wciąga i zapiera dech w piersi. Autor po raz kolejny skutecznie rozbudza ciekawość czytelników.

Svenska Dagbladet



Åke Edwardson

Prawie martwy

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Dziewiąty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

Dla Rity

**Åke
Edwardson**

Prawie martwy

przełożyła Alicja Rosenau

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2013

Część pierwsza

1

SAMOCHÓD STAŁ Z OTWARTYMI DRZWIAMI. Silnik pracował, reflektory rzucały w noc światło aż do podpory mostu na południu. Scena sprawiała wrażenie nierzeczywistej. Jezdnie były puste. Niebo na zachodzie zdawało się ogromne. Od zmroku wciąż było czerwone, jak gdyby wczoraj nie chciało wpuścić nadchodzącego dnia.

Od północy nadjechał drugi samochód. Kierowca musiał ominąć stojący wóz. Zatrzymał się dwadzieścia metrów dalej i wysiadł. Doleciał go krzyk mewy. Pachniało oleście i słono. Wszędzie było cicho, jakby most znajdował się w innym, osobnym świecie. Słyszał tylko warkot dwóch silników. Kierowca podszedł bliżej. Auto wyglądało na porzucone. W środku nikogo. Miejsce kierowcy puste. Wszystkie drzwi były otwarte. Wyglądały jak cztery skrzydła, jak gdyby samochód właśnie przeobrażał się w ptaka, żeby opuścić most. Albo w ogromnego, lśniącego czernią owada. Zauważył przelotne mignięcie lakieru, jakby nagły powiew wiatru coś zmienił. Usłyszał okrętowy gwizdek, buczone przeciwmgłowy, coś w tym rodzaju. W dole, na rzece, toczyło się życie. Mgła była cienka jak szkło. Skoczek, pomyślał. Nieszczęśnik, który miał dość, przyjechał i skoczył. Zresztą nie pierwszy raz. Most Älvsborg to numer jeden w kraju, jeśli chodzi o liczbę samobójstw. Do wody daleko. Albo wysoko, jak się spojrzeć od dołu. Lądowanie na powierzchni wody wygląda jak uderzenie o beton. Taki skok to decyzja ostateczna. To nie jest wołanie o pomoc.

Wybrał numer centrali policji. Rozpoznał nazwisko i głos oficera dyżurnego.

– Dobry wieczór, mówi Lars Bergenhem.

– Cześć, Lars. Jeszcze nie śpisz o tej porze?

- Stoję przy Älvsborgsbron. Stoi tu lexus, pusty, na jałowym biegu. Otwarte drzwi. Sądzę, że facet skoczył.
- Wyślemy radiowóz. Gdzie dokładnie?
- Od południa. Za szczytem.
- Dobra, już jadą.

Inspektor policji kryminalnej Lars Bergenhem podszedł jeszcze bliżej. Nie był na służbie. Był tylko kierowcą, który przejeżdżał tędy o świcie. Nie musiał się z niczego tłumaczyć. To przypadek, że jechał akurat tędy. Chciałby, żeby to było takie proste.

Mężczyzna próbował omijać największe kałuże. Woda była wszędzie, bajora, niemal stawy, małe jeziora. Obszedł dokoła kałużę, która wyglądała na głęboką. Na ulicy nie było ruchu. Noc wisiała nad miastem od kilku godzin, przyduszała je. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie szedł bez celu. Miał zamordować człowieka. Przeszłość to płaszcz, który ciężko wisi na ramionach. Człowiek nosi go w każdą pogodę. Spojrzał w niebo. W górze, nad całym światem, rozpościerało się czarne piekło. W tamtej chwili nie mógł sobie wyobrazić, żeby na drugiej półkuli mógł być jakiś świt czy poranek. Wszędzie była noc. Jego noc. Noc kogoś innego. Czuł w kieszeni ciężar pistoletu. Pistoletu kogoś innego. Dlaczego nie wrzucić go do którejś z kałuż? Przy tej cholernej pogodzie nie znajdą go do następnego lata, a może nawet wtedy nie. Deszcz będzie padał dalej. Miasto zleje się z morzem. Wcale nie jest daleko do morza, praktycznie już tu jest. A rzeka jest szersza niż kiedykolwiek. Idę teraz przez rzekę, właśnie wysadziła zapory. Idę po wodzie. Nie mam dziur w butach, ale woda wlewa się do środka. Czuję, że mam mokre stopy. Przeszedł z zachodu na wschód, przez całe centrum miasta. Czy śledził go samochód? Na początku. Kiedy wychodził z domu. Przez kanał. Widział ten samochód na Allén, to na pewno był ten. Na wysokości pomnika schował się w bramie. Wyszedł, kiedy samochód odjechał. Pieprzone bydlaki. Ale bez sensu było tak myśleć, to tylko marnowanie energii. Powtarzał to sobie w myślach, idąc między ciemnymi domami poniżej dawnego budynku

uniwersytetu. Wiele lat temu wchodził tam z nadzieją. Na studiach ciężko pracował. Boże, tyle zmarnowanej energii. Pistolet nie ciążył tak bardzo w kieszeni, kiedy o nim nie myślał. Ale myślał o nim przez całą drogę. O nim i o człowieku, którego miał zastrzelić. Widział go wczoraj. To był pierwszy raz. Wczoraj! Nigdy z nim nie rozmawiał. Twarz. Już jest prawie martwy. Jak ja. Jestem martwym człowiekiem, który chodzi po ulicach. W USA mają na to specjalne określenie. *Dead man walking*. Idę na egzekucję kogoś innego. Choć to także moja własna. Egzekucja kata, wkrótce. To nastąpi. Znów mruczał do siebie półgłosem, ktoś przechodzący obok na pewno by usłyszał, ale na ulicy nie było nikogo. Padało coraz bardziej. Zatrzymał się przed bramą. Odwrócił się. Samochodu nie było. Czy raczej on go nie widział. Ale tam był, jasne, że tam był. Spojrzał w górę, na fasadę budynku. W większości okien się świeciło. Świeciło się na trzecim piętrze. Był tam balkon. Widział to wczoraj. Widział mężczyznę stojącego na swoim balkonie, patrzącego gdzieś w dal, ponad dachami. Popatrzył na swoją dłoń. Wstukał kod. Dostał go od nich wczoraj. I to też. Zamek zabrzączał jak mały rój pszczół. Pchnął drzwi.

Bergnhem stał przed porzuconym samochodem. Długo stał na jałowym biegu. Zostawienie tak samochodu na dłużej niż minutę było naruszeniem lokalnych przepisów ruchu drogowego. Bergnhem naciągnął rękawiczki, schylił się i wyłączył silnik. Tylko jeden kluczyk, żadnego łańcuszka ani kluczyka zapasowego. Stał i patrzył na południe. Widział kaskady błękitnego światła z kogutów zaparkowanego radiowozu. Smugi światła mieszały się z niebiesko-czerwonym niebem. Słyszał przeciągłe wycie syreny, jak pozdrowienie. Włączył latarkę i oświetlił wnętrze samochodu. Siedzenia były obite jasną skórą, chyba beżową. Dostrzegł dziurę w oparciu fotela pasażera. Jak po kuli. Nachylił się niżej i poświecił na nią. W środku coś błysnęło. Nachylił się jeszcze niżej. To była kula, z pistoletu albo rewolweru. Miękka wyściółka ochroniła ją, wyglądała na całą, do diabła, to na pewno była kula. Dokładnie oświetlił latarką całe wnętrze, ale nie zauważył

innych śladów po kulach. Wycofał się i zadzwonił do centrali.

Przyjechali technicy. Erika Djurberg robiła zdjęcia. Błyski lampy niewiele teraz dawały. Nad morzem i lądem zaczynał się ranek. Kolega Eriki obejrzał wnętrze, a potem zbadał otoczenie. Miejsce jest tak samo ważne jak sam przedmiot. Dlaczego tutaj? Dlaczego nie tam? Dlaczego na moście? Dlaczego nie na łądzie?

– Nie widziałem śladów krwi – oświadczył Bergenhem.

Lars Östensson nie odpowiedział.

– Ale ktoś tam w środku wystrzelił z pistoletu – ciągnął Bergenhem.

– Widzę – powiedział Östensson i podniósł wzrok. – Wygląda na kaliber dziewięć.

Bergenhem skinął głową.

– Ale jeśli mamy szczęście, to może to być coś bardziej niezwykłego – dodał Östensson. – Przekonamy się w garażu.

Zadzwonił do garażu techników policyjnych, do Mölndal, i poprosił, żeby ktoś z nich odholował samochód.

– Znalazłeś właściciela? – zapytał Östensson.

Nie.

Kazał sprawdzić rejestr samochodów, jak tylko wysiadł z auta. Samochód zarejestrowano na niejakiego Rogera Edwardsa, Eckragatan 44, Västra Frölunda. Eckragatan, to na Långedrag. Kawalek dalej na zachód. Z miejsca, gdzie teraz stał, mógł zobaczyć tę dzielnicę albo przynajmniej ją sobie wyobrazić. Widział Nya varvet, Stora Bilingen, bazę marynarki wojennej za Hästevik, Tångudden, a dalej Långedrag.

Podszedł do balustrady i spojrzał w dół. Przerazająca odległość. Otchłań. Widział, jak od zachodu zbliża się niebiesko-biała łódź. Policja wodna z Nya varvet. Jeśli gdzieś tam w dole jest ciało, powinni je znaleźć. Czy to będzie Roger Edwards? Zbyt zmęczony życiem. Próbował się zastrzelić, ale dłoń za bardzo mu drżała, więc zdecydował się na bardziej niezawodny sposób?

– Nie zgłoszono kradzieży tego samochodu – dodał Bergenhem.

Zauważył błysk flesza. Erika stała kilka metrów od niego. Wyglądała, jakby fotografowała przepływającą w dole łódź policyjną i świt nad wejściem do portu. Słońce wschodziło za ich plecami. Je też na pewno sfotografowała. Przez ostatnich kilka tygodni ciągle padało. Wczesna jesień. Zapowiedź sześciu miesięcy mroku, znowu. Coś takiego może doprowadzić człowieka na skraj, do skoku na betonową powierzchnię rzeki.

– To ja lecę na Eckragatan – powiedział Bergenhem, właściwie do nikogo.

Przed Gnistängstunnel jeszcze nic nie zapowiadało korka. Bergenhem skręcił z Västerleden ijechał dalej Torgny Segerstedtgatan. Mgła kłębiła się przed jego samochodem i mieszała ze światłem poranka. Kościół Älvsborgskyrka wystrzelał prosto w szare niebo, szczyt jego wieży wyglądał jak dzida. Bergenhema naszło nieoczekiwanie skojarzenie seksualne: zwierzę o dwóch grzbietach. Udało mu się je odpędzić, kiedy z siedzenia obok wziął płytę i wsunął ją do odtwarzacza. Pijany głos Lucindy Williams zapytał, czy dobrze się czuje. *Are you Alright?* Nie, nie czuje się *alright*. Zza zakrętu przy Hinsholmen wyjechał pierwszy tego dnia tramwaj. W takim tempie, jakby był ostatnim dzisiaj albo ostatnim w życiu. Bergenhem nie uważał. Zniosło go na bok, w stronę Henkers Bar & Grill. Na wysokości skrzyżowania z dawną Långedragsvägen zapanował nad samochodem. Przy Palmsundsgatan skręcił w prawo i znalazł się na Eckragatan.

Dom numer czterdzieści cztery był nowy, w stylu Willa Nordic. Proste linie, biały tynk, czerwone i niebieskie detale, kilka okrągłych okien, klimat morski. Kolory zaczęły się wylaniać z szarości poranka. Bergenhem wysiadł i po kilku krokach stanął przed drzwiami. Działka była niewielka, w Långedrag nie było dużych działek budowlanych, prawie w ogóle nie było działek. Edwards musiał mieć szczęście i dużo pieniędzy. Drzwi były niebieskie, z okrągłym okienkiem. Może szczęście Edwardsa właśnie się skończyło, może właśnie płynęło w ciężkich nurtach rzeki. Może tego właśnie chciał. To nie było nieszczęście. Bergenhem nacisnął dzwonek. Słyszał go

w środku jak echo. Dom był pusty i opuszczony, zupełnie jak samochód na Älvsborgsbron. Nikt nie zapalił światła. Nie było widać sąsiadów. Ulica spała, całe Långedrag jeszcze spało. Ludzie nadal leżeli w łóżkach. On też tej nocy leżał w łóżku, tak długo, jak tylko zdołał wytrzymać, a potem wstał, wsiadł w samochód i z Torslandy pojechał do miasta. Martina nie wstała, kiedy siedział w kuchni. Nie biegła za nim, kiedy odjeżdżał sprzed ich szeregowego domku. Nie miała odwagi, pomyślał, widząc swój dom we wstecznym lusterku.

Ten dom był cichy. Bergenhem wrócił do samochodu. Nie był zmęczony. Zjechał z pobocza i ruszył na wschód. Po kilkuset metrach minął mężczyznę. Szedł chodnikiem z przeciwka. Ze spuszczoną głową. Omijał Bergenhema wzrokiem i to przesądziło sprawę. Bergenhem zatrzymał się i wysiadł. Mężczyzna szedł dalej, nawet się nie odwrócił. Bergenhem powstrzymał odruch, żeby go zawołać. Zobaczył, że mężczyzna przechodzi na drugą stronę. Teraz się odwrócił. Bergenhem nadal stał na swoim miejscu. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia. I wtedy tamten rzucił się do ucieczki. Przebiegł obok domu Edwardsa i uciekał dalej, w stronę Långedragsskolan, a potem zniknął za wielkim budynkiem szkoły. Zniknął, zanim Bergenhem zdążył zawołać. Ale jak go zawołać? Po nazwisku? Czy to był Edwards? Bergenhem wskoczył do samochodu, wjechał na najbliższy podjazd, nawrócił i pojechał za uciekinierem. Dostrzegł go na Saltholmsvägen. Teraz szedł, jakby uciekanie biegiem było bez sensu. Skręcił w stronę boiska do rugby. Jasność wylewała się znad Hinsholmskilen. Mężczyzna szedł w stronę portu jachtowego. W porannym słońcu jego sylwetka wyglądała jak płaskorzeźba. Bergenhem znów wysiadł i natychmiast poczuł zapach soli i wodorostów.

– Halo! – zawołał.

Mężczyzna nie zareagował. Nawet się nie odwrócił.

– Halo, niech pan zaczeka! – zawołał Bergenhem i puścił się biegiem.

Mężczyzna szedł teraz ścieżką wzdłuż wody. Odwrócił się i dostrzegł go. Znów zaczął biec.

– Halo, niech pan zaczeka! Edwards! Roger Edwards! Policja!

Mężczyzna się nie odwracał. Wbiegł między łodzie. Niedawno wyciągnięto je na ląd po sezonie. Niektóre były jeszcze częściowo zanurzone. Bergenhem widział między kilami nogi mężczyzny. Zatrzymały się. Bergenhem okrążył wielką żaglówkę, za którą stały. Mężczyzna trzymał ręce w górze, jakby się poddawał. Ale dlaczego? Bergenhem zatrzymał się przed nim. Mężczyzna patrzył w ziemię, jego spojrzenie mogło kryć zarówno strach, jak i agresję. Obaj ciężko oddychali. Bergenhem wyciągnął legitymację.

– Bergenhem – wydyszał. – Policja.

– A o... o co chodzi? – odpowiedział mężczyzna. Nie spuszczał wzroku z legitymacji Bergenhema.

– Roger Edwards? – zapytał Bergenhem. – Nazywa się pan Roger Edwards?

Mężczyzna zawahał się, jakby nie pamiętał swojego nazwiska.

– Chodzi o samochód – wyjaśnił Bergenhem. – Samochód Rogera Edwardsa. Mężczyzna skinął głową.

– To pan jest Edwards.

– Tak... a co z samochodem? Znaleźliście go?

– Znaleźliśmy? Co pan ma na myśli?

– Wczoraj został skradziony.

– Dlaczego nie zgłosił pan kradzieży?

– Nie zdążyłem.

Mówiąc to, spojrział na Bergenhema. Oczywiście, prymitywne kłamstwo.

– Mam w to wierzyć? – zapytał Bergenhem.

– Gdzie go znaleźliście?

– A gdzie został skradziony?

– Hm... przy Käringsberget. Sprzed sklepu Konsumu.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem, mówiłem już. Późnym wieczorem, przed dziesiątą. O dziesiątej zamykają. Śpieszyłem się i wbiegłem do środka, żeby jeszcze zdążyć coś kupić, a kiedy wyszedłem, auta nie było.

– Było zamknięte? – zapytał Bergenhem.

- Hm... nie.
- Dlaczego?
- Mówiłem już, że się śpieszyłem. Zaparkowałem tuż przy wejściu. Kto mógłby pomyśleć, że stamtąd też mogą ukraść?
- A dlaczego tam nie?
- Przecież tam się nic nie dzieje. W tej dzielnicy mieszkają sami porządni, praworządni ludzie.
- W takim razie to musiał być jakiś gość – rzucił Berghem.
- Hm... co... no tak.
- Gdzie były kluczyki?
- Chyba w stacyjce, obawiam się.
- Co pan kupował?
- Słucham?
- Co pan kupił w Konsumie?
- Papierosy.
- Okej, wyszedł pan ze sklepu i samochodu nie było. I co pan zrobił?
- Poszedłem do domu.
- Poszedł pan do domu? Pański lexus został właśnie skradziony, a pan spokojnie idzie sobie do domu?
- Śpieszyło mi się.
- Do czego?
- A to już moja sprawa.
- Cała ta historia w żadnym wypadku nie jest tylko pańską sprawą.
- O co tak naprawdę chodzi? – zapytał Edwards. – Okej, nie zdążyłem zgłosić kradzieży. Miałem to zrobić teraz, rano. Gdzie jest samochód?
- Berghem zastanawiał się krótką chwilę. Kilka mew krążyło nad nimi z zaciekawieniem, tam i z powrotem. Dokąd ich ta historia zaprowadzi? Berghem spojrzął na zegarek.
- Teraz pewnie stoi w policyjnym garażu – powiedział.
- Ale dlaczego?
- Ktoś oddał w nim strzał.
- Strzał? Jaki strzał?
- Berghem nie odpowiedział.
- To nie byłem ja – zapewnił Edwards.

KOMISARZ POLICJI KRYMINALNEJ ERIK WINTER stał przy oknie swojego biura z widokiem na Fattighusån. Wiedział, że rzeka gdzieś tam jest, ale w ciemności jej nie widział. Wieczne światła nadawały sunącym po szybie kroplom deszczu różne barwy, wyglądały jak wzór z koralików. Może to było ładne. Winter miał już na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Był gotów wyjść w tę ciemność. Jeszcze na kilka minut zatrzymały go sprawy, których akta leżały na biurku w dwóch niewielkich stosach. Jedna dotyczyła samochodu porzuconego na Älvsborgsbron, z dziurą po kuli w oparciu fotela. Druga podejrzanych działań w okolicy Hissingen, niewykluczone, że chodziło o przemyt narkotyków.

Wydział dochodzeniowo-śledczy nie mógł obarczać wszystkimi takimi sprawami wydziału narkotkowego.

Na biurku zadzwonił telefon. Winter odwrócił się, przeszedł przez pokój i sięgnął po słuchawkę.

– Słucham?

Rozpoznał niechęć w swoim głosie. Nie lubił tego.

– Może powinnam zadzwonić kiedy indziej – powiedział głos w słuchawce.

– Przepraszam cię, Angelo. Myślałem, że to ktoś inny.

– Kto taki?

– Jakiś cholerny policjant ze złymi wiadomościami, przez które nie będę mógł iść do domu.

– Jest wprost przeciwnie, Eriku.

– Dzięki.

– Więc jesteś wolny i możesz iść do domu.

– To naprawdę dobra wiadomość.

– Jest trochę później, niż się spodziewałam.

– Lilly już śpi?

– Wkrótce będzie.

– Powiedz jej, że się starałem.

– Na pewno zrozumie.

– A jutro wstanę z kurami.

- Z jakimi kurami?
- To takie szwedzkie powiedzenie, Angelo.
- Aha.
- Wstanę rano z kurami, choć przez cały tydzień jest sobota.
- To samo powiedziała dziś Elsa. Chyba śpiewali taką piosenkę w przedszkolu. Sobota przez cały tydzień.

Angela dorastała w Lipsku i Berlinie, zanim jej rodzicom, państwu Hoffmann, udało się wydostać na Zachód, do wolnego świata. Była wtedy dziewczynką. Teraz, jako stosunkowo młoda internistka, pracowała w szpitalu uniwersyteckim Sahlgrenska. Winter był komisarzem o ogólnym zakresie obowiązków w policji kryminalnej, nadal, podobnie jak ona, dość młodym jak na komisarza, ale w policji pracował już dziewiętnaście lat. Wkrótce miał obchodzić dwudziestą rocznicę. Jeszcze przed pięćdziesiątymi urodzinami. Rocznicą, urodziny. Chyba rzeczywiście życie jest niekończącą się sobotą.

Winter przechodził przez Heden. Zmierzch już zapadł, wsiąkł w zwirowe podłoże i zrobił miejsce ciemności. Drużyna amatorów rozgrywała mecz piłki nożnej w słabym elektrycznym świetle. Ich okrzyki po kilku sekundach opadały na ziemię. Winter jako junior był całkiem niezłym środkowym obrońcą, mógł grać dalej, wielką karierę miał w zasięgu ręki, gdyby nie poważna kontuzja kolana podczas meczu ze Skogen na Slottskogsvallen pod koniec lat siedemdziesiątych. Rok później klub Sandarna BK musiał szukać nowego talentu. Już nie miał odwagi grać ofensywnie, choć od czasu do czasu grywał jeszcze w zespole policji kryminalnej, póki Halders nie doprowadził do wykluczenia ich z rozgrywek, bijąc sędziego pewnego pięknego wieczoru. Tak pięknego jak ten. Chmury uniosły się, kiedy mrok opadł na miasto, a domy i ulice otoczyła błękitna aureola, tak stosowna do pory roku. Kiedy Winter patrzył w niebo, z północnego zachodu nadleciał chłodny podmuch. Winter musiał mocniej otulić się płaszczem i iść dalej pod wiatr Södra vägen, by potem skręcić w Vasagatan i przeciąć Avenyn. Pod wiatami naprzeciwko Pressbyrån ludzie czekali na swoje tramwaje i autobusy, ale on

miał do domu jeszcze tylko siedemset metrów.

Elsa ściągnęła mu drugi but.

– Dziękuję, moja służko.

– Nie jestem twoją służką!

– No to kim jesteś?

– Jestem królową – odparła Elsa i z łoskotem upuściła but na drewnianą podłogę.

– Cśśś... obudzisz siostrzyczkę. Nie obudz księżniczki.

– E tam, ona ciągle tylko śpi.

– Tego bym nie powiedział.

– Ona jest śpiochem!

– A ty, skoro jesteś królową, możesz iść do kuchni i przynieść mi coś do picia, a ja w tym czasie przejdę do salonu.

– A co to salon?

– Nasz duży pokój. Ale w dobrych domach zawsze mówi się salon.

– Przedtem chyba tak nie mówiliśmy?

– Naprawdę?

– Naprawdę. To znaczy, że nie jesteśmy dobrym domem?

– Oczywiście, że jesteśmy, kochanie. Jednym z najlepszych.

– Nie jesteśmy najlepsi?

Winter usłyszał przelotny śmiech. Podniósł wzrok.

– No i jak teraz z tego wybrniesz?

Angela uśmiechała się do niego.

– Jak dobrym domem jesteśmy? – zapytała.

– Tak samo dobrym jak inne dobre domy – powiedział i wstał. – Czy któraś z królowych może przynieść królowi coś dobrego do picia? Król udaje się do salonu.

Bergnhem stwierdził, że siedzi w pracy, na swoim krześle. Pamiętał, że jechał przez Älvsborgsbron, a potem dalej w stronę miasta, ale to wszystko. Przejechał przez centrum, jakby był nieprzytomny. Zaparkował przed komendą. Wszedł do swojego pokoju. Nieprzytomny. Totalny *blackout*. Wielki Boże. To nie pierwszy raz. Mógł rozjechać jakiegoś nieszczęśnika. Czy z moją głową coś jest nie tak? Tamto

uderzenie... to było dziesięć lat temu, może nawet trzynaście. Tak, trzynaście. To nie jest dobra liczba. Myśleli, że nie żyję. Może nawet wyzionąłem na chwilę ducha. Ale nie poświęciłem życia, nie wtedy. To była tylko głupota. I coś jeszcze. Wczoraj jechałem przez most i widziałem samochód. To pamiętam. Rogera Edwardsa też pamiętam. Nie skoczył. Nie zgłosił. Nie strzelał. Tak powiedział. Dużo pytań się nasuwa.

Telefon na biurku wyrwał go z rozmyślań o życiu i śmierci, nadziei, rozpacz i głupocie.

Odebrał bez słowa i przez chwilę słuchał wzburzonego głosu.

– Nie tutaj – powiedział. – Nie teraz.

Mała królowa wróciła ze szklaneczką whisky. Niosła ją, jakby to był dzban ze złotem, którym zresztą była, a przynajmniej tak wyglądała.

– Jak ty możesz to pić, tato? Fuj!

Poczuł aromat wrzosu i torfu, oceanu i nieba.

– To będzie długa historia, kochanie.

– Opowiedz!

Łyknął ze szklanki. Smaki prawie takie same jak aromaty.

– Opowiedz, tatusiu!

– W krainie zwanej Szkocją dawno, dawno temu mieszkali w grocie nad morzem starzec i staruszka.

Elsa się uśmiechnęła. Słyszała już kiedyś tę historię, a przynajmniej jedną z jej wersji. Winter nie pamiętał, ile wersji opowiedział przez ostatnie lata.

– Nazywali się MacGregor – mówił dalej.

– To znaczy syn – wtrąciła Elsa. – Macdonald znaczy syn.

– Masz rację.

– Tak samo jak ktoś, kto się nazywa Eriksson.

– Właśnie.

– To może ja też będę mogła się nazywać Eriksson, jak będę duża?

– Jeśli zechcesz.

– Ale ja nie jestem synem! To w takim razie będę Eriksdotter, córka Erika!

Winter skinął głową.

– Tylko że wtedy nie będę się już nazywała Winter.

- No tak, może byłoby szkoda.
 - A skąd ono się wzięło, tato? Skąd pochodzą nasze nazwiska?
 - Tak do końca sam nie wiem, kochanie. Dziadek nazywał się Winter... więc ja i ciotka Lotta też się tak nazywaliśmy.
 - To znaczy zima, prawda?
 - Tak, jasne.
 - Ale my nie piszemy tego tak jak się powinno! Miałam napisać to słowo na tablicy w szkole i pani powiedziała, że zrobiłam błąd. Bo po szwedzku zima pisze się vinter!
 - Nasze nazwisko chyba pochodzi z Wielkiej Brytanii – wyjaśnił Winter. – To angielska pisownia. W Göteborgu mieszka całkiem dużo ludzi z angielskimi nazwiskami. Dawno temu przybyło tu wielu Anglików i Szkotów, zajmowali się różnymi rzeczami. I ich nazwiska zostały.
 - To znaczy, że może pochodzimy stamtąd – stwierdziła Elsa.
 - Może.
 - Może pochodzimy ze Szkocji!
 - Tak, to nie jest wykluczone.
 - A nie możemy się tego jakoś dowiedzieć?
 - Chyba tak, myślę, że się da...
 - Mama przecież pochodzi z Niemiec! A ty może ze Szkocji.
- Ale fajowo!
- Tak powiedziała?
 - Yes.
 - Dawno nie słyszałam tego słowa. Fajowy. Myślałam, że zostało skasowane.
 - Wszystko wraca.
 - Chciałabym móc czekać na coś fajowego – powiedziała Angela.
 - Po co czekać? Może moglibyśmy zrobić coś fajowego teraz?
 - Na przykład?
 - Choćby wybrać się w podróż. Co powiesz na Szkocję?
 - Byliśmy tam całkiem niedawno, Eriku. I wcale nie skończyło się dobrze. Nie chcę teraz do tego wracać.
 - Ale teraz to byłby urlop. Tylko urlop. Z dziewczynkami rzecz jasna. Elsa chce zobaczyć grotę, w której MacGregorowie

zaczęli produkować whisky. Zanim zjawiała się wredna wiedźma i wszystko zniszczyła.

– Na szczęście jej się nie udało, prawda?

– Nie, Bogu dzięki. Była wredna, ale niezbyt mądra. Dla Elsy nigdy nie jest dość wredna.

– Gdzie ona właściwie jest? Ta grota? Nigdy nie umiałam sobie tego wyobrazić.

– Na zachodnim wybrzeżu. Mallaig. W pobliżu Skye. Trochę trudno to wytłumaczyć. Musimy tam pojechać, to ci pokażę.

– Okej.

– Możemy pojechać wiosną. A po drodze wpaść do Londynu.

– Okej.

– Już dawno nie rozmawiałem ze Steve'em.

– Chętnie się z nimi zobaczę – powiedziała Angela. – Susan dawno się nie odzywała.

– To zrobmy tak.

– Tylko że klinika naciska.

Angela znów dostała propozycję od kliniki w Marbelli. Ostatnią zimę spędzili na Costa del Sol. Perspektywa ponownego wyjazdu była bardzo kusząca. Można by się do tego przyzwyczaić.

– Sam nie wiem – powiedział Winter. – Mam wrażenie, jakbyśmy co najmniej zdecydowali, czy osiąść tam na dobre.

– Ja też nie wiem – przyznała Angela.

– A ja tutaj jeszcze nie skończyłem.

Nic nie powiedziała.

– Zastanawiasz się, czego jeszcze nie skończyłem? – zapytał Winter i wypił łyk ze szklanki.

– Nic nie mówiłam.

– Ale się zastanawiałaś.

– Może ty to robisz, Eriku.

– Zastanawiam się, czy skończyłem?

– Nie, nad tym, czego nie skończyłeś.

– Czy to jakaś niezrozumiała niemiecka składnia?

– Nie próbuj się wykręcać.

– Nie próbuję się wykręcać.

Ale właśnie to robił. Czego jeszcze nie skończył? Sprawy

czyjejś śmierci? Śmierci kolejnego człowieka? Jeszcze jednej śmierci? Kolejny morderca, ofiara, wiele ofiar, kolejni bliscy ofiary, nowe prawdy na warstwie dawnych. Stare lęki powracają jako nowe, tak samo jak stary kac jest dla starego pijaka jak nowy.

Może to było coś we krwi, coś, co nadal krążyło w jego żyłach, teraz wolniej, ale wkrótce popłynie z pełną siłą. To była siła, która brała się z lęków przed tym, co nastąpi wkrótce. Wszystko wracało. Zbrodnie w Göteborgu się nie skończyły. Będą się powtarzały, ale nic już nie będzie takie jak przedtem. Mógł korzystać z doświadczenia, ale tylko do pewnego stopnia. Potem wszystko znów było nowe. Będzie sam, z krwią krążącą i huczącą w żyłach. I to było to, czego chciał. Jeszcze z tym nie skończył.

– Dlaczego ktoś miałby zostawić samochód na Älvsborgsbron i zniknąć? – powiedział.

– Ja bym tego nie zrobiła – odparła Angela.

– Ktoś to zrobił. Zostawił samochód.

– Nie wiecie kto?

– Wiemy, kto jest właścicielem. Ale on twierdzi, że mu ten samochód skradziono.

– A ty myślisz, że nie mówi prawdy?

– Ja nic nie myślę. Tylko czytałem o tym. Bergenhem tamtędy przejeżdżał i znalazł ten samochód.

– Ach tak?

– Nie był wtedy na służbie. Jechał sobie, zobaczył na moście porzucony samochód i wszczął alarm.

– Nie był na służbie?

– Nie. Tak sobie tylko jeździł nocą po mieście.

– To nie brzmi dobrze.

– No nie.

– Jak on się czuje?

– Właściwie nie wiem, Angelo. Jest taki wycofany.

– Rozmawiałeś z nim?

– Jeszcze nie.

– Powinieneś.

– Zamierzam.

– To naprawdę nie brzmi dobrze.

Winter nie odpowiedział. Wyobraził sobie samochód i most, świt i Larsa w środku tego wszystkiego. Taka scena.

Przeszłość to płaszcz, który ciężko wisi na ramionach. Człowiek go nosi przy każdej pogodzie. Nie ma znaczenia, jak te okropne rzeczy go dopadają. Można je stworzyć samemu albo może to zrobić ktoś inny. I nie można tego cofnąć. To, co dobre, odeszło na zawsze. Że też mógł tak myśleć. Chciał tego, ale i nie chciał. Unikał wody. To znaczyło, że nie chciał oglądać mas wody. Inna sprawa, kiedy woda wypływała z kranu. Ale kiedy zbierała się w kałużę, bajoro, staw, basen, sadzawkę... Pod powierzchnią była śmierć. Miała tam być już na zawsze. To była część jego pamięci. Nie, raczej tego, co nie było pamięcią, ale nadal tam było. O tym, co zrobił. Byli tacy, którzy wiedzieli. Wiedzieli więcej od niego. Skąd mogli to wiedzieć? Ale on wiedział jedno. Teraz mogło być tylko gorzej, dla umarłych też. Co za koszmarna myśl.

Bertil Ringmar siedział w swoim fotelu w salonie i zastanawiał się, czy powinien pójść do kuchni i zrobić sobie kanapkę z pasztetem, może dołożyć do tego trochę bekonu i pieczarek, i jeszcze otworzyć piwo. Czy kiedy to zrobi, poczuje się lepiej. Z pewnością dzięki temu poczuje się lepiej. Wstał i poszedł do kuchni. Zrobił sobie kanapkę, podsmażył bekon i pieczarki. Przy kuchennym stole nalał kieliszek winiaku Ödåkra. Butelkę wyjął z zamrażarki. Alkohol był gęsty jak syrop. Szkło pokrywał szron. Wszystko wydawało się w porządku. Zjadł, otworzył kolejne piwo i przeniósł się z butelką z powrotem na fotel. Pił, spoglądając na ogród. Niedługo minie dwadzieścia pięć lat, odkąd tak tu wysiaduje, patrząc na ogród. W ostatnim czasie robi to coraz częściej. Dlaczego właściwie? To ten sam stary ogród, w gruncie rzeczy nawet trudno to uznać za ogród, tylko trochę trawy, kamieni, krzaków i drzew otaczających drewniany dom. Ten sam stary dom. Ten sam stary Ringmar. Nie, do diabła, daj spokój, Bertil. Zostało ci jeszcze prawie dziesięć lat w dumnych szeregach policji. Ciągle masz przed sobą wielkie rzeczy. Wielkie

przestępstwa. Straszne przeżycia. Napięcie. Dramaturgia. Jednym słowem: *action*. To więcej niż dziewięćdziesiąt osiem procent ludzkości śmie sobie wymarzyć, prawdziwa *action*. Tylko my i przestępcy tego doświadczamy. To jest nasz świat. Mój Boże, ale ci inni dużo tracą. To dzięki temu można czuć się młodo. Trening fizyczny to część tej pracy, to obowiązkowe. Gdzie w przeciwnym razie byłby mój brzuch? W połowie drogi do ogrodu, do diabła. Niedługo stuknie mi sześćdziesiątka. Przy moich nawykach żywieniowych może już dawno bym nie żył albo właśnie konał. Wstał. Coś się ruszało za żywopłotem. To ten pieprzony palant sąsiad. Zaczął już montować świąteczne oświetlenie. Zostały tylko trzy miesiące. Już obwieszał światelkami wszystko, co miał w ogrodzie, i prawie nie wyłączał. Nie dało się przez to spać przez pół jesieni i całą zimę. Próbował rozmawiać z tym bucem, ale nie pomogło. Krzyczał, ale to też nie pomagało. Zwracał się do odpowiednich urzędów, jakich tylko się dało, ale w tym kraju nikt nie miał odwagi nic zrobić. Jeśli się nic nie robi, nie można zostać skrytykowanym. Nie można zostać skrytykowanym za nic. Lepiej nigdy nic nie robić. Rozważał, czy nie wywołać zwarcia w domu tego idioty, ale to byłoby zbyt oczywiste. Poszedł do kuchni i wyjął butelkę winiaku. Wtedy na blacie zadzwonił telefon.

– Tak?

– Halo? – odezwał się jakiś głos. Brzmiał, jakby dochodził z daleka.

– Tak, słucham. Bertil Ringmar.

W słuchawce zapadła cisza.

– Halo?

Nadał nic.

– Halo? Kto mówi? Kto tam jest, do cholery?

Teraz usłyszał, jak ktoś powoli odkłada słuchawkę.

Wyjrzał przez kuchenne okno, zajrzał prosto do kuchni sąsiada. Dostrzegł sylwetkę. Odkładał telefon. Przypadek? Nie. Terror światelek najwyraźniej mu nie wystarczał.

FASADY DOMÓW PO DRUGIEJ STRONIE VASAPLATSSEN zdawały się wyższe niż zwykle, zasłaniały niebo, jakby chciały zasłonić światło. Zatknąć dziurę, która zawsze tam była, przez którą wpadało światło. Światło musi mieć którędy wchodzić. Winter zamknął oczy, a potem otworzył. Domy zsunęły się trochę niżej, teraz było więcej nieba, szarego nieba, ale mimo wszystko. Było jaśniej. Jeszcze raz zamknął oczy, ale pod powiekami nadal miał światło. To było przyjemne uczucie, choć wiedział, że nie może tak do końca polegać na swoich oczach. A może to było coś, co znajdowało się poza oczami. Mózg. Zawsze mógł na nim polegać. Kiedy nie działało nic innego, zawsze mógł liczyć na swoje myśli, wyobraźnię, swoją... no właśnie, inteligencję, czy jak to nazwać. Intuicję. Świadomość. Prawdziwą świadomość. Coś, co nosił w sobie od dzieciństwa, czego nie mógł się nauczyć ani nikomu przekazać. Coś, co go zaprowadziło tu, gdzie jest dzisiaj. Ale teraz jego mózg odmawiał posłuszeństwa.

– Co jest, Eriku?

Słyszał głos Angeli, ale jej nie widział. Nadal miał zamknięte oczy. W głowie ciągle miał jasność, jasność i ból.

– Nic – powiedział, odwracając się na drugi bok.

– Skrzywiłeś się.

– Naprawdę?

– Jakby cię coś bolało.

– Hm...

– Boli cię?

– Tylko kiedy się śmieję – powiedział z uśmiechem.

– Dawno się nie śmiałeś, Eriku.

– Tak uważasz?

– Tak.

– Bo nie chcę, żeby mnie bolało.

Próbował znów się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, od pewnego czasu cierpisz na bóle głowy – powiedziała Angela.

– Czasami.

– Przecież wcześniej tak nie było. Przynajmniej odkąd cię znam.

– To chyba stres. Praca. W końcu wszystko odbija się na mózgu.

– Zartujesz sobie, Eriku?

– Tylko trochę.

Złapała go za głowę. Jej oczy znalazły się bardzo blisko. Są zielone, pomyślał. Nigdy wcześniej tego nie widziałem. A może to znów oczy płatają mi figła? Czy Angela nie miała kiedyś niebieskich oczu? Czuł na skroniach chłodny dotyk jej dłoni. To było przyjemne. Opuścił powieki. Angela powoli masowała mu czoło.

– W którym miejscu cię boli?

Słyszał jej głos, jakby dobiegał z drugiego końca pokoju. Unosił się jak osobliwe stereo.

– Teraz wcale mnie nie boli – powiedział.

To było cholernie irytujące, o ile to właściwe słowo. Zjadł lunch w Manfreds Brasserie przy Nordenskjöldsgatan i kiedy wyszedł na ulicę, zobaczył, że lewe przednie drzwi samochodu są wgniecione. Niech to szlag. Zaparkował równolegle do chodnika. Jak ktoś, kurwa, mógł w niego wjechać?

Z garażu po drugiej stronie ulicy wyjechał jakiś samochód. Podniósł głowę. No tak. Jasne. Jakiś skurwiel oczywiście wyjeżdżał zbyt szybko, nie wyrobił na zakręcie i uderzył w jego chryslera. A potem uciekł. Nienawidził takich, co uciekają z miejsca wypadku. Ktoś, kto ucieka przed czymś takim, ucieknie przed wszystkim. Nie wiedziałem, że tam jest podziemny garaż. Byłem tu setki razy i nigdy nie pomyślałem o tym cholernym garażu. A teraz przedstawił mi się z hukiem.

Przeciął ulicę i zszedł do tunelu. Była tam budka strażnika. Że też jeszcze coś takiego istnieje. Myślałem, że różne cholerne urzędy zajmujące się środowiskiem dawno takie rzeczy pozamykały. To przecież zabójcze.

– Widział pan, jakie samochody wyjeżdżały stąd przez ostatnie czterdzieści pięć minut?

Strażnik wychylił się z budki. Spojrzał na niego tępo.

Wystarczająco tępo, żeby mógł całymi dniami siedzieć i wdychać opary ołowiu. Facet był biały, wyglądał nordycko. Trochę dziwne, bo przeważnie to brudasy dostają te najgroźniejsze posady, które jeszcze zostały. Tego Aryjczyka wzięli chyba prosto z domu wariatów, kiedy go likwidowali.

Nie wyglądało na to, żeby strażnik zrozumiał pytanie.

– Patrzy pan na wyjeżdżające samochody?

– Tak, a bo co?

– Bo co? Ja ci to wytłumaczę. Jakiś palant wyjechał stąd w ciągu ostatniej godziny, raczej ostatnich czterdziestu pięciu minut, no więc ten buc wyskoczył z tej cholernejszy nory i wrąbał się prosto w mój samochód, który parkuje tam na górze.

Wskazał kierunek całą dłonią. Strażnik popatrzył w tamtą stronę. Tuż przed ulicą był stromy podjazd, widać było tylko drugie piętro domów po drugiej stronie i czarno-biały szyld knajpy Manfreda. Wpadał na lunch do Manfreda tak często, jak tylko mógł. W mieście nie było lepszego lokalu. Ale dla dobrego jedzenia nie chciał ryzykować zniszczenia samochodu. Siedział w głębi lokalu, przy dłuższej ścianie. Nie mógł patrzeć na ulicę. Gdyby widział, co się dzieje, pewnie by tamtego zabił, zanim kutas zdążył spieprzyć z miejsca przestępstwa.

– Ach tak? – powiedział strażnik.

– Zapisujesz numery samochodów, które tu wjeżdżają?

– Nie.

– Nie? To jaki w ogóle ma sens to, że tu siedzisz? Po co tu siedzisz, człowieku, jeśli nie kontrolujesz, kto wjeżdża i wyjeżdża?

– Nie musi się pan złościć.

– Złościć? Ja się nie złościę! Jestem tylko wkurwiony na takich cholernych id... – zaczął. Umilkł, kiedy strażnik zamknął okienko. Wyglądał, jakby się bał. Pieprzony debil.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z cholernego garażu na ulicę. Stał przy swoim samochodzie i znów zaczął się przyglądać uszkodzeniom. Nie tylko przednie drzwi były wgniecione, tylne też. Zrobił krok w tył i nagle kilka metrów od niego ryknął klakson. Jakaś baba w volvo 70 mijala go w żółwym tempie, kręcąc głową. Przez chwilę rozważał, czy nie ulec impulsowi,

nie otworzyć drzwi tej głupiej cipy i nie walnąć jej tłustą mordą w kierownicę. Ale nie. Pewnie i tak niedługo umrze. Zabije ją własna głupota.

Zadzwoiła jego komórka.

– Tak?

– Jedziesz już?

Głos brzmiał ostro i dobitnie.

– Nie, nie jadę. Jakiś buc wjechał mi w samochód i uciekł, kiedy jadłem lunch.

– Gdzie?

– Co to ma za znaczenie, do cholery? Linné. Nordenskiöldsgatan.

– Siedzimy tu i czekamy.

– On już przyszedł?

– Tak. I zaraz pójdzie.

– Już jadę.

Rozłączył się i wsunął telefon do kieszeni. Powinien zadzwonić po gliny i zgłosić uszkodzenie, inaczej będą problemy z ubezpieczeniem, ha, ha. Jakiś ociężały umysłowo krawężnik będzie w ślimaczym tempie spisywał zgłoszenie, pół godziny na jedno zdanie. Ha, ha, ha.

Wsiadł do chryslera, włączył silnik i wypłynął z zatoczki. Jeszcze nie skończył z tym durnym strażnikiem tam na dole. Jeszcze się nie policzył z uciekinierem. Znajdzie go i włoży mu głowę w imadło.

Skręcił w Linnégatan.

Winter nie lubił swojego biurka. Samego blatu, lampy, całego pokoju. Czasem, kiedy pragnął być gdzieś daleko.

Centrum miasta niszczało coraz bardziej. Innych draństw też było coraz więcej. To się nazywało rozwój albo może przyrost. Właśnie odnotowywano silny wzrost przestępczości, tej zorganizowanej, ale tej drugiej też. Jemu było wszystko jedno. I tak miał ją zwalczać. Nie był zmęczony, zgorzkniały ani cyniczny, ani pozbawiony złudzeń, no może troszkę, ale prawie wcale. Nadal był młody, nie miał nawet pięćdziesiątki. Bertil wkrótce skończy sześćdziesiąt. Może to coś innego, ale nie stracę nadziei, nie wpadnę w depresję. Prędzej pójdę na wojnę.

Zresztą jestem na wojnie. Nie da się jej wygrać, ale tego nie mówimy. Nikt nie mówi: a teraz pójdziesz na wojnę, przegrasz ją i zginiesz. Tak mówili japońscy dowódcy do swoich żołnierzy: wy już nie wróćcie, nigdy nie wróćcie, idźcie i gińcie. Ale ja wrócę. Zawsze wracam. A teraz jestem szefem wydziału dochodzeniowo-śledczego. Sam wydaję sobie rozkazy: idź i żyj.

Przeczytał raporty z ostatniej doby. O aktach wandalizmu w centrum miasta. Kto ich tu, do cholery, wpuszcza? Należałoby zachować bramy i zwodzone mosty, żeby ludzie mogli żyć w spokoju. Wandale mogliby iść do Hagen, demolować przystanki tramwajowe w każdy piątek o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć.

Ból głowy uderzył go nagle, jak młot. KURWA. Podniósł rękę do lewego oka, jakby szukał pomocy. To właśnie tam to teraz siedziało, kafar, dunk-dunk-dunk. Poczul mdłości. Zbliżały się jak zawrót głowy. Co to takiego? CO TO JEST? Na biurku zadzwonił telefon. Nie słyszał go, ale wiedział, że dzwoni. Czuł, jak biurko wibruje. Nadal trzymał dłoń przy lewej brwi, drugą ręką podniósł słuchawkę.

– Ttaa... tak?

– Halo? – odezwał się nieznajomy głos.

– Tak, halo? Halo? Erik Winter.

W słuchawce zrobiło się cicho.

Winter wziął głęboki oddech.

Ból właśnie zawracał do tego przekłętego miejsca, z którego wyszedł. Mdłości ustały. Niemal czuł, jak się ruszają pod przeponą.

– Halo? Kto mówi?

Usłyszał tylko, jak ktoś powoli odkłada słuchawkę.

Inspektor Lars Bergenhem jechał przez Älvsborgsbron i jak zwykle kiedy tamtędy przejeżdżał, myślał o tym, jak wielkie wydaje się miasto i jak małe robi się potem, kiedy do niego zjedzie, kiedy zjedzie na dół, jak trudno potem podnieść wzrok i patrzeć w dal. Podnieść wzrok. Właśnie to zrobił. Po prawej stronie morze, po lewej większa część Göteborga, wieże

kościół, autostrady, i nagle w radiu głos Phila Collinsa, *too many people, too many problems, this is the land of confusion*, pogubiony kraj, tak, to prawda, rzeczywiście. Pomyślał o twarzy Martiny, zagubionej. Co powiedział? Nagle poczuł, że nie da rady przejechać zbyt dużo razy tam i z powrotem do Torslandy, obejrzeć całego miasta za jednym razem. Za dużo perspektywy, za dużo nieba. Lepiej spuścić oczy. Martina. Jej spojrzenie. Cóż on takiego, do diabła, powiedział? Miał w głowie kompletną pustkę, jakby ktoś mu wymazał plik. Na twardym dysku nie było nic, ale to nie miało znaczenia, bo właściwie jego twardy dysk, na którym mógłby zapisać wszystko, jakby nie istniał, nie mógł się bronić, za dużo szczegółów, zbyt nisko opuszczony wzrok. Martino, odchodzę. Martino, nigdy nie odejdę. Martino, już nie potrafię kłamać. Martino, nie daję rady. Martino, poradzę sobie ze wszystkim. Martino, wrócę do domu późno. Zjechał z mostu, czy raczej pozwolił się ponieść ruchowi skręcających samochodów, który doprowadził go do świateł przy Jaegerdorffsplatsen, jednego z brzydszych placów w mieście, zniszczonego przez Oscarsleden, tak samo jak pechowe części Kungsladugård i Majoran, które znajdowały się w niewłaściwym miejscu, kiedy jacyś idioci poprowadzili autostradę jak mur między ludźmi i rzeką. Ludzie na pociechę dostali sklep monopolowy, ale zatrzymywała się przy nim głównie wyższa klasa średnia wracająca do domów do Hagen i Långedrag albo do Askim i Hovås. Jechał w górę Slottskogsgatan, zaparkował przy aptece na Mariaplan. Wszedł. Minął kogoś, kto wydał mu się znajomy. Nie wiedział, czy ten ktoś go rozpoznał, ale od razu wyszedł, nie kupił niczego. Kiedy jechał Kungsladugårdsgatan w stronę Slottskogsvallen, widział twarz swojej córki. Jego Ada, niespełna jedenastoletnia, wkrótce nastolatka. Nie dane mu było zobaczyć jej narodzin. Miał wtedy nie żyć. Powinien z tego powodu mieć więcej pokory wobec życia, zresztą miał ją, tak mu się wydawało, że ma. Wszystko inne musiało być lepsze niż ciemność. Oczy Ady. Kiedy pomyślał, że nigdy by w nie nie zajrzał, cały się zatrzęsł. Zjechał na pobocze tuż przed Margreteborgsrondellen i wyłączył silnik. Siedział tak bez

ruchu, aż przestał się trząść. Radio milczało, padło. Nie pamiętał, że sam je wyłączył.

20:35

BIŁY DZWONY, TO MUSIAŁ BYĆ KOŚCIÓŁ na wzgórzu. Trochę za późno na kościelne dzwony, pomyślała. Dźwięki były jak ptaki na niebie. Niebo pokryły odgłosy, jak czarne chmury.

Spojrzała w górę, ale nie było chmur.

Widziała skały, i morze oczywiście, a dzieci unosiły się nad ziemią jak anioły.

Jeszcze raz podniosła wzrok i nagle niebo wypełniło się ptakami. Na tle błękitu były czarne, ale ona wiedziała, że są białe.

Wszyscy unosimy się w powietrzu.

Uniosła ramiona i pozwoliła się nieść wiatrowi, daleko, poza skały, daleko na morze, nad wyspę po drugiej stronie cieśniny i z powrotem, ze stopami dziesięć centymetrów nad powierzchnią wody, lądowanie na skałach.

Była teraz sama, całkiem sama. Jestem tylko ja. Tak myślała wiele razy przedtem. Kiedy za trudno było słuchać. Być tam. Słuchać tych krzyków i ciosów. Wtedy robiła się najbardziej samotna na całym świecie, łatwiej było być samą. Mogła rozmawiać ze sobą, jeśli chciała, i tak właśnie robiła. Rozmawiała na dworze, w deszczu. Nikt nie mógł nawet widzieć, że porusza ustami.

Woda była ciepła, jakby leciała z kranu z ciepłą wodą. Kiedyś na koloniach mieli ciepłą wodę w jednym kranie, a zimną w drugim. Sami musieli sobie mieszać.

Ale w morzu woda już była wymieszana i posolona. Jakby ktoś rozsypał sól nad całym oceanem, z ogromnego worka. Wora.

Unosiła się na powierzchni jak korek. Niebo znów było czyste. Mewy przeniosły się gdzie indziej. Nie słyszała ich. Nie słyszała niczego.

Odwróciła się na brzuch i zaczęła płynąć w stronę otwartego

morza. Widziała wysepkę, mogłaby jej dotknąć dłonią. Wyciągnęła rękę, ale tam było tylko powietrze i woda.

Coś plusnęło z tyłu za nią. Odwróciła głowę, ale nic nie zauważyła.

Płynęła dalej. Widziała przed sobą żagiel, ale patrząc z dołu, z powierzchni wody, mogła zobaczyć tylko połowę.

Może mi się uda przepłynąć morze, pomyślała. Jeśli dam radę dopłynąć do tamtej wyspy, to przepłynę morze. Nie jestem zmęczona.

Jeszcze kilka ruchów rąk. Wydawało jej się, że ktoś ją z tyłu woła, ale wiatr niósł ze sobą wiele dźwięków. Po prostu przelatowały obok niej. Może to znów dzwony. Ktoś się żeni, a może to pogrzeb. To mogło być cokolwiek.

4

WINTER I RINGMAR JECHALI przez Götatunneln. To miejsce stwarzało iluzję, że Göteborg jest o wiele większy, niż jest w rzeczywistości. Do tego nie potrzeba przestępczości. Choć przestępczość też rozwiewa wszelkie złudzenia. Ale tunel był piękny. Tak powinien wyglądać nowoczesny obiekt. Kończył się przy Dworcu Centralnym. Winter skreślił i przejechał przez Östra Nordstan.

– Ktoś do mnie zadzwonił, do domu, i tylko oddychał do słuchawki – powiedział Ringmar, kiedy zatrzymali się na światłach przy dworcu.

– To zabawne. Do mnie też. Wczoraj. Tylko że do pracy.

– Właściwie to nawet nie ma o czym mówić. Ale to było takie uczucie... sam nie wiem. Jakby ktoś naprawdę tam był. Jakby czegoś chciał. Rozumiesz?

– Odniosłem takie samo wrażenie – przyznał Winter.

– Nie nabijasz się ze mnie, Eriku?

– Naprawdę nie, przysięgam.

– Ktoś czegoś od nas chciał, ale nie chciał powiedzieć – podsumował Ringmar.

Winter skinął głową i wcisnął pedał gazu. Jakiś młody chłopak przechodził na czerwonym świetle. Musiał uskoczyć,

kiedy go mijali w odległości kilkudziesięciu centymetrów.

– Ktoś w potrzebie – stwierdził Winter. – Potrzebował naszej pomocy.

– To było to samo?

– Oczywiście.

– Co ta praca robi z człowiekiem – westchnął Ringmar. – Trzy sekundy ciszy w słuchawce i od razu wiesz, o co chodzi.

– To ta cisza.

– A ja podejrzewałem, że to mój pieprzony sąsiad robi mi kawał – powiedział Ringmar.

Zadzwoiła komórka Wintera.

– Tak?

– Mówi Öberg. Technik od broni twierdzi, że to wygląda na kaliber dziewięć milimetrów, luger, parabellum, może nawet amunicja sig sauera. Albo coś innego, zbliżonego. Jeszcze się odezwie w tej sprawie.

– Okej.

– W samochodzie nie znaleźliśmy krwi. Praktycznie żadnych innych śladów, przynajmniej na razie. Resztki pocisku... kierunek strzału... wygląda na to, że strzelec stał na zewnątrz – powiedział Öberg, zastępca szefa wydziału technik kryminalistycznych.

– Nie siedział w samochodzie? Na moście? – zapytał Winter.

– Czy strzelał na moście? Tego jeszcze nie wiemy.

– To ma znaczenie – stwierdził Winter.

– Tak samo jak ma znaczenie, czy jest ofiara – dodał Öberg.

– Znaleźliście coś w wodzie?

– Nic.

– Ciało mogło kawałek popłynąć. Mocno wiało.

– Sprawdzamy nabrzeża.

– Dziwna historia – powiedział Öberg.

Zaczął się od jednego dźwięku. Potem było ich więcej, o wiele za dużo i o wiele za głośniejszych. Piosenka za piosenką, jedna gorsza od drugiej, głośniejsza od poprzedniej. Przeprowadził się tutaj ze względu na ciszę. Potrzebował ciszy tak samo jak wody. A ona otaczała go jak ocean. Pływał w ciszy.

Do tej chwili. To był jakiś pośledniejszego gatunku rock. Nie był ekspertem od muzyki rockowej, ale jeśli chodzi o jakość, na pewno było to bardzo kiepskie. Jak imitacja. Do tego jeszcze tak głośno. Ktoś, kto takiego gówna słuchał tak głośno, musiał być szalony. Albo martwy. Albo naćpany. Tylko że on nie pomyślał o żadnej z tych ewentualności, kiedy wyszedł z domu, skręcił do ogródka sąsiada i zapukał do jego drzwi. Chciał tylko, żeby ten hałas ustał. Chciał móc czytać i myśleć. Po prostu znów pływać w ciszy. Była czwarta po południu, a ta parszywa muzyka dobiegała z domu. Musiało ją być słychać w całej okolicy. Powinna tu już stać kolejka sąsiadów. Znów nacisnęła dzwonek. Dźwięki uderzały w niego przez drzwi jak porywy wichury. Nie usłyszał dzwonka. Może mieszkaniec tego domu był głuchy jak pień i puszczał muzykę tak głośno, żeby móc odbierać przynajmniej wibracje. Odkąd się wprowadził, z jego domu nie dochodziły żadne odgłosy. Martwa cisza. Nawet jeszcze kilka tygodni temu myślał, że ta niewielka drewniana willa stoi pusta, przynajmniej ogród sprawiał takie wrażenie. Od lata nikt nie kosił trawy. Dom wyglądał na opuszczony. Może jakiś staruszek zmarł i krewni nie wiedzieli, co zrobić z domem. Rozebrać czy sprzedać. A teraz to. Jeszcze raz nacisnął dzwonek, choć wiedział, że to nie ma sensu. Kiedy zszedł po małych schodkach stopień niżej, drzwi nagle się otworzyły. Stał w nich mężczyzna. Przyglądał mu się, wyraźnie zaskoczony. Nie słyszał dzwonka. Jest w moim wieku. Wygląda normalnie. Zwyczajnie ubrany. Nie ma tatuażu na czole. Mężczyzna cofnął się na jego widok. Obcy zaskoczył go na schodach. Sam bym się przestraszył, gdyby mnie to spotkało. Muzyka wylewała się z domu jak lava. Jakby miała ciężar i zapach, który może zdławić każde życie, jakie po drodze napotka. Mężczyzna nadal wgapiał się w niego, tak, wgapiał. Oczy wyszły mu z orbit, prawie jak w rysunkowych kawałach. W każdym razie nie wyglądał całkiem normalnie.

– Czy może pan ściszyć muzykę?

W tym orkanie prawie nie było słychać jego głosu. Mężczyzna widział, że krzyczy, ale nie zareagował w żaden sposób.

– MOŻE PAN ŚCISZYĆ!?

Mężczyzna rzucił mu niechętnie spojrzenie. No właśnie, usłyszał go. Tylko nie zareagował. Zrobił dziwny ruch głową, wysunął ją kilka centymetrów do przodu, potem cofnął się do środka i zamknął drzwi. Co mam teraz zrobić? Zaczekam. Czekał dwie minuty, ale nic się nie działo. Nic się nie wydarzyło na ulicy, przed domem. Zresztą i tak rzadko się tu coś działo. To była ślepa uliczka. Dom, który wynajmował, był ostatni. Przedostatni był ten tutaj. Muzyka wcale nie ucichła. Może nawet zrobił głośniej. Cholera, będę musiał z tym żyć. Przynajmniej dzisiaj. W przeciwnym razie trzeba będzie się wyprowadzić. Niech to szlag, a już zacząłem się tu dobrze czuć. Dobrze mi się tu pisze. Już dawno nie pisało mi się tak dobrze. Potrzebowałem tej ciszy. Kiedy tak myślał, z domu dolatywała solówka na bębnach. Tylko tyle, solo na bębnach. Wyszedł szybko przez furtkę i wrócił do siebie. Kiedy był u sąsiada, zaczęło się zmierzchać. Teraz to się dzieje szybko, za pół godziny będzie całkiem ciemno. Tutaj, za miastem, znaczy to naprawdę CIEMNO. Kiedy budowali ten kawałek ulicy, zapomnieli o oświetleniu. Lamy uliczne kończyły się przy dużej drodze. Wcześniej uważał to za kolejną zaletę tego miejsca. Teraz nie był tego taki pewien. Wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. W gabinecie czekała praca. Komputer jarzył się jak błękitne okno. Odkąd na dworze zapadł zmrok, był jedynym źródłem światła. Muzyka sąsiada bombardowała ściany. Jakby to on sam puszczał muzykę na cały regulator. Wyłączył komputer i usiadł w fotelu w tak zwanym salonie. Dom miał tylko cztery pokoje, więcej nie potrzebował. Właściwie wystarczyłyby mu dwa, gabinet do pracy i sypialnia, ale jasne, że przyjemnie było zasiać w tym fotelu, pooglądać telewizję i zebrać siły do pisania na kolejny dzień. O ile jeszcze coś mu się uda napisać. Może już nigdy nic nie napisze. Muzyka dudniła przez ściany, przenikała jego duszę, całe ciało, aż do szpiku kości. Wstał i poszedł do kuchni. Wrócił do gabinetu, potem zajrzał do sypialni, poszedł z powrotem do salonu. I tak krążył przez kwadrans. Chodził po domu, słuchając wariackiej muzyki z sąsiedniego domu. Tamten chyba zrobił jeszcze głośniej. Kurwa, co za łomot. Dlaczego

jeszcze nikt nie zadzwonił na policję? Dlaczego nikogo jeszcze nie było na ulicy z megafonem i kijem bejsbolowym? Chyba dlatego, że w okolicy mieszka tylko on. On i ten szaleniaczek z palcem przyklejonym do regulatora głośności. Byli sami na świecie. Włożył buty i wyszedł. Wieczór był czarny. Światło latarni stojącej kawalek dalej, przy skrzyżowaniu, tylko zagęszczało ciemność. A ciemność potęgowała siłę muzyki. Zatrzymał się przy furtce sąsiada. Dom był oświetlony, wszystkie okna, jakby światło miało być tak samo intensywne jak muzyka. Ten facet to wariat. Jutro się stąd wynoszę. Mam pecha, jak zawsze. Nawet tutaj, na absolutnym końcu miasta, na totalnym zadupiu, nie znajdę spokoju. Wiatr musiał się odwrócić. Teraz było trochę ciszej. Ale to nadal był ten sam kiepski rock. Może nawet ten sam utwór, odtwarzany w kółko.

– Czego pan chce?

Musiał stać za brzozą, tuż przy furtce.

Zrobił krok naprzód.

– Dlaczego się pan tu kręci?

– Ależ ja... się tu nie kręcę.

– Nie? To po co pan tu stoi?

Podszedł jeszcze kawalek bliżej. Nadal dzieliło ich kilka metrów.

– Stoję, gdzie chcę.

– A ja gram tak głośno, jak chcę.

Wtedy wiatr znów musiał zmienić kierunek, bo muzyka uderzyła falą od strony domu i trawnika. Teraz słyszał, co to jest: szwedzki tekst, jakiś hit z list przebojów, w jeszcze gorszej wersji niż przedtem. Muzyka taneczna z piekła rodem.

Usiłował spojrzeć wariatowi w oczy.

– TAK KUREWSKO GŁOŚNO, JAK CHCĘ! – krzyknął tamten.

– Pan chyba nie jest normalny – stwierdził.

Wariat podszedł dwa kroki bliżej i nagle dzielił ich tylko metr, nie, mniej. Wariat wysunął twarz tak, że mógł widzieć białka jego oczu. Nie były białe, jarzyły się jakimś dziwnym blaskiem.

Cofnął się o krok, jeszcze jeden. Próbował przejść tyłem całą

ulicę. Nie wszedł na teren wariata, był tego pewien. Dobrze, że tego nie zrobił.

Wariat szedł za nim.

– Coś ty za jeden? – zapytał.

– Co? Co?

– To jest cho... trochę dziwne, żeby tak głośno puszczać muzykę – powiedział.

– A co cię to, kurwa, obchodzi? No co?

Znów znalazł się bardzo blisko niego.

Nie czuję odoru alkoholu. Nie może być pijany. Może naćpany. Nie widzę, jakie ma źrenice. Pijany, naćpany. W każdym razie jest wariatem. Czy ma coś w ręce? Nie. Ale łapy ma wystarczająco wielkie. Poczul na twarzy jego ślinę. Wariat doprowadził się do stanu wrzenia, jak muzyka za jego plecami. Jakby stali w oku cyklonu najstraszliwszych dźwięków na świecie, jak w lepkiem błocie. Niemal czuł jego odór. Wydawało mu się, że rozróżnia kilka słów: miłość, naszej miłości i coś jeszcze, coś, co się z tym wiązało. Ale w powietrzu nie było miłości. Wariat uniósł rękę, jakby chciał go uderzyć. Ale nie uderzy. Widywałem przedtem takie typy. Boją się uderzyć. Wrzeszczą, ale nie biją. Nie mają odwagi. Choć nie jestem do końca pewny.

– Dobra, już sobie pójdę.

– Będę grał tak głośno, jak chcę! – powiedział wariat, tym razem ciszej.

– Dobrze, graj sobie, a ja w tym czasie pójdę zadzwonić na policję.

Odwrócił się i szybko przeszedł dwadzieścia metrów dzielących go od domu. Nie oglądał się za siebie. Kiedy wszedł do środka, stwierdził, że muzyka ucichła. Poczul się tak, jakby się pozbył z domu robactwa. A więc tyle wystarczyło, pomyślał. Tylko raz zagrozić policją. Ale nie zamierzałem dzwonić po gliny. Przynajmniej nie dzisiaj. Jacyś inspektorzy z wizytą w moim domu to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Kiedy wróciła cisza, uświadomił sobie, jak bardzo mu jej brakowało. To dlatego tu przyjechał. Zamierzał tu zostać, póki nie skończy książki. To mogło potrwać rok. Mogło też pójść szybciej albo

wolniej, zresztą nie, wolniej nie. Jeśli tylko będzie miał ciszę i spokojną głowę, powinien mieć coś dobrego na następną jesień, a może nawet na lato. Prawie obiecał wydawcy nową powieść. Ale to nie miała być powieść. Nie wiedział, co to jest, i nie myślał o tym zbyt wiele. Najważniejsze, żeby ludzie chcieli czytać. Mogło być trochę więcej czytelników, powinno być. Znowu usiadł w fotelu. Może byłoby go stać na kupno domu, ale nie miał ochoty. Od rozwodu nie chciał się wiązać żadną własnością. *Wherever I lay my hat* i tak dalej. Ona dostała dom, ale na pewno go sprzeda. Prosił swojego adwokata, żeby z nią porozmawiał. Jak najspokojniej. Od razu polubił tę ślepą uliczkę, kiedy tylko ją zobaczył. Ślepa uliczka. Może nada książkę taki tytuł. Ślepa uliczka. Wstał i poszedł do gabinetu. Zanotował te słowa na kawałku papieru. Ślepa uliczka. Całkiem niezłe. Zawsze dobrze jest mieć dobry tytuł roboczy, kiedy się zaczyna książkę. Znowu mam usiąść do komputera? Wyjrzał w ciemność. Nie, to nie będzie dobre. Na prawdziwe pisanie jest za późno. Ale mogę wziąć sobie piwo i posiedzieć trochę nad zarysem projektu. *Ślepa uliczka*. Albo może *Na ślepej ulicy*. Ogólnie czy bardziej konkretnie. Nie, konkretnie jest lepiej. Coś, czego można się uchwycić, zarówno jako pisarz, jak i jako czytelnik. To nie jest jakakolwiek ulica, lecz właśnie ta. Znowu wyjrzał przez okno. Tylko ta ulica. I jedynie ta. Cisza za oknem i w jego domu. Tylko zapalę lampę nad biurkiem. Tylko przyniosę sobie piwo. Przyniósł butelkę i prawie godzinę siedział nad kartką, a z jego dłoni i głowy wychodziły nowe pomysły, jeden za drugim, zupełnie jakby spotkanie ze świrem z sąsiedniego domu na dobre uruchomiło jego wyobraźnię. Może nawet dodałby do tekstu to absurdalne spotkanie, wyszedłby z tego niezły dialog. Właściwie nie potrzebował wsłuchiwać się w tak zwaną rzeczywistość, ale jasne, że kiedy coś samo pcha się w ręce, chętnie z tego skorzysta. Tamta twarz... to było coś wyjątkowego. I jeszcze ta muzyka! Może przydałoby się dowiedzieć, co takiego ten palant puszcza. To była dziwna muzyka, nigdy przedtem takiej nie słyszał, teraz już nawet nie był pewien, czy rzeczywiście śpiewali po szwedzku. Wstał i zgasił lampę na biurku. Zrobiło się cicho

i czarno. Mimo że formalnie znajdował się w granicach miasta, równie dobrze mógł być gdzieś na końcu świata, na jakimś pustkowiu, w szczerym polu albo w głębokim lesie, w okolicy dawno zapomnianej przez Boga. Początkowo zamierzał wyprowadzić się na wieś, ale potem zobaczył ten dom. Pośrednik, do którego się zwrócił, zadzwonił już po tygodniu. Nie, zapalę już światło na wieczór. Obszedł cały dom i wszędzie pozapalał lampy, jakby chciał przegnać ciemność. *Do not go gentle into that good night, pomyślał, rage, against the dying of the light.* Dylan Thomas potrafił tak samo dobrze pisać jak pić. Zmarł w tym samym roku, w którym ja się urodziłem, ja i Roberto Bolaño. A ja wypiję teraz jeszcze jedno piwo, nie więcej niż jedno, jutro zabiorę się do pracy na poważnie. Wziął piwo, usiadł w fotelu, włączył telewizor. Próbował połapać się w akcji jakiegoś serialu, obejrzał odcinek do końca, nie podejmując rozwiązania zagadki, bo dołączył za późno, żeby móc zrozumieć, na czym zagadka polegała. Potem obejrzał wiadomości krajowe i sport, potem jeszcze wiadomości lokalne, a kiedy wyciągnął rękę, żeby wziąć ze stołu pilota, okno za telewizorem się roztrzaskało.

Pocisk z mostu został zidentyfikowany. Dobre wiadomości.

– TT – powiedział Öberg. – Siedem sześćdziesiąt dwa razy dwadzieścia pięć.

– Dobrze, że przynajmniej to jest jasne.

– Taki sam efekt jak dziewięć milimetrów.

– Wiem.

– Zła wiadomość jest taka, że jest tego w Göteborgu masa. W mieście aż się roi od tetetek. Ale sam to wiesz. Można to uznać za swoistą kulturę, jeśli się chce.

– Jak można to uznać za kulturę?

– Poznajemy inne kultury. Kultury przemocy.

– A, teraz rozumiem.

– Dobra, co do pozycji strzelca... to znaczy jesteśmy znowu na moście, sądzimy, że on, albo ona, stał przed samochodem. I faktycznie na moście. Ślady po strzale są na progu i na siedzeniu pasażera, ale wszystko wskazuje na to, że strzał padł

spoza samochodu. Z niewielkiej odległości.

– Więc wszystko rozegrało się na samej górze, na moście – stwierdził Winter.

– Na to wygląda.

– I tylko jeden strzał.

– Tak wygląda. Przeczesałiśmy tę część mostu, ale nic więcej nie znaleźliśmy. Może kilka łusek wpadło do wody, a tylko jeden strzał zaplątał się do auta. Mogło być tak, że oddano więcej strzałów, ale tylko jeden trafił w samochód.

– I nie ma rannego – dodał Winter.

– Przynajmniej nie od tego pocisku – stwierdził Öberg.

Winter zatrzymał się przed krzesłami. Stały na pasach przy przystanku tramwajowym Haga. Dzieciaki jak sfora psów gapily się zza ogrodzenia. Wysiadł, przeniósł dwa krzesła i wrócił do samochodu. Kiedy znów usiadł za kierownicą, jeden z nastolatków – sami chłopcy w wieku piętnastu, szesnastu lat – wyskoczył na ulicę i postawił krzesła z powrotem, drewniane krzesła, pewnie wyniesione z pobliskiej Hagenskolan. Jakoś mu się udało przejechać między nimi, nie zadrapał lakieru mercedesa. Czasami człowiek chciałby wierzyć, że to tylko sen, pomyślał i spojrzął w tylne lusterko, na krzesła i na szyderczo uśmiechnięte twarze. Banda z Hagen, a raczej jej resztki, po tym jak koledzy po wieloletnich śledztwach pozamykali tych najgorszych. Same rozpuszczone dzieciaki bogatych rodziców. Zaczekał na zielone światło, potem skręcił w prawo w Göta Älvsatan. Minął Konsum i małe centrum handlowe, czy jak to można nazwać: apteka, kosmetyczka, cukiernia, obwoźny handel rybami, spożywcak. Na parkingu eleganckie samochody. Wjechał w Eckragatan i zatrzymał się przed domem Rogera Edwardsa. Nad drzwiami widać było światło, w kilku oknach też się świeciło. Światło jakby zapraszało. Zaparkował przed domem, podszedł do drzwi i zadzwonił. Edwards otworzył natychmiast, jakby stał za drzwiami cały wieczór i tylko czekał na jego przybycie. Skulony w mroku przedpokoju, pomyślał Winter.

– Roger Edwards? – zapytał, wyciągając legitymację. –

Nazywam się Erik Winter.

Edwards skinął głową. Patrzył na coś gdzieś obok. Winter się odwrócił, ale zobaczył tylko ulicę i swój samochód.

– Kiedy dostanę z powrotem swoje auto? – zapytał Edwards.

– Tego nie wiem.

– Długo jeszcze to potrwa?

– Musimy je najpierw zbadać.

– Co tam jest do badania?

– Mogę wejść?

– Co? Tak, ale... ależ proszę.

Edwards machnął ręką w stronę przedpokoju i wnętrza domu. Winter dostrzegł w głębi duży pokój. Okna wychodziły na skalistą ścianę. Światło padało z drugiej strony, z zachodu, za nim.

Wszedł za Edwardsem do pokoju. Miał mniej więcej tyle lat co on. Mówił jak tutejszy, kulturalny mieszkaniec okolicy. Sprawiał wrażenie zadbanego, ale też wystraszonego. Albo nerwowego. A może tylko w naturalny sposób zaniepokojonego sytuacją. Jego skradziony samochód zamieszany w jakieś przestępstwo.

To mogło się zdarzyć przed kradzieżą. Öberg nie potrafił powiedzieć, kiedy oddano strzał. Niewykluczone, że nie było to możliwe.

O ile twój samochód rzeczywiście został skradziony, pomyślał Winter, spoglądając na Edwardsa. Edwards usiadł. Winter też, w fotelu projektu Berga. Wyglądał na tańszy, niż był rzeczywistości. Coś takiego nazywa się stylem. Jak cholernie drogie wino podawane w tanich kieliszkach. Nonszalancki blichtr. Nowa willa nad morzem.

Edwards wyglądał przez okno, właściwie przez szklaną ścianę.

Profil wydawał się znajomy.

Musiałem go już kiedyś widzieć. Spotkaliśmy się już? Nie kojarzę nazwiska.

– Czy to musi trwać lata, zanim oddacie mi samochód? – zapytał Edwards.

– Trochę zastanawiające wydało mi się, że nie zgłosił pan

kradzieży – powiedział Winter.

– Nie zdążyłem, mówiłem już. Powiedziałem to pańskiemu koledze, którego spotkałem wczesnym rankiem.

– A jednak był pan już na nogach, jak słyszałem.

– Często wcześniej wstaję.

– Dlaczego?

– Dlaczego? A co to ma wspólnego ze sprawą?

– Co sprawiło, że nie zdążył pan zgłosić kradzieży? – zapytał Winter.

– Byłem zajęty pracą. Musiałem przygotować prezentację na następny dzień.

– Jaką prezentację?

– A co to ma za znaczenie? Chce pan zobaczyć moją pracę? Mogę panu pokazać.

– Później – powiedział Winter. Nachylił się bliżej. – Czy ma pan pistolet?

5

PISARZ PODERWAŁ SIĘ, USŁYSZAŁ BRZĘK rozbitej szyby. Właśnie myślał o swoim sąsiedzie. Usłyszał przejeżdżający ulicą samochód, potem auto zawróciło na placyku na końcu ulicy, pojechało w drugą stronę, może zatrzymało się kawałek dalej, a może rozpląnęło się w zgiełku miasta. Niskie, przeciągłe dźwięki, pomyślał. Mocne i niskie, nie ma przed nimi ucieczki. To jak brzęczenie w uchu. W ciągu ostatnich kilku dni sąsiada odwiedziło wielu ludzi. Samochody zatrzymywały się i odjeżdżały. Nie widział nikogo, nie podchodził do okna. Ale widział ruch na ulicy. Może te samochody przyjeżdżały do kogoś innego z tej ulicy, przynajmniej niektóre, ale wariat z jakiegoś powodu zdawał się przyciągać ludzi. Placyk do zawracania był niewielki. Żeby nikt mu nie uszkodził samochodu, wstawił go pod wiatę. Na szczęście dom miał coś takiego. Wiata garażowa przy willi z lat czterdziestych wyglądała jak z innej epoki, przyczepiona do szczytu domu jak pozdrowienie z przyszłości. A przyszłość działa się właśnie teraz. Przed trzema sekundami ktoś wybił

mu szybko.

Zgasił lampę do czytania i wstał. Wyłączył telewizor w środku czyjegoś wyvodu.

Szybko przeszedł się po pokojach i zgasił wszystkie światła.

Potem stał chwilę bez ruchu.

Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, nie przejeżdżały samochody, nie zawracały.

Tylko niski pomruk miasta.

Czy on na coś czeka? A może sobie poszedł?

Wyszedł do przedpokoju, założył sztyblety, otworzył drzwi i wyszedł, nie zamykając ich za sobą.

– Halo?! – zawołał w ciemność. – Jest tu kto?

Ale nawet jeśli ktoś był, nie odpowiedział.

Zamknął drzwi na klucz, zszedł po schodkach i zatrzymał się na niewielkim żwirowanym placyku. Widział swój samochód pod wiatą, rozkołysana na wietrze uliczna lampa rzucała na lakier rytmiczne błyski.

– Halo?! Halo?!

Obszedł dookoła cały dom. Dolna część szyby w dużym pokoju była załatwiona, ale nie zwyczajnie wybita. W szybie była dziura, jakby przeszedł przez nią strzał. Ale on przecież nie słyszał strzału, nie zauważył też, żeby przez pokój świsnęła kula. Nóż, pomyślał. Ten palant wybił dziurę w szybie nożem. Teraz się wystraszył. Przecież szaleniectwo może stać za żywopłotem oddzielającym ich działki. Z nożem w ręce. Jest wystarczająco szalony, żeby dziabnąć w okno. I wystarczająco wyrachowany, żeby poczekać, aż zapadnie zmrok.

Może jego dusza nie zazna spokoju, póki nie wbije we mnie noża. Okno było pierwszą przeszkodą, pierwszą groźbą. Jestem zagrożeniem.

Rozejrzał się, od lewej do prawej. Nic się nie ruszało, nic nie było słychać.

Wracam do domu. Nie mogę tu tak stać.

Powiniennem zadzwonić na policję? Nie, nie ma przecież dowodów. Ale ja wiem, że to on.

Usłyszał, że gdzieś na ulicy ktoś odpala silnik, zobaczył, jak światła omiatają placyk. Wyglądało to tak, jakby samochód

cofał, i tak brzmiało.

Inspektor kryminalny Fredrik Halders stał w swoim ogrodzie i przyglądał się, jak nad jego dzielnicą zapada zmierzch. Dzielnice znajdujące się poniżej Lunden nazywał swoimi, bo to było to, co widział z domu, to, nad czym panował. Nie, nie panował. Czasami miał wrażenie, że nie panuje nad niczym. Przede wszystkim nad swoją karierą. Już dawno powinien być komisarzem. To tylko cholerny tytuł, ale mimo wszystko. Zasłużył na niego. Nie znał w policji nikogo, kto by zasługiwał bardziej. Ewentualnie może Aneta, ale ona była jeszcze za młoda. Przynajmniej tak jej mówił. Najwyraźniej godziła się z tym, kiedy o tym rozmawiali. Ale nigdy nie myślała o karierze. On zresztą też nie. Chodziło mu raczej o uznanie. Może o dowód. Nie, nie o dowód. Trudno to określić.

Usłyszał, że ktoś się zbliża, i odwrócił się.

– A tak bezszelestnie szłam – powiedziała Aneta.

– Zdradziła cię trawa.

– Nic nie słyszałam.

– Właśnie tak to działa.

– Jak?

– Ktoś, kto próbuje się do kogoś podkraść, jest tak na tym skoncentrowany, że nie odbiera odgłosów, które wywołuje.

– Aha.

– Tak jest.

– Ale ja się właściwie nie skradałam.

– Nikt nie może podejść do mnie na mniej niż pięć metrów tak, żeby tego nie zauważył – stwierdził Halders.

Aneta nie odpowiedziała. Była inspektorem kryminalnym, tak samo jak Fredrik, pracowali razem, a teraz też mieszkali, po tym jak Fredrik stracił żonę w wypadku samochodowym, a potem niemal stracił rozum, a przede wszystkim zdolność oceny sytuacji. Wtedy pozwolił, żeby zło podeszło zbyt blisko i żeby go skrzywdziło, niemal zabiło. Teraz chyba już nikt nie podejdzie zbyt blisko.

– Kiedyś naprawdę się postaram – zapowiedziała Aneta.

– Jak w *Różowej Panterze* – dodał Halders.

– Nie do końca chwytam.

– Komisarz Clouseau. Peter Sellers. Miał chińskiego pomocnika, który miał na niego napadać, to znaczy na komisarza, kiedy komisarz akurat nie uważał.

– Różowa Pantera?

– Nie mów, że nie znasz tych filmów.

Aneta nie odpowiedziała.

– Ojej, to niedobrze.

– Może to kwestia pokolenia – stwierdziła Aneta.

– Właśnie – zgodził się Halders. – Mów mi dziadziu.

– Może wypożyczymy ten film? – zaproponowała Aneta. – Żeby zasypać pokoleniową przepaść.

– To kilka filmów – wyjaśnił Halders. – Cała seria.

– No to weźmiemy wszystkie.

– *Powrót Różowej Pantery* jest chyba najlepszy.

– Po drodze odbiorę Hannesa i Magdę.

– Dobrze.

Dzieci Haldersa z małżeństwa z Margaretą. Magda coraz bardziej przypominała matkę. Kiedy pomyślał o tym pierwszy raz, uświadomił sobie, że to coś, z czym będzie musiał się pogodzić. To nie jest coś, co po prostu zniknie. To jest jak życie, ono nie znika. Chociaż tak, czasem tak się dzieje. Znika w jednej sekundzie. W drugiej sekundzie. Długo jak życie. Wszystko zastyga w drugiej sekundzie, całe życie, które było dotychczas, zastyga w tej drugiej sekundzie, ona rozbija wszystko, co mogłoby się zdarzyć, ale potem już nigdy, przenigdy nie nastąpi. Czy ja przepracowałem swoją żalobę? Może dzięki Anecie, o ile w ogóle to zrobiłem.

Nagle w dole, na Ullevi, zapaliły się wielkie reflektory. Oślepiająco jasne. To stworzyło wokół nich nową ciemność, głębszy odcień zmroku sięgał stamtąd aż tutaj.

– Wieczorem jest mecz? – zapytała Aneta Djanali.

– Nic o tym nie wiem.

– Jeśli nie ty, to nikt.

– Już nie jestem na bieżąco z piłką – stwierdził Halders. – Odkąd ÖIS wyleciał.

– Hm...

– Nie zasłużyliśmy na nic lepszego, my, kibice ÖIS – powiedział Halders.

– Nie – przyznała z uśmiechem Aneta.

– Klub klasy średniej.

– To dlaczego im kibicujesz?

– Przecież oni są praktycznie z mojej dzielnicy – wyjaśnił Halders.

– Chyba są tu też jakieś inne kluby?

– Lundens IS? Ha, ha, ha.

– Nie znam się na tym.

– Winter jest za IFK – powiedział Halders. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Ach tak.

– Po stronie zwycięzców.

– Chcesz w ten sposób powiedzieć coś o Eriku?

– Nic, nic ponad to, że jego klub jest klubem większości.

– Nie sądzę, żeby to była jego wina.

– Już nic więcej nie powiem.

– A wczoraj tak dobrze mówił o tobie.

– Doprawdy? Kiedy?

– Słyszałam, jak rozmawiał w kafeterii z Bertilem. Przechodziłam obok. Erik powiedział coś o twojej... integralności, tak mi się wydaje. Więc pozytywnie.

– Integralność?

– Tak.

– To inne określenie oślego uporu.

– Ale on go tak nie użył, Fredriku.

Reflektory nad Ullevi zgasły tak samo niespodziewanie, jak się zapaliły.

– Falszywy alarm – stwierdził Halders.

Nad morzem pokazał się wąski pasek słońca, jak uśmiech. Kilka sekund później go nie było.

– Wybierzemy się wieczorem do kina? – zaproponowała Aneta.

– Nie ma nic ciekawego – odparł Halders.

– Sprawdzalesz?

– Nie.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje, Fredriku?
- Lato umiera, to dlatego jest mi smutno.
- To brzmi jak tekst piosenki.
- Bo nim jest. John Holm.
- Nigdy o nim nie słyszałam.
- Jest najlepszy.
- W czym?
- W melancholii.
- Ale już dawno nie ma lata, Fredriku.
- Właśnie. Dlatego człowiek smuci się jeszcze bardziej.

Aneta się zaśmiała. Jej śmiech odbijał się po całym Lunden, a potem poleciał dalej, w stronę Ullevi.

- A ty jeszcze robisz sobie z tego żarty – powiedział Halders.
- Idziemy do kina – zdecydowała Aneta. – Na Bonda.

Mężczyzna wchodził po schodach. Wyglądał, jakby liczył stopnie. Nie mógł iść szybko. To była staroświecka klatka schodowa, szerokie marmurowe stopnie, na ścianach secesyjne wzory. Oświetlenie bardzo słabe. Nie dało się rozpoznać jego twarzy.

Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Było cicho. Cicho. Nachylił się do drzwi, jakby nasłuchiwał.

Czy to, co nagle usłyszał, to był głos dziecka? Jakieś dziecko coś wołało? Zaśmiało się?

Cofnął się o krok. Rozejrzał się. Znów było cicho. Cicho. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jakby się spodziewał wszystkiego – albo niczego.

Czy polityka jest powołaniem? A może czymś jeszcze ważniejszym? Co sprawia, że ludzie chcą się zajmować polityką? Przecież polityka nie jest w gruncie rzeczy niczym innym niż zdolnością do zgadzania się na kompromisy. Jaki człowiek chciałby poświęcić życie kompromisom? Tchórzliwy? Zależniony? Słaby?

- Richardsson.

Zgłosił się swoim zwykłym, mocnym głosem. Nawet pomyślał o tym, kiedy mówił, jak się nazywa. Mocny, opanowany głos.

Polityka jest ważna, myślał dalej w ciągu tych kilku sekund, ale inne rzeczy są tak samo ważne. Jedną z nich jest Bóg. Potrzebujemy Boga. Zawsze idziemy z Bogiem.

– Richardsson – powtórzył. – Mówi Jan Richardsson. Z kim rozmawiam?

– To ja.

Richardsson nic nie powiedział.

Nie chciał słuchać tego głosu, nie tutaj.

– To ja – powtórzył głos.

– Mówiłem, żebyś tutaj nie dzwonił.

– Jakie to ma znaczenie? Twój telefon jest na podsłuchu?

Richardsson się rozejrzył, żeby sprawdzić, czy ktoś w pobliżu się nie przysłuchuje. Ale był w swoim gabinecie sam. Przez szklaną ścianę widział swoją sekretarkę, siedziała przed ogromnym monitorem. Mała sekretarka, wielki monitor. To może dużo pomieścić. Wszelkie informacje na temat miasta. Do powstania ilu z nich sam się przyczynił? To nie było ważne.

– Zobaczymy się wieczorem? – zapytał głos.

Słysząc, że jest zdenerwowany. Brzmi, jakby był zdenerwowany. Bardziej niż zwykle.

– Czy coś się stało? – zapytał Richardsson.

– Nie...

Richardsson nadal czekał.

– Nic ważnego.

– Opowiesz mi wieczorem – powiedział Richardsson.

– Ta sama godzina?

Richardsson zerknął na zegarek, jakby mógł wskazywać czas kilka godzin naprzód.

– W tej chwili na to wygląda.

– Czy przedtem... pójdziesz do domu?

Richardsson nie odpowiedział. Nie podobało mu się to pytanie. Wiedział, że tamten wie, że mu się nie podoba.

– Rozłączam się.

Wstał od biurka, odłożył słuchawkę. Sekretarka podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech.

Wyszedł z gabinetu.

– Dzwonił kurator szkolny z Älvsborg – powiedziała. – Kiedy

pan był zajęty.

– W jakiej sprawie?

– Znów jakiś wandalizm.

Richardsson skinął głową. Wandalizm na terenie szkoły to coś bardziej normalnego niż zachowania przeciwne. Szkoły publiczne w mieście i tak przeważnie od początku wyglądają jak slumsy, wręcz zachęcają do niszczenia. Coś, co już jest uszkodzone, można równie dobrze rozwalić całkiem.

– Wychodzę na chwilę – rzucił.

– A kurator?

– Jeśli zadzwoni, proszę powiedzieć, że jestem zajęty.

Sekretarka odprowadziła go wzrokiem.

Niech sobie patrzy. Są ważniejsze sprawy. Pomyślał o Bogu. Miał w głowie pewną fantazję. Nie chciał, żeby ją zobaczyła na jego twarzy.

Pisarz rzadko pracował wieczorem. Jego mózg – o ile to on tu pracował – był wieczorami zmęczony, nawet już po południu. Lepiej mu się pisało po porządnie przespanej nocy. Choć rzadko mu się udawało porządnie przespać noc. Noce najczęściej był pełne sennych koszmarów. Sny o szatanie i o jego świecie, ale następnego ranka zbyt odległe, żeby mógł je wykorzystać w książkach. Gdyby istniało jakieś urządzenie elektromagnetyczne czy inne, które potrafiłoby rejestrować sny w kolorze, wtedy mógłby je tylko spisać. Jego wyobraźnia już wykonała całą pracę. Nie musiał się wstydzić.

Mógł poczytać wieczorem.

Trzymał w dłoni wydruk. Gdyby to miał być film, można by go nazwać dramatem dokumentalnym, pomyślał. Może będzie z tego film.

Przeczytał: „Wypłynęła dalej, niż myślała. Chciała dotrzeć do wyspy, tak przynajmniej myślał świadek. Albo świadkowie. Jeszcze nie było jasne, ile osób widziało dziewczynkę w wodzie. Czy w ogóle ktoś widział. Ani kiedy zniknęła. Nagle po prostu zniknęła, tak powiedział świadek. Ale mogę się mylić, może to nie ją widziałem od samego początku. To mógł być ktoś inny. Nie ma pewności, czy to był człowiek”.

Przerwał.

Znów usłyszał na ulicy samochód. Minął jego dom, zawrócił, jechał z powrotem. Wszystko wskazywało na to, że zatrzymał się przed jego furtką. Poszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Samochód stał przed domem sąsiada. Tylne światła jarzyły się złowrogą czerwienią. Istnieje wiele odcieni czerwonego, ale większość ma w sobie coś złowrogiego. A na przykład zielony – nigdy.

Popatrzył w dół, na dziurę w szybie. Na szczęście szyby były podwójne, nie musiał od razu pędzić do szklarza. Nie chciał w ogóle pędzić do nikogo, a już na pewno nie po spotkaniu z sąsiadem. Wybrał to miejsce, żeby żyć w całkowitej samotności, żeby tylko pisać i czasem wychodzić po niezbędne zakupy albo na krótki spacer, kiedy potrzebował rozruszać zeszytniały kark i ramiona. Choroba zawodowa. Nabawił się tych chronicznych dolegliwości, choć nie przyniosły mu milionów. Zamiast tego sam zapłaci wysoką cenę, jeśli nadal będzie pisał z bolącym karkiem i nie zarobi worka pieniędzy. To ładna metafora: worek pieniędzy. Konkretny przedmiot, który można złapać i zanieść do skarbcza.

Wrócił do biurka i znów zaczął czytać: „Stała się duchem. Co to jest duch? Coś, przed czym nie ma ucieczki? Coś, przed czym nie można się ukryć? Jak zniknęła? Czy istnieje jakaś odpowiedź?”.

Podniósł wzrok.

Za oknem znów rozległ się warkot silnika.

Gdyby nie ta dziwna kłótnia z sąsiadem, nie zwracałby na to uwagi. Przedtem samochody jeździły tędy tam i z powrotem, a on nie poświęcał temu ani jednej myśli.

Samochód nadal tam był, silnik pracował na jałowym biegu. Już od ponad minuty. Usłyszał, że drzwi znów się zamykają.

Wreszcie samochód odjechał. Prawie odetchnął z ulgą. To było jak czekanie, kiedy drugi but wreszcie spadnie na podłogę, inaczej człowiek nie może się odprężyć.

Próbował się odprężyć. Odłożył wydruk. To nie było odprężające. To, o czym pisał, było czymś głęboko niepokojącym, tragicznym i niewyjaśnionym, *disturbing*, jak

mówią Anglicy. To dobre słowo, *disturbing*. Brakowało mu szwedzkiego odpowiednika. Niepokojące nie wystarczało, poruszające było zbyt płaskie. *Disturbing* znaczyło, że to coś, przed czym nie ma ucieczki. Co człowieka prześladowuje.

Znów wstał z krzesła.

Prześladowało, aż zapędziło w ślepią uliczkę, pomyślał.

Aneta i Halders wyszli z kina Royal. Avenyn była dziwnie opustoszała. Ludzie byli gdzie indziej.

– Może jednak jest mecz? – zastanawiał się Halders.

– Nie wiedziałbyś o tym?

– Wiedziałbym, normalnie bym wiedział. Może to jakieś specjalne spotkanie.

– Które ściąga całe miasto?

– Nie mam pojęcia, Aneto.

– Możemy tam pójść i sprawdzić.

– Dlaczego nie.

Przy Vasagatan skręcili w prawo. Wąski plac przed Kometen był pusty. W restauracji też nie było prawie nikogo.

– Jak długo jeszcze mamy baby-sittera? – zapytał Halders.

Aneta spojrzała na zegarek.

– Jeszcze dwie godziny. Wyliczyliśmy porządną zapas.

– Napijemy się?

– Dlaczego nie – odparła.

– Ostatni w środku stawia – rzucił Halders, szybko przeszedł przez ulicę i otworzył drzwi.

Aneta dogoniła go przy barze.

– Czego się napijesz? – zapytała.

– Duże piwo oczywiście.

– Mają też inne rzeczy.

– Nie dzisiaj.

– Ach tak?

– Pasuje do filmu.

– James Bond. W takim razie powinno być wytrawne martini. Bond pije przecież martini.

– Pije martini z wódką.

– To dlaczego sobie tego nie weźmiesz, skoro tak się znasz?

Zamówiła piwo i czerwone wino.

Napili się.

– Kochasz mnie, Fredriku? – zapytała po krótkiej chwili.

Byli w barze sami. Może sami w całym mieście. Coś się chyba stało z całym krajem. Halders nagle poczuł się porzucony, jakby był samotny.

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu odpowiedz na pytanie.

– To jakieś przesłuchanie?

– Nie chcesz mi odpowiedzieć.

– Więc to jest przesłuchanie.

Aneta nie odezwała się więcej.

– Odpowiedź brzmi: tak – powiedział Halders.

Nadal nic nie mówiła.

– No a teraz odbiję piłeczkę – dodał Halders.

– Ja... nie wiem – odparła Aneta po chwili, która Haldersowi wydała się bardzo długa. – Nie umiem odpowiedzieć.

6

WINTER ZAPARKOWAŁ PRZED DOMEM RINGMARA.

Po piątym dzwonku gospodarz wreszcie otworzył drzwi.

– Myślałem, że cię nie ma.

– Też tak myślałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właż – rzucił Ringmar.

Odwrócił się i poszedł w głąb przedpokoju. Winter ruszył za nim. Plecy Ringmara wyglądały w półmroku na przygarbione. Jakby się zaczął kurczyć.

– Jak tam twoje przeziębienie?

Ringmar się odwrócił.

– Przeziębienie?

– Czy to nie z powodu przeziębienia siedzisz w domu, zamiast iść do pracy?

– Jasne, naturalnie.

– Czy ty sobie urządzasz wagary, Bertil?

– Nie, ja chlam.

– Chłasz? To do ciebie niepodobne.

– W końcu ludzie się czasem zmieniają.
– Ale żeby w tak późnym wieku?
– No właśnie, czy to nie fantastyczne?
– Nie, tylko zastanawiające.
– Żartowałem. Ale faktycznie wypilem przed chwilą małą whisky. Na przeziębienie oczywiście.

Stali w salonie. Za oknem zapadał zmierzch. Ogród sąsiada jarzył się złotem.

– Wcześniej zaczyna w tym roku – zauważył Winter.

– Powinienem nasłać na niego osiłków z Hells Angels – rzucił Ringmar.

– Wystarczy jeden telefon – powiedział Winter, przyglądając się świetlnym instalacjom za szybą. Czy to nie jest nowy przedmiot w szkołach wyższych? Na uniwersytetach? Projektowanie instalacji świetlnych, *light design*? Chyba gdzieś o tym czytał. W „Polistidningen”? „Svenska Dagbladet”?

– Może ktoś inny zadzwoni – odparł Ringmar. – *Too risky*. Napijesz się?

– Jestem samochodem.

– Możesz go tu zostawić. Są taksówki.

Winter spojrział na swojego mercedesa. Stał przed domem. Wyglądał ponuro. Może chciał go opuścić.

– Żeby tylko sąsiad nie obwiesił go lampkami – powiedział Winter.

Ringmar stanął obok niego przy oknie.

– Może by mu się przydało. Kiepsko wygląda.

– Zabawne. O tym samym pomyślałem.

– Bratnie dusze – stwierdził Ringmar. – Jesteśmy bratnimi duszami.

– Chyba jednak napiję się tej whisky – powiedział Winter.

Stare schody: mężczyzna wchodził na górę. Było cicho, słychać było tylko szuranie butów o stopnie, suchy odgłos.

Teraz trzymał w dłoni pistolet. Prawie niewidoczny. Miał pozbawioną emocji, skupioną twarz słuchacza. W coś się wsłuchiwał. Wiedział, dokąd ma iść? Gdzie było to, czego szukał? Był w sąsiedniej klatce. Dlaczego nie wjechał windą? Winda była gdzie indziej. Nie ruszała się. Nie chciał, żeby

ruszyła z miejsca, żeby zaczęła hałasować. Wolał iść.

Wracał schodami, schodził na dół.

Znowu głos dziecka. Czy to było dziecko?

Nagle usłyszał krzyk, wyraźny krzyk, niezbyt głośny, trochę przytłumiony: Niiieeee...

Winter wypił i skrzywił się.

– Wcale nie jest taka obrzydliwa – powiedział Ringmar.

– To nie to.

– A co takiego?

– Nic.

– Głowa, prawda? Ból głowy?

– Już minął – powiedział Winter i znów łyknął whisky.

– Ale wróci. Dlaczego nie pójdziesz sprawdzić, co to jest?

– A po co?

– Co to za durna odpowiedź?

– Nie wiem, czy to jest odpowiedź.

– Boisz się, że coś znajdują? – zapytał Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

– W takim razie powinienesz prosto stąd pojechać taksówką do Sahlgrenska. Bo nie ma czasu do stracenia.

– To tylko zwykła migrena.

– Bierzesz na to jakieś proszki?

Winter zaprzeczył. Poczł ukłucie za prawym uchem.

Ringmar pokręcił głową.

– A co mówi Angela? – zapytał.

– Nic.

– Nic?

– To mi przejdzie – powiedział Winter. – Zawsze przechodzi.
Co ty myślałeś? Że to jakiś guz albo coś w tym rodzaju?

Ringmar nie odpowiedział.

– Właśnie tak myślisz? – nalegał Winter.

– Tu nie chodzi o to, co kto myśli – powiedział Ringmar. –
Z tym jest jak ze wszystkim innym. Liczą się fakty.

– Mogę dostać jeszcze trochę whisky? – zapytał Winter.

– Jeśli to pomoże – odparł Ringmar i wyciągnął rękę po butelkę.

- To pomaga na wszystko. – Winter się uśmiechnął.
- Whisky to napój diabła – powiedział Ringmar.

Pisarz znów stał przed swoim wynajętym domem. Mrok zgęstniał. A może światło nędznych latarni osłabło.

Przed sąsiednią willą stał samochód.

To właśnie jego słyszał.

Z wnętrza domu nie dobiegała muzyka. Jakiś samochód przemknął obok, zawrócił i od razu pojechał dalej.

To było volvo V70. W Göteborgu prawie nie było innych samochodów. Wszyscy jeździli V70: gospodynie domowe, ojcowie rodzin, prostytutki, dyrektorzy, księgowi, hydraulicy. Pisarze. On też taki miał, volvo V70, używane, oczywiście. Kupił je, kiedy jedna z jego książek zaskakująco dobrze sprzedała się w wydaniu kieszonkowym i rok później spłynęło trochę pieniędzy. Pozbył się tego samochodu w tym samym czasie, gdy jego żona pozbyła się jego. Dla równowagi kupił używanego saaba.

W domu sąsiada było ciemno.

Rety, ależ było późno. Udało mu się rozpoznać położenie wskazówek na tarczy zegarka, kiedy stał bliżej latarni. Gdzie się podziały te godziny?

Może on mnie widzi. Jeśli będę tu stał dłużej, może wyrzy przez okno, a potem wypadnie z domu z kijem bejsbolowym w ręce. Mnie też przydałby się taki kij.

Nagle znalazł się przy furtce jego domu.

Nagle w oknie mignęła jasność.

Rozcięła mrok jak strumień światła z latarki. Była, a potem zniknęła.

Usłyszał coś. Krzyk?

Skąd dochodził?

Rozejrzał się, ale na ulicy nic się nie ruszało. W domu, który stał przed nim, znów było ciemno. Tamten blask mógł być odbiciem światła latarni poruszonym przez wiatr. Odgłos też mógł wywołać wiatr. Przybierał właśnie na sile. Furtka jęczała pod jego naporem. Może to był ten dźwięk.

Stał przy samochodzie, który przez ostatnich kilka godzin był

tam zaparkowany. Na tylnym siedzeniu leżało kilka poduszek. Widział też jakiś worek. Odwrócił wzrok. Czuł się tak, jakby po kryjomu zaglądał komuś do domu.

Kiedy o tym pomyślał, poczuł, że robi się coraz bardziej zły.

Jakie prawo ma ten tam, żeby niszczyć moją własność! Wprawdzie wynajętą, ale zawsze.

Też powinienem wybić mu okno. Ale wtedy chyba rozpęta się tu piekło.

I rzeczywiście, po chwili się rozpętało.

Halders i Aneta stali przed swoim domem. To był tak samo jej dom jak jego, powtarzał to przy różnych okazjach. To był jej dom. To był ich dom.

Baby-sitter już poszedł. Dzieci leżały w łózkach.

– Chcesz nas zostawić, Aneto?

Powiedział to tak łagodnie, ale były to przerażające słowa. Zostawić nas. Strasznie zabrzmiało to „nas” w tym kontekście. Jaki był kontekst? Tego nie wiedziała.

– Nie – odparła. Nie mogła zostawić nas. Nigdy nie byłaby w stanie zostawić nas.

– Więc o co ci chodzi? – Halders wyciągnął rękę, ale jej nie dotknął. – Więc o co ci w takim razie chodzi, kiedy mówisz, że może mnie nie kochasz?

– Ja... nie wiem, Fredriku.

Ujęła jego dłoń.

– Tylko to wszystko jest takie... poplątane. Nie wiem. Ja... sama nie wiem, co myślę. O niczym. Co sądzę.

– Nie wiesz?

– Czy to takie dziwne? Może czasem człowiek potrzebuje... trochę porozmyślać.

– Rozmyślać? Rozmyślać o czym? O nas?

Znów to „nas”. Ale tym razem nie zabrzmiało tak strasznie. Teraz znaczyło coś innego. Chodziło tylko o nią i o niego.

– Rozmyślać o wszystkim – odparła.

– Czy normalnie się tego nie robi? – zapytał Halders. – Nie ma się w głowie tysięcy myśli naraz?

– Ależ tak...

– No właśnie.

Tak, no właśnie. A mimo wszystko to wcale nie było takie proste. Tylko że ona nie mogła tego powiedzieć. Nie teraz. Przecież nie wiedziała.

– Wejdzimy do domu? – zapytał Halders.

– Chcę tu jeszcze trochę zostać.

– No to zostańmy.

Sama, pomyślała. Ale nie jestem pewna. Nawet tego nie wiem.

– Czasem to miasto jest piękne – powiedział Halders.

– Hm...

– Pomyśl, co się kryje w tym pięknym elektrycznym oświetleniu.

– Więc ty też o tym myślisz.

– Tak. To też się tam mieści, razem z tysiącami innych myśli.

– Myślałam o tym, że gdybyśmy tu stali dwadzieścia lat temu, to te światła w dole wyglądałyby jak małe miasteczko – powiedziała Aneta.

– Dwadzieścia lat temu Göteborg był małym miasteczkiem.

– Właściwie nie.

– W każdym razie takie robił wrażenie – stwierdził Halders.

– Dlaczego?

– Znało się wszystkich przestępców.

– To było chyba, zanim ja zaczęłam pracować – powiedziała Aneta.

– Mieliśmy wspólne imprezy opłatkowe.

– Aha.

– Można było nawiązać nowe kontakty – powiedział Halders.

– Mówiłeś przed chwilą, że wszystkich znałeś.

– No to prawie wszystkich.

– Dlaczego ta tradycja zanikła?

– Miasto się powiększyło.

– Policja mogła załatwić na miejsce spotkań jakiś większy obiekt.

– Na przykład jaki?

– Skąd mam wiedzieć. – Kiwnęła głową w stronę miasta i jego światel. – Na przykład Ullevi. – Widziała wysokie słupy

z reflektorami. Na tle żółtoczarnego nieba wyglądały jak zaciśnięte pięści. Reflektory wydawały się jedyną zgaszoną rzeczą tam, w dole.

– Nie ma dachu – stwierdził Halders. – Byłoby za zimno. Wiele przestępców cierpi na alergię. Łatwo się przeziębiają.

– Tego nie wiedziałam – przyznała Aneta.

– Ale tak jest.

– Dlaczego?

– Teraz to nie ma znaczenia – powiedział Halders. – Nie chcę już urządzać imprez. Towarzystwo przestało mi się podobać.

– Mnie i przedtem by się nie podobało – powiedziała Aneta.

– Wszystko jest względne – odparł Halders. – Sama zauważyłabyś różnicę. Jest wyraźna.

– Jaka?

– Sama wiesz.

– Chodzi ci o narkotyki?

– Tak. I mafię. Ale tam też głównie chodzi o narkotyki.

– Heroina.

– Właśnie. Przede wszystkim heroina. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Duży wierzchołek, to prawda. Wielki, biały, brudny wierzchołek.

– Możemy wejść – powiedziała Aneta. – Zimno mi.

Tutaj też stali na wierzchołku. Lunden leżało dość wysoko nad poziomem morza.

– Jeśli powiesz, że mnie kochasz.

– Kocham cię, Fredriku.

Można kochać na wiele sposobów. Tak właśnie pomyślała, kiedy wchodzili do domu.

Halders zamykał za nimi drzwi werandy, gdy odezwała się jej komórka.

– Tak?

– Cześć, Aneto, mówi Lars.

– Słucham.

– Jakiś facet został tam u was ostrzelany.

– U nas?

Rozejrzała się, jakby do strzelaniny miało dojść w ich domu.

Halders spojrział na nią pytającym wzrokiem.

– W Lunden. Pomyślałem, że wy... no, że macie najbliżej. Tylko kilka ulic, o ile dobrze widzę na mapie. Ale nie jesteście na służbie...

– Jak się czujesz, Lars?

– Raczej dobrze. Dlaczego pytasz?

– Nic takiego. – Aneta spojrzała na zegarek. Za dziesięć jedenasta. – Kiedy to się stało?

– Przed chwilą. Właśnie się dowiedziałem od dyżurnego. Radiowóz już jedzie i pomyślałem, że byłoby...

– Zaraz tam będę – przerwała mu Aneta.

– Czy Fredr...

– Musi zostać w domu, z dziećmi. – Popatrzyła na Haldersa. Jego brwi podjechały do góry, prawie na sam czubek głowy. – Są ranni?

– Nie wiem, Aneto. Bądź ostrożna. Ja też tam jadę.

– A jaki to adres?

– Lovisagatan. Lovisagatan 6.

– Nie wiem, gdzie to jest. Lovisagatan.

– Wygląda na to, że gdzieś blisko – powiedział Bergenhem.

Halders wyciągnął książkę telefoniczną i zaczął przeglądać część z planem miasta.

Podniósł wzrok.

– Ja wiem, gdzie to jest. Pieprzony odludny zaułek.

– Fredrik wie – powiedziała Aneta do słuchawki. Usłyszała, że Bergenhem coś mówi. – Słucham? Co mówileś?

– Nic, nic takiego. To było do drugiego... zaczekaj... okej, okej. – Bergenhem powiedział innym tonem. – Okej, Aneto, jakiś facet twierdzi, że został ostrzelany, ale najwyraźniej nie ma żadnych obrażeń.

– Kto strzelał?

– Tego nie wiemy. On nikogo nie widział.

– On? Kto?

– Ten, do którego strzelano.

ANETA ZOBACZYŁA NA ULICY VOLVO i nic poza tym. Radiowóz jeszcze nie dojechał. Zaparkowała przy aucie, ale nie wysiadała. Mogła dojść pieszo w kwadrans. Spacerkiem do pracy. W domu było ciemno. Potem zobaczyła nagły ruch pod drzewem przy sąsiednim domu, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Ciemna postać wyszła na ulicę. Aneta nadal nie wysiadała. Włączyła długie światła. Postać uniosła ramię, żeby się zasłonić przed nagłą jasnością. Mężczyzna w kurtce i dżinsach.

Aneta opuściła szybę.

– POLICJA! – zawołała. – PROSZĘ SIĘ ZATRZYMAĆ.

Natychmiast się zatrzymał.

– TO JA DZWONIŁEM! – zawołał.

Zobaczyła za jego plecami światła, a potem biało-niebieski samochód. Przyjechali koledzy. Sami kibice IFK? – pomyślała. Radiowóz zatrzymał się przy mężczyźnie. Wysiadł z niego jeden policjant. Po chwili Aneta zobaczyła, że to kobieta. Sama też wysiadła. Kiedy szła w stronę mężczyzny, nadal trzymał jedną rękę w górze, jak dodatkowe pozdrowienie.

– To do mnie ktoś strzelał – powiedział.

– Może usiądziemy w jakimś spokojniejszym miejscu – zaproponowała Aneta. – Chodźmy do mojego auta.

– Jak się pan nazywa? – zapytała Aneta.

– Co... Jacob Ademar. Nazywam się Jacob Ademar.

– Gdzie pan mieszka?

– Tam... – odparł, wskazując ręką na dom, przed którym stał.

– Wynajmuję ten dom. Przynajmniej do tej pory wynajmowałem.

– Co się stało?

Aneta zauważyła, że policjantka wyjęła notatnik. Znała ją. Dobra funkcjonariuszka. Tylko w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska. Chyba Mogren.

– Ktoś strzelał – powiedział mężczyzna.

– Niech pan opowie wszystko od początku.

Pytania poznawcze. Nic o tym nie wiem, nie było mnie tu, nie

wiem, co się stało. Proszę opowiedzieć.

– Od którego miejsca?

– Gdzie to się stało?

Ademar sprawiał wrażenie, jakby nie zrozumiał pytania. Nagle zadrżał. Może nadal był w szoku. Powinien być w szoku, jeśli został ostrzelany.

– Gdzie pan stał, kiedy do pana strzelano?

– Przed tamtym domem. – Skinieniem wskazał sąsiedni dom, ten, przed którym stało volvo. Nadal ciemny i cichy. Wyglądał na niezamieszkaną, jakby czekał na rozbiórkę.

– Niech pan opowiada – powtórzyła Aneta. – Proszę po prostu mówić, jak było. Od początku, od chwili kiedy pan tam poszedł.

– Właśnie... poszedłem, ale to nie było pierwszy raz... – Urwał.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Aneta.

– Przedtem pokłóciłem się z sąsiadem, wieczorem... czy raczej późnym popołudniem. Chociaż właściwie to on się kłócił ze mną.

Aneta skinęła głową. Proszę mówić dalej.

– Poszło o... otóż on puszczał jakąś koszmarną muzykę, cholernie głośno, całymi godzinami, i w końcu coś mu powiedziałem. A to mu się nie spodobało, że się tak wyrażę. I potem... wieczorem... ktoś wybił mi szybę w oknie i pomyślałem, że to mógł być on.

Zrobił gest w stronę domu, który wynajmował, ale może już niedługo.

– Pierwsze okno od lewej – powiedział. – Szyba na samym dole, szpros, czy jak to się nazywa.

– Dlaczego pan pomyślał, że to on? – zapytała Aneta.

– A kto inny miałby to być? Przecież prawie nikogo nie ma na tej ulicy – odparł Ademar. – Niech się pani rozejrzy. – Sam rozejrzał się na wszystkie strony. – Przecież tu jest całkiem odludnie.

Nie całkiem, pomyślała Aneta.

– Co się stało potem? Kiedy okno zostało wybite? – zapytała.

– Właściwie nic – odparł Ademar. – Odczekałem chwilę,

a potem wyszedłem z domu i wtedy to się stało.

– Co się stało?

– Ktoś strzelał.

– Skąd pan wie?

– Skąd wiem? Na Boga, słyszałem dwa strzały i wręcz poczułem, jak obok mnie przelatują kule. – Ademar zadrżał. – Stąd wiem.

– Skąd padły strzały?

– Tego nie wiem tak do końca... ale to musiało być gdzieś tam. – Wskazał ręką gdzieś obok samochodu, w prawo. Na zachód. Nie było tam świateł. Aneta widziała zarysy krzaków i drzew w przejrzystym wieczornym powietrzu, coś, co wyglądało na zagajnik. Tak jak Ademar mówił, było to odludne miejsce. Nigdy tędy nie szłam, pomyślała. Właściwie dlaczego? Czy Fredrik był tu kiedykolwiek?

– Nie chcę tam iść – powiedział Ademar.

Aneta popatrzyła na niego.

– Wcale o tym nie mówiłam.

Zwróciła się do policjantki, Britty Coştam. Właśnie, Britta Mogren. Młoda dziewczyna o staroświeckim imieniu i nazwisku.

– Zagroźcie cały ten teren, Britto. Od strony drogi, jak daleko się da.

Minęły czasy, kiedy policja bezmyślnie wchodziła na miejsce zbrodni. Czy co to tam było. Miejsce strzelaniny. Strzelanie do ludzi jest przestępstwem. Ciągłe jeszcze jest przestępstwem, jak pewnie powiedziałby Fredrik.

Odwróciła się do mężczyzny. Teraz już nie wyglądał na zmarzniętego, choć to wcześniejsze drżenie mogło też być objawem szoku.

– Widział pan coś?

– Nie.

– Może pan coś słyszał?

– Słyszałem przecież strzały.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Ale przed strzałami. I po strzałach.

– Nie...

– Pan się waha.

– Do cholery, podskoczyłem jak oparzony, kiedy padły te strzały. I naprawdę usłyszałem gwizd. Naprawdę gwizdało. Rzuciłem się na ziemię. Niech pani patrzy. – Podniósł rękę do góry. Może Aneta zauważy ślady na rękawie. – Rękaw się rozdarł. I kiedy tak leżałem, to... może słyszałem, jak ktoś stamtąd ucieka. Po drugiej stronie ulicy. Ale nie jestem pewien. Ciągle dzwoniło mi w uszach, że tak powiem.

– Słyszał pan coś jeszcze? Z innej strony?

– O co pani chodzi?

– Nikt z mieszkańców tej ulicy nie zareagował?

– Widziała tu pani kogokolwiek, odkąd tu jesteśmy? – zapytał Ademar.

– Nie.

– Ja też nie. I przedtem też nie. Zanim pani tu przyjechała. Pani i inni policjanci.

Aneta skinęła głową.

– Albo nikt nic nie słyszał, albo nie miał odwagi wyjść – stwierdził Ademar.

Aneta rozejrzała się w poszukiwaniu świateł w tych kilku domach, które stały przy małej ślepej uliczce, ale wszędzie było ciemno. Zastanawiające. Przybycie radiowozu powinno obudzić jakiegoś sąsiada, zaciekawic kogoś. Nie wspominając o strzałach. Ale nie. Nikt się nie pokazał.

– On też nie odważył się wyjść – powiedział Ademar.

– Kto?

– Sąsiad oczywiście. Świr z tamtego domu. – Ademar machnął ręką w stronę pobliskiej willi. Nadal była cicha i ciemna. – Pewnie wymknął się jakoś od tyłu.

– Co pan ma na myśli?

– Przecież to chyba oczywiste, że to on do mnie strzelał!?

– Twierdzi pan, że to on stał w tym zagajniku i strzelał?

– To chyba oczywiste, nie? Czyż nie? – Ademar zaśmiał się zniechęcony. Dziwnie to zabrzmiało. Trochę jak śmiech wariata. Piskliwie. – Pani go nie widziała. Kiedy go pani zobaczy, wszystko pani zrozumie.

– A może po prostu on też nic nie słyszał – powiedziała

Aneta. – Jak wszyscy pozostali mieszkańcy.

– To znaczy, że ja sobie to wszystko wymyśliłem? – zapytał Ademar. – Więc tak pani sądzi?

– Ja nic nie sądzę – odparła Aneta.

– Nie, nie, wiadomo, nie chodzi o to, żeby sądzić, tylko żeby wiedzieć. Fakty. A fakty są takie, że ktoś do mnie strzelał i jestem przekonany, że to ten pieprzony świr z tego domu ROZWALIŁ MI OKNO, A POTEM STAŁ TU I CZEKAŁ NA MNIE, ŻEBY MNIE ZASTRZELIĆ! – Ademar wręcz krzyczał.

– Dlaczego miałyby to robić? – zapytała Aneta.

– Bo jest wariatem oczywiście!

Aneta skinęła głową. Naturalnie. W takiej sytuacji nie trzeba się o nic martwić. Można skreślić wszystkie dlaczego. Tak jest wygodniej.

– Czy nie należałoby wreszcie zadzwonić do drzwi tej przekłętej chałupy? – zapytał Ademar. – Poza tym powinniście znaleźć w ścianie pociski.

Bergnhem nacisnął dzwonek. Obok niego stał Ringmar. Już nie był przeziębiony. Aneta założyła skórzane rękawiczki. Ochłodziło się. W powietrzu czuć już było zimę, jak prolog, który nadszedł stanowczo za wcześnie. Po krótkim lecie od razu długa zima.

Zadzwoniła do Fredrika.

– Któryś z nich na pewno jest psycholem – stwierdził. – Może obaj.

– Znasz tę dziwną małą uliczkę? – zapytała.

– Właściwie nie – odpowiedział. – Mówią, że to ulica duchów.

– Kto tak mówi?

– Ci, co wiedzą. Dzieci.

Bergnhem zadzwonił jeszcze raz.

Przez mleczne szkło w drzwiach zobaczyli światło. Jakby się wydobywało spod wody. Lampy czołowe wokół wraku na dnie morza. Aneta kiedyś to robiła. Nurkowała. A ten dom był wrakiem. Tylko że tu dało się oddychać. Powietrze było ostre, odurzające, jakby prolog się rozkręcał i miał w sobie jeszcze więcej zimy.

– Technicy będą musieli się zająć tymi ścianami – powiedział Berghem. – Może siedzi w nich kilka kul. – Odsunął się kilka kroków od drzwi. – Zrobię obchód.

Ekipa techniczna już była na miejscu. Mieli zostać na noc. Ringmar i Aneta słyszeli ciche odgłosy ich pracy.

– Hm... – mruknęła Aneta.

– Nie wierzysz w to? – zapytał Ringmar.

– Nie wierzę w nic – odparła i uśmiechnęła się do niego.

Drzwi się otworzyły. W głębi domu nie paliły się światła. Widzieli tylko zarys głowy mężczyzny.

– Tak?

Ringmar przedstawił siebie i swoją towarzyszkę.

– Przykro mi, że niepokoiimy pana o tak późnej porze – powiedział. – Możemy wejść na chwilę?

– Dlaczego?

– Dostaliśmy informację, że tu w pobliżu doszło do strzelaniny.

– Do strzelaniny? Tutaj?

Nie było widać jego twarzy, więc nie dało się ocenić, jak bardzo jest zdumiony. Poza tym sprawiał wrażenie, że zaczyna się wycofywać spod drzwi.

– Możemy wejść? – powtórzył Ringmar.

– To chyba nie jest konieczne?

Ringmar nie odpowiedział.

– To lepiej ja wyjdę – powiedział mężczyzna i zamknął drzwi.

Ringmar odwrócił się do Anety. Jej twarz też rozpoznawał z trudem.

– Co ty na to powiesz?

– No cóż, widocznie nie lubi wizyt.

– Zaczekamy chyba parę minut. Nie mam w tej chwili ochoty dzwonić do prokuratora.

Aneta spojrzała na ulicę. Widziała techników ruszających się po drugiej stronie. Pozwolili świadkowi pójść do jego wynajętego domu. Czy może ofierze. Niedoszłej ofierze. A może tylko niewłaściwej osobie w niewłaściwym miejscu. Właściwa osoba we właściwym miejscu, niewłaściwa osoba w niewłaściwym miejscu. Zastanawiające wyrażenia. Właściwa

osoba może się chyba znaleźć w niewłaściwym miejscu. Niewłaściwa osoba we właściwym miejscu. Właściwym miejscem może na przykład być miejsce zbrodni. To właśnie tam, a nie gdzie indziej, ma dojść do zbrodni. I nagle zjawia się ktoś, kto nie ma z nią nic wspólnego, i zostaje pociągnięty w przepaść. Niewłaściwa osoba. Właściwe miejsce. I na odwrót. I tak dalej. Jako rasowy śledczy już zaczęła szukać różnych możliwości.

Jako partnerka. Jako kobieta. Jak podczas tej dzisiejszej rozmowy z Fredrikiem. Czy była niewłaściwą osobą we właściwym miejscu? A może właściwą osobą w niewłaściwym miejscu? Czy wszystko było właściwe albo niewłaściwe?

Drzwi się otworzyły. Mężczyzna wyszedł do nich. Niespecjalnie wygląda na świra, pomyślała Aneta. W ogóle nie wygląda na człowieka, który słucha muzyki. Ale nie widziała go wyraźniej niż Bertila. Poza tym facet miał na głowie ciemną czapkę.

– Ktoś strzelał w stronę pańskiego domu – powiedział Ringmar.

Bez owijania w bawełnę.

– Ale jak to? Skąd? Kiedy?

Brakuje tylko dlaczego, pomyślała Aneta. Ale dlaczego? Czasami ludzie wcale o to nie pytają. Może już wiedzą.

– Kto tak powiedział? – zapytał znów mężczyzna.

– Pan nic nie słyszał?

– Nie słyszałem absolutnie nic – zapewnił.

– Kto oprócz pana jest w domu? – zapytał Ringmar.

Dobre pytanie, pomyślała Aneta. Gorzej brzmiałoby: Czy jest pan sam?

– Jestem sam – odparł mężczyzna.

– Mieszka pan tu sam?

– Tak, czy właśnie tego nie powiedziałem?

– Nie. – Ringmar zrobił krok do tyłu.

W tej chwili nie da się znaleźć w ścianie ewentualnych dziur po kulach. Jutro technicy przeczeszą lasek po drugiej stronie i obejrzą ścianę. Może. O ile w ogóle padły jakieś strzały. Jeśli tak, to sprawa jest poważna. Jeśli nic nie było, to sąsiad tego

faceta pewnie ma coś z głową.

– Czy to on tak mówi? – zapytał mężczyzna znienacka, wskazując na dom sąsiada.

– Jak się pan nazywa? – zapytał Ringmar.

– Co, co takiego? Nazywam się Bengt. Bo co?

– Nazwisko? – powiedział Ringmar.

– Co to ma za znaczenie, do cholery? Chyba nie o to pytałem? Pytałem, czy to tamten popieprzony facet wezwał policję.

– Rutynowo spisujemy nazwiska – wyjaśniła Aneta. Dotychczas się nie odzywała.

– No to co? Bengt Sellberg. Nazywam się Bengt Sellberg.

Aneta skinęła głową.

Bengt Sellberg popatrzył na nią z wyrazem twarzy, który jej się nie spodobał. Nie wiedziała dlaczego. Sprawiał wrażenie, jakby patrzył na coś, co powinno natychmiast zniknąć. Co nie miało prawa tam być. Niewłaściwa osoba w niewłaściwym miejscu. Niewłaściwe okoliczności. Niewłaściwy czyn.

– Nie zapisze pani nazwiska? – zapytał.

– Zapamiętamy – zapewnił go Ringmar. – Co pan miał na myśli, mówiąc, że to on tak mówił?

– Ten, co tam mieszka. – Sellberg wskazał palcem. – Pieprzony idiota. Był tutaj i się czepiał, że za głośno gram. Coś tam gadał, że nie może pracować, bo muzyka jest za głośna.

– A była za głośna? – zapytała Aneta.

– Co? – Spojrzał na nią z tym samym wyrazem twarzy. – Co? Wcale nie było za głośno! Przecież to było w biały dzień, kurwa. Aneta nie odpowiedziała.

– To on tak twierdzi? Co? On jest jakiś popierdolony. Powiniennem mu...

– Co pan chce mu zrobić? – zapytał Ringmar.

– Nic.

– Właśnie – potwierdził Ringmar. – Nic pan nie zrobi. Nikt nic nie zrobi. Chyba nie muszę tego tłumaczyć.

Aneta widziała połysk czarnego samochodu na ulicy. Przynajmniej wyglądał na czarny. Prawie wszystko było czarne w tym świetle, czy raczej w braku światła.

– To pański samochód? – zapytała.

– Co, co takiego?

Standardowa odpowiedź Bengta Sellberga. Tak reagują ludzie, którzy potrzebują czasu do namysłu. Często na chwilę jakby głuchną.

– Czy to pańskie volvo? – zapytała Aneta, ruchem głowy wskazując samochód. Z miejsca, gdzie stała, nie było widać tablic rejestracyjnych. Ale wcześniej zanotowała numer. Samochody z numerami rejestracyjnymi nie są tajemnicą. Czasem przez jakiś czas są zagadką, ale niczym więcej.

Sellberg sprawiał wrażenie, jakby potrzebował jeszcze więcej czasu.

Niewłaściwy samochód w niewłaściwym miejscu, pomyślała Aneta.

– Nie wie pan? – ponaglił go Ringmar.

– Co, co takiego? To nie moje auto...

Zabrzmiało to jak pół zdania z trzykropkiem na końcu.

– Stoi przed pańskim domem – powiedział Ringmar.

– Co, co takiego? W tym mieście ludzie parkują gdzie popadnie. Każdy może postawić auto gdzie chce. Ten stoi akurat przed moim domem. Może to ktoś z naprzeciwka go tu postawił, skąd mam wiedzieć. Zapytajcie sami.

Fredrik spał, kiedy Aneta wróciła do domu. Słyszała jego pochrapywanie przez ścianę łazienki.

Przyszedł do kuchni, kiedy siedziała przy stole z kubkiem mleka.

– I jak poszło z wariatami?

– Jeden gorszy od drugiego.

– Co się tam stało?

– Może nic.

– Naprawdę?

– Zobaczymy jutro. Nie, dzisiaj. – Słońce miało się pokazać na wschodzie już za kilka godzin. – O ile w ogóle padły tam jakieś strzały.

– To mógł być jakiś inny huk, cokolwiek.

– Hm...

– Co to za typ, ten facet, który to zgłosił?

– Pisarz.

- Pisarz?
 - Tak.
 - Jakiś znany?
 - Jacob Ademar.
 - Ademar? Co to za dziwne nazwisko? Gdyby człowiek kiedyś słyszał to nazwisko, pewnie by zapamiętał.
 - Właśnie.
 - Co pisze?
 - Nie wiem, Fredriku. Nie doszliśmy do tego.
 - Pisarz. Oni zwykle mają żywą wyobraźnię. Mogą wymyślić wszystko.
 - Sprawiał wrażenie, że jest pewny. Porozmawialiśmy z nim chwilę po rozmowie z tym drugim.
 - Z drugim?
 - Z facetem z sąsiedniego domu. Do którego ktoś być może strzelał. Do domu. Między tymi dwoma doszło chyba wcześniej do jakiejś scysji.
 - Jakimi dwoma?
 - Pisarzem i Sellbergiem. Ten sąsiad nazywa się Sellberg.
 - To już brzmi bardziej normalnie. Był normalny?
 - A gdzie przebiega granica?
 - Mniej więcej na moim poziomie.
- Aneta uśmiechnęła się blado.
- W takim razie chyba robił wrażenie normalnego – powiedziała. – Chociaż... było tam coś, co nie było... no właśnie, normalne.
 - Co takiego?
 - Nie wiem, miałam wrażenie, że brakowało czegoś, co by go hamowało. Pisarz, Ademar, mówił, że był świadkiem, jak tamten stracił kontrolę nad sobą. I ja mu wierzę.
 - Więc może ktoś chce zastrzelić tego Sellberga. Jakieś dawne porachunki.
 - Ale Ademar twierdzi, że strzelano do niego.
 - Było ciemno. Ograniczona widoczność. Może strzelec się pomylił. To odludna uliczka. Ten Ademar stał przed domem Sellberga, jak zrozumiałem. Można ich pomylić w ciemny wieczór?

- Tak myślę. Są mniej więcej podobnego wzrostu. Średniego.
- I było ciemno – dodał Halders. – Zakładam, że oświetlenie uliczne było kiepskie.
- Tak.
- Średniowieczne. Jak w wielu innych miejscach w tym mieście. Średniowieczne oświetlenie w nowym wspaniałym świecie. Ale to może dobrze. Wkrótce i tak zabraknie na ziemi prądu.
- On kłamał – powiedziała Aneta.
- Słucham?
- Sellberg. Jestem pewna, że kłamał. Tylko nie wiem w którym momencie.

8

DZIEWCZYNA ZNIKNEŁA. „POMOCY! POMOCY!”. Kto może jej pomóc? Kto tak krzyczy? „Pomocy! Pomocy!”. Czy to ona? Czy to jej krzyk? Leci nad zatoką jak ptak. Czarny ptak. Czarny ptak. Czarny. Podniósł wzrok znad klawiatury. Przeczytał na monitorze: czarny ptak. Co to oznacza? Jaka jest różnica? Potrzebna jest ta przydawka? Nie wystarczy sam ptak? Nie, bo wtedy krzyk będzie się unosił w powietrzu zbyt lekko. To nie jest lekki krzyk. To krzyk przerażenia. Ale kto tak krzyczy? Kto tak krzyczał? Ja wiem. Tak to musiało wyglądać.

Zadzwoił telefon.

- Ademar.
- Jak ci idzie?

Wydawca. Dzwonił od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nie robi czegoś bezsensownego, zamiast pisać.

- Opornie.
- Bądź spokojny.
- Dlaczego? Dlaczego mam być spokojny?
- Bo jest spokojnie.

To brzmiało niemal jak pociecha. Jakby potrzebował pociechy. Dla mnie i tak nie ma żadnej pociechy.

– Jak tekst nie będzie gotowy do lata, raczej nie będzie tak spokojnie.

- Będzie gotowy.
- Aha? Ty to wiesz.
- Jestem tego pewien, Jacobie.
- Muszę zebrać jeszcze więcej informacji, Stefanie. Nie widzę tak naprawdę tych... obrazów. Nie widzę jej. Kiedy zniknęła. Kiedy jej nie ma. Muszę to zobaczyć. Rozumiesz?
- Tak.
- Zobaczyć coś, czego się nie da zobaczyć. Czego może wcale nie ma. Rozumiesz?
- Tak.
- Nie sądzę, żebyś to rozumiał. Ja zresztą też nie rozumiem.
- Zbieraj informacje. Rób to.
- Hm...
- Idź na policję.
- Rozmawiałem już z policją.
- To dobrze.
- Ale nie o tym.
- Ach tak?
- To długa historia. Opowiem ci przy okazji, kiedy się zobaczymy.
- Kiedy się zobaczymy, Jacobie?
- Może w przyszłym tygodniu?
- A co to było z policją?
- Nie mam siły teraz o tym mówić. Pracowałem, kiedy zadzwoniłeś.
- Zwykle wyłączasz telefon, kiedy pracujesz, Jacobie.
- Trochę mam pietra. To chyba dlatego.
- Co ci się przytrafiło?
- Najpierw napad, a potem strzelanina.
- Boże świąty, o czym ty mówisz?
- O rzeczywistości. Mówię o rzeczywistości. Napad, wandalizm, strzały.
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Teraz akurat nie.
- Boże. Co mówi policja?
- Na razie nic. Jeszcze nie jest pewne, czy to się stało.
- Teraz już zupełnie nie rozumiem.

– Właśnie. To musiało się zdarzyć, żeby można było to zrozumieć. Ale na razie to się zdarzyło tylko w mojej rzeczywistości. I to nie wystarcza. To musi się stać też w rzeczywistości innych.

– Ale co?

– Strzelanina, do diabła!

– Co się dzieje, Jacobie? Czy ty...

– Czy jesteś zrównoważony? Czy to chciałeś powiedzieć? Ależ tak, jesteśmy zrównoważeni. Trochę trudności z pisaniem w tej chwili, ale zrównoważeni jesteśmy.

– Gdzie to wszystko się stało?

– U mnie, za progiem.

– Przed domem? Domem, który wynajmujesz?

– *Absolutamente*. Sąsiad i ja mamy ze sobą na pieńku, jak to się mówi. Tak się mówi, prawda? To ty znasz wielki słownik szwedzki lepiej niż ktokolwiek inny. Mieć z kimś na pieńku, tak?

– Nie możesz tam dalej mieszkać, Jacobie.

– Dlaczego nie? Jeśli to się nie stało, to mamy spokój. Całkowity spokój.

Wydawca się nie odezwał. Teraz nie wie, co powiedzieć, dobrze mu tak, pomyślał Ademar. Tak trudno go przegadać.

– Może zaczynam wariować – powiedział Ademar. – Może to pierwsze oznaki.

– Nie jesteś wariatem bardziej niż inni – zaprotestował wydawca.

– Co ty o tym wiesz, Stefanie?

– Całymi dniami mam do czynienia z pisarzami.

Żył normalnym życiem. Miał własny dom. Miał swoje normalne życie. Może trochę samotne, ale teraz nie chciał o tym myśleć, prawie o tym zapomniał. Ale to było normalne. Wstawał rano z łóżka, a wieczorem kładł się spać. Między jednym a drugim pracował, ciężko pracował. Zapomniał. Ktoś inny nie zapomniał. To się zaczyna od telefonu. Podobno tak się zwykle dzieje, rozmowa telefoniczna albo list. Może e-mail. Tym razem to był głos. Jego nazwisko. Tak? Znowu jego

nazwisko, jako potwierdzenie. O co chodzi? Chodzi o spotkanie? Gdzie? Kiedy?

Pamiętasz. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie usłyszał. Pamiętasz to, co zapomniałeś.

Dlaczego teraz? Dlaczego kontaktujecie się ze mną teraz? Czy jak to nazwać.

Nie byłeś tam wtedy sam. To nie było pytanie.

Nie wiem, o czym mówicie.

Więcej podobnych rzeczy. Szum w głowie. Jak burza. Fale, które rozbijają się o skały. Skały, które się rozbijają.

Samochód na moście. Nagle się tam znalazł.

Wszystko wróciło.

To szantaż. Jest wybór, nawet jeśli to szantaż. Nie teraz, nie tutaj, nie tym razem.

Nawet my nie wiemy, co się stało potem. Nie musimy tego wiedzieć. Jeśli chcesz opowiedzieć, nie ma problemu.

Nie mam nic do powiedzenia. Nie było mnie tam. Tych innych rzeczy nie pamiętam.

Ktoś pamięta. Dowiesz się, co masz zrobić. Masz nie pytać dlaczego. Nie ma żadnych dlaczego.

Co się stało potem? Na końcu? A on wyszedł na słońce, otuliło go jak rozgrzana oliwa. Nie mógł już oddychać. Miał wrażenie, że tonie. Stał przy drewnianej ławce. Szedł na spacer wzdłuż rzeki. Nie miał w głowie żadnego wspomnienia o tym, że tam doszedł. Nie miał pamięci. Do diabła z pamięcią. Do diabła ze wszystkim. Do diabła z tym pieprzonym mostem. Widział go teraz jak potwora ze stali. Do diabła z nim, ale to już się stało. Do diabła z całą przeszłością. W przeszłości była tylko śmierć. Usiadł na ławce. W oczach miał łzy. Para młodych ludzi z niemowlęcym wózkiem przeszła obok. Facet miał wielką brodę. Włosy dziewczyny były długie, jasne i proste. Wyglądała bardzo młodo. Nie pokazał im twarzy. Pragnął, żeby te łzy go oślepiły. Słyszał mewy. Gdzieś tam, z morza, słychać było statek jak rzeżącego wieloryba. Usłyszał śmiech dziewczyny.

Poranek był słoneczny. Całe niebo od Östra sjukhuset do Saltholmen przybrało błękitny kolor. Słońce świeciło prosto

w oczy. Przechodząc przez Vasaplatsen, Winter założył okulary słoneczne. Kiosk w południowej części placu wyglądał jak czarna buda. Ludzie wchodzili i wychodzili z cienia. Winter szedł Vasagatan, na wschód, odpowiedział skinieniem jakiemuś mężczyźnie, który pozdrowił go, kiedy się mijali na chodniku. W cieniu nie rozpoznał jego twarzy. Jakaś przelotna znajomość, może ktoś, kogo kiedyś aresztował, przesłuchiwał w dawnym pokoju przesłuchań na parterze przy Ernst Fontells plats, w którym światło, choć elektryczne, lubiło płać figle. Tworzyło więcej cieni niż naturalne. Teraz nigdy nie przesłuchuje przy świetle elektrycznym, jeśli może tego uniknąć. Ludzie nie kłamią tak łatwo w jasnym świetle dnia. Trudniej się ukryć, schować twarz. Światło nie było żółte. W żółtym świetle można się wymknąć, pomyślał, przecinając Avenyn. Pomyślał też, że już nie boli go głowa. Może już przeszło.

Halders był w sali zebrania pierwszy. Odwrócił się, kiedy usłyszał, że wchodzi Winter.

– Dzień dobry, panie Winter.

– To zabrzmiało jak tytuł filmu – powiedział Winter i usiadł na swoim miejscu. Na końcu stołu. Na miejscu szefa. Był w tym pokoju szefem nawet wtedy, kiedy formalnie funkcję szefa wydziału sprawował Sture Birgersson. Ale Birgersson spotykał się z ludźmi tylko w swoim gabinecie, a teraz go nie było. Został po nim tylko zapach tytoniu. Jego pokój był pusty. Właściwie nikt nie wiedział dlaczego.

Aneta przekroczyła próg.

– Co za dzień – powiedziała, ruchem głowy wskazując na okno. Światło było białe od słońca. – Prawdziwe *indian summer*.

– Gangsterskie lato, a nie indiańskie – odrzekł Halders i machnął rękę w stronę okna i całego miasta. – Teraz właśnie z tym mamy tam do czynienia. – Opuścił ramię. – I jest ich coraz więcej. W odróżnieniu od Indian. Nie jesteśmy w stanie wytepić bandytów. W najlepszym razie próbują się wytepić nawzajem, ale to w najlepszym ze światów. – Wyjrzał przez

okno. – Czyli nie u nas.

– Skoro o tym mowa... – wtrącił się Winter. – Co się właściwie działo wczoraj wieczorem u was po sąsiedzku?

– Rozmawiałeś z Larsem albo z Bertilem? – zapytała Aneta.

– Spotkałem się z Bertilem wcześniej, ale pojechałem do domu, zanim to się stało.

Aneta spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Wisiał w tym miejscu, odkąd postawiono ten budynek wiele lat temu. Nie wiedziała, kiedy to było. W latach sześćdziesiątych? Pięćdziesiątych? Czy nie powinna się tego dowiedzieć? Dlaczego nie interesuje się bardziej swoim miejscem pracy? Choć tak naprawdę to nie jest miejsce jej pracy. To właściwe znajduje się na zewnątrz, w gangsterskim lecie.

– Technicy właśnie tam są – powiedziała.

– Torsten trochę marudził – dodał Halder. – Widocznie nie był przekonany, że to ma sens.

Torsten Öberg był wprawdzie tylko zastępcą szefa wydziału technik kryminalistycznych, ale w rzeczywistości tak samo jak Winter decydował o wszystkich działaniach operacyjnych swojej jednostki.

– Nie może zawsze chodzić o morderstwo – powiedział Winter.

– Strzelanina to dość poważna sprawa moim zdaniem – stwierdziła Aneta. – Możliwe, że ktoś został ostrzelany.

– Możliwe?

– On sam tak to odebrał.

– Albo ewentualne strzały były wycelowane w sąsiada – dodał Halder.

– Ach tak?

– Zobaczymy, czy ludzie Torstena znajdują jakieś pociski.

– Sąsiedzi się, rzecz jasna, nie przyjaźnili – powiedziała Aneta.

– A co mówi sąsiad? – zapytał Winter.

– Który?

– Nie wiem. Wyjaśnijcie mi to, bardzo proszę.

– Facet, do którego domu może strzelano, nazywa się Bengt Sellberg. Ten, co stał przed tym domem, kiedy świstały kule,

nazywa się Jacob Ademar – streściła Aneta.

– Teraz już wszystko wiem – ucieszył się Winter.

– Nie jest to aż tak skomplikowane – dodał Halders.

– Poza tym jeszcze znaleźliśmy właściciela samochodu – powiedziała Aneta.

– Samochodu? – powtórzył zaskoczony Winter.

– Przed domem Sellberga stało auto – odparła Aneta. – Volvo V70. Nie należy ani do Sellberga, ani do Ademara.

– A do kogo?

– Właściciel nazywa się Jan Richardsson.

– Aha?

– To polityk. Chadecki radny, ściślej mówiąc.

– Powinienem go znać? – zapytał Winter.

– Czasami pokazuje się w prasie. Jako polityk.

– Mieszka w tamtej okolicy?

– Nie.

– Więc co tam robił?

– Nie wiemy. Uważasz, że powinniśmy go zapytać?

Winter popatrzył na mewę szybującą za oknem, o ile mewy rzeczywiście potrafią szybować.

– Najpierw pogadam z Torstenem – powiedział. – Dowiem się, czy naprawdę były jakieś strzały. A ten, który się znalazł na linii strzału... sprawia wrażenie normalnego?

– Jest w każdym razie pisarzem – rzuciła Aneta.

– Czy to jest odpowiedź?

– Wygląda na normalnego. Nie wiem, jacy zwykle bywają pisarze, ale chyba są normalni. W większości.

– Co pisze? – zapytał Winter.

– Nie mam pojęcia. Nie zapytałam.

– Jak się nazywa, bo zapomniałem?

– Ademar. Jacob Ademar.

– Niezwykle nazwisko. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Może on tylko mówi, że jest pisarzem – powiedział Halders.

– Dlaczego miałyby to robić? – zapytał Winter.

– Może próbuje odgrywać kogoś ważniejszego, niż jest.

– To chyba powinien wybrać coś innego? – zasugerowała

Aneta.

– Co na przykład?

– No... może policjanta? – podrzucił Halders.

– Pójdę do Torstena – zdecydował Winter, wstając z krzesła.

– Gangster – powiedział Halders. – Pisarz powinien mówić, że jest gangsterem.

Samochód Rogera Edwardsa nadal stał w policyjnym garażu. Winter zatrzymał się przy nim. Słońce przedostawało się do środka przez wysokie okna pod sufitem. Garaż wyglądał jak warsztat. Tyle że mechanicy byli tu zainteresowani raczej rozmontowywaniem samochodów niż ich naprawianiem.

– Został starannie wyczyszczony – powiedział technik Lars Östensson.

Winter skinął głową.

– Jakbyśmy mieli powód, żeby czegoś szukać – stwierdził.

– To jedyna rzecz, jaką znalazłem – powiedział Östensson i wskazał głową na ławę. – Leżało pod tylnym siedzeniem. Po lewej. Pod przestrzelonym siedzeniem.

Winter podeszedł do ławy i podniósł niewielki przedmiot w plastikowym woreczku.

– Krzyż – powiedział.

– Tak, coś w tym rodzaju. Wygląda na jakieś odznaczenie.

Przedmiot miał zaledwie kilka centymetrów średnicy. Zrobiono go z metalu, srebra albo złota, raczej z czegoś tańszego. Nie był szczególnie ciężki.

– Był do tego jakiś łańcuszek? – zapytał Winter.

– Nie.

– Będę musiał zapytać Edwardsa.

Wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer. Po drugim sygnale usłyszał głos Edwardsa.

Opisał mu to, co znaleźli. Krzyż.

– To nie moje – stwierdził Edwards. – Nigdy nic takiego nie widziałem.

Winter trzymał krzyż pod światło. Było na nim oko, patrzyło na niego. Wcześniej go nie zauważył.

– Może zgubił to ktoś, kogo pan zna – zasugerował.

– Nie sądzę.

- Dlaczego?
- Edwards nie odpowiedział.
- Dlaczego nie? – powtórzył Winter.
- Czy nie powinniście zacząć szukać złodziei samochodu? – odparł Edwards. – I tego, co strzelał? Zresztą możecie zatrzymać samochód. Nie chcę go już.

9

BAR W LOBBY HOTELU 11 był czarny i czerwony. Widział ludzi wchodzących i wychodzących z drzwi Café Eriksberg. Jeszcze nie było jedenastej, ale wielu wybierało się na lunch. Co to za ludzie jedzą lunch o jedenastej przed południem? Sam siedział nad caffè latte i wydawało mu się, że to dość pożywe śniadanie.

Na dworze światło przełamywało się między nowymi ulicami Västra Eriksberg. To było spokojne przedpołudnie. Przeszedł się w słońcu wzdłuż Maskinkajen. Przyglądał się, jak statki powoli przesuwały się po rzece. Wszyscy mówili, że port umarł, ale on widział, że tak nie jest. Znał coś innego, co umarło. Albo wkrótce miało. Ale wtedy o tym nie myślał, na nabrzeżu, potem też, kiedy przecinał plac Eriksbergstorget w drodze do hotelowego lobby.

Teraz zobaczył, że tamten się zbliża, zanim on zdążył zauważyć jego. Spojrzał na zegarek. Idealnie.

Mężczyzna usiadł obok, w czarnym skórzanym fotelu, i ruchem głowy wskazał na jego kawę.

– Gorąca?

– No cóż, kiedy ją dostałem, była gorąca.

Mężczyzna się rozejrzał.

– Ktoś tu pracuje?

– Na pewno.

Mężczyzna wstał, przeszedł przez lobby i ruszył do restauracji. Wszędzie szklane ściany. Żadnego zakamarka, w którym można by się ukryć. Chociaż oni nie musieli się ukrywać. Jeszcze nie. I nie tutaj.

Wrócił.

– Znalazłeś kogoś?
– Kawa już idzie. – Spojrzał na jego szklanę. – Może chciałeś jeszcze jedną?

Potrząsnął głową.

– No to kiedy, Lejon?

Aż podskoczył na krześle.

– Co się dzieje?

– Kurwa, ale jesteś bezpośredni.

– Czy nie o to właśnie chodzi?

Kelnerka przyniosła kawę. Cappuccino. Mleczna pianka sterczała nad filiżanką. Lejon widział wiórki czekolady na czubku. To dopiero pożywne śniadanie. Nie czuł się najlepiej. Za dużo koniaku wczoraj wieczorem. To napój diabła, nawet gorszy od whisky.

Christian Lejon, gangster. Lubił to określenie. Było staroświeckie, ale czasem lubił staroświeckie rzeczy. Staroświeckie metody. W nowym świecie sprawy często toczyły się za szybko. Człowiek nie miał czasu nacieszyć się pracą. Ale należało dziękować szatanowi za internet. To dla przestępczości zorganizowanej prawdziwy dar. Technika bardzo ułatwiła organizowanie się.

– Podoba ci się tutaj, Lejon?

Nie odpowiedział. Idioci nadal napływali do restauracji na lunch. Była wielka jak hangar.

– Zaczyna się robić tłoczno – powiedział tamten.

– Budują jak diabli.

– Widzę.

– Kafary za oknem mojej sypialni zapieprzają na okrągło.

– Tak to jest, jak się żyje w samym środku przyszłości.

– Jeszcze tam nie jesteśmy.

– A kiedy będziemy, Lejon?

– Za niecałe dwa tygodnie.

– Wolałbym, żeby to nastąpiło trochę wcześniej.

– Jest kilka innych rzeczy, które najpierw muszą... się ułożyć.

– Co to za rzeczy?

Nie odpowiedział. Pomyślał o facecie, który miał zrobić jedną z tych innych rzeczy. Nie odebrał, kiedy do niego dzwonił przed

godziną. Próbował jeszcze raz przed kwadransem. Znów nic. Nie sądził, żeby tamten chciał go wykiwać. Czy jak by to należało określić. Wymknąć się. Nie mógł się wymknąć. Przecież wiedział o tym. Dlaczego nie odbierał telefonów? Już to zrobił? Nie, wiedziałbym.

– Wiesz, że ktoś wjechał w mój samochód? – zapytał i wypił łyk latte, ale kawa była już zimna, więc krzywiąc się, odstawił szklanę.

– Nie, nie wiedziałem. Żał mi tego gościa. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Jak to się stało?

– Nie wiem. Uciekł z miejsca wypadku.

– Jeszcze bardziej mi żal.

– Jego, no tak. Albo jej.

– Nie wiesz, kto to był?

– Nie, jeszcze nie. Ale się dowiem.

– Jak?

– Po prostu wiem, że mi się uda go znaleźć.

Wiedział na przykład, kto wynajmuje miejsca na podziemnym parkingu przy Nordenskiöldsgatan, skąd wyjechał samochód, który go staranował. To oczywiście musiało potrwać, ale miał ludzi do pomocy. Trzeba było tylko pracować systematycznie. Eliminować. Musieli eliminować jednego po drugim. Uśmiechnął się. Nie w tym sensie eliminować. Tylko jednego. W klasyczny sposób będzie musiał wyeliminować jedną osobę.

– Więc co zamierzasz zrobić?

Lejon nie odpowiedział. Przez szklane ściany hotelowego lobby widział plac, nabrzeże i przystań Älvsnäbben, niewielkiego promu, który nieskończenie wolno i śmiesznie rzadko przewoził ludzi między centrum a tą częścią miasta. Nigdy z niego nie korzystał. Nigdy nie zamierzał z niego korzystać, o ile wiedział. Ale jego towarzysz właśnie nim tu przyplynał.

– Jak ci się płynęło?

– Przyjemnie. Zamierzam potem zjeść lunch w Sjömagasinet. Tuż przy terminalu.

– Rzeczywiście, to blisko.

- Możesz mi towarzyszyć.
- Nigdy nie jadłam lunchu przed szóstą.
- Wtedy to się nazywa kolacja, Lejon.
- Powiedz to Hiszpanowi.
- Nie znam żadnego.
- No to Kolumbijczykowi.
- A tak, tych znam kilku. – Znów się uśmiechnął. To był miły uśmiech. Przypominał mu kogoś. – Pomyśl tylko, że trafili aż do nas.
- To właśnie jest globalizacja – stwierdził Lejon.
- No, racja. – Mężczyzna przechylił filiżankę, żeby wypić ostatnie krople, i wstał. – Miło było.
- Jeszcze nie koniec – powiedział Lejon.
- Co masz na myśli?
- Jest coś, co chciałem ci pokazać.
- Ach tak? Co takiego?
- U mnie w domu.
- Ale co to jest?
- Zobaczysz.

Winter siedział w biurze Öberga. Komisarz Torsten Öberg podrapał się w głowę. To był znaczący gest.

- Niczego tam nie znaleźliśmy, Eriku.
 - Okej.
 - Żadnych pocisków, żadnych łusek, żadnych zwracających uwagę śladów w zagajniku.
 - A jakie to są te zwracające uwagę ślady?
 - No... na przykład słoń w śniegowcach – odparł Öberg z uśmiechem. – Albo Marsjanie w tradycyjnym obuwiu.
 - To znaczy w jakim?
 - Zwracającym uwagę.
 - Rozumiem.
 - Może ktoś oddał kilka strzałów, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Przynajmniej na razie. Musimy zdecydować, czy wchodzimy do ogrodów tych willi z tyłu, żeby szukać dalej.
- Winter nie odpowiedział.
- Co powiesz, Eriku?

– Dajmy sobie spokój. Technicy jeszcze tam są?
– Tak, jeden. Mollis. Jeszcze ogląda dom.
– Właściciel jest w domu?
– Nie mam pojęcia, naprawdę.
– Trochę dziwna sprawa z tym samochodem – powiedział Winter. – Dlaczego ten Sellberg powiedział to, co powiedział.
– Nie chciał ujawnić, kto jest właścicielem.
– Trochę głupio.
– Chyba myślał, że my jesteśmy jeszcze głupszi. Albo bardziej nieporadni.
– Nie zna Anety.
– Może teraz będzie miał okazję dobrze ją poznać.
– Właśnie.
– Ale to prawda, że swoje własne auto Sellberg oddał do warsztatu – powiedział Öberg. – Rozmawiałem z Berghemem.

Winter skinął głową.

Odezwał się telefon na biurku. Öberg odebrał.

– Tak, halo? Okej. Okej. Okej, no to na razie.

Öberg odłożył słuchawkę i spojrzał Winterowi w oczy.

– Bingo. Mollis znalazł kulę. W drzewie. Wygląda na świeżą.

– Dobrze.

– Co teraz zrobisz?

– Pogadam z właścicielem auta, z tym Richardssonem.

– Może to on strzelał? – zasugerował Öberg.

– I niedoszła ofiara go kryje?

– Dlaczego nie? Był tam jeszcze ktoś trzeci, o ile się nie mylę.

– Może to nie wszystko – powiedział Winter. – Była tam jeszcze co najmniej jedna osoba.

– To brzmi wręcz obiecująco.

– To się nazywa zapał do pracy, Torsten.

Jan Richardsson spóźnił się dziesięć minut. Winter nie wiedział dokładnie, czym się zajmuje radny, ale nie chciał o to pytać.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać – powiedział Richardsson.

Winter skinieniem wskazał mu krzesło naprzeciwko.

– Proszę, niech pan siada.

Richardsson usiadł i rozejrzył się z zaciekawieniem.

– Nigdy tu nie byłem – stwierdził.

– To moje biuro rezerwowe – wyjaśnił Winter.

– Knajpa?

– Hm...

– Chce się pan czegoś napić?

– Nie, dziękuję. – Richardsson znów omiółł wzrokiem salę.

Winter podejrzewał, że się obawia, że spotka kogoś znajomego. Nie chciał go przyjąć w swoim gabinecie. To była delikatna sprawa. Chciałby wiedzieć dlaczego. Wystarczyło, że się przedstawił, żeby zaczął nalegać na spotkanie na mieście. I tak właśnie wychodził. Ach tak.

– Chciał mnie pan o coś zapytać – przypomniał Richardsson.

Pod wieloma względami wyglądał zupełnie normalnie: normalny wzrost, normalne włosy, nieszczególnie przerzedzone, normalny garnitur, może kupiony w Holmens Herr. Winter miał na sobie garnitur od Zegny. Wybrał go rano. Może żeby uczcić to, że głowa przestała go boleć.

– Co pan robił wczoraj między wpół do jedenastej wieczorem a północą?

– Słucham?

Winter powtórzył. Radny się namyślał. Zawsze tak jest.

– Byłem w domu.

– Okej.

Richardsson wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– To wszystko? – zapytał.

– Tak. Jeśli był pan w domu, to znaczy, że był pan w domu.

– Właśnie.

– Ale pański samochód był gdzie indziej.

– A gdzie?

– Hm...

– No więc gdzie był? – zapytał znów Richardsson. Nie sprawiał wrażenie mocno zainteresowanego odpowiedzią. W jego oczach pojawiło się coś, czego nie powinno w nich być.

Winter nie odpowiedział. Richardsson znów się rozejrzył,

jakby ktoś miał ich podsłuchiwać albo im się przyglądał. Potem przeniósł wzrok na Wintera.

– A tak, właśnie – powiedział. – Przecież go pożyczyłem.

– Komu?

– Takiemu jednemu znajomemu.

– Jak się nazywa?

Zgaduj-zgadula, pomyślał Winter. O to w tej pracy chodzi. Mówię jedno, ty mówisz drugie, a potem trzeba odgadnąć, o co tak naprawdę chodzi.

Richardsson wykorzystał tę pauzę, namyślał się. Może pożyczał samochód tabunom ludzi. Zresztą kto w dzisiejszych czasach pożycza samochód? Chyba wszyscy mają własne?

– Komu pożyczył pan samochód? – powtórzył Winter.

– Co się takiego stało? – odpowiedział Richardsson. – Czy coś się stało z moim wozem?

– O ile dobrze widziałem, nie.

– Gdzie on jest?

– W tym samym miejscu co przedtem.

– Gdzie?

Winter podał adres. Richardsson skinął głową.

– Właśnie, on go ode mnie wczoraj pożyczył.

– Kto? – zapytał Winter.

– Nazywa się Sellberg. Bengt Sellberg. Ale to pan już chyba wiedział, prawda?

– Dlaczego pożyczył od pana auto?

– Dlaczego? Pewnie potrzebował coś przewieźć. Jego samochód jest w naprawie.

– Gdzie?

– Ten warsztat? Nie wiem. Musicie o to zapytać Bengta.

Winter skinął głową.

– Dlaczego pan mi zadaje te wszystkie pytania? – nie wytrzymał Richardsson.

– Dziś w nocy przed domem Bengta Sellberga ktoś strzelał.

Wyraz twarzy Richardssona się nie zmienił, przynajmniej Winter nic takiego nie zauważył. Może był trochę zaskoczony, ale nie okazał tego. Politycy w ogóle rzadko okazują emocje. Przekonywał się o tym, kiedy zawodowo miał do czynienia

z politykami. Ale bywa, że emocje biorą się z wyrachowania.

– Strzały – powiedział Richardsson.

– Właśnie.

– Czy ktoś jest ranny?

– Nie.

– Co się stało?

– Był pan tam wczoraj w którymś momencie? – zapytał Winter.

– Ja? Nie.

– A gdzie pan był?

– Kiedy?

Winter podsunął mu kilka pór. Dał mu czas do namysłu.

– Jeśli chodzi o wieczór, to byłem w domu – powiedział.

– Cały wieczór?

– Tak.

Kłamał. Ewidentnie nie mówił prawdy. Łatwo to było zauważyć. Może politycy nie umieją tak dobrze kłamać? Choć jeszcze większy problem mają z prawdą. Ale Winter nie zamierzał kierować się przesadami.

– Kto może poświadczyć, że był pan w domu?

– Czy musimy o tym mówić? To jest... wręcz ponizające.

– Kto może poświadczyć? – powtórzył Winter.

– Chodzi panu o alibi?

Winter nie odpowiedział.

– Moja żona – wyrzucił z siebie Richardsson i wyjrzał przez okno. Przestał patrzeć Winterowi w oczy. Ulicą przeszła para w średnim wieku. Mężczyzna coś powiedział, kobieta skinęła głową. Przeszli na drugą stronę. Zaraz potem ulicą przejechał tramwaj.

Ona się nie odważy powiedzieć nic innego, jest jego żoną, pomyślał Winter. Liczy na nią. Wczoraj był w domu. Już to widzę.

20:55

WODA MOŻE BYĆ ZIELONA ALBO CZARNA. Błękitna może też. Biała. Wszystkie te kolory, ale na dnie jest czarna.

Nie ma tam żadnych innych barw. Choć czarny to nie żaden kolor, to przeciwieństwo koloru. Tak samo jak biały jest przeciwieństwem wszystkich kolorów.

Lubiła kolory. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić bezbarwnego świata. Co za nuda. Jak czarno-biały film pozbawiony treści. Tylko obrazy i ruch, i ludzie, którzy nie mają prawdziwego życia. Czy jak to nazwać. Nie wiedziała, co znaczy prawdziwe życie. Czy jest ktoś, kto to wie?

Pływanie pod błękitnym niebem było prawdziwym życiem. Ciepła woda. Była coraz cieplejsza, im dalej wpływała w głąb zatoki. To było dziwne. Może znów się ochłodzi, kiedy dotrze na drugą stronę. Chcę dopłynąć na tamtą stronę, pomyślała. Niedługo tam dotrę.

– Jak się znalazłaś na tym brzegu?

– Przyplłynęłam.

– Przyplłynęłaś? Skąd?

– Z drugiej strony wyspy.

Najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie.

– Niezła jesteś.

– Dziękuję.

– Nikt cię nie widział?

– Ja... myślałam, że nie.

– Wiesz, że nie wolno ci robić takich rzeczy?

– No...

– To się mogło źle skończyć.

– Umiem pływać. Potrafię długo płynąć.

Spojrzał na zatokę. Osłaniał dłonią oczy, żeby słońce go nie oślepiło. Wyglądało to tak, jakby słońce stało się obmywającą skały wodą.

Nie było tam nikogo, kto mógłby ją wołać. Miała dość wołania, czasem też krzyków. Że też nigdy nie mogła być sama. Tego najbardziej pragnęła. Pobyć sama. Nie chodziło o samotność, do tego była przyzwyczajona. Ale po prostu pobyć sama ze sobą. We własnym pokoju. Na własnej plaży. Nad własnym morzem.

– Możemy wrócić żaglówką – zaproponował. – Mam tu łódkę.

- Daleko? Nie mam butów.
- Nie. Tamtą wydeptaną ścieżką, przez krzaki. Nie ma po drodze skał.
- Ruchem głowy wskazał zarośla.
- Okej – powiedziała.

Pachniało świerkiem i sosną. Nie potrafiła stwierdzić czym. Pachniało słońcem, jeżeli słońce może mieć jakikolwiek zapach. Trudno coś takiego opisać.

Prawie nic nie było słychać.

Szedł przed nią, kilka razy odwrócił się i uśmiechnął. Ona też się uśmiechnęła.

– To wygląda prawie jak pokój – powiedział.

I właśnie wtedy pomyślała, że skądś go zna. Kiedy to powiedział. Kiedy się uśmiechnął.

– Czy ty tam pracujesz? – zapytała. – To znaczy... miałam na myśli... czy tam pracowałeś?

– Dlaczego pytasz? – zapytał. Teraz się nie uśmiechał.

– Nie wiem sama... tak mi się tylko wydawało, że cię skądś znam.

– Nie – powiedział zdecydowanie. – Nie znasz mnie.

Pomyślała, że to zabrzmiało dziwnie, te słowa. Skąd mógł wiedzieć, że go nie rozpoznała? Ale teraz wcale nie była taka pewna. Teraz jego twarz była jakby zmieniona. Znow się odwrócił i już nie widziała jego twarzy. Nadal nie było widać morza.

– Gdzie ta łódka?

Wskazał ręką.

– Naprawdę masz żaglówkę? – zapytała.

– Dlaczego miałbym nie mieć?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiem – odparła. – Dlaczego jej nie zostawiłeś po tej stronie?

– Za bardzo wieje.

– Nie zauważyłam.

Cały czas szedł naprzód. Rozmawiała z jego plecami.

– Daleko jeszcze? – zapytała.

RICHARDSSON WRÓCIŁ ZE SPOTKANIA Z WINTEREM i od razu sięgnął po telefon. Krawat zdawał się uciskać go w szyję.

– Co mamy z tym zrobić? – zapytał.

– Nic nie można zrobić. Nie zrobimy nic. Co mu powiedziałeś?

– Nic nie powiedziałem.

– A nie pytał?

– Nie, chyba nie był zainteresowany. Powiedział, że już mogę odebrać auto.

– Tak powiedział? Właśnie, nadal tu stoi.

– Wolalbym, żebyś mi je podrzucił do miasta.

– Gdzie chcesz je mieć?

– Tam gdzie zwykle.

– Okej.

– Potrzebuję go wieczorem.

– A co masz w planach?

– Bo co? Muszę podrzucić syna na hokeja.

– Znów zaczęli sezon?

– Tak.

– No tak, teraz wszędzie są kryte lodowiska. Można grać w hokeja cały rok. Zresztą może nawet kiedyś wpadnę popatrzeć.

– Na co?

– Jak gra, oczywiście.

Na Boga, czy to on trzymał tamten pistolet? Czy to on strzelał? Miał wrażenie, jakby stał obok i przyglądał się sobie samemu, jak unosi broń.

A tamten... co on tam robił? Skąd się wziął? Tak po prostu się tam zjawiał.

No a potem cała reszta.

Nadal miał ten pistolet.

Właściwie go nie użył.

Ale teraz oni przynajmniej wiedzieli. Że umie strzelać. Może myśleli, że to był test. Bo to był test. Nie wiedział na co, test czego. W każdym razie test. Popatrzył na broń. Była czarna, wyglądała groźnie. I ja muszę tam wrócić. Albo gdzie indziej. Czy on zrozumiał ostrzeżenie? Może się przeprowadzi na drugą półkulę. Czy wtedy będę musiał jechać za nim?

Christian Lejon stał w oknie swojego mieszkania. Obok stanął jego gość. Na zewnątrz tysiące robotników pracowało przy budowie nowej dzielnicy.

– Cholera, ile jeszcze to będzie trwało? – zapytał gość.

– Całe lata.

– Jak ty to wytrzymujesz?

– Człowiek się przyzwyczaja. Poza tym to daje poczucie anonimowości. – Odwrócił się do tamtego. – Można wchodzić i wychodzić, kiedy się chce, i żaden palant się nie interesuje.

Gość wskazał na fundamenty, na zwały gliny, na beton i puste przestrzenie, które miały zostać zabudowane. Nad wszystkim górowało jakieś monstrum.

– A to co takiego?

– Suwnica. Wielki dźwig w stoczni Eriksberg.

Słońce odbijało się w jaskrawożółtej konstrukcji. Dźwig wyglądał, jakby był żywy.

– Pamiątka – stwierdził Lejon. – Pamiątka z dawnych czasów.

– Na swój sposób jest piękny.

– Oczywiście.

– Nie masz czasem wyrzutów sumienia, kiedy na niego patrzysz, Christianie?

– Dlaczego?

– Przypomina o ucziwej pracy.

– Tak, masz rację.

– Pot i krew.

– Krew?

– Praca stocznio-wca jest niebezpieczna.

– Skąd wiesz?

– Czytałem o tym.

– To gówn-o wiesz – stwierdził Lejon. – Gówn-o czytałeś. Mój

ojciec był stoczniovcem.

– Tego nie wiedziałem.

– Tutaj, w Eriksbergu.

– O kurwa.

– Zginął tutaj.

– Co ty mówisz?

– Spadł z rusztowania.

– To bardzo przykre.

– Dlatego chciałem tu mieszkać.

– Naprawdę?

– Dlaczego to by nie miała być prawda? Co?

– Sam nie wiem.

– Myślisz, że kłamię, co?

– Ależ skąd, nie. Uspokój się. – Gość odwrócił się od okna. –

Miałeś mi coś pokazać, Christianie. Sporządziłeś nowy plan naszego interesu.

Ból zaatakował, kiedy zamknął za sobą drzwi. Nagle ceglane ściany korytarza tchnęły grozą, jakby chciały go skrzywdzić. Nigdy mu się te ściany nie podobały, nie rozumiał, dlaczego muszą tak wyglądać. Co architekt miał na myśli? Czy była w tym jakaś symbolika, której nie rozumiał?

Przytrzymał się ściany.

– Co ci jest, Eriku?

Zobaczył przed sobą twarz Anety. Była niewyraźna. Kiepsko widział lewym okiem, to tam siedział ból. Twarz Anety przypominała raczej cień.

Ból się wycofał.

– Już dobrze, Aneto.

– Dobrze? Przecież widzę, że nie jest dobrze! Jak się czujesz?

– Lepiej niż minutę temu.

Masował sobie czoło nad lewym okiem.

– Dlaczego nie pójdziesz do lekarza?

– To tylko jakaś... migrena.

– Miewałeś wcześniej migreny?

– Kiedy wcześniej? O co ci chodzi?

– Kiedy byłeś młody, młodszy. Wcześniej. Rozumiesz chyba,

co mówię?

W jej głosie słyhać było irytację. Winter nie przypominał sobie, żeby ją widział zirytowaną.

– Nie wiem – powiedział, opuszczając dłoń.

– Co mówi Angela?

– A co ma mówić?

Aneta jakby westchnęła.

– Latem zawsze szybko przechodziło, a teraz to był tylko mały atak.

– Mały atak?

Poszedł. Aneta się nie ruszyła.

Nie czuł w głowie nic. Mały atak. To się nie powtórzy. Po co miałby iść do lekarza? Ma już jednego w domu. Może mu coś wypisać. Człowiek może dostać migreny w każdym wieku. Jego mamusia miewała migreny.

Od rzemyczka do koniczka. Tak to leciało? Jego matka często to powtarzała. Dobrze pamiętał kuchnię w Kungsladugård. Pamiętał tatę wracającego wieczorem ze stoczni. Czasem wychodzili mu na spotkanie, do Klippan. Kiedy prom ze wszystkimi robotnikami ze stoczni w Eriksbergu był w drodze. Zaczynał machać, zanim jeszcze statek odbił od brzegu po drugiej stronie! Mama się śmiała. Tamtego wieczoru oczywiście też machał. Machał nieżyjącemu ojcu. Taty nie było na pokładzie. Wszyscy wyszli, a oni z mamą stali i czekali, póki prom nie ruszył. Jakby tata mógł przyjść po wodzie. Mama pytała różnych ludzi, ale odpowiadali coś niezrozumiałego. Wtedy nie było telefonów komórkowych. Nie mieli nawet zwykłego telefonu. Musieli czekać. W końcu ktoś przyszedł do domu, do domu przy Stilla gatan. Ciągłe miał w pamięci ciszę, która potem zapadła. Miała nigdy nie zniknąć. Zawsze nosił ją w głowie. Zawsze w środku była cisza, nie mógł się od tego uwolnić. Nawet kiedy otaczał się dźwiękami, głośnymi dźwiękami. Uciekł nad morze albo tak blisko, jak tylko mógł. Potem. Tam była cisza, przed którą nie musiał uciekać. Godzinami mógł się wsłuchiwać w morze. Żył w nim. Widział w nim śmierć.

Berghem zapukał i wszedł. Winter spojrzął znad laptopa. Szukał broni. Było tego mnóstwo. Mogliby w Göteborgu usypywać góry z broni. Napływała do miasta jak rzeka i morze. Nowe skały, granie. Wąwozy. Panasonic grał trio Larsa Janssona *The sky is there*. Niebo było za oknem. Słońce ukryte za domami właśnie zniżało się do morza. Winter widział, jak chowa się za poszarpany horyzont stworzony przez dachy miasta. Nie czuł bólu. Panował absolutny spokój. Nie tęsknił do żadnego innego miejsca. Akurat w tej minucie.

– Masz minutę? – zapytał Berghem.

– Naturalnie – powiedział Winter i opuścił klapę laptopa. – Siadaj.

Berghem usiadł i uśmiechnął się blado. Ale w jego oczach nie było uśmiechu. Już od dawna. Winter to zauważył. Chodził ponury jak chmura gradowa. Od czasu do czasu mu się to zdarzało, odkąd Winter go znał, ale w ostatnim czasie ta chmura była większa. Widać to było od dawna.

– Czy mogę ci w czymś pomóc, Lars?

Berghem spojrzął na niego. Czarna chmura wisiała nad jego głową, Winter niemal ją widział. Może wkrótce zacznie padać. Nie chciał powodzi w swoim pokoju.

– Mów, co się dzieje – powiedział Winter.

– To zabrzmiało jak przesłuchanie – stwierdził Berghem.

Winter dostrzegł w jego oczach ból. To nie był ból głowy.

– Czy to coś z pracą, Lars?

– A co by to miało być innego?

– Nie wiem. Praca to nie wszystko.

Teraz Winter musiał się uśmiechnąć.

– Myślę o tym, żeby się zwolnić – wyrzucił Berghem.

Powiedział to tak szybko, jakby te słowa musiały paść już, natychmiast. Tak bywa, kiedy człowiek bardzo długo nosi się z jakąś myślą. Winter może się tego spodziewał. Nie był w szoku. Ludzie się zwalniają. To się zdarza w każdym zawodzie. Szuka się czegoś innego. Życie nie jest prostą drogą, wytyczoną, kiedy się miało dwadzieścia parę lat. Nie powinno być. Ale nie chciał stracić Larsa.

- To nie pierwszy raz, prawda?
- Prawda.
- Ale wcześniej nic mi nie mówiłeś.
- Nie mówiłem.
- Więc dlaczego teraz?
- Nie wiem, Eriku. Naprawdę nie wiem.
- Pierwszy raz straciłbym pracownika – stwierdził Winter. –

W roli szefa, po Sturem.

- Wiesz przecież, że to nie ma z tym nic wspólnego.
- A z czym ma coś wspólnego, Lars?
- Nie wiem, już mówiłem.

Berghemem sprawiał wrażenie, że chce wstać, ale siedział dalej, osunął się niżej na niewygodnym fotelu. Czas nagle zaczął biec szybko. Coś się działo tu i teraz, może to miało dla tego faceta przełomowe znaczenie. Jego twarz wyglądała tak samo jak zawsze. Winter widywał go niemal codziennie przez dziesięć lat. Wtedy się nie zauważa, że ktoś się starzeje. Lars zawsze miał pozostać w zespole młodziakiem, którym był od początku. Teraz wcale nie był najmłodszy w wydziale, ale był najmłodszy dla Wintera. Winter pomyślał, że może chciałby, żeby ich relacja rozwinęła się w coś podobnego do tego, co jego łączyło z Ringmarem. Bertil się nim opiekował, więc on próbował zaopiekować się Larsem. Nie jak ojciec, raczej jak starszy brat. Nie wiedział, czy Lars ma starszego brata. Nigdy o tym nie rozmawiali. Nie wiedział prawie nic o jego pochodzeniu, rodzinie. Chyba poniosłem porażkę, jeśli Lars chce ode mnie odejść. Tak to widział. Odejść od niego. Nie z wydziału. To coś osobistego. To nieprofesjonalne.

– Po prostu straciłem chęć do pracy – powiedział Berghemem.

- Stało się coś szczególnego?
- Nie.
- Od dawna tak się czujesz?
- Może.
- To nie jest dobra odpowiedź, Lars.

– Nie mam dobrej odpowiedzi, Eriku. Właśnie to jest problem.

– Czasem nie ma dobrych odpowiedzi – stwierdził Winter. – Dobra, dajmy sobie spokój z odpowiedziami. Chcesz trochę wolnego?

– Nie.

– Dlaczego?

– Na to też nie mam dobrej odpowiedzi.

– Mógłbyś побыć trochę w domu, z rodziną.

Bergnhem się nie odezwał.

– A jak z rodziną? – zapytał Winter tak łagodnie, jak tylko potrafił.

– Wszystko dobrze.

– Ada chyba niedługo skończy jedenaście lat?

– Tak.

– Słyszałem, że chodzi na konie do Alleby.

– Tak, skąd wiesz?

– Już nie pamiętam. Ale Elsa też chciałaby zacząć jeździć.

Mógłbyś nam coś doradzić?

– Nie wiem, Eriku.

– Ja się boję koni – dodał Winter.

– Ja też.

– Miałem nadzieję, że nam pomożesz.

– Niestety.

– Może moglibyście przynajmniej pojechać z nami pierwszy raz. Ty i Ada.

– Chyba wyniosę się z miasta – powiedział Bergnhem.

– Co?

– Chyba wyniosę się z miasta.

– Teraz to mnie naprawdę zszokowałeś. Wyprowadzić się z Göteborga? Czy ludzie w ogóle robią coś takiego?

– Nie umiem żartować na ten temat – rzucił ponuro Bergnhem.

– Ale ja nie żartuję. Dokąd mielibyście się przeprowadzić?

– Ja... wyprowadziłbym się sam.

– Rozmawiałeś o tym z Martiną?

– Nie, jeszcze nie.

Zadzwonił telefon. Winter rozważał, czy go nie zignorować. Bergnhemowi ulżyło, kiedy usłyszał ostry dźwięk dzwonka.

Przyszedł, żeby porozmawiać, ale już nie chciał siedzieć u Wintera. Winterowi nie udało się poprowadzić rozmowy. Mógł zrzucić winę na telefon. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Wygląda na to, że to ta sama amunicja, Eriku – powiedział Öberg. – Takie są przynajmniej wstępne wyniki.

– Ta sama co na moście?

– Tak. Kaliber siedem sześćdziesiąt dwa. Pistolet TT. Siedem sześćdziesiąt dwa razy dwadzieścia pięć.

– TT?

– Tak. Przypomina kaliber dziewięć, ale to tetetka.

Winter spojrział na laptop. Zanim Bergenhem zapukał do jego drzwi, czytał o pistoletach TT. Dużo ich teraz było w Göteborgu.

– Więc mówisz, że pocisk tego samego typu co ten, który znaleźliśmy w aucie na moście Älvsborgsbron, tkwi w ścianie domu Sellberga.

– Znaleźliśmy więcej – uzupełnił Öberg. – Jeszcze dwa w domu i jeden w drzewie z tyłu. Wszystkie pasują.

– Okej.

– I jeszcze łuskę w zagajniku.

– Dobrze. Choć to trochę zaskakujące.

– Wygląda na amatorszczyznę, to masz na myśli?

– Tak.

– W każdym razie zaraz je wysyłam do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

– Hm...

– Mamy szczęście, że to ta sama broń.

– Czasem ma się szczęście.

– To nie jest sprawa priorytetowa, Eriku. Nie mogę ich ponaglać. TT to nie jest rzadki model. Możemy potem zlecić priorytet. Zobaczymy, jak się potoczy śledztwo. Na razie.

Winter odłożył słuchawkę. Bergenhem wstał. Winter też się podniósł.

– Ta sama amunicja – powiedział. – Właśnie, sam zresztą słyszałeś.

Bergenhem skinął głową.

- To byłoby bardzo przykre, gdybyś nas opuścił, Lars. Bergenhem się wzdrygnął.
- Zacząłem się nad tym zastanawiać.
- Gdzie chciałbyś pracować?
- Myślę, że... nie chcę już być policjantem.
- Więc o czymś myślałeś?
- Do tego jeszcze nie doszedłem.
- Co ci najbardziej przeszkadza w tej pracy?
- To dość bezpośrednie pytanie.
- Powiedz coś.

Spojrzenie Bergenhema wybiegło przez okno. Niebo nad fasadami domów było intensywnie żółte. Znów spojrzał na Wintera.

– Trupy – powiedział. – Nie chcę już oglądać martwych ludzi. Albo prawie martwych.

– Co masz na myśli? Prawie martwych?

– Hm, co mam na myśli... Czasami człowiek ma wrażenie, że w tej pracy jest się zawsze w świecie martwych albo prawie martwych. Jak w jakiejś dolinie śmierci. Tak często chodzi o śmierć. Zawsze chodzi o śmierć. Tak właśnie teraz myślę. A jeśli nie o śmierć, to prawie o śmierć. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Wydaje mi się, że rozumiem, co masz na myśli – powiedział Winter.

– A to jest przecież moje życie – ciągnął Bergenhem, jakby go nie usłyszał. – To moje życie, ale przeważnie chodzi o śmierć.

– Też tak kiedyś myślałem.

– Ty miałeś możliwość... się wyrwać, Eriku.

– Ty też możesz to zrobić.

– Nie wiem, czy mi to wystarczy.

– Spróbuj.

– Ale co miałbym zrobić?

– Możesz pomieszkać u mojej matki, w Hiszpanii.

– To żart?

– Nie. Zapowiadała niedawno, że przyjedzie do Szwecji. Chciałaby pomieszkać w kraju trochę dłużej. Dom będzie stał pusty.

- Chcesz się mnie pozbyć?
 - Czy teraz mam z ciebie jakiś pożytek?
- Bergnhem nie odpowiedział.
- Zabierz ze sobą rodzinę i jedź na kilka tygodni na południe. Zobaczysz, jak się będziesz czuł.
 - Nie stać mnie na to.
 - Jasne, że cię stać.
 - Kiedy ty o tym mówisz, wszystko jest takie proste.
 - To chyba dobrze?
 - Ada chodzi do szkoły.
 - Możesz ją uczyć w domu.
 - Żartujesz?
 - Absolutnie nie.
 - Martina pracuje.
 - Chcesz ją zabrać?

Bergnhem znów się wzdrygnął. Był zagubiony. Winter chyba to wyczuł. To nie było takie proste. To nigdy nie było proste. Można było udawać albo próbować. Czasami prostota była czymś dobrym, ale istniały różne jej rodzaje. Najlepsze były te, po których sprawy stawały się jaśniejsze.

To nigdy nie było proste, nigdy nie było łatwe. Zresztą nikt tego nie obiecywał. Ona też o to nie prosiła. Po prostu robiła to, co wydawało się dobre. Bycie z nim było dobre. Wspólne życie.

A teraz już nie wydawało się dobre. Nie wiedziała dlaczego.

Pod pewnymi względami zdawało się nawet bardzo niedobre. Sama nie potrafiła zrozumieć własnych uczuć. Teraz. Teraz, kiedy Fredrik zaczął dojrzewać i stawać się mężczyzną. Kiedy stał się mężczyzną. Kiedy wszystkie frustracje i... mary zaczęły blednąć. Kiedy ten koszmar zaczął ustępować miejsca czemuś innemu.

Wtedy ona nagle straciła pewność.

Wtedy ona przestała być szczęśliwa.

Jak gdyby nagle znów zapragnęła być sama. Żyć sama. Chodzić spać sama, budzić się sama.

Boże, jak by się to odbiło na pracy? Dałoby się w ogóle pracować?

Ale to nie to było ważne.

Ważni byli oni. Ona i Fredrik. I Hannes, i Magda. Rodzina. Kiedy o tym pomyślała, rozplakała się. I właśnie wtedy on wszedł do kuchni.

– Co się dzieje, Aneto?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do okna. Tam, po drugiej stronie, była tylko resztką świata. Tak się właśnie czuła. Tylko niewielka resztką. Wszystko, co było ważne w jej życiu, znajdowało się w tej kuchni. I działało się to właśnie teraz. Teraz się decydowało.

– Aneto?

Odwróciła się do niego.

– Ja... nie wiem, Fredriku.

– Coś się dzieje. Przecież widzę. Nie jestem aż tak głupi.

Nie odpowiedziała.

– Coś powiedziałem? Może coś zrobiłem?

Potrząsnęła głową.

– Więc nie. Ale musisz mi powiedzieć, o co chodzi, Aneto. Dłużej nie może tak być.

– Nie może.

– Co mamy powiedzieć? Co my możemy zrobić?

– Nie wiem, Fredriku.

– Masz mnie już dość?

Nie odpowiedziała.

– Masz mnie już dość, Aneto?

– To... nie jest takie proste.

– Ach tak? Czy właśnie tak nie jest? Czy to nie jest tak cholernie proste? Że nagle tak po prostu można mieć kogoś dość?

– Nie mów już nic, Fredriku.

– Nie? Dobrze. Już nic nie powiem. Teraz ty musisz coś powiedzieć.

– To... sama nie wiem. Muszę... trochę pomyśleć.

Zdawała sobie sprawę, jak żałośnie to zabrzmiało. Jak banał, tylko i wyłącznie. Jakie to musiało być uczucie – usłyszeć coś takiego. Jakby się miało czekać na wyrok: Teraz przemyślałam wszystko do końca, będzie tak i tak.

- Pomyśleć o czym?
- O tym... co tu mówimy.
- A o czym my tu mówimy?

Nie odezwała się.

- Może powinniśmy to sobie wyjaśnić – powiedział Halders.
- Wtedy od razu poczułbym się trochę lepiej. Ty może też.
- Ja... sama dobrze nie wiem, o czym mówię, Fredriku.
- Ach tak?
- Tego nie można tak po prostu powiedzieć.
- Mam to powiedzieć za ciebie?
- Co chcesz powiedzieć?
- Że chcesz mnie zostawić. Że masz dość starego nudnego Fredrika i jego bachorów.

– Nigdy bym tego nie powiedziała. To nieprawda.

Znów zaczęła płakać.

– Ale czy nie o to właśnie chodzi? – zapytał. – Czy to nie jest początek końca?

Mówił teraz ciszej. Usiadł na krześle.

– Ile czasu potrzebujesz? – rzucił.

Część druga

11

PRZESZEDŁ TYSKA BRON NAD KANAŁEM. Zegary kościoła Świętej Krystyny za jego plecami wybiły piątą. Zmierzch opadał jak jeden z dźwięków. Od strony Packhuskajen dął wiatr. Winter zdrzął. Wiele rzeczy lubił w Göteborgu, ale wiatr do nich nie należał. Wiało prawie zawsze. Dlatego właśnie miasto nie stało się metropolią. Ludzie prędzej czy później uciekali. Zeszłej nocy śnił mu się płonący samochód. Stał na moście. Nie pierwszy raz widział ten samochód we śnie. Most piętrzył się wysoko nad wodą. Wydawało mu się, że rozpoznaje filary przy podporach. Wyglądały jak wyciągnięte ku niebu ramiona. Trochę dalej były inne ramiona. Sięgały w niebo jeszcze wyżej. Były ze sobą połączone, jakby się zwały przez jedno potężne ramię leżące w poprzek. Ogromne ramię. Wszystko miało intensywnie żółty kolor, jak płonący samochód. Przeleciał wprost nad nim. Miał skrzydła. Samochód był pochodnią w środku czerni. Słyszał krzyk. Widział, jak coś spada. Widział jakiś statek, prom, oświetlony jak w pożarze. I znów ramiona. Próbowaly go schwytać, złapać i wciągnąć w przepaść. Widział, że w dole ktoś płynie. Dziewczynka. Obudził się zły potem, wstał, poszedł się wysikać, napił się wody i siedział jeszcze chwilę w ciemnej kuchni.

Szedł, zapadał zmierzch. Miała nadejść kolejna noc z kolejnymi snami. Inne życie, w którym widzi się dużo więcej.

Na Västra Hamngata zadzwoniła jego komórka.

– Tak?

– Cześć, Eriku! To ja.

– Cześć, mamó.

Mama, prosto z Nueva Andalucía, z Nowej Andaluzji. Dawna bieda nadal tam była. Nowe były pola golfowe i może to, co

ludzie pili. Nowi Andaluzjczycy pili dzin z tonikiem, dawni sherry, malagę i rum Montilla. Ale Siv w ostatnich latach ograniczyła picie, po śmierci Bengta Wintera w Hospital del Sol pod Marbellą. Jego syn był wtedy na miejscu. Wtedy widzieli się po raz ostatni, rzecz jasna. Ale dla Wintera to było jak pierwszy raz. A potem wszystkie możliwości przepadły. Nic już nie było możliwe. Nawet fantazja nie mogła pomóc. Człowiek był albo żywy, albo martwy. Nie było nic pomiędzy. Przynajmniej on tak uważał. Nie było czegoś takiego jak prawie martwy.

– Co słyhać, Eriku? Jak się miewacie?

– Wszystko dobrze.

– A jak dziewczynki?

– Z nimi też wszystko dobrze.

– Pomyślałam, że przyjadę do domu na trochę.

– Tak, słyshałem o tym. Tylko nie wiem dlaczego.

– A musi być powód?

– Nie, nie.

Słyshał jej lekko chrapliwy oddech i nagły charczący śmiech. Nagle przyszło mu do głowy określenie wisielczy humor. Siv Winter paliła papierosy długo po tym, jak ostrzeżenie na paczce powiedziało jej, że jeśli nie przestanie, umrze. To był wisielczy humor. Kciuk w górę pokazany katowi zakładającemu pętlę na szyję wisielca. Szeroki uśmiech u obydwu: wszystko będzie dobrze.

– Tęsknię za wami.

– Hm...

– Właściwie to wy powinniście się przenieść tutaj. W klinice codziennie pytają o Angełę.

– Codziennie bywasz w klinice?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– A co ja bym tam robił? Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, mamo.

– Mógłbyś się odprężyć.

– Przecież niedawno całe pół roku spędziliśmy w rajku lenistwa. Już bardziej nie mogę się odprężyć.

– Wcale nie słyshażę, żebyś był odprężony.

Nie odpowiedział. Kiedy się pożegnają, wejdzie do Morrisa i napije się czegoś. Knajpa znajdowała się zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Był odprężony, ale miał się odprężyć jeszcze bardziej. Dla pewności zapali jeszcze przed wejściem corpa. Zatrzymał się na wprost katedry. Przed chwilą słyszał dzwony również stąd. Niższy dźwięk niż dzwony Krystyny, cięższy. Może to przywilej katedry.

– Więc zjeżdżasz do domu – powiedział.

– Właśnie. Dzwoniłam przed chwilą do Lotty i ona od razu powiedziała, żebym przyjeżdżała. Mogę mieszkać u nich. Ile chcę.

– Świetnie.

Wiedział, że powinien się natychmiast wykazać taką samą gościnnością, ale wiedział, że ona wie, że on wie, że ona wie, więc nic nie musiał mówić. Tyłu rzeczy nie trzeba mówić. Może kiedyś ludzie wymyślą nowe sposoby komunikacji. A może zredukują już istniejące. Mowa jest największym osiągnięciem człowieka, to dzięki niej w ogóle jest człowiekiem, ale teraz prawie wszystko jest zepsute. Gadanie bzdur zniszczyło komunikację, pomyślał. A ja przecież jestem człowiekiem małowównym. Lepiej nie otwierać gęby i używać znaków. Tak będzie. Mówienie idzie za wolno, w przyszłości nikt nie będzie miał na to czasu. A to jednak jest przyszłość, pomyślał. Ta historia rozgrywa się w przyszłości.

– Myślałam o niedzieli – powiedziała matka. – Albo o poniedziałku. Właśnie dzwoniłam do biura podróży.

– Zapraszamy.

– Może zostaną trochę dłużej.

– To świetnie.

– To znaczy naprawdę długo. Zastanawiałam się nawet, czy nie znaleźć sobie jakiegoś mieszkania.

– To byłoby miłe.

– Nie brzmisz, jakbyś to uważał za coś miłego.

– Naprawdę tak uważam, mamó.

– Dobrze, jeszcze zobaczymy. Ale ja... chciałabym częściej widywać dziewczynki. Elbę i Lilly, no i oczywiście Bim i Kristinę. To trochę, jakbym... coś się dzieje z człowiekiem,

kiedy się starzeje. Jakbym miała wyrzuty sumienia, że tak rzadko widywałam Bim i Kristinę, kiedy były małe. Nie chcę popełnić tego samego błędu z Elszą i Lilly.

– Nie sędzę, żeby one tak to odbierały. Przecież spędziłyście ze sobą niedawno bardzo dużo czasu.

– Bo tu przyjechaliście, to prawda. Ale przecież nie zawsze tak może być.

– Nie słyszałem, żeby Bim i Kristina się skarżyły, że cię nie widują – powiedział Winter.

– No właśnie, sam powiedziałaś, że mnie nie widują.

– Nie to miałem na myśli.

Właściwie sam nie wiedział, co miał na myśli. Sam przez wszystkie te lata nie widywał córek Lotty zbyt często. Ostatnio prawie się nie spotykał także z Lottą. Nawet myślał o tym niedawno. Może miał wyrzuty sumienia. Może to kwestia wieku. Coś się dzieje z człowiekiem, kiedy się starzeje.

– Lotta chyba... ma teraz trochę kłopotów – powiedziała matka.

– Ach tak?

– Nic ci nie mówiła?

– Nie, a co masz na myśli? Coś szczególnego?

– Nie, nie powiedziała nic otwarcie. Ale nie brzmiała dobrze.

– Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

– Tylko nie o tym i nie zaraz. Bo to by wyglądało tak, jakbym ja cię poprosiła.

– I tak zamierzałem się do niej wybrać jakoś w tygodniu – skłamał Winter.

– W takim razie zrób to...

– Zadzwoń, kiedy będziesz znała dokładną datę, mamo.

Wypił springbanka w Morrisie. To była niebieska godzina. Był w barze sam. Tak powinno być zawsze. Sam w barze, szara godzina, sobota przez cały tydzień. Świat za oknem powoli rozpuszczał się w alkoholu. Nie potrzeba było wiele. Zadzwoił do domu.

– Siedzę u Morrisa. Możesz przyjść?

– To żart?

– No wiesz...
– Mam wziąć ze sobą dziewczynki?
– Dlaczego nie?
– Żeby mogły zobaczyć ojca. Wezmę dzieci do baru, żeby przynajmniej od czasu do czasu spotkały się z tatusiem.
– Tu jest bardzo przyjemnie – powiedział. – I pusto. Nikogo nie ma. I mają kredki.

– Kredki?
– Tak, kredki, można rysować. Można malować różne śmieszne ludziki.

Angela zaśmiała się do słuchawki. Zabrzmiała niemal tak chrapliwie jak Siv, choć nigdy nie paliła, przez całe życie ani jednego papierosa.

– Możesz narysować kolację – powiedziała. – Tutaj nie ma nic. Mógłbyś po drodze do domu przejść przez halę targową.

– Morris ma dobre jedzenie.
– Ile już wypileś?
– Tylko jedną whisky. Przecież nie ma nawet szóstej. Zamówię dla was taksówkę.

– Eriku...
– Mama dzwoniła. Może przyjedzie w weekend.
– Ach tak?
– Sumienie nie daje jej spokoju. Chce zobaczyć wszystkie swoje wnuczki.

– Dziewczynki się ucieszą.
– Rozmawiałaś ostatnio z Lottą?
– Nie... tak... dlaczego?
– Mama podejrzewa, że nie czuje się dobrze.
– A ty rozmawiałaś z nią ostatnio?
– Chyba minęło już kilka tygodni.
– Może powinieneś się odezwać?
– Zamierzam. Zadzwońię dziś wieczorem.
– Skąd?
– Co?
– Z baru czy z domu?

Winter zakręcił szklanką. Niestety była już pusta. Widział, że jakaś większa grupa stoi niezdecydowanie za wielkimi oknami.

Wyglądali, jakby patrzyli na niego. Gapili się na niego. Nagle poczuł się jak celebryta. Zresztą w pewnym sensie był celebrytą. *Go away*. To miejsce nie jest dla was. Wyglądali jak urzędnicy lokalnego szczebla, może ludzie z agencji reklamowych, dziennikarze. Nie dało się odróżnić jednego od drugiego. Wszyscy wyglądali mniej więcej tak samo debilnie. Pewnie zaraz tu wejdą i po paru kieliszkach ich wycofana, drewniana powściągliwość zamieni się w kanciastą radość życia, na którą tak samo przykro patrzeć. Właśnie weszli. Piskliwe głosy kobiet, prostacki rechot mroził mu krew w żyłach.

– Z domu – powiedział do słuchawki. – Skoczę do Saluhallen i przyniosę do domu kawałek cielęciny.

Ten wieczór zapowiadał się źle od początku, już kiedy Winter przyrządzał kotlety cielęce. Zdażył je opanierować z jednej strony. Ból głowy ścisnął mu płyty czołowe z taką siłą, że o mało nie zemdlął. Chwycił się blatu. Światło nagle wydało mu się zbyt silne, choć wcale takie nie było, paliła się tylko lampka przy okapie. Nad lewym okiem poczuł ból. Nagle zaczął wędrować z jednej strony na drugą. Jakby w jego głowie coś grało w tenisa, Federer kontra Federer, bach-bach-bach. Tym razem nie było ostrzeżenia. Żadnej informacji o tym, że ten cholerny mecz się odbędzie. Nie widział błysków ani zygzaków. Słyszał dochodzące skądś głosy Angeli i dzieci. Pole widzenia się skurczyło. Kiedy załała go fala bólu, trzymał się całej kuchni. Znowu usłyszał ich głosy.

– Było ich tam kilku. Było tam coś dziwnego.

– Dlaczego?

– Właśnie to próbuję zrozumieć.

Jacob Ademar znowu chwycił szklanke. Ludzie przechodzili obok za wielkim panoramicznym oknem. Czuł się jak ryba w akwarium. Choć nikt na niego nie patrzył. Jego wydawca, Stefan Fors, pił piwo. Już trzecie. Na dworze prawie zapadł zmierzch. Był wieczór. Bary już nie były takie puste. Były tylko mniej lub bardziej zachęcające. Ten tutaj nie był zbyt

zachęcający. Może wypił za mało whisky albo niewłaściwy gatunek.

– Czy ona płynęła? Płynęła cały czas? Cały czas o tym myślę.
– Ademar znów łyknął ze szklanki, na dnie była resztką whisky. Będzie musiał zamówić jeszcze jedną, tylko inną. – Czy była tam jakaś łódka i się zabrała?

– Widocznie nikt tego nie wie – powiedział Fors.

– To prawda.

– Co się potem z nimi stało?

– Z kim?

– Z tymi, co tam byli. Z chłopakami, którzy tam byli.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, kto to był. Czy to byli sami chłopcy.

– Nie można się jakoś takich rzeczy dowiedzieć?

– Próbuję.

– Chcesz jeszcze jedną whisky?

– Tak, chętnie.

– To samo?

– Dlaczego nie?

Fors dał znak kelnerowi, który właśnie obsługiwał stolik w głębi. Wskazał palcem na szklankę Ademara. Kelner skinął głową.

Ademar przyglądał mu się, kiedy odchodził od ich stolika.

– Więc potem po prostu zniknęła? – zapytał Fors.

– Tak, na zawsze – powiedział Ademar.

Słup ognia spadał przez noc, nie, kula ognia. Wylądowała w wodzie. Winter słyszał jakby walenie kafara. Wybuch. Most położył się na boku. Unosił się na wodzie jak lotniskowiec. Jakiś samochód stał na moście, na statku. To było możliwe, ponieważ działo się we śnie. Skąd on to wiedział? Takich rzeczy nie powinno się wiedzieć, kiedy się śni. Po obu stronach statku woda była spokojna. Ktoś płynął przez ogień. Widział głowę. Płonęła. To była kula. To była płonąca głowa. To ja, pomyślał. Ale to była kobieta. Choć dalej myślał, że to on. To był on i ona zarazem. Poznawał jej twarz. Nie wiedział, skąd ją znał. Zniknęła pod powierzchnią. Już nigdy jej nie zobaczę,

pomyślał. W jego głowie zaczęło się palić. Samochód na moście zaczął się palić. Drzwi były otwarte, silnik na jałowym biegu. Świtało. Słońce zaczynało się wynurzać miliony mil dalej, na wschodzie. Przednie drzwi samochodu ruszały się na wietrze. To był nieskończenie samotny samochód. To była nieskończenie samotna scena. Wszyscy ludzie zniknęli z ziemi. On był słupem ognia oświetlającym scenę. Był kulą. Był słońcem.

– AAAAJJJJ!

Obudził go własny krzyk.

– NIEEEEE!

Poczuł dotyk dłoni na czole. Była chłodna na jego rozgrzanej skórze. Jego skóra nadal płonęła. Wszystko wokół było czarne. Stracił wzrok.

– Eriku.

– Oślepiłem!

– Eriku.

– Nic nie widzę!

Odwrócił się w stronę jej głosu. W mroku pojawiło się światło. Zapaliła nocną lampkę po swojej stronie.

Znowu widział!

Jej dłoń nadal spoczywała na jego ramieniu. Powinna być poparzona, pomyślał. Cały był zlany potem. Włosy kleiły mu się do głowy.

– Widziałem ją – powiedział, wycierając czoło. Ból głowy gdzieś się podział, choć to na pewno przez niego się obudził. Gdyby teraz usiadł, byłby obolały, jakby w nocy ktoś go pobił, jakby się wdał w bójkę.

– Kogo widziałeś? – zapytała.

– Nie wiem...

Usiadł ostrożnie. Był nagi. Jego ubranie leżało na krześle, w cieniu.

– Jak się znalazłem w łóżku? – zapytał.

– Nie pamiętasz?

– Nie. – Prawą dłonią przesunął po czole. Skóra nadal była rozpalona i wrażliwa. Przeciągnął dłonią po twarzy. – Pamiętam, że byłem w kuchni. Robiłem sznycle po wiedeńsku.

– Spojrzał na nią. – Co się z nimi stało?
– Trochę zjedliśmy, Eriku.
– Ty je dokończyłaś? Przecież nie umiesz robić sznycli wiedeńskich?
– Musimy wreszcie coś zrobić z tym twoim bólem głowy – powiedziała Angela. – Zająć się nim na poważnie.
– Przedtem to było na żarty?
– To nie jest zabawne, Eriku.
– A kto powiedział, że boli mnie głowa?
– Czy ty jesteś kompletnym idiotą!? A może mnie uważasz za idiotkę!?

– Cśśś... Nie obudź dziewczynek.
Angela gwałtownie odwróciła głowę.
– Co masz na myśli, Angelo?
– Nie możesz się dalej z tym kryć. Ukrywać prawdy. Mówisz, że nic ci nie jest. Ale ja potrafię rozpoznać atak migreny, kiedy go widzę.
– Migreny?
– Migreny, tak.
– To może być tumor.
– Ach tak?
– Guz przysadki.
– Dlaczego tak mówisz?
– Czytałem o tym.
Usiadła tuż przy nim.
– Na litość boską, Eriku.
– Ty jesteś lekarzem. Jesteś jak wszyscy inni lekarze. Ha! Nic nie ma. Wszyscy zawsze są zdrowi. Zwłaszcza w tej rodzinie. Najbliżsi nie mogą być chorzy.
– To niesprawiedliwe.
– Ale przecież tak jest! Nie ma sensu przychodzić do ciebie z czymkolwiek. To tylko cackanie się ze sobą. Bez sensu by było, gdybym cię o to pytał.
– Nie wiem, co mam powiedzieć.
– Teraz mówisz migrena.
– Tak, migrena. To, co ci się przydarzyło, wyglądało na klasyczny atak migreny.

Nie odpowiedział. Pewnie miała rację. Migrena? To na pewno lepsze niż guz. Da się z tym żyć.

– I co się z tym robi?

– Jest coś takiego, co się nazywa lekarstwo.

– Doprawdy?

– Na Boga, Eriku.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Była gorąca. Uświadomił sobie, że nagle zrobiło mu się zimno. Może miał gorączkę.

– Co to było, to, co widziałeś?

– O co ci chodzi?

– Powiedziałaś, że widziałeś ją. Co miałaś na myśli?

– To był sen.

– Więc kto to był? We śnie? Kim ona była?

– Nie wiem. To przecież był sen. To było... wspomnienie. Nie wiem.

– To musiał być ktoś konkretny. Musisz ją skądś pamiętać.

– Nie – powiedział, choć wcale nie był pewien. To był sen. Może dostanie odpowiedź, kiedy tam wróci.

12

JACOBOWI ADEMAROWI ŚNIŁ SIĘ KARABIN. Strzelał. To było proste. Strzał za strzałem, karabin za karabinem. Sam nie wiedział, gdzie był. Może to była jakaś egzekucja. Może to on stał przed ludźmi z karabinami. Właśnie unieśli karabiny. Był prawie martwy. Strzelili. Już był martwy.

Usiadł na łóżku. Czy coś słyszał? To nie był sen. Strzały ze snu nie padły we śnie. To było tutaj. To było teraz, w tej rzeczywistości.

Budzik na nocnym stoliku pokazywał trzecią. Wskazówki i cyfry były jedynym źródłem światła w sypialni. Jego sypialni. To była jedna z ostatnich nocy. Nie chciał tu mieszkać, nie z tym sąsiadem i z ludźmi, którzy się tu kręcili i strzelali. Powinien się wynieść. Ale to chyba nie mogło się zdarzyć znowu. A może to był tylko początek? Słyszał strzał?

Siedział bez ruchu na łóżku i nasłuchiwał. Na dworze było cicho.

Wstał i poszedł do gabinetu. Stamtąd było widać ulicę. Nie widział, żeby ktoś się ruszał. Nic nie słyszał. Boże, muszę się uspokoić. Zaczynam wpadać w jakąś paranoję. Nie mam na takie rzeczy czasu.

Przed domem sąsiada nie było samochodu. Nagle zauważył światło na dalszym końcu ulicy. Reflektory samochodu, dwoje żółtych oczu w nocy. Może to niezły tytuł dla książki. Dwoje żółtych oczu w nocy, no, nie całkiem. Oczy w nocy. W nocy. Noc. Dobranoc. Dobranoc, ziemio. Dobranoc, świecie. *Good bye cruel world*. Światła właśnie mijały jego dom. Miał wrażenie, że to duży samochód. Nie był w stanie rozpoznać marki. Nie znał się zbyt dobrze na samochodach. Dojechał do placyku na końcu ulicy, zawrócił i znów przejechał przed jego domem. Wyglądało na to, że przed domem sąsiada zwalnia. Zatrzymał się! Stał bez ruchu. Ademar widział tylko połowę samochodu. Zdawało mu się, że słyszy, że otwierają się drzwi, ale tego nie widział. Potem samochód ruszył. Teraz oczy były czerwone, tylne światła. Zniknęły. Pomyślał o własnym samochodzie. Zostawił go w garażu w mieście. Odstawił go do miasta wczoraj, przed lunchem ze Stefanem. Lunch był świetny – zamówił kotleciki rybne – ale rozmowa nie była przyjemna. Nie potrafię tak po prostu taśmowo trzaskać książek, powiedział. To nie jest jakaś pierwsza lepsza książka, powiedział. Ona musi do mnie przyjść. Ja nie mogę przyjść do niej. Rozumiesz? Jego wydawca chyba zrozumiał. Nie znali się szczególnie długo, raczej śmiesznie krótko, biorąc pod uwagę to, że mieli dyskutować o jego książce. W wydawnictwie w ciągu ostatniego roku zaszły duże zmiany. Wszystko było pogrążone w chaosie. Jak mogli oczekiwać, że w samym środku ich chaosu będzie tworzył sztukę? Potem odstawił samochód na miejsce, które nadal wynajmował w garażu. Nie chciał trzymać go pod domem, z wariatem po sąsiedzku. Jeszcze ktoś mógłby się na niego rzucić z kijem bejsbolowym.

Winter obudził się w środku nowego snu. Ktoś powiedział coś, czego nie powinien zapomnieć, a jednak mu to umknęło. To była odpowiedź na pytanie, które zadał. Nie potrafił go powtórzyć. Wszystko zniknęło. Jego sny były jak zakończone

opowiadania, następowały jeden po drugim. Zbiór nowel bez określonego tematu. Jedna z historii rozgrywała się w niebie, inna w piekle. Angela poruszyła się obok niego. Wymruczała coś przez sen, może to była odpowiedź. Nie dosłyszał.

Tej nocy był... tak twardy, jak już dawno nie był. I dłużej. Jeszcze nie był martwy. Nadal umiał robić to, co mężczyzna powinien robić z kobietą. Zachowywali się cicho, żeby nie obudzić dzieci. To dodatkowo zwiększało napięcie. Przedłużało ich rozkosz. To było prawdziwe życie. Jakby stan tuż przed śmiercią. Miał wrażenie, że oboje równocześnie osiągnęli orgazm. Nie zapytał. O takie rzeczy zwykle nie pytał. Potem Angela zasnęła, niemal natychmiast, a on wstał i poszedł się napić wody. Zastanawiał się, czy nie wypić rieslinga z kolacji, której nie jadł, ale zostawił butelkę w lodówce. Usiadł przy kuchennym stole i spoglądał przez okno na nocne niebo. Słabe światło z podwórka poniżej nadawało fasadzie naprzeciwko lekko żółtą poświatę. Barwy nocy, żółć i czerni. Ale niebo, wysoko, w górze, nigdy nie robiło się naprawdę ciemne. To cena, jaką się płaci za mieszkanie w mieście. To była chwila spokoju. Akurat nie bolała go głowa. Nie pójdzie do szpitala, żeby się położyć wśród różnych aparatów i może nigdy już stamtąd nie wyjść. Jego życie – ich życie – nie może się fundamentalnie zmienić. Nie może zadrzeć w posadach. W każdym razie nie od tego, co przecież nie jest niczym ważnym. Ból znów uderzył go nad okiem. W samym środku tego chwilowego spokoju. Masował ból, o ile to było możliwe. Masował czoło. Był spokojny. To na pewno przejdzie. Migrena jest nieprzyjemna, ale to nie jest coś, od czego się umiera. Nie powinien bez potrzeby niepokoić Angeli ani dziewczynek. Jeszcze nigdy do tego nie doszło. Sam rozwiązywał problemy. Teraz też to robił. Masażem złagodzi ból. Nagle komórka leżąca na kuchennym blacie zadzwoniła, rozświetlając kuchnię uroczystym, migającym światłem.

– Słucham?

Numer Bertila.

Spojrzał na ścienny zegar. Wpół do czwartej. Bertil znów miał dyżur. Sam chciał tak pracować.

– Jakiegoś faceta zastrzelono w samochodzie na podziemnym parkingu pod Pedagogiem – powiedział Ringmar.

– Wiemy, kto to jest?

– Auto jest zarejestrowane na Jana Richardssona.

– Jasna cholera.

– Nie wiem, czy to Richardsson. Ale wiele za tym przemawia.

– Kiedy to się stało?

– Jakoś w nocy albo wczoraj wieczorem.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Przed chwilą. Zadzwoił dyżurny. Firma ochroniarska wszczęła alarm. Ogrodziliśmy cały parking, dwa poziomy. Właśnie tam jadę.

– Ja też – powiedział Winter, wstając od stołu.

– Jestem na Övre Husar – powiedział Ringmar. – Mógłbym po ciebie podjechać.

– Świetnie. A jak tam jest? Na miejscu?

– Nie wiem. Są chyba ludzie Torstena. I Pia.

Pia E:son Fröberg, lekarz sądowy. Zjawiała się niemal na wszystkich miejscach przestępstw i tam, gdzie znajdowali ofiary. Na wszystkich, na których Winter był w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Dobrze im się współpracowało. Dawno temu przez jakiś czas byli parą. Teraz żadne z nich nie chciało o tym pamiętać.

– Za pięć minut przed bramą – rzucił Winter.

Podziemny parking był dość nowy, tak jak Wyższa Szkoła Pedagogiczna na górze. Szkoła nie czuła się zbyt dobrze na pustkowiu między Frölundą i Åby, była na to zbyt wyrafinowana. Więc pedagodzy znaleźli się w centrum miasta. Winter nie był pewien, jak to wpłynie na jakość kształcenia, ale uważał, że chyba jakiś wpływ będzie miało, choćby przez to, co się zdarzyło tej nocy pod ziemią. Rzeczywistość wdzierала się od dołu.

Samochód stał z prawej, na dolnym poziomie.

Winter i Ringmar czekali, aż Torsten Öberg, Lars Östensson i Stefan Arnberg skończą pracę. To była nowoczesność. Technicy decydowali, kiedy śledczy mogą wkroczyć na miejsce

znalezienia zwłok, a zapewne również na miejsce zbrodni. Przynajmniej wyglądało to na miejsce zbrodni. Ktoś, a może to było kilka osób, strzelił prosto w przednią szybę po stronie kierowcy. Z miejsca, w którym stał, Winter widział to dokładnie. Widział część potylicy. Richardsson został trafiony w twarz, przypuszczalnie również w szyję. Winter był przekonany, że ma przed sobą jego zwłoki. Nie powiedział tego Bertilowi. W aucie było dużo krwi. Mężczyzna siedział odchylony do tyłu, jakby jakaś wielka siła wcisnęła go w oparcie. Zresztą to właśnie się stało. Utkwił tam na dobre.

Öberg wezwał ich skinieniem. Winter i Ringmar podeszli bliżej. Światło było szare, niebieskie i chłodne. Koszmarne miejsce.

– To Sellberg! – wykrzyknął Ringmar.

Winter zobaczył twarz, której nie znał. Była zmasakrowana, ale mógł stwierdzić, że nie jest to twarz Richardssona.

Sellberg wyglądał, jakby się wpatrywał w jakiś punkt na betonowej ścianie naprzeciwko. Miał dziurę w czole nad lewym okiem. Dokładnie w tym miejscu, które Winter masował sobie niecałą godzinę wcześniej. Musiał się powstrzymać, żeby znów tam nie sięgnąć.

– Dość dużo strzałów – stwierdził Öberg. – Jeszcze nie mogę powiedzieć ile.

Winter skinął głową.

– Najwidoczniej morderca chciał mieć pewność – powiedział.

– Gangsterska robota – dodał Ringmar.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Öberg.

– Egzekucja to słowo nadużywane w takich sytuacjach, ale tutaj użyłbym go bez wahania – odparł Ringmar.

– Albo strzały oddane w czystej desperacji – powiedział Winter.

– W każdym razie to była mniej więcej ta odległość. Trudno ocenić w tej chwili. – Öberg stał mniej więcej o metr od roztrzaskanej szyby. Na twardej posadzce wszędzie leżały odłamki szkła. Czasami błyskało w nich światło, jakby auto zostało obrzucone szlachetnymi kamieniami.

– Żadnych świadków? – zapytał Winter.

– Żadnych, przynajmniej jeszcze ich nie mamy – odparł Öberg. – Ale strażnicy widzieli wóz. Gdzieś tu muszą być.

Rozejrzał się.

– Nie zamykają tego na noc? – zdziwił się Winter.

– Zamykają o północy – odpowiedział Ringmar. – Otwierają o wpół do szóstej rano.

– Więc on musiał tu przyjechać przed dwunastą – powiedział Winter, ruchem głowy wskazując na ciało Sellberga.

Przyglądał się uważnie samochodowi. Jeden ze strażów trafił w karoserię, tuż przy szybie.

– Auto należy do tego polityka – stwierdził Östensson. – Stało przed domem Sellberga, kiedy tam byliśmy, żeby sprawdzić tamte strzały.

– Richardsson, właśnie – potwierdził Winter.

– Tym razem strzały dosięgły Sellberga – dodał Ringmar.

– O ile tym razem były przeznaczone dla niego – powiedział Winter.

– Te tutaj na pewno były – stwierdził Ringmar.

– Nie wiem, Bertil. Samochód Richardssona. Może morderca myślał, że to Richardsson.

Ringmar pokiwał głową.

– Martwy Sellberg. W aucie Richardssona – powiedział Winter. Spojrzał na zegarek. – Obawiam się, że będziemy musieli złożyć wczesną wizytę w domu pana radnego.

– Sprawdziliśmy bagażnik – poinformował Arnberg. – Jest pusty.

– Aż takich porachunków gangsterskich tu nie chcemy – powiedział Winter. Rozejrzał się. Tu i ówdzie stało kilka samochodów, ludzie z rezerwacjami. Wynajęcie miejsca musiało być cholernie drogie. Na dolnym poziomie na pewno było więcej aut.

– Musimy znać właścicieli wszystkich tych aut – powiedział.

– A Richardsson może miał rezerwację. Może to ma jakieś znaczenie, że Sellberg zaparkował właśnie tutaj. – Popatrzył na Ringmara. – Dzisiaj nikogo stąd nie wypuszczamy.

– Dobra. Będziemy musieli oddelegować do tego ze dwudziestu ludzi.

Musieli zamknąć parking chociaż na część następnego dnia. Trzeba będzie zadać wiele pytań.

– Zabieram auto do Mölndal, razem z ciałem – powiedział Öberg.

Winter skinął głową. Samochód Richardssona z martwym Sellbergiem w środku miał zostać przewieziony pod plandeką na naczepie ciężarówki. Transport miał z policyjną eskortą przejechać do policyjnego garażu, jak dziwny orszak pogrzebowy.

Światło niemal chłodziło skórę. Winter zadrżał. Öberga i jego techników czekało jeszcze wiele pracy. Mieli obejrzeć cały obiekt, obydwaj poziomy, zwłaszcza górny. Mieli przeczesać wszystko. Każdy najmniejszy drobiazg mógł się okazać ważny. Mieli badać zużyte prymki tytoniu, pety, papierki, wszystko.

Mieli szukać odruchów. Zwykłych odruchów. Czegoś, co ludzie robią niezależnie od okoliczności. Każdy śledczy to wie. Wiele spraw rozwikłano dzięki ludzkim przyzwyczajeniom. Człowiek to zwierzę kierujące się przyzwyczajeniami. Dotyczy to wszystkich ludzi: złych, wystraszonych, załęczonych.

Wzięli mercedesa Wintera. Mieli przed sobą jeszcze kawał nocy. Jeszcze przez kilka godzin nie zrobi się jasno. Za kilka miesięcy zacznie się najciemniejszy okres roku, wszystko szybko zmierzało w tę stronę. Podróżujemy w stronę mroku, pomyślał Winter. To była melodramatyczna myśl, choć prawdziwa. Minęli samotną taksówkę, może w drodze na lotnisko Landvetter. Poza tym tylko cisza i ciemność.

– *In the wee wee hours* – rzucił Ringmar.

– Hm...

– Właściwie lubię wstawać przed wszystkimi – ciągnął Ringmar.

– Zwłaszcza żeby pojechać kogoś obudzić – powiedział Winter.

– O ile jeszcze nie wstał.

– O ile jest w domu.

Dom Richardssona stał przy spokojnej uliczce za Ekmanska sjukhuset, w dzielnicy Örgryte. Winter wiedział, że to spokojna okolica, bo kiedyś tam był, dawno, chyba spacerował, może

z Angełą. Tak. Mówiła, że mogliby kupić tam dom, to było, jeszcze zanim kupili działkę w Billdal. Rzadko myślał o swoim kawałku wybrzeża w Billdal. Odsuwał to od siebie. To było długie pożegnanie z miastem. O ile to było pożegnanie.

– Teraz musimy to ładnie rozegrać – powiedział Ringmar.

– Chyba zawsze ładnie rozgrywamy takie sprawy, Bertil – odparł Winter, zjeżdżając z Danska vägen.

– Zabieramy go od razu? To też można ładnie załatwić.

– Zobaczymy.

– Byłoby najprościej.

– Zobaczymy – powtórzył Winter.

– Pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem, brzmiało: dlaczego Sellberg miał samochód Richardssona.

– Rozmawiałem wczoraj z Richardssonem. Powiedział, że pożyczył wóz Sellbergowi, bo Sellberg oddał swój do naprawy.

– Sprawdziliśmy to?

– Tak. Bergenhem dostał potwierdzenie.

– Dobra, mów dalej.

– Właściwie nie ma nic więcej. Nie był u Sellberga, tak powiedział. Tylko pożyczył samochód. Nie chciał o tym rozmawiać. Wyglądał, jakby marzył o tym, żeby Sellberg zniknął na drugiej półkuli. Nic ich nie łączyło.

– A skąd się znali?

– O to nie pytałem.

– To dobrze. Nie będziesz musiał się powtarzać.

– No, nieprawdaż? – powiedział Winter. Skręcił w prawo, potem w lewo. We wszystkich willach było ciemno. W Örgryte było jeszcze trochę za wcześnie.

– Ktoś w nocy strzela w dom Sellberga – powiedział Ringmar. – Auto Richardssona stoi przed domem. Następnej nocy ktoś strzela do Sellberga w centrum. Sellberg siedzi w samochodzie Richardssona.

– Samochód jest najwyraźniej jakoś w to zamieszany – powiedział Winter.

– A co łączy Richardssona i Sellberga?

– Może wkrótce się dowiemy – rzucił Winter i zaparkował przed domem Richardssonów, otynkowaną na biało

funkcjonalistyczną willą.

W jednym z okien na parterze paliło się światło.

– Chyba na nas czekają.

13

W ŚWIETLE ULICZNEJ LATARNI stojącej tuż przy furtce trawnik sprawiał wrażenie świeżo skoszonego. Do domu prowadziła wysypana żwirem ścieżka. W powietrzu nie było czuć chłodu. Od wschodu nadciągało światło poranka. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. *Indian summer*, babie lato jeszcze się nie kończyło. Ludzie nadal mogli strzyc trawniki. Może to był światowy rekord północy. Winter nagle pomyślał o palmie rosnącej w ogrodzie matki w Nueva Andalucia. Zawsze ją lubił. Trawniki nie były duże i czasem raczej żółte niż zielone, ale palma mówiła coś całkiem innego. Wieczne słońce i wieczne lato. Niektórzy wybierali takie życie. Sam to zrobił jakiś czas temu. Mógł to zrobić znowu. Palmy w doniczkach stały wzdłuż drogi do terminalu promowego Stena Line, ale to chyba nie to samo. Palmy należy mieć w ogrodzie.

W jednym z okien świeciło się słabe światło, ale się świeciło. Winterowi wydawało się, że widzi, jak ktoś się w środku rusza.

– Ktoś nas obserwuje – powiedział.

– Widzę.

Drzwi się otworzyły, zanim zdążyli do nich dojść. Stała w nich kobieta. Spokojnie czekała, aż wejdą po kamiennych schodkach. Miała na sobie czerwony szlafrok. Winter widział kolor, bo światło w przedpokoju za jej plecami było wystarczająco silne. Nie wygląda na przestraszoną, pomyślał. Czy to nie dziwne? Może się boi. Może jest trochę zaniepokojona. Nie kładła się tej nocy.

– Czego panowie chcą? – zapytała. Jej głos brzmiał słabo, choć równocześnie głośno, jakby zadała pytanie, na które nie spodziewała się odpowiedzi. Otworzyła drzwi na nieznane, pomyślał Winter. Nieznajomym. Dwóch nieznajomych mężczyzn w jej ogrodzie. Musiała wiedzieć, że przyjdziemy.

Nie, po prostu nie spała. Coś takiego można rozpoznać.

– Chodzi o Jana? – zapytała.

Winter i Ringmar nie zdążyli jeszcze nic powiedzieć.

Winter widział, jak jej dłoń drży, kiedy podniosła ją do góry, pozornie bez celu, jakby nagle dostała skrzydeł. Boże, to wygląda tak, jakbyśmy przynieśli zawiadomienie o śmierci. Pośrednio zresztą to czynimy, w pewnym sensie. A może ta informacja znaczy dla niej co innego? Może Bengt Sellberg był dla niej kimś ważnym? To jej samochód, samochód jej męża.

To nieodłączna część tej cholernej pracy. Skanowanie człowieka, którego się ma przed sobą, zanim ten zdąży się odezwać czy wykonać jakiś gest. Potem trudno odrzucić to pierwsze wrażenie, czasem to niemożliwe. Może to przynieść więcej szkód niż korzyści. Zbyt szybkie wnioski. Uprzedzenia. Ale jak należy traktować ludzi, jeśli ciągle spotyka się ich po raz pierwszy? Nadal masz czyste sumienie, czystą duszę.

Winter przedstawił się, potem przedstawił Ringmara. Wypadło to dziwnie formalnie.

Kobieta znów zadrżała, bardziej niż jej dłoń.

– Co się z nim stało? – wyrzuciła. Zapomniała nawet podać swoje nazwisko. – Gdzie on jest?

– Kogo pani ma na myśli? – zapytał Ringmar.

– Jana oczywiście! Jana! Mojego męża. Czy to nie z jego powodu tu jesteście? Policja. Musieliście mieć jakiś powód, żeby się tu zjawić!

Winter i Ringmar wymienili spojrzenia.

– Może powinniśmy wejść, usiąść i chwilę porozmawiać? – powiedział Winter.

– Co? – Widocznie nie dosłyszała pytania.

– Czy możemy wejść?

Jacoba Ademara zmorzył niespokojny sen. Sny przychodziły i odchodziły jak zamglone wspomnienia. Może były tym, czym były. Kilka razy zastanawiał się, czy nie napisać całej powieści, która rozgrywałaby się we śnie albo w serii snów, ale wtedy ta garstka czytelników, jaka mu jeszcze pozostała, na pewno by stopniała do reszty. Czy jest coś nudniejszego od ludzi, którzy

opowiadają swoje sny? Pomyślał, że część czytelników pewnie uważa, że jego książki są nudne. Ale w gruncie rzeczy go to nie obchodziło. Niech czytają co innego! Wolał wierzyć, że ludziom znającym się na literaturze jego książki się podobają. Reszta i tak nic nie rozumie, więc może spadać gdzie pieprz rośnie.

Wstał z łóżka. Jasność świtu zaczęła się mieszać z ciemnością, łagodnie czern. Tak można było to wyrazić. Albo napisać, że świat stawał na nogi, żeby przetrwać kolejny parszywy dzień. Zależy, w jakim się było humorze. Sam chciał zawsze być w dobrym, wyrównanym nastroju, ale zawsze był wkurzony. Ale może było w tym coś romantycznego. Gniewny młody człowiek. Choć bycie młodym już nie miało tego uroku, kiedy się przekroczyło pięćdziesiątkę. Właściwie nie miał tak wielu powodów, żeby się wkurzać. Ani żeby się czuć szczególnie szczęśliwym. W ogóle niewiele miał tak naprawdę. Teraz tylko wynajęty dom, który miał wkrótce opuścić, starego saaba na wynajętym parkingu i książkę, którą już chyba porzucił, choć pisał ją nadal, tak jak się robi wpisy do ksiąg pamiątkowych – napisać cokolwiek, a potem zapomnieć o tej żenadzie. Prawie martwa książka. Albo całkiem żywa. Sam już nie wiedział.

Stanął przy oknie.

Jakiś samochód zatrzymał się przy domu sąsiada. To mógł być ten sam co przedtem. Otworzyły się drzwi. Nic nie widział. Wydawało mu się, że słyszy kroki. Boże, znów sterczę przy oknie. Całkiem zwykle dźwięki stają się efektami specjalnymi z thrillerów.

Ktoś biegł, chrząst obcasów na żwirze. Trzasnęły drzwi. Samochód ruszył. To widział. Przejechał pod jego oknami, zawrócił i ruszył z powrotem. Zniknął z pola widzenia. Widział profil kierowcy. Czy ten profil nie wyglądał znajomo?

Miał go gdzieś w odległych wspomnieniach.

Salon oświetlała tylko lampa podłogowa stojąca przy wielkim, wychodzącym na tyły ogrodu panoramicznym oknie. Kilkanaście metrów dalej Winter widział żywoplot. Willa była dobrze osłonięta. Wokół gęste zarośla. To nic nadzwyczajnego w Örgryte. Wielu ludzi mieszka tu jak we własnym małym

królestwie, w zamku obronnym, w warowni. To inna Szwecja. To nie jest Szwecja.

Pokój był duży, zdawał się zajmować prawie cały parter. Kobieta siedziała na skraju trzyosobowej sofy. Wyglądała jak mały ptaszek, pomyślał Winter. Wtulała się w szlafrok, jakby jej było zimno. Był już ranek. Za oknem świtało. Roznosiciel gazet może już zdążył wrzucić do skrzynki stojącej przed domem „Göteborgs Posten”. Mógłby ją wziąć po drodze, taki miły gest. W gazecie nie byłoby jeszcze nic o zamordowaniu Sellberga. Później, w ciągu dnia, pojawi się coś w internecie, ale na razie jeszcze na to za wcześnie. Trzeba jej powiedzieć tak mało, jak się da. Nadal miał pod powiekami głowę Sellberga, jego zmasakrowaną twarz. W tej twarzy nie było zdumienia. Tym był zdziwiony.

Kobieta przedstawiła się, kiedy szli do salonu. Miała na imię Berit, Berit Richardsson. To nie było imię, które automatycznie kojarzyłoby się z dzielnicą taką jak Örgryte. Widocznie musieli pokonać długą drogę, żeby się tu znaleźć. Może zaczęli od mieszkania w Höbo. Jej mąż jako ambitny polityk społecznik, ona jako pełna nadziei pielęgniarka. Pewnie coś w tym rodzaju. Może się dowie, będzie musiał się dowiedzieć. Berit Richardsson załamywała ręce. To wyświechtane wyrażenie, ale to właśnie robiła.

– Kiedy ostatnio widziała pani męża? – zapytał Winter.

– W... wczoraj. – Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała się przekonać, że to już nie jest wieczór, nawet nie noc.

Za oknami zaczęła się pokazywać zieleń. Wokół domu było dużo zieleni. Kolor rozlewał się w poranku. Wszystko to tchnęło spokojem, było jak oddech. Winter gdzieś przeczytał, że zieleń to kolor, który uspokaja lepiej niż inne. Należałoby wytapetować sypialnię zieloną tapetą. Nawet powiedział o tym Angeli. Kiwnęła głową. Kiedyś chciał to zrobić. Ale kobieta, która teraz siedziała przed nim i przyglądała się, jak za oknem pojawiają się kolejne tony zieleni, nie była spokojna. Kiedy podążył za jej spojrzeniem, wydało mu się, że zieleń nabrała jakiegoś sztucznego odcienia, czegoś fałszywego.

– Widziała się pani wczoraj z mężem? – zapytał Ringmar.

Zabrzmiało to dziwnie. Jakby Berit i Jan żyli w jakimś dziwnym związku, jakby czasem się spotykali, może w tym pokoju.

Skinęła głową.

– Kiedy? – zapytał Winter.

Nie odpowiedziała. Winter powtórzył.

Jest w tym coś dziwnego, pomyślał. To jest dziwne. Jakbyśmy mówili o kimś, kogo nikt z nas nie zna, ona tak samo jak ja. Widziałem ten wyraz oczu u ludzi, którym się wydaje, że żyją z kimś razem, ale tak nie jest, nigdy nie było.

– Około dziewiątej – powiedziała w końcu.

– Co się stało?

– A o co chodzi? Co pan ma na myśli?

– Pani mąż był tutaj wczoraj o dziewiątej wieczorem. Co było dalej?

– Wyszedł. Skąd mam wiedzieć...

– Dokąd poszedł?

Nie odpowiedziała.

– Dokąd miał iść? – zapytał Ringmar.

– Ja... ja nie wiem – powiedziała i wybuchnęła płaczem.

Zasłoniła twarz dłońmi. Potem podniosła wzrok. Winter widział łzy w jej oczach.

– Co się stało? – zapytała. – Gdzie on jest?

– Nie wiemy – powiedział Winter.

– To dlaczego tu jesteście? Skąd wiedzieliście... – zaczęła i natychmiast urwała.

– Skąd wiedzieliśmy co? – dopytał Winter.

– Że Jana nie ma w domu?

– W jaki sposób pani mąż opuścił dom? – zapytał Winter.

– Wyszedł? Wybiegł? Pojechał samochodem?

– Nie... samochód jest w garażu.

– Stoi w garażu!?

Kobieta aż podskoczyła, kiedy Winter podniósł głos.

– Tak – potwierdziła.

– Państwa samochód jest w garażu?

– Tak, stoi tam. Ale co... ach, to mój samochód, czy jak to nazwać. Nasz drugi samochód.

- Drugi?
- Renault clio. Przeważnie ja nim jeżdżę.
- A pierwszy?
- Volvo, V70. Jego nie ma... jest w warsztacie.

Ringmar spojrział na Wintera.

- Nie – powiedział Winter. – Nie ma go w warsztacie.
- Nie?

Ale na jej twarzy nie widział zdziwienia.

- Czy zna pani człowieka o nazwisku Bengt Sellberg?

- Mamo? Co się dzieje, mammo?

Winter usłyszał za plecami kroki, zanim usłyszał głos. Dziecięcy głos.

Odwrócił się.

Do pokoju weszła dziewczynka. Wyglądała na wyrwaną ze snu. I przestraszona. Była trochę starsza od Elsy. Mogła mieć dziesięć, jedenaście lat. Pod pachą trzymała poduszkę. Miała na sobie piżamę, błękitną jak jasne niebo. Zimowe niebo, pomyślał Winter.

- Co się dzieje, mammo? Czego oni chcą?

Berit Richardsson wstała. Szlafrok miała ciasno zawiązany w pasie. Wyglądał jak kimono. Miała ciemne włosy. Winter nagle pomyślał, że ma azjatyckie rysy, skośne oczy. To wrażenie mogła wywoływać napięta skóra. Albo spięta dusza.

– To tylko... panowie chcą o coś zapytać, Tova – powiedziała i podeszła do dziewczynki. – Chodź, pójdziemy do twojego pokoju.

– Czego oni chcą? – zapytała dziewczynka, spoglądając na Wintera. – Czego chcecie?

Jej matka się odwróciła. Winter zobaczył, że wyraz jej twarzy się zmienił. Teraz malowało się na niej zaskoczenie. Ciągłe nie wyjaśnili, po co przyszli.

– Gdzie jest tata? – zapytała dziewczynka. – Taty nie ma w domu?

– Odprowadzę cię – powiedziała Berit Richardsson i wzięła córkę za rękę.

- Ale oni...

– Chodź, Tova – przerwała jej matka. Objęła ją

i poprowadziła do drzwi.

Winter i Ringmar słyszeli, jak idą na górę.

– Domyśla się czegoś? – zapytał cicho Ringmar. – Żona. Berit.

– Nie wiem – odparł Winter.

– Chodzi mi o morderstwo.

– Spodziewała się, że ktoś przyjdzie – powiedział Winter.

– Co masz na myśli?

– Nie położyła się, czekała na kogoś. Całą noc, jestem tego pewien. Ktoś miał przyjść.

– Jej mąż.

Winter nie odpowiedział.

– No bo kto inny?

Z góry dobiegły jakieś odgłosy. Podłoga w pokoju dziewczynki. Potem wydało mu się, że ktoś rozmawia.

– Może nie pierwszy raz nasz polityk spędza noc poza domem – powiedział Ringmar.

– Dlaczego ją okłamał, że samochód jest w warsztacie?

– Może to ona nas okłamuje?

Znów usłyszeli kroki na schodach.

Berit Richardsson wróciła do salonu. Winter zauważył, że teraz ma na stopach kapcie. Kiedy otwierała im drzwi, była bosa.

– Czy mogliby panowie być tak uprzejmi i wyjść? – powiedziała. – Teraz obudził się też mój syn.

– Jeszcze tylko kilka pytań – poprosił Ringmar, wstając.

– Ale czego wy chcecie? Gdzie jest Jan? Jeśli coś o tym wiecie, mówcie!

– Państwa samochód znaleziono w nocy na parkingu w centrum miasta – zaczął Winter. – W środku był mężczyzna, Bengt Sellberg. Został zastrzelony. Siedział na przednim siedzeniu. Ktoś do niego strzelił, a potem uciekł z miejsca zbrodni.

Berit Richardsson patrzyła na Wintera, jakby rozumiała i nie rozumiała zarazem. To były brutalne, bezpośrednie słowa, ale Winter uznał, że jest jej to winien.

– Czy on... czy on nie żyje?

Jej dłoń poderwała się do ust.

– Myślicie, że mój... że Jan ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiemy – odparł Winter. – Nic nam o tym nie wiadomo. Ale wiemy, że to volvo należy do państwa, dlatego chętnie porozmawialibyśmy z pani mężem.

– On nie ma z tym nic wspólnego! Co miałyby mieć z tym wspólnego!?

Mówiła coraz głośniej. Przedtem mówiła cicho, głosem wręcz niskim, ale Winter widział, że złości się ze zmęczenia i niepokoju.

Wstał.

– Pytałem o tego mężczyznę, Bengta Sellberga. Czy to nazwisko coś pani mówi?

– Bengt... Bengt jak?

– Sellberg. S-e-l-l-berg.

Potrząsnęła głową. Wygląda, jakby ze wszystkich nazwisk świata nie pamiętała ani jednego, pomyślał Winter.

– Kojarzy pani to nazwisko?

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Ale o co wam CHODZI? Dlaczego przychodzicie do MNIE?

Jej głos nabrał mocy, a potem się załamał.

Winter usłyszał kroki na schodach. Dziewczynka znów schodziła na dół, albo syn, a może oboje. Tak się nie da nic zrobić, pomyślał. Nie możemy tego tak ciągnąć.

– Czy kontaktowała się pani z mężem wieczorem albo w nocy? – zapytał jeszcze szybko.

– Nie, przecież mówiłam!

– Albo w...

– Naprawdę nie wiecie, gdzie on jest? – przerwała mu.

– Nie.

– Mamo? Co oni tu robią? – usłyszał Winter za plecami. Odwrócił się. Teraz przyszedł syn. W podobnym wieku co dziewczynka. W dłoniach trzymał kij bejsbolowy.

CHRISTIAN LEJON WIEDZIAŁ, kiedy został gangsterem. Gangster. To się kojarzyło z filmami, które oglądał. Nie żeby widział ich szczególnie dużo. Ale te czarno-białe, w których ludzie palili papierosy, a dym jak chmura przesuwał się po ekranie... to było ładne, te mu się podobały. I kapelusze. Lubił kapelusze. Jego ojciec miał kapelusz, dobrze to pamiętał. To miało jakiś związek z niedzielą. Zrobili sobie kiedyś wycieczkę za miasto, może do Guldheden. Babcia tam mieszkała i piekła pyszne rzeczy, to też pamiętał. Ale to już chyba było wszystko. Teraz słyszał zza okna ten cholerny kafar. Marzył o tym, żeby go nie słyszeć, żeby móc o nim zapomnieć, może ogłuchnąć. Ale nie chciał być głuchy. Nie chciał żadnego kalectwa, nie zamierzał niczego takiego na siebie ściągać. Jego zawód wiązał się z dużym ryzykiem, ale ryzyko jest w każdym zawodzie. Faceci z budowy chociażby – mogli w każdej chwili zostać zmiażdżeni, spaść z rusztowań. Ojciec spadł. Te skurwiele wyгнаły go na górę podczas wichury i spadł. Tak to się stało. Wiedział, że tamtego dnia okropnie wiało. Tamtego dnia postanowił sobie, że nigdy nie da się wsadzić na żadne pieprzone rusztowanie. Tamtego dnia postanowił, że nigdy nikt nie będzie mu rozkazywał. Tamci przyszli wtedy ze stoczni, a matka ich wyrzuciła. Sama mu o tym opowiadała, a może to była babka. Wyrzuciła ich! Zawsze ją za to podziwiał. Odważyła się. On też się odważył.

Winter jechał przez wczesny göteborski ranek. Ulicami jeździły śmieciarki. Dzień jak co dzień. Minęli Liseberg. Jego wieże i blanki wyglądały jak osobne miasto. Miał tam iść z dziewczynkami w ostatni weekend lata. Ale jeśli babie lato zamierza się trzymać tak długo, ostatni weekend może nigdy nie nadejść.

– Boże – powiedział Ringmar. – Jak ten mały wojownik tam stanął.

Winter się nie odezwał. Skręcił w prawo, w Korsvågen. Ludzie wyładowywali wielkie zapakowane bele przed targami

Svenska Mässa, jakby to miały być targi komunikacji morskiej, transportu kontenerowego. Co tydzień kolejne targi. Można zorganizować targi wszystkiego. Modlić się do wszystkiego. Nagle przypomniał sobie, że dawno nie był w kościele. Chciał zabrać dziewczynki do kościoła króla Gustawa II Wazy. Śpiewy powinny im się spodobać. Sam śpiewał głośno psalmy. Chwała Panu. Minęli Bergakungens. Kompleks kinowy, stosunkowo nowy, jeszcze nigdy tam nie był. Może wcale się nie wybierze. Lubił głównie czarno-białe filmy, a nie sądził, żeby takie tam pokazywano. W czerni i bieli wszyscy są tak cholernie piękni. Pięknie palą. Nagle zapragnął zapalić. Na pewno to zrobi, kiedy wysiadzie na tym pięknym parkingu przed komendą.

– Boże – powiedział znów Ringmar. – Tamten chłopak.

– Robił to już? – zastanawiał się głośno Winter.

– Czy groził komuś bejsbolem? Bronił matki?

– Jedno i drugie.

– Gdzie, do diabła, podziewa się tamten facet – mruknął Ringmar.

To nie było pytanie. Zabrzmiało raczej jak coś, co było nieuniknione. Jakby Jana Richardssona nie było w domu, bo miało go tam nie być. To należało do tej historii. Czasami Winter patrzył na sprawy jak na opowieści. Opowiadania. Opowieści były opowiadane, a on w nich żył. Ustawiał samochody przestępców i samochody morderców i mógł mniej lub bardziej regularnie czytać o tym, co przeżywał. Czasami mógł coś dołożyć albo odjąć. Czasami mógł układać puzzle. Czasami próbował wnikać w tajemnicę. Między puzzlami a tajemnicą jest różnica. W puzzlach wszystko już jest, są kawałki, jest rozwiązanie, jeśli jest się w stanie ułożyć odpowiednie kawałki w odpowiednich miejscach. Wszystko jest dostępne dla jego palców, jego mózgu, jego myśli, jego wyobraźni. Może wszystko przekładać i przedstawiać, zmieniać miejsca, ale zawsze jest jakieś bezpieczeństwo, nie, nie bezpieczeństwo, może spokój, coś, co sprawia, że się wie, że w końcu się uda. Tajemnica to coś innego. To nawet nie są puzzle, w których brakuje niektórych kawałków. Gorzej, to bardziej skomplikowane. To szukanie odpowiedzi, której może

wcale nie być. Może tam nigdy nie ma odpowiedzi, żadnych odpowiedzi na dlaczego i co. Tajemnica to rozciągnięta w czasie frustracja. Puzzle to cierpliwość. Zniknięcie polityka było tajemnicą – w połączeniu z całą resztą. W ten sposób puzzle mogły się okazać całą serią małych tajemnic ułożonych w łańcuch, który jest niczym innym jak tylko kawałkiem większej układanki. Tak musiał myśleć, tak myślał. Może w jednej sprawie wszystko się łączy. Wszystko. To, co niezrozumiałe, ma datę przydatności do spożycia. Potem staje się takim samym śmieciem jak reszta. To prawie nudne. Codzienne. Puzzle to codzienność. Tajemnica to sobota przez cały tydzień.

– Ona nie wie, gdzie on jest – powiedział Winter. – Chyba że jest znakomitą aktorką.

– Coś podejrzewa?

– Może.

– I właśnie tego nie chce nam powiedzieć – stwierdził Ringmar.

– Właśnie.

– Jej męża nie było w domu całą noc, a my znaleźliśmy w jego samochodzie zamordowanego człowieka – powiedział Ringmar. – A ona może mieć pojęcie o tym, co to może znaczyć.

– Tak.

– Dlaczego miałyby mieć pojęcie?

– Już się zdarzało, że nie wracał na noc.

– Gdzie był?

Winter nie odpowiedział.

– Więc ona wie, dokąd on chodzi – powiedział Ringmar.

– Nie, nie sądzę.

– Wie, co on robi.

– Może coś podejrzewa.

– Co takiego?

– To się wiąże z Sellbergiem.

– Ona zna Sellberga?

– Nie.

– Jesteś pewien?

- Tak sądzę – powiedział Winter.
 - A jednak coś tam było takiego... – zaczął Ringmar.
 - O co ci chodzi? – zapytał Winter.
 - Jakby mimo to wszystko wiedziała.
 - Wiedziała co?
 - Że Sellberg to tylko nazwisko. Rozumiesz? Że to mogło być jakiegokolwiek inne nazwisko, ale wiedziała, że to... będzie jakieś nazwisko. Że je usłyszy. Że przyjdziemy do niej z jakimś nazwiskiem. Którego wcale nie będzie musiała rozpoznać.
 - Że jej mąż miałby być jakoś powiązany z jakimś nazwiskiem? Jakimś nazwiskiem, którego nie powinno się wymawiać? Mógł zostać skompromitowany przez to nazwisko?
 - Tak.
 - W takich dramatycznych okolicznościach?
 - Niekoniecznie. Ale to mogłoby mieć związek z czymś innym.
 - Richardsson potajemnie się z kimś spotykał – powiedział Winter.
 - Tak.
 - Z mężczyznami.
 - Może.
 - Potajemne spotkania z mężczyznami – podsumował Winter.
 - To znaczy, że jest pedalem – stwierdził Ringmar.
 - Może.
 - Ale to nie jest przestępstwo.
 - Nie. Dzięki Bogu, że przynajmniej to przestępstwo zostało nam oszczędzone.
 - W takim razie może Sellberg też był pedalem – ciągnął Ringmar.
 - Tak.
 - Dramat zazdrości?
 - Czy właśnie tak to wyglądało, Bertil?
 - A jak takie rzeczy wyglądają? Mogą wyglądać różnie.
- Ringmar przypomniał sobie parking. Szare i niebieskie barwy, choć to nie był kolor szarej godziny. Nie było w tej scenie żadnej pasji, romantyzmu, erotyki. Ale to było teraz. Oni

widzieli ten obraz przed chwilą, ale już teraz zdawał się odległy, jak inna pora roku albo inny czas, lepszy czas. Może czas namiętności.

– Czy Berit Richardsson podejrzewała, że jej mąż miał romanse?

– Tak.

– Inne kobiety?

– Nie. Nie sędzę.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem, Eriku. Przeczucie.

– Powiedział jej?

– Nie.

– Więc to była tajemnica.

– Przynajmniej dla niej. Akurat to było tajemnicą. Ale wiedziała, że coś się dzieje.

– Podwójne życie – podsumował Winter.

– A teraz zniknął. Więc można to nazwać potrójnym życiem.

– O ile to w ogóle jest życie – wtrącił Winter.

– Racja. Może on też został zastrzelony.

– Ale gdzie? W Lunden?

Zadzwoiła komórka Wintera. Zauważył, że Aneta idzie do nich przez parking.

Wysłuchał Möllerströma i natychmiast się rozłączył.

– Ogrodzili chatę Sellberga – powiedziała.

Aneta usiadła na tylnym siedzeniu. Odsunęła z czoła pasmo włosów.

Winter ruszył. Popatrzył jej w lusterku wstecznym w oczy.

– Jest poszukiwany w całym kraju – powiedziała.

– Może być wszędzie, w całej Szwecji – stwierdził Ringmar. – Mógł już nawet dotrzeć do Osnabrück.

– Dlaczego akurat do Osnabrück? – zapytał Winter.

– Przejeżdżałem tamtędy kilka razy – odparł Ringmar.

– Ja też – powiedział Winter.

– Nigdy nie zjechałem z autostrady – ciągnął Ringmar. – Raz chciałem nawet to zrobić, ale się nie złożyło. Jechałem cholernie szybko, jak zawsze. Na początku człowiek goni jak diabli. Zresztą w Bremie też nigdy nie byłem, z tego samego

powodu.

– Brema jest piękna. Ale w Osnabrück nie ma specjalnie nic do oglądania.

– O czym wy gadacie? – zapytała Aneta z tylnego siedzenia.

– O lepszych czasach – odparł Ringmar.

Niebieskie światła jarzyły się przez chwilę nad willami. Szara godzina, inna szara godzina. To dzikie miejsce, pomyślał Winter. Pustka w samym środku miasta. Jak to możliwe, że pozostało nietknięte. Ktoś utajnił je na wszystkich mapach. Lunden to dzielnica ukryta. Nadal można odkrywać nieznanne osady.

Inspektorzy czekali przy radiowozie. Winter znów wrócił do swoich czarno-białych myśli. Kiedy postanowił zostać policjantem, radiowozy były czarno-białe. Tak wyglądały lepiej. Miało się wrażenie, że policja pracuje, żeby zachować to, co było dobre w dawnych czasach, które zawsze pokazywano jako czarno-białe.

Świt stał się już na dobre porankiem, choć nadal nie było zbyt jasno. Słońce jeszcze nie wzeszło wystarczająco wysoko. To miał być kolejny niesłychanie piękny dzień.

Dom stał w cieniu, w kawałku zapóźnionej szarówki.

– Żaluzje są opuszczone – powiedziała Aneta.

– A wcześniej nie były? – zapytał Winter.

– Nie.

Zapytał jedną z policjantek, co się dzieje. Nie kojarzył jej. Przedstawiła się, ale nie zapamiętał nazwiska.

– Jest spokojnie – powiedziała.

– Widzieliście kogoś po drodze?

– Nie. Żadnego auta, żadnego pieszego.

– To dobrze.

– Mogłaś tu przyjść na piechotę, Aneto – powiedział Ringmar. – Nie musiałaś najpierw jechać pod komendę.

– Przyszłam z miasta – wyjaśniła.

– Ach tak?

– Nie nocowałam dzisiaj w Lunden.

– Aha.

Ringmar spojrział na Wintera. Winter spojrział na Anetę. Nie chciała odwzajemnić tego spojrzenia.

– No to wchodzimy – zapowiedział Winter. – Przygotujcie się.

Furtka wydała jęklivy odgłos, kiedy ją popchnął. Trzymał się sauera w dłoni, ale dłoń była ukryta w kieszeni.

Zadzwoił, ale nikt nie otworzył. Nagle zrobiło się cicho. Niesamowicie cicho. Nie tylko w jego głowie. Dzwonek zabrzmiał jak cisza.

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Sprawdźcie. Może jakieś okno jest otwarte – polecił.

Dwoje mundurowych obeszło dom dookoła. Nie trwało to długo, był nieduży. Kiedy wrócili, policjantka pokręciła głową.

– To co robimy? – zapytała Aneta.

– Włamujemy się – odparł Winter.

15

WINTER WŁAMAŁ SIĘ DO DOMU. Poszło gładko. Kiedy otwierał drzwi, ból znów zaatakował. Jak gdyby ktoś stał za drzwiami i zdzielił go w głowę jakimś ciężkim przedmiotem w chwili, kiedy chciał przekroczyć próg. Może wreszcie był normalnym człowiekiem, takim jak wszyscy. Nie można mieć migreny i równocześnie być outsiderem. Z guzem przysadki owszem. Ale nie z migreną. Ból nie jest oznaką wyjątkowości. Był kimś zwyczajnym. Wchodził do zwyczajnego domu. Właściciel był zwyczajną ofiarą morderstwa. To był zwyczajny poranek w pracy. Słyszał za sobą Anetę i Bertila. Zawołał: halo?! Potem jeszcze raz, nie licząc na odpowiedź. Ten, który mógłby odpowiedzieć, był zupełnie gdzie indziej.

– Tam się świeci – zauważyła Aneta.

Winter zauważył odbłask elektrycznego światła. Poranek był na to wystarczająco ciemny. Lampa do czytania?

– Halo? – powiedział Ringmar.

Nikt nie odpowiedział.

– Wchodzimy czy czekamy na techników? – zapytała Aneta.

– Nie możemy chyba czekać na techników za każdym razem,

kiedy chcemy gdzieś wejść – odparł Ringmar.

– To są te nowe czasy – rzuciła Aneta.

– Wolę chyba te dawne – stwierdził Ringmar.

– Szszsz... – syknął Winter. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Szuranie, jakiś ruch. W głowie mu pulsowało. Tyle rzeczy może wywołać atak migreny. Najczęstszą przyczyną jest stres. Tylko że ataki nie przychodzą, kiedy człowiek stresuje się najbardziej, ale kiedy odpoczywa. Teraz nie odpoczywał. Nasłuchiwał. Był przygotowany na ruch.

– Zajrzę do tego na samym końcu – powiedział i ruszył przez przedpokój. Jego system nerwowy działał. Ten sam system, który przewodził ból, na przykład kiedy bolał go ząb. Współdziałanie naczyń krwionośnych i nerwów. Pomyślał o głowie Bengta Sellberga na przednim siedzeniu samochodu Jana Richardssona. Teraz dla Sellberga wszystko się skończyło. Samochód Richardssona też już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Richardsson może teraz być w tym domu. Może czyta książkę w sypialni. Stąd to elektryczne światło. Może napisał ją pisarz, który mieszka po sąsiedzku. Zamierzał z nim porozmawiać, kiedy skończą oglądać dom. Może zbyt pochopnie przyjął taki plan. Może nigdy nie skończą z tym domem. Coś z nim było nie tak. Wszystko zdawało się takie... niegotowe. Takie miał wrażenie. Jakby nie było w nim żadnych odpowiedzi. Jakby musieli szukać gdzie indziej.

Spotkali się w kuchni. Była czysta i wysprzątana. Takie rzeczy Winter widział od razu. Przy zlewie nie było ani jednego talerza, ani jednej szklanki, żadnych sztućców. Pedant. Mieszkał sam? Nawet tego nie wiedzieli. Słyszał, że Sellberg wdał się w awanturę z sąsiadem. To mogło nie znaczyć nic albo znaczyć wszystko. Takie rzeczy często stają się jasne dopiero po fakcie, kiedy już nie trzeba zadawać pytań.

– Pusto – stwierdziła Aneta.

Winter wyjrzał przez okno.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się na ulicy. Czarna wełniana czapeczka, czarna skórzana kurtka i ciemne okulary. Chyba średniego wzrostu, dość mocnej budowy.

– Kto to może być? – powiedział i skinieniem wskazał na

mężczyznę, który nadal nie ruszał się z miejsca. – Stoczniowiec?

Dlaczego stoczniowiec? – pomyślał natychmiast. Przecież nie wiem, jak wyglądają stoczniowcy. Czy raczej wyglądali. Teraz już ich nie ma.

- Pisarz – wyjaśniła Aneta. – Jacob Ademar.
- Najwyraźniej czegoś chce – powiedział Winter.
- Może jest tylko ciekawy.
- Ale czego? Píše kryminały?
- Nie wiem.

Winter wyszedł na dwór, podszedł do furtki. Pisarz stał na swoim miejscu.

- Panie Ademar?
 - Tak?
 - Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał Winter.
 - Widziałem, że zjawilo się tu mnóstwo ludzi. Co się dzieje?
 - Zaciekawilo to pana?
 - Nie.
 - Więc dlaczego pan tu stoi?
 - Czy to jest zakazane?
 - Właśnie do pana idziemy – powiedział Winter.
 - Przez chałupę sąsiada?
 - Tak.
 - Dlaczego?
 - Możemy porozmawiać trochę później? – zapytał Winter.
- Ademar zaczął coś mówić.
- Proszę, niech pan teraz stąd idzie – powiedział Winter.
 - Co tak...
 - Przyjdziemy do pana za chwilę – przerwał mu Winter.

Lars Berghem wiozł swoją córkę na jazdę konną. Miała wolne. Pola wokół Alleby były tak samo zielone jak latem, nie, nawet bardziej. Latem były bardziej żółte, wysuszone. Jak preria, jak step. Samoloty tanich linii lotniczych startowały z Säve, za nasypem, ale nie było potrzeby lecieć do słońca, bo słońce było tutaj. Ciągłe było. Może to przez efekt cieplarniany. Wreszcie. Ale chłodny deszcz też jest przyjemny. Naga twarz

w deszczu, to piękne.

Jak zwykle próbował pomóc Adzie z uzdą, ale za bardzo bał się konia. Wszystkie konie w Alleby były cynicznymi szkapami, które próbowały urozmaicić sobie swoje nudne życie, drażniąc się z rodzicami dzieci podczas siodłania.

Miał też na oku tylne nogi konia. Nigdy nie wiadomo. Nie wiedział dokładnie, ilu ludziom rocznie durny przerażony koń rozwała głowę, ale statystyki były niepokojące.

Wreszcie się udało. Ada wyprowadziła bestię. Musieli jej przydzielić największą chabetę w Göteborgu, pomyślał. Spadłem z konia podczas szkolenia jeździeckiego w szkole policyjnej. Nie wyszkoliłem się specjalnie. Dość szybko mnie odrzucili.

Dzieci ustawiły się w szeregu, razem z końmi. Miały jeździć po lesie czy raczej przez zagajnik jechać na niewielką łączkę. Bergenhem wraz z grupką innych rodziców czekał na ścieżce. Ada siedziała na koniu jak mała kowbojka. Uśmiechnęła się do niego i pomachała ręką. On też pomachał. Karawana ruszyła. Jego dziesięcioletnia córka jechała na czele. Dotarli do zagajnika. Zapragnął, żeby czas się zatrzymał właśnie tu i właśnie teraz. Nie powinien się już ruszyć. Nigdy więcej. To jest życie w swoim najjaśniejszym momencie.

W drodze do Torslandy poczuł zapach z rafinerii w Skandiahamnen. Dziesięć lat tędy jeździł do szeregowego domu, który kupili na krótko przed narodzinami Ady. To był jej jedyny dom. Nigdy nie pytała, dlaczego nie ma rodzeństwa.

Właśnie ściągała buty do konnej jazdy. Dość mozolnie.

– One są za małe, tato.

– Tak szybko?

– Tak.

– Okej.

W samochodzie pachniało koniem. To było w porządku, przypominało miłe chwile.

– Kupimy nowe.

– Możemy?

– Jasne.

– A potem znów kupimy nowe, i znów, i znów – powiedziała z uśmiechem.

– Tak, jeśli będziesz rosła w tym tempie.

– Może nigdy nie przestanę rosnać.

– Czterometrowa dziewczynka – powiedział Bergenhem.

– Mogłabym zostać mistrzynią świata w koszykówce.

– Wtedy nie potrzebowałabyś nawet drużyny.

– E, byłoby nudno – stwierdziła.

– To prawda.

Popatrzyła w stronę Älvsborgshammen. Rzeka błyszczała w popołudniowym słońcu. Było wszędzie. Mieszkali na wyspie, która nie wyglądała jak wyspa, mimo wody, promów i mostów.

– Może jechać popływać.

– Hm... Ale byłoby trochę zimno.

– Myślałam o pływalni!

– Ha, ha, ha.

– Co będziemy robili latem?

– Oj, latem? Nie mam pojęcia.

– We Francji można wypożyczyć konie i jeździć, gdzie się chce.

– No, to brzmi ciekawie.

– Już rozmawiałam o tym z mamą.

Może mogliby to zrobić. Gdyby się odważył usiąść w siodle. Ale tylko we dwójkę. Martyny wtedy już na dobre nie będzie w jego życiu albo jego w jej życiu, nie w ten sposób. Nadal będzie ich łączyć Ada. Nagle poczuł się jak ostatni drań. Jego córka siedziała obok i nie miała pojęcia, że za kilka tygodni prawdopodobnie nic nie będzie takie samo. Jak ona na to zareaguje? Prawdopodobnie, co za cholerne słowo.

– Mama powiedziała, że ten pomysł jej się bardzo podoba – powiedziała Ada i jej twarz znów rozjaśnił uśmiech.

Christian Lejon poczuł wiatr od rzeki. Prace na budowie naprzeciwko chwilowo przerwano. Jeszcze przed godziną było inaczej. Widział kilka bardzo niebezpiecznych manewrów. Ludzie mogli zginąć, tralala. Czasami przychodziło mu coś takiego do głowy, tralala. Może to sposób na migrenę. Może to

faktycznie było to. Migrena nadciągała powoli, ale tym razem to nie było takie straszne. Może to z powodu morderstwa, które wtedy było w toku? Kiedy postanowił zaczekać, bolało mniej. Kiedy je przeprowadził, ból był nie do zniesienia jeszcze przez wiele godzin. Kiedy uszło z niego całe napięcie. Przypomnienie o przykazaniu: nie zabijaj. Ojciec chodził do kościoła, matka też. To nie pomogło. Tamtego dnia Boga nie było w stoczni, odpoczywał. Odwrócił się. Jego gość stał w drzwiach na balkonie. Wyglądał blado, jakby ciągle czekał. To musi być okropne życie, tak czekać i wiedzieć, że w końcu i tak wszystko może pójść w diabły. Nie chciałbym tak żyć. Na pewno coś bym zrobił. Ale on nie może. Tak samo jak ten drugi biedak. Kiedyś miał wybór, a potem było za późno.

– Tak tu będzie w przyszłości – powiedział Lejon.

– Co... masz na myśli?

Lejon uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Ciszę, oczywiście.

Mężczyzna wsłuchał się w ciszę. Rzeczywiście było cicho. Statek płynął po rzece, ale to też była część ciszy, dopiero w ciszy można było to usłyszeć. Tak było z większością odgłosów należących do prawdziwego życia. To kochał najbardziej. Wieczorem, kiedy robotnicy schodzili z budowy, wracała cisza. Za dnia zamykał okna albo starał się być poza domem. Prawie zawsze był poza domem. Gdyby budowa hałasowała też wieczorem, musiałyby coś z tym zrobić. Mógł coś z tym zrobić, umiał sobie poradzić ze wszystkim.

– Parę dni temu ktoś mi uszkodził brykę – powiedział Lejon.

Drugi mężczyzna się nie odezwał.

– Nie spodobało mi się to.

– Rozumiem.

– Gdzieś tam ktoś sobie jeździ z moim lakierem na gracie – powiedział Lejon.

– No.

– Ale zamierzam go znaleźć.

– No.

– Nie mogę się doczekać.

– Ja... muszę już iść.

– Bądź ostrożny – rzucił Lejon i wybuchnął śmiechem.

Aneta i Winter stali przed domem Sellberga. Nie znaleźli w środku nic, ani żywego, ani martwego. Winter pocierał czoło nad okiem. Aneta nic nie mówiła. Winter odsunął dłoń od skroni.

– Jak to jest z wami, Aneto? Z tobą i Fredrikiem?

Drgnęła, jakby znienacka ukłuł ją czymś ostrym.

– Wypróbujesz na mnie swoje metody prowadzenia przesłuchań? – zapytała.

– Nie. Po prostu o tym pomyślałem. Chciałbym wiedzieć.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo mi na was zależy oczywiście. Ale nie musisz odpowiadać.

Wyglądała, jakby się zastanawiała, czy powinna odpowiedzieć. Winter widział przez okno Ringmara. Chyba oglądał coś na podłodze w kuchni. Pisarza już nie było za płotem. Trochę głupio się wobec niego zachował. To było dziwne. Chyba coś się z nim działo. To było coś przypadkowego. To miało związek z pracą. To absolutnie nie miało żadnego związku z pracą. Przechodził kryzys. Nie przechodził żadnego kryzysu. Po prostu przez chwilę miał kiepski humor. Bolało. Teraz już przestało.

– Nie wiem – powiedziała w końcu Aneta. – Nie wiem, czy ja... się wyprowadziłam na przykład. – Zaśmiała się. – Mówię jak ktoś, kto nawet nie wie, gdzie mieszka, co?

– Tak – przyznał z uśmiechem Winter.

– Do diabła – powiedziała Aneta. – Nie wiem, co się dzieje.

Winter się nie odezwał.

– Dzisiaj... nocowałam u koleżanki. W mieście. I właściwie sama nie wiem dlaczego.

– Coś się stało?

– Z Fredrikiem? O to ci chodzi? Co masz na myśli?

– Czy stało się coś... szczególnego.

– Nie, nic takiego. Nic, o czym mogłabym opowiedzieć. To tylko tak... nie wiem. Naprawdę sama nie wiem.

– Co teraz będzie?

Zwlekąła z odpowiedzią. Drzwi się otworzyły, wyszedł Ringmar.

– Ja... chcemy o tym porozmawiać wieczorem – powiedziała.

– Dom wygląda tak, jakby był przygotowany na długą nieobecność właściciela – powiedział Ringmar.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem – odparł Winter.

– Jakby Sellberg zamierzał nie wracać przez dłuższy czas – wyjaśnił Ringmar. – Coś jak długa podróż.

– W pewnym sensie to też się zgadza – stwierdził Winter.

Ademar otworzył, zanim zdążyli zapukać.

– Widziałem, że idziecie – wytłumaczył.

Winter poszedł do niego tylko z Anetą. Ringmar wrócił do komendy.

– Przepraszam, jeśli byłem trochę opryskliwy – zaczął Winter.

– W porządku. Rozumiem, że tacy ciekawscy gapie mogą być kłopotliwi. Proszę wejść.

Przedpokój był duży.

– Możecie położyć płaszcze tu, na krzesła – wskazał Ademar.

Zaprowadził ich do salonu z oknem wychodzącym na ogród.

– Proszę usiąść. Chcecie państwo kawy albo czegoś innego?

– Nie, dziękuję – powiedziała Aneta.

– Był pan ciekawy? – zapytał Winter.

– Hm... chodzi panu o tamto na ulicy. Nie, właściwie nie.

– Słyszał pan coś? A może widział?

– Kiedy?

– Kiedykolwiek – odparł Winter.

– To miał być żart? – zapytał Ademar.

– Nie.

– Nie widziałem nic od chwili, kiedy mój sąsiad mi groził.

– Ach tak?

– Tak.

– Proszę o tym opowiedzieć.

Ademar opowiedział. To było dość krótkie opowiadanie, składało się głównie z początku i końca.

– Dlaczego państwo tu są? – zapytał pod koniec.

Winter zdradził mu tyle informacji o morderstwie, ile chciał

i mógł.

– Nie wiem, co powiedzieć – powiedział Ademar.

Aneta zauważyła, że zbladł, kiedy to usłyszał. A gdybym to był ja, tak musiał pomyśleć, przyszło jej do głowy. To mógłbym być ja.

– Czy to pan to zrobił? – zapytał Winter.

– Co?

– Zastrzelił go.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Może pana prześladował. Bał się pan.

– Nie mam broni – stwierdził Ademar. To chyba taka metoda, pomyślał. Nie jestem zaskoczony. Mam nadzieję, że nie sprawiam wrażenia zbyt spokojnego.

Pomyślał, że komisarz nie wygląda na zadowolonego. Przedstawił się. Zachowywał się tak, jakby go coś bolało. Ademar znał go z widzenia. Pojawiał się w gazetach, kiedyś nawet w telewizji.

– Proszę opowiedzieć o tych samochodach, które tu parkowały – poprosił Winter.

Ademar opowiedział.

– Co pan pisze? – zapytał Winter.

– Słucham?

– Przecież jest pan pisarzem. Co pan pisze?

– Różne rzeczy.

– Na przykład?

– Czy to jest część przesłuchania?

– Nie, jestem tylko ciekawy – wyjaśnił Winter.

– Dużo pan czyta?

– Mniej, niżbym chciał.

– Czytał pan jakąś moją książkę?

– Niestety.

– Nie pisuję kryminałów – stwierdził Ademar.

– I tak ich nie czytam.

– Myślałem, że wszyscy policjanci czytają kryminały.

– Mam tego dość w pracy – odparł Winter.

– W tej chwili właściwie pracuję nad czymś... zbliżonym – powiedział Ademar. – Ale to będzie miało raczej charakter

dokumentu, tak mi się wydaje. Nie wiem jeszcze właściwie.

– Ach tak?

– Coś, co się stało na jednej z tutejszych wysp. Na południowych szkiecach. Trzydzieści lat temu.

– Tak?

– Były tam kolonie letnie. Ośrodek kolonijny.

Winter skinął głową.

– Zna pan to miejsce?

– Jeśli ma pan na myśli ośrodek na Brännö, to znam. Ale już go nie ma.

– Coś się tam stało – wyjaśnił Ademar.

Minął rynek, kawiarnię, hotel. Znad rzeki wiał wiatr. Kilka minut wcześniej go nie było. Powierzchnia wody się zmarszczyła. Skręcił w Dockpiren i stanął na przystanku. Älvsnabben był w drodze na drugą stronę, za kilka minut będzie z powrotem.

Kiedy znalazł się na pokładzie, odwrócił się i spojrzął w stronę Sörhallskajen. Słońce oświetlało domy z zachodu. Wyglądały jak inne miasto, inny kraj. Inny świat. Należałem do tego świata, pomyślał. To było całkiem niedawno. Teraz to wszystko zniknęło. Teraz już nigdy nie będę mógł wrócić. Jest jeszcze ktoś, kto wie, pomyślał. To mnie nie uratuje.

Niewielki prom przybił do Klippan. Ruszył na wschód, przeszedł obok terminalu promów do Niemiec. Dziś wieczorem Stena powinna wypłynąć do Kilonii, jak co wieczór. Mógłby być na pokładzie. To najlepszy sposób, żeby stąd wyjechać. Ale to i tak by nie pomogło. To nie pomoże nikomu. I tak go tam znajdują, zanim jeszcze prom dotrze do celu. Wylądowałyby na dnie morza. I tak wylądowałyby w morzu. Pewnie by go utopili.

Skręcił w Karl Johansgatan. Nie bywał tam od bardzo dawna. Ale prawie wszystko wyglądało tak samo. Kilka sklepów zamknięto, kilka nowych powstało. Plac Chapmans targ nadal był zabudowany czerwoną cegłą i zabetonowany – tak samo jak przedtem. Biblioteka jeszcze istniała. Była otwarta. Wszedł, minął recepcję. Żadna z dwóch kobiet siedzących za kontuarem nie spojrzała w jego stronę. Ucieszyło go to. Cieszyły się,

gdyby już nikt nigdy na niego nie patrzył. Półki z prasą były na swoim dawnym miejscu, tam gdzie pamiętał. Zaczął czytać. Czytał o sobie. Nie było tego dużo. Nie wiedzieli zbyt wiele. Nikt nie wiedział więcej, niż miał wiedzieć. Skąd mogliby wiedzieć? Skąd mogliby to wszystko wiedzieć? Może znał odpowiedź również na to pytanie. Odłożył gazetę na półkę i wyszedł. Przy placu było więcej restauracji niż kiedyś, o wiele więcej. W rogu stała budka telefoniczna. Miał nadzieję, że jeszcze stoi. Jedyna, jaka została w mieście. Wszedł i stwierdził, że telefon nadal działa. Wybrał numer. Połączył się z centralą. Odebrała kobieta.

– Chciałbym rozmawiać z komisarzem Erikiem Winterem – powiedział.

21:25

BYŁO JEJ ZIMNO. Szli przez cień, było chłodniej, niż mogło się na pierwszy rzut oka wydawać. Jej ciało jeszcze dobrze nie wyschło.

Słońca już nie było widać, ale nadal było jasno, może nie tak jak w dzień, ale prawie.

Potem wyszli spomiędzy cieni. Wszędzie były skały. Niektóre twarde, niektóre sprawiały wrażenie miękkich jak poduchy albo długie piaszczyste wydmy. Ale nigdzie nie widziała piasku. Był pod wodą. Coś błyskało na wodzie w zatoce, na całym morzu. Może to słońce zaczęło rozświetlać wodę od dołu, kiedy zapadło się w morze.

– Dobry ma się stąd widok – powiedział.

Przytaknęła.

– Zimno ci?

– Nie... teraz już nie.

– Słyszysz? – zapytał, wyciągając rękę w stronę morza.

– Nie, a co?

– To brzmi tak, jakby ktoś się zbliżał – wyjaśnił.

Znów się wsłuchała. Może to mógł być warkot silnika. Ale nic nie widziała.

– To łódź – stwierdził.

Poczuła powiew wiatru. Chłodny, jakby nagle, w ciągu kilku sekund, zrobiła się jesień.

– Wracamy – zdecydowała. – Chcę wracać.

– Na piechotę to daleko – odparł.

– Ale jak w takim razie wrócimy? – zapytała. Jej ciało przeszył dreszcz. – Teraz mi zimno.

W dole ukazała się łódka. Wyłoniła się zza skały, która wyglądała jak głowa konia. Z każdej strony tak wyglądała. Nazwała ją Końska Góra, ale nie wiedziała, czy na pewno tak się nazywa. Może wcale nie miała nazwy.

Widziała twarze w łódce. Były jak migoczące punkty, na pewno z powodu refleksów światła na wodzie.

– Mamy gości – stwierdził.

Łódka powoli wsunęła się do zatoki. Usłyszała, jak silnik gaśnie. Widziała wystające wiosło. Łódka była plastikowa, nie większa niż bączek. Silnik był niewiele mniejszy od niej.

– Znasz ich? – zapytała.

– A ty nie znasz? – odpowiedział pytaniem, odwracając się do niej.

16

WINTER JECHAŁ NA GÓRĘ SWOJĄ WINDĄ. Robił to już chyba pięć tysięcy razy. Znał każdą zmarszczkę Waldemara Windy, jak go nazywały dziewczynki. Najpierw Elsa, teraz również Lilly. Waldemar Winda. Zawsze ubrany w brązowy mahoń. Wzdychał, ciągnąc ich z wysiłkiem na czwarte piętro. Dziękuję, powiedział Winter, wysiadając, i zasunął za sobą ozdobną kratę. Możliwe, że nigdy się nie wyprowadzili z Vasaplatsen wyłącznie z powodu tej usługowej windy. Działka, którą kupili nad morzem, była świetną plażą. Własna plaża. I może niech tak zostanie.

Głowa akurat nie dawała o sobie znać. Ból przeniósł się do ciała jakiegoś innego nieszczęśnika, ale tylko na krótką chwilę. Czy jest jeden ból, który się przemieszcza między nami? Jak jedno zło. Ale złem jesteśmy my sami. W takim razie ból też tym jest. Tak mógł myśleć komisarz policji kryminalnej,

przekraczając próg swojego mieszkania. Lilly czekała już w przedpokoju. Podniósł ją i ucałował. Dmuchnął jej za ucho, zaśmiała się radośnie.

Angela wyszła z kuchni z włosami owiniętymi w ręcznik. Wyglądała jak mieszkanka pustyni, kobieta szejk.

– Gdzie Elsa? – zapytał Winter.

– Pozwoliłam jej zostać na kolacji u koleżanki.

– U kogo?

– U Clary. Mieszkają przy...

– Tak, wiem – przerwał jej Winter.

– No to przepraszam.

– Nie musisz się zaraz obrażać.

– Chyba się nie obrażam? Kto tu jest obrażony?

– Chcesz powiedzieć, że to ja się obrażem? – zapytał Winter, stawiając Lilly na podłodze.

Dziewczynka nagle posmutniała. Dwa palce powędrowały do buzi, na pocieszenie przed tym, co mogło nadejść. Wściekły ojciec, wściekła matka. Co to jest? Winter poczuł, jak ogarnia go irytacja. Nie chciał tego. Nie mógł tego powstrzymać.

– Może lepiej sobie pójdę? – rzucił.

– Co ty wygadujesz? – obruszyła się Angela. – Myślałam, że nie będziemy się tak po szczeniacku zachowywać.

Lilly spojrzała na niego. Wyglądała jak Angela w dzieciństwie. Miała nos i podbródek Angeli. Nie wiedział, co ma po nim. Może oczy. Wężowe oczy. *Snake eyes*, powiedział mu kiedyś hinduski wróżbita, którego spotkał na lotnisku w Palermo. Przechodził, spojrzał na niego, powiedział to i uśmiechnął się melancholijnie. To było jak sen, prawdziwy sen. Erik *snake eyes* Winter. Zrobił do Lilly zabawną minę. Nie, to nie były wężowe oczy, broń Boże. Nie był żadnym wężem, wężem z rajy. Poszedł do kuchni i położył na stole zakupy.

– Nie kupiłem koperku – powiedział. – Pomyślałem, że do ryby mogę podsmażyć trochę krewetek z curry.

– Już jestem głodna – powiedziała Angela.

– Nie jadłaś lunchu?

– Kanapkę w kafeterii.

– Czy pani doktor nie wie, że w ciągu dnia trzeba zjeść coś zdrowego?

– Chcesz kieliszek wina? – zapytała.

– Skoro mówimy o zdrowiu, chętnie.

Usmażył flądry na grillowej patelni, szybko podduślił na maśle krewetki z plasterkami czosnku i syngaleską mieszanką curry. Ułożył rybę na podgrzanych talerzach i polał masłem z krewetkami. W hali targowej kupił też okrę, ugotował ją i podał jako dodatek. Angela pokroiła kilka pomidorów. Winter ubił ziemniaki na purée i dolał sobie wina. Za oknem dzień już zniknął. Niebo przybrało wspaniałą czarnogranatową barwę. Może to najpiękniejszy kolor w roku.

Lilly wszystko smakowało.

– Nawet okra – zauważyła Angela.

– Właśnie to chyba najbardziej kojarzy mi się z indyjską kuchnią – powiedział Winter.

– Hm...

Lilly zrobiła się bardzo senna.

Winter wstał od stołu, wziął ją na ręce i zaniósł do jej pokoju. Kilka miesięcy wcześniej zapragnęła mieć własny pokój i go dostała. W mieszkaniu było dość miejsca dla wszystkich. Choćby to przemawiało przeciwko wyprowadzce.

Angela nadal siedziała przy stole.

Winter wrócił i nalał sobie kolejny kieliszek wina. Zaczęło się robić ciepło.

– Nie będziesz jutro zmęczony? – zapytała.

– Już jestem zmęczony.

– Co to za odpowiedź?

– A potem zamierzam się napić whisky i będę jeszcze bardziej zmęczony.

– Tak, tak.

– Co chcesz powiedzieć przez to: tak, tak?

– Nic, Eriku. Nie zaczynaj znowu.

Poczuł w głowie ucisk, jakby jego potylicę ścisnęła stalowa siatka. Teraz to nie była migrena. To było jakieś inne dziadostwo.

Angela nieoczekiwanie wstała i wyszła. On nadal siedział, aż opróżnił kieliszek, a potem ważył go w dłoni, zastanawiając się, czy nie cisnąć nim o wykafelkowaną ścianę nad blatem. Zamknął oczy, odstawił kieliszek i wstał.

Angela siedziała w salonie. Nie widział jej twarzy. Nie zapaliła światła.

– Przecież są lekarstwa – powiedziała. – Eriku, na litość boską.

– Na co?

– Na migrenę oczywiście. To przecież bez sensu. Wypisałam ci coś, ale nie wykupiłeś tego.

– Teraz nie mam migreny.

– Ale tak to wygląda.

– Dlaczego tak twierdzisz?

Nie odpowiedziała. Nadal nie widział jej twarzy. Usiadł.

– No dobrze, już dobrze – powiedział.

Odwróciła się do niego na fotelu. Zauważył, że płakała. Poczł się jak świnia. Infantylna świnia. Zasłużył na pieprzony ból głowy. Przyjdź, błogi bólu, przyjdź na zawsze. Nie mógł się ruszyć. Nawet tego nie mógł zrobić, wstać, podejść do niej i mocno przytulić. Co się dzieje? Kim się stałem? Co wywołuje objawy: za mało albo za dużo snu, zbyt mocne lub migoczące światło, zaniedbania żywieniowe, spożywanie ostrych serów, czekolady, cytrusów albo czerwonego wina, ciężkie zapachy, zmiana pogody. Nic z tych rzeczy. Zadzwoił telefon. Sygnał zabrzmiał ostro. Wyszedł do przedpokoju i zdjął słuchawkę ze ściany. Telefon wisiał tam od lat, powiesił go, jeszcze zanim Angela się wprowadziła. Zanim zostali rodziną. Telefon stacjonarny na ścianie to anachronizm. Niedługo ja też nim będę. Banał, dziecinny banał.

Staroświeckie urządzenie, bez wyświetlacza. Nie zaniepokoił się. Zastrzeżony numer, jeden z wielu.

– Słucham, Winter.

– Tato! Mogę zostać na noc u Clary?

– Nie... wiem, córeczko.

– Ale nie mogłabym? Jej mama się zgadza!

– A co mówi jej tata?

- On też mówi, że mogę!
 - Czy to prawda, córeczko?
 - Jasne, że to prawda!
 - Zaczekaj chwilę. Zapytam mamę.
 - Aha – powiedziała Elsa. – A dlaczego zawsze musisz ją pytać?
 - Chyba nie zawsze?
 - Nigdy sam nie możesz zdecydować – odparła dziewczynka.
- Spojrzał na Angelę. Uśmiechała się, musiała wszystko słyszeć. Może tak było. Decydował o wszystkim sam w pracy, cały czas, i w domu, z rodziną, nie chciał już podejmować żadnych decyzji. Może w małych sprawach, kiedy chodziło o kolację, ale nic więcej.
- Okej – powiedział w końcu.
 - To mogę? – upewniła się.
 - Tak.
 - Hurra!
 - I nawet nie zapytałem mamy – dodał.

Wypił tylko jedną, może dwie whisky. Zresztą niezbyt duże. Angela przez chwilę nic nie mówiła. W końcu powiedziała:

- Zaczynasz coraz więcej pić, Eriku.
- Naprawdę?
- Nie zauważyłeś? Sam o tym nie pomyślałeś?
- A kto mnie pytał dziś wieczorem, czy nie napiję się wina?

Nie odpowiedziała.

– Nie piję więcej niż przedtem.

Na to też wołała nie odpowiadać.

Czasem może wypił nadprogramową szklankę whisky, ale tylko jako lekarstwo. Czy na przykład teraz bolała go głowa? Nie. Ale zaczęłaby boleć, gdyby pił dalej.

Wstał, wziął ze stołu butelkę whisky, zaniósł ją do kuchni, postawił na blacie i wrócił do Angeli.

– No to na dziś koniec z whisky. Tak będzie lepiej?

Nie odpowiedziała. Usiadł.

– Chcesz się kłócić? – zapytała.

– Ale o co chodzi?

– Wygląda na to, że chcesz wywołać awanturę. Wszystko jedno, co ja powiem.

– Nie chcę wywołać żadnej awantury. Z pracą mam awantur aż nadto.

– Jakies problemy?

– Powiedziałem: z pracą. Nie w pracy.

– Ach, to bardzo przepraszam.

– No i kto się teraz awanturuje?

– Ja się awanturuję?

Nie odpowiedział.

Siedzieli dalej w milczeniu. Słyszał ruch uliczny na Vasaplatsen. Zwykle nie zwracał na to uwagi. Hałas z ulicy stał się częścią odgłosów jego świata. Myślał, że już tak zostanie. A teraz nagle te odgłosy z zewnątrz zaczęły go irytować. Dlaczego, u diabła, ludzie nie mogą wieczorem posiedzieć w domu? Dlaczego muszą jeździć w kółko po mieście, krążyć akurat pod jego balkonem, wokół Vasaplatsen? Znow wstał.

– Wychodzę na chwilę – powiedział.

– Co chcesz zrobić?

– Przejsz się, mówiłem. Potrzebuję powietrza.

– Ja też potrzebuję powietrza – powiedziała Angela, podnosząc się. – Potrzebuję tego bardziej niż ty. Byłam dziś dłużej w zamknięciu. Wychodzę na chwilę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał. Sam przed chwilą usłyszał takie pytanie.

Angela nie odpowiedziała.

Po kilku minutach usłyszał, jak trzaskają drzwi. Cały czas stał w tym samym miejscu. Był sparaliżowany.

– Gdzie byłaś?

Nie wiedział, jak długo jej nie było. Zajrzał do Lilly i posiedział chwilę, patrząc na dziecko śpiące snem niewinnych. Może wszyscy są niewinni, kiedy śpią, może to nie jest przywilej dzieci. Może sam jest niewinny, kiedy śpi.

– Przeszłam się trochę po dzielnicy – odpowiedziała.

– Byli jacyś ludzie?

– Prawie pusto.

– Nie należy chodzić samotnie wieczorami.

– Trzymałam się oświetlonych miejsc.

To nie była prawda. Vasastan potrafiła być ciemna i ponura. Domy były za wysokie i za stare.

– Teraz na mnie kolej – powiedział.

– O czym mówisz?

– Żeby się przejść, oczywiście. Ja też chcę się przewietrzyć. Jest tu więcej osób, które potrzebują oddechu.

– Na Boga, Eriku. – Podeszła do niego krok bliżej. Stali w przedpokoju. Kiedy stanęła w drzwiach, wychodził z pokoju Lilly. – Co się właściwie z tobą dzieje?

– Wszystko dobrze, jeśli tylko będę mógł wyjść na powietrze.

– Masz depresję, Eriku? Jak się czujesz?

– Co to za głupie pytanie? Depresję? Dlaczego miałbym mieć depresję?

Powietrze wcale nie było tak świeże, jak sobie wyobrażał. Może nie jest tak zdrowy, jak by chciał. W depresji, nie, nie jest w depresji. A co to jest? Nie wiedział nawet, co by to mogło być. To było tak, jakby nic nie było naprawdę zabawne, emocjonujące, ciekawe, ale to nie był jego świat. Wszystko było wyzwaniem. Wszystko było emocjonujące jak diabli. Zabawne też było, śmiał się codziennie. Bawił się z dziećmi, zanim zasnęły. Nalewał sobie małą whisky, kiedy już od dawna było ciemno. Wesoło.

Przeszedł przez stanowiącą zagrożenie dla życia Allén. Przez ulubiony bulwar kierowców namiętnie przejeżdżających na czerwonym świetle. Jeden właśnie nadjeżdżał. Winter nie przeszedł po pasach, choć miał zielone światło. Można by ich tu zgarniać co wieczór. Cholerni idioci.

Przeszedł nad kanałem Raoul Wallenbergs gata, potem skręcił w lewo w Sahlgrensngatan i minął dawny budynek Sociala huset. Teraz była tam szkoła pedagogiczna. Wyrósł nowy gmach, po drugiej stronie Viktoriagatan. Szkło i beton, więcej szkła. Oświetlone jak akwarium, może była w tym jakaś symbolika.

Podziemny parking pod akwarium. Winter spojrzął na swój

przegub. Do północy została godzina. Wszedł do środka. Światło było tak samo niebieskie i zimne jak zawsze w takich miejscach. To nie przypadek, że tak wiele thrillerów kończy się albo zaczyna na podziemnym parkingu. A tutaj jesteśmy w samym środku, pomyślał.

Przeszedł wzdłuż rzędów samochodów, skręcił w lewo i zszedł na niższy poziom. Odgradzony kawałek w dalszym końcu wielkiej hali wyglądał jak małe miasteczko namiotowe. Teraz nikogo tam nie było. Torsten i jego ludzie dokładnie obejrzeni posadzkę i ściany. Samochodu oczywiście też już nie było. Ofiary również nie. Bengta Sellberga. Udał się do krainy wiecznych łowów. Winter zatrzymał się przed namiotem rozpostartym nad miejscem zbrodni. Wyjął z kieszeni komórkę. Na dole nie było zasięgu. Rozejrzał się. Coś zobaczył lewym okiem. Ruch. Co, u diabła. Tam, za filarem, jakiś ruch. Poczuł, że krew napływa mu do głowy. W tej chwili go nie bolała. Potem coś usłyszał, szmer. W dłoni trzymał pistolet. Odwrócił się powoli, jakby to miało uspokoić wszystkich, którzy tam byli. Cień, był tam cień. Jego ostrożne ruchy miały uspokoić i jego, i cień. Ktoś go śledził. Kiedy szedł między betonowymi kolumnadami, nie słyszał kroków.

– Halo!?! – zawołał. – Halo, policja!

Jego głos zabrzmiał mocno i twardo. Świetna akustyka.

Wiedział, że na parkingu nie ma kamer przemysłowych. Nie będzie nagrań.

Tam! Ruch za filarem, cień poruszenia. Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni, pomyślał. Tak po prostu jest, wie to każdy policjant. Prędzej czy później. Ale nie sądził, że przyjdzie właśnie dzisiaj. Sądził raczej, że będzie chwilę sam ze swoimi myślami. Dużo było tych myśli, nie wszystkie dotyczyły pracy, ale to dotyczyło pracy.

– Wyjdź!

Ktoś biegł! Usłyszał kroki, zanim go zobaczył. Dunk-dunk-dunk o betonową posadzkę. Twarde obcasy, prawie jak jego głos przed chwilą.

Tam!

– Stój!

Plecy, płaszcz, ruch, coraz dalej od niego. Za plecami miał schody i windę, trochę dalej podjazd dla samochodów. Cię zmierzał właśnie tam. Nadal słyszał jego kroki na posadzce. Zaraz usłyszy je nad głową, jeśli nic nie zrobi. Pobiegł do przeszklonych drzwi, potem pognął schodami na górę, do poziomu ulicy. Oddychał ciężko. To nie był wysiłek, to było napięcie. Drzwi na górze otworzyły się automatycznie i pobiegł prosto do wyjazdu.

Spóźnił się. Brama przy Sahlgrensngatan wypuściła cię szybko i gładko. Wybiegł na ulicę. Nie słyszał już kroków. Cię mógł pobiec w którąkolwiek stronę, nie wiadomo jak szybko. Przebiegł kilka kroków w tę i we w tę, ale nie było nikogo. Podszedł do brzegu kanału i spojrzął w dół, na wodę. Tam też nic. Tylko czerni. Słyszał swój własny oddech. W jego kieszeni zadzwoniła komórka. Znow był w zasięgu nadajników.

– Tak?

– Co jest, Eriku? – spytała Angela. – Coś się stało?

– Ale co? – wydusił z trudem. Mówić było mu trudniej, niż się spodziewał. – Ni... nic. Nic się nie dzieje.

– Czy ty biegasz?

– Biegłem. Przed chwilą.

Szedł i rozmawiał przez telefon. Ringmar nie był zaspany, kiedy odebrał.

– To mógł być ten Ademar – powiedział Winter. – Ten pisarz.

– Dlaczego?

Winter nie odpowiedział.

– Ale dlaczego w takim razie uciekał? – zdziwił się Ringmar.

– Będziemy musieli go zapytać. Mógłbyś tam wysłać samochód? Do jego domu. Zaraz mi padnie bateria.

– Zaczekaj – rzucił Ringmar i odłożył telefon. Winter słyszał jego głos gdzieś w tle. – Właśnie jedzie do Lunden – powiedział Ringmar chwilę później. – Mam po ciebie podjechać?

– Ty nie musisz tam jechać, Bertil.

– I tak nie mam nic lepszego do roboty.

– A co robi Birgitta?

– Nie mam pojęcia.

- Nie ma jej w domu?
- Z tego co wiem, to nie.
- Macie problemy?
- Będę za dziesięć minut – rzucił Ringmar. – Zejdziesz na dół?
- Jestem na dole – odparł Winter.

Wynajęty dom pisarza był tak samo opustoszały jak sąsiedni dom zmarłego.

– Wolałbym tam nie dzwonić – powiedział Ringmar.
– Zawsze miałaś pietra, że mogą cię namierzyć – rzucił Winter i wysiadł z samochodu Ringmara. Minął furtkę, podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę i zadzwonił jeszcze raz.

– Nie ma nikogo – powiedział, kiedy wrócił do samochodu.

– Włamujemy się? – zapytał Ringmar.

– Tutaj też? Niedługo zaliczymy wszystkie domy w okolicy. Ringmar wzruszył ramionami.

– Jestem ciekawy, gdzie on jest – powiedział Winter. – Pisarz.

– Miejmy nadzieję, że nic się nie stało – mruknął Ringmar.

– Niepokoisz się?

– Nie za bardzo.

– To mógł być Richardsson – stwierdził Winter. – Tam, na parkingu.

– To mógł być ktokolwiek. Jakiś nieszczęśnik akurat się tam przypadkiem znalazł.

– Nie. On za mną szedł. Krył się.

– Może miał zamiar cię napaść. Myślał, że jesteś jakimś dzianym gościem, może lekko wstawionym.

– I tu się nie pomylił – stwierdził Winter.

– Tak mi się wydawało, że czułem od ciebie whisky.

– Dawno temu.

– No i co teraz zrobimy?

Winter nie odpowiedział. Ringmar zapytał jeszcze raz. Winter sprawiał wrażenie, jakby był zupełnie gdzie indziej.

– To się jakoś wiąże – powiedział po chwili.

- Ale co?
- Właśnie to usiłuję zobaczyć. Istnieje tu jakiś związek, którego nie mogę dostrzec. Ale jest.
- To jest jak puzzle, to chciałeś powiedzieć?
- Tak. Tak mi się wydaje.
- A my musimy tylko znaleźć kawałki?
- Tak.
- A jeśli ich nie ma?
- To nie są puzzle, Bertil. – Winter się uśmiechnął. – To tajemnica.
- Okej. No to co i kto się wiąże?
- Mamy pusty samochód na Älvsborgsbron. Kradziony. Żadnych śladów złodziei. Żadnych śladów kogokolwiek. Otwarte drzwi, silnik na chodzie. Żadnych śladów w wodzie.
- Żadnych ciał – uzupełnił Ringmar.
- Właśnie, żadnych ciał. Dopóki nie znaleźliśmy Bengta Sellberga z przestrzeloną głową w aucie Jana Richardssona.
- Które pożyczył.
- Które sobie pożyczył, tak.
- A wcześniej Ademar pokłócił się z Sellbergiem – dodał Ringmar.
- Czy to się ze sobą wiąże?
- Nie mówiłeś już, że wszystko się wiąże?
- Co jeszcze mamy, co się tu może wiązać? – zapytał Winter.
- Zniknięcie Richardssona.
- Oczywiście.
- I co jeszcze?
- Będziemy musieli sobie pogadać z Richardssonem.
- Jeśli możemy.
- Racja. Jeśli możemy.
- Może to jest kawałek naszych puzzli – rzucił Ringmar. – Wtedy wszystko będzie jasne.
- Ale co?
- Morderstwo oczywiście. On to zrobił. Dramat zazdrości.
- Można mieć nadzieję – powiedział Winter.
- Nadzieja umiera ostatnia – zakończył Ringmar.
- Co jest z tobą i Birgittą?

- Ona już chyba ma dość tego gówna – odparł Ringmar.
- Jakiego gówna?
- Mnie na ten przykład.
- No, to można zrozumieć.
- Jedziemy?

Winter gapił się w noc. Teraz oficjalnie była noc, minęła północ. Na Skånegatan ruch zamarł. Stadion Ullevi i jego czarne reflektory wyglądały jak dźwigi w martwej stoczni. Kiedyś woda oznaczała dla stoczni życie. Pomyślał o wodzie. Pomyślał o księżce Ademara. Pomyślał głośno.

– Może zamierzała przepłynąć zatokę – powiedział. – Może tak sobie postanowiła.

Przejeżdżali obok Bergakungens salar. Świątynie uciekinierów od życia. Ringmar właściwie przestał chodzić do kina. Był na to za leniwy.

– O kim mówisz, Eriku?

– O jednej dziewczynce. Zniknęła z kolonii na Brännö. Kiedy byłem mały, był tam ośrodek kolonijny.

– Czy ja o tym słyszałem? O jej zniknięciu?

– Nie wiem, Bertil. Sam prawie o tym zapomniałem. Naprawdę zapomniałem. Przypomniał mi o tym Ademar.

– A czym on się tak naprawdę zajmuje? Píše o jej zniknięciu?

– Tak.

– Co to za dziewczynka?

– Była tam na koloniach. Ja nigdy tam nie byłem, ale czasem przepływaliśmy obok jakąś łódką. Nie znałem dzieci stamtąd. My wynajmowaliśmy domek na Tången.

– Kiedy to było?

– Chyba w siedemdziesiątym piątym, tak sędzę. W każdym razie miałem wtedy piętnaście lat.

– I ktoś zniknął?

– Dziewczynka poszła popływać i nigdy nie wróciła. Pracowałeś wtedy w mieście?

– Nie, nie tutaj, byłem mundurowym w Södertälje.

– Nigdy jej nie odnaleziono – powiedział Winter.

- Ach tak?
- Mówiło się, że uciekła z kolonii. To chyba nie było takie rzadkie. To nie było przyjemne miejsce.
- Słyszałem o tym. Karny obóz dla dzieci.
- Zniknęła.
- Dlaczego pomyślałeś akurat o niej, Eriku?
- Ademar próbuje napisać o tym książkę.
- Skąd wiesz?
- Mówił mi.
- To może zna odpowiedzi na kilka pytań?
- Nie, nie sądzę.
- Żadnego kawałka puzzli?
- To wygląda na prawdziwą tajemnicę, Bertil.
- Jak się nazywała?
- Beatrice. Tylko tyle o niej wiem.

17

PORANNA MGŁA WYGLĄDAŁA JAK ZASŁONA. Pytanie tylko dla kogo, pomyślał Winter, skręcając z Sankt Sigfrids plan. Mgły z lasów unosiły się nad całym Örgryte, wdzieraly się między domy. Może potem będzie piękny dzień, kiedy mgła się podniesie i odpłynie nad morze. Może to efekt cieplarniany. W Örgryte było dużo szklarni. Na osiedlach willowych było na to wystarczająco dużo miejsca, a mieszkający tam ludzie byli wystarczająco wyrafinowani, żeby urządzać sobie własne małe cieplarnie. Spróbuj moich pomidorów. To dopiero dynia, mój drogi.

Willa Richardssona była otulona mgłą jak białym czepkiem. Urodziłem się w czepku. To coś wyjątkowego. Matka opowiadała mi o tym kilka razy, kiedy byłem mały. Ludzie w czepku urodzeni zostają kimś wyjątkowym. Są sławni, są sławnymi ludźmi. Jestem sławny na całe Skånegatan i w Örgryte, na krańcach i w punktach centralnych tego słynnego miasta w centrum świata, na krańcu Oceanu Lodowatego.

Naruszył czeppek. Podszedł do drzwi i zadzwonił. Dzwonek

wyglądał, jakby był z prawdziwego złota. Richardsson był radnym od jakichś spraw socjalnych, ale raczej nie mógł się na tym dorobić złotych klamek. Winter wysłał kilku ludzi, żeby popytali o niego innych polityków, ale właściwie żaden z nich nie wiedział, co tak naprawdę robił. Tak samo mało konkretnie wypowiadali się jego koledzy z urzędu. To chyba normalne. Jeśli nikt nie wie, co właściwie człowiek robi, to łatwo jest dalej robić to samo, to, o czym nikt nie wie. Można się tak utrzymać na powierzchni bardzo długo. Winter pomyślał, że często mówi się o niechęci do polityków. Ale on właściwie nie miał zdania na ten temat. Jego zdaniem ta niechęć jest skierowana raczej w drugą stronę, od polityków do wyborców, ale zachowywał tę refleksję dla siebie.

Znów zadzwonił do drzwi. Coś się poruszyło za oknem na piętrze, prawie niezauważalny ruch zasłony. Policjant potrafi zauważyć takie rzeczy. Kiedy nadchodzi emerytura, ta umiejętność staje się bezwartościowa. Jest tylko źródłem paranoi. Albo depresji. Ruchy rejestrowane kącikiem oka. Zawsze. Czy na świecie nie może zapanować spokój?

Berit Richardsson wreszcie otworzyła drzwi. Kryła się w półmroku przedpokoju, jakby otworzyła te drzwi laską.

– Mogę wejść? – zapytał Winter.

Nie odpowiedziała.

– Chyba mnie pani poznaje?

Skinęła głową.

Winter przeszedł przez próg. Wycofywała się przed nim. Wyglądało to trochę nieprzyjemnie, jakby jej zagrażał. Jakby przyszedł powiedzieć coś, co zniszczy jej życie. Może nawet już było zniszczone, może było takie od dawna. Zamknął za sobą drzwi. Przedpokój zrobił się ciemny. Berit Richardsson gdzieś poszła. Gdzieś było widać światło, jak na końcu tunelu. Poszedł za nią. Usiadła na sofie w salonie. Dzień zaglądał przez okna. Nadal był szary. Winter usadowił się w jednym z foteli. Berit Richardsson ukryła twarz w dłoniach. W domu panowała cisza. Dzieci musiały być w szkole. Na pewno nie poszły tam chętnie. Ojciec poszukiwany w całym kraju. Jak można w takiej sytuacji skupić się na szkole?

Berit Richardsson odsłoniła twarz. Winter zobaczył ciemne kręgi pod jej oczami, jak nieudany makijaż: to, co powinno być na górze, spłynęło, czerń rozmazała się na dole.

– Jeśli chciał pan zapytać, czy Jan się odezwał, to odpowiadam: nie.

– Nie zamierzałem o to pytać.

– Więc co chce pan wiedzieć?

– Jak się czują dzieci?

– Dzieci? O co panu chodzi? Dzieci?

– Są w szkole?

– Tak... i nie. Tova jest w szkole. Erik ma wolne.

– Gdzie jest?

– A co to ma za znaczenie?

Żadnego albo bardzo duże, pomyślał Winter. Ale teraz muszę to zostawić. Wróć jeszcze do tego. Albo odpuścimy.

– Myślała pani o tym, gdzie pani mąż może być w tej chwili?

Zaśmiała się. Nagle jej głos stał się ochryply.

– To brzmi głupio – tłumaczył się Winter. – Ale ja nic o pani mężu nie wiem. W odróżnieniu od pani.

– A co miałabym wiedzieć?

W tej chwili wyglądała tak, jakby wcale nie wiedziała wiele więcej od niego. Może nawet tak było. Dopiero teraz dowiadywała się czegoś o swoim mężu. Razem z Winterem. To, czego się dowiadywał, było nowością również dla niej. Złe wiadomości.

– Czy jest jakieś szczególne miejsce, gdzie może być?

Nie odpowiedziała.

– Macie państwo jakiś letni domek albo coś w tym rodzaju?

– Nie.

– Przyjaciele? Krewni?

– Nie sądzę, żeby go ukrywali – powiedziała jasnym głosem.

– Zadzwoniliby do mnie. Zarówno rodzina, jak i... przyjaciele.

Ostatnie słowa przeciągała. Winter niemal czytał w jej twarzy. Przyjaciół nie mieli zbyt wielu. Richardsson nie uciekał w tę stronę.

– A jeśli on nie żyje? – zapytała bardzo cicho.

Teraz szukała jego wzroku.

– Dlaczego miałyby nie żyć?
– Czy nie tak właśnie myślicie? Tak naprawdę? Że on nie żyje?

– Kto mógłby... jak by to powiedzieć... kto mógłby mu życzyć śmierci?

– Na Boga – rzuciła oburzona. – Co to za rozmowa?

– Czy ktoś pani mężowi groził? – Winter nie ustępował.

Potrząsnęła głową.

– A może pani? Rodzinie?

– Nie.

– Nic pani sobie nie przypomina? Cokolwiek. Nie musiało to nawet wcale wyglądać jak groźba. Może coś, o czym pani tak pomyślała po fakcie.

– Nie.

– Pani mąż nigdy nie wspominał o żadnym zagrożeniu? Nie mówił, że ma z czymś problemy? Z kimś?

– Nie...

Ale w tej odpowiedzi usłyszał wahanie. Może pytała męża o jakieś sprawy. Albo sama się nad czymś zastanawiała.

– Nie wiemy na przykład, skąd pani mąż znał Bengta Sellberga.

– Nie wiem – odpowiedziała szybko.

– Więc nic pani o nim nie wie? Miała pani okazję, żeby się nad tym zastanowić. Nigdy pani nie słyszała tego nazwiska?

– NIE!

Krzyknęła. Winter drgnął. Znów ukryła twarz w dłoniach. Jakby chciała przed tym wszystkim uciec. Głowa w piasek, głowa w dłoniach.

– Nie – powtórzyła z bezpiecznego wnętrza dłoni. – Mógłby mi pan wreszcie dać spokój? – Jakby zamknęła słowa w dłoniach, jakby dobiegały z tunelu, z zamkniętego pomieszczenia. – Chciałabym zostać sama.

Już tam była, pomyślał Winter. Szukała tak schronienia, w takim samym tunelu. Potrzebowała osłony. Może cała jej rodzina. Syn Erik. Córka. Przed kim chcieli się chronić? Przed kim próbowali się chronić?

– Boi się pani czegoś, co ma związek z Sellbergiem? – zapytał

Winter.

Nie odpowiedziała. Winter nie widział jej twarzy. Zapytał jeszcze raz. Potrząsnęła głową, nadal schowaną w dłoniach. Ręce jej się trzęsły. Winter nagle zaczął się bać tego, co mogło nastąpić. Co mógł spowodować albo już spowodował. Wstał szybko, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Podskoczyła. Odsunęła dłonie od twarzy.

– Niech pan stąd idzie – poprosiła.

– Ma pani kogoś, kto mógłby teraz z panią zostać? – zapytał Winter. – Nie powinna pani być teraz sama.

– Erik i Tova wkrótce wrócą do domu.

– Pani wcale nie powinna być sama – podkreślił Winter. – Może pani do kogoś zadzwonić? A może ja poproszę, żeby ktoś przyjechał?

Potrząsnęła głową. Nie mogę jej zmusić, pomyślał Winter. Ale to dziwne, że jest tu sama. Dlaczego jest sama? Nadal trzymał dłoń na jej ramieniu. Było ciepłe. Może to ja mam zimne ręce, pomyślał. Dlaczego ona się boi? Tu nie chodzi tylko o zniknięcie jej męża. To coś innego. Ona coś wie. Wie od dawna.

Berit Richardsson poruszyła się. Wzrok Wintera spoczął na jej piersiach, to było nie do uniknięcia. Była w jego wieku, troszkę młodsza albo niewiele starsza. Miała piękną twarz. Nawet teraz była piękna. Nadal czuł ciepło jej ciała. Nagle na niego spojrzała. Zaprzagnął wyciągnąć drugą rękę i wytrzeć łzy z jej policzków. Zamiast tego zdjął dłoń z jej ramienia i odwrócił się do okna. Za oknem zobaczył twarz. Napotkał spojrzenie Erika. Chłopiec stał tam kto wie jak długo. Winter uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Twarz chłopca zniknęła. Teraz już było widać słońce. To miał być kolejny niesłychanie piękny dzień.

Bolały go oczy, kiedy szedł z samochodu do drzwi komendy. Wrócił do auta po okulary słoneczne. Ból zniknął natychmiast, gdy tylko je założył.

Przy bramce zobaczył Haldersa.

– Jak tam z głową? – zapytał Halders, kiedy znalazł się blisko

niego.

– Dziękuję. I wzajemnie – odparł Winter, zdejmując okulary.

– Z moją głową wszystko w porządku – powiedział Halders i poklepał się po gładkim ciemieniu.

– Świetnie.

– W ogóle wszystko jest w porządku.

– Świetnie.

– Wszystko jest cholernie wspaniale – mówił dalej Halders.

– W życiu nie czułem się lepiej niż w ten cudownie piękny jesienny poranek. Kurwa, nawet nie można powiedzieć, że to jesień. – Uśmiechnął się. – To fantastyczne, że możemy coś takiego przeżyć, nieprawdaż?

– To prawda – zgodził się Winter.

– Rozmawiałeś z Anetą?

– Słucham?

– Aneta. Aneta Djanali, która pracuje w tym wydziale. Ciemnoskóra kobieta. Twierdzi, że urodziła się w Östra sjukhuset. Z którą mieszkam. Albo mieszkałem. Rozmawiałeś z nią? Powiedziała ci, że się wyprowadziła z domu?

– Właściwie nie – odparł Winter.

– Właściwie nie? Co to, kurwa, znaczy?

– Nie chciała o tym mówić, Fredrik.

Halders wpatrywał się w niebo. Niesłychanie błękitne. Tak samo niesłuchane jak to cholernie wspaniałe życie. Winter nie wiedział, co powiedzieć. Ani co ma zrobić. Czy powinien próbować załatwić Haldersowi przeniesienie? Właściwie nie chciał rozwalać zespołu po tylu wspólnych latach, ale zespół chyba rozwalał się sam. Nie był w tej chwili silniejszy niż jego najśłabsze ogniwo i tak dalej. A może to on był tym najśłabszym ogniwem? Albo był do niedawna? Nagle poczuł przyływ siły. Oczy już go nie bolały, głowa też nie. Migrena właśnie szukała sobie jakiegoś innego nieszczęśnika, pod innym niebem, szarym niebem. Może choroba nigdy już nie wróci.

– Ona ma rację. Tu nie ma o czym mówić – powiedział Halders.

– Fredrik...

– Wiem, co powiesz – przerwał mu Halders. – Ale jestem profesjonalistą, ona też.

– Nie to zamierzałem powiedzieć – zaprzeczył Winter.

– Zresztą co to za durne słowo – ciągnął Halders. – Profesjonalista.

– Też nigdy go nie lubiłem – przyznał Winter z uśmiechem.

– To brzmi tak, jakby człowiek przestawał myśleć, czy coś takiego. Jakbyś był maszyną. Jakby tylko o to chodziło.

– Czasami chyba o to chodzi – przyznał Winter.

– Nie dla mnie. Ale czasem człowiek marzy, żeby być czymś takim. Maszyną.

– Co robisz wieczorem? – zapytał Winter.

– Co... chyba siedzę w domu. Mam w końcu jakieś dzieci. Dłaczego pytasz?

– Może byśmy gdzieś wyskoczyli na godzinkę? Napić się czegoś, tylko tak.

– Ty i ja, o to chodzi?

– Tak.

– Do diabła, Eriku, czy kiedykolwiek pytałeś mnie o coś takiego?

– Nie wiem, ale chyba tak.

– Ja sobie nie przypominam.

– No to co powiesz? Mógłbyś załatwić opiekę do dzieci na godzinę albo dwie?

– Mogę zapytać Anetę – powiedział Halders i wybuchnął histerycznym śmiechem.

Telefon zadzwonił, kiedy Winter wchodził do swojego pokoju. Sygnał brzmiał, jakby rozlegał się w pustce, jakby ktoś pod jego nieobecność powynosił meble i inne sprzęty. Echo w dużej przestrzeni. Ale nie było tam wiele do wyniesienia. Gabinet był wyposażony skromnie. Miejsce pracy profesjonalisty. Jedynym, co wykraczało poza przeciętność, była umywalka i niemal zabytkowy panasonic. Stał na podłodze od ponad dziesięciu lat i odtwarzał muzykę do pracy. Winter właśnie zamierzał włożyć nową płytę, kiedy zadzwonił telefon.

– Winter.

Centrala.

– Jakiś anonim cię szukał kilka razy.

– Kiedy?

– Wczoraj. I przedwczoraj też.

– Ile razy?

– Dwa.

– To nie jest aż tak niezwykle – powiedział Winter.

– Nie, ale chciałeś wiedzieć.

– Tak. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Anonimowe telefony. Większość odsiewano, zanim do niego dotarły. Ale on chciał o nich wiedzieć. Czasem to naprawdę miało znaczenie, raz na milion przypadków mniej więcej. Ale za tym milionowym razem znaczyło wszystko.

Telefon zadzwonił znowu.

Stał w samym środku świątyni techników. Zawsze był zafascynowany, kiedy tam zaglądał. Intuicja i wyobrażenia, doświadczenie i umiejętności śledcze mogły go zaprowadzić bardzo daleko, ale jednak nie do końca. Musiał współpracować z technikami, i to coraz częściej, tym częściej, im bardziej wyrafinowane i skuteczne mieli metody. Badania DNA szły naprzód, niemal co miesiąc pojawiała się coś nowego. Może kiedyś nam się uda, chociaż na jakiś czas, znaleźć się o krok przed przestępcami, pomyślał niedawno. Może jeszcze ktoś nie uniknie kary. Przeszłość dogoni kolejnego zwyrodnialca.

Torsten Öberg wskazał na zdjęcia rozłożone przed nimi na stole.

– Strzelec stał blisko drzwi – powiedział. – Na zewnątrz.

Winter skinął głową.

– To też wygląda na kaliber dziewięć – ciągnął Öberg. – Albo tetetka.

– Będziemy musieli się przyzwycząić.

– Już dawno się przyzwyczailiśmy – odparł Öberg. – Tylko nadal nie mamy pewności co do tego domu. – Spojrzał na Wintera. – Ale trzy strzelaniny w tak krótkim czasie... robi się coraz ciekawiej. Samochody zamieszane w to w różny sposób.

Ten sam samochód w dwóch przypadkach. Ten sam człowiek, Sellberg.

– Pociski z trzech przypadków – dodał Winter.

– Już je wysłaliśmy do centralnego laboratorium – powiedział Öberg, jakby mówił do siebie. – Porównaj ślady.

Winter znów skinął głową. Ślady na pociskach powstają wskutek obracania się kuli w lufie. Dzięki żłobieniom kula wiruje wokół własnej osi. Więc centralne laboratorium może sprawdzić, czy ten ruch wyglądał tak samo, czy różne pociski zostały wystrzelone z tej samej broni.

In your dreams, pomyślał.

John Coltrane grał *Resolution*. Odkąd wrócił z biura Öberga, puszczał *A Love Supreme*. Muzyka była częścią jego pokoju. Była częścią niego. *Resolution*. Rozwiązanie. Przyglądał się zdjęciom na biurku: porzucony samochód na moście. Dom Sellberga. Zamordowany Sellberg w aucie Richardssona. Znów samochód na moście. Miał właściciela, ale to nie wiązało się ze sprawą. A może wprost przeciwnie? Nie był pewien niczego, co dotyczyło Rogera Edwardsa. Samochód został skradziony, może w konkretnym celu. Może ten cel został osiągnięty, może nie. Samochód nie został skradziony. Ale w jakiś sposób był powiązany ze wszystkim, co się potem stało. Był powiązany przez ludzi, wydarzenia, zbrodnie. Ofiarę. Albo ofiary. Może ofiar było więcej. Może za tym wszystkim coś się kryło. Może to wszystko, most, dom, parking, samochody, miało jakiś wspólny sens. Jeśli czegoś się w pracy nauczył, to tego, że miejsce zbrodni rzadko jest przypadkowe. Jeszcze raz dokładnie przyjrzał się zdjęciom. Światło na moście było wyjątkowo piękne. Fotograf z działu technicznego dotarł na miejsce, kiedy zaczynało świtać. To była Erika Djurberg, bardzo utalentowana. Za te zdjęcia mogłaby dostać jakieś nagrody, gdyby je robiła w celach komercyjnych. Zatrzymał się na dłużej nad jednym: opuszczony samochód był tylko częścią kompozycji, szczegółem. Zdjęcie pokazywało kawałek tła, dźwigi przy Västra Eriksberg, linię nowych domów, jak nową utopię. Nowo narodzone słońce na wschodzie. Zaczynało się

przedzierać przez szkło i beton, tworzyło płaskorzeźbę o ostrych konturach: czarnych, czerwonych i złotych. Czarna woda w rzece. Potężny most. Wspaniałe zdjęcie. Robiło wielkie wrażenie. Ostry jak brzytwa realizm. Brutalna elegancja. Siedział w swoim bezpiecznym pokoju, ale niemal przeszył go dreszcz. Na zdjęciu była przepaść. Ale nie chodziło o głębię pod mostem. Raczej o coś, co było gdzie indziej. W innej sferze. Po drugiej stronie mostu rzeka uchodziła do morza. Samego ujścia nie było na zdjęciu widać, ale było tam. Morze, archipelag szkieców, północny, południowy. Wyspy. Pomyślał o południowych szkiecach. Brännö. Ośrodek kolonijny na Brännö. Widywał go z daleka, kiedy był młody. Patrzył na niego tak, jak się patrzy na jakiś zakład czy obóz karny. Nie, wcale nie był młodym człowiekiem: był chudym piętnastolatkiem, ledwie chłopcem, który nie wiedział, gdzie kiedyś wyląduje na tym świecie, a może w jakichś innych światach. Marzył o innych światach, musiał to robić, ale teraz nie mógł sobie nic przypomnieć i to go zirykowało. Zamrugnął oczami i znów wbił wzrok w fotografię z mostu. Powinno się coś takiego pamiętać, kroki w dorosłość, tak samo jak powinno się pamiętać swój pierwszy dzień w szkole. Życie zaczyna się na nowo kilka razy, wcześniej i później, i te chwile należy pamiętać. To szansa, która nie wróci, ponieważ w życiu nie ma powtórek tego, co naprawdę ma jakieś znaczenie. Zawsze ma się tylko jedną szansę. Cała reszta nie jest już tak ważna, wszystko to, co dzieje się potem, kiedy człowiek jest starszy, kiedy życie powoli zastyga. Znał to przecież dobrze. Nie musiał podnosić ręki ani ruszać ramionami. Nadal czuł się silny, ale jego ruchy powoli tężały. Ile razy jeszcze miał przeżyć chwile, które należy pamiętać? Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, słońce na zdjęciu wspięło się trochę wyżej.

Christian Lejon przeglądał listę osób wynajmujących całonocowo miejsca parkingowe w garażu przy Nordenskiöldsgatan. Abonament w zależności od miejsca, tak to się nazywało.

Dostał ten spis tuż przed lunchem. Ale nie zamierzał jeść

lunchu. Zje wieczorem, później. Trzydzieści osób. To nie tak dużo, ale też nie jest to wielki garaż. Poza tym parkowanie tam jest drogie. Do tego ci, którzy z przypadku zostawiają tam auto na kilka godzin. Ale od czegoś musiał zacząć. Postanowił zacząć od pierwszego nazwiska na liście. Spisano je alfabetycznie. Pierwszy był Aare, drugi Ademar i tak dalej.

Niekończące się spaceru po mieście, pod błękitnym niebem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział tak błękitne niebo. Czy to zasługa jesieni? Czy jesienią niebo nabiera intensywniejszego koloru? Mógł się nad tym zastanawiać godzinę albo dwie, jak nad wszystkim, co się kryło za tym błękitem. Myśl o tym, co się za tym kryło, przynosiła mu swego rodzaju ulgę. Jak gdyby wtedy wszystko tu, na ziemi, nie było takie małe i nędzne, kiedy się o tym myślało. Choć tak naprawdę było odwrotnie. Jeśli się tak myślało, naprawdę dostrzegało się, jak małe, nędzne i bezsensowne jest wszystko tu, na dole.

Szedł wzdłuż rzeki na wschód. Wkrótce dojdzie do nabrzeża. Próbował się zdecydować, czy to zrobić.

Miał dostać nowe zlecenie.

Spodziewał się, że teraz będą chcieli go zabić. Ale ciągle był przydatny.

Poczuł na twarzy promienie słońca. Stał na nabrzeżu.

18

RINGMAR WSZEDŁ BEZ PUKANIA i usiadł na krześle przed biurkiem Wintera. Winter pokazał mu jedną z fotografii.

– Co nam to mówi? – zapytał.

– Ale co? – odpowiedział Ringmar.

– Scena. Obraz. Motyw. Zdarzenie.

– Czy to było zdarzenie?

– Ktoś zostawia swój skradziony samochód na Älvsborgsbron, z silnikiem na chodzie, i znika. Czy to nie jest wydarzenie?

– Swój skradziony samochód? Powiedziałeś: swój skradziony samochód.

– Skradziony samochód należy tu traktować jako własność tego, kto go zawłaszczył – powiedział Winter.

– Aha.

Winter odłożył fotografię. Wystarczy tego piękna.

– Może to Sellberg ukradł samochód – podsunął Ringmar. – Przypadkiem. Samochód Richardssona. Nasz polityk raczej nie sprawia wrażenia człowieka godnego zaufania. Mógł kłamać, kiedy mówił, że pożyczył auto Sellbergowi.

– Dlaczego?

– Najłatwiejsze rozwiązanie: może byli w konflikcie.

– Hm...

– Richardsson może już być na tamym świecie – powiedział Ringmar. – Co powiedziała jego żona?

– Nic. Ale to nie znaczy, że nic nie wie.

– To znaczy, że wie?

– Facet miał coś na sumieniu, jakieś łajdactwa.

– Łajdactwa? To piękne stare wyrażenie. Myślałem, że już wyszło z użycia.

– Nauczyłem się go od ciebie, Bertil.

– Może Richardsson miał romans z Sellbergiem – powiedział Ringmar. – Nikt dotychczas o czymś takim nie wspominał. – Spojrzał na zegarek. – Bergenhem chyba właśnie teraz rozmawia o tym w urzędzie.

Nie do końca. Bergenhem właśnie przechodził przez Gustav Adolfs torg. Król jak zwykle całą dłonią wskazywał na rzekę. Göteborg to miasto królewskie, ale zaprojektowali je holenderscy inżynierowie, ten sam zespół, który zaprojektował Dzakartę. Gdzieś o tym czytał. Nigdy nie był w Indonezji, ale może powinien pojechać właśnie tam, kiedy rzuci wszystko tutaj. Gdzieś, gdzie bez problemu będzie się orientował w centrum miasta.

Czy ja myślę inaczej niż inni ludzie? – myślał, idąc po schodach. Wszyscy normalni ludzie, których cały czas spotykam.

Sekretarka Richardssona przyjęła go w swoim małym biurze. Patrzyła na niego podejrzliwie. Może trochę się bała. Tak, to

był strach. Bergenhem czuł na sobie spojrzenia ludzi, których mijał, kiedy szedł przez pałac polityki. Wszyscy wiedzieli, jasne. Wielki Boże, u nas! U nas coś takiego! W co takiego Jan się wplątał? Gdzie on jest?

– Nic nie wiem. – To były jej pierwsze słowa.

– Jeszcze o nic nie pytałem – powiedział Bergenhem.

– To straszne – stwierdziła, podniosła dłoń do szyi i zaczęła się bawić naszyjnikami. Przesuwała go w palcach jak różaniec.

Chyba wie chociaż, jak się nazywa, pomyślał Bergenhem i zapytał ją o to.

– Lena Jarlert. – Wyglądała na wystraszoną, nawet kiedy mówiła, jak się nazywa. – Ale w gazetach tego nie będzie?

Lena Jarlert przeczytała gazety. Spektakularne morderstwo na parkingu. Fotografie z podziemi świata. Zaginiony mężczyzna. Jej szef. Dzikie spekulacje w popołudniówkach.

– Nie jestem dziennikarzem – uspokoił ją Bergenhem.

– Ale w raporcie... czy czymś podobnym, w pańskim raporcie? Jeśli dziennikarze go przeczytają?

– Zostanie sklasyfikowany jako tajny.

To były odpowiednie słowa w tej sytuacji. Tajny. Sklasyfikowany. Zaraz wyglądała na spokojniejszą.

– Czy Jan Richardsson mówił, że ktoś może mu grozić?

– Nie.

– Czy wyglądał na zastraszonego?

– Nie rozumiem...

– Czy sprawiał wrażenie nerwowego? Przestraszonego?

– Nie.

– Mówił coś o tym? Może ostatnio coś wspomniał?

– Nie, nigdy.

– Czy jego zachowanie się zmieniło w ciągu ostatnich dni? To mogło być cokolwiek. Najmniejszy szczegół, który pani teraz przyjdzie do głowy.

– Nie, bo nie widywałam go zbyt często. Rzadko tu bywał.

– Kiedy? O czym pani mówi?

– Ostatnio... w ostatnich dniach, o to pan przecież pytał.

– A gdzie wtedy był?

Nie odpowiedziała.

Zapytał jeszcze raz.

– Nie mogę przecież wiedzieć wszystkiego – powiedziała.

To było dość zastanawiające.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – zapytał Bergenhem.

– Umawiam na spotkania, ale nie na wszystkie.

– Ma pani jakąś listę?

Wyciągnęła rękę i wzięła z biurka teczkę. Leżała na samym wierzchu niewielkiego stosu, jakby przed chwilą ją przeglądała.

– Właśnie miałam to zarchiwizować – wyjaśniła.

– Czy mógłbym dostać kopię?

– A czy to konieczne?

– Tak.

Kiedy Ringmar wyszedł, Winter wstał, podszedł do odtwarzacza i znów włączył Coltrane'a. Kiedy wstawał, ból znów uderzył go jak młot. Ostre światło zza okna paliło go w płyty czołowe. Ale teraz to nie miało prawa się zdarzyć. Było na to lekarstwo, naprawdę je wykupił i zaczął brać. Nie pomagało. Więc nie miał migreny. To było to, co podejrzewał. Cierpiał na coś poważniejszego, tylko oni tego nie znaleźli. Zawsze tak jest, każdy o tym wie. Żadna naprawdę poważna choroba nie ma stadium początkowego, nikt nigdy niczego nie znajduje, wszystkie testy są negatywne.

Łupanie w głowie powoli słabło. Co to jest? Przez chwilę miał zamglony wzrok, kanał Fattighusån za oknem wyglądał, jakby się rozpląwał między żółtymi ceglanymi budynkami po drugiej stronie. Drzewa w parku były jakimiś czarnymi stworami, poruszały się na skraju jego pola widzenia. Zamknął oczy i świat zrobił się czerwony. Otworzył oczy i wszystko wokół nadal było czerwone. Znów usłyszał łupanie. W głowie. Nie, to były uszy, to nie było łupanie, tylko dzwonienie, dochodziło z tyłu.

Oddalił się o krok od okna i usłyszał telefon. Ból minął. Porzucił go tak nagle, jak przyszedł, jak oślepiający promień słońca wpadający zza okna. Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Tak?

- Halo... tu Ademar. Jacob Ademar.
- Gdzie pan był?
- Jak to gdzie byłem? Wyjeżdżałem.
- Dokąd?
- Ale o co chodzi? Pojechałem zbierać materiały. Do książki.

Co się stało?

– Dzwonił pan już? – zapytał Winter. – W ciągu ostatnich godzin?

– Nie...

– Spędził pan noc w domu?

– Nie.

– A gdzie pan jest teraz?

– W drodze do Szto... – Jego głos się urwał. Winter słyszał tylko szum na łączach. Ademar siedział w pociągu do Tokholmu.

Winter oddzwonił i nagrał wiadomość na jego padniętą komórkę. To jeszcze nie była sytuacja wymagająca użycia hamulca ręcznego.

Telefon znów się odezwał.

– Tak?

– Na dole jest kobieta, pyta o ciebie.

Recepcja.

– Jak się nazywa?

Słyszał jakieś głosy w tle. Potem recepcjonistka powiedziała do słuchawki:

– Mówi, że nazywa się Sellberg. Marie Sellberg.

– Już schodzę!

Czekała przy recepcji. Stała przy obitej skajem sofie. Winter wyciągnął rękę.

– Erik Winter.

– Marie Sellberg.

To samo nazwisko. Winter nie widział obrączki na jej palcu. Była w jego wieku, na oko czterdzieści pięć lat, wysoka, wąska twarz, blond włosy, nic w niej nie przypominało brata. Ale przecież widział tylko jego maskę pośmiertną.

– O co tak naprawdę chodzi? – zapytała.

– Pójdziemy może do mojego biura – zaproponował.

– Ale co to za sprawa?

– Tędy – powiedział Winter, tak spokojnie jak tylko potrafił.

W windzie się nie odzywała. Gapiła się na ceglana ścianę. Ona wie, pomyślał Winter. W jakiś sposób musiała się już dowiedzieć.

Zaproponował jej krzesło przy biurku. Nagle wydało mu się niepotrzebnie twarde.

– Napije się pani czegoś? Może kawy?

Potrząsnęła głową.

– Może mi pan teraz powiedzieć? – poprosiła.

Winter powiedział to, co musiał. Jej twarz wyrażała niedowierzanie.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

Patrzyła na niego, jakby myślała, że żartuje. Drgnęła, kiedy wyraził ubolewanie.

– Dziękuję, że pani przyszła – powiedział.

Kiwnęła głową niemal niezauważalnie.

– Już na sekretarce słyszałam, że nie żyje.

– Tak.

Wiedzieli tylko tyle, że miał siostrę. Rodzice nie żyli. Siostra mieszkała w Göteborgu. Möllerström tam dzwonił, ale nikt nie odbierał.

– Musiałam wyjechać – powiedziała.

Winter skinął głową.

– Czy to naprawdę on? – zapytała.

– Tak.

– Chyba nie muszę... identyfikować go czy coś w tym rodzaju? W kostnicy?

– Nie, nie.

Zauważył, że przygląda się panasonicowi. Fakt, sprzęt muzyczny na podłodze wyglądał trochę dziwnie.

– Nie nagrywam tej rozmowy – powiedział Winter, ruchem głowy wskazując na odtwarzacz.

Nic nie powiedziała.

– Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała coś o bracie.

– Co mam opowiedzieć?

– Kiedy ostatni raz się pani z nim widziała?

– To było dość dawno temu.

– Jak dawno?

Nie odpowiedziała.

– Kiedy ostatni raz się pani z nim widziała? – powtórzył Winter.

– Już nie pamiętam.

– W tym tygodniu? W zeszłym? W zeszłym miesiącu?

– W zeszłym roku – powiedziała wreszcie.

19

BERGENHEM SZEDŁ Z POWROTEM przez plac. Teraz nie widział króla. Musiał zstąpić ze swojego cokoku i wejść do którejś z kawiarni na Hamngatorna. Kiedy król pojawił się w mieście za pierwszym razem, wielu z tych dzisiejszych kawiarni nie było. Musiały być dla niego nieustającą pokusą, kiedy tak stał na cokole. Próbował wyobrazić sobie króla w jednym z takich lokali, przy stoliku, ale mu się nie udało. Kiedy znów tam spojrzął, król był na miejscu, jak gdyby nigdy nic. Wskazywał w jego stronę, jakby chciał wskazać drogę. Berghem próbował wyobrazić sobie swoją własną przyszłość, ale i to mu nie wyszło. Szedł Norra Hamngatan, przeszedł przez most, minął pub Fiskekrogen, potem siedzibę wojewody i dotarł nad rzekę. Potem przeciął Oskarsleden, który teraz był tylko cieniem siebie z dawnych czasów, odkąd wybudowano Götatunneln. Nagle zrobiło się cicho. Nagle zniknął ruch uliczny. Nagle mieszkańcy mogli pozdejmować maski gazowe. Szedł wzdłuż rzeki w stronę Roselund, na zachód, mijał barki parkingowe. Dla niego woda w rzece miała taki sam kolor jak niebo. Nie można było stwierdzić, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Prom Älvsnabben czekał na niego. Wszedł na pokład i odpłynęli. Stał nadal na deku, razem z jakąś dziewczyną z rowerem. Wyglądała na studentkę, mogła mieć najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Ma przed sobą całe życie, pomyślał. Miejmy nadzieję, że ona też tak myśli. Wtedy ja tak myślałem, wtedy w to wierzyłem. Kiedy miałem

dwadzieścia jeden lat, liczyłem na to, że spotkam kogoś, z kim będę chciał żyć, i tak się stało. Zrobiłem to niewiele później. A teraz stoję tu i już w to nie wierzę. Może nigdy nie wierzyłem. Zobaczył, jak wyłania się przed nimi Dockpiren, jakby to on się do niego zbliżał, a nie odwrotnie. Przez sekundę wydawało mu się, że Älvsnabben zderzy się z falochronem, ale prom zwolnił i spokojnie podpłynął do pomostu. Dziewczyna z rowerem zeszła na ląd, wskoczyła na siodełko i pojechała do Sannegårdshamnen. Czy to Halders powiedział, że w następnym życiu chce wrócić jako damskie siodełko rowerowe? To musiało być dawno temu. Teraz Halders rzadko wygaduje takie idiotyzmy. Człowiek się prawie za tym stęsknił. Starzeje się, wszyscy są coraz starsi. Bardziej zmęczeni chyba też. Mniej zdeterminowani. *You're losing all your highs and lows, ain't it funny how the feeling goes.* The Eagles, *Desperado*, muzyka z zachodniego wybrzeża. Zachodnie wybrzeże tu i tam, pomyślał, przechodząc przez Eriksbergstorget w stronę Maskinkajen. Tutaj kończyły się domy. Wkrótce pojawią się nowe, nowe domy budowane tuż przed jego nosem w zastraszającym tempie. Widział wieże Älvsborgsbron nad Färjenäs. Most był ogromny w świetle słońca i odbłasków na wodzie, wyglądał, jakby cały czas ulatywał do nieba. Wszedł do restauracji sushi i usiadł przy stoliku. Był w lokalu sam. Kobieta o orientalnej urodzie podeszła do niego z kartą, ale powstrzymał ją jednym gestem: czekam na kogoś.

Marie Sellberg nie chciała oglądać ciała swojego brata. Wierzyła Winterowi. A on nie widział w jej oczach łez. To nie musiało nic znaczyć.

- Może miał wrogów – powiedziała. – Musiał mieć.
- Dlaczego?
- Był agresywnym człowiekiem.
- Jak się to objawiało?
- No więc... wkurzał się często, tak po prostu. Bardzo szybko. Od poziomu zero do setki, tak można powiedzieć. Nie kontrolował swoich odruchów. Chyba tak się to określa.

- Wie pani, z kim był skłócony?
- Najpierw się zaśmiała, przelotny, gorzki śmiech.
- Przez lata było takich wielu.
- A ostatnio?
- Tego nie wiem. Nie widywałam Bengta prawie rok.
- Dlaczego tak łatwo wpadał w złość?
- Nie jestem psychologiem.
- Musiała się pani nad tym zastanawiać.
- To się chyba wiąże z naszym dzieciństwem.
- Co pani ma na myśli?
- Nie było zbyt przyjemne, że tak powiem.

Winter się nie odzywał. Czekał, aż zacznie mówić dalej. Usłyszał ryk helikoptera na niebie za oknem.

– Ojciec nas bił.

Winter skinął głową.

– A mama nie reagowała. – Marie Sellberg spojrzała mu w oczy. Przedtem spoglądała w okno, na błękitne niebo, jasne słońce, całe to piękno. – Chyba nie miała odwagi. Nie potrafiła. Nie wiem. Nigdy jej tego nie wybaczyłam. Nie wiem, dlaczego to panu mówię.

– Zapytałam panią.

– On... nas molestował. Nasz ojciec.

Winter znów skinął głową.

– Czy to brzmi znajomo? – zapytała. – Słyszał pan już takie historie?

– Tak.

– Byliśmy tylko my, Bengt i ja. Jeszcze tacy mali. Ale... nie wiem sama... potem już nie potrafiliśmy się trzymać razem. To było po prostu niemożliwe.

Widział ból na jej twarzy, kiedy to mówiła. To coś, od czego nigdy się nie uwolni. Na coś takiego nie ma lekarstwa. Rozmowa, może to. Ale tylko do pewnej granicy. Wydawało mu się, że widzi tę granicę wokół niej, jak zasięki. Sama się tym otoczyła, musiała to robić od dzieciństwa. Chociaż nie, dzieciństwa nie miała. To też było widać. Zostało jej ukradzione i jeśli rzeczywiście nienawidził jakichś zbrodniarzy, których ścigał, to właśnie tych, którzy kradli dzieciństwo.

- Gdzie pani rodzice są teraz?
- Nie żyją, oboje nie żyją. Cieszę się z tego. To jedyna radość w moim życiu.

Helikopter nadal krążył nad centrum Göteborga. Winter nie wiedział dlaczego. Szedł pod drzewami skweru przy komendzie. Odezwała się jego komórka.

- Już jestem na miejscu – powiedział głos z drugiej strony.
- Chyba już od jakiegoś czasu.
- Czego pan ode mnie chce?
- Sellberg został zastrzelony, a pan wyjeżdża.
- Czy miałem zakaz opuszczania miasta?
- Nie. Ale prosiłem, żeby pan został, na wypadek gdybyśmy mieli pytania.
- Może je pan zadać teraz.
- Gdzie pan jest?
- W hotelu.
- Zadzwoń do pana za kilka minut. Który hotel? Który pokój?
- Hotel Stockholm. Pokój 189.
- Okej.
- Nie ufa mi pan?
- Nie chcę rozmawiać przez komórkę więcej niż to konieczne. Wie pan, promieniowanie.
- Pan żartuje?

Ale Winter już się rozłączył, nie odpowiedział. Wrócił do komendy i wjechał windą na górę. Myślał o Marie Sellberg. Kiedy wychodziła z jego pokoju, wyglądała jak ktoś najbardziej samotny na całym świecie. Teraz nie miała nikogo, tylko siebie. Nie ucieszyła jej gwałtowna śmierć brata. Była godną uczestniczką tragedii zwanej życiem. Kiedy wyszła, był przygnębiony. Z czasem stawał się coraz wrażliwszy. Niedługo zacznie płakać podczas przesłuchań. Przesłuchiwanie będą musieli go pocieszać. Świat jest zbyt zepsuty. Czy warto ratować ludzkość? Czy powinien nadal próbować to robić? Takie myśli naszyły go przed chwilą, kiedy przechadzał się samotnie między drzewami. Próbował je odsunąć, zobaczyć,

jak rozpływają się w powietrzu wraz z dymem jego corpsa. Cygaretką jest mimo wszystko czymś, czego można się trzymać. Świat się rozpada, corps trwa.

Wybrał numer hotelu Ademara i czekał na połączenie z pokojem.

– Tak?

– Jak idzie z książką?

– Dlaczego pan pyta?

– Jestem ciekaw.

– Dlaczego?

– Czy to takie dziwne? To przecież dawna tajemnica, której nigdy nie rozwiązano. Wprawdzie stało się to, zanim zacząłem pracować w policji, ale niewyjaśnione zniknięcie nigdy nie jest dla policjanta przyjemne.

– A czy to nie jest coś zwyczajnego? – zapytał Ademar.

– Nie. Zdarza się, ale większość ludzi się zgłasza, prędzej czy później. Albo zostają odnalezieni w taki czy inny sposób.

– Może to nie jest tajemnica – powiedział Ademar.

– Co pan ma na myśli?

– Może to puzzle.

– To ciekawe, że pan to mówi – stwierdził Winter. – Sam czasem idę podobnym torem. Jeśli to są puzzle, to trzeba tylko znaleźć wszystkie elementy.

– To nie jest takie tylko.

– Czy właśnie to próbuje pan zrobić? Znaleźć kawałki puzzli?

– Nie wiem. Właściwie sam nie wiem. Nigdy nie wiadomo, czy wszystkie kawałki się zachowały.

– Ile pan znalazł?

– Nie tak dużo.

– Więc książka jeszcze nie jest w szczególnie zaawansowanym stadium?

– Nie.

– Czy to będzie rzecz czysto dokumentalna?

– A co to jest?

– Nie wiem.

– Jeśli chodzi panu o to, czy będzie się opierała na faktach, to chyba można powiedzieć, że będzie dokumentalna. Ale nie ma

zbyt wielu faktów. Więc nadal się zastanawiam, czy jednak nie zrobić z tego powieści.

– Rozumiem – powiedział Winter.

– To dobrze.

– Czy pan sam ma jakieś związki z tym ośrodkiem? – zapytał Winter. – Albo może z Brännö?

– Chodzi panu o związki osobiste? Nie...

– Dlaczego zajmuje się pan tą sprawą?

Ademar nie odpowiedział.

– Zaglądał pan do ewentualnych protokołów ze śledztwa?

– Nie, jeszcze nie.

– Ja mogę rzucić okiem – zaproponował Winter. – O ile coś jest.

– Dlaczego miałby pan to robić? Chyba nie ma pan za dużo czasu. Przecież toczy się dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Nie będę tego sprawdzał teraz, chyba nie. Ale... nie wiem. Sam nie wiem, dlaczego jestem tym zainteresowany.

Było w tym coś. Coś w środku mówiło mu, że powinien być tym zainteresowany, zniknięciem tej dziewczynki. Przeczucie. Może właśnie to, co się nazywa intuicją. Czego nie można wyjaśnić racjonalnie, logicznie. Może to raczej fikcja niż dokument.

– Ale ja mam z tym pewien związek... – powiedział Ademar po dłuższej przerwie.

– Słucham?

– Beatrice była moją siostrą.

Halders i Aneta unikali się do chwili, kiedy było to już niemożliwe. Niemożliwe stało się w aucie Anety, kiedy wracali z domu Sellberga. Minęli skrzyżowanie. Jedna z ulic prowadziła do domu Haldersa. Haldersa i Djanali, tak na to patrzył przez ostatnie lata. Ile lat mieszkali w nim razem? Trzy? Cztery? Nie pamiętał. Nie chciał.

– Co się dzieje? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Chcę usłyszeć odpowiedź.

– Nie wiem, Fredriku.

- To nie wystarczy.
- Ale co mam powiedzieć? Co chcesz usłyszeć?
- Powiedz COKOLWIEK, do cholery!

Drgnęła, kiedy podniósł głos. Poczuła, że samochód zarzuciło, i mocniej ścisnęła kierownicę.

- Uspokój się, Fredriku.
- Myślisz, że to jest jakaś pieprzona gra?
- Dlaczego miałabym tak myśleć?
- Jeśli chcesz się wyprowadzić, powinnaś mieć przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby to powiedzieć! I zrobić to. Nie wystarczy po prostu wymknąć się wieczorem bez słowa.

Nie odezwała się.

– Jak myślisz, co powiedzą Hannes i Magda? Co? Co oni myślą?

– Ja... o tym myślę, Fredriku.

– Ach tak? A jak?

– Daj mi tylko trochę czasu – poprosiła.

– Czasu na co? Nie mam do tego cierpliwości. To największy koszmar pod słońcem. Znasz mnie. Nie, chyba nie. To tylko mi się wydawało. To nam się wydawało. Zatrzymaj się.

– Co?

– Zatrzymaj auto!

Przyhamowała i stanęła na poboczu. Przed małym placem zabaw. Troje dzieci huštało się na huśtawkach. Do samochodu przeniknął ich śmiech. Halders otworzył drzwi, wysiadł, zatrzasnął za sobą drzwi, nie mówiąc ani słowa, i ruszył dalej na piechotę. Nie odwracał się. Nie wystarczy po prostu pójść sobie bez słowa, pomyślała.

Winter jechał Långedragsvägen. Minął Hagenskolan, zjechał w prawo w Krokebacksgatan, potem skręcił w lewo we Fullriggaregatan i pojechał dalej, do Hagen. Te ulice były częścią jego dzieciństwa. Miał dobre dzieciństwo. Miał dobry start w dorosłe życie. Zaparkował mercedesa na ulicy, przed domem swojego dzieciństwa. Jego starsza siostra Lotta mieszkała tu z córkami, choć Bim właściwie zaczynała już własne życie. Otwierając furtkę, próbował zrozumieć, dlaczego

tak rzadko tam zaglądał. Lubił Lottę. Lubił jej córki. Nie przepadał za samym domem, choć sam nie wiedział dlaczego. To była zwyczajna tynkowana willa, którą matka i ojciec kupili, kiedy w ich życiu pojawiły się większe pieniądze. Postanowili wyprowadzić się z Kortedali i zamieszkać bliżej morza. Tutaj morze było blisko. Doceniał to jako dziecko i młody chłopak. Rodzina Winterów wynajmowała dom na szkiecach. Mieszkał na skałach. Mieli własną żaglówkę, ale nie został aż takim żeglarzem, żeby samemu mieć łódź. Może to dziwne. Powinien mieć łódź, tak samo jak powinien zamieszkać w domu nad morzem, na działce w Billdal.

Drzwi się otworzyły, zanim do nich dotarł.

– Eriku.

Objęła go mocno.

– Na początku nie poznałam twojego głosu, kiedy dzwoniłeś.

– Ha, ha.

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, w zeszłym roku?

– Jeśli rok to dla ciebie miesiąc.

– Częściej widuję Angelę i twoje córki niż ciebie.

– Co mam na to powiedzieć?

– No wejdź wreszcie. Chcesz kawy?

– Dlaczego nie?

– A może whisky?

– Wyglądam w tej chwili na spragnionego whisky?

– Chyba nie. W takim razie kawa. Będzie rozpuszczalna.

Ekspres wyzionął ducha.

– Za rzadko go używałaś. Ekspres do kawy musi być włączany codziennie.

– Wiem, ale Bim i Kristina przestały pić kawę. Nie jedzą też już mięsa. Ani jajek. Nie piją też mleka. A przede wszystkim nie piją espresso.

– A cappuccino?

– To espresso z mlekiem. Tak samo trujące.

– Wielki Boże. A gdzie one są? Muszę z nimi porozmawiać.

– Szkoła jeszcze się nie skończyła.

Winter spojrział na zegarek. Popołudnie chyliło się ku wieczorowi. Zaczynało się zmierzchać. Niebo coraz bardziej

zapadało się w sobie, nabierało barwy coraz ciemniejszego błękitu. Spojrzał na stare drzewa w ogrodzie, jabłonie i grusze. Ich gałęzie rozpościerały się na wszystkie strony. Nadal pamiętał, w którym miejscu ojciec powiesił im huśtawkę.

– Powinnaś przyciąć drzewa, Lotto.

– Czy to nie ty obiecywałeś, że kiedyś przyjdiesz i to zrobisz? Na wiosnę? A może w lutym?

– W lutym byłem w Marbelli. Powinnaś pamiętać, przecież byliście u nas na feriach.

– W takim razie to było w zeszłym roku.

– Zrobię to w lutym przyszłego roku.

– Rozmawiałam z mamą.

– Tak, do mnie też dzwoniła. Chce chyba przyjechać do domu.

– Na dłużej – dodała Lotta. – Oczywiście może tu mieszkać. Jest mile widziana.

– To dobrze.

– Jest samotna.

Winter potwierdził skinieniem.

– To bez sensu, żeby sama mieszkała tam na południu, w getcie Nueva Andalucía, podczas gdy cała jej rodzina jest w Göteborgu.

– Może ma nadzieję, że wszyscy się tam przeniesiemy.

– Wy rzeczywiście byliście na najlepszej drodze.

– Nie. Wyjazd zeszłej zimy był ostatnim. Przynajmniej na dłuższy czas.

– No proszę. To dokładnie to, co ona chce usłyszeć. Przynajmniej na dłuższy czas. Ona na was czeka.

– Ona jest Szwedką zagraniczną. Oni nie są tacy jak ty i ja, Lotto.

Jego siostra wybuchnęła śmiechem.

– Idę zrobić kawy.

– Wyglądasz na zmęczonego, Eriku. Przepraszam, że tak mówię.

– Za rok będzie lepiej.

– To jakiś żart?

– Nie całkiem. To odpowiedzialność. Birgersson odszedł na emeryturę. Teraz cały wydział jest na mojej głowie.

– Nie było tak zawsze?

Nie odpowiedział.

– Ilu macie ludzi w wydziale?

– Pięćdziesiąt siedem osób, mężczyzn i kobiet.

– Ile z nich to kobiety?

– Hm... niech pomyślę... nie wiem dokładnie. Może dwadzieścia pięć procent. Trzydzieści procent.

– Kristina wspominała niedawno, że może chciałaby zostać policjantką.

– Weganka i policjantka? – powiedział Winter z uśmiechem.

– Takiej kombinacji nie ma.

– Może żartowała.

– W każdym razie spróbuj jej to odradzić.

– Dlaczego?

– Nie będzie lepiej. Nie będzie łatwiej. A w szkole policyjnej jest za dużo psychopatów.

– Czy to jest oficjalne stanowisko policji?

– Moje.

– W takim razie dlaczego od razu się nie zwolnisz?

Mieszał kawę w filiżance, przyglądając się, jak mleko łączy się z brązowym płynem w jaśniejszy odcień. Odgryzł kawałek drożdżówki, którą Lotta rozmroziła w mikrofalówce. Sama je upiekła. Bułeczka była gorąca i zbyt miękka, bo Lotta wyjęła ją o kilka minut za późno.

– Nadal lubię tę pracę – odparł wreszcie.

– To wcale tak nie brzmi.

– Nie chciałbym robić nic innego.

– Przecież ty nienawidzisz tej cholernej roboty – powiedziała Lotta.

– Można kochać i nienawidzić jednocześnie.

– To brzmi tak, jakbyś mówił o którymś z moich dawnych związków.

Teraz Winter musiał się roześmiać.

– A co z ojcem dziewczynek? – zapytał.

– Jest takim samym idiotą jak zwykle. Przysłał kartkę na

święta. Tym razem z Australii.

– Czy one naprawdę nie chcą go znaleźć? Porozmawiać z nim poważnie?

– Poważnie? Co to miałyby znaczyć?

– Postawić dziada pod ścianą, że się tak wyrażę. Skonfrontować go z sytuacją. Zostawił swoje dzieci, kiedy były małe, a niedługo będą wystarczająco duże, żeby mu to wypomnieć.

Lotta nie odpowiedziała. Widział, że już o tym myślała. Że kiedyś nadejdzie taki czas. Że to było konieczne. Że może dałoby się tego uniknąć. Gdyby ona była inna. Gdyby on był inny. A potem było za późno.

– Próbowałam je przed tym chronić – powiedziała.

– Nie da się chyba przed tym ochronić wystarczająco – odparł.

– Nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem. Ale jeśli Bim i Kristina zaczną o tym mówić na poważnie, trzeba będzie coś z tym zrobić.

Kiwnął głową, łyknął kawy. Ciemność szybko rozchodziła się po trawniku. Kolory zniknęły. Dawny domek do zabawy przy żywopłocie był teraz szary. Nocował tam wiele razy, tak samo jak córki Lotty, a potem jego własne. Bim i Kristina były dla Elsy i Lilly jak starsze siostry. Czasem wcale nie chciały zostawiać trawnika ani swojego domku. Kiedy wracały, musiał im budować szałas w mieszkaniu. Polerowany parkiet był tak samo dobry jak trawnik. Trochę twardszy, ale też się nadawał.

Siedzieli w półmroku, rysy twarzy jego siostry trochę się rozmyły. Nie było już widać, o czym myśli.

21:40

WIDZIAŁA, JAK SCHODZILI NA ŁĄD. Trochę to potrwało, zanim im się udało zacumować plastikową łódkę. Teraz wiało trochę mocniej, woda wokół łódki lśniła srebrzyście marszczona wiatrem.

Znała dwóch z nich.

Pamiętała imię jednego. Był całkiem przystojny. Uśmiechnął

się. Zalśniło, jak w dole, na powierzchni wody. Błyskawica. Grom z jasnego nieba, pomyślała. Niebo było tak jasne, jak tylko mogło być, i bardziej błękitne niż godzinę wcześniej.

Po prostu tam stali.

Ten, z którym przyszła, zaczął schodzić w dół, do łodzi.

– Halo! – zawołała.

Nie odwrócił się.

Ruszyła za nim.

– Zaczekaj chwilę – powiedział ten przystojny.

– A co? – odparła.

Żaden z pozostałych się nie ruszył. On wyciągnął rękę, ale jej nie dotknął. A jednak wyglądało to jak zapora, dłoń z ramieniem. Niewidzialny szlaban, pomyślała.

– Nie chcę tu być – powiedziała. – Zimno mi.

– Nie ma się czego bać – rzucił jeden z pozostałych.

– Jak to bać? – zapytała.

Nikt nie odpowiedział. Widziała plecy tego, który schodził do łódki. Łódka kołysała się w górę i w dół. Może to chłupotanie, które słyszała, dochodziło właśnie stamtąd. Był już prawie na dole. Też chciała tam być. Chciała siedzieć w łódce, odpłynąć z Hästberget. Odpłynąć tak daleko, jak się tylko da, na drugą stronę ziemi. Druga strona zaczynała się niedaleko.

Nagle zrozumiała. Dlaczego pomyślałam o tym dopiero teraz? Jestem aż taką idiotką?

Ale to chyba niemożliwe. Nie może być. Nie może tak być. Znam ich, oni znają mnie, kilku z nich. Może kiedyś widziałam pozostałych. Byli u nas w ośrodku. Jeden z nich na pewno. Coś robił, widziałam go z młotkiem.

Popatrzyła na przystojniaka, który wyciągał rękę. Nie wyglądał na złego człowieka. Nadal trzymał rękę w powietrzu, jakby chciał poczuć letni wiatr, dopóki to jeszcze możliwe.

Jeden z pozostałych podszedł krok bliżej. Miał jasne włosy. To był ten od młotka. Miał w dłoni młotek!

Przystojniak zamachnął się wyciągniętą ręką i zacisnął palce na jej ramieniu, jak grube liny.

BERGENHEM WIDZIAŁ TAMTEGO ZA OKNEM. Musiał przyjść z za rogu Maskinkajen. Zjawił się nagle. Bergenhem rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś jeszcze patrzy. Teraz w restauracji siedziało kilku innych gości. Ale kogo by to obchodziło?

Mężczyzna wszedł do środka. Zobaczył Bergenhema przez szklaną ścianę. Wyciągnął ręce, jak do uścisku.

– Nie tutaj, Samuelu – rzucił Bergenhem.

Tamten uśmiechnął się tylko.

– To jedna z najczęstszych odpowiedzi na świecie – powiedział.

Bergenhem usiadł.

Japońska kelnerka znów podeszła do ich stolika. Bergenhem zakładał, że to Japończycy. Pierwszy raz był w japońskiej restauracji. Właściwie to było dziwne. Sushi stało się w Szwecji niemal tak samo popularne jak pieczone kielbaski. Choć on się do tego nie rwał. To było coś z surową rybą. To zupełnie nie dla niego. Surowa ryba i zimny ryż z lepкими glonami. Nie rozumiał, co w tym takiego szczególnego. Zwłaszcza w surowym łososiu. Już samo przyrządzanie jest wystarczająco obrzydliwe.

– Co byś zjadł? – zapytał Samuel.

– Jest tu coś oprócz sushi?

Japonka przyniosła kartę. Twarz miała pozbawioną wyrazu. Samuel wziął od niej menu.

– Coś gotowanego – ciągnął Bergenhem.

– Nie obrażaj jej – powiedział Samuel.

– Zrobiłem to? – Bergenhem popatrzył na kelnerkę.

Uśmiechnęła się. Samuel szybko zajrzał do cienkiego zeszytiku oprawionego w coś gładkiego, w kolorach białym i czerwonym.

– Weź maguro no teriyaki – poradził Bergenhemowi.

– Co to jest?

– Smażony tuńczyk. W soi i japońskim winie.

– Smażony tuńczyk? Czy on nie ma być surowy w środku?

– Oczywiście. Inaczej jest niejadalny.

– No to nie chcę tego.

Samuel oddał kelnerce menu.

– Proszę sushi medium i yakitori – powiedział.

– Co to takiego? – zapytał Berghem z podejrzliwym wyrazem twarzy.

– Grillowane szaszłyki z kurczaka. Okej?

– Jeśli są dobrze usmażone.

– Są, nawet tutaj – uspokoił go Samuel z uśmiechem.

– To dobrze.

– Co chcesz do picia?

– Wodę mineralną. Niegazowaną.

Samuel zamówił to samo i kelnerka poszła.

– Więc nie jadasz sushi – powiedział Samuel. – Nie przetrwałbyś zbyt długo w gejowskim świątku z takim handicapem.

– Nie zamierzam tam żyć – burknął Berghem. – Ani tym bardziej przetrwać.

– Ach tak?

– Masz coś dla mnie?

Samuel spojrzał na budowę po drugiej stronie ulicy. Wyglądało to tak, jakby miało tam powstać całkiem nowe miasto. Zresztą tak właśnie było. Wyrastało nowe miasto, oddzielone rzeką od dawnego. Göteborg mógł się tu zacząć od nowa. Może tym razem pójdzie lepiej.

– Richardsson nie jest nieznanym – zaczął Samuel ze wzrokiem nadal utkwionym z dźwigach i buldożerach.

– Tego się spodziewałem.

– O tym drugim wiem mniej.

– Sellberg. Nazywa się Sellberg.

– Jeśli coś ich łączyło, to ja o tym nie wiem. Ani nikt, kogo pytałem.

– Ilu pytałeś?

– Tych, co potrafią odpowiedzieć na pytania – odparł Samuel i spojrzał na Berghema.

– Może go kiedyś spotkałeś? – zapytał Berghem. – Richardssona? Spotkałeś go?

- Jesteś zazdrosny, Lars? Trochę tak to zabrzmiało.
- Nie jestem zazdrosny.
- A ty się z nim nie spotkałeś? Wiesz, co mam na myśli.
- Zamknij się.
- Mam się zamknąć? Myślałem, że chcesz się czegoś dowiedzieć.
- Zamknij się i mów.
- Coś takiego nazywa się chyba brzuchomówstwem.
- Richardsson. Co masz na niego?
- Lubi chłopców.
- Domyśliłem się.
- Młodych chłopców.
- Sellberg raczej nie był nastolatkiem.
- Może łączyły ich jakieś interesy.
- Interesy? Jakie interesy?
- Nie potrafisz sam myśleć?
- Sprawdziliśmy tego polityka – powiedział Bergenhem. – Nie pojawia się w żadnym śledztwie. Nic nie miał w komputerach. Nasi ludzie z ulicy też go nie znają.
- Zdążyliście to wszystko sprawdzić?
- Tak.
- No cóż, nie wiem – powiedział Samuel i rozejrzał się za kelnerką.
- Skinęła głową i posłała im uśmiech zza baru.
- Żaden z twoich kumpli nie potrafi powiedzieć, gdzie mógłby teraz być?
- Na razie nie.
- Wydaje mi się, że jest w mieście – powiedział Bergenhem.
- Samuel podniósł szklankę z wodą.
- Pojedziemy na chwilę do mnie po lunchu? – zapytał.

Lotta Winter nadal nie zapalała lamp. Ale on był obeznany z tą kuchnią. Lotta wymieniła lodówkę, zamrażarkę i kuchenkę, ale i tak mógł się poruszać po omacku, nie robiąc sobie krzywdy.

– Kiedyś często tak siadywaliśmy – powiedziała Lotta. Jej głos rozbrzmiewał rażąco głośno w mroku i spokoju.

– Jak?

– Czekaając na zmrok, oczywiście. Ty i ja. Robiliśmy to co najmniej raz w tygodniu. Siedzieliśmy bez zapalania lamp i czekaliśmy, aż zrobi się ciemno.

– Mieliśmy na to wystarczająco dużo spokoju?

– Najwyraźniej.

– Nie pamiętam tego.

– Naprawdę nie pamiętasz?

– Nie... sędzę. Zapomniałem tyle rzeczy z dzieciństwa. Nie podoba mi się to, że tyle zapomniałem. Powinienem pamiętać więcej.

– Przecież zwykle pamiętasz wszystko.

– Może to jakiś problem z głową.

– Problem?

– Czasami mam cholerne bóle głowy. Przychodzą i odchodzą.

– Od jak dawna?

– Od kilku miesięcy.

– To nie brzmi dobrze. Co mówi Angela?

– My... ona myślała, że to migrena. Mam lekarstwo. Ale to chyba coś innego.

– Teraz mnie poważnie zaniepokoiłeś.

– To nie żaden tumor.

– Skąd wiesz?

Nie odpowiedział.

– Na Boga! I nic mi nie powiedziałeś! Mówiłeś o tym mamie?

– Nie. To przecież nic takiego.

– Cholerni faceci. To jest coś. Przecież cię boli.

– To tylko stres. Sam nie jestem zestresowany, ale moja głowa chyba czasem tak.

– Takie coś może się skończyć wylewem krwi do mózgu. Albo udarem.

– Dziękuję.

– To ty zaczęłaś o tym mówić. Ja się niepokoję, chyba to rozumiesz.

– A jak my do tego doszliśmy?

– Sam to powiedziałeś. Powiedziałeś, że może masz jakiś problem z głową.

- Zapomniałem.
- Nabijasz się ze mnie, Eriku?
- Tylko troszkę.
- I z bólu głowy też?
- Nie, z tego nie.
- Musicie coś z tym zrobić.
- Nic tam nie ma. To nic takiego. To przejdzie.
- Kiedy?
- Gdybym wiedział kiedy, już bym tam był.
- To zabrzmiało tak poetycko. Być tam, gdzie jest kiedy.
- Kiedy ostatni raz miałaś wieści od Benny’ego? – zapytał

Winter.

- Co? Co ci nagle strzeliło do głowy?

Już nie był w stanie dostrzec jej twarzy. Siedziała dalej od okna. Oświetlenie uliczne było za słabe. To nadal był zapomniany zakątek centrum miasta. Część tutejszych chciała pozostać w zapomnieniu. Chcieli żyć tym, co było kiedyś.

– Nie chcę rozmawiać o Bennym – powiedziała zdecydowanie. – Wiesz doskonale. Nigdy więcej nie chcę rozmawiać o Bennym.

Benny Vennerhag. Jeden z największych gangsterów w Göteborgu. W dawnych dobrych czasach gangsterami bywali w Göteborgu Szwedzi, czasem Polacy. Jego siostra zakochała się w Bennym. To było, jeszcze zanim urodziła dzieci, oczywiście. Ale Benny jej nie zapomniał. Zrobił błąd, myślał potem o nim i próbował odkupić winy. To się ciągnęło jeszcze kilka lat po tym, jak Lotta go zostawiła. Benny jej nie zostawił. Ale w końcu przestał przysyłać swoje wiadomości, jak je nazywał. A on kiedyś o mało go nie zamordował. Prawie go utopił w jego własnym basenie. To było siedem albo osiem lat temu. Szukali wtedy Haldersa, porwanego przez innych gangsterów. Benny przynajmniej coś wiedział. Może wiedział i teraz, wiedział coś o Sellbergu i Richardssonie. O broni. Jak Winter się domyślał, Benny nadal dużo wiedział o różnych sprawach z marginesu Göteborga. Był kimś w rodzaju szwedzkiego ojca chrzestnego. Od tamtego czasu się nie spotkali. Wiedział, że Benny regularnie kontaktuje się z policją,

ale sam trzymał się od niego z daleka. Teraz znów zaczął o nim myśleć. Chodziło o broń. I o tajemnicę, przed którą stanął. Albo o puzzle. O wszystko, co się kryło w tle.

– Chyba powinienem z nim porozmawiać – powiedział Winter. Pomyślał, że to zabrzmiało wystarczająco ogólnikowo.

– Nie mieszaj mnie w to.

– Jasne.

– Czy ty myślisz, że masz... dojdzie do tego bydlaka przez... przeze mnie? Nie podoba mi się to, Eriku. Możesz przestać się z nim spotykać? Ze względu na mnie? Czy to naprawdę konieczne, żebyś z nim rozmawiał?

– Jeśli to zrobię, twoje imię przy tym nie padnie.

– Myślisz, że on tego nie zrobi?

W tej chwili otworzyły się drzwi. Przez mrok kuchni jak promień światła przebił się głos:

– Wujek Erik!

Nad Salholmen wiał wiatr. Szedł z Långedrag wzdłuż Saltholmsgatan, gdzie mieszkali bogaci. Kiedy był młody, biegał tędy jak gdyby nigdy nic. Szybkie kroki ku życiu, które dopiero się zaczęło. Teraz ledwie dawał radę iść. Jaki to wszystko ma sens? Każdy, kto przejeżdżał obok niego, mógł być wrogiem. Wróg był blisko. Zdobył nad nim władzę. Cokolwiek by zrobił, wróg miał go w garści.

Czekał na prom. Zostało jeszcze piętnaście minut. Kilkoro innych pasażerów też czekało, żeby zostawić za sobą stały ład. Nie patrzył na nich. Nie rozpoznali go. To było widać. Rozejrzał się. To nie paranoja, kiedy człowiek naprawdę jest ścigany. Popatrzył na zatokę. Widział szczyt wyspy po drugiej stronie. Stał tam kiedyś raz, tysiąc lat temu. Wtedy miał poczucie, że stoi na dachu świata.

Wszedł na pokład, potem schodami na górny dek. Był sam. Niebo nad jego głową było tak samo niebieskie jak latem, nawet bardziej. Wiało, ale nie było mu zimno. Prom odbił od brzegu i sunął kanałem portowym. Mewy krążyły w górze, nad jego głową. Zobaczył człowieka stojącego na skałach, z lewej. To był mężczyzna. Uniósł dłoń jak do pozdrowienia. To do

mnie, pomyślał. To znak. Mężczyzna stojący na skale nadal stał z ręką w górze. Nie odwzajemnił pozdrowienia. Prom przyspieszył. Mężczyzna stojący na górnym pokładzie poczuł wiatr we włosach. Prawie jakby byli na otwartym morzu, choć prawdziwe morze było trochę dalej, na południe od Vrångö. Kiedyś się zastanawiał, czy się tam nie osiedlić. Wyprowadzić się tak daleko, jak się da, ale nie opuszczać miasta całkowicie. Ale to było kiedyś. Kiedy jeszcze miał wybór.

Jego komórka zaczęła wibrować. Nie usłyszał jej. Nie chciał słyszeć. Był zmuszony ją nosić i słyszeć.

– Tak?

– Gdzie jesteś?

– Nigdzie.

– Słyszę silnik.

– To nie ja.

– Diesel statku. Jedziesz tutaj, tak?

Nie odpowiedział.

– To będzie pierwszy raz? Od tamtego czasu? To mam na myśli.

Na to też nie odpowiedział.

– Nie sądzę, żeby to ci mogło pomóc.

– A co mi pomoże? – zapytał. Musiał prawie krzyczeć. Może wykrzyczał te słowa. Tu, na górze, i tak nikt go nie słyszał. Na południowych szkiecach nikt nie słyszy twojego krzyku. Ha, ha, ha.

– To jeszcze nie koniec – powiedział głos w telefonie. – Chyba się tego nie spodziewałeś, co?

Transport przybył o umówionej godzinie. Jechali tylnymi uliczkami, do magazynu. Ilekroć tędy przejeżdżał, był zaskoczony, że te ulice naprawdę jeszcze istnieją. Wyglądały jak w dawnych czasach, w czasach stoczni. Chodził tam z ojcem. Jeździł tymi uliczkami jako chłopak. Nie zapomniał tego. On też miał budować statki, tak samo jak tata. Mieli budować razem. Tata miał zawsze być obok.

Przeładunek miał potrwać około godziny. Tym razem chciał być przy tym. Właściwie nie wiedział dlaczego. Po prostu się

niecierpliwiał. Może dlatego, że wieczór był taki piękny. Nie robiło się naprawdę czarno. Choć to nie było potrzebne. I tak nikt by ich tu nie szukał. Czasami go to dziwiło. Ktoś musiał kogoś znać. Policja się tu nie pojawiała. Może to było zbyt oczywiste. Brama się otworzyła. Wjechał wprost do środka, wysiadł z auta, rozejrzał się. W powietrzu unosił się zapach żelaza i pyłu. Pamiętał ten zapach z dawnych czasów, z dzieciństwa. Siedział na ramionach taty. Żelazo, pył, ogień. Ogromne płomienie. Łoskot. Tysiąc mężczyzn pracujących w pocie czoła. W-pocie-czoła. To mu się nigdy nie zdarzyło. Poprzysiągł sobie, że nigdy, przysiągł na ogień. Nigdy nie będzie pracował dla tego społeczeństwa, dla tego kraju. Będzie pracował przeciwko nim. Nigdy nie zapomniał faceta z dyrekcji, który przyszedł do nich do domu po wypadku. Był wystarczająco duży, żeby odczuć tę pogardę. Nigdy tego nie wybaczył. Postanowił się zemścić, na swój sposób. Był w tym niezły.

Nikt w hali się nie odzywał. Widział paczki błyskające w zimnym świetle, kiedy niemal przelatowały w powietrzu. Piętnastu, dwudziestu ludzi, kilka twarzy, których przedtem nie widział.

– Zadowolony, Lejon?

Prawie podskoczył. Nieprzygotowany na to, że tamten podejdzie tak blisko. Przyglądał się, jak pracują.

W odpowiedzi skinął głową.

– Za kwadrans będziemy gotowi.

– To dobrze.

– Idziesz do hotelu?

– Nie.

– A jak sprawy z samochodem?

– Z samochodem? – Odwrócił się. Tamten uśmiechał się do niego. A więc to był żart. Nie spodobało mu się to. – Nie mam problemów z samochodem.

– Znalazłeś tamtego zbiega?

– Jeszcze nie.

– Powodzenia.

– Nie potrzebuję żadnych życzeń.

Winter wracał z Hagen do domu. Było jeszcze kilka innych spraw, o których chciał porozmawiać z Lottą, ale nie wystarczyło czasu. A może świadomie to odwlekał, aż zrobiło się za późno.

Ale teraz nie pojechał do domu. Na Sprängkullsgatan pojechał prosto, a potem skręcił w Allén. Minął Heden, Ullevi, wjechał na wzniesienie Lunden. Niebo było bladoniebieskie, na jego tle czarne chmury, jesienny zmierzch.

Zaparkował przed domem Sellberga. Taśmy ostrzegawcze w zagajniku po prawej jarzyły się w wieczornym świetle jak część nieba, niebiesko, biało, czarno. Nie usunięto ich, choć już niczemu nie służyły. Jedna łuska to już było coś. Może to mogłoby wystarczyć. Poszedł w tamto miejsce. Stanął pod drzewem. Tutaj stał strzelec. Widział ulicę, ogród, dom, drzewa za domem. Wyjął się sauera, podniósł na wysokość twarzy i wycelował. Miał nadzieję, że nikt go nie widzi. W jego polu widzenia brakowało jednego szczegółu. Pisarza. Jacoba Ademara. Jeśli naprawdę tam stał. Może to było wymyślone. Kłamstwo. Fikcja. Opuścił lufę. Dlaczego Ademar miałby to wymyślić? Żeby odciążyć siebie? Czyżby zbyt szybko go wypuścił? Nie, przecież nadal był na miejscu. Wprawdzie w Sztokholmie, ale to przecież nie jest inny kraj. Mieszkańcom Sztokholmu czasem się tak wydaje, ale stolica nadal jest częścią kraju, w każdym razie na mapie. Włożył broń do kabury i przeszedł na drugą stronę ulicy. Blokada wokół posesji wyglądała solidniej, jakby chodziło o coś poważniejszego. Może dlatego, że taśm ostrzegawczych było tak dużo. Dom wyglądał, jakby obchodzono jakieś święto, ślub, chrzest, okrągłe urodziny, maturę. Pogrzeb, pomyślał Winter. To jest dekoracja pogrzebowa. Kiedy ktoś umiera, przychodzi policja i rozstawia białoniebieskie dekoracje.

Poszedł wydeptaną ścieżką w stronę domu i na chwilę zatrzymał się pod drzwiami. Nie widział Sellberga żywego. Porywczy facet, tak o nim mówiono. Ale tutaj szukał chyba spokoju. Może próbował się chronić przed samym sobą. Nic to nie dało.

Miał ze sobą klucze. Otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju, który właściwie nie był przedpokojem, raczej pokojem łączącym się z drugim pokojem, z oknami wychodzącymi na tyły. Latarka przecięła ciemność. Żółty kolor. Tchnięcie koloru. Szedł naprzód. Panowała absolutna cisza. Ulica leżała na uboczu, dlatego było prawie jak na wsi. Zupełnie cicho.

Nagle ciszę przerwał dzwonek jego komórki.

– Tak?

– Cześć, tu przedstawiciel twojej rodziny.

– Tak, słyszę.

Opuścił latarkę, teraz oświetlała jego buty. Wyglądały na wyczyszczone lepiej, niż były w rzeczywistości. Ale i tak wkrótce będzie potrzebował nowych. I tak zbliżała się pora wyjazdu do Londynu. Zabierze ze sobą Steve'a, do szewca w Mayfair. Steve będzie mógł przynajmniej ironizować i się naśmiewać. A potem może sam zacznie tam zamawiać obuwie. Stopy są zbyt ważne, żeby je wciskać w jakieś anonimowe buty. To tak jakby założyć garnitur z Dressmanna.

– Gdzie jesteś, Eriku?

– Stoję w pustym, ciemnym domu. Domu śmierci, można by powiedzieć.

– Brzmi przytulnie.

– Zaraz będę w domu.

– To było godzinę temu.

– Przepraszam.

– Dziewczynki nie mogły dłużej czekać.

– Będzie kolejny wieczór, jutro też.

– Będą też kolejne domy śmierci.

– Pomyślałem... nie wiem sam. Zresztą wiesz.

– Tchnienie intuicji?

– Tak.

– I co takiego ci powiedziała?

– Że mam przyjechać do tego domu. Do domu Sellberga. Tego zamordowanego.

Nie powiedział jej, że wcześniej wziął klucze. To też mogła być intuicja.

– A dlaczego miałbyś tam jechać?

– Tego... jeszcze nie wiem.

– Dobranoc, Eriku.

Rozłączyła się. Spojrzała na mały aparat. Wyświetlacz zgasł. Schował telefon do kieszeni marynarki i poświecił latarką do góry. Dlaczego tu przyjechał? Dlatego że z tym domem wiąże się wiele pytań i za mało odpowiedzi. Jeśli ktoś chciał zastrzelić Sellberga, to dlaczego najpierw strzelał ostrzegawczo w ścianę domu? Nie sądził, żeby te strzały były przeznaczone dla Ademara. Nie teraz, jeszcze nie. Jeszcze nie? Czy on był w to w jakiś sposób zamieszany? Nie, mieszkał tylko po sąsiedzku. Powiedział, że wyprowadzi się jak najszybciej, ale jeszcze tego nie zrobił. Może śmierć Sellberga go uspokoiła. Dla jednego śmierć, dla drugiego korzyść. Zabrzmiało to jak tytuł kryminału. Ale Ademar powiedział, że nie pisze kryminałów. Pisze dramatyzowane historie dokumentalne. Pisze o śmierci, prawdziwej śmierci. Pisze o swojej siostrze.

Winter zatrzymał się w kuchni. Co to za zapach? Nie czuł niczego, kiedy wszedł do domu. Może kurz. A może chłodna woń pustki. Ale w powietrzu coś było... unosiło się w kuchni jak cienka zasłona. Omiótł ściany snopem światła latar...

Gdzieś w domu otworzyły się drzwi!

O mało nie upuścił latarki. Światło rysowało na ścianach kuchni żółte zygzaki.

Rzucił się do przedpokoju. Drzwi wejściowe były zamknięte. Poczul na twarzy chłodny powiew. W półmroku zobaczył jaśniejszy prostokąt na przeciwległej ścianie salonu. Podmuchał stamtąd. Podniósł latarkę. To były drzwi na werandę, otwarte, kołysały się na wietrze. Na dworze wiało coraz mocniej. Nie czuł przeciągu, kiedy wszedł do domu. Na pewno by zauważył, gdyby drzwi werandy były otwarte, absolutnie. Myślał o tym, pędząc do salonu i wybiegając na werandę. Wymachiwał latarką we wszystkie strony, jej światło pokazywało tylko drzewa, krzaki, trawnik, kawałek nieba. Nic poza tym. Zatrzymał się, próbował uspokoić oddech, nasłuchiwał. Czyżby to były kroki? Kroki na ulicy? Jasne, że tak! Pobiegł w lewo, okrążył dom i zobaczył swój samochód. Stał na poboczu, pod ponurą latarnią. Jakaś postać oddalała się

ulicą. Wyglądała jak cień podążający ku niewielkiemu wzniesieniu z zagajnikiem.

– Halo! – krzyknął. – Halo! Stać! Policja!

Ale to przecież było bez sensu. Ten, kto był w domu, wiedział, że on tam był, a także zapewne, kim był. Policjant. Nikt się nie zatrzyma na polecenie policjanta, chyba że pod groźbą.

Rzucił się w pogoń za oddalającą się postacią. Po obu stronach stały wille. Pobiegł w lewo, przeskoczył przez żywopłot, potem przeciął trawnik, pokonał kolejny żywopłot i dotarł do drugiego końca lasku, który miał nie więcej niż kilka arów. Dalej stało jeszcze kilka domów, na zboczu schodzącym do miasta. Widział ich światła, wyglądały jak gwiazdziste niebo. Nasłuchiwał kroków, ale teraz było znacznie trudniej coś usłyszeć. Monotonny szum miasta zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Zagajnik chronił północną stronę ulicy przed odgłosami miasta. Tajemnicza postać się wymknęła. Zdawał sobie z tego sprawę, ale i tak zatoczył jeszcze pół koła wokół lasku. Wyjął komórkę i wybrał numer policyjnej centrali. Czuł, jak ciężko mu oddychać. Zaczynały go boleć łydki. Nie zdążył się rozciągnąć. Należy o tym pamiętać, nawet kiedy się gania za tajemniczymi znikającymi postaciami. Ktoś zamieszkał w domu śmierci. Może to kolejny tytuł dla kryminału. Dom śmierci. Podał dyżurnemu najważniejsze informacje. Potem wybrał inny numer.

– Ringmar.

– Właśnie przebiegłem dwieście metrów przez płotki – powiedział Winter.

– Która jest godzina?

Ringmar sprawiał wrażenie zaspanego. Czyżby już się położył? Winter popatrzył na zegarek. Ojej.

– Ktoś był w domu Sellberga – powiedział.

– Czy ty tam teraz jesteś?

– Ktoś się wymknął.

– O kurde. Nie lubimy uciekinierów.

– Jesteś trzeźwy, Bertil?

– Absolutnie. Więc ktoś tam był?

– Ktoś tam był. Ukrywał się, powiedziałbym raczej.

- Brzmi zastanawiająco. Może włamywacz?
 - Może. Albo morderca.
 - Albo polityk.
 - Niewykluczone, że to jedna i ta sama osoba.
 - Richardsson? Ale dlaczego miałby iść akurat do domu Sellberga?
 - Może nie ma dokąd pójść, Bertil.
- Winter przypomniał sobie zapach, który poczuł w domu. To był strach. Słaba woń zimnego potu.

21

RINGMAR STAŁ W POKOJU WINTERA. Wszedł, stanął i nie chciał usiąść. Winter wiedział, że unika siadania. Plecy albo coś jeszcze gorszego: smarowanie jodem. Wszystko przez siedzenie za biurkiem. Teraz miał z tym skończyć. Teraz obaj stali nad biurkiem. Winter też wstawał, kiedy Ringmar wchodził.

– Prawie wszystko wskazuje na to, że Sellberg został zamordowany przed północą – powiedział Ringmar. – Eva w swoim raporcie też mówi, że to możliwe. A nawet prawdopodobne.

– No bo jak mógłby się wydostać potem? – odparł Winter.

– Morderca?

– Nie, oczywiście miałem na myśli zamordowanego.

– Chodzi ci o zamknięcie bramy? – zapytał Ringmar, nie zwracając uwagi na to, co powiedział. – Hm, może mógł jakoś wyłamać drzwi, ale żadnych śladów nie znaleźliśmy.

– Klucz – rzucił Winter.

– O tym będziemy musieli porozmawiać z firmą ochroniarską.

– Jeszcze tego nie zrobiliśmy?

– Oczywiście – odparł Ringmar z uśmiechem.

– A co z właścicielami samochodów?

– Nie czytałeś raportów, Erik?

– Głośno myślę.

– No to ja też mogę. Okej. Są tam siedemdziesiąt dwa płatne

miejsca parkingowe na górnym poziomie i miejsce zarezerwowane dla szkoły pedagogicznej i dla niepełnosprawnych. Na dolnym poziomie jest sto dwadzieścia jeden miejsc. O ile są miejsca, ludzie mogą wykupić parkowanie całodobowe. W tej chwili jest takich pięćdziesiąt siedem. Taki abonament kosztuje tysiąc pięćset koron miesięcznie.

Winter kiwnął głową.

– Nic na to nie powiesz, Erik?

– Na co mam coś powiedzieć?

– Koszty. Tysiąc pięćset miesięcznie za parking.

– To chyba nie jest tak strasznie drogo, tak sędzę.

– Chyba naprawdę żyjemy w różnych światach, Erik.

– *Welcome to my world.*

– Obiekt otwarto w zeszłym roku. No, to może wiesz. I nie ma tam kamer przemysłowych.

– Co w tym przypadku okazuje się fatalne – powiedział Winter.

– Prawodawca uznał, że powinniśmy trochę popracować.

– Tak, niech to diabli, ale ta robota byłaby łatwa, gdyby wszystko było pod obserwacją.

– I nudna – dodał Ringmar. – Cholernie nudna.

Winter skinął głową. To by zmieniło najciekawszą pracę świata w wielką nudę. Wtedy slogan, dzięki któremu został policjantem, już by nie był aktualny: Zostań gliną – zobacz półświatek. Ktoś inny, mianowicie kamera, widziałby go przed nim.

– Z pięćdziesięciu siedmiu osób, które wynajmują miejsca, trzydzieści dwie trzymały tam samochody tamtej nocy. Rozmawiałem z Möllerströmem, zanim do ciebie przyszedłem, i oczywiście wszystkich przesłuchaliśmy. I naturalnie nikt nic nie wie.

– Był tam może jakiś zapomniany samochód? Jakiś biedak, który nie mógł wydostać swojego auta po północy?

– Nie.

– To szkoda.

– Tylko samochód Richardssona. I Sellberg.

– Kto mógł mnie śledzić? – zastanawiał się Winter, wyciągając rękę w bok, prostopadle do ciała jak w klasycznym pozdrowieniu. Miał wrażenie, że ramię mu cierpnie.

– *Morituri te salutant* – rzucił Ringmar.

– Nie żartuj sobie z takich rzeczy – powiedział Winter, opuszczając rękę. Potem przyłożył dłoń do czoła i przez chwilę je masował.

– Boli cię? – zapytał Ringmar.

– Tylko kiedy płacę.

– To dobrze.

– Jestem pewien, że ten ktoś był tam z mojego powodu.

– Dlaczego?

Winter nie odpowiedział. Słuchał śmiechu mew za oknem. Nigdy nie słyszał płaczu mewy. Wszystkie wakacje dzieciństwa i młodości spędził na skałach południowych szkieł, ale nigdy nie słyszał ani jednej płaczącej mewy.

– Dlaczego miały tam być przez ciebie, Erik?

– Czegoś ode mnie chce.

– Czego chce?

– Wiadomość – powiedział Winter. – Chciał mi opowiedzieć coś, co się wiąże z tym wszystkim.

– Może chciał cię zastrzelić?

– Nie. Gdyby chciał, zostałbym zastrzelony.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Na to pytanie też nie odpowiedział. Słuchał syreny na ulicy, płaczący dźwięk. Ktoś był w potrzebie.

Odwrócił się do Ringmara.

– Pamiętasz te głuchoe telefony, do mnie i do ciebie? Ktoś czegoś od nas chce.

– Myślisz, że wiążą się z morderstwem?

– Tak. I z tymi innymi rzeczami.

– Teraz przemawia przez ciebie czysta intuicja.

Winter milczał.

– Czysta intuicja – powtórzył Ringmar.

– Nie...

– Czy morderstwo wiąże się z tymi pozostałymi rzeczami? Co to jest?

– Strzały. Oddane do domu. Może też te na moście.

Winter spojrział na zegarek.

– Torsten powinien dostać wyniki z centralnego laboratorium dzisiaj po południu.

– Hm...

– Wtedy może to nie będzie tylko intuicja – dodał Winter z uśmiechem.

– Za tym wszystkim kryje się coś cholernie nieprzyjemnego – powiedział Ringmar.

– Więc o co w tym wszystkim chodzi? – Winter powtórzył to pytanie i znów się uśmiechnął.

– Ty nie rozmawiałeś z Bengtem Sellbergiem – powiedział Ringmar. – Ja też bym wolał tego nie robić.

– Co masz na myśli?

– Coś z nim było nie tak. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak się wściekł na sąsiada.

– Mów dalej.

– Albo w ogóle się wściekał.

– Dlaczego?

– Właściwie nie wyglądał na takiego. W pewien sposób robiło to wrażenie, jakby coś odgrywał.

– Jego siostra twierdzi, że miał problemy – wtrącił Winter. – Nie kontrolował impulsów.

– To było jak jakaś gra – mówił dalej Ringmar, jakby go nie słyszał.

– Dla kogo?

– Dla nas.

– Ale nas nie było w tej grze, kiedy groził Ademarowi.

– Właśnie, sam to powiedziałeś, w grze!

– No dobrze, to w puzzlach.

– Nie, nie możesz tego tak upraszczać.

– To nie są proste puzzle.

Znów usłyszał mewy za oknem. One też dały się nabrać późnemu latu. Pomyślał o skałach, morzu i słońcu. Pomyślał, że powinien zrobić sobie wycieczkę.

– Te widoczne kawałki to Richardsson i Sellberg – powiedział Ringmar. – Jeden zniknął, drugi nie żyje. Może obaj

już nie żyją.

– Nie – zaprzeczył Winter.

– Skoro tak mówisz.

– Nadal nie udało nam się stwierdzić, co łączyło Jannego i Bengta – powiedział Winter.

– Tak ich nazywasz?

– Tylko teraz.

– Stwierdzić, czy byli pedałami, o to chodzi? Czy byli w sobie zakochani?

– Tak.

– Staramy się. Ale wiesz, jak to jest. Takie rzeczy trzyma się w tajemnicy.

– Nie wiem, jak to jest, Bertil.

– Możesz sobie wyobrazić.

– Z czego żył Sellberg? – zapytał Winter i przeszedł przez pokój do umywalki. Puścił wodę i myjąc ręce, obserwował swoją twarz w lustrze. To był odruch. Mył ręce, kiedy myślał. Białka jego oczu przecinało kilka cienkich czerwonych niteczek, jakby potrzebował odpoczynku. Ale nie potrzebował, nie bardziej niż jakikolwiek inny rodzic małych dzieci. Miał młodą i silną żonę. Nie miał nawet pięćdziesięciu lat. Ograniczył nawet whisky w tym tygodniu.

Odwrócił się do Ringmara.

– Sellberg nie miał pracy. Nie miał żadnego ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Nie dostawał pomocy socjalnej. Żadnych zasiłków. Ale od pięciu lat miał dom i systematycznie spłacał raty i odsetki.

– Ktoś mu pomógł – domyślił się Ringmar.

– Kto? Richardsson?

– Nic takiego nie stwierdziliśmy. Żadnych zagadkowych przelewów z jego konta.

– Ukryte pieniądze.

– Od kogo? Od żony? – zapytał Winter.

Ringmar wzruszył ramionami.

– Albo forsa z przestępstwa – mówił dalej Winter. – Nieopodatkowane dochody. Zatajone dochody.

– Wielkie dochody – dodał Ringmar.

- Sprawiał wrażenie bardzo zamożnego.
- Nic o tym nie wiemy.
- Nie wiemy o nim zbyt dużo.
- Jego życiorys? – zapytał Winter. – Co robił dziesięć lat temu? Dwadzieścia lat temu? Trzydzieści?
- Kto się tym zajmie?
- Ja to mogę zrobić – powiedział Winter.

Jechał Danska vägen i właśnie miał skręcić w Lovisagatan, kiedy zadzwonił telefon. Zjechał na pobocze, zatrzymał się przed małą piekarnią. Poczul, jak zapach świeżego chleba wypełnia samochód, i odebrał telefon.

Öberg.

- Usiądź, Erik, i trzymaj się mocno – powiedział na początek.
- Już siedzę.
- Ta sama broń – oświadczył Öberg. – Tetetka.
- Dom i garaż?
- I auto na moście!
- Żartujesz?
- W takich sprawach nigdy.
- Więc mówisz, że wszystkie strzały oddano z tej samej broni?
- To centralne laboratorium tak mówi. Ja jestem tylko posłańcem. Nie strzelaj do mnie.
- Może na razie wystarczy tego strzelania – stwierdził Winter. – Choć sądzę, że w tej sprawie jeszcze coś się wydarzy.
- Cholernie dziwne to wszystko – powiedział Öberg. – W tej chwili centralne laboratorium sprawdza broń w nowej międzynarodowej bazie danych.

Winter wiedział, co to może oznaczać. Gdzieś, gdzie indziej, mogły się znajdować pociski wystrzelone z tego samego pistoletu.

Ale na razie wystarczało mu to, co już wiedział.

Pomyślał o Rogerze Edwardsie, właścicielu lexusa, który samotnie stał na moście w tamten malowniczy poranek. Dostał samochód z powrotem, przyjął go wręcz niechętnie. To też było dziwne, jakby to auto wiązało się z czymś, o czym wołał nie

myśleć. Może tak było. Może ktoś mierzył wtedy do Edwardsa. Albo Edwards strzelał do kogoś innego? Ale jaki to miało związek z Sellbergiem? Albo z Richardssonem? A pisarz Ademar? Czy to było coś więcej niż tylko sprzeczka między sąsiadami? Wiedział, że to się może źle skończyć: jest źle, jeśli w postępowaniu przygotowawczym szuka się powiązań, które nie istnieją. Auto Edwardsa zostało skradzione i wylądowało w dziwnym miejscu. Podziemny światek jest dość duży, żeby ten sam pistolet mógł zostać użyty w trzech różnych sytuacjach... Zbrodnia przeważnie jest kwestią przypadku. Zbrodnia prawie nigdy nie jest racjonalna, przynajmniej jeśli się patrzy z perspektywy świata naziemnego.

– Dzięki, Torsten – powiedział i wyłączył telefon. Musiał niechęć otworzyć okno od strony kierowcy, kiedy z nim rozmawiał. Zapach z piekarni był bardzo mocny, nie mógł mu się oprzeć. Wysiadł i kupił sobie nadziewaną drożdżówkę.

Stanął na chodniku i wyjął bułeczkę z torebki. To było jego ulubione ciastko: na wierzchu cukier puder, puszyste ciasto, a w środku krem waniliowy jako dodatkowa nagroda. Odgryzł kawałek. Poczul na wargach cukier. Kilka minut wcześniej marzył o cygaretkach, ale to było pożywniejsze, a przynajmniej lepsze dla płuc. Drożdżówka zaspokoiła jego potrzebę stymulacji oralnej, którą mógł zaspokoić również na wiele innych sposobów. Przeżuwał drugi kęs, kiedy zobaczył Berit Richardsson. Minęła go w niebieskim renault clio.

To była ona. Rozpoznał jej profil, ale ona widocznie go nie zauważyła. Stał pod osłoną markizy piekarni. W głębokim cieniu. Poza tym miejscem słońce świeciło oslepiająco jasno. Asfalt wydawał się biały. Promienie oświetlały twarz Berit Richardsson jak reflektor. Nie widziała za dużo przez osłonę przeciwsłoneczną. Ale na tyle dużo, żeby móc dojechać do skrzyżowania i włączyć lewy kierunkowskaz. Przecież ona tam nie mieszka, pomyślał Winter. To droga do Lovisagatan. Do domu Sellberga. Ja też tam właśnie jadę. Schował resztkę ciastka do torebki, wyszedł na ostre światło, wsiadł do samochodu i ruszył śladem Berit Richardsson. Jej clio właśnie wjeżdżało pod górę. Skręciła w prawo, potem w lewo i jeszcze

raz w prawo, w końcu wjechała w Lovisagatan. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów przed skrzyżowaniem, za jakimś zaparkowanym samochodem. Miał dobry widok ponad ogrodami. Berit Richardsson minęła ogrodzony dom Sellberga. Dom śmierci, pomyślał. Przejechała obok domu Ademara, zawróciła na placyku i tą samą drogą ruszyła z powrotem. Jechała powoli. Nie widział, czy patrzy na domy, które mija. Słońce świeciło zbyt mocno. Kiedy przejeżdżała obok jego auta, nadal ograniczało jej widoczność. Na wszelki wypadek skulił się na siedzeniu.

Kiedy zniknęła mu z pola widzenia, on też zawrócił.

Zobaczył ją jeszcze w dole, na Danska vägen, widział, jak mija Szkołę Katolicką i jedzie w stronę Bö, pewnie tą samą drogą, którą przyjechała. Z jej domu nie było daleko do Lovisagatan, ani w linii prostej, ani samochodem.

Zadzwoniła komórka.

– Tak?

– Eriku!

– Cześć, mamó.

– Miałam trochę kłopotów z rezerwacją, ale w końcu znalazłam lot, już jutro wieczorem.

– To świetnie, mamó.

– Będzie cudownie.

– Tak.

– Co z tobą, Eriku? Jesteś jakby nieobecny.

– Właśnie kogoś szpiegowałam, mamó.

– Ojej. To nadal się tak mówi? Szpiegować?

– Tak. A dzisiaj to jeszcze łatwiejsze niż kiedyś – odparł Winter. – W Göteborgu jest tyle cienia, że łatwo się ukryć.

– Nadal macie tę piękną pogodę?

– Ma się utrzymać jeszcze przez kilka tygodni. Może nigdy nie odpuści.

– Wtedy będzie jak tu, u mnie – powiedziała.

– Poczujesz się, jakbyś wracała do domu – rzucił Winter.

– Tak... właściwie to tak. W każdym razie przyjeżdżam! Lotta jest taka miła i zaprosiła mnie do siebie na początek.

Na początek. To zabrzmiało jak początek reszty życia. Może

tak było dobrze. To było coś innego. Mieć rodzica w tym samym kraju. Już zdążył zapomnieć, jak to jest. Minęło tyle lat.

Poruszał się tak ostrożnie, jak tylko mógł. Czy tamten go widział? Nie. Tam, gdzie stał, nie było go widać. A tamten drugi stał w cieniu, był tylko czarną, bardzo czarną sylwetką.

Teraz tamten ruszył przed siebie. Po stu metrach skrzył i dalej szedł pod górę. Najwyraźniej się nie śpieszył. Raz się zatrzymał. Z daleka wyglądało to tak, jakby rozmawiał sam ze sobą, ale to była komórka, zestaw głośnomówiący. Jeszcze niedawno ludzi mówiących do siebie na ulicy uważano za wariatów. Teraz wtopili się w tłum gadający gdzieś w powietrze.

Znów mam zlecenie, pomyślał.

Muszę je wykonać.

Nie chcę tego robić.

Nie mam wyboru.

Tamten nagle odwrócił się na szczycie wzniesienia, jakby przeczuwał, że jest śledzony.

Ale on mnie nie widzi.

Nikt mnie nie widzi.

Nikt mnie nie słyszy.

Ale to nie będzie trwało wiecznie.

Winter przejechał obok domu Richardssona. Przez pręty furtki zobaczył clio. Te same numery.

Na następnym skrzyżowaniu zawrócił i zaparkował mercedesa przed domem.

Zadzwonił do drzwi, ale nikt nie otwierał. Spróbował jeszcze raz, nic.

Od schodów odchodziła w lewo wyłożona kamieniami ścieżka. Najwyraźniej okrążała budynek. Ruszył na tyły domu. Znalazł się na patio. Wyglądało niemal tropikalnie. Rósł tam bambus i coś przypominającego palmy, karłowate palmy.

Trawnik był rozległy i starannie przystrzyżony, sięgał aż do żywopłotu, za którym zaczynała się sąsiednia działka. Rozejrzył się. To tutaj widział wtedy chłopca, przelotnie, jak on miał na

imię... teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Kątem prawego oka zarejestrował ruch.

Odwrócił się. Twarz chłopca patrzyła na niego zza szyby.

22

WINTER STAŁ BEZ RUCHU. Twarz chłopca zniknęła. Naprawdę go widział? Czasem ostre słońce wywołuje obrazy, których nie ma. Nie tylko na piaszczystych pustyniach.

Czekał, aż twarz znów się pokaże. Już drugi raz chłopiec pojawiał się znienacka, nie, trzeci. Przypomniał sobie moment, jak wspomnienie chłodnego wiatru, kiedy chłopiec stał w pokoju, uzbrojony, żeby bronić matki. Naprawdę chciał bronić matki? A może to była samoobrona? Robił to już kiedyś?

– Czego pan znowu chce?

Kobieta stała za nim. Nie słyszał jej kroków na kamiennych płytach. Berit Richardsson nie miała na sobie wierzchniego okrycia. Była bosa. Jakby była cała odsłonięta, bezbronna, pomyślał. Jakby wybiegła z domu w wielkim strachu.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem, że jest pani tu, za domem.

– Czego pan chce?

To było dobre pytanie. Mógł odpowiedzieć, że jest przedstawicielem policji kryminalnej i jako taki ma wstęp wszędzie, zawsze, do domu każdego człowieka. W zasadzie była to prawda, ale w tej chwili nie byłaby to dobra odpowiedź.

– Chciałem trochę z panią porozmawiać.

– O czym?

– O zniknięciu pani męża.

– Znaleźliście go? Gdzie on jest?

– Nie znaleźliśmy go.

– Ja nic nie wiem.

Nie była bosa. Miała na nogach coś w rodzaju pantofli, prawie cielistego koloru. Spojrzał na jej stopy. Spuściła wzrok, potem znów na niego popatrzyła.

– Czy nie powinien pan w tej chwili być gdzieś w mieście i szukać go, zamiast tu przychodzić? Tutaj go nie ma. Może pan

wejść i poszukać, jeśli pan chce.

– Nie ma potrzeby.

– Jego tu nie ma – powtórzyła.

– I nadal nie zadzwonił?

Potrząsnęła głową.

– Miałem nadzieję, że może zadzwoni – powiedział Winter.

– Też miałam taką nadzieję.

Nad ich głowami przeleciał ptak. Wydał odgłos, który zabrzmiał piskliwie i głucho, jak wołanie na pustyni. To był czarny ptak, może sroka albo wrona. Winter nie znał się na ptakach. Nie miał pojęcia dlaczego. Może się ich bał. Zawsze trzymały się gdzieś w pobliżu, przyglądały mu się, słuchały, śmiały się i nawoływały.

Berit Richardsson zdrząła z zimna. On też poczuł chłodny powiew. Słońce jeszcze tutaj nie dotarło. W cieniu była już jesień.

– Może jednak wejdę na chwilę.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła w stronę wejścia. Winter spojrzął jeszcze raz w wielkie okno, ale nie było już w nim twarzy chłopca. Może nigdy jej tam nie było.

– Czy pani syn jest w domu? – zapytał Winter, kiedy stali na frontowych schodkach.

– Nie... dlaczego pan pyta?

– Tak się tylko zastanawiałem.

– Jestem sama – odparła i weszła na górę.

Cienie zza okna dotarły do salonu. Winter siedział w jednym z dwóch foteli. Berit Richardsson usiadła na wielkiej sofie. Nie zaproponowała mu kawy ani niczego innego. To dobrze. Nie było powodu, żeby się cieszyć z jego odwiedzin.

– Muszę zapytać panią jeszcze raz – powiedział. – Nigdy nie słyszała pani o Bengcie Sellbergu?

– Ile razy mam odpowiadać na to pytanie?

– Czasami muszę pytać kilka razy o to samo – wyjaśnił.

– Bo myśli pan, że ludzie kłamią?

– Czasami. A czasami dlatego, że po prostu nie chcą powiedzieć, co wiedzą.

– A co pan sądzi o mnie? Czy ja kłamię? Czy nie chce powiedzieć tego, co wiem?

– Nie chce pani powiedzieć – stwierdził.

– Czy to nie jest to samo co kłamstwo?

– Właściwie sam nie wiem.

– Doprawdy?

– Czasem ludzie czegoś nie mówią, bo nie mają odwagi – powiedział.

Nie odpowiedziała. Jej spojrzenie pobiegło do ogrodu. Żywopłót po drugiej stronie trawnika wyglądał stąd jak mur, ciemny i nieprzebyty. Ogród był zamknięty, nie dawał poczucia wolności. Nie otwierał się w żadną stronę.

– Widziałem panią – rzucił Winter.

– Słucham?

– Widziałem panią przed domem Sellberga.

– Przed domem Sellberga? Mnie? Kiedy?

– Mniej więcej przed czterdziestoma pięcioma minutami.

Właśnie sam tam jechałem. Widziałem, że pani tam była.

– Nawet nie wiem, gdzie to jest!

– Pani tam była.

– Na Boga, czy chodzi panu o to, że zablądziłam w Lunden? Bo to właśnie się stało. Zgubiłam drogę. Musiałam zawrócić i jechać z powrotem.

– Właśnie coś takiego nazywam kłamstwem – powiedział Winter.

– Niech pan sobie nazywa, jak chce – opowiedziała, ale jej głos brzmiał niepewnie.

Trudno jest kłamać, pomyślał Winter. Być zmuszonym do kłamstwa.

– Dlaczego nie chce pani o tym rozmawiać? O Bengcie Sellbergu? Związkach pani męża z Sellbergiem?

Nie odpowiedziała.

– Został zastrzelony w samochodzie pani męża. Pani mąż zniknął. Sytuacja nie może być poważniejsza. Chciałbym, żeby mi pani coś o tym powiedziała. To nam pomoże. To pomoże też pani.

– Jak może mi to pomóc?

– Nie chce pani, żeby mąż wrócił?

Powiedziała coś, ale nie dosłyszała. Wydawało mu się, że coś mówiła.

– Przepraszam, mówiła pani coś?

– On nie wróci – powtórzyła.

– Tak powiedziała? – Ringmar zakręcił się na swoim biurowym krześle. Kiedyś się na nim wywali. – Naprawdę tak powiedziała?

– Tak. Była pewna.

– Czasami człowiek czuje coś takiego – stwierdził Ringmar. – Kobieta ma przecucie, kiedy mężczyzny nie ma.

– Tylko kobiety to czują, Bertil?

– To jakiś sarkazm?

– Nie ma? – powtórzył Winter, nie zwracając uwagi na jego ostatnie słowa. – Nie ma w jakim sensie? Nie ma na zawsze?

– Tak.

– Nie żyje?

– Niekoniecznie.

– Ukrywa się?

– Może przed nią ukrywał się za długo? – powiedział Ringmar.

– Więc dlaczego ona tego nie powie?

– Boi się.

– Kogo?

Ringmar nie odpowiedział. Jego krzesło nadal się kręciło, jakby gdzieś jechało, najpewniej w górę.

– Tego, kto zabił Sellberga – rzucił wreszcie.

– Okej, więc myśli, że teraz przyszła kolej na jej męża.

– Może.

– Albo na nią. Że to ona będzie następną.

– Nie, trzymajmy się raczej Richardssona.

– Dlaczego?

– Bo zrobił coś, co pewnie zrobił też Sellberg. Chyba dlatego Sellberg został zastrzelony.

– Zemsta?

– Może.

- Porachunki?
- Może.
- Dla mnie Richardsson nadal jest głównym podejrzanym – stwierdził Winter.
- W takim razie jego żona się go boi.
- Może już od dawna.
- Jesteś przekonany, że wie więcej, niż nam mówi?
- Na pewno nie zablądziła w Lunden, Bertil.
- Może była tylko ciekawa. Wiedziała, że to dom Sellberga, i chciała popatrzeć.
- Nie, oficjalnie nie ujawniliśmy jego adresu. Musiała wiedzieć wcześniej, gdzie to jest.
- Okej, może wie trochę, ale niezbyt dużo. Wie, że jej mąż się z kimś spotykał, ale to wszystko, co wie albo jej się wydaje. Ewentualnie jeszcze gdzie to było.
- Ona wie o wiele więcej – powiedział Winter z przekonaniem.

Chory z urojenia wrócił do domu z krewetkami, oliwkami, wędzoną gęsiną i kawałkiem kielbasy sobrasada. Miękką kielbasa do smarowania, pochodząca z Majorki, pasowała znakomicie do niesolonego górskiego chleba. Kupił też wino, białe i czerwone.

– Pomyślałem, że możemy zjeść trochę tapas – powiedział. – Na dworze nadal świeci słońce.

– Ale na balkonie jest zimno.

Angela trzymała na rękach zapłakaną, zaczerwienioną Lilly.

– Ma gorączkę.

Elsa siedziała przy kuchennym stole, nad papierem i kredkami. Podniosła na niego wzrok, kiedy stawiał butelki na blacie.

– Rysuję konie – oznajmiła. – Lilly strasznie długo płakała.

– Mogę zobaczyć?

Wziął rysunek i podniósł do oczu. Koń był bardzo duży. Na jego grzbiecie wywijają piruety balerina. To musiało być bardzo trudne.

– To ja – powiedziała Elsa.

- A gdzie się tego nauczyłaś?
- W cyrku!
- Okej. – Zaczął wyjmować zakupy z torby. – Chcesz tapas z serem czy z krewetkami?
- Z serem!
- Ojej, ale jesteś głośna.
- Boli cię głowa, tato?
- Nie, już nie. To były tylko urojenia.
- Co to znaczy urojenia?
- Że ktoś wierzy w coś, czego nie ma, kochanie.

Ranek był tak samo piękny i letni jak poprzednie. Winter jechał rowerem przez Heden. Jakiś chłopiec puszczał latawca, wysoko nad białymi domami po drugiej stronie. Latawiec zataczał koła. Linka musiała mieć z pięćset metrów długości. Chłopiec uśmiechnął się, kiedy Winter go mijał. Latawiec był czerwony i wysoko na błękitnym niebie wyglądał jak zachodzące słońce.

Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, wybrał domowy numer Sturego Birgerssona. Pierwszy raz, odkąd jego dawny szef odszedł z pracy. Wcale nie był pewien, czy Birgersson odbierze. Może nigdy nie uda im się skontaktować. Birgersson mógł być równie dobrze w Laponii. Albo na Timorze. Zamierzał podróżować, ile się da, powiedział nawet: Wtedy się wolniej umiera.

– Halo? – Winter usłyszał niechętny głos już po trzecim sygnale.

- Sture? Cześć, tu Erik.
- Witaj, Erik.
- Jak się miewasz?
- Bardzo dobrze, święty spokój, aż do teraz.
- Przeszkadzam, Sture?
- A co, nie potrafisz sobie poradzić sam?
- Nie, Sture.
- Kiedyś muszę się od tego odciąć, Erik. Ty musisz dorosnąć i przejąć odpowiedzialność. Wybieram się w długą podróż.
- Dokąd?

- Zacznę od Malezji. A potem zobaczę.
- Syn Bertila jest kucharzem w hotelu w Kuala Lumpur. Birgersson nic nie powiedział.
- Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał Winter.
- Jutro.
- Chciałbym się z tobą spotkać na chwilę. Jest coś, o co chciałem cię zapytać.
- Zniknęła – stwierdził Birgersson i odstawił filiżankę z herbatą. Odprowadził wzrokiem przechodzącą ulicą kobietę. Po dziesięciu metrach zatrzymała się i obejrzała, jakby miała oczy z tyłu głowy. – Letni wieczór. Chyba lipiec. Szczegóły możesz sprawdzić. Ale ona zniknęła.
- Jak do tego doszło?
- Birgersson nadal patrzył na ulicę, a może gdzieś dalej, o wiele dalej, może już był w Eastern & Oriental Hotel w Georgetown.
- Po chwili wrócił spojrzeniem do Wintera.
- Nikt tego nie wie, Eriku. Musieliśmy zamknąć to dochodzenie. Zresztą nie było żadnego dochodzenia, nie zaczęło się nawet.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Dlatego że nie było nawet ofiary. – Birgersson podniósł głos, jakby był zirytowany. – Żadnego ciała. Nikt nie wiedział, co się stało z tą dziewczynką.
- Beatrice.
- Tak miała na imię? Może tak. Beatrice. Właśnie. A do tego jakieś dziwne nazwisko.
- Ademar. Beatrice Ademar. Ale sama wolała się nazywać Beatrice Kolland.
- Była bardzo młoda. Piętnaście lat, chyba, może czternaście. Pamiętam nawet więcej, niż myślałam. – Birgersson nachylił się do Wintera. – Dlaczego o to pytasz? To było, zanim przyszedłeś do policji. Na długo przedtem.
- W 1975 roku – powiedział Winter. – Sam miałem wtedy piętnaście lat.
- Tak młody chyba nigdy nie byłem – stwierdził Birgersson.
- Jej brat pisze o tym książkę.
- O zniknięciu?

– Tak.

– Przecież go tam nie było? Na koloniach. Nie pamiętam, żeby był tam jakiś brat.

– Nie było go tam, Sture. W każdym razie nic o tym nie wiem. Ale to była jego siostra.

– Znasz go?

– Właściwie nie.

– Co to za odpowiedź?

– Pojawia się na uboczu śledztwa w sprawie, nad którą pracujemy. Kilka zdarzeń. Punktem wyjścia jest zabójstwo na podziemnym parkingu pod Pedagogiem.

– Ach, to. Czytałem o tym. Gazety się na to rzucały przez pierwsze dni. – Birgersson znów łyknął herbaty. Skrzywił się. Była zimna. – Wygląda na to, że to będzie nieduża książeczka. Naprawdę niewiele o tym wiadomo. To była tajemnica.

– Jesteś pewien?

– Co masz na myśli, Eriku?

– Nie wiem, Sture. Czy jesteś pewien, że to naprawdę jest tajemnica? Nie wiem nawet, dlaczego o to pytam. Chodzi o to, że... nie mogę przestać o tym myśleć. Jakby to się łączyło. Jakby to wszystko było ze sobą powiązane.

– Ależ wszystko się łączy, chłopcze. Przecież powtarzałem ci to przez piętnaście lat, czy ile tego było. Tajemnica czy puzzle, wszystko na świecie się łączy.

– Więc co się tam stało na wyspie? Na Brännö? – zapytał Winter. – Ile udało się wam dowiedzieć? Do czego doszliście?

– Właściwie do niczego, jak mówiłem. Dziewczynka zniknęła z kolonii wieczorem. Z sypialni, tak mi się wydaje. Te dzieciaki musiały najwyraźniej wcześniej kłaść się do łóżek. Zresztą nie wiem nawet, czy jeszcze ktoś organizuje takie kolonie. To chyba należy do tego dawnego, złego świata. Dobra. Jeden świadek twierdził, że widział ją, jak szła ścieżką z ośrodka kolonijnego w Sandvik i przez pagórek do Husvik. W każdym razie widział samotną dziewczynkę na ścieżce. Ona ma szczególną nazwę. Ścieżka Miłości. Znasz to miejsce?

– Chodziłem tamtędy wiele razy – powiedział Winter.

– No tak, no tak, mogłem się domyślić. W każdym razie

o zmierzchu ktoś widział dziewczynkę na Ścieżce Miłości, w drodze do Husviksvägen. – Birgersson uniósł w górę dłoń, jak znak stopu. – I tam się urywają wszystkie ślady.

– Wszystkie ślady?

– Tak. Nigdy się nie odnalazła. Nigdy nie natrafiliśmy na żaden ślad.

– Jak była ubrana w chwili zniknięcia?

– Pracownicy ośrodka twierdzili, że musiała mieć na sobie kostium kąpielowy, do tego jakiś płaszcz kąpielowy, należący do ośrodka. Tego brakowało w jej rzeczach. Jej kostiumu kąpielowego.

– Więc wybrała się popływać – powiedział Winter. – Kąpać się.

– Na to wygląda. Ale uciekła z kolonii. Obowiązywał zakaz oddalania się po szóstej czy siódmej. Nie pamiętam dokładnie.

– Może właśnie tak zrobiła. Poszła nad zatokę i pływała. To znaczy wskoczyła do wody.

– Wszystko jest możliwe, Erik.

– Ale dlaczego nie kąpała się w Sandviksdalen? Tam było prawdziwe kąpielisko, jeśli dobrze pamiętam. Może nawet istnieje do dzisiaj.

– Szukaliśmy jej wszędzie, Erik. Boże, przeczesałiśmy całą wyspę, dobrze to pamiętam. Nie wspominając już o sprawdzeniu dna cieśniny. Källö sund. Södholmarna, Svensholmen, Stenskär... znasz tamtą część archipelagu?

– Właśnie o to chodzi, że znam, Sture. Mieliśmy letni domek w Tången na Styrso, przez wiele lat. Z werandy widziałem Stora Källö. Cholera, spędziłem tam większość wakacji, w tej cieśninie. Ja tam byłem, Sture. Tamtego lata, kiedy zniknęła, byłem tam. Może nawet tamtego wieczoru przepływałem w pobliżu jolką.

– Dlatego tak cię to zainteresowało?

– Nie wiem, Sture. Naprawdę nie wiem.

– Musieliśmy to zarzucić. Wyglądało to tak, jakby nagle coś ją zabrało na otwarte morze. Albo jakby się rozplynęła w niebie. To było okropne uczucie. Nic nie znaleźliśmy, ale zawsze myślałem, że musiało dojść do przestępstwa. Ona tak

po prostu nie zniknęła z własnej woli.

– Co mówiły inne dzieci z kolonii? Czy młodzież?

– Nikt nic nie wiedział.

– Miała tam kogoś bliskiego? Jakąś przyjaciółkę?

– Tego nie pamiętam, Erik. Jeśli tak, to są ich zeznania. Ale nie pamiętam, co jest w aktach. – Birgersson głośno wydmuchnął powietrze. Zabrzmiało to jak westchnienie. Mocny wydech. – To nie było pierwsze zniknięcie, z jakim miałem do czynienia, i oczywiście nie ostatnie, ale to było bardzo frustrujące.

Winter skinął głową. Ludzie znikają. Poważny śledczy nigdy czegoś takiego nie zapomina. Gdzie jest ten człowiek, on czy ona? I dlaczego? Należy szukać wśród martwych czy wśród żywych?

– A co mówili pracownicy ośrodka? – zapytał.

– Niezbyt dużo. Mniej więcej to, co powiedziałem. Nikt nie wiedział, co się działo po tym, jak opuściła ośrodek.

– A co się działo przedtem?

– Co masz na myśli?

– Zanim zniknęła? Kilka godzin przedtem? Albo minut? Coś się zdarzyło? Może było coś, przez co chciała odejść? Może uciec? Może coś ją wkurzyło?

– Nic takiego nie pamiętam – powiedział Birgersson. – Ale przypomniał mi się właśnie twój pisarz. Może on będzie umiał lepiej ode mnie odpowiedzieć na te pytania? Może odpowie ci na więcej pytań?

Winter nie odpowiedział. Myślał o dziewczynce, która szła ścieżką, a kilka minut później zniknęła z powierzchni ziemi. Ścieżką Miłości. Dróżka wiała się po skałach, od zatoki do zatoki. Od jednego morza do drugiego, mogłoby się zdawać. Czasami tak mu się zdawało. Chodził tamtędy o każdej porze dnia i nocy, przez kilka lat między dzieciństwem i młodością. Miał się tamtędy przejść jeszcze raz. Postanowił, że pojedzie tam, kiedy to tylko będzie możliwe.

– A co ty o tym sądzisz? – usłyszał pytanie.

– Nie wiem, ile te odpowiedzi są właściwie warte – odparł Winter.

– Ach tak.

– Chciałbym się dowiedzieć, kto tam wtedy pracował – powiedział Winter. – W ośrodku kolonijnym.

– Moja pamięć tu jest za słaba, Erik. Ale jest przecież archiwum.

– Jak się nazywał ten świadek? Ostatnia osoba, która widziała Beatrice?

– Nie pamiętam. Ale to chyba był młody chłopak, tak mi się wydaje.

Część trzecia

23

LOVISAGATAN BYŁA POGRAŻONA w takiej samej ciszy jak zawsze. Winter stał przed furtką domu Ademara. Kiedyś ten spokój został zburzony, może w brutalny sposób: kłótnia Ademara z Sellbergiem. Co tu się tak naprawdę stało? Czy to się naprawdę stało? A może tylko narodziło się w wyobraźni pisarza? Kłamstwo. Ale w takim razie po co? Ademar nie mógł wiedzieć, co niedługo potem spotka Sellberga. A może mógł wiedzieć. Winter uważał, że trudno go rozgryźć, ale to dotyczyło większości ludzi, których spotykał w pracy. Jakby to właśnie było ich zajęcie: nie dawać się rozgryźć. Ich praca polegała na byciu obcym. Ademar był obcym. Pisał o tragedii swojego życia, a może o rodzinnej tragedii. Jego historia najwyraźniej szkodziła jemu samemu. Takie Winter miał wrażenie. Ale nie tylko dlatego, że pisał o zniknięciu siostry. To na pewno była jego siostra. Sprawdził to, jak się tylko dało. Matka nie żyła. Chyba nie było żadnego ojca. Wcześniej zniknął z ich życia i chyba z życia wszystkich innych.

Dlaczego historia Ademara mu szkodziła? Czy wiedział coś, o czym nie chciał pisać? Nie chciał nawet zbliżyć się do tego? Czy było coś, co mimo wszystko go do tego zmuszało?

Winter otworzył furtkę. Wydała przeciągły zardzewiały jęk. Dom był otynkowany na biało. Z czasem przybrał odcień szarości, jaki widać na zachmurzonym zimowym niebie. Niebo nad głową Wintera było błękitne, tak samo niepojęcie błękitne jak przez ostatnie tygodnie. Nie było już chmur. Dzieci zapomniały, jak wygląda chmura.

Ademar wyszedł na schody. Miał na sobie białą koszulę i czarne spodnie, jakby się ubrał na jakąś ceremonię. Nie wykonał żadnego powitalnego gestu. Winter, idąc wąską zwirowaną ścieżką do schodów, pomyślał, że wygląda inaczej, jakby coś się stało. Twarz nie była do końca ta sama. Po latach nauczył się dostrzegać takie rzeczy. Czasem coś to znaczyło.

- Czego pan chce? – zapytał Ademar.
- Nie wyglądał wrogo. To nie był wrogi ton.
- Może przeszkadzam w pisaniu? – zapytał Winter.
- Tak.
- Nie chcę panu przeszkadzać. Ale o to właśnie chodzi.
- Chodzi o co?
- O pańskie pisanie.
- Proszę wejść – powiedział Ademar i odwrócił się do drzwi.

Winter wszedł za nim do przedpokoju. Ademar zatrzymał się w pokoju po lewej. Stało tam wielkie biurko, na nim tylko iMac i prawie nic poza tym. Żadnych stert papierów, książek, tylko równo ułożony wydruk obok komputera.

– Muszę mieć na biurku posprzątane, kiedy pracuję – powiedział Ademar.

- Ja też.
- Pisze pan?
- Codziennie trochę – przyznał Winter.
- Chciałbym móc to samo powiedzieć o sobie.
- Ciężko idzie? – zapytał Winter.

– Ciężko... tak, chyba można tak powiedzieć. – Ademar wyjrzał przez okno. Zza krzaków bżów widział kawałek domu Sellberga, tylko narożnik, który mógł należeć do każdego innego domu przy tej spokojnej uliczce. – A jak panu idzie?

– Nie wiem – odparł Winter. – Trudno powiedzieć, kiedy się jest w samym środku sprawy.

- A jest tak? Jest pan w samym środku?
- Tego też nie wiem – powiedział Winter z uśmiechem.
- To brzmi jak poważna twórczość – stwierdził Ademar.
- Ale ja niczego nie tworzę – zaprzeczył Winter.
- Nasuwa się pytanie, czy ja tworzę.
- Przyszedłem, żeby porozmawiać o pańskiej książce – powiedział Winter.

- O mojej książce? Nie ma jeszcze żadnej książki.
- Wie pan, co mam na myśli.
- Co pan tak naprawdę wie?

Ademar nie spuszczał wzroku z domu za krzakami bzu.

- Wiem, że pański sąsiad pracował w ośrodku kolonijnym na

Brännö, kiedy była tam pańska siostra.

Jeśli się spodziewał jakiejś reakcji, to jej nie zobaczył. Widział profil Ademara, ale nie był nawet pewien, czy zamknął oczy.

– Wiedział pan o tym?

Ademar nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w dom Sellberga.

– Czyż to nie jest zastanawiający przypadek? – zapytał Winter.

Ademar odwrócił się do niego. Wyglądał jak starsza wersja samego siebie. Tak, tak właśnie było. Winter widział to od chwili, kiedy go zobaczył. Coś się stało.

– Jaki przypadek ma pan na myśli?

– To, że pan mieszka... mieszkał obok Sellberga.

– Nie miałem o tym pojęcia.

– O czym?

– Że był moim sąsiadem.

– A ta reszta?

– Widziałem nazwisko. Słyszałem nazwisko.

– Kiedy?

– Nie tak dawno temu. To było tylko nazwisko. Może to nadal jest tylko... nazwisko.

– Jak się pan dowiedział, że tamtego lata Sellberg pracował w ośrodku?

– Istnieją listy zatrudnionych. Są archiwa. Część kolonii miała jednego organizatora.

– Gdzie?

– W Sztokholmie. Archiwum jest w Sztokholmie.

– Czego się pan o nim dowiedział? O Sellbergu?

– Nic więcej. Pracował w kuchni. Może pan wie więcej ode mnie. Ma pan policyjne raporty.

– Nie chciałby ich pan przeczytać?

– Ależ tak, chętnie...

– Mogę je panu podesłać.

Ademar nie odpowiedział.

– Czy to pan zastrzelił Sellberga? – zapytał Winter.

Ademar wpatrywał się w monitor. Winter stał tak blisko, że

widział odbicie jego twarzy w ciemnym szkłe. Ademar sprawiał wrażenie, jakby czegoś tam szukał. Swojej historii.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – odezwał się w końcu do monitora.

Winter zobaczył, że jego usta się poruszają.

– Miał coś wspólnego ze zniknięciem pańskiej siostry.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Mógłbym przeczytać to, co pan dotychczas napisał?

– Nie.

– Dlaczego?

– To zbyt kiepskie.

– Akurat w tym przypadku nie będę zwracał uwagi na poziom literacki.

– Tam nie ma nic, co mogłoby panu pomóc.

– Wolalbym sam się o tym przekonać.

– A może zniszczyłem tekst – powiedział Ademar.

– Czy pan oszalał? – zapytał Winter.

– Tak.

– Powinniśmy odbyć razem małą podróż – powiedział Winter.

Stali na górnym pokładzie Skarven. Prom wypływał z Saltholmen o czternastej dziesięć. Dziewięć minut później przybił do przystani Alberta na Asperö, wziął na pokład mężczyznę z rowerem, odbił, okrążył wyspę i wpłynął do Skutviken. Winter widział owce pasące się na zboczach Rivö. Przez jego okulary słoneczne wyglądały na rudobrazowe. Babie lato nie chciało się skończyć. Ademar też założył ciemne okulary. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział też nic, kiedy wysiedli na Brännö Rödsten, a wraz z nimi dwie kobiety z reklamówkami pełnymi jedzenia i dwóch nastolatków, których odebrał trzeci, z motorem z przyczepą. Odjechali, zaśmiewając się głośno. Ademar odprowadził ich wzrokiem. Mogli mieć po czternaście, piętnaście lat. Winter nic nie powiedział. Ruszyli Rödstensvägen, na południe.

Minęli kościół.

– Jak często bywał pan tu ostatnio? – zapytał Winter, kiedy

przechodzili obok sklepu.

– Wcale – odpowiedział Ademar.

– A kiedy ostatnio?

– W 1975.

Winter się zatrzymał. Patrzył na gospodę. Przybudówka wyglądała na nową.

– Myślałem...

– Nie czułem się na siłach, żeby tu przyjechać – powiedział Ademar. – Może pan to rozumie. Zamierzałem tu wrócić, kiedy w książce dojdę do tego momentu.

– Do którego momentu?

Ademar nie odpowiedział.

Szli dalej Husviksvägen na południowy zachód. Po obu stronach drogi stały stare drewniane wille. W każdej powieści mogłyby wystąpić jako nawiedzony dom. Droga zaczęła opadać ku zatoce. Winter rozpoznał kilka domów, kiedy zobaczył pomosty.

– A kiedy pan tu był ostatnio? – zapytał zniecierpliwiony Ademar.

– Dawno temu.

– Jak dawno?

Winter się zatrzymał. Dotarli do Husvik. Była tam wiata dla czekających na bezpośredni prom do miasta z przystani Brännö. To był najślynniejszy pomost na całym południowym archipelagu. Rozsławiony w całym kraju przez znany szlagier. Tańce na pomoście w Brännö, stara, popularna tradycja. Pomost znajdował się po prawej stronie. Winter usłyszał stukot młotka. Miejscowe stowarzyszenie zaczęło już remont przed kolejnym sezonem. W młodości skoczył z łodzi przy Sandviksbadet, a potem przyszedł tutaj i gapił się na ludzi. To były ciepłe wieczory. Raz nawet tańczył z jakąś dziewczyną. Wyjątkowo.

– Wiele lat temu – odpowiedział wreszcie.

– Wydaje mi się, że ona tędy przepływała – powiedział Ademar.

Christian Lejon miał ich dość, przynajmniej na razie. Weźmy na przykład Albańczyków. Byli tacy gangsterzy i tacy.

Z niektórymi w ogóle nie dało się gadać. Nie mieli cierpliwości. Kto by nie chciał wyjść z heroiną na ulice, i to jak najszybciej? Ale trzeba też było trochę myśleć. Może najpierw o niewielkich dodatkach, żeby potem otworzyć śluzy. Chodziło o planowanie. O strategię. O to, żeby po prostu być pierwszym.

Skręcił z Danska vägen. Rzadko zapuszczał się w te okolice. Redbergslid, Lunden, Härlanda. Znał kilku starych gangsterów, którzy siedzieli w Härlandzie, ale teraz budynek mieścił coś innego, był przyjemniejszy. Skończył się czas zakładów odosobnienia. Teraz wariaci i złodzieje byli z powrotem na ulicach. Wróciło średniowiecze. Ha, ha. Skręcił w Lovisagatan. Przejechał obok tamtego domu, aha, to on tutaj mieszkał. Przed domem nie było samochodu. Przecież musiał mieć samochód, nieprawdaż? Może to był ten, może to był on, tralala.

Nagle poczuł łupanie w głowie, niezbyt mocne, nie tak intensywne. Ból był jak niewielka fala przepływająca między oczami. Nie było to tylko nieprzyjemne.

Stali na skałach przy pomoście. Przylądek wyglądał jak obcas włoskiego buta. Popołudniowe słońce świeciło mocno. Winter patrzył zmrużonymi oczami ponad postrzępionym kapeluszem Svensholmen. Trochę dalej po lewej widział Stora Källö, a jeszcze kawałek dalej kilka wysokich domów na Tången, w północnej części Styrso. To tam została część jego dzieciństwa i młodości. Tam, i tu. Nocował w namiocie na Svensholmen. Po Källö sund chodził, jakby należało do niego.

Dlaczego wtedy nie myślał o zniknięciu tej dziewczynki? A może myślał, ale o tym zapomniał?

Ademar kiwnął głową w stronę drogi za ich plecami.

– Przyszła stamtąd.

Winter potwierdził ruchem głowy. Zza skały nadal było słyhać uderzenia młotka, ciężkie i równomierne, jakby zegar odmierzał czas. Cieśla znał się na swojej robocie. Mały kuter rybacki przepłynął z warkotem przez cieśninę. Warkot niósł się łagodnie po wodzie jak coś uspokajającego.

– Czy policja zamierza znów się tym zająć? – zapytał

Ademar.

– Niestety, sprawa jest już przedawniona – odparł Winter. – Ale ja jestem tu przecież z panem.

– Tak, jasne, musiała się już przedawnić.

– Ścieżka Miłości – powiedział Winter, wskazując drogę. – Chodźmy tam.

Szli z powrotem Husviksvägen, po chwili skręcili w Ramdalsvägen, prowadzącą do publicznego kąpieliska. Po blisko stu metrach droga się rozdzielała. W lewo odchodziła Ścieżka Miłości. Biegła dalej przez wzniesienie. Ktoś odwrócił tablicę do góry nogami, ale Winter znał drogę, Ademar też. Ścieżką Miłości doszli na szczyt wzniesienia, a potem zaczęli schodzić w dół, do Sandviksdalen. Wyżej las był gęsty. Winter go nie poznawał. Odkąd tędy chodził, minęło ponad trzydzieści lat. Na szczycie stał barak, coś w rodzaju małego kiosku. Musiał być bardzo stary. Winter go pamiętał, tylko nie mógł sobie przypomnieć, do czego służył. Wyglądał na opuszczony, jak nieużywany szałas dla turystów.

Sandviksdalen też nie wyglądało tak samo. Sandvik, zatoka, była na swoim miejscu, nadal wcinając się w ląd, ale tam, gdzie kiedyś było kąpielisko, teraz rosły gęste trzciny. Zniknęły budynki ośrodka. Jakby ich nigdy nie było. Na wielkiej łące pasło się kilka owiec. Na jednym końcu powstał tor do gry w bule. Wyżej kilami do góry leżało kilka łodzi. Trochę dalej widać było korty tenisowe. Winter widywał ośrodek z daleka, z wody. Wtedy wydawał się duży, składał się z wielu budynków. Teraz nie zostało po nich nic, nic ich też nie zastąpiło.

– Rozebrali te rudery na początku lat osiemdziesiątych – powiedział Ademar.

– Nie wiedziałem o tym.

– Czas zorganizowanych kolonii letnich minął. – Ademar spoglądał zmrużonymi oczami na zatokę. Trzciny wyglądały jak kurtyna. – I bardzo dobrze.

Jakaś nastolatka przemknęła pędem na rowerze jedną z mniejszych drózek z tyłu. Szybko zniknęła za skałami. Winter usłyszał śmiech mew. Czuł, jak słońce pali go w potylicę. Kiedy przechodzili przez wzniesienie, ból wychynął nad jednym

okiem, potem nad drugim. Nie był dotkliwy, był prawie łagodny. Przepływał z jednej strony na drugą, nad oczami. Pomyślał o dziewczynce, która tędy przepływała, może między zatoczkami, może nie.

– Dlaczego nie pływała tutaj? – powiedział głośno. – Tutaj, w zatoce. Dlaczego nie kąpała się tutaj?

– Wiele razy zadawałem sobie to pytanie – powiedział Ademar.

– I jak pan sobie na nie odpowiada?

– Umówiła się z kimś – odparł Ademar.

– Wie pan to na pewno?

– Nie. Tak sędzę. Ale nie wiem.

– Naprawdę pan nie wiedział, że mieszka po sąsiedzku z Sellbergiem?

– Nie. To absolutna prawda.

– Zawsze podejrzliwie podchodzę do prawd absolutnych – odparł Winter. – Co pan wie o Sellbergu? O jego pracy tutaj?

– Nic. Pracował w kuchni. Jakieś prace pomocnicze. Kilka razy w tygodniu.

– Właśnie sprawdzamy jego życiorys.

– I co znaleźliście?

– Wykorzysta pan to w książce?

– W tej chwili ta sprawa wydaje się bardzo odległa – powiedział Ademar.

– Sellberg nie miał tu posady – oświadczył Winter. – Nie był nawet pomocnikiem.

– Ach tak?

– Pochodził z miasta. Wszystko wskazuje na to, że nie miał żadnych związków z tym miejscem. – Winter spojrzął na Ademara. – Ma pan listę wszystkich osób, które pracowały tu tamtego lata?

– Tak. Tylko nie wiem, czy jest coś warta.

– Co pan ma na myśli?

– Nazwiska, chodzi mi o nazwiska. Czy można mieć pewność, jak ludzie się nazywają?

Wsiedli na prom powrotny na Brännö Rödsten o szesnastej

pięćdziesiąt. Jakaś kobieta w wieku Wintera wysiadła na Asperö Norra, zostawiła na przystani rower i wróciła na pokład. Skinęła z uśmiechem głową, kiedy go mijała na dziobie.

– Znajoma? – zapytał Ademar.

– Nie przypominam sobie – odparł Winter.

Odwrócił się, ale kobieta weszła już do środka. Białe stalowe drzwi były zamknięte.

Wysiedli na Saltholmen. Kiedy Winter otwierał samochód, znów ją zobaczył. Szła w stronę przystanku tramwajowego. Może jednak ją pamiętał. Ale nie mógł sobie przypomnieć imienia.

– Jestem podejrzany? – zapytał Ademar w drodze do miasta.

– O co?

– Czyż nie prowadzi pan dochodzenia w sprawie zabójstwa?

Był na Allén, kiedy odezwała się komórka.

– Tak?

– Jesteś już w drodze, Eriku?

– W drodze dokąd, Angelo?

– Na Landvetter oczywiście. Twoja mama ląduje za pół godziny.

– A niech to, wiedziałem, że było coś jeszcze.

– Wiedziała, że nie wiesz.

– Zapomniałem.

– Mam zadzwonić, jak wyląduje, i powiedzieć, żeby wzięła taksówkę?

– Nie, nie, już tam jadę. Pa.

Tłoczył się razem z innymi oczekującymi w hali przylotów. Wydawało mu się, że rozpoznaje niektóre twarze. Wielu göteborgczyków miało domy na Costa del Sol. Zaledwie kilka lat temu sam stał się członkiem tej wielkiej rodziny. Ale nie uczestniczył w cmokaniu po policzkach.

Siv Winter samotnie przeszła przez kontrolę celną. Na wózku miała dużo walizek. Naprawdę zamierza zostać na dłużej, pomyślał jej syn. Przeprowadziła się z powrotem na Costa del Deszcz. Ale teraz nie padało. Teraz świeciło słońce, Sol bez

końca. Prześwietlało na wylot cały terminal. W poziomych smugach jasności kurz unosił się jak złote drobinki. To był złocisty powrót do domu.

– Eriku!

Zawołała go o wiele za głośno. Kilka osób odwróciło się z uśmiechem. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Nie było w tym energii.

Podeszła bliżej i ucałowała go w policzek. Wózek sam jechał dalej. Złapał go, zanim zdążył na kogoś najechać.

– Eriku! Jak cudownie być tu znowu!

Znowu? Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio była w Göteborgu. To było dawno temu. Tym częściej on i jego rodzina musieli podróżować w drugą stronę. Do słońca. Nie miała nic przeciwko temu. Nigdy nie narzekała. Od śmierci męża była zupełnie inną babcią dla swoich wnuczek. Dzieci Lotty zauważyły różnicę, były starsze. Prawie zastąpiła shaker wálkiem do ciasta. Naprawdę coś piekła. Coś w rodzaju bułek. Za pierwszym razem dla niego. Że też zdążył jeszcze przeżyć coś takiego przed pięćdziesiątymi urodzinami. Kiedy jeszcze był dzieckiem.

Wyprowadził matkę i wózek z bagażami na parking.

– Co za pogoda! Co za niebo!

Skinął głową. Dwie walizki zmieściły się do bagażnika, pozostałe upchnął na tylnym siedzeniu.

– Nie wiedziałam, jak długo zostanę – przyznała.

– Jak długo zechcesz – powiedział i poszedł odprowadzić wózek.

Kiedy wrócił, stała przy samochodzie i paliła papierosa.

– Myślałem, że rzuciłaś – zdziwił się.

– Prawie to zrobiłam – odparła.

– Nie ma tu żadnego prawie. Albo człowiek pali, albo nie.

– To zabrzmiało tak oskarżycielsko, Eriku. Jeśli mieszkasz w szklanym domu, nie rzucaj kamieniami.

– Rzucać kamieniami w szklanym domu? W Szwecji już dawno tak nie mówimy.

– Co z tobą, Eriku? Czyżbyś był zły?

Upuściła wypalonego do połowy papierosa na asfalt

i zdeptała go niewysokim obcasem. Tak niskich butów chyba jeszcze nie miała. Pamiętał ostre jak sztylety obcasy, które widywał jako dziecko. Buty w jej szafie wyglądały, jakby mogły się przewiercić na drugą półkulę. Miała ich setki. Kiedyś przymierzył jedną parę. Prawie się zabił, kiedy spróbował się przespacerować po pokoju.

– Tak mało ludzi. – Rozglądała się dookoła. Po Szwecji. – Tak mało aut.

Byli na autostradzie. Mijali osadę Landvetter. Ekran y zasłaniały widok. Mógł tam mieszkać milion ludzi, ale nie było ich widać.

– Zawsze myślę to samo, kiedy przyjeżdżam do domu – powiedziała. – Tu jest tak pusto. Tak cicho.

– Ale to prawda – przyznał Winter. – W Szwecji jest mało ludzi. Mało ludzi i trochę więcej samochodów.

– Nasze to miasto, z którego pochodzi volvo – powiedziała, nieporadnie budując zdanie, jak się zdarza Szwedom osiadłym za granicą. – Z tego powinniśmy być dumni.

Z tego powinniśmy być dumni, pomyślał Winter. Żywisz się pamięcią dawnej potęgi.

– Rzeczywiście, powinniśmy.

– A jednak jeździsz mercedesem, Eriku.

– A ty jednak mieszkasz pod Marbellą – zrewanżował się.

– To niesprawiedliwe, co mówisz.

– Tak.

– Dobrze, że się przyznajesz – powiedziała z uśmiechem.

– Może zmienię auto – dodał Winter.

– Zrób to.

Jego niemiecki samochód wspinał się na wzniesienie. Skały po obu stronach wyglądały jak strome angielskie wybrzeże. Pomyślał o białych skałach pod Dover. Pomyślał o morzu pod Göteborgiem. O żaglach. O żaglówkach. O lecie. O pewnym lecie dawno temu.

– Wynajmowaliśmy żaglówkę, kiedy mieszkaliśmy latem na Styrso? – zapytał, kiedy mijali Mölnlycke.

– Co?

- Wynajmowaliśmy żaglówkę?
- Tak... chyba tak.
- Więc tak czy nie?
- Tak, wynajmowaliśmy. Powinieneś to pamiętać. Przecież to ty z niej korzystałeś.
- Tylko ja?
- Może też Lotta, czasami. Pływaliście razem kilka razy po cieśninie.
- Po cieśninie?
- Tak, po tej cieśninie przy Källö. Chyba się nawet nazywa Källö sund.
- Hm... Ale nie pamiętam, czy to była nasza łódź, czy nie. To dziwne, ale naprawdę nie pamiętam.
- Dlaczego o to pytasz?
- Sam właściwie dobrze nie wiem.
- Nie wiesz?
- Pamiętam coś innego – powiedział, kiedy się zbliżali do Kallebäck.
- Pamiętasz coś innego?
- Pamiętam, że pływałem żaglówką. Nie pamiętam, które to było lato. Chyba w połowie lat siedemdziesiątych, tak musiało być. Miałem iść do liceum, tak mi się wydaje. A może to było rok wcześniej? To był jeden z tych przepięknych dni. Zresztą nie, to był wieczór. Ale ciągle jeszcze jasny. I ciepły. Pamiętam, że obok mnie przepłynęła motorówka. Chyba... pomachałem do niej. W łódce siedziała dziewczyna. To do niej machałem. Łódka była mała, plastikowa, z kołem sterowym. Wyglądało to tak, jakby miała czerwoną chorągiewkę. Rozwinęła się, kiedy się mijaliśmy. A płynęła szybko. – Spojrzał na matkę. – Pamiętam coś czerwonego.

24

WINTER ZNALAZŁ NAZWISKO RICHARDSSONA w aktach zamkniętego śledztwa w sprawie zniknięcia Beatrice. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie z tego sprawę. Dopiero zaczął czytać raporty. To było to samo nazwisko. Raczej nie

przypadek.

Jan Richardsson był świadkiem. Widział Beatrice jako ostatni.

Winter poczuł, że włosy zjeżyły mu się na karku. Czuł to naprawdę. To odkrycie wydawało się nierzeczywiste. Młody chłopak, Jan Richardsson, widział dziewczynkę przez jakąś minutę. On schodził w dół Hudiksvägen. Ona zeszła ze Ścieżki Miłości. Skierowała się w stronę zatoki i zniknęła za jakimś domem. Od tej chwili już jej nie widział. Nie, nie znał tej dziewczyny. Nie wiedział, kim była. Policjant, który go przesłuchiwał, nie zapytał, co tam robił, skąd szedł i dokąd zmierzał. Pieprzony partacz. Trzydzieści lat później takie informacje mogły mieć decydujące znaczenie. Odczytał nazwisko policjanta: Hans Bergfeld. Nie znał go, sięgnął po telefon. W tej samej sekundzie usłyszał pukanie do drzwi. Ringmar od razu wszedł do jego pokoju.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – powiedział Winter.

– Wiem. Dlatego przyszedłem.

– Siadaj i przestań się wygłupiać, Bertil.

– A co innego można robić? – zapytał Ringmar, siadając.

– Proszę, tylko żadnych depresji w tym pokoju. Nie wytrzymam tego. – Winter podniósł dokument, który właśnie przeczytał. – Możemy porozmawiać o naszym polityku, Janie Richardssonie. To on był tym, który widział Beatrice Ademar jako ostatni.

– Beatrice?

– Dziewczynkę, która zniknęła z kolonii. Brännö. Tę, co się nigdy nie odnalazła.

– Ach tak, o nią chodzi.

– Był świadek. Chłopak, mniej więcej dwudziestoletni. Nazywał się Jan Richardsson.

– Czy to nasz człowiek? Nasz własny zaginiony?

– To jasne jak słońce, że to jest nasz człowiek, Bertil.

– Jak moż...

– Mówiłem, żebyś tu nie przynosił swoich cholernych depresji! Albo bierzesz udział w tym śledztwie, albo możesz się wynosić...

Winter umilkł.

– Albo mogę co, Erik?

– Wybacz mi, Bertil.

– Albo mogę się wynosić w diabły? Chętnie. Nie mam daleko. Wystarczy tylko wyjść tymi drzwiami. Może nawet nie.

Ringmar wstał.

– Bertil, proszę cię, przecież już cię przeprosiłem. To jasne, że sprawdzimy, co to za Jan Richardsson. Wiek się zgadza. Mimo to sprawdzimy, okej? Ale chciałem cię zapytać o policjanta, który przesłuchiwał świadka. Hans Bergfeld. Nie ma go u nas. Nie rozpoznaję nazwiska. Co się z nim stało?

– Jest w niebie – powiedział Ringmar. – Nie sądzę, żeby wylądował w piekle.

– Nie żyje?

– Guz mózgu. Pod koniec poszło bardzo szybko. To było kilka lat przed tym, jak ty zacząłeś. Nie miał nawet czterdziestu lat.

Winter poczuł, jak żelazna obręcz zaciska mu się na czole. Zaczęło go łupać nad lewym okiem. Na skroni zbierały się krople potu.

Podniósł się.

– Co jest, Erik? Wyglądasz, jakbyś się kiepsko poczuł.

– Czuję się dobrze.

Winter podszedł do umywalki. Opłukał twarz wodą. Wytrzeł czoło. Obręcz ściskająca głowę się rozluźniła. Wyglądał blado, ale to przez to cholerne słońce przeciskające się między żaluzjami. Jeśli dalej tak będzie, będzie musiał zaciemnić pokój.

– Przyszła wreszcie pora, żeby znaleźć tego pieprzonego Richardssona – powiedział do swojego odbicia w lustrze.

Bergenheim dostał pilne zadanie: zbadać przeszłość Richardssona. Spisy jego służbowych spotkań nic nie dały. Winter znów przyglądał się zdjęciom z Älvsborgsbron. Ale wszystko wskazywało na to, że to był początek całej sprawy. Tak właśnie myślał. Porzucony samochód na pustym moście. Przejeżdżał tamtędy Bergenheim. Zawiadomił policję. Znaleźliśmy w aucie pocisk. Lexus Rogera Edwardsa.

Skradziony z Långedrag. W każdym razie on tak twierdzi. Amunicja do tetetki. Pojawia się też w strzelaninie koło domu Sellberga. Pojawiła się także w samym Sellbergu. Prawdopodobnie ta sama broń. Pociski pochodziły z tej samej broni. Nie wiemy jeszcze, czy tej broni używano przedtem. Nie wiemy, gdzie jest. Nie wiemy, czy trzymała ją ta sama dłoń. Nie wiemy, czyja dłoń. Ilu ich było. Kto. To jest jeden człowiek. To nie są zbiegi okoliczności. Jest jakiś cel. Inaczej można by pomyśleć, że w całym Göteborgu jest tylko jeden pistolet typu TT. Jakby używali go wszyscy przy różnych okazjach. Przechodził z rąk do rąk. Ha, ha, ha. Richardsson zastrzelił Sellberga. Miłosna schadzka. Miłosna schadzka na Ścieżce Miłości. Ulica była raczej jak ścieżka, odludna, cicha. Dom Sellberga był jak rudera na szczycie Ścieżki Miłości na Brännö. Richardsson chciał nastraszyć Sellberga pierwszymi strzałami, ale Sellberg nie dał się zastraszyć. Pojechał za to samochodem po własną śmierć, samochodem Richardssona. Richardsson czekał w umówionym miejscu, w garażu. A lexsus? Älvsborgsbron? Czy ten cholerny polityk tam też był? Czy Sellberg tam był? Może ukradli samochód Edwardsa, żeby pojechać na most i skoczyć w dół ręką w rękę? Ale coś nie wyszło? Daj spokój, Eriku. Uważaj na mózg. Myśl o broni. Jak Richardsson zdobył TT? Jak w ogóle można zdobyć tetetkę? Kto najlepiej się w tym orientuje? Gangster. Znał wielu gangsterów. Zwłaszcza jednego znał dobrze, kiedyś przecież należał do rodziny.

Zadzwoił telefon na biurku.

– Tak?

Centrala.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać. Mężczyzna.

– Jak się nazywa?

– Nie chciał powiedzieć.

– Dobrze, przełącz.

Usłyszał trzask w słuchawce, jakiś szum, potem jeszcze inny. Cisza z wieloma odgłosami w tle.

– Halo? – powiedział. – Halo?

Słyszał tylko ciszę.

– Halo, jest tam kto? Przy aparacie komisarz Erik Winter.

Teraz usłyszał oddech. Ktoś tam jednak był.

– Winter – usłyszał.

Głos słaby, jakby niósł się z wiatrem. Męski. Winter słyszał ruch uliczny, to brzmiało jak ruch uliczny. Może facet stoi z komórką na ulicy.

– Tak, tu Erik Winter. Kto mówi?

– Ja... nie chciałem tego zrobić.

– Słucham? Co pan powiedział? Nie zrozumiałem. Co pan mówił?

– Ja... nie chcę tego zrobić. Nie chcę! Pomocy!

Głos zniknął. Połączenie zostało przerwane.

Winter spojrzął na słuchawkę, którą trzymał w dłoni. Przyłożył ją znów do ust i zawołał:

– Halo!? Halo!?

Udało im się namierzyć połączenie. Budka telefoniczna na Chapmans targ. Aparat na monety.

– Wielki Boże, że też jeszcze takie istnieją – powiedział Ringmar, kiedy stali na ulicy i przyglądali się budce.

– Widocznie o tej jednej zapomnieli – odparł Winter.

– Musimy ją odgradzić – rzucił Ringmar.

Jakaś kobieta w czerwonej skórzanej kurtce zmierzała w ich stronę. I w stronę budki telefonicznej. Chciała zadzwonić. Już przygotowała portmonetkę. Więc automat na monety naprawdę był używany.

– Policja – Winter usłyszał głos Ringmara. – Ta budka jest chwilowo zamknięta.

Ekipa techniczna zajęła się budką. Öberg nic nie mówił, nie okazywał ani radości, ani rozczarowania. Nie pierwszy raz, nawet jeśli poprzedni był tak dawno temu.

– Jakież pomysły proszę – powiedział Winter.

Zespół zebrał się w sali konferencyjnej. Nikt nie wiedział, dlaczego ten pokój tak się nazywał. Nigdy nie odbyła się tam żadna konferencja. Ale po południu Winter miał wziąć udział w konferencji prasowej. To też miało być wydarzenie bez

znaczenia. Sam nie wiedział wiele więcej niż dziennikarze, a tymi skromnymi informacjami, jakie posiadał, nie zamierzał się dzielić. Tożsamość Sellberga była znana, ale Richardssona na razie udało im się ochronić. Czy to było właściwe słowo? Ochronić? Ochronić przed kim? Może powinien im podać to nazwisko. Może należało je oficjalnie nagłośnić? *Household name*, jak mawiał jego przyjaciel Steve Macdonald, komisarz kryminalny z Croydon. Nazwisko robocze.

Może to Richardsson dzwonił z tej budki?

Winter nagrał rozmowę. Zawsze nagrywał rozmowy, wszystkie. Nauczył się tego.

Odtworzył nagranie przy całym zespole:

– *Halo? Halo? Halo, jest tam kto? Przy aparacie komisarz Erik Winter.*

– *Winter.*

– *Tak, tu Erik Winter. Kto mówi?*

– *Ja... nie chciałem tego zrobić.*

– *Słucham? Co pan powiedział? Nie zrozumiałem. Co pan mówił?*

– *Ja... nie chcę tego zrobić. Nie chcę! Pomocy!*

– *Halo!? Halo!?*

– Zna twoje nazwisko – powiedziała Aneta. – Powtarza twoje nazwisko.

Winter skinął głową.

– To brzmi tak, jakby czekał, aż potwierdzisz. Chce mieć pewność, że się dodzwonił tam, gdzie chciał.

– Chciał się dodzwonić – powiedział Halders. – Przecież szukał właśnie Erika.

– Może wziął pierwsze lepsze nazwisko ze sterty innych.

– Sterty? Jest jakaś sarta komisarzy policji kryminalnej? – zapytał Halders. Zaraz ktoś powie, że sam chętnie bym się na takiej sterce znalazł, pomyślał.

– Ja też uważam, że to brzmi tak, jakby się uspokoił, kiedy się przekonał, że to Erik – przyznał Ringmar.

– Więc powiedzmy, że chciał rozmawiać akurat ze mną. – Winter kiwnął głową w stronę magnetofonu. – Coś jeszcze?

– Zmienia czas gramatyczny, że się tak wyrażę – rzucił

Bergnhem. – Najpierw mówi, że nie chciał tego zrobić, a potem mówi, że nie chce tego zrobić.

– To ostatnie powtarza – dodała Aneta. – Że nie chce.

– Najpierw nie chciał tego zrobić, a teraz nie chce tego robić – podsumował Ringmar.

– Potrzebuje pomocy, żeby tego nie robić – powiedział Halders.

– Nie zrobić znowu – dodał Ringmar. Winter kiwał głową.

– Nie chce tego robić jeszcze raz – stwierdził.

– Więc zrobił coś, czego nie chce zrobić jeszcze raz – powiedziała Aneta.

– Tak.

– Co to może być?

– Może kogoś zastrzelił? – rzucił Halders.

– Czy to się wiąże ze sprawą Sellberga? – zapytała Aneta.

– Dlaczego nie? – odparł Halders.

Od ich ostatniego spotkania Benny Vennerhag zdążył się przeprowadzić. Teraz mieszkał w jednym z kilku domów stojących przy Järkholmsvägen, biegnącej od pola golfowego Hovås na wschód. Od morza oddzielała ją ścieżka rowerowa. Kiedyś Winter często pedałował tą drogą do małego kąpieliska Järkholmen. To tam wypoczywał. Teraz zostawił tam samochód i pieszo ruszył do domu Vennerhaga. Zresztą czy to był dom? Wyglądał raczej jak nadmorski pałac. Musiał kosztować co najmniej dwadzieścia milionów. Dwa baseny. Obydwa puste. Wokół domu taras do opalania się jak na luksusowym statku wycieczkowym. Większość rzeczy w tym domu przypominała statek. Winter zadzwonił do drzwi. Sygnał brzmiał przyjemnie, melodyjka grana na dzwoneczkach. Nikt nie otwierał. Usłyszał wołanie za plecami. Odwrócił się i zobaczył, że ktoś macha do niego z drugiej strony drogi. Mężczyzna stał na pomoście, obok pawilonu. Przy pomoście cumowała duża łódź motorowa i jeszcze większa żaglówka. W osłepiającym słońcu mężczyzna był tylko niewyraźną postacią. Postać podniosła rękę.

– Eriku! Tutaj jestem! Chodź!

Winter przeciął drogę, potem przez skały zszedł do pomostu. Mężczyzna stał tam i czekał. Benny Boy. Jeden z najmniej przyjemnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznał. Może przyczyniały się do tego dawne kontakty tego bydlaka z jego siostrą. Kontakty. Nie był pewien, jak to nazwać. Atak. Gwałt. Napad. Hipnoza.

Winter zauważył, że Benny ma na sobie tylko kąpielówki. Było widać, że jest w dobrej formie. Uśmiechnął się białymi zębami. Był mocno opalony.

– Eriku, to niesamowite. Koniec października, a tu pełnia lata. Masz ochotę się wykapać?

– Nie.

– Kąpielówki są w szopie.

– W szopie?

– No to w pawilonie, w kabinie kąpielowej. Możesz się tam przebrać. Wskakuj do wody, cholera! Dobrze ci to zrobi. Pływałem tu codziennie, od maja.

– I dobrze ci to zrobiło, Benny?

– Co? Jeszcze jak, chłopie, jak cholera. Przebieraj się!

Dlaczego nie. Może rzeczywiście dobrze mu to zrobi. Nabierze ostrości, jasności myślenia. Historia się powtarza. Poprzednim razem, kiedy odwiedzał Benny'ego Boya, kilka lat temu, w jego willi w centrum miasta, też przebrał się w kąpielówki i pływał w jego basenie.

Potem usiłował utopić Benny'ego w jego płytkiej części.

Ale Benny nie chował urazy.

– No właśnie – powiedział Benny, kiedy Winter wyszedł z pawilonu. – A teraz do wody.

Benny się zanurzył, Winter wskoczył za nim. Na początku woda wywoływała lodowaty wstrząs, a potem robiło się bardzo przyjemnie. Przepłynął kawałek ze słońcem na twarzy. Czuł na wargach morską sól. Poczł się rześki i przytomny.

Vennerhag rozchlapał wodę dziesięć metrów dalej.

– Nie ma nic lepszego niż to – powiedział, kiedy Winter podpłynął bliżej.

– Coś w tym jest – przyznał Winter.

– Dlaczego nie przyjeżdżasz tu częściej, Eriku? – Vennerhag

uśmiechnął się szeroko. – Moglibyśmy założyć klub. Codziennie po południu kąpiel. Kąpiel wieczorna.

– Nie wiedziałem, że teraz tu mieszkasz, Benny. Dopiero teraz się dowiedziałem.

– Właśnie, mówiłeś przez telefon. – Znow przeplynał kawałek. – Słyszałem, że kupiłeś działkę nad morzem, w Billdal. Ale chyba nic się tam nie buduje.

– Ach tak?

– Tak przynajmniej słyszałem.

– Czy ty mnie obserwujesz?

– Żartujesz, Erik? To jasne, że jesteś obserwowany. Przecież jesteś sławny.

– Chyba są inne powody – powiedział Winter.

– Co masz na myśli?

– Trzeba mieć oko na wroga.

– Wro... – Vennerhag zatrzymał się. Znow przebierał nogami w miejscu. – Co ty mówisz, Eriku? Czy my jesteśmy wrogami? Dlaczego mielibyśmy być? Nie mam już nic wspólnego ze swoim dawnym życiem. To były błędy młodości. Wiesz o tym, Eriku. Wiesz wszystko o błędach mojej młodości.

Znow się uśmiechnął. On się wcale nie boi, pomyślał Winter. Mógłbym go znow podtopić.

– Pozdrów ode mnie Lottę, kiedy ją zobaczysz – powiedział Vennerhag z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Nie – rzucił Winter i zawrócił do pomostu.

– Zmarzłeś, Eriku? – usłyszał za sobą głos Benny'ego, ale nie odpowiedział.

Leżeli na pomoście, schli na słońcu. Vennerhag przyniósł dwie butelki słabego piwa z lodówki w pawilonie. Winter nie był pewien, czy powinien pić, ale pomyślał, że jeszcze trochę chyba zostanie. Słońce jarzyło się nad skałami po drugiej stronie Askimsfjorden. Skały były południową częścią archipelagu szkierów. Widział je też ze swojej działki, trochę dalej na południe. Pomyślał o Beatrice. Może nie udało jej się popływać ostatni raz, zanim zniknęła, a może właśnie to zrobiła. Był przekonany, że nie żyje. Jej ciało musiało gdzieś

być. Jej szczątki. Benny Vennerhag uniósł butelkę w geście pozdrowienia i przyłożył do ust. Wyglądał na szczęśliwego idiotę. Ale nie był idiotą. Może był szczęśliwy, ale też śmiertelnie niebezpieczny. Doskonały przykład socjopaty.

– Nieźle się dorobiłeś, Benny, jak widzę – powiedział Winter, wskazując głową dom. Budynek unosił się w żółtym zachodzie słońca nad skałami, jakby chciał odlecieć. – Kiedy go kupiłeś?

– Chyba ze trzy lata temu.

– Ile zapłaciłeś?

– Dwadzieścia siedem milionów.

– Nie więcej?

– Ktoś musiał się szybko wyprowadzić. – Benny znów się uśmiechnął. – Więc cena była korzystna, można powiedzieć.

– Rzeczywiście. – Winter znów łyknął piwa. Było bardzo cierpkie. Jever. – Zakładam, że płaciłeś gotówką.

– Naturalnie. Ale to nie ja płaciłem. Moja spółka.

– Która z nich?

– Czy to ma znaczenie?

– Niektóre biznesy w tym mieście świetnie się rozwijały w ostatnich latach.

Drogą przejechały dwie kobiety na rowerach. Miały kapelusze od słońca z szerokimi rondami. Ich spódnice trzepotały na wietrze. Wyglądało na to, że jedna z nich uniosła rękę w geście pozdrowienia. Na kierownicy miała uroczy koszyk.

– Czasami zapraszam jakąś miłą dziewczynę, która akurat tędy przejeżdża – powiedział Vennerhag, odprowadzając rowerzystki wzrokiem. – Czasem się nawet zdarza, że dwie.

– Nie myślałeś nigdy o założeniu rodziny, Benny?

– Ależ tak. – Vennerhag poszukał wzroku Wintera. – Raz. Ale ona mnie nie chciała. Najpierw chciała, ale potem już nie.

– Aha.

– Wiele rzeczy potoczyłoby się wtedy inaczej, Eriku – powiedział Vennerhag i odstawił butelkę. – Pomyśl, jak fajnie moglibyśmy mieć. Jedna rodzina i wszystko.

– Teraz też mamy fajnie, Benny.

– Tak, nieprawdaż? Ale jak fajne jest twoje życie, Eriku? Czy

to naprawdę jest tak wspaniale mieć rodzinę?

– Co to za durne pytanie?

– Wygląda na to, że dużo czasu spędzasz w barach na mieście. Jakbyś chciał mieć ciastko i zjeść ciastko.

– Śledzisz mnie, Benny?

Vennerhag nie odpowiedział.

– Mówiłem przed chwilą, że niektóre biznesy w ostatnich latach świetnie szły.

– Dużo idzie dobrze w tej chwili – stwierdził Vennerhag.

– Trafficking? Napady z bronią? Prostytucja? Przemysł narkotyków? Dilerka? Wymuszenia? Morderstwa?

– To twoja branża, Eriku.

– Nasza branża, Benny. To nasza wspólna branża.

– Czy twoja miła wizyta ma jakiś szczególny powód, Eriku? Oczywiście bardzo się ucieszyłem, kiedy zadzwoniłeś, ale nie przedstawiłeś mi celu odwiedzin.

– Więc jesteśmy zgodni, że pracujemy w tej samej branży, Benny? To pierwsza rzecz. – Winter zatoczył ręką koło. – Na Boga, rozejrzyj się. Jesteśmy tu sami. Jesteśmy sami na całym świecie. Mam na sobie tylko kąpielówki. Nie mam żadnego sprzętu nagrywającego. Przyjechałem popływać, napić się piwa.

– Próbujesz mnie przekonać, że to będzie *off the record*? – zapytał Vennerhag.

– Oczywiście.

– Wiesz, że nie jestem kapusiem, Eriku. Bo nie mam powodu tego robić. I nie ma nic do kapo...

– Pistolety – przerwał mu Winter. – TT, ściślej mówiąc. Pewien konkretny TT, mówiąc jeszcze ściślej.

– I co z nim?

– Jest gorący, dymi.

– Ach tak.

– Chcę go mieć.

– Dlaczego?

– Nie czytasz gazet?

– Raczej rzadko. Ale czasem czytam wiadomości w internecie.

– Morderstwo na parkingu pod Pedagogiem.

– Nic o tym nie wiem, Eriku. Klnę się na honor i sumienie. Czytałem o tym, ale nic więcej.

– Nie mówię, że mógłbyś być w to zamieszany, Benny. Ale ten pistolet został użyty przy tym morderstwie. I w paru innych przypadkach, które łączą się z tą sprawą.

– Sprawą? Tym zastrzelonym w podziemiach?

– Tak.

– Więc czego chcesz ode mnie?

– Informacji o tej broni.

– A wiesz, ile takich tetetek krąży po tym mieście?

– Niedokładnie.

– Pieprzone masy.

– Ale może ten jeden egzemplarz krążył szczególnie szybko? Vennerhag się nie odezwał.

– Co może ułatwić odnalezienie go – odpowiedział Winter.

– W takim razie chyba sami powinniście to załatwić?

– Właśnie próbuję to zrobić, Benny.

– Dlaczego miałbym ci pomagać?

Winter nie odpowiedział. Wypił resztkę jevera. Mógł sobie wyobrazić jeszcze jedno piwo, ale nie chciał zostawiać samochodu, nie w cieniu lotniskowca Vennerhaga.

– Kiedy ostatnio się widzieliśmy, chciałeś mnie utopić, Eriku. Zabić. A teraz przychodzisz sobie znowu i ja mam ci pomagać.

– Myślałem, że nie jesteś pamiętliwy, Benny.

Vennerhag roześmiał się głośno. Echo poniosło się aż do skał na Brännö. Z najbliższej położonych stado mew poderwało się do lotu z głośnym krzykiem.

– Lubię cię, Eriku. Jesteś jednym z nas. Jesteśmy z jednej branży. To nie jest branża ludzi pamiętliwych. Okej, spróbuję ci pomóc. Niczego nie obiecuję, ale może spotkam się z kimś, kto się spotkał z kimś, kto zna kogoś i tak dalej.

– Dobrze.

– Wtedy będziesz miał coś dla mnie?

– Coś dla ciebie? Chyba nie ma takiej rzeczy pod słońcem, której byś potrzebował i jej nie miał, Benny? Którą ja mógłbym zrobić dla ciebie?

– Jest taka jedna rzecz, Eriku.

21:55

WODA BYŁA SPOKOJNA w całej cieśninie. Czują wiatr we włosach. Tamten od razu ją puścił. To nie było nic groźnego. Tylko żarty.

Łódka zakreśliła łuk wokół wysepki.

Ten, co siedział na dziobie, odwrócił się.

– Jak ona się nazywa?! – zawołał.

– Svensholmen! – odkrzyknął chłopak zza jej pleców.

– Nie jest za duża.

– No nie.

Dalej lawirowali między wysepkami. Odwróciła się. Ten z tyłu się uśmiechnął. Powiedział coś, ale nie usłyszała co.

– Co?

– Byłaś tu już?

Potrząsnęła głową.

– Trzeba bardzo uważać na dno.

– Zawracamy? – zawołała.

– Zaraz.

Po lewej pojawiła się większa wyspa.

– Stora Källö! – zawołał chłopak i pomachał ręką w stronę wyspy.

Wpłynęli głębiej w cieśninę. Naprzeciwko widziała teraz domy, małe chatki i wille. Wiedziała, że to Styrösö. Byli tam z grupą na wycieczce. Najpierw było fajnie, ale potem zrobiło się nudno. Musiała się zajmować maluchami, co nie było łatwe. Kiedy były zmęczone, wiele płakało. Były tylko dwie wychowawczynie. I ciągle chciały siedzieć osobno, na swoim kocu, i palić. Dzieci musiały sobie radzić same. Nie podobało jej się to. Tamte maluchy były za małe, żeby mogły sobie radzić same. Że też nikt tego nie pojmował. To była przecież ich praca.

– Styrösö! – zawołał ten, który siedział za jej plecami.

– Wiem! – odkrzyknęła.

Sternik zrobił zwrot. Cały czas stał przy sterze. Nie powiedział ani słowa, odkąd weszli na pokład. Nie popatrzył na nią ani razu, kiedy byli na morzu, przynajmniej ona tego nie

zauważyła. Ale widziała go kilka razy, jak przychodził do ośrodka. Nie wiedziała, co tam robił. Może coś przywoził. Czasami przyjeżdżały motory z przyczepami pełnymi towarów. Chyba pochodziły z promów. Raz wymyśliła, że wymknie się z kolonii i wskoczy na taki prom do miasta, ale nie miała odwagi.

Powinam była to zrobić, pomyślała teraz.

Minęli żaglówkę. Jakiś chłopak stał sam na dziobie i wciągał linę. Kiedy przepływali obok, podniósł wzrok. Nagle do nich pomachał. Do niej, tak to odebrała. Patrzył na nią. Widziała jego oczy. Był w jej wieku. Ona też uniosła rękę. Płaszcz kąpielowy rozchylił się i załopotał na wietrze jak czerwona flaga. Chłopak z żaglówki znów pomachał. Kiedy go minęli, odwróciła się jeszcze raz. Nie przestawał machać. Jedną ręką trzymał się masztu. Fale wywołane przez motorówkę zakołysały żaglówkę. Zauważyła, że jej czerwony płaszcz kąpielowy nadal wygląda jak flaga.

25

BERGENHEM ZAMÓWIŁ FILIŻANKĘ zwykłej czarnej kawy. Winter wybrał caffè latte. Po drugiej stronie rzeki widział potężną sylwetkę Masthuggskyrkan.

Siedzieli sami w ogródku kawiarni Villan na skraju Eriksbergstorget. Słońce nadał mocno przygrzewało, ale na północnym brzegu sezon na siedzenie na dworze już się kończył. Wieczorem stoliki stojące przed lokalem miały zostać zabrane.

Kelnerka odeszła z ich zamówieniami. Pozdrowiła Bergenhema, jakby się znali. Winter powiódł za nią wzrokiem. Jemu też wydawała się znajoma. Jak ktoś, o kim wspomnienie się pamięta. Spotykał wielu ludzi. W końcu twarze zaczynały się zlewać, wymieniać rysami.

– Czasami tu zaglądam – powiedział Bergenheim.

– Hm...

– Kiedy się przeprowadzaliśmy do Torslandy, była tu tylko stocznia. Zresztą nawet tej też nie.

– To prawda, miasto się bardzo zmieniło.
– Przynajmniej tutaj.
– Właśnie.
– Wyprowadziłem się z domu – powiedział zniecacka Bergenhem. – Wczoraj.

Kelnerka szła do nich z tacą.

– Idzie nasza kawa – ucieszył się Winter.

Dziewczyna postawiła filiżanki i poszła.

– Mieszkasz teraz gdzieś w okolicy? – zapytał Winter.

– Tak. W mieszkaniu przyjaciela. Na razie.

– Co mówi Martina?

– A jak myślisz?

Winter nie odpowiedział.

– Nie potrafiłem jej tego wytłumaczyć – przyznał Bergenhem. – Jeszcze nie.

Älvsborgsbron na zachodzie wyglądał, jakby powoli rozpuszczał się w słońcu. Kiedy Winter lekko zmrużył oczy, zniknął całkowicie. Wielka dźwignica też zniknęła. Wszystko zniknęło.

– Co musisz wytłumaczyć? – zapytał Winter, odwracając twarz do Bergenhema.

– Coś... czego sam dobrze nie rozumiem – powiedział Bergenhem.

– Jak się nazywa twój przyjaciel? – zapytał Winter.

– Dlaczego mam ci to powiedzieć?

Winter nie odpowiedział. Od strony Kvarnpirem zbliżali się pieszo dwaj mężczyźni. Usiedli przy stoliku w drugim końcu ogródka. Byli w wieku Wintera, starsi od Bergenhema. Jeden miał na sobie czarny garnitur, może od Zegny. Wyglądał na drogi. Drugi był ubrany w skórę: czarne skórzane spodnie, czarna skórzana kurtka. Miał ogoloną głowę. Oczy chował za ciemnymi okularami. Winter go nie znał. Ale mężczyznę w garniturze rozpoznał.

– Tam siedzi Christian Lejon – powiedział.

Spojrzenie Bergenhema podążyło za jego spojrzeniem.

– Ten w garniturze? Tak, to może być on.

– To na pewno on. Największy gangster w mieście.

Bergnhem się zaśmiał.

– A jakie są kryteria?

– Wielkie interesy – odparł Winter. – Nigdy nie wpaść.

– Nigdy nie wpaść?

– Nie.

– Może nic nie przeszkrobał – powiedział Bergnhem.

Winter zauważył, że Lejon patrzy w ich stronę. Na pewno go rozpoznał. W tej chwili to nic nie znaczyło. Lejon pozdrowił go gestem. Winter też podniósł rękę i pomachał w odpowiedzi. Skin siedzący z Lejonem uśmiechnął się. Wszystko miał skórzane. Lejon pomachał jeszcze raz, a potem opuścił rękę.

– Arogancki palant – mruknął Winter.

– Wydaje mi się, że już go tu widziałem – stwierdził Bergnhem.

– Podejrzewam, że gdzieś tutaj mieszka – powiedział Winter.

– Tak jak ty teraz.

Lejon i jego towarzysz opuścili kawiarnię. Szli Sörhallskajen. Nie oglądali się za siebie. Przez sekundę Winterowi wydawało się, że podejda, żeby im podać rękę. Ale po Bennym Boyu miał dość. Na myśl o tym, że miałby kulturalnie rozmawiać z kolejnym gangsterem, zaczynało go mdlić. Nie bolała go głowa. Lejon wyrósł na barona narkotykowego. Kiedyś dziewczyny i chłopaki z wydziału narkotykowego na pewno się do niego dobiorą. Ale to nie takie łatwe. Czasami trzeba długo czekać. Liczy się cierpliwość i spokój. Lejon był cierpliwy. Jeśli chodzi o jego spokój, nie wiedział zbyt wiele. Coś tam się słyszało o jego spokoju albo jego braku. Lejon był mordercą. Winter nienawidził morderców. To było jak pasja. Mógłby zabić mordercę. Może powinien to zrobić. Myślał czasem o tym. Jakie by to było uczucie, gdyby to zrobił. W tej sekundzie, kiedy by to robił.

– Nie wiem, co mam robić – powiedział Bergnhem.

– Pogadaj z Martiną – poradził mu Winter. – Chyba od tego powinieneś zacząć.

– Na Boga, Eriku, łatwo ci mówić takie rzeczy. Przecież jest jeszcze Ada.

- To twój wybór, Lars. Decyzja należy do ciebie.
 - Czy to jest wybór? Gdybym tylko mógł zdecydować! Jak myślisz, co bym wtedy wybrał?
 - Przecież już i tak wybrałeś. Wyprowadziłeś się.
 - Mogę wrócić.
 - Tak.
 - Mogę to zrobić choćby zaraz.
 - Tak.
 - W takim razie zrobię to.
- Winter nie odpowiedział.
- Zwalniam się – powiedział Bergenhem.
 - To jest zła decyzja.
 - Nie. Ja nie pasuję do tej roboty. Już od dawna to czuję. Muszę robić coś innego.
- To jest zła decyzja, Lars – powtórzył Winter.
- Nie.
 - Co czujesz do tego mężczyzny? Samuela. Co on dla ciebie znaczy?
 - Znaczy... bardzo dużo.
 - Właśnie, przeprowadziłeś się do niego. Ale czy znaczy wszystko? Czy musisz się stać kimś innym, bo zdecydowałeś się z nim żyć? O ile zdecydowałeś się z nim żyć.
 - Nie mogę odpowiedzieć, Eriku. W każdym razie jeszcze nie teraz.
 - A nie możesz poczekać, aż będziesz znał odpowiedź?
 - Cholera, Eriku. Ludzie będą gadali. Na Boga! Jak mógłbym się w ogóle pokazać w pracy?
 - Nie jesteś sam.
 - Nie jestem sam? Co masz na myśli? Chodzi ci o to, że będziesz mnie bronil?
 - Nie. To znaczy tak, jasne. Ale nie to miałem na myśli.
 - Chciałeś powiedzieć, że jest więcej pedałów wśród policjantów?
 - Jeśli jesteś kimś takim, to właśnie to chciałem powiedzieć – powiedział Winter z uśmiechem.
 - Nie znam żadnego – odparł Bergenhem. – Nawet nie chcę poznawać.

Środkiem rzeki przepłynął prom do Danii. Wyglądał jak jeden z domów, które wyrastały wzdłuż brzegów. Wieczorami statki i budynki jarzyły się światłami na wyścigi. Miasto piękniało, zwłaszcza nocami. Te wszystkie światła.

Winter napił się ze swojej szklanki. Kawa już wystygła. Zapomniał o niej. Miała słodki, lepki smak. Zmusił się, żeby ją przelknąć.

– Nie jestem pewien, czy Sellberg był pedałem – powiedział Bergenhem.

Winter skinął głową. Bergenhem zdjął okulary słoneczne. Siedział, mrużąc oczy. Wysoko nad ich głowami bezgłośnie przesunął się samolot.

– Rozmawiałem trochę z różnymi ludźmi. Nie wygląda na to, żeby bywał w tych kręgach.

– Rozumiem.

– Więc nadal aktualne jest pytanie, kim był – powiedział Bergenhem.

– Chodzi ci o jego seksualność?

– Tak.

– Czy to mogło mieć jakiś wpływ na to, że go zamordowano?

– Tak.

– A jakie to miało znaczenie dla Jana Richardssona?

– Tutaj się trochę wyjaśniło – powiedział Bergenhem.

– Co się wyjaśniło?

– Widziano go w paru miejscach. Jedna noc czy dwie.

– Co to znaczy?

– Znaczy, że go tam ciągnie, tak sędzę.

– Czy człowiek tego potrzebuje?

– Nie.

– Czy Richardsson miał poważniejsze podejście do związku z Sellbergiem? – powiedział Winter. – Bardziej zdecydowane zamiary?

– Mnie o to pytasz, Eriku?

– Chyba raczej siebie.

– Do tego stopnia zdecydowane, że go zastrzelił?

– Właśnie.

– Mam nadzieję, że nie.

– Dlaczego?

– Pełną mordercami? To nie byłoby dobre dla nas jako grupy społecznej. Jako mniejszości.

Berit Richardsson zadzwoniła do Wintera, kiedy zjeżdżał z Götaälvbron.

– Myślę, że on nie żyje – powiedziała. – Jan.

– Dlaczego pani tak myśli?

Winter omijał roboty drogowe wokół Nordstan. Musiał się zatrzymać na środku ronda. Jakaś taksówka zablokowała ruch. Poprawił mikrofon telefonu.

– Odezwałby się – odparła. – Do mnie. Do nas. Zawsze tak robi.

– Co pani ma na myśli, pani Richardsson? Zawsze tak robi? Często tak znika?

Nie odpowiedziała. Taksówka wreszcie ruszyła. Kierowca stojący przed Winterem zdjął dłoń z klaksonu. Taksówkarz pokazał mu obsceniczny gest i gwałtownie przyśpieszył.

– Gdzie pani jest?

– W domu.

– Przyjadę do pani.

Cienie nad Örgryte były ostre. Berit Richardsson czekała przy furcie. Była w ciemnych okularach. To każdej twarzy nadaje wyraz arogancji. To swego rodzaju ochrona. Ale ona nie była aroganka. Zdjęła okulary. A jej piękne oczy były ciemne, jakby zabarwiły je szkła.

Co ich połączyło? – pomyślał Winter. Kim ona jest?

– Możemy usiąść na werandzie – zaproponowała i ruszyła przodem.

Winter poszedł za nią za dom. Ogród sprawiał wrażenie tak samo zamkniętego jak przedtem. Gęsty żywopłot, zbity jak kamień. Ci ludzie nie chcieli, żeby zaglądali do nich obcy, pomyślał. Ale im się nie udało. Zjawiłem się ja.

– Chce się pan czegoś napić? – zapytała.

– Nie, dziękuję.

Usiadła na ogrodowym krześle.

– Nie usiądzie pan? – powiedziała, wskazując krzesło

naprzeciwko.

Winter usiadł.

Rozejrzała się, jakby chciała coś powiedzieć.

– Jan... czasami znikał – oświadczyła wreszcie. – Wyjeżdżał gdzieś.

Winter skinął głową.

– To się zdarzyło tylko kilka razy.

Okoliczność łagodząca. Widział to już. To, co się działo w przeszłości, nie znaczyło nic. Nie miało żadnego związku z przyszłością. Nic, co się działo kiedyś, nie miało związku z przyszłością. Tak wygląda jedno z większych życiowych kłamstw, może największe.

– Dlaczego wyjeżdżał?

– Nie wiem.

– Nie wierzę.

Jej oczy były teraz gdzie indziej. Może tam, gdzie jej mąż był teraz albo kiedyś. Nie. Ona nie miała do tego dostępu. Nie chciała tam być. Widział już i takie rzeczy. W tej chwili nie chciała być nigdzie indziej w życiu. Nigdzie nie było bezpiecznie.

– Kiedy ostatnio coś takiego się zdarzyło?

– Ostatnio? – Spojrzała na Wintera. – Może jakiś rok temu.

– Jak długo pani mąż był wtedy nieobecny?

– Tylko... jedną noc. Może dwie doby.

– Co powiedział, kiedy wrócił do domu?

– Że po prostu... jeździł sobie po mieście. Jeździł i myślał.

– Dwie doby?

– Tak.

– Spał w samochodzie?

– Tego nie wiem.

– Nie pytała pani?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie chciałam wiedzieć! – powiedziała, podnosząc głos.

– Czego pani nie chciała wiedzieć, pani Richardsson?

– Nie może pan przestać!?! Mógłby pan sobie już iść!?

Mówiła teraz jeszcze głośniej. Sąsiedzi. Winter popatrzył na

mur, na żywopłot, na ogrodzenie. Co powiedzą sąsiedzi? Co mówią teraz? Nie rozmawiał jeszcze z sąsiadami. Nie dowiedzieli się dotychczas od nich niczego ważnego. Teraz Berit Richardsson najwyraźniej zapomniała o sąsiadach. Zapomniała o wstydzie. Mąż, który uciekł. Wszyscy wiedzieli, choć nazwiska nie wymieniano oficjalnie w mediach. Wszyscy natychmiast wiedzą takie rzeczy. Kim był, co robił. Dzieci Richardssona wiedziały. Próbowaly się bronić. Bronić się przed swoim życiem, pomyślał Winter.

– Chce pani, żebym sobie poszedł? – zapytał Winter, wstając z krzesła. – Przecież to pani do mnie dzwoniła.

Nie odpowiedziała. Nie widział jej twarzy. Odwróciła się do niego plecami.

– Wysłałem ludzi, popytają o niego na Brännö – powiedział. – Będą go szukać.

Odwróciła się do niego. Zauważył w jej twarzy pewną zmianę. Czy to było zdumienie? Nie, coś innego. Rozpacz? Nie. Zdumienie. Lekkie zdumienie.

– Sądzi pani, że może się ukrywać na Brännö?

– On nie był na Brännö od trzydziestu lat – odparła. – Albo dłużej.

– Przecież stamtąd pochodzi.

– Nie bywał tam. My... nigdy tam nie jeździliśmy.

– Dlaczego?

– On już nie ma tam rodziny.

– Co się stało?

– O co panu chodzi?

– Co się stało z jego rodziną?

– Umarli – wyjaśniła. Potem dodała, jakby z lekkim śmiechem: – Wszyscy to robią. Umierają.

– Jego rodzice?

Skinęła głową.

– Miał jakieś rodzeństwo?

– Nic o tym nie wiem.

– Ich dom jeszcze stoi? Ten, w którym dorastał?

– Nie wiem. Nie byłam tam, jak już mówiłam. On nigdy o tym nie opowiadał. Nie wiem nic o tej wyspie. Nigdy o nią nie

pytałam. Nie chciał, żebym pytała.

– To brzmi dość dziwnie – stwierdził Winter.

Nie odpowiedziała.

– Musiał przecież być jakiś powód.

– Czyż wszystko nie jest czasami dziwne? – zapytała. – I czy zawsze jest powód?

– Powiedziała pani, że pani mąż nie żyje – przypomniał sobie Winter. – Kiedy pani zadzwoniła.

– Powiedziałam: Myślę, że on nie żyje.

– Czy to nie to samo?

– Nie. W pańskiej wersji to brzmi zbyt ostatecznie.

– Co panią skłoniło, żeby to powiedzieć?

– To, że się nie odezwał.

– Wcześniej zawsze się odzywał?

– Przynajmniej choć raz zadzwonił.

– A tym razem nic?

– Właśnie.

– Poszłaby pani ze mną na chwileczkę do samochodu?

– Po co?

– Chciałbym, żeby pani czegoś posłuchała.

– *Ja... nie chciałem tego zrobić.*

– *Slucham? Co pan powiedział? Nie zrozumiałem. Co pan mówił?*

– *Ja... nie chcę tego zrobić. Nie chcę? Pomocy!*

Spojrziała na niego. Coś się stało z jej twarzą, kiedy słuchała.

– Co pan chce ode mnie usłyszeć?

– Czy rozpoznaje pani ten głos?

– Nie.

Odtworzył krótką wymianę zdań jeszcze raz. Wpatrywał się w jej twarz. Wyglądała, jakby nie chciała słuchać. Jej dłonie rwały się do góry, chciała zasłonić uszy.

Wyłączył odtwarzacz.

– To nie Jan mówi, jeśli pan tak myśli.

– Nie, ja też nie rozpoznaję tego głosu. A pani nigdy go nie słyszała? Może to ktoś z państwa znajomych?

– Nie.

- Rozumiem.
- O czym ten człowiek mówi?
- Nie wiem – odparł Winter.
- Czego nie chce zrobić?
- Tego też nie wiem.

Jej dłoń nagle znalazła się przy ustach, twarz zbladła. Była teraz całkiem biała.

- To Jan – powiedziała.
- Co pani mówi?
- On ma zabić Jana.
- Dlaczego pani tak myśli? – zapytał Winter.
- Nie może mu chodzić o nikogo innego.

Złapała Wintera za ramię. Mocno.

– Musi pan go posłuchać jeszcze raz – powiedziała. – Niech pan spróbuje go znaleźć.

– Staramy się – zapewnił Winter.

Jej twarz znów zaczęła nabierać kolorów.

– Jest pani pewna, że nigdy pani nie słyszała tego głosu? – zapytał Winter.

Nie odpowiedziała.

26

RINGMAR WYGLĄDAŁ, JAKBY SPAŁ W UBRANIU.

Na dworze.

Nie golił się od kilku dni.

– Jak tam, Bertil?

– Fantastycznie.

Kilka kobiet popatrzyło za nimi, kiedy szli do swojego stałego stolika w Ahlströms.

– Też powinienem wziąć napoleonkę – stwierdził Ringmar, patrząc na talerzyk Wintera.

– Weź moją.

– Nie, przecież nie lubisz torcików owocowych.

– Teraz lubię. Przecież jeszcze jest lato, nieprawdaż? Popatrz, są nawet jagody. Dawaj go tu.

– Okej, okej.

Wymienili się talerzykami. Damy znów na nich popatrzyły. Wyglądały na prawdziwe wyższe sfery. W tej cukierni często bywali ludzie z takich kręgów. Winter i Ringmar niezbyt tam pasowali, zwłaszcza Ringmar, zwłaszcza dzisiaj.

Ringmar obdarzył damy uśmiechem: Czy panie też są tu stałymi gośćmi?

– Jak tam twój kryzys życiowy, Bertil? – zapytał Winter.

– Jak tam twoja głowa, Erik?

– Dziękuję, dobrze.

– Dziękuję, że pytasz.

Winter spojrzał na ciastko. Wyglądało bardzo niewinnie. Przypominało mu dzieciństwo. Było w tej chwili najbardziej niewinną rzeczą w całym mieście. A wkrótce go nie będzie. Zje je.

Odłożył widelczyk.

– Berit Richardsson bardzo się boi – powiedział.

– Na to wygląda. – Ringmar usiłował dostać się do środka napoleonki, nie dociskając francuskiego ciasta od góry, ale mu się nie udało. Zmasakrowane ciastko wyglądało, jakby je zmiażdżył uderzeniem pięści. – Kurwa.

– Kogo ona się tak boi?

– Może jest ich więcej – powiedział Ringmar.

– Kto?

– Jej mąż. Ten, przez którego musiał uciekać. Sellberg.

– Sellberg?

– To, kim był.

– A kim był?

– Jeśli się tego dowiemy, cała sprawa będzie rozwiązana, Eriku.

– Czy to naprawdę takie proste?

Ringmar nie odpowiedział. Patrzył ponuro na swój talerzyk.

– Zniszczyłem twoje ciastko, Eriku.

– Teraz jest twoje, Bertil. Sam odpowiadasz za swoje czyny.

Ringmar podniósł na niego wzrok.

– Kogo mamy słuchać, Erik? Ona powiedziała, że musisz go posłuchać jeszcze raz. Chodziło jej o głos na taśmie.

– To miała na myśli. Tak powiedziała.

- Kto to może być, do cholery!
 - Myślisz, że go znamy?
 - Tak.
 - Że już go znamy?
 - Tak.
 - To ktoś, kto już się pojawił w śledztwie?
 - To mógł być sam Richardsson – podsunął Ringmar.
 - W takim razie bardzo zmienił mu się głos.
 - Czy to takie trudne?
 - Nie.
 - Powiedziała jeszcze: nie może mu chodzić o nikogo innego.
- Co mogła mieć na myśli?
- Że nie ma nikogo innego, kto miałby zostać zamordowany.
- Że jej mąż będzie następną ofiarą.
- Jesteś pewien?
 - Nie. Nie jestem nawet pewien, czy ktoś ma zginąć.
 - Ja jestem – stwierdził Winter.
 - Ja jestem tylko prawie pewien – przyznał Ringmar.

Ademar usłyszał, że ktoś dzwoni do drzwi. Podniósł wzrok znad komputera. Przed furtką stał samochód, którego nie znał. Z gabinetu widział pół ulicy. Pisał właśnie o Beatrice, o poprzednim lecie, zanim pojechała na kolonie na Brännö. Wtedy jeszcze nikt nie myślał o żadnych koloniach. Tamten wyjazd był następstwem tego, co się działo wcześniej, kłopotów w rodzinie. Gdyby nie to, tamto nigdy by się nie stało. Tak wygląda życie. Tak wygląda śmierć. Tak było.

Znów ktoś zadzwonił. Komu bije dzwon, pomyślał. Ha, ha, ha.

Wstał od biurka.

Kiedy dotarł do przedpokoju, usłyszał trzeci dzwonek.

Otworzył drzwi.

Cios trafił go, zanim zdążył cokolwiek zauważyć.

Obudził się w ciemnościach. Najpierw miał wrażenie, że to tylko sen, coś, co właśnie opuszcza. Potem spróbował się ruszyć. A potem sobie przypomniał: kawałek twarzy, szybki

ruch, ból. Przede wszystkim ból. Teraz też bolało. Huczało mu w czaszce. To nie był zwykły ból głowy.

Leżał na podłodze. Bolały go ramiona. Czuł, że ręce ma za plecami. Nie mógł ruszyć palcami u rąk. Jakby ich nie było. Pachniało kurzem i czymś słodkim, nie poznawał tego zapachu. To było coś lepkiego. Miał to na twarzy.

– Słyszysz mnie?

Głos odezwał się gdzieś za nim. Był przytłumiony, jakby ten, kto mówił, trzymał coś przy ustach.

– Słyszysz mnie?

Usiłował ruszyć głową. Zaczęło pulsować mocniej, bum-bum-bum. Dłoń na jego ramieniu. Ktoś go odwracał. Ramię i obojczyk potwornie go bolały. Krzyknął z bólu.

– Nie przesadzaj. To nic w porównaniu z tym, co zaraz poczujesz. Za chwileczkę.

Mężczyzna, którego zobaczył, był może dziesięć lat młodszy od niego. Miał na sobie ciemny garnitur. Ciemne były też jego włosy, a może tylko tak wyglądały w słabym świetle.

Siedział na podłodze. Ręce miał związane na plecach. To był jego pokój do pracy. Musiał go tu zaciągnąć po tym, jak go znokautował.

Próbował coś powiedzieć. Czuł się, jakby mówił po raz pierwszy w życiu. W pierwszej chwili z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Cze... cze... czego chcesz? – zapytał wreszcie po kilku próbach.

– Nie domyślasz się?

– Możesz... nie mam nic, co mógłbyś zabrać. – Próbował kiwnąć głową w stronę biurka. To bolało. Musi przestać ruszać głową. – Możesz wziąć komputer. To jedyne, co mam.

– Mam już kilka komputerów. Więcej, niż potrzebuję.

– Więc czego chcesz?

– Myślisz, że jestem złodziejem?

Ademar nie odpowiedział.

Christian Lejon nagle kucnął tuż przy nim.

– Myślisz, że chcę ci coś ukraść?

Ademar nie odpowiedział. Tamten był teraz nieprzyjemnie

blisko. Sprawiał wrażenie spokojnego. To było najgorsze. Socjopaci są w stanie z największym spokojem pokroić piłą na kawałki własną matkę. Potem na krótką chwilę może ich ogarnąć smutek.

– Ja... nie wiem.

– Nie rozumiesz, dlaczego tu jestem?

– Nie.

– A jeśli powiem: Nordenskiöldsgatan?

– Nordenskiöldsgatan?

– Tak. Znasz tę ulicę?

– Tak...

– Jest tam garaż. Naprzeciwko Manfreds Brasserie. Znasz to miejsce?

– Manfreds?

– Tak. Ale przede wszystkim garaż.

– Co mam powiedzieć?

Lejon uderzył go w twarz otwartą dłonią. Odgłos był bardziej nieprzyjemny niż samo uderzenie.

– Masz powiedzieć, że znasz ten garaż.

– Znam go.

Szaleniec. W jego domu jest szaleniec. To ulica, którą Bóg stracił z oczu. Zagościł tu diabeł. Najpierw Sellberg, a teraz ten tutaj. Powinien się stąd wynieść zaraz po awanturze z Sellbergiem. Powinien się wynieść z tego miasta. Jego książka i tak już była martwa. W spojrzeniu tamtego było coś, co zapowiadało, że może nie dożyć świtu. Nigdy więcej. Ruszyć głową, ostatni raz. Boli, ale to i tak lepsze niż wielki sen. Czy on mnie udusi? Zastrzeli?

Ale dlaczego?

Tamten wstał.

Chce mnie skopać na śmierć?

– Co jest szczególnego w tamtym garażu? – zapytał.

Patrzył na kolana tamtego. Unikał patrzenia mu w twarz. Zaczynał się bać. Potwornie bać.

– Odpowiadaj!

– Mój... samochód – odparł. – Mój samochód tam stoi.

– Słusznie.

– O co... chodzi?

– Byłem tam. Oglądałem twój samochód. Saab. Do tego biały. To dużo ułatwiło. Wiesz, dlaczego ułatwiło?

– Nie. Nie wiem.

– Bo łatwiej było zauważyć kawałki mojego samochodu na masce twojego!

Mówiąc to, kopnął go w klatkę piersiową.

Ademar poczuł, jakby stanęło mu serce.

– Słyszysz mnie, skurwielu?! Wjechałeś w mój samochód!

Jeszcze jeden kopniak, tym razem w biodro. Tego prawie nie poczuł. Myślał o śmierci, która już czekała. Wybiegał myślą naprzód, myślał o przyszłości. Czy nie należy tego robić zawsze, niezależnie od tego, co się dzieje?

– Wjechałeś w mój samochód!

Dostał jeszcze jednego kopa. Tym razem w tyłek. Lejon obszedł go dookoła. Chciał go kopać z każdej strony. Więc tak to miało wyglądać. W końcu rozwali mu kopniakiem głowę. Nie pamiętał, jakie miał buty, ale ich czuby były ostre.

– Cze... czekaj – wykrztusił. – Nie wjechałem w żaden samochód!

– Ha!

Kolejny kopniak. Próbował się ruszać, żeby uniknąć kopnięć, ale oczywiście nie miało to sensu. Nie mógł się wydostać z tego pokoju. Ten pokój będzie ostatnim, co zobaczy w życiu.

– Uciekłeś z miejsca wypadku!

Jeszcze jeden kopniak. Ten trafił w ramię. Wkrótce wszystko się skończy. Zamknął oczy. Niech już będzie po wszystkim. Wolałbym od razu stracić przytomność. Zrobiłem coś, o czym nie wiem. Nie wjechałem w żaden samochód. W każdym razie nie zauważyłem. Coś takiego chyba się widzi? Musnąłem jakieś auto, wyjeżdżając z garażu? Czy to było w zeszłym tygodniu? Kiedy to było? Może zadzwonił telefon, kiedy wyjeżdżałem z garażu? Coś się stało, kiedy rozmawiałem? Straciłem kontrolę nad kierownicą? Może tak. Nic nie zauważyłem. Straciłem kontrolę? Nic nie słyszałem. Kto wtedy dzwonił? Stefan? Tak, dzwonił, kiedy stamtąd wyjeżdżałem. Teraz sobie przypominam. Jasna cholera. Może coś się wtedy stało. Ten

facet, który za chwilę zostanie mordercą, zostawił tam swój samochód. Kryminalista, to ewidentne. Śmiertelnie niebezpieczny. Znalazł mnie. Ze wszystkich dziesiątek tysięcy aut w mieście musiałem trafić akurat na jego brykę. Nawet go nie pamiętam. Zachowuje się, jakbym mu przejechał matkę i ojca. A to jest auto, to tylko cholerne, pieprzone auto. Czy człowiek ma umierać za auto? Czy można zamordować z powodu auta?

– PRZEPRASZAM!

Niemal podskoczył, kiedy usłyszał własny głos. Zabrział głośniejsz niż kiedykolwiek przedtem. Zabrział jak sygnał statku. Jak buczone mgłowy.

– PRZEPRASZAM!

– Za późno na przeproszenie. – Intruz kopnął go jeszcze raz, w bark. – Nigdy nie wybaczam.

– To... to było... nie pamiętam! Nie zauważyłem. Przysięgam! Gdybym zauważył, na pewno bym się zatrzymał. Zostawiłbym kartkę!

– Ha! Zrobiłbyś to? Zostawiłbyś kartkę? Stanałbyś?

Lejon znów go kopał, znów w ramiona.

– Chcesz... chcesz mnie skopać na śmierć?

– Tak!

– Jes... ..teś takim tchórzem? Taki z ciebie cholerny tchórz?

Czekał na kopniaka w głowę. Zamknął oczy. Starał się nie myśleć o niczym. Tylko jedna, ostatnia eksplozja w głowie i będzie po wszystkim. Potem wszystko się skończy.

– Co powiedziałeś? Powiedziałeś: tchórz?

– Tak.

Nadal nie dostał ostatniego kopniaka. Na co tamten czekał?

– Na co czekasz, skurwielu!? No, skop mnie, zasrane tchórze! Kopnij! Kopnij!

Sam też kopał. Na początku tego nie zauważył, ale wierzgał i kopał w podłogę, donk-donk-donk. Głuchy odgłos. Jak kopniaki w głowę. W jego pustą głowę. Był żalną figurą. Właśnie kończył swoje żalne życie. Powinien być w ziemi, pod ziemią. Nie powinien nigdy wychodzić na powierzchnię. Nie był powodem do radości dla nikogo, nigdy nie był. Był

tylko obciążeniem.

– No już, skop mnie!

Ale nie poczuł kopniaka. Mocno zaciskał powieki. To było gorsze niż sam kopniak. Czekanie, kiedy nadejdzie.

Usłyszał kroki.

Kroki oddalały się od niego.

Czyżby brał rozbieg?

Skopanie człowieka na śmierć chyba okazało się trudniejsze, niż tamten sądził. Trzeba było dużo siły.

Kroki ucichły. Teraz tamten był gdzieś za jego plecami. Sam nie wiedział, w którym miejscu w pokoju się znajduje. Tamten przerzucał go kopniakami po całym pokoju, jak piłkę. Otworzył oczy. Leżał bliżej drzwi. Tamten musiał być bliżej biurka. Nie chce się ruszać. Nie chce próbować się odwrócić. Nie chce już nic widzieć. Jeśli coś zobaczę, umrę.

Usłyszał szelest papieru. Tak, tamten musi być przy biurku. Pewnie trzyma w rękach wydruk książki. Tak to brzmi. Obok komputera leżał stos kartek. Dzisiaj rano zrobił sobie wydruk całości, wszystkiego, co udało mu się napisać, i zaczął go przeglądać.

Ostatnie fragmenty miał tylko w komputerze. Wyświetlone na monitorze. Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, pisał o Ścieżce Miłości. To było przed chwilą. To było sto lat temu. To było w innym świecie. Teraz wydawał się nierzeczywisty, jak sen. Ten świat tutaj był rzeczywistością. Wszystko inne było snem.

Znów usłyszał szelest papieru. Brzmiało to tak, jakby kartki spadały na podłogę, jakby szybowały jak jaskółki. Szast. Usłyszał kroki. Teraz to nadchodzi. Kroki się zatrzymały.

– Kim ty jesteś?

Nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Czekał na śmierć. Nie słuchał. Miał zamknięte oczy.

– Kim jesteś?

Teraz głośniej. Wezwanie do odpowiedzi. Coś innego, jakiś inny rodzaj głosu. On naprawdę chciał wiedzieć. Czy mogę mówić? Spróbuję odpowiedzieć. Nie da się. Spróbuję jeszcze raz.

– Jac... Jaco...

– Wiem, że nazywasz się Jacob – powiedział tamten. – Wiem, że się nazywasz Jacob Ademar. Jak myślisz, jak cię odnalazłem? Ale kim ty jesteś?

– O co... co chodzi?

– Co robisz? Kim jesteś? Co piszesz?

Ademar nadal leżał na podłodze, twarzą do drzwi. Tamten chyba się nie ruszał. Stał bez ruchu. Czekał na odpowiedź. Może właśnie był w innej fazie. Zapomniał, po co przyszedł. Zaraz pewnie sobie przypomni.

– Jestem pisarzem.

– Pisarzem? Co piszesz?

– Różne rzeczy. Co... dlaczego pytasz?

Co to ma za znaczenie? – pomyślał. Ale jeśli to powiem, to on przypomni sobie, że to nie ma znaczenia, i znów zacznie mnie mordować. Nie pamiętam jego twarzy. Jest pozbawiony twarzy.

– Co teraz piszesz? Co to jest, co leży na biurku?

Nie odpowiedział.

– I w komputerze. W komputerze jest tekst.

Coś się stało z jego głosem. Był inny. Ciekawość? Nie. Nowy rodzaj sadyzmu? Też nie. Coś innego. Zdziwienie? Może. W tym głosie było zdziwienie. Zdumienie. To było to słowo. Zdumienie.

– Czy... czytałeś?

Nie odpowiedział. Ademar znów usłyszał szelest papieru, zginanego, dotykanego.

– Co wiesz o koloniach na Brännö?

– O co ci chodzi?

Nagle znów usłyszał kroki, szybkie kroki w jego stronę na twardej podłodze. Usiłował zwinąć się w kłębek. Ale nie spadł na niego żaden kopniak. Znów dłoń na jego ramieniu. Odwrócił go. Ale nie tak brutalnie jak przedtem. Jego twarz. Miał wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Jego dłonie. W jednej ręce trzymał wydruk. Podsuwał mu go. Wciąż z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Piszesz o niej. Piszesz o Beatrice.

– Co... co?

– Piszesz o Beatrice. Przecież tu pisałeś o Beatrice!

– Tak? Dlaczego...

– Dlaczego to robisz? – przerwał mu Lejon.

– Znałeś ją? – zapytał Ademar.

Nie odpowiedział. Patrzył znów na papier, jakby chciał sprawdzić imię. Potem podniósł wzrok.

– Dlaczego piszesz o Beatrice?

– Znałeś ją?

Pięść Lejona wystrzeliła w górę. Chwycił Ademara za kołnierz.

– Dlaczego o niej piszesz!?

Ademar próbował odpowiedzieć, ale czuł, jakby ktoś mu podrzynał gardło. Zacharczał. Lejon rozluźnił uchwyt.

– Dlaczego? Dlaczego piszesz o niej książkę!?

Ademar zacharczał. Zakaszłał, potem odchrząknął.

– Ona zniknęła – powiedział.

– Dlaczego o tym piszesz?

– A jakie to ma znaczenie dla ciebie?

Pięść Lejona znów wysunęła się do przodu. Uderzył go w szyję. To się jeszcze nie skończyło. Jeszcze długo się nie skończy. Ale ten cios tylko go musnął.

– DLACZEGO!?

– Ona była moją siostrą!

Oczy tamtego zmieniły się, jakby nagle wypełniło je powietrze. Jakby się rozszerzyły jak balon.

– Twoją siostrą? SIOSTRĄ? Nie, nie, nie.

– Dlaczego...

Kolejny cios w twarz nie pozwolił mu dokończyć pytania.

– Ona nie nazywała się Ademar! Beatrice nie nazywała się Ademar! Nazywała się Kolland! Beatrice Kolland!

– To było nazwisko naszej matki – wyjaśnił Ademar.

– Kłamiesz!

– NIE!

Tamtego jakby odepchnęła siła jego głosu. Nagle znów odzyskał siły.

– Nie chciała zachować nazwiska ojca. Zmieniła je na Beatrice Kolland.

Tamten patrzył na niego, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Jakby szukał czegoś w jego twarzy. Czegoś innego niż on, kogoś innego.

– Jesteś jej bratem? Naprawdę jesteś jej bratem?

– Tak.

– Starszym bratem?

– Tak.

Tamten znów mu się przyglądał. Z tym samym zdumieniem. Tak samo przeszywająco. Z tym samym wahaniem. Jego dłonie i stopy już się nie ruszały. Już nie są bronią, pomyślał Ademar.

– W takim razie spotkaliśmy się kiedyś – powiedział powoli Lejon. – Wiele lat temu.

27

CAŁA RODZINA WYSIADAŁA Z AUTA przed domem Lotty Winter w Hagen. Zajęło to trochę czasu. Lilly nie mogła uwolnić nogi z fotelika i głośno się rozplakała, kiedy Lotta otworzyła drzwi.

– Lilly, Lilly! – zawołała Siv Winter. – Co oni ci robią!?

Wzięła dziewczynkę z ramion Wintera. Teraz mała była bezpieczna. Teraz wszystko jest dobrze. Babcia wróciła. Lilly natychmiast przestała płakać. Angela pokręciła głową. Lotta zaśmiała się. Jej córki dokazywały z Elsą. Winter poczuł nagle, że jest w domu.

Lotta podała kotleciki rybne z sosem chrzanowym, topionym masłem i zieloną fasolką. Przedtem jedli świeże krewetki. Obierali je przy stole i maczali w aioli. Bim i Elsa zamiast tego jadły chleb. Maczały go w paście z sardeli. Wszyscy byli zadowoleni.

– Chrzan to coś, czego mi najbardziej brakuje w Hiszpanii – powiedziała Siv, nalewając wszystkim wina. Sancerre. Lotta Winter była taka sama jak jej brat. Życie było za krótkie na podłe jedzenie i kiepskie wino

– To bardzo szwedzkie – przyznał Winter.

– Niemcy też go używają – dodała Angela.

– Bardzo szwedzkie i bardzo niemieckie! – wykrzyknęła Elsa. Winter spróbował wina. Było chłodne, nie za zimne. Uniósł kieliszek, patrzył na matkę.

– Witaj w domu.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Witaj w domu! – powiedzieli jednym głosem wszyscy pozostali.

Napili się.

– To brzmi tak, jakbym wróciła do domu na dobre – stwierdziła Siv, odstawiając kieliszek na stół.

– A nie wróciłaś? – zapytała Kristina.

– Chciałabyś, złotko?

– Tak.

– A co z domem w Hiszpanii? – zapytała Bim.

– Możemy tam jeździć na wakacje! – wykrzyknęła Kristina.

– To świetny pomysł – poparła córkę Lotta.

– Nie należy się pozbywać takiego domu, jeśli już się go ma – stwierdził Winter.

– Nie! – przyznała Elsa.

– Nie! – zawołała Lilly.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Zobaczmy – powiedziała Siv. – Najpierw muszę sobie znaleźć jakieś mieszkanie tu, w Göteborgu.

– Przecież mieszkasz tutaj – stwierdziła Lotta.

– Ale na dłuższą metę nie może tak być.

– Dlaczego nie? Jest przecież miejsce. To jest także twój dom. Mieszkałaś tu przedtem.

– Więc naprawdę zamierzasz zostać? – zapytała Angela.

– Tak sądzę.

– To dobrze.

– Tak uważasz?

– Dlaczego miałabym uważać inaczej?

– Myślałam, że może wy pojechalibyście znów na południe. Mogłabyś tam pracować już bardziej na stałe.

– Nie wydaje mi się, żeby Erik zamierzał już teraz iść na emeryturę – stwierdziła Angela.

– Dlaczego nie? – powiedział Winter, stawiając kieliszek. –

Wkrótce skończę pięćdziesiąt lat.

– Emerytura w wieku pięćdziesięciu lat? – zdziwiła się Bim. Sama niedługo miała obchodzić siedemnaste urodziny. Można by pomyśleć, że pięćdziesiątka to był dla niej wiek na granicy śmierci. – Czy to nie trochę za wcześnie?

Winter się uśmiechnął.

– Masz rację. Będę pracował do osiemdziesiątki. – Znów uniósł kieliszek. – Myślę, że powinienem za to wypić. Zacząłem jako najmłodszy komisarz w kraju, skończę jako najstarszy.

– Powodzenia – rzuciła Lotta i też podniosła kieliszek z winem.

– Te kotleciki rybne są naprawdę przepyszne – powiedziała Siv.

– Dodałam troszkę świeżego chili – oświadczyła Lotta. – Ale tylko troszeczkę.

– To dlatego, żeby nie były za bardzo szwedzkie – powiedziała Bim.

– Pamiętasz ośrodek kolonijny na Brännö?

Stali w ogrodzie. Domek do zabawy w jego zachodniej części zaczynał w zmierzchu tracić kolory. To był dom jego dzieciństwa. Jako chłopiec spędził w nim wiele nocy. Wychodził, żeby popatrzeć na gwiazdy. W środku nadal pachniało tak samo. Ten zapach nigdy nie znikał. Wystarczyło, żeby wsunął tam nos i wszystkie wspomnienia z dzieciństwa wracały. Poczul ten zapach i już przenosił się do innego kraju. Zbyt szybko go kiedyś opuścił. Teraz zaczął tak myśleć. Powinien był opierać się bardziej.

– Kolonijny?

– Tak. Kolonie na Brännö. Kiedy wynajmowaliśmy domek na Styrö, były tam kolonie. Po drugiej stronie, w Sandvik.

– Tak, tak.

– Pamiętasz?

– Teraz, kiedy o tym mówisz. Ale dlaczego o to pytasz?

– Pamiętasz dziewczynkę, która wtedy zaginęła? To było w 1975 roku. Mieszkała w tym ośrodku.

– Dziewczynka? Dziewczynka, która zaginęła?

– To było w lipcu. Dwudziestego trzeciego lipca.
– Mój Boże, takich dat na pewno nie pamiętam.
– Nie, nie. Ale to było wtedy. Poszła popływać.
Prawdopodobnie w Husvik. Ale zniknęła. To było wieczorem.
Nigdy jej nie odnaleziono.

– Nigdy się nie odnalazła?

– Nie.

Siv Winter przeszła kilka kroków po trawniku. Przyjechała tutaj z Bengtem na początku lat sześćdziesiątych, z dwojgiem małych dzieci, Erikiem i Charlottą. To tutaj zdecydowali się zostać: na całą przyszłość. Teraz znalazła się tu znowu. Przyszłość wróciła.

Popatrzyła na Wintera.

– Przypominam sobie – powiedziała. – Gazety dość dużo o tym pisały.

– Właśnie.

– A dlaczego mnie o to pytasz?

– Sam nie wiem. W jakiś sposób to się wiąże ze sprawą, nad którą pracujemy. Albo nie. Nie umiem powiedzieć.

– W jaki sposób to się może łączyć z twoją sprawą?

Nie odpowiedział. Znowu spojrzął na domek do zabawy. Teraz był szary i czarny. Tak samo wyglądały drzewa w ogrodzie. I trawnik. Powietrze się ochłodziło, jakby nagle przypomniała o sobie zima. W tym roku przechodzili jesień, nawet się nie zatrzymując, od lata prosto do zimy.

– Myślę, że to się jakoś wiąże – odpowiedział wreszcie. – Ale nie wiem jak. – Odwrócił się do matki. – Czy ja o tym mówiłem? Wtedy? Kiedy to się stało? Kiedy miałem piętnaście lat?

– Nie – odparła. – Przynajmniej ja nie pamiętam.

– A nie powinienem, mam? Czy to nie jest dziwne? Czy nie powinienem mówić o tym, że dziewczyna w moim wieku przepadła bez śladu, i to zaledwie kilkaset metrów od naszego domu?

– To nie było kilkaset metrów.

– W linii prostej przez cieśninę było.

– Ach tak.

- Prawie było widać ten ośrodek z naszego domu!
- Może jednak mówiłeś o tym, Eriku.
- Nie. Nie sądzę, żebym to robił. A może nawet ją widziałem. Może ją spotkałem.

- Kiedy miałbyś to zrobić? Tamtego lata?
- Tak, oczywiście.
- Przecież coś takiego byś pamiętał. Gdybyś ją spotkał.
- Właśnie o to chodzi. Powinienem to pamiętać.
- W takim razie nie było nic do zapamiętania, Eriku.
- Nie jestem pewien.
- To brzmi tak, jakbyś brał na siebie winę za to, co się stało. Nie odpowiedział.

- Przyszedłem tu, żeby ci dać nauczkę.

Christian Lejon uwolnił dłonie Ademara. Skąd miał kajdanki? Metal obtarł naskórek na przegubie lewej dłoni pisarza. Nie było krwi. Rozcierał ramiona. Inne części ciała też miał obolałe. A jednak był zaskoczony, że nie wyglądało to gorzej. Zdumiony.

Nadal siedział na podłodze. Koszulę miał pokrytą kurzem. Tak to bywa, kiedy człowiek się nie przykłada do sprzątanania.

- Chciałeś powiedzieć: skopać mnie na śmierć?
- Między innymi.

Wyglądało to tak, jakby tamten się uśmiechnął. Nie widział dobrze przez cały pokój. Brakowało kolorów. Zrobił się wieczór. Razem doczekali zmroku. Musiało minąć kilka godzin.

- Byłoby warto? – zapytał Ademar.
- Tak.
- Dlaczego?
- Skopałeś kogoś kiedyś?
- Nie.
- Tego uczucia nie można porównać z niczym innym.
- Mogę sobie wyobrazić.
- Myślałeś o tym, prawda? – zapytał Lejon.
- Nigdy.
- Nie wierzę.
- Rozwazałem kij bejsbolowy i broń palną, ale nigdy kopania

– wyjaśnił Ademar.

Teraz tamten rzeczywiście się uśmiechnął. Jego uśmiech rozjaśnił mrok. Miał naprawdę zadbane zęby.

– Boli cię? – zapytał.

– Tylko kiedy się uśmiecham.

Lejon uśmiechnął się trzeci raz.

– Podobasz mi się. Cieszę się, że cię nie skopałem na śmierć.

– Więc mogę już iść?

– To twój dom. Ty zostajesz. Ja pójdę.

– Dzięki.

– Dlaczego piszesz tę książkę?

Ademar próbował się podnieść. Biodra nie chciały go słuchać. Właśnie tam spadło kilka mocnych kopniaków. Nic chyba nie było złamane, ale czuł, że coś jest nie tak. Podparł się prawą ręką, żeby się oderwać od podłogi. To też mu się nie udało.

– Dlaczego ją piszesz? – zapytał Lejon.

– Dlaczego pytasz? – odpowiedział Ademar. – Kim ty właściwie jesteś?

– Lejon. Christian Lejon.

Ademar stanął na nogi. W głowie mu się kręciło. Nagle poczuł się bardzo lekki. Może leciał w dół. Coś go złapało.

Lejon zrobił trzy szybkie kroki w jego stronę. Trzymał go delikatnie, ale mocno za ramiona i w pasie, jak pielęgniarz. Wyraźnie znał się na rzeczy. Ademarowi nadal kręciło się w głowie. Tamten coś mówił. Powiedział, jak się nazywa.

– Poznaję twoje nazwisko.

– Ach tak?

– Wiem, kim jesteś – powiedział Ademar.

Lejon nadal go nie puszczał. Teraz trzymał nawet mocniej.

– Czy raczej kim byłeś. Byłeś jednym z tych dzieciaków na koloniach. Albo nastolatków.

– Tak.

– Zastanawiasz się, skąd to wiem?

– Pewnie są jakieś listy. Dokumenty.

– Tak. I ty tam jesteś. Lejon. Christian Lejon.

Lejon puścił go.

– Możesz stać bez pomocy?

– Chyba tak.

Lejon oddalił się o krok.

– Byłem tam tamtego lata. Matka zachorowała i z gminy mnie tam wysłali. – Może znów się uśmiechnął. Ademar stał tak blisko, że mógł widzieć ten uśmiech, który nie dosięgnął oczu. Te uśmiechy wyglądały raczej jak odruch, tik nerwowy. – Człowiek nie miał za dużo do powiedzenia. Wtedy. Biedne dzieciaki lądowały na koloniach.

– Tak.

– Byliście biedni?

– Tak. Ojciec nas zostawił. Matka nie miała pracy.

– Możesz podejść do tego krzesła? – powiedział Lejon. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował usiąść.

Zaprowadził Ademara do biurowego krzesła. Przytrzymał je, żeby nie odjechało, kiedy będzie siadał. Jasność monitora niemal oślepiła Ademara. To było jedyne źródło światła w pokoju. Jak garść fosforu.

– Więc... dlaczego piszesz tę książkę? O czym będzie?

Ademar spojrział na monitor. Książka. Była tam, w komputerze. Ale jeszcze niegotowa. Może nigdy jej nie skończy. To jest jak puzzle. O wiele za duże, za dużo kawałków.

– Nie rozumiesz?

– Piszesz o jej zniknięciu.

– Tak.

– Co wiesz?

Ademar nie odpowiedział. Ciągle siedział wpatrzony w monitor. Ale tam nie było wystarczająco wielu odpowiedzi. Miało być tak, że będzie się lądować w komputery odpowiednią liczbę informacji, a potem na ich podstawie komputery będą dostarczać odpowiedzi. Ale on nie wiedział wystarczająco dużo. Były duże luki. Kawałki puzzli, których brakowało.

– Co wiesz? – powtórzył Lejon.

– A co ty wiesz? – zapytał Ademar, odrywając wzrok od komputera.

Lejon nie odpowiedział.

– Miałbyś mi coś do powiedzenia?

– Jeśli to zrobię, to naprawdę będę cię musiał skopać na śmierć.

– Nikomu nic nie powiem.

– Nie. Ale napiszesz.

– Co się stało? Co się stało tamtego lata?

– Mógłbym przeczytać to, co do tej pory napisałeś?

– Dlaczego?

– Mogę?

– Doceniam to, że zapytałeś. Mógłbyś mnie po prostu ukatrupić i zwinąć materiał.

– Nie jestem złodziejem.

– Ach tak?

– Biorę tylko to, co moje – odparł Lejon. – I nie mówię o tej książce.

– To jeszcze nie jest książka. Może nigdy nie będzie.

Lejon wziął z biurka kartkę. Trzymał ją w ręce i patrzył na Ademara.

– Nie masz pojęcia, co się wtedy stało, tak?

– Próbuje. To jedyne, co mogę zrobić.

Lejon wpatrywał się w tekst. Ale nie wyglądało na to, żeby czytał. Znowu podniósł wzrok.

– Właśnie przywracamy porządek.

– Co masz na myśli? To w ogóle dziwne wyrażenie. Przywracanie porządku.

– Nie dla mnie – odparł Lejon. – Dobrze wiem, co jest dobre, a co złe. Czasem można zmienić zło w dobro.

– To możliwe?

– Można próbować.

– Więc co ty robisz?

– Co wiesz o swoim sąsiedzie?

– Co?

– Twój sąsiad. Ten, co mieszka w domu obok. – Lejon wskazał na ścianę, na południe. – Gdzie on jest?

– Nie żyje. Został zastrzelony kilka dni temu.

Lejon skinął głową.

– Wiesz coś o tym?

– Widziałem wiadomości w telewizji.

Ademar pochylił się do przodu. Bolała go szyja. Poczł klucie w piersiach. Przesł. Unił ramię. Miał wrazenie, że wielki cięzar ciągnie je w dół.

Wylogował się.

Monitor zgał.

W pokoju zrobiło się całkiem ciemno. Jakby nacisnął wyłącznik światła.

– Dlaczego o niego pytasz? O Sellberga?

Miał wrazenie, że rozmawia sam ze sobą w ciemnym pokoju.

– Wiesz przecież. Tyle zdążyłem przeczytać.

– Wiedziałeś, że Sellberg pracował tamtego lata w tym órodku? – powiedział Ademar. – Był kimś w rodzaju pomocnika.

Lejon nie odpowiedział. Ademar nadal go widział, ale tylko jako ciemny zarys. Latarnia uliczna też nie świeciła. Może Lejon ją rozbił, zanim przyszedł. Rzucił kamieniem.

– Sellberg nie był sam – powiedział Lejon.

– Co masz na myśli?

Lejon nie odpowiedział. Odwrócił się do okna. Nadal był ciemną sylwetką.

– Beatrice była moją dziewczyną.

Siv Winter weszła z powrotem do domu. Winter usłyszał śmiech którejś z dziewczynek. Dobiegał ze órodku. Siedem dziewczyn. Jeden facet. Siedem do jednego, nic dziwnego, że nie miał zbyt duzo do gadania.

Poszedł do domku. Otworzył drzwi i wszedł do órodku. Mógł się położyć wyprostowany, było doś miejsca, żeby stopy nie wystawały na zewnątrz. Nie pamiętał, czy domek już stał, kiedy się wprowadzili, czy zbudował go ojciec. Pewnie nie. Bengt Winter nic nie budował. On zarządzał. Pieniędzmi. Za które można było coś kupić. Kupowało się za pieniędze. Jeśli o to chodzi, sam miał duzo na sumieniu. Zaczynał się z tego wyzwalać. Może to była choroba. Potrzebował tylko tego domku. W jego głowie panował spokój. Leżał w białej wacie, óróród chmurek. Może nawet zasnął. Śniło mu się morze. Było spokojne. Wszystko było spokojne. Słónce zachodziło za

skalami. To była cicha godzina, która następuje zaraz po szczęśliwej godzinie. *Happy hour*. Godziny, które się tak nazywają, muszą być najlepsze z całego dnia.

Ktoś coś mówił.

Podniósł głowę.

– Tak?

– To brzmiało tak, jakbyś spał. Chrapałeś.

– To nie byłem ja.

– Aha. – Wsunęła się do środka i położyła obok niego.

Miejsca wystarczyło akurat na dwie osoby.

– Nie byłem tu od wieków.

– A przecież mieszkasz tutaj.

– Odkąd dziewczynki podrosły, domek stoi pusty.

– Szkoda.

– Ożywa, kiedy twoje maluchy przyjeżdżają.

– Hm...

– A jednak się tu chowasz.

– Nie chowam się.

Lotta położyła dłoń na ramieniu brata.

– Jak jest teraz między tobą i Angelą?

– O co ci chodzi?

– Nie wygląda na to, żeby było najlepiej.

– Ale co?

– Wiesz, o czym mówię, Eriku.

– Jest dobrze. Wszystko dobrze.

– Skoro tak mówisz.

– Dlaczego nie miałyby być dobrze?

Przyglądał się małemu otworowi w dachu. To musiała być dziura po sęku. Wyraźnie coś w niej świeciło. Chyba księżyc.

– Nie zrób nic głupiego.

– Dlaczego miałbym zrobić coś głupiego? Nigdy nic takiego nie robię.

– To niebezpiecznie tak myśleć. Że się nigdy nie robi głupot.

Nie odpowiedział. Księżyc świecił przez dziurę po sęku jak snop światła z mocnej latarki. Jakby go szukał.

– Nie rób głupstw – powtórzyła jeszcze raz.

– No właśnie, skoro o tym mowa. Odwiedziłem go dzisiaj.

– Kogo? Jego? – Uniosła się, podparła na łokciu. – Jego!?
Chyba nie mówisz o Bennym!?

– Ależ tak.

– Ale po co, do jasnej cholery? – Pochyliła się do przodu. Jej włosy znalazły się w smudze światła. Miały ten sam kolor co jego włosy. Żadne z nich jeszcze nie siwiało, w każdym razie jeszcze nie było tego widać. Nigdy nie mieli mieć naprawdę siwych włosów. Nigdy nie osiwiejemy, pomyślał.

– To było bardzo głupie! – powiedziała. – Prosiłam cię, żebyś tego nie robił.

– Musiałem z nim porozmawiać.

– Dlaczego?

– On może mi dostarczyć pewnych informacji. Potrzebujemy informacji.

– Może ci ich dostarczyć pierwszy lepszy pieprzony gangster w tym mieście. Dlaczego akurat on?

– Ależ ty klniesz.

– Knę, ile mi się podoba. Ty też klniesz.

– Jestem mężczyzną. Ty jesteś kobietą. To nie pasuje.

– To nie jest właściwe miejsce ani czas na ironię, Eriku.

– Miejsce chyba jest dobre?

Trzepnęła go w głowę. Trafiła w czoło albo w skroń. Nie bolało. Był przede wszystkim zaskoczony.

– Nie chcę, żebyś mi o nim przypominał! – powiedziała. – Obiecałeś, że się z nim nie spotkasz.

– Zapomnijmy o tym.

Nie odezwała się.

– Już nic więcej nie powiem – dodał Winter.

– A jest jeszcze coś do powiedzenia?

Nie odpowiedział.

– Eriku?

– Chce się z tobą spotkać. Tylko na pięć minut.

Teraz trzasnęła go prosto w nos.

WINTER NALAŁ SOBIE SZKLANECZKĘ glenfarclas, ale na razie nie pił. Szklanka stała na stole. Na Vasaplatsen było cicho. Otworzył drzwi i wyszedł na balkon. Niebo było jasne i pełne gwiazd. Odszukał Wielki Wóz i Oriona.

Usłyszał kroki Angeli za plecami. Elsa długo nie chciała zasnąć. Coś ją niepokoiło.

W ciągu ostatnich dwóch godzin wrócił ból głowy. Wędrował z jednej strony na drugą, ale zatrzymywał się na dłużej nad lewym okiem. Jakby tam uwił sobie gniazdo. Jakby chciał być wszędzie równocześnie. Zostać na miejscu i wędrować. Tak właśnie Winter myślał tego wieczoru. Nie miał mdłości. Może będzie miał po whisky.

– Zrobiło się chłodno – powiedziała Angela. – Brr.

Zamknął oczy. To pomagało.

– Jak się czujesz, Eriku?

Otworzył oczy. Żadnych błyskawic, żadnego huku.

– Bierzesz tabletki?

– Kiedy zachodzi potrzeba.

– Eriku.

– Tak, o co chodzi?

Nie odpowiedziała.

– To zmiana pogody – powiedział. – Sama mówiłaś przed chwilą. Jest chłodniej. Jesteś lekarzem. Powinnaś wiedzieć, że zmiana pogody może wywołać migr...

Angela odeszła, kiedy był w połowie zdania.

Ademar nadal siedział przed wyłączonym komputerem. Czy miał go jeszcze w ogóle włączyć?

Lejon pojechał. Po prostu wyszedł z pokoju i z domu. Widział przez okno, jak idzie pod zepsutą latarnią. Wyszedł w połowie zdania, jakby miał tego wszystkiego dość. A może to było coś innego. Nie powiedział nic więcej o Beatrice. Tylko, że była „jego dziewczyną”. Co to, do diabła, miało znaczyć? Nie powiedział nic więcej o tamtym lecie ani o wyspie. A on nie pytał. Może kiedyś dowie się więcej. Nie był pewien, czy chce

wiedzieć. Widział swoje czarne odbicie w gładkiej tafli. Czy coś jeszcze napisze? To było doświadczenie graniczne, bliskość śmierci. Nie wątpił, że Lejon przyszedł, żeby go zabić. Mówił o miłości. Właśnie o tym mówił. O jakimś rodzaju miłości. Może mówił też o zemście, nie nazywając tego po imieniu. Że chodziło o zemstę. Że zamordowanie Sellberga to była zemsta. To miało związek z Beatrice, z Brännö, z koloniami. Z jej zniknięciem. Z jej śmiercią. Nigdy nie myślał o jej śmierci. Nie chciał jej widzieć. Nie chciał jej odtwarzać. Na tę śmierć nie było miejsca w jego książce. Może mógłby napisać opowieść, która skończy się tam, gdzie wkroczy śmierć, ale nigdy nie pójdzie dalej. Policja zamknęła śledztwo, zanim się naprawdę zaczęło. Nie było nic do badania. Żadnych śladów. Nie było śladów w powietrzu ani w wodzie. Beatrice rozviała się jak dym. Albo poszła na dno. Tamten komisarz... Winter... on też dalej nie dojdzie. Zajmował się morderstwem. Czy to Lejon zabił Sellberga? Czy to była zemsta? Wiedział o czymś, co Sellberg zrobił? Czy Sellberg zginął, bo zrobił coś Beatrice? Albo coś wiedział? Coś, czego nie powinien był wiedzieć? Coś, co nosił w sobie przez lata. Ale nie sądzę, żeby to Lejon zabił Sellberga. Zlecił to komuś innemu. O ile w ogóle jest w to zamieszany. Może tylko zachował w sercu wspomnienie o mojej siostrze. To jest wszystko, to było wszystko. Ona po prostu zniknęła. Lejon zabrał ze sobą wydruk. Podał mu swoje nazwisko. Lejon. Był z niego dumny.

Telefon stojący na stole ostro zaterkotał. Staroświecki sygnał, wysoki i zgrzytliwy w cichym mroku. Brzęczał dalej. Ucichł, a potem znów się odezwał: wiem, że tam jesteś.

– Tak?

Przyciągnął telefon szarpnięciem. Coś mu chrupnęło w barku, kiedy to zrobił. Jeszcze bardziej sobie coś zepsuł.

W słuchawce szumiało. Jadący samochód.

– Co robisz? – zapytał Lejon.

– Nic. Próbuje pozbierać do kupy różne części ciała. To nie takie łatwe.

– Przepraszam za tamto.

Wolał tego nie komentować. Zobaczył światła samochodu na

ulicy. Czyżby to Lejon jeszcze tu był? Nie, to nie był jego chrysler. To jakieś mniejsze auto, śmiesznie małe. Pojechało dalej.

– Mogło być gorzej – stwierdził Lejon.

– Czego chcesz?

– Rozumiesz, że nasze spotkanie zachowamy dla siebie? Rozumiesz to, prawda?

– Skoro tak mówisz.

– Tak mówię. Nigdy cię nie spotkałem. Nigdy ze mną nie rozmawiałeś. Nie mam żadnych powiązań z niczym, o czym rozmawialiśmy. Ani z nikim. Jest tak, nieprawdaż?

– Tak jest.

– To dobrze.

– Co teraz będzie?

– Nic. Odezwę się. Najpierw będę czytał.

– Może wyjadę z miasta. Albo nawet z kraju.

– Jeszcze nie.

– Grozisz mi?

– Nie bardziej niż przedtem – powiedział Lejon.

– Kiedy się odezwiesz?

Ale rozmowa się urwała. Było słyhać tylko szum. Jeszcze raz zobaczył tamto małe auto. Mijało jego dom. Znów zniknęło. Nadal trzymał słuchawkę w zaciśniętej dłoni. Zaczął się mocno trząść. Upuścił słuchawkę na biurko, nieprzyjemny odgłos. Jak kopniak w głowę.

Lars Bergenhem podniósł słuchawkę. Był w domu sam. Eriksberg zamieniał się wieczorem w kamienną pustynię. Kiedy ktoś przechodził ulicą, kroki odbijały się echem między domami, jak wołanie z oddali. To miejsce jeszcze nie było miastem. Na pewno trzeba będzie jeszcze długo czekać. W jakiś sposób mu to odpowiadało. Sam też właśnie stawał się kimś innym. Teraz był niczym. Tylko pustynią. Wybrał numer. Po trzecim sygnale w jego komórce odezwał się głos:

– Tak?

– Tu Lars.

– Tak?

- Jak poszło?
- Niezbyt dobrze.
- Ktoś przecież musi coś wiedzieć, kurwa.
- Nie musisz kłąć, Lars.

Nie znosił głosu tamtego. To było chyba najgorsze. Nigdy nie mógł spokojnie słuchać głosów niektórych z nich. Jakiś popieprzony ton, w stu procentach sztuczny. Naśladowali coś, co nie istniało. To nie była tożsamość.

– Nie mógł tak po prostu zniknąć – powiedział Bergenhem. – Nie tak całkiem bez śladu.

- Dlaczego nie? Ludzie znikają.
- Musiał chyba przedtem z kimś rozmawiać.
- Może nie zdążył, Lars.
- Co to by miało znaczyć?

– Dlaczego nie miałyby mu się... przytrafić coś złego, tak samo jak tamtemu.

– Wtedy byśmy go znaleźli. Ciało. Wtedy byłoby tak jak z pierwszą ofiarą.

- Powiedziałeś: z pierwszą ofiarą, Lars.
- No to niech będzie z ofiarą.
- Hm... To pytam dalej. Jak ci się teraz układa?
- Co mi się układa? Co masz na myśli?
- Co oni mówią?
- Jacy oni? O czym ty mówisz?
- Wiesz, o czym mówię, Lars.
- Przestań ciągle z tym Larsem! I spadaj do diabła!

W słuchawce zapadła cisza. Potem zaczęło szumieć. Tamten się rozłączył. Posłuchał. Bergenhem rzucił słuchawkę. Co oni mówią? Tego nie wiedział. Nie chciał wiedzieć. Nie chciał już nigdy, przenigdy o tym rozmawiać. Wstał. Czuł się tak, jakby jego ciało ogarnęła nagła gorączka. Swędziały go łopatki, skóra głowy. Facet, który nie chce być we własnej skórze, pomyślał. To ja. Nie chcę być nigdzie. Co oni mówią? Ha! Dobrze wiem, co mówią. To już wyciekło. Chociaż jeszcze się nie ujawniłem. Wczoraj w areszcie zapadła cisza, kiedy przechodziłem. Cisza w recepcji. Teraz wszyscy wiedzą. Wiedzą odwiedzający, wszyscy, od złodziei rowerów po sędziów. Informują ich ulotki,

zanim wejdą do komendy. Wszyscy się dowiedzą, wszyscy słyszeli, wszędzie się o tym mówi.

Zadzwoniła jego komórka. Leżała na łóżku. Rozpoznał numer. Nie odebrał. Zadzwoniła znowu. Wpatrywał się w wyświetlacz. To był jego numer. Albo jego dawny numer. Dzwoniła jego rodzina. To mogła być Ada. Nie, dla niej było za późno. Za późno na wszystko, pomyślał. Martina. Dobry Boże, niech ta noc już się skończy, żebym wreszcie mógł iść do pracy. Pojeżdżę sobie samochodem. To lepsze niż siedzenie tutaj. Wszystko jest lepsze. Może znajdę jeszcze jedno porzucone auto. Telefon dzwonił i dzwonił.

– Tak? – powiedział do słuchawki.

– To... ja.

Mówiła bardzo cicho. Właściwie szeptem.

– Martina.

– Co robisz, Lars?

Mówiła do niego Lars. To był inny Lars. To było coś, co rozpoznawał.

– Nic nie robię.

– Jesteś sam?

– Tak.

Cisza. Co jeszcze mogłaby powiedzieć? Co on powinien powiedzieć?

– Jak tam Ada? – zapytał.

– Nie... wiem, Lars. A jak sądzisz?

Przerzucanie odpowiedzialności na niego. Ale miała rację. To była jego wina, to on za to odpowiadał. Nie oni oboje. To nigdy nie byli oni oboje. Tylko on. Teraz to zrozumiał. Wcześniej tego nie rozumiał, ale teraz nagle wszystko stało się jasne jak to cholerne niebo w ostatnich tygodniach. Słońce jarało z góry jak reflektor w helikopterze. To on, on, on. To ty, ty, ty.

– Zadzwonię do niej jutro.

– Tylko zadzwonisz?

– Jasne, że będę się z nią też widywał.

– Kiedy?

– Wkrótce...

– Co jej powiesz?

Nie odezwał się.

– Na razie nic nie mówiłeś, że zamierzasz się wyprowadzić. Nie dostała od ciebie słowa wyjaśnienia. Zresztą ja też nie. Prawie nic. Ale Ada...

Głos jej się załamał. Potrafił rozpoznać lży, kiedy je słyszał. Jakby paliły przez telefon. Musiał wypuścić słuchawkę.

– Porozmawiam z nią – powiedział.

– Co jej powiesz?

– Porozmawiam z nią.

– Ja w ogóle nic o tym nie mówiłam. Nie dam już dłużej rady.

– Porozmawiam z nią – powiedział po raz trzeci.

– A gdzie? Gdzie chcesz się z nią spotkać?

– Tego jeszcze nie wiem. Co to ma za znaczenie?

– Ona mówi, że ty już nigdy nie wrócisz do domu – powiedziała Martina.

Co mam powiedzieć? To przecież prawda. Już nigdy nie wrócę do domu. Nie do tego domu. Ale są inne domy. Nie ten tutaj, nie mieszkanie Samuela. Ale będę miał coś własnego. Kiedyś będę miał. Chyba będę miał? Jeśli na to zasłużę. A co, jeśli nie będę tego wart? Własny dom? Ha, ha.

– Myślisz, że nie rozumiem? – powiedziała Martina.

Winter wstał o wpół do siódmej. Nie udało mu się pospać. Angela też nie spała długo. W nocy rozmawiali o tym, co teraz może się zdarzyć. Dokąd prowadziła ta droga? Coś się stało, a oni nie wiedzieli co. Boję się, powiedziała Angela. Nie ma się czego bać, uspokajał ją. Nie jesteś taki, jak byłeś, powiedziała. A jaki mam być? – odpowiedział. Nie stań się kimś innym, prosiła. Nie odpowiedział. Bóle głowy odeszły jak opary mgły w godzinie wilka. Mogły wrócić. Może to było takie proste. Zmienił się na jakiś czas, bo jego ciało wytworzyło ten ból. A zrobiło to, bo coś było nie tak. Co było nie tak? Czy to była jego wina? Czy może jego pracy? Czy to dlatego, że ciążyła na nim większa odpowiedzialność? Ale nic się nie zmieniło.

Wziął do ręki zdjęcie małego krzyża, który znaleźli w aucie Edwardsa. Jeszcze go o to nie zapytał. Chciał zaczekać, aż uda im się zidentyfikować krzyż. Jeszcze tego nie zrobili. Żadnych

odcisków palców do porównania. Nie znaleźli niczego podobnego, ale na razie nikt nie miał czasu się tym zajmować. Zamierzał wysłać kogoś z tym krzyżem do Muzeum Żeglugi. W świetle poranka podniósł zdjęcie do oczu. Miał wrażenie, że go skądś zna. Gwiazda na krzyżu, jak herb krzyżowców. Czujne oko w samym środku gwiazdy. Krzyż w samochodzie na środku mostu, nad rzeką, w pobliżu morza. Krzyżowiec. Myślał o krzyżowcach. Morze, ocean. Pomyślał o żeglarzach. Krzyż dla marynarzy. Były takie krzyże na szkiecach. Czyż nie? Pewnie tak. Sam je widywał w południowej części archipelagu. Jeden daleko, na granicy oceanu, na południe od Vrångö. Krzyż. Znak morski. To coś znaczyło: Tutaj byliśmy. Ktoś tam był.

Zamknął oczy. Słyszał wołanie Lilly. Nie płakała zaraz po przebudzeniu. Wołała. To znaczyło: Tu jestem. Czy jest ktoś w domu? Angela pewnie się obudzi i zobaczy, że nie ma go w łóżku, popatrzy na zegarek i pomyśli, że nadal jest w domu. Odwróci się na drugi bok i zostawi mu poranny rytuał.

Kiedy przechodził przez przedpokój, nagle poczuł chłodny przeciąg, jakby drzwi wejściowe były otwarte. Na wycieracze leżała „Göteborgs Posten”. Śmierć Sellberga została wyparta z pierwszych stron gazet, przeniosła się na czwartą, żeby zaraz potem zniknąć w medialnej papce. Nie minęło tak dużo czasu, ale wszystko szło tak szybko. Żaden dziennikarz nie połączył zniknięcia Richardssona z tym morderstwem. Może nie było żadnego związku. Tylko szczególny zbieg okoliczności.

Lilly już stała w łóżeczku.

– Tato, tato, tato! – wołała. – Latać, latać, latać!

I wtedy sobie przypomniał, gdzie widział ten krzyż.

Wiatr wypełnił żagiel. Silny wiatr, choć dzień był raczej ciepły. Dużo słońca. Jakby Maxin niemal się oderwała od powierzchni wody. Żeglowali wokół zachodnich skalistych brzegów Brännö w stronę fiordu Dana. Czy to było po zachodniej stronie wysepek Södholmarna? Tak musiało być. Czy to było tamto lato? Mogło tak być.

Jechał rowerem przez Heden, zawsze ta sama ścieżka rowerowa na Heden. Zerwał się wiatr. Nad boiskami

piłkarskimi wirował żwir. Niebo nadal było błękitne, ale nie był to już ten niepojęty odcień.

Żeglowali łodzią Matsa. On mógł popłynąć dokądkolwiek. Mówił, że zamierza to zrobić. I pływał, ale za mało. Kiedy byli na tamtym pogrzebie na wyspie? Trzydzieści lat temu, dwanaście. Jakby to było w innym świecie, w innym czasie, ostrzej, łagodniej. Wiele chorób w jednej, wytrzymał długo, wtedy nie było tak skutecznych środków osłonowych.

Jechał dalej Bohusgatan. Bertil też był na pogrzebie Matsa. Pamiętał, o czym rozmawiali, kiedy razem wracali promem. Przypominał sobie naprawdę każde słowo.

– Czy nie mówiłeś kiedyś, że on chciał zostać policjantem? Kiedy był młody? – zaczął Bertil.

– Tak mówiłem?

– Wydaje mi się, że tak.

– Może jak ja zaczynałem szkołę policyjną. Albo kiedy wspominałem, że będę się starał.

– Może.

– To dawno temu.

– Tak.

– Byłby przecież mile widziany.

Potem Ringmar powiedział:

– Czytałem, że w Anglii szukają homoseksualnych policjantów.

– Chodzi im o nowe stanowiska dla homoseksualnych policjantów czy chcą gejów szkolić na policjantów?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Przepraszam.

– Społeczeństwo wielokulturowe jest w Anglii bardziej rozwinięte – powiedział Bertil. – To kultura rasistowska i seksistowska, ale rozumieją, że potrzebują różnych ludzi, także wśród policjantów.

– Tak.

– Może i my też dostaniemy jakiegoś geja?

– Myślisz, że jeszcze nie mamy?

– Takiego, który miałby odwagę się przyznać.

– Gdybym był gejem, to teraz bym się przyznał, po

dzisiejszym dniu.

– Mhm.

– Albo nawet wcześniej. Tak, chyba tak.

– Tak.

– To niedobrze trzymać się od tego na dystans. Jakby się ponosiło jakąś cholerną zbiorową winę. Ty też nosisz tę winę.

– Tak – powiedział wtedy Ringmar – jestem pełen winy.

To było koło południa, w szary, ponury dzień, przypomniał sobie. Pokład wyglądał jak matowy węgiel. Skały wokół statku miały taki sam kolor jak niebo. Trudno było stwierdzić, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie. Nagle było się w niebie, nawet o tym nie wiedząc, pomyślał Winter. Wystarczy skok ze skały i już się tam jest.

Przypiął rower przed wejściem do komendy. Nie chciał wchodzić do środka. Halders zbliżał się od strony mniejszego parkingu.

– Rzeczywiście trzeba się przesiąść na rower – powiedział, ruchem głowy wskazując na rower Wintera.

– No to zrób to.

– Myślę o tym co wieczór, a potem rano zmieniam zdanie. Poza tym wożę dzieciaki do szkoły. Na rowerze nie byłoby tak łatwo. Choć oczywiście mogłyby same pedałować. Ale czasem pada deszcz. I tak dalej.

Winter pokiwał głową.

– Nie, Aneta nie wróciła do domu – powiedział Halders.

– Nie pytałem o to.

– Tylko żebyś wiedział – powiedział Halders i ruszył do wejścia. Wyglądał, jakby przez ostatnie tygodnie zapadł się w sobie. Nie za bardzo, ale ramiona i plecy miał lekko pochylone.

– Zaczekaj, Fredrik! – zawołał za nim Winter. – Zrobimy sobie wycieczkę na szkiery.

Halders zaparkował przed posterunkiem policji wodnej przy Nya Varvet. Winter wcześniej zadzwonił. Mieli szczęście. Po kilku minutach mogli wyruszyć.

– Nie jestem wielkim żeglarzem – powiedział Halders po

drodze, w samochodzie. – Nigdy bym nie rozpoznał tego krzyża.

Mijali Asperö. Niebo znów było tak niesłychanie błękitne jak przez cały ostatni miesiąc. Skały lśniły jak metal. Mewy krążyły nad cieśniną, jakby pełniły straż. Policyjna łódź przepływała między Brattholmen i Långholmen. Tutaj też mieli swój Långholmen, jak w Sztokholmie. Tam było słynne więzienie. Minęli Skarvorna.

– Rozmawialiśmy o tym, że może coś tu wynajmiemy na lato. W przyszłym roku – powiedział Halders.

– Gdzie? Na Asperö?

– Nie wiem. Gdziekolwiek. Spędzić lato na szkierach. Nigdy czegoś takiego nie robiłem. Człowiek mieszka tak blisko morza, ale równie dobrze mogłaby to być Smalandia.

– To świetny pomysł. Nie powinno być problemu ze znalezieniem czegoś odpowiedniego.

– No, ty się orientujesz. Mieszkałeś tu chyba jako dzieciak?

– Tak, latem.

– Ale teraz sprawa jest nieaktualna – powiedział Halders. – Przynajmniej dla nas.

– Możesz przecież sam tu przyjechać – podsunął Winter. – W najgorszym razie. Ty i dzieci.

– To nie będzie to samo.

– Tam był ten ośrodek kolonijny. – Winter wyciągnął rękę. – Ten, z którego zniknęła ta dziewczynka.

Halders skinął głową. Ręką osłaniał oczy przed słońcem.

– Jedna z niewielu tajemnic – powiedział. – Dla nas.

– O ile to w ogóle tajemnica – odparł Winter.

Widział ludzi chodzących po pomostach wybudowanych wokół skały przy kąpielisku. Wyglądały jak kładki do innej części świata. Widział wieżę do skoków, była tam od zawsze, odkąd sięgał pamięcią. Jako chłopak czasem skakał z niej do wody.

Minęli Husvik. Zatoka za Södholmarna była pusta i spokojna. Czy ona tędy płynęła? Dlaczego nikt tego nie wie? Dlaczego nikt nic nie widział?

Dlatego, że nigdy tędy nie przepływała, pomyślał.

Nie zdążyła.

Zawrócili na otwarte morze.

– Krzyż jest tam. – Sternik wskazał ręką.

29

ŁÓDŹ SPOKOJNIE OKRĄŻAŁA KRZYŻ. Stąd wyglądał jak najzwyczajniejszy znak morski. Wtedy musiałem być bliżej, pomyślał Winter. Kiedy byłem młody. Ale nie pamiętam tego. Przypominam sobie tylko, że widziałem gwiazdę.

– Możemy podpłynąć bliżej? – zapytał.

Sternik skinął głową.

– Możemy nawet przybić – powiedział.

Przybić do krzyża.

Kilka minut później byli całkiem blisko.

To była ta sama gwiazda, ten sam obraz.

– Skąd to się tu wzięło? – zapytał Halders.

– Nie wiem.

– Ktoś musi wiedzieć.

– A dlaczego ten leżał w samochodzie? – zapytał Winter i podniósł krzyż do góry. Wziął go ze sobą.

– Ktoś musiał go zgubić.

– Albo podrzucić.

Sternik nazywał się Lars Ward. Przeprowadził już na szkiecach tyle nocnych patroli, że nazywano go Nocnym Stróżem.

– Takie krzyże były symbolami nawigacyjnymi. Stawiano je po jakichś ekspedycjach albo czymś podobnym – powiedział. – Potem stawiali je dalej, pewnie taka tradycja.

– Kto się czymś takim zajmuje? – zapytał Winter.

– Nie mam pojęcia.

– To chyba jakieś stare dziadki – powiedział Halders. – Przyjaciele Floty. Synowie Morza. Jakieś dawne organizacje. Czy jest w Göteborgu jakieś stare morskie bractwo?

– Czy to nie było coś związanego z Żegluga Wschodnioindyjską?

Winter przyglądał się krzyżowi na drążku. Ruch fal sprawiał,

że wyglądał, jakby się kołysał na wodzie, jak boja. Nagle promień słońca trafił w oko na środku gwiazdy. Odblask padł prosto na twarz Wintera. Oko patrzyło na niego. Fale krążyły wokół krzyża jak w centryfudze. Wyglądało to tak, jakby się ruszały własnym ruchem, niezależnie od otaczającego je morza.

– Czy oni tu przeszukiwali dno drapaczem? – powiedział Winter, usuwając się przed promieniem.

– Słucham? – zapytał Nocny Stróż.

– Głośno myślę – wyjaśnił Winter.

Kiedy wracali do Saltholmen, mieli wiatr w plecy. Wiatr w plecy i słońce w twarz. Nadal było przedpołudnie.

Halders rozłożył ręce na boki.

– Właściwie to należałoby się tutaj osiedlić.

– Aha?

– Takie zdrowe otoczenie.

– Nie dla wszystkich.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o drapaczu? Chyba nie chcesz jej szukać na dnie?

Winter nie odpowiedział. Kolonia mew zerwała się z Pineskär i poleciała w stronę lądu. Formacja, którą utworzyły, wyglądała na niebie jak podarta sieć. Mewy zawsze przylatują jako podarta sieć. Albo pojedynczo. Są bohema morza.

– Jeśli tam utonęła, to już jej nie ma na dnie – powiedział Halders. – Do tego byłyby potrzebne ciężary.

– Może właśnie ich użyto.

Winter natknął się na korytarzu na Öberga. Wyglądał na zrelaksowanego, jakby już wszystko wiedział. Może tylko wtedy da się wykonywać tę pracę.

– Chcesz odciski palców, mam dla ciebie odciski palców – powiedział. – Kilka tysięcy.

– Z budki telefonicznej?

– Yes.

– Coś jeszcze?

– Masz na myśli coś szczególnego?

– Nie.

– To nie mam nic szczególnego. Tylko te zwykłe rzeczy: włosy, tkaniny, pety, tytoń, zapalki, kurz, skorki, kondomy. Żadnych przydatnych śladów DNA.

– Kondomy?

– Myślisz, że w budkach telefonicznych ludzie tylko dzwonią? Nawiasem mówiąc: w aparacie nie było dużo pieniędzy. Ściśle mówiąc siedem koron. Miasto dawno zapomniało o automacie na monety. Albo niedawno go opróżnili.

– Odciski?

– Na monetach? Trudne, prawie niemożliwe.

– No tak.

– Daj mi pistolet – powiedział Öberg.

Uniósł rękę na pożegnanie i ruszył dalej, do wind.

Z jednej z nich wysiadła właśnie Aneta. Zauważyła Wintera, pomachała do niego i podeszła.

– Słyszałam, że byłeś na szkierach – zagadnęła.

– Yes.

– Mówisz jak Torsten.

– Czasami.

– Ten krzyż. Wydaje mi się, że wiem, co to za krzyż. Wiem, co to jest.

– Chodźmy do mnie – zaproponował Winter.

W pokoju było duszno. Winter otworzył okna. Późne lato wkradło się do środka, łagodny wiatr, tak inny od tamtego na morzu. Na skwerze leżały sterty czerwonych liści. Idealnie się nadawały do szurania i kopania. Może to dobra terapia.

Odwrócił się.

– Usiądź, Aneto, proszę.

– Zakon Coldinu – powiedziała, siadając na krześle przed biurkiem. Przedtem stało tam twarde krzesło, ale Winter wymienił je na krzesło z obiciem. – Słyszałeś o nich?

– Nie.

– Pokazałam krzyż facetowi z Muzeum Żeglugi. Emerytowany dyrektor. – Zajrzała do notatnika. – Perners. Sven Perners. Powiedział, że to jest krzyż Zakonu Coldinu.

– Co to takiego?

– Dawne bractwo żeglarskie, wywodzące się z nad Morza Śródziemnego. Powstało w średniowieczu. Do jego tradycji należało umieszczanie krzyży w różnych miejscach świata. Tradycja kontynuowana do dzisiaj. – Przekreśliła kartkę w notatniku. – Zaczęło się od Henryka Żeglarza, portugalskiego księcia z czternastego wieku. Zaczął wysyłać ekspedycje na cały świat, zresztą wiesz. – Podniosła wzrok. – Wszystkie portugalskie kolonie. Portugalczycy byli pierwsi w Europie. I stawiali te krzyże jako znaki. Miały pokazywać innym żeglarzom, że to miejsce zostało już zbadane.

– Rozumiem.

– To się nazywało sadzenie krzyży. Najpierw były drewniane, potem żelazne.

– I jeden z nich, w miniaturowej wersji, trafił do skradzionego samochodu na Älvsborgsbron – powiedział Winter.

– I teraz sprawa robi się jeszcze ciekawsza. – Aneta weszła mu w słowo. – W latach sześćdziesiątych siedemnastego wieku założono Zakon Coldinu w Szwecji, w Sztokholmie. A potem oddział w Göteborgu.

– W Göteborgu?

– Tak. Göta Coldinu Orden. To bardzo tajemnicze bractwo. Perners nic o nich nie wie. Nikt nic o nich nie wie. A jeśli chodzi o nazwę, to też jest tajemnica. Nawiasem mówiąc, Szwecja jest jedynym krajem na świecie, w którym ten zakon wciąż działa.

– Istnieją nadal? Czy to też jest tajemnica?

– No cóż, Göta Coldinu Orden figuruje w spisie pod adresem: Haga, Bellmansgatan 12. Mają też numer telefonu. Poszłam tam, ale nie da się zgadnąć, czym się tam zajmują. Kolejna tajemnica. Dzwoniłam na ten numer wiele razy, ale nikt nie odbierał. Nie ma nawet automatycznej sekretarki.

– Wiesz może coś o liczbie członków?

– Ostatnie dane pochodzą z roku 1906. – Aneta się uśmiechnęła. – Dwa tysiące członków w całej Szwecji.

– Tamta banda już wymarła – stwierdził Winter. – Ciekawe, jak u nich z narybkiem.

– O ile można ich tak nazwać – powiedziała Aneta. – Niezła klika.

– Takie zakony to coś wyjątkowego – przyznał Winter.

– Czy ty nie powinienesz należeć do czegoś takiego? Do Rotary albo do masonów?

– A dlaczego? – Winter był autentycznie zdumiony.

– Wyglądasz na urażonego.

– Jestem urażony.

– Czy to nie jest potwierdzenie statusu? Przecież Göteborg to właśnie takie miasto. Ludzie na stanowiskach należą do takich kretyńskich organizacji.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło – powiedział Winter.

– A co, gdyby się do ciebie odezwali z Coldinu?

– No, to może być wystarczająco tajne. Nikt nie wie, że jest się członkiem.

– Perners powiedział mi jeszcze o czymś. Nie jest pewien, czy sam zakon brał w tym udział, ale całkiem niedawno odbyło się takie posadzenie krzyża, w 1997 roku, w Eriksbergu.

– W Eriksbergu jest krzyż Coldinu?

– Tak. Postawili go 18 sierpnia 1997 roku.

– Postawili? Kto?

– Nie wiem.

18 sierpnia 1997 roku. Pamiętał tę datę. To była jedna z niewielu dat, które zapamiętał, tak jak się pamięta dzień swoich urodzin. 18 sierpnia 1997 roku odbył się pogrzeb jego przyjaciela Matsa.

– To było przy ówczesnej stoczni Żeglugi Wschodnioindyjskiej w Eriksbergu – dodała Aneta. Na jednym z falochronów. Perners mówił, że chyba Pir 4. – Znów zajrzała do notatnika. – Oddano dziewięć strzałów z armaty.

Winter bez pukania wszedł do pokoju Ringmara. Drzwi były uchylone. Ringmar stał przy biurku. Chyba właśnie zamierzał wyjść. Miał na sobie kurtkę.

– Wychodzisz?

– Nie, właśnie przyszedłem.

– Osiem strzałów – powiedział Winter.

– Słucham?

– To pasuje! Musimy o tym porozmawiać. Możesz zdjąć kurtkę?

– Jesteś bardzo podniecony.

– Może mam powód. Nie jestem pewien. Próbuję doszukać się związku. Potrzebuję pomocy.

– Okej. – Ringmar zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku.

– Rozmawiałem przed chwilą z Öbergiem. Mamy osiem strzałów. Wystrzelono osiem razy z tego samego pistoletu. Jesteśmy tego pewni. Jeden pocisk w aucie na Älvsborgsbron, trzy w albo wokół domu Sellberga, cztery w ciele Sellberga. Razem osiem strzałów. Brakuje jeszcze jednego.

– Jednego? Co masz na myśli?

– Został ostatni pocisk. Z tego pistoletu zostanie wystrzelony jeszcze jeden! Magazynek TT mieści osiem kul, wiem, ale można przecież przeladować.

– Teraz naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz, Eriku.

Winter powiedział mu, czego się dowiedziała Aneta.

– Salwa honorowa, dziewięć wystrzałów.

– Nie posuwasz się trochę za daleko?

– Może tak. Ale ja... Przecież to musi mieć jakieś znaczenie, ten krzyż w samochodzie. – Wyjął z kieszeni zdjęcie. – Ten krzyż. To się jakoś łączy. To jest jakiś komunikat.

– Od kogo?

– Nie wiem.

– Od mordercy?

Winter nie odpowiedział.

– Morderca chce nam coś powiedzieć?

– Co w takim razie chce powiedzieć, Bertil?

– Nie wiem, Erik.

– Boi się?

– Boi kogo?

– Swojego... zleceniodawcy.

– O czym mówisz?

– Został do tego zmuszony.

– Do czego?

– Do zamordowania Sellberga.

– A reszta? Te inne strzały?

- Nie wiem.
- Zostawił krzyż w samochodzie?
- Mógł to zrobić.
- To cholerne auto to prawdziwa tajemnica. Jak ono się tam znalazło? Dlaczego? Kto to zrobił? Jak się stamtąd zabrał?
- Lars nic nie widział.
- Nie.
- Powinien coś zobaczyć.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Teraz nie nadążam.
- Zostawmy to – rzucił Winter. – Przyjrzyjmy się lepiej Rogerowi Edwardsowi. To jego samochód. Został skradziony. Przynajmniej on tak twierdzi. To może być jego krzyż.
- Nawet go o to nie spytałeś.
- Chciałem zaczekać.
- Na co?
- Na to – odparł Winter. – Aż się czegoś dowiem o krzyżu Coldinu.
- Może jest członkiem tej tajnej organizacji.
- Musimy go zapytać.
- A jeśli nie będzie chciał się przyznać?
- Może nadszedł czas, żeby go przymknąć – powiedział Winter. – Bez żartów.
- Na jakiej podstawie?
- Zobaczymy. Sprawdzimy jego DNA.
- Myślisz o budce telefonicznej?
- Tak, między innymi. I o tym krzyżu. – Znow wskazał na zdjęcie. Teraz nie błyszczało. Światło w pokoju Ringmara było przytłumione. Okna wychodziły na wschód. Słońce znajdowało się teraz po drugiej stronie budynku.
- Przeszukamy jego dom? – zapytał Ringmar.
- To całkiem niezły pomysł.
- Może znajdziemy pistolet.
- Nie.
- Nie?
- Nie. Tam go nie ma.

- Gdzie w takim razie jest?
- Winter nie odpowiedział.
- Został gdzieś wyrzucony?
- Nie, jeszcze nie.
- Jeszcze nie? Nie został wyrzucony, ale niedługo zostanie?
- Tak. Padnie jeszcze jeden strzał. W sumie dziewięć strzałów.
- Do kogo?
- Gdybyśmy to wiedzieli, puzzle byłyby gotowe. I zapobieglibyśmy morderstwu.
- Powinniśmy to wiedzieć, Eriku? Powinniśmy się domyślać? Dobrze wytypować? Dojść do tego dzięki procesowi myślowemu?
- Nie. Jeszcze za wcześnie.

Aneta podniosła wzrok znad komputera. Na jej biurko padł cień.

– Chcesz, żebym złożył podanie o przeniesienie? – zapytał Halders.

– Dlaczego miałbyś to robić, Fredriku?

– Chyba się domyślasz!

Rozejrzała się. Kilku kolegów siedziało w drugim końcu *open space*. Chyba nie usłyszeli. Wiele osób się tu przeniosło, kiedy zaczął się remont komendy. Ona nawet to polubiła. Nie było mowy o prywatności, ale w pracy tego nie potrzebowała, nie w tym sensie. Zwłaszcza nie w tej chwili.

– Wyjdźmy na chwilę – powiedziała, wstając od biurka.

– Wcale nie musisz – odparł Halders.

– Ale chcę.

Żadne z nich się nie odzywało, kiedy szli korytarzem o ceglanych ścianach. To były chyba najbrzydsze korytarze świata, ale gdyby miały być remontowane albo wymieniane, rozwaliliby to cały budynek. Może to by nie było takie złe. To był bardzo brzydki budynek. Czasami sprawiał, że ludzie w nim pracujący też byli brzydki. Aneta wierzyła w takie rzeczy. Dom jest częścią duszy człowieka. Miała go w sobie po swoich afrykańskich rodzicach. Ale nie chodzi o wystrój ani o sprzęty.

To coś innego, ważniejszego.

Teraz nie miała domu.

Jej rodzice powiedzieliby, że dlatego teraz jej nie ma. Że większa część niej zniknęła.

Poszli na skwer przy komendzie.

Halders zaczął kopać sterty liści.

– To bardzo przyjemne – powiedział. – Można wyładować agresję.

– Ja nie mam w sobie agresji.

– Nie. Ty nie.

– Co chciałeś powiedzieć, Fredriku?

– Nic. Absolutnie nic.

– Jeśli znowu mamy tak rozmawiać, to równie dobrze mogę wrócić do pracy.

Halders kopnął kolejną kupkę liści. Powinien uważać. To było jak kopniaki w powietrze, żadnego oporu. To nie było dobre dla kolan. Zatrzymał się.

– Byłem dzisiaj na szkiarach. W południowej części.

– Domyśliłam się. Z Erikiem.

– Zostawmy go. Chciałem ci tylko powiedzieć, że widziałem światło. Zrozumiałem, że tak właśnie trzeba żyć. Blisko morza.

– Göteborg leży blisko morza. Ale chyba chodzi ci o mieszkanie tuż nad samym morzem.

– Jak najbliżej morza.

– Nigdy przedtem o tym nie mówiłeś, Fredriku.

– Bo dopiero dzisiaj zobaczyłem to światło.

– Mieszkanie tam oznacza chyba izolację.

– Teraz też mieszkam w izolacji – powiedział.

Aneta się nie odezwała.

– Wróć do domu, Aneto.

Teraz ona kopnęła stertę liści. Lekki, spokojny wymach nogą. Nadal żadnej agresji.

– Albo wybierz się z nami na wycieczkę na szkiery. Może w ten weekend. Ty, ja i dzieciaki. Pytają o ciebie.

– Okej – zgodziła się.

WRACALI NA WYSPĘ. Teraz Stora Källö znajdowała się po lewej stronie. Na niebie nadal świeciło słońce. Tak właśnie myślała: nadal świeci słońce.

Widziała ośrodek. Wyglądał jak więzienie. Wyglądał, jakby był otoczony murem. Nie było tam nikogo, w każdym razie ona nikogo nie widziała. Wszyscy musieli leżeć w łóżkach. Nieważne, czy komuś chciało się spać, czy nie.

Zauważyła, że ktoś stoi na końcu pomostu. Odległość była bardzo duża. Tamten ktoś nie mógł jej widzieć. A tym bardziej rozpoznać.

Nagle zachichotała. Nie mogła się powstrzymać.

– Co jest? – odezwał się ten, co siedział na dziobie.

Łódka zwolniła, silnik już tak nie hałasował. Nie trzeba było krzyczeć.

Nie odpowiedziała.

Chłopak spojrzał w stronę kolonii i pomostu.

– Pewnie niedługo zaczną cię szukać. – Uśmiechnął się. – Chyba teraz musicie iść do łóżek?

Nadal się nie odzywała. Ośrodek został w tyle, opłynęli wielką skałę. Zobaczyła kąpielisko. Pomosty. To tam miała iść. Nagle skręciła w prawo, zamiast iść w lewo. Była na samym szczycie. Czy szukała tam innej ścieżki, która prowadziłyby do wody? Czy nie szła nią nigdy przedtem?

I nagle, nieoczekiwanie, znalazła się po drugiej stronie wyspy. Z drugiej strony też było morze. Tam też mogła pływać.

Powiedział, że da się tam, w zatoczce. Za pomostem. Przecież dzisiaj nie ma tańców, powiedział. Nikogo tam nie ma.

Idź tam. Ja ci pokażę.

A teraz siedziała w tej łódce. Minęli wieżę do skoków. Kiedyś skoczyła z najwyższego poziomu. Wszyscy byli pod wrażeniem. Ja nigdy bym się nie odważyła, powiedziała jedna z najmłodszych dziewczynek. Nigdy! Zrobisz to, jak będziesz duża, powiedziała. Duża. Sama myślała o sobie, że jest już duża. Na koloniach nie było trudno czuć się dużym. Poza nią było tylko kilkoro dużych, o ile można było ich tak nazwać.

Może tylko jeden.

Nagle zapagnęła, żeby był z nią, w tej łodzi.

Dlaczego go nie poprosiła, żeby się z nią wybrał wieczorem?
Powinien z nią iść.

Łódź znów przyśpieszyła. Czowała to całym ciałem. Dziób odrywał się od wody.

I nagle zrozumiała, kto stał na pomoście.

To był Christian.

Stał i rozglądał się za nią.

30

WINTER MIJAŁ DOM EDWARDSA DWA RAZY. Wielki dom jak na samotnego mężczyznę. Może kiedyś tak nie było. Nadszedł czas, żeby się czegoś dowiedzieć.

Zaparkował na ulicy. Ani śladu samochodu Edwardsa. Przy domu stał garaż. Może tam go ukrył. Mówił, że nie chce wozu z powrotem. Trauma po kradzieży albo coś w tym rodzaju.

Winter zadzwonił. Dzwonek przy drzwiach zabrzmiał jak gong. Spodziewał się w tym domu suchszego dźwięku. Znów nacisnął guzik. Bardzo prosty, plastikowy. On też nie pasował do tego odgłosu.

Drzwi się otworzyły. Winter pomyślał, że Edwards w pierwszej chwili go nie poznał. Ale tu chodziło o coś innego. Edwards patrzył na coś za jego plecami. Winter odwrócił się. Ulicą przejeżdżał samochód, toyota corolla. Zapamiętał numer rejestracyjny. Warto to pamiętać? Widział szybko przesuające się profile, kobieta i mężczyzna. Potem auto stawało się coraz mniejsze. Jechało w stronę Långedragsskolan.

– Ktoś znajomy?

– Nie.

Teraz Edwards popatrzył na niego.

– Czego pan chce?

– Ma pan chwilę?

Spojrzenie Edwardsa znów gdzieś uleciało. Jego oczy nie były rozbiegane, jego oczy latały.

– Nie.

- Słucham?
- Nie mam czasu – powtórzył Edwards.
- Co pan zamierza robić?
- Muszę wyjść. Interesy.

Miał na sobie szorty i wymiętą lnianą koszulę. Był boso, nieogolony. Winter czuł w jego oddechu alkohol, choć nie sprawiał wrażenia pijanego.

– Niech pan nie zmyśla – powiedział Winter. – Wszyscy mają dla mnie czas. Albo mnie pan wpuści i porozmawiamy, albo pójdzie pan ze mną.

– Dokąd?

– Do mnie do domu, rzecz jasna. Ale nie domu domu. Mam na myśli pokój do rozmów na komendzie.

– Pokój do rozmów? Teraz tak się to nazywa?

– Tak. Co pan na to, panie Edwards?

Edwards odsunął się od drzwi. Winter wszedł. Podłoga w przedpokoju była wyłożona błękitnymi płytkami. Pewnie ogrzewanie podłogowe. Edwardsowi nie marzną stopy.

– Tędy – powiedział.

Poszli do salonu połączonego z kuchnią. Były tam też drzwi do ogrodu, w którym prawie nie było trawy. Głównie kamienne płyty. Praktyczne, jeśli się dużo wyjeżdża.

Edward zatrzymał się na środku pokoju. Jego spojrzenie poszybowało do pozbawionego drzew ogrodu.

Winter wyjął krzyż, nadal tkwiący w plastikowym woreczku. Zrobił kilka kroków i pokazał mu go.

– Co to jest? – zapytał.

Edwards nie mógł się skoncentrować na krzyżu. Jego spojrzenie gdzieś leciało, odlatywało.

– Proszę go potrzymać – powiedział Winter, wkładając mu do ręki krzyż. Edwards wziął go odruchowo. – Niech pan go obejrzy

Edward popatrzył na krzyż. Potem na Wintera.

– Co to jest? – zapytał.

– Myślałem, że pan mi pomoże to wyjaśnić.

– Nie mogę panu pomóc. Nie wiem, co to jest.

Próbował pozbyć się krzyża, ale Winter nie chciał go od niego

wziąć.

– To jest krzyż – powiedział.

– Tak, tyle to sam widzę. Ale chyba nie o to pan pyta.

– Nie.

– A o co pan pyta?

– Był w pańskim samochodzie – wyjaśnił Winter.

Edwards nie odpowiedział.

– Znaleźliśmy go podczas oględzin – dodał Winter.

Edwards jeszcze raz spojrział na krzyż, przelotnie. Potem jego spojrzenie znów uleciało, tym razem na zachód, w stronę morza. Nie było daleko, zaledwie kilkaset metrów w linii prostej.

– Cóż, nie mam pojęcia – powiedział.

Zrobił kilka kroków, podszedł do stołu i odłożył krzyż. Skoro Winter nie chciał go przyjąć z powrotem... Nie chciał go dłużej trzymać. Może parzył go w palce. Winter zauważył, że chowa dłoń w wielkiej kieszeni szortów.

– Moje auto zostało skradzione – powiedział. – Na pewno któryś ze złodziei go zgubił.

– To jest zakon – powiedział Winter.

– Słucham?

– Ten krzyż należy do pewnego zakonu. Nazywa się Zakon Coldinu. Działa również w naszym mieście. Ma związek z morzem.

– Ach tak?

– Zna go pan?

– Nie.

– Jest pan członkiem Zakonu Coldinu?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

To nie wyglądało na żart. Nic, co mówił, nie miało być żartem. Winter odnosił wrażenie, że czyta rolę z kartki. Jakby już wcześniej znał swoje kwestie. Spotkał się już z czymś takim. Kilka razy. To wszystko wyglądało na... przemyślane. Jakby się spodziewał jego wizyty i wiedział, o co zapyta. O co w tym wszystkim chodzi.

– Może sam pan nie wie – powiedział Winter. – To bardzo tajne bractwo.

– Czy to ma być jakiś żart?
– Tak. Ma pan jakieś związki z morzem, panie Edwards?
– Teraz nie rozumiem.
– Morze. Jest tam. – Winter ruchem głowy wskazał na zachód. – Czy pan tam bywa? Żeglujecie na przykład?
– Teraz już nie.
– Ma pan żagłówkę?
– Nie.
– Dlaczego skończył pan z żeglowaniem?
– Co to, u diabła, ma z czymkolwiek wspólnego?
– Proszę odpowiedzieć na pytanie.
– Dlaczego skończyłem z żeglowaniem? Znudziło mi się po prostu. A pan żeglujecie?
– Teraz już nie.
– No proszę.
– Kiedy byłem młody, spędzałem dużo czasu na południowych szkiecach – powiedział Winter. – Mieliśmy dom na Styrö. – Urwał. Nie był pewien, czy Edwards go słucha. Najwyraźniej słuchał czegoś innego. Jakby ktoś inny stał w pokoju i z nim rozmawiał. Może jest wariatem. Słyszy równocześnie różne głosy. Jest w nim jakieś szaleństwo. Ma dziwny żar w oczach.

Ten żar zamigotał mocniej, kiedy wspomniawszy o południowych szkiecach. Spojrzenie Edwardsa opadło na podłogę. Winter też popatrzył w dół. Podłogę zrobiono z gładkich świerkowych desek. Pod stopami Edwardsa na pewno były przyjemne i ciepłe.

– Ma pan jakieś związki z południowymi szkiecach, panie Edwards?

Edward nie odpowiedział. Potrząsnął tylko głową, ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę. Dziwnie to wyglądało.

– Nigdy pan nie miał żadnych związków?

Edwards podniósł wzrok. Wyglądał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć. To nie było takie proste: tak albo nie. Ale nadal miał w oczach ten szczególny żar.

– Nigdy... nie miałem – powiedział.

– Czego?

– Tego, o co pan pytał. O szkiery.
– Miałem wrażenie, że pan się waha.
– Czasem człowiek zapomina. Nie wszystko z przeszłości można pamiętać.

– O czym pan zapomniał?

– Co to za pytanie? Jeśli zapomniałem, to chyba znaczy, że nie pamiętam, nie?

– Czasem tak się dzieje – powiedział Winter. – Czasem różne rzeczy się przypominają. Może przyjdzie taki moment, że wszystko wróci.

Edwards nie odpowiedział. Wie, o czym mówię, pomyślał Winter. Tak, do diabła, był tam. To część jego przeszłości. Przynależy tam.

Edwards wyglądał, jakby chciał się zapaść pod drewnianą podłogę. Cały się zgarbił, jakby nie miał sił stać prosto. Wyglądał, jakby za chwilę miał zniknąć. Jakby nie zostało w nim wiele życia, pomyślał Winter. Prawie jakby przestawał oddychać.

– Brännö – rzucił Winter.

Nie widział oczu Edwardsa. Jego spojrzenie też zapadło się pod podłogę. Winter wątpił, czy kiedykolwiek wróci.

– Czy coś pana łączy z Brännö?

W pierwszej chwili Edwards nie zareagował. Potem potrząsnął głową. Nagle Winter pomyślał o jego głosie. Chciał jeszcze raz usłyszeć jego głos. Coś się z nim działo. Zmienił się podczas ich rozmowy. Przesłuchania. On też się zapadł, prawie zniknął. Stał się głosem kogoś innego.

Już kiedyś go słyszał.

Nagle poczuł chłód w całym ciele. Napływał od strony podłogi. Jakby stał na lodzie.

– Niech mi pan opowie o Brännö – powiedział.

– ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU! – krzyknął Edwards.

Nadal nie odrywał wzroku od podłogi. Wyglądał, jakby potrzebował kaftana bezpieczeństwa, choć się nie ruszał. A jego głos się wznosił, nie opadał. Posunąłem się za daleko, pomyślał Winter. Muszę się trochę cofnąć.

Usiadł na sofie. Edwards mógł ją kupić w House. Stół tak

samo. Ma pieniądze, przynajmniej kiedyś miał.

Edwards spojrzał na niego.

Teraz wyglądał na trochę spokojniejszego. Wrócił do stanu: martwy w trzech czwartych.

– Przepraszam – rzucił.

– Nie ma za co przepraszać. Nie jest łatwo nadażyć za moimi pytaniami. Za moimi myślami, powinienem raczej powiedzieć.

– Jestem tylko trochę zmęczony.

– Nie był pan przygotowany na moją wizytę – powiedział Winter. – A gdzie jest pański samochód, tak poza tym?

– Co?

– Pański samochód. Gdzie on jest?

– Sprzedałem go.

– Rozumiem.

– Radzę sobie bez samochodu.

– Bez sensu jest mieć samochód, jeśli go kradną, prawda?

– Właśnie.

– Co pan robił tamtego ranka? – zapytał Winter.

– Którego ranka?

– Kiedy nie było pańskiego auta. Kiedy mój kolega znalazł je na Älvsborgsbron.

– Chyba już o tym mówiłem.

– Zapomniałem – oświadczył Winter z uśmiechem.

– Chodziłem trochę po okolicy. Czasem tak robię. Mam problemy ze snem.

Winter wsłuchiwał się w jego głos, w jego melodię, jeśli można to tak nazwać. Nie rozpoznawał tego, co słyszał. To była tylko chwila. Kiedy ten głos się zapadł. Może wcale tak nie było.

Kiedy wracał do miasta, zadzwoniła komórka. Odebrał. Usłyszał znajomy głos.

– Możemy się gdzieś spotkać? – zapytał Benny Vennerhag. – Gdzieś, gdzie nie będę musiał się wstydzić.

– A masz się czego wstydzić?

– Pokazywanie się z tobą w miejscach publicznych może być niemądre. Ludzie mogą to źle zinterpretować.

– Jacy ludzie?

– Szwedzkie społeczeństwo, rzecz jasna. Zresztą już wiem,

gdzie się spotkamy.

Knajpa znajdowała się przy Smithska udden. Winter zostawił auto na pustym parkingu. Poszedł do baraku, który w sezonie był kawiarnią. Ktoś oparł o ścianę wyścigowy rower. Wyglądało to jak stylizacja do zdjęcia: nowa wyścigówka na tle zniszczonej ściany. Na kierownicy wisiał kask w kolorze czerwony metalik.

Vennerhag siedział na tyłach, oparty o ścianę, z twarzą wystawioną na słońce. Miał na sobie obcisły strój kolarski. Obok niego stał plecak z miękkiej skóry. Uśmiechnął się, kiedy Winter wyszedł zza rogu.

– Czas na kawę – powiedział i wyciągnął rękę po plecak.

– Wygląda na to, że masz masę wolnego czasu – zauważył Winter.

– To kwestia planowania, Eriku. A teraz mam akurat trochę luzu. – Vennerhag wyjął z plecaka papierową torbę. – Kupiłem babeczki i drożdżówki. Może chcesz to i to?

Winter nie odpowiedział. Usiadł obok niego na składanym krześle. Drzwi baraku były otwarte. W zamku tkwił mały pęk kluczy. Krzesła musiał ktoś wynieść ze środka. Może to był nowy interes Benny'ego. Teraz miał przerwę.

Vennerhag podniósł do góry designerski termos.

– Caffè latte z termosu.

– Czy to się da pić?

– Postęp, wszystko idzie do przodu.

Wyjął jeszcze dwa białe porcelanowe kubki i postawił je na poobijanej metalowej tacy. Ją musiał też przynieść z kawiarnianego baraku. Kubki wyglądały na kupione w wytwornym domu towarowym NK. Dobry kontrast, wyglądało to bardzo nowoczesnie.

– Jaki postęp, Benny? Masz coś dla mnie?

– Kawę i drożdżówki – odparł Vennerhag z uśmiechem. Położył wypieki na tacy. Potem odkręcił termos. – Ty też powinieneś wsiąść na rower, Eriku – powiedział.

– Ależ jeżdżę. Prawie codziennie, przy dobrej pogodzie.

– To nigdy nie jest kwestia pogody. Jaki masz rower?

– Nie pamiętam. Chyba marki Crescent, tak mi się wydaje.

Trzy przerzutki. Dziesięć lat.

Vennerhag cmoknął językiem o podniebienie. Odkręcił wewnętrzną zakrętkę i nalał kawy do kubków. Była jasnobrązowa. Kolor Mulata, pomyślał Winter.

– Mogę ci załatwić coś porządnego, Eriku. Na tym badziewiu nie możesz jeździć. Widziałeś mój. Potrzebujesz czegoś w tym rodzaju.

– Dziękuję, nie.

– Daj spokój.

Podał kubek Winterowi.

– Jeśli dalej tak będziesz gadał, nie wezmę nawet tej kawy – powiedział Winter, przyjmując kubek.

– Musisz się więcej ruszać, Eriku.

– Przestań ciągle nazywać mnie Erikiem, bardzo cię proszę.

– Tak masz przecież na imię – odparł Vennerhag i ze spokojem łyknął kawy. – Aaa, dobrze trzyma ciepło. Weź trochę cukru. Tam jest. – Ruchem głowy wskazał na tacę. Popatrzył na Wintera, uśmiechnął się do niego. – Jazda na rowerze to świetny rodzaj ruchu. Wydaje mi się, że robisz się trochę zbyt pełny na twarzy.

– Chcesz znów zebrać cięgi?

– Nie jest tak strasznie. Nie o to mi chodziło. Ale kiedy człowiek przestaje być młody, dobrze jest się więcej ruszać.

Już ja bym mu pokazał ruch, pomyślał Winter. Ale to byłoby szczeniackie. Zresztą ma rację. Nie wystarczy whisky i wino. Kiedy skończę pięćdziesiąt lat, będę miał twarz, jaką sobie wypracowałem. Może whisky i rower wyścigowy to dobra kombinacja, najpierw jedno, potem drugie.

– Masz coś dla mnie, Benny?

Łyknął kawy. Była naprawdę dobra.

– Chodzą plotki o pewnym kontrakcie.

– Kontrakt? Masz na myśli morderstwo?

– Tak.

– Co to za plotki?

– Plotki, plotki. Wiesz chyba, co to jest plotka.

– Czasem mogą mieć dość solidne podstawy. Skąd pochodzą twoje?

- Myślisz, że ci odpowiem?
- Co mówią te plotki?
- Że ten... Sellberg został zabity na zamówienie.
- Czyje?
- Brak informacji.
- Kto wykonał zamówienie.
- Brak informacji.
- A kto wie?

Vennerhag łyknął kawy. Tam, gdzie siedzieli, było bardzo cicho, ale od dziesięciu minut słychać było, jak ktoś za górą stuka młotkiem. Ktoś pracował przy swoim domku letniskowym. Część domków w okolicy została powoli, ale skutecznie przerobiona na prawdziwe wille. Nikt z wydziału architektury urzędu miasta nie zapuszczał się tu z pytaniami. Może Benny Boy kupił całe Smithska udden. Czarny przyładek.

– Czy to się jakoś wiąże z samochodem porzuconym na Älvsborgsbron? – zapytał Winter.

- Brak informacji.
- Przestań gadać jak jakiś pieprzony trep.
- Uspokój się, Erik.
- Kontrakt, kontrakt. Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby zlecać zabójstwo Sellberga?

– To chyba nie jest nic niezwykłego.

– Ależ tak. W moim świecie jest, Benny Boy. Morderstwa często popełnia się w afekcie, zniecka. W twoim świecie te sprawy wyglądają inaczej.

- Żyjemy w tym samym świecie, Erik.
- Zamknij się.

Wiedział, że Vennerhag ma rację.

- Nie chcesz swojej drożdżówki, Erik?
- Są jeszcze jakieś inne kontrakty?
- Może.
- Może? Zaczynamy się do czegoś zbliżać.
- Ale mówię o plotkach.
- Czy nowy kontrakt ma związek ze starym?
- Nie wiem, Erik.
- Możesz spróbować się dowiedzieć?

- To niebezpieczne. I tak już za dużo rozpytywałem.
- Niebezpieczne? Dla ciebie?
- Tak.
- Nie wierzę.
- Wiem to ze... źródeł bliskich wielkim bossom.
- Bossom?

Vennerhag wziął do ręki babeczkę. Obejrzał ją dokładnie, a potem odłożył.

– Ja jestem tylko małą mrówką – powiedział. – Wierz mi, Erik.

- Mówisz teraz o przemyśle narkotyków, Benny?

Vennerhag nie odpowiedział. To też była odpowiedź.

- Czy to w tych kręgach zawarto ten kontrakt?
- Nie wiem, czy akurat w tamtych. Ale informacje pochodzą stamtąd.

- Kto to jest?

– Jak to kto? Nie zamierzam ujawniać źródeł. Przecież wiesz o tym, do diabła.

– Wokół kogo krążą te informacje? Kto jest wielkim bossem? Największym?

Vennerhag nie odpowiedział.

Winter odstawił kubek. Trzymał go długo, trzymał w górze. Ramię zaczęło mu drgać. O mało nie upuścił kawy.

– Benny. Nie proszę cię, żebyś ujawnił swoje źródła. Ani żebyś powiedział, kto zlecił kontrakt. Ani kto...

– Tego nie wiem – przerwał mu Vennerhag. – I nie chcę wiedzieć.

– Dobrze. Chcę tylko wiedzieć, jakie nazwisko się wymienia. Musi być jakieś nazwisko. Zawsze jest, wiesz przecież. Nazwisko. Niewinne nazwisko.

Vennerhag się zaśmiał. W ciszy zabrzmiało to zaskakująco głośno. Uderzenia młotka ustały już wcześniej. Równie dobrze mogli siedzieć na najdalszym krańcu świata. To był ich wspólny świat.

Vennerhag po raz pierwszy zaczął zdradzać oznaki zdenerwowania. Ugryzł kawałek drożdżówki i zaczął przeżuwać, choć wyglądało na to, że ciasto jest bez smaku.

Winter nie był głodny. A kawa na pewno już wystygła. Jeden łyk czy dwa. Za mało na przekupstwo.

Vennerhag przełknął.

– Nie muszę ci podawać żadnego nazwiska, Erik. Potrafisz myśleć sam.

– Na tym świecie jest wiele nazwisk, Benny.

– Coraz więcej – dodał Vennerhag.

– Jesteś jednym z nich?

– Co to jest, kurwa, Erik!

– Wygląda na to, że masz tam swoje miejsce.

– Żałuję, że ci kiedykolwiek pomagałem. Że tu przyszedłem.

– Vennerhag wylał resztkę kawy na trawę. – Dziękuję za towarzystwo.

– Doceniam twoją pomoc, Benny.

– Nazywając mnie baronem narkotykowym?

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Ale to miałaś na myśli.

– Nie. Cofam to. Jesteś jednym z tych dobrych w twoim świecie, Benny. Inaczej nie siedziałbym tu z tobą. Coś nas łączy, Benny. Ty i ja przeciwko nim.

– Ha, ha, ha.

– Może tym razem moglibyśmy dobrać się im do skóry.

– Jak?

– Kontrakt.

– To nie ma nic wspólnego z narkotykami.

– Ach tak? Wiesz na pewno?

Vennerhag nie odpowiedział. To też była odpowiedź.

– Kim jest ten baron? – zapytał Winter.

Spojrzenie Vennerhaga powędrowało gdzieś ponad górę. Winter widział ścieżkę biegnącą na plażę. Część była zarezerwowana dla naturystów. Znów odezwał się młotek. Teraz regularniej, jakby cieśla wreszcie odnalazł rytm.

– Rozmawiałeś z Lottą? – zapytał Vennerhag, nie odrywając wzroku do góry.

– Tak.

– Co powiedziała?

– Chce zostawić przeszłość za sobą.

– Nie trzeba zostawiać wszystkiego – powiedział Vennerhag.

– Odpuść, Benny. Idź dalej.

– Jestem teraz inny, Erik. Wiesz przecież. Widzisz to. I nie mówię tylko o wadze. Gdyby tylko mogła mnie zobaczyć. Gdybym mógł się z nią spotkać, na pięć minut. Wiesz, że do niej nie dzwoniłem. Ani razu. A mógłbym to zrobić. Ale nie robię.

– Nie mogę jej zmusić, Benny.

– Zapytaj ją jeszcze raz.

– To nie ma sensu.

– Jeszcze raz.

– O co mam zapytać?

– Tylko czy mogę do niej zadzwonić. Na początek. Tylko kilka minut. Parę słów. Jeśli to nie zadziała, to już nigdy nie będę o tym mówił. Koniec. Wtedy odpuszczę. – Vennerhag pochylił się do przodu. Kolarski strój naciągnął mu się na ramionach. Wyglądał jak skóra. Czarna skóra. – Wiesz, że dotrzymuję słowa. Czy to takie straszne? Ledwie kilka słów przez telefon.

– Okej. Zapytam ją. Ale to będzie ostatni raz. A potem możliwe, że już nigdy się do mnie nie odezwie.

– Chyba nie może odepchnąć również ciebie? Własnego brata?

– Zapytam.

Vennerhag pokiwał głową. Wstał.

– Nie chcesz nic z tych pysznych wypieków?

– Nie mam ochoty, Benny. Trochę za słodkie.

Winter się podniósł.

Vennerhag złożył swoje krzesło i wstawił je do baraku. Winter poszedł w jego ślady. W środku pachniało minionym latem, prawdziwym, nie babim. Zamknięte lato. Pachniało dzieciństwem.

Wyszli na zewnątrz. Vennerhag spojrział na niego.

– Lejon – powiedział. – Christian Lejon.

NURKOWIE SCHODZILI W GŁADKIE MORZE. Winter stał w policyjnej łodzi i patrzył, jak słońce zachodzi za nimi. Krzyż lśnił czerwono jak znak stopu. Winter zamówił nurków ze straży przybrzeżnej.

– Jak głęboko tu jest? – zapytał Ringmar.

– Nie tak głęboko – powiedział Winter. – To jest praktycznie w obrębie szkieców.

Powierzchnia wody znów się wygładziła. Trudno było sobie wyobrazić, że tam w dole są ludzie, żywi czy martwi.

Winter zapalił corpa. Wydmuchnął dym, który skierował się nad wysepki.

– Zaczynałem myśleć, że rzuciłeś – stwierdził Ringmar.

– Dlaczego tak myślałeś?

– Dawno nie widziałem, żebyś palił.

– Palę. Ciągłe jeszcze są ludzie, którzy nie wszystko robią jak należy.

Ringmar się zaśmiał. Jego głos poniósł się nad wodą i rozpląnął w powietrzu. Śmiech Ringmara mógł być śmiechem mewy. Dużo ich było nad łodzią. Krążyły niecierpliwie, wyczekując, jak wszyscy.

Ringmar machnął ręką w stronę krzyża. Kiedy słońce zeszło jeszcze niżej, stracił czerwoną barwę. Teraz był czarny, jak koleczasty kontur.

– Zobaczymy, czy to prawda – powiedział.

– Prawda czy nie, to nie ma znaczenia. To trzeba zrobić, Bertil.

– Może trochę za głęboko wchodzimy w tę historię z krzyżem.

– O co ci chodzi?

– Bo to znaczy, że wszystko zostało zaplanowane.

– Wszystko jest zaplanowane?

– Tak, zaplanowane od początku. Przez kogoś. Ktoś podrzucił krzyż do samochodu i nadał sprawie kierunek. Wiedział, że się domyślimy albo dowiemy, co to za krzyż. I że w końcu trafimy tutaj. I że wyciągniemy wnioski, które wyciągnęliśmy.

– Wyciągnąłeś jakieś wnioski? Bo ja żadnych.

– Weźmy te dziewięć wystrzałów – powiedział Ringmar. – Nawet to pamiętam. Wydaje mi się nawet, że czytałem o pozwoleniu na oddanie tej salwy. Trochę było z tym zabawy.

– Dlaczego?

– Tego już nie pamiętam – odpowiedział Ringmar z uśmiechem.

– A co ze strzałami?

– Czy to się nie wydaje trochę naciągane? Że tutaj też chodzi o dziewięć strzałów? W tej sprawie czy też w sprawach? Że my się tego doliczymy?

– Nie jest trudno policzyć do dziewięciu. Albo ośmiu.

– Chodzi mi o związek.

– Sam powiedziałaś, że wszystko było zaplanowane, nieprawdaż? Wytyczone.

– Więc może to z tym dziewiątym strzałem jest trochę za proste.

– Może właśnie jest proste – powiedział Winter.

– Może oni chcą, żebyśmy się na tym skupili. Liczą na to. A tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego.

Winter nie odpowiedział.

– Coś zupełnie innego – powtórzył Ringmar. – Wiedzieli, czego się dowiemy i co prawdopodobnie pomyślimy.

– Sprawdzamy różne możliwości, Bertil. To jedyne, co możemy zrobić.

– Układanie puzzli. To masz na myśli?

– Właśnie. To coraz bardziej przypomina puzzle.

– Czy jakieś kawałki leżą tam, na dnie? – zapytał Ringmar, wskazując na powierzchnię wody. Nadal była przerażająco gładka. Woda wyglądała jak malowidło z ołowiu i żelaza.

Nagle na powierzchni pojawiła się fala. Ukazała się głowa nurka. Winter podniósł rękę. Nurek pokręcił głową.

Stawianie krzyży. Podrzucanie pistoletu. Jeśli mieli trzymać się planu, powinni przeszukać dno rzeki. Trzymali się planu. Następnego dnia Winter stał na falochronie Pir 4 i spoglądał w czarną wodę miasta. Na dnie morza nic nie znaleźli. Zresztą niczego się nie spodziewali. Ale warto było spróbować. Nie leżała tam, ale leżała gdzie indziej. Krzyż wskazywał drogę,

inną drogę.

Halders wziął głęboki oddech.

– Aaach, jak rześko – powiedział. – Czuć zimą w powietrzu.

Winter skinął głową. Kiedy jechał z Vasaplatsen, widział w mieście coś, co przypominało szron. Od Älvsborgsbron miasto wyglądało jak przypudrowane. Na zachodzie rzeka przypominała lodową deltę. Wszędzie jest morze, pomyślał, w różnych formach. Tu chodzi o morze.

Stali na końcu falochronu. Krzyż Coldinu był przymocowany do drążka, a drążek tkwił w kamieniu, wystarczająco dużym, żeby mu zapewnić stabilność. Choć tutaj, w środku miasta, niepotrzebne były drogowskazy dla żeglarzy. To było dla niego. Czy ten krzyż miał być wskazówką dla niego? Jeszcze raz spojrzął w dół. To byli ci sami nurkowie. Tym razem szukali innego rodzaju martwych obiektów.

– Dlaczego nie – powiedział Halders, patrząc na nurków. Wyglądali jak cienie poruszające się w wodzie. – Całkiem niezłe miejsce, żeby się pozbyć broni.

– Jeszcze nie – powiedział Winter.

– Co?

– Jeszcze nie czas. Najpierw pistolet musi wystrzelić dziewięć razy.

– Może już to zrobił.

– Nie, dowiedzielibyśmy się o tym. Będziemy pierwszymi, którzy się dowiedzą.

– To nie brzmi dobrze, Erik. Brzmi, jakbyś stał na linii strzału.

– Nie, nie ja.

– A jednak tu jesteśmy – powiedział Halders. – I gapimy się w wodę.

– Mogę się mylić – przyznał Winter.

– Wtedy wyciągniemy szczęśliwy los – stwierdził Halders. – Najlepsze, co może się zdarzyć, to to, że się okaże, że się mylisz.

– Właśnie.

– Ciekawa metoda.

– Mogę cię nauczyć, Fredrik.

– Może wtedy będę mógł zostać komisarzem.

– I tak nim zostaniesz.

– Kiedy? Chyba nie, ten pociąg raczej już odjechał. – Halders powiódł wzrokiem po rzece. Właśnie przepływał Älvsnabben w drodze do Klippan. – Prom odpłynął.

– Za rok o tej porze będziesz miał dodatkową gwiazdkę na naramiennikach, Fredrik.

– Tak sądzisz? Może wtedy oddadzą salwę honorową również na moją część.

– Tylko żebyś nie stał na linii strzału.

– Stewe właśnie wychodzi – powiedział Halders.

Pokazała się głowa nurka. Z maski ściekała czarna woda. Pokazał kciuk skierowany w dół.

– Mają lokal przy Bellmansgatan – powiedziała Aneta. – Coldinu.

– Byłaś tam? – zapytał Winter.

– Nie. Ale udało mi się skontaktować z członkiem zarządu. Bertil cośtam.

– Dobrze.

– Nie chciał mi udostępnić listy członków.

– Więc istnieje coś takiego.

– Tak. I jest na niej całkiem dużo nazwisk.

– Proszę, proszę.

– Ale w końcu udało mi się zdobyć kopię.

– Na to liczyłem, Aneto.

– Oto ona.

Wręczyła mu dokument. Trzy albo cztery strony.

– Czytałaś?

– Tak. Nie rozpoznałam żadnego nazwiska.

– Może posługują się fałszywymi – powiedział Winter.

Hans Norling zadzwonił minutę po wyjściu Anety. Komisarz z wydziału narkotykowego, dawny znajomy. Razem patrolowali ulice, kiedy policjanci chodzili jeszcze po ulicach na piechotę. Miał wypadek motocyklowy ze skomplikowanym złamaniem nogi. Nigdy nie kopał w stertach liści.

– Szukałeś mnie, Eriku.

– Tak. Co masz na Christiana Lejona?

– Lejon? Cóż, dużo albo nic, można powiedzieć. Jest zamieszany w wiele spraw, ale mało o tym wiemy.

– Jak to możliwe?

– Żartujesz sobie?

– Z kim trzyma?

– Z nikim. Tak sobie krąży, można powiedzieć.

– Import-eksport?

– Na to wygląda. Zarozumiały kutas. Wie, że my wiemy, i tak dalej.

– A co wiemy? A raczej wy.

– Prawdopodobnie maczał palce w zalaniu miasta heroiną.

– Aresztowałeś go?

– Kilka razy. Wygląda to tak, jakbyś rozmawiał z wężem.

– Dlaczego?

– On tak dziwnie, nieprzyjemnie syczy. Sprawia wrażenie niebezpiecznego. Chyba jest bardzo groźny. Spokojny, miły i niebezpieczny. Wiesz, ilu ludzi z narkotykowego światka zginęło w zeszłym roku?

– Nie.

– Czterech. Jeden tutaj i trzech za granicą. O ile Niemcy i Danię można uznać za zagranicę.

– Byli blisko z Lejonem?

– Nikt nie jest z nim blisko, Erik. Facet sprawia wrażenie, jakby nie znosił wszystkich.

– Dlaczego?

– Oczywiście to вина społeczeństwa. Jego rodzina została źle potraktowana przez społeczeństwo, więc teraz się mści.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Tak po prostu, otwarcie się przyznał?

– Jak najbardziej. Chyba jest z tego dumny.

– Dumny z tego, że jest przestępcą – powtórzył Winter. Pomyślał o Bennym Vennerhagu. O Bennym Cykliście.

– Tak. Jeszcze raz podkreślam: on wie, że my wiemy.

– Ma jakieś biuro?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Najczęściej przesiaduje w Hotelu 11 w Eriksbergu.

– Rozumiem.

– Mieszka w pobliżu. Styrfarten. Styrfarten 20 dokładnie. Niestety nigdy nie zostałem tam zaproszony.

– Mogłeś się sam zaprosić.

– To było kuszące. Ale mogłoby nam utrudnić kilka zaplanowanych akcji.

– Podśłuchy?

– A jak myślisz?

– I co?

– Jest śliski jak piskorz. Cwany. Ma wiele telefonów. Korzysta z cudzych aparatów. Czasem z satelity. Albo nie dzwoni całymi tygodniami.

– Ktoś go śledził?

– Czasami. Zawsze niewinne spotkania. Ale ludzie, z którymi się spotyka, nie zawsze są niewinni.

– Masz jakąś listę?

– Ludzi, z którymi się spotykał? Tak, o ile się orientujemy.

– Mogę ją dostać?

– Jasne.

– Wiesz, gdzie jest teraz? Dzisiaj? Jest w mieście?

– Dlaczego się nim tak interesujesz?

– Jego nazwisko pojawia się w różnych miejscach. U nas też.

– Coś szczególnego?

– Chodzi o zamordowanie Bengta Sellberga.

– A, tak, pytaliście u nas o niego. Ale u nas to nie jest znane nazwisko.

– U nas za to tak.

– Więc Lejon miałby być zamieszany w to morderstwo? To do niego niepodobne. Nie podejmuje takiego ryzyka.

– Może tym razem zdecydował się zaryzykować.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się, że to coś osobistego – powiedział Winter.

– Ach tak?

– Wtedy człowiek zawsze jest gotów ryzykować.

– Może tak być.

– Jest coś szczególnego, co powinienem o nim wiedzieć, Hans? Coś poza jego zwykłym CV.

- Co masz na myśli?
- Coś osobistego. Coś prywatnego. Coś, co chce zachować dla siebie, jeśli się da.
- Zamierzasz się z nim spotkać?
- Tak sądzę.
- Cóż... coś osobistego... Najwyraźniej nie myśli kutasem. Nie bierze narkotyków. Pije z umiarem. Nie uprawia hazardu. Miewa zmienne nastroje, ale potrafi je utrzymać w ryzach. Nie kłóci się z sąsiadami.
- Brzmi wręcz jak opis świętego.
- Podobno czasem cierpi na bóle głowy. Zdarzało się, że mieli przez to problemy. Jakieś zrywane umowy.
- Bóle głowy?
- Migrena. Ciężka migrena.

Halders i Berghem szli razem do komendy. Recepcja była pełna tego samego tałatajstwa co zwykle: mieszanka prawników, złodziei i niewinnych.

Weszli do strefy zamkniętej. Stanęli przy windach. Wsiadło trzech policjantów w mundurach. Przelotnie znajome twarze.

- Cześć, Halders.
- Cześć, Matte.

Matte uśmiechnął się. Halders nie pamiętał imion pozostałych dwóch. Jeden z nich szczerzył się w szerokim uśmiechu. Mruknął do kumpla coś, czego Halders nie rozumiał. Byli młodzi, jakieś piętnaście lat młodszy od niego, może dwadzieścia. Dziesięć, może piętnaście od Berghema. Wyszczeryony miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Znow się uśmiechnął.

- Czy coś cię bawi? – zapytał Halders.

Wyszczeryony potrząsnął głową. Przeciągnął ręką po twarzy, ale nie udało mu się całkiem zetrzeć uśmiechu. Jego wydatne usta trzepotały jak na wietrze.

- No to powiedz, co jest tak zajebiście śmieszne!

Matte nagle się zaniepokoił. Znał Haldersa.

– Tu nie chodzi o ciebie – powiedział kumpel wyszczeryzonego.

– Nie o mnie. Ach tak, no to tylko dziękować. A o kogo chodzi w takim razie?

Wszyscy trzej spojrzeli na Bergenhema. To było jak odruch.

– W takim razie śmiejecie się z Larsa?

– Jedźmy na górę, Fredrik – powiedział Bergnhem i wcisnął guzik. Drzwi zdążyły się tymczasem zamknąć.

Wyszczierzony znów coś wymamrotał. Tym razem Halders zrozumiał. Widział, że Bergnhem też usłyszał. Drzwi się otworzyły. Bergnhem był już prawie w środku. W jego oczach pojawiło się coś, czego Halders nigdy przedtem nie widział. To nie był smutek, nie strach. To był szok. Panienska Lars, powiedział Wyszczierzony. Panienska Lars.

Pięść Haldersa trafiła Wyszczerzonego prosto w podbrzusze. Widać było, jak wszystkie kolory odpływają z jego twarzy. Jego długie ciało zgięło się wpół jak trzcina na wietrze. Halders wpakował mu pięść w przeponę. Wyszczierzony nie mógł złapać tchu. Ból miał go trzymać w szachu jeszcze przez kilka sekund.

– Fredrik!

Bergnhem wysiadł. Złapał Haldersa za ramiona, ale Halders się nie ruszał. Nie zamierzał już nikogo bić.

Matte i ten drugi uklękli przy Wyszczierzonym. Wyszczierzony padł na podłogę i leżał zwinięty jak embrion.

– To mój peda! – powiedział Halders. – To mój kumpel!

Matte podniósł wzrok.

– Co jest, kurwa, Fredrik!

– Powiedzcie to wszystkim! – krzyknął Halders. – Niech wszyscy wiedzą!

Spojrzał z góry na Wyszczerzonego.

– Nie ma cię już w policji, pierdolony faszysto. Jeśli sam się nie zwolnisz jeszcze dzisiaj, złożę na ciebie doniesienie.

– On może donieść na ciebie – rzucił kumpel Wyszczerzonego. – Powinien to zrobić.

– Też chcesz wpierdol?

Halders zrobił krok do przodu.

Bergnhem pociągnął go do windy. Drzwi się zamknęły. Ruszyli do góry.

Halders się zaśmiał.

– Pedalski braciszek! – rzucił. – Zostałem pedalskim braciszkiem.

– Kurwa, Fredrik, chyba ci odbiło.

– Nie!

– Sam potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Wiem, Lars. To był czysty odruch. – Spojrzał na swoją prawą dłoń. Zaciśnął pięść. – Dobrze wiedzieć, że odruchy nadal działają bez zarzutu.

– Po tym wszystkim to ja będę się musiał zwolnić – powiedział Bergenhem.

– W ogóle nie rozumiem tego Edwardsa – powiedział Winter. – Wysłała zagadkowe sygnały.

– Czy to są sygnały? – zapytał Ringmar.

– Tak. Coś chce zasygnalizować.

– Co takiego?

– Tego właśnie nie wiem. Nie rozumiem.

– Wina?

– Tak, może tak. Wina.

– Czego jest winien?

– On tam był – powiedział Winter. – Był na tym moście. Był w samochodzie. Uciekł stamtąd. Lars był u niego. Edwards właśnie szedł do domu.

– Powiedziałaś mu o tym?

– Ani słowa.

– Dlaczego?

– Nie wiedziałem o tym do teraz!

– Czy to on strzelał?

– Chcę go o to zapytać.

– Strzelał do kogoś?

Winter nie odpowiedział.

– Czy po prostu wpakował kulkę w swój samochód? – dedukował dalej Ringmar.

– Ciekawe, nieprawdaż?

Ringmar pogładził się po brodzie. Wyglądał, jakby się golił po ciemku. Skórę miał zaczerwienioną i pokaleczoną.

– No a co powiesz o tej historii z Larsem i Fredrikiem?

Dowiedzieli się o tym pół godziny wcześniej. Halders

i Bergenhem wyszli z budynku. *Bergenhem has left the building.* Nie było wiadomo, czy jeszcze wróci.

– W każdym razie Åhlander stanął na nogi – dodał Ringmar.
– Ofiara.

– Złoży doniesienie?

– Nie wiem, Erik. Sprawa jest poważna. To cały Halders, ale to naprawdę bardzo poważna sprawa. – Chyba się uśmiechnął.

– Nie możemy tego tak zostawić.

Winter nie odpowiedział.

– Jak mówi Mattelin, zostali sprowokowani – powiedział Ringmar. – Fredrik i Lars. A raczej Lars. Mattelin to przecież szczerzy chłopak. Åhlander musiał coś powiedzieć.

– Co powiedział?

– Mattelin nie dosłyszał.

– Ale Fredrik najwyraźniej tak?

– Najwyraźniej.

– Przecież wiemy, o co chodziło – powiedział Winter.

– No tak.

– Martwię się o Larsa.

Ringmar skinął głową.

– Naprawdę się martwię. Facet lada chwila może eksplodować.

Ringmar znów skinął głową.

– Czasami mam wrażenie, że wszyscy możemy eksplodować – powiedział Winter.

– To prawda.

– Ty też tak czujesz?

– Tak. Eksplodować. Implodować. Jest coś w powietrzu. To ta praca. To wszystko. Pogoda. To cholerne słońce. To pieprzone niebieskie niebo.

– Ale Lars eksploduje pierwszy – stwierdził Winter.

– Zamierzasz coś zrobić?

– Porozmawiam z nim. Jeszcze raz.

– Co chcesz mu powiedzieć?

– Nie wiem jeszcze do końca.

– Rozmawiałeś z jego rodziną?

– Nie. Ale to też zamierzam zrobić. Martina. Jest

w porządku. – Winter wyciągnął rękę po pudełko corpsów. Zamierzał wyjść i zapalić, żeby pomyśleć. – To ja za to odpowiadam. Odpowiadam za to wszystko.

32

KIM BYŁ JAN RICHARDSSON? Kim jest Jan Richardsson? Żywy czy martwy, jest poszukiwany. Czyżby dziewiąty pocisk siedział w jego głowie? To byłoby zbyt proste.

Winter zmierzał ku młodości Richardssona. Płynął Vestą. Piękna nazwa dla promu. Przybił do Brännö Rödsten o jedenastej dwadzieścia siedem. Ta wyspa zdominowała moje życie, pomyślał Winter. Znowu. Był taki czas, kiedy taniec na pomoście był dla mnie najważniejszą sprawą w życiu.

Szedł Rödstensvägen na zachód. Richardsson wychował się trochę dalej, w domu przy Husviksvägen. Teraz mieszkała tam inna rodzina. Winter zboczył z drogi, poszedł na cmentarz. Rozejrzał się. Pięćdziesiąt metrów dalej, tuż przy kamiennym murze, jakiś człowiek kopał w ziemi. Grabarz. Pracował zawzięcie. Winter szedł między nagrobkami. Większość była prosta, jakby śmierć nie była powodem, żeby się puszyć. W innych krajach o śmierci krzyczą monumentalne mauzolea. Śmierć jest ważniejsza niż życie, większa od życia. Istniała, zanim przyszliśmy, i będzie istniała nadal, kiedy nas nie będzie. Wieczność. Jest wiecznością. Na wieki wieków amen.

Mężczyzna podniósł głowę. Zmrużył oczy w słońcu. Wyglądał jak stary wierny sługa, to pasowało do kościoła. Może pochował wszystkich ludzi z wioski, jednego po drugim. Ale teraz nie kopał grobu. To była rabata. Przekopywał ziemię. Sadził kwiaty. W pałdzierniku. A może je wykopywał. Na trawie leżały róże. Wyglądały jak plamy krwi.

Winter się przedstawił.

Mężczyzna kiwnął głową. Nie zdradził swojego nazwiska.

– Pięknie tu – powiedział Winter. – Spokojnie.

– Tutaj zmarli mają miejsce spoczynku – powiedział mężczyzna. Mówił jak kapłan, jak pastor z wysp. Słowa toczyły się jak kamienie. Może był pastorem. A to były jego róże.

– Z kim rozmawiam? – zapytał Winter.

– Boris Hjelm. Jestem tu kościelnym.

– Chciałbym się skontaktować z Janem Richardssonem – powiedział Winter.

Boris Hjelm nie odpowiedział. Popatrzył na swoją łopatę. Potem powiódł wzrokiem po cmentarzu. Jeśli to rebus, to zrozumiałem, pomyślał Winter. Łopata. Groby. Pogrzał kogoś z rodziny Richardssona.

– Chyba stąd pochodzi – powiedział Winter.

– Jaki Richardsson? Jak pan mówił?

Hjelm podszedł krok bliżej i odwrócił się do Wintera prawym profilem. Lepiej słyszał na to ucho. Jest głuchy, pomyślał Winter. Nachylił się trochę niżej.

– Jan Richardsson. Jest radnym w Göteborgu. Polityk. Mieszkał tutaj jako dziecko. W młodości.

Hjelm kiwał głową. Słyszał.

– Widział go pan? – zapytał Winter. – Może go pan widział niedawno?

– Nie, nie. Dawno go tu nie było. – Hjelm znów odwrócił twarz i popatrzył na Wintera. – A dlaczego go pan szuka?

– Rutynowa sprawa. Chciałbym z nim o czymś porozmawiać.

– Chyba mieszka w mieście – powiedział Hjelm. – Tyle żem słyszał.

– Tak. Ale my go szukamy.

– A co, dał nogę?

– Słucham?

– Uciekł? To dlatego pan przyjechał na Brännö? Szuka go pan?

– Dlaczego miałby uciekać?

Hjelm znów obrzucił spojrzeniem cmentarz.

– Właśnie to zrobił – powiedział Hjelm. – Uciekł i nigdy nie wrócił.

Hjelm mówił o czymś innym. O innym czasie.

– I nigdy tu nie wrócił? – zapytał Winter.

– Nie było go, i już – powiedział Hjelm. Kiwnął głową w kierunku grobów. – Jego matka i ojciec tu leżą. Stąd nie widać grobów, ale leżą tam. A on nawet na pogrzeb nie

przyjechał!

– Nie przyjechał na pogrzeb?

– Nie. Jakby sam... nie żył. To okropne tak mówić. Ale tak zem wtedy pomyślał. Tak myśleli wszyscy.

Winter pokiwał głową.

– Co on takiego zrobił? – zapytał Hjelm. Teraz chyba nie miał problemów ze słuchem. Jego twarz nabrała innej barwy. To nie była zasługa słońca.

– Chciałbym z nim porozmawiać – powiedział Winter. – Ale on zniknął.

– Toż mówię.

– Myślałem, że może tutaj przyjechał.

– Przyjechał tutaj? Nigdy by tego nie zrobił. Dlaczego miałby to zrobić?

– Dlaczego miałby tego nie robić? – zapytał Winter.

– Że co?

– Dlaczego miałby tego nie robić? – powtórzył Winter.

Hjelm nie odpowiedział.

– Dlaczego postanowił wyjechać? Chyba postanowił, że nigdy tu nie wróci.

– Tego nie wiem.

– A kiedy to było?

– Że co?

– Kiedy dał stąd nogę? W którym to było roku?

– Tego... nie pamiętam. To chyba było lato, tak myślę. To było wiele lat temu. – Hjelm spojrzał w niebo, na słońce, na drogę słońca, jakby niebo mogło mu odpowiedzieć.

– Kiedyś latem zaginęła tutaj dziewczynka – powiedział Winter. – Z kolonii w Sandviksdalen.

– A tak, to pamiętam.

– Czy to było tego lata?

– Że co?

– Czy to było tego lata, kiedy Jan Richardsson dał nogę z wyspy? To było w 1975 roku. Czy to wtedy uciekł?

– 1975? Mogło tak być. Nie pamiętam dobrze. Ale niech pan spyta innych. Są tacy, co mają lepszą pamięć niż ja.

Winter skinął głową. Nie musiał pytać. Wiedział, że zna

prawdę. Coś się stało i Jan Richardsson nigdy więcej nie obejrzał się za siebie, nigdy więcej nie spojrzął na zachód. *Young men gone east.*

– Henry i Lina tam leżą – powiedział Hjelm. – Jego rodzice. Pokazać panu?

Dom rodzinny Richardssona stał w cieniu dwóch dużych dębów. Był dość duży i zapuszczony, z drewna, jak większość domów przy Husviksvägen. Stał na skrzyżowaniu z Bönekällan, o ile można to było nazwać skrzyżowaniem. Bönekällan była raczej ścieżką, wiodła na szczyt wzgórza, do najwyższego punktu wyspy.

Winter przyglądał się domowi. Henry i Lina mieszkali tu do roku 1997. Ta data ciągle powracała. Obejrzał groby Richardssonów, a potem poszedł winną część cmentarza. Kiedy był tutaj ostatnio? Na grobie Matsa? Bywał coraz rzadziej. Na nagrobku leżały świeże kwiaty. Mats miał wielu przyjaciół. Kilku z nich zmarło w tamtych latach, ale wielu żyło. Winter nie wiedział, jak się nazywają te kwiaty, ale były bardzo piękne.

Minął dom i szedł kawałek Bönekällan. Widział dom Richardssona od tyłu, podwórko zagracone dziecięcymi zabawkami: trampolina, zjeżdżalnia, huśtawki, koparki. W domu zagościło życie. Jan Richardsson był jedynakiem. Czy wtedy też było tu życie?

Czy ja go nie spotkałem? – pomyślał nagle. Wtedy. Kiedy tu byłem. Kiedy Mats tu mieszkał przez jakiś czas. Nie pamiętam. To zastanawiające, że tak mało pamiętam akurat z tamtego okresu. Zawsze miałem dobrą pamięć, ale z tamtego lata pamiętam niewiele. Jakby tamtego czasu nie było. Ale był. Zawrócił. Nie chcę pamiętać.

Przejechał przez Älvsborgsbron, potem skręcił na Torslandę. Cysterny przy Arendal połyskiwały matowo w zmierzchu. Teraz zmierzch zapadał wcześniej. Dni babiego lata były krótkie, ale lato nadal nie zamierzało odpuścić.

Okryty cieniem szeregowy domek Bergenhema wyglądał

ponuro. Ale tak mu się tylko wydawało. W rzeczywistości wyglądał tak samo jak wszystkie inne w szeregu. Kiedy tu był ostatnio? Nie pamiętał. Nigdy tu nie był.

Martina otworzyła drzwi, zanim do nich doszedł.

W 1997 roku jej mąż zaginał. Myśleli, że nie żyje. Powinien nie żyć. Martina urodziła Adę, nie wiedząc nawet, czy dziewczynka ma jeszcze ojca. Angela była przy niej. Bergenhem sobie poradził.

– Erik – powiedziała, obejmując go na powitanie.

– Martina.

– Wejdz.

Była trochę zaskoczona, kiedy zadzwonił. Jakby się nie spodziewała. Czuł się z tego powodu winny. Gdzieś tam on też ponosił winę. Lars był wycofany przez te ostatnie lata, rok, dwa, trzy. A on był zajęty sobą i pracą.

– Ada jest u babci – powiedziała Martina. Nadal stała w drzwiach.

– Ma ferie? – zapytał Winter. Co za idiotyczne pytanie.

– Nie. Ale chciała pojechać. Na tydzień, niecały tydzień. I chodzi do szkoły. Moi rodzice mieszkają w Backa. Dziadek codziennie wozi ją do szkoły.

Winter skinął głową. Dużo informacji. Czuła się zmuszona wytłumaczyć mu to wszystko tylko dlatego, że zadał to kretyńskie pytanie.

– Rozmawiałaś z Larsem?

– Kiedy? O czym?

– O tym, co zamierzacie zrobić.

– Co tu można zrobić? On się wprowadził.

– Może... wejdziemy.

– Jasne. Przepraszam. Wejdz.

Przeszli przez przedpokój, weszli do kuchni. Martina usiadła przy stole.

– Nie mam w domu kawy – powiedziała. – Myślałam, że mam. Ale nie miałam siły iść po zakupy, kiedy zadzwoniłeś.

– Nie przejmuj się – odparł Winter.

Usiadł naprzeciwko niej.

Nagle zapomniał, co miał powiedzieć. Co powinien

powiedzieć. Nie, nie powinien. Co by najlepiej pasowało do tej najgorszej z sytuacji. Nie mógł bronić Larsa. Nie mógł go potępiać. Mógł tylko się o niego niepokoić. I o nią. O to, co się może zdarzyć.

– Wydaje mi się, że coś mu się może stać – oznajmiła Martina.

– Co mu się może stać?

– Może popełnić jakieś głupstwo. – Spojrzała na Wintera. – On może to zrobić. On... ja nawet nie wiem, gdzie on jest. Co robi. Nie zadzwonił. Miał zadzwonić po południu. Nie zrobił tego. Nie zadzwonił do Ady.

– O czym mieliście rozmawiać?

– Miał po prostu zadzwonić.

– Rozmawiacie przez telefon codziennie?

– Nie. – Nagle jakby się rozłościła. Jakby powiedział coś, czego nie powinien był mówić. – Myślisz, że teraz jest szczęśliwy? Czy wy tak myślicie tam, w komendzie? Tak nie jest. Nie jest szczęśliwy.

– To słowo, za którym nie przepadam – stwierdził Winter. – Szczęśliwy. Ja w to nie wierzę.

– A ja zawsze wierzyłam – odparła. – Jeśli człowiek nie wierzy, to znaczy, że jest z nim bardzo źle.

Winter zaparkował przed domem Ademara. Wydawało mu się, że pisarz mignął mu w oknie. Coś się poruszyło.

Ale kiedy zadzwonił do drzwi, nikt nie otworzył. Dzwonił kilka razy. Podszedł od frontu i zapukał w szybę. Pół minuty później Ademar otworzył okno. Pod okiem miał wielkiego siniaka.

– Co się stało? – zapytał Winter.

– Przewróciłem się w kuchni. Byłem pijany.

– Dlaczego pan nie otwierał, kiedy dzwoniłem?

– Nie słyszałem. Byłem w toalecie.

– A teraz jest pan pijany?

– Nie.

– Proszę mnie wpuścić.

Winter znów poszedł za dom. Ademar otworzył. Sprawiał

wrażenie, jakby poruszał się z trudem. Jakby jedna połowa jego ciała była sparaliżowana.

– To musiał być wyjątkowo paskudny upadek – stwierdził Winter. – To musiało być wiele upadków.

– Tak było.

– Chyba się pan obracał wiele razy wokół własnej osi.

– Źle znoszę alkohol.

– Kto to był?

– Ja. Czasami sam sobie wchodzę w drogę.

– Ten, co panu to zrobił, naprawdę chciał panu zaszkodzić.

To widać. Co się stało?

Ademar nie odpowiedział. Kuśtykał przez przedpokój. Winter szedł za nim.

Weszli do gabinetu. Komputer był włączony. Szara poświata mieszała się z żółtym blaskiem z okna.

– Przynajmniej może pan dalej pisać – powiedział Winter.

– Nic z tego nie będzie – odparł Ademar.

– O czym pan mówi?

– Nie będzie żadnej książki.

– Nie może pan tego rzucić, panie Ademar. Tak samo jak ja nie mogę zamknąć śledztwa.

– To różnica.

– Nie, nie ma żadnej różnicy.

– W każdym razie i tak już nic nie napiszę.

Ademar opadł na swój fotel do pracy. Rzucił okiem na monitor. Jego spojrzenie było tak samo puste jak ekran komputera.

– Gdzie jest wydruk? – zapytał Winter. Ruchem głowy wskazał na biurko. Błat za komputerem był pusty.

– Jaki wydruk?

– Niech się pan nie wygłupia, do diabła! Kiedy tu byłem ostatnio, leżał tu wydruk. – Wskazał puste miejsce na biurku. – Teraz go nie ma.

– Pan chyba wszystko widzi.

– Gdzie jest książka?

Ademar nie odpowiedział.

– Komu ją pan dał?

– Po co pan przyszedł? – odpowiedział Ademar.

– Komu ją pan dał?

– To nie ma znaczenia – odparł Ademar. – To naprawdę nie jest ważne, kto ją ma.

– Myślę, że jednak ma – oświadczył Winter. – To ma wielkie znaczenie dla pańskiej książki. Może decydujące. Pan nie przestanie pisać. Przeciwnie, teraz wie pan więcej niż na początku. Kto tutaj był? To ma wielkie znaczenie również dla mnie. Jeśli pan wie więcej, to i ja muszę się więcej dowiedzieć.

– Winter podszedł krok bliżej. – Czy pan to rozumie, panie Ademar? Jestem częścią pańskiej książki! Nie może pan jej dokończyć beze mnie! Musi pan mi wszystko powiedzieć. Jeśli pan tego nie zrobi, nie będzie pan mógł iść dalej. Może ja też nie. Nie ruszymy z miejsca, jeśli pan wszystkiego nie powie. Nie wyjdę z tego pokoju. Cała opowieść kończy się tu i teraz.

– Czy pan oszalał?

– Kto to był? Kto pana tak pobił?

– Niech mi pan najpierw powie, po co pan tu przyszedł.

Winter zbliżył się jeszcze o krok. Teraz dzieliły go od Ademara tylko dwa kroki. Widział, że pisarz walczy z dotkliwym bólem. Poza innymi obrażeniami miał pewnie pęknięte żebra. Jego twarz miała tę samą szarą barwę co ekran komputera. Nie z powodu oświetlenia. Powinien jechać do szpitala. Mógłby go podwieźć. Ale najpierw musiał to załatwić.

– Byłem znów na Brännö – powiedział. – Poprzytałem trochę o Richardssona. Wszystko wskazuje na to, że opuścił wyspę tego lata, kiedy zniknęła Beatrice. Nie zdążyłem tego jeszcze sprawdzić, ale tak sędzę. Nie wrócił nawet na pogrzeb rodziców. Czy pan to rozumie? Stało się coś, co na zawsze kazało mu się trzymać z dala od wyspy.

Ademar skinął głową.

– Doszedł pan do tego w swojej książce, panie Ademar? Czy to miał być następny rozdział?

– Nie wiem. Nie będzie następnego rozdziału.

– Kto to był? Ten ktoś z tamtego czasu, kto tutaj wtargnął? – zapytał znów Winter.

– Z jakiego czasu?

– Wie pan, o co mi chodzi. Ktoś z pańskiej książki. Z przeszłości. Z tamtego lata. Kto jeszcze nie wystąpił w książce. Ale do niej przynależy. Tylko że nie chce się tam znaleźć. I dlatego zabrał wydruk. I zabronił panu pisać dalej. Ale to niemożliwe, panie Ademar. To tak, jakby ktoś chciał zabronić mi kontynuowania śledztwa.

– To nie dlatego tu przyszedł – powiedział Ademar.

– Ależ tak. Przyszedł, żeby dokonać skreśleń w książce, wykreślić siebie. Skreślić całą cholerną książkę.

– Nie. Zjawił się z innego powodu.

– Z jakiego?

– Wjechałem w jego auto.

– Słucham?

– Wjechałem w jego zasrane auto! Nawet tego nie zauważyłem. Ale on mnie znalazł. Po lakierze. Mógłby się u was zatrudnić. Szef ekipy techników policyjnych. Odnalazł mnie.

– Nie wierzę w tę historię.

– To dlatego o mało mnie nie zabił.

– Dlaczego tylko o mało?

Ademar nie odpowiedział.

– Sam pan mówił, że o mało nie zabił. Dlaczego? Co jeszcze się stało? Dlaczego nie dokończył dzieła?

Ademar rzucił okiem na monitor. To wystarczyło.

– On występuje w książce – powiedział Winter. – On tam jest. Odkrył to. Więc znów wracamy do punktu wyjścia. On tam jest, ale nie chce być.

Ademar pochylił się do przodu i wyłączył komputer, jakby chciał podkreślić, że wszystko skończone.

Potem spojrział na Wintera.

– On mnie zabije, jeśli się dowie, że z panem rozmawiałem.

– Już prawie pana zamordował. Przecież pan jest prawie martwy.

– Nie mogę się z tego śmiać, komisarzu Winter. Za bardzo mnie boli.

– Nie powiedziałem tego dla żartu. Kto to jest?

– Jak mówiłem: on mnie zabije. Albo dobije. Proszę mi wierzyć. Jeśli mi pan zada jeszcze więcej pytań na jego temat,

to on zrozumie, że wszystko powiedziałem. Będzie pan miał kolejne zabójstwo. Chyba pan tego nie chce? Nawet jeśli pan wie, kto jest sprawcą?

– Czy to on to panu zrobił? – zapytał Winter. – Ten sam, który zabił Sellberga?

– Tego nie wiem. Nic o tym nie mówił.

– Pańskie nazwisko nie padnie – zapewnił Winter.

– Teraz chyba muszę się zaśmiać – powiedział Ademar.

– Wymienię teraz nazwisko – oświadczył Winter. – Podam nazwisko, a pan może się rozplakać w odpowiedzi, jeśli pan chce. Ale jest pewne nazwisko. Ja już je znam. Więc nie musi się pan aż tak martwić, nieprawdaż? Ja już mam nazwisko, które zamierzałem sprawdzić. To może być najwyżej potwierdzenie.

– Potwierdzenie czego?

– Że mam rację.

– Rację co do czego?

– To się okaże. Najpierw zajmujemy się nazwiskiem.

– Wolałbym nie.

– Lejon – powiedział Winter. – Christian Lejon.

– Kto to jest?

– Tutejszy gangster. Lejon.

– On... nie mówił, jak się nazywa – powiedział Ademar.

– Nie wierzę. Niech pan nie kłamie, panie Ademar. Teraz pan nie pracuje. Lejon nie należy do skromnych. Przedstawiłby się panu, nawet jeśli potem miałby zatłuc pana na śmierć.

Ademar skinął głową.

– Może pan to już wiedział – zgadywał Winter.

Ademar się nie odezwał.

– Co pan teraz zamierza zrobić? – zapytał Winter.

– O co panu chodzi?

– Co pan robi z tekstem?

– Nic, w każdym razie nie zamierzam nic robić.

– Co pan robi? – powtórzył Winter.

– Nic – odpowiedział Ademar. – A co pan zamierza zrobić?

– Ja w każdym razie nie mogę nic nie robić – odparł Winter, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Trawniki w Örgryte pokrywały liście. Ziemia była czerwona. Gałęzie drzew były bardziej ogołoczone niż kilka dni wcześniej. Natura nie dała się zmylić babim latem. Prawdziwy mróz już się czaił. Winter nagle pomyślał o późnych październikowych popołudniach w Marbelli. To było tak dalekie od przymrozków, jak tylko można sobie wyobrazić. Krew bez problemu płynęła w żyłach. Wszystko płynęło bez oporu.

Na trawnikach Richardssonów nikt nie grabił liści. Dlatego dom wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał. Rolety były opuszczone jak w domu żałoby. Może już byli w żałobie. Może już dawno, pomyślał Winter, wysiadając z mercedesa.

Żwir sucho chrzęścił pod jego stopami, kiedy szedł do drzwi. Na podjeździe nie widział samochodu. Dzieci mogły być jeszcze w szkole. Nie mógł sobie przypomnieć ich imion.

Usłyszał, że gdzieś dzwoni telefon. Musiał dzwonić w domu. Dzwonił i dzwonił. Potem sygnały nagle się urwały. Po chwili zaczął dzwonić znowu. Ktoś nie wierzył, że nikogo nie ma.

Winter nacisnął dzwonek. Sygnały nałożyły się na siebie. Atak z dwóch stron, pomyślał. Nagle usłyszał coś za plecami. Odwrócił się. Przy furcie stał chłopiec. Wyglądał, jakby chciał się rzucić do ucieczki. Zrobił krok w tył. Przez ramię miał przewieszoną sportową torbę.

Winter uniósł dłoń. To był przyjazny gest. Nie chciał do niego krzyżeć. Chłopiec nadal stał w miejscu z niezdecydowaną miną. Winter szybko zszedł po schodach i zwirową ścieżką wrócił do furtki. Chłopiec czekał.

– Cześć – rzucił Winter.

– Cześć.

– Jestem policjantem. Byłem tu już.

Chłopiec skinął głową. Winter pamiętał jego wystraszoną twarz. Widział ją przez okno. Pamiętał, jak zszedł na dół, żeby bronić rodziny. Matki i siostry. Ojca nie było. Ale może jego też chciał bronić.

– Mam na imię Erik – mówił dalej Winter. – Ty chyba też jesteś Erik, prawda?

– Tak.

Na torbie zauważył klubową naszywkę. Niebiesko-białą.

– Nie grasz w klubie dzielnicowym?

Chłopiec potrząsnął głową.

– To też moja drużyna – powiedział Winter, wskazując ruchem głowy na naszywkę.

– Gra pan w piłkę?

– Raczej grałem. Tak.

– A gdzie?

– W różnych klubach. Ale najdłużej w Sandarna.

– W Sandarna? Sandarna BK? Czwarta liga?

– Tak sędzę. Orientujesz się w tabelach?

Chłopiec znów skinął głową.

– Teraz niezbyt dobrze to wygląda – stwierdził Winter.

– IFK nadal ma szansę na trzecią ligę – powiedział chłopak.

– Zostały im tylko dwa mecze – odparł Winter. – Nie dadzą rady sami.

– Poradzą sobie.

– Dobrze – zgodził się Winter. – Wierzę ci na słowo.

– Szuka pan mojego taty?

Chłopiec opuścił torbę na ziemię. Nie wyglądała na ciężką. Dzisiejsze buty piłkarskie nie ważą dużo. To nawet nie jest skóra.

– Tak, próbujemy go znaleźć.

– A... jeśli on tego nie chce?

Winter nie powiedział.

– Jeśli nie chce, żebyście go znaleźli, to chyba nie musicie go szukać, prawda?

– Czasem trzeba z kimś porozmawiać, Eriku. Musimy z twoim tatą o czymś porozmawiać.

– O czym?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Tajemnica służbowa, sam rozumiesz. Ale byłoby dobrze, gdyby nam się udało porozmawiać z twoim tatą. Rozmawiamy z wieloma ludźmi, codziennie. Zawsze tak było. Na tym polega moja praca, można powiedzieć. A teraz chciałbym porozmawiać z twoim tatą, ale to niestety niemożliwe.

Chłopiec podniósł torbę. Spojrzał w stronę domu. Wyglądał, jakby nie był pewien, czy chce wejść.

- Rozmawiałeś z tatą? – zapytał Winter. – Odkąd on... zaginał?
- Nie.
 - Nie dzwonił?
 - Nie.
 - Zastanawiałeś się, gdzie może być?
 - Nie.
 - Może wyjechał gdzieś daleko? – odpowiedział Winter. Chłopiec podszedł do furtki. Winter zostawił ją otwartą.
 - On nie żyje – powiedział chłopiec.

33

WINTER WRACAŁ DO MIASTA. Słowa chłopca rozbrzmiewały mu w głowie. To były słowa ostateczne. Ale mogły oznaczać różne rzeczy. Śmierć przybiera różne postacie. Gra różne role. Próbował go pytać, co miał na myśli, ale on tylko potrząsnął głową i zniknął w domu. Nie poszedł za nim.

Teraz, w aucie, zastanawiał się, co chłopiec może wiedzieć. Albo co go mogło spotkać. Miał swoje tajemnice. Rozmawiał o tym z matką? Nie był pewien. Nie był też pewien, czy w ogóle by słuchała. Żyła w rzeczywistościach równoległych. Może nawet się między nimi przemieszczała. Może właśnie wtedy była pomiędzy, kiedy ją zobaczył na Danska vägen, jadącą w stronę Lovisagatan. Dałoby się dotrzeć do jej męża przez nią? Dokąd mieliby za nią jechać? Przecież jej nie śledzili, nie tak.

Na Allén światło słońca migotało między drzewami. Rozboliła go od tego głowa. To był łagodniejszy wariant. Od pewnego czasu udawało mu się unikać bólu, nawet bez tabletek. Tabletki nie pomagały. Kiedy ból spadał na niego jak kawał betonu, nie pomagało nic. Nie chciał tam wracać. Bał się tego. To wcale nie była migrena. To nie był guz przysadki. Nieleczony wylew krwi do mózgu? Może to się rozwijało przez dziesięć ostatnich lat. To była cena jego pracy. Wreszcie krew się wylała. I to powodowało ból. Krew była bólem. Na końcu w głowie nie będzie już krwi i przestanie go boleć. Nie będzie myśli. To też boli. Już picie jest lepsze. Właśnie to robią

komisarze kryminalni na emeryturze. Chociaż czasami zaczynają po kryjomu trochę wcześniej.

W windzie głowa łupała go w takt wznoszenia się. To była bardzo głośna winda.

Wysiadł i od razu usłyszał dziecięcy głosik.

Lilly wskoczyła wprost w jego ramiona. Mały kawałek betonu. Angela wyszła z kuchni. Postawił Lilly na podłodze.

– Gdzie Elsa? – zapytał.

– U Clary.

– Czy ona już się wyprowadziła z domu?

Angela potrząsnęła głową. Można to było różnie rozumieć.

– Przecież, do diabła, ona jest częściej tam niż tu!

Angela nadal nic nie mówiła.

– No co?

– Akurat ty możesz to oceniać, Eriku.

– Co chcesz prze... – zaczął, ale natychmiast urwał. Lilly patrzyła na niego, w górę. Nie rozpoznawała go. Twarz miał całkiem inną.

Potał czubek głowy.

– Masz tabletki? – zapytała Angela.

– Gdzieś mam.

– Eriku.

W jej głosie był smutek. Jakby mówiła do dziecka, które nie chce się poprawić. Nie słucha. Nie wie, co jest dla niego najlepsze.

Usłyszał szuranie z kuchni, odgłos przesuwania krzesła po podłodze.

– Twoja mama jest u nas – powiedziała Angela i odwróciła się na pięcie.

Jacob Ademar myślał o swoim samochodzie jak o dalekim krewnym. Już tak długo stał w garażu, że prawie zapomniał, jak wyglądał. Najchętniej wolałby już tego auta nigdy więcej nie widzieć. Dużo przez nie wycierpiał. Przedziwnie to wyglądało, kiedy próbował się wcisnąć do taksówki. Kierowca był wyraźnie zaniepokojony, jakby się obawiał, że po drodze będzie musiał udzielać pierwszej pomocy. Ademar czuł, że na jego czoło

występuje pot.

Wymamrotał adres, który podał mu Lejon.

Samochód wyjechał z bramy.

Wiatr pędził suche liście przez Danska vägen, od chodnika do chodnika. To mu przypomniało czas. Poczłł się tak, jakby wyszedł z czasu w ostatnim... czasie. Jego życie było w stanie zawieszenia. Jak u linoskoczka. Linoskoczek bez liny. Boję się.

Taksówka z dużą prędkością wjechała na rondo przy Sankt Sigfrids plan. Nagle go zemdliło. Poczłł ucisk w piersiach.

– Może się pan zatrzymać? – poprosił na wysokości Svenska Mässan.

– Co się dzieje? – zapytał taksówkarz.

Oczy w lusterku wstecznym patrzyły z niepokojem. Facet musiał być Arabem. Albo Persem. Może Kurdem. Ademar miał to w tej chwili gdzieś. Chciał tylko wysiąść. Kiedy gramolił się z tylnego siedzenia, kręciło mu się w głowie. Czy właśnie tak się czuje naprawdę stary człowiek? Stał na chodniku. Mdłości mijaly jak fale, coraz słabsze i słabsze. Para przechodniów spojrzala na niego. Taksówkarz nie wyłączał silnika, jakby chciał móc w każdej chwili uciec. Zbiec z miejsca wypadku. Ademar próbował nie spuszczać wzroku ze szklanej fasady po drugiej stronie ulicy. Kiedyś odbył tam kilka spotkań ze znudzoną publicznością targową, która zabijała czas w oczekiwaniu na kolejne wielkie nazwisko. On raczej nigdy nie będzie wielkim nazwiskiem. Już osiągnął, co mógł, był raczej kapiszonem niż gwiazdą literatury. Tak się mówi? Kapiszon? Kiedy mdłości się cofały, próbował się koncentrować na jakimś innym bezsensownym słowie. Taksówkarz nadal czekał. Wierny typ. Ademar odwrócił się z powrotem do auta i niezdarnie wsiadł. Kiwnął głową do ciemnych oczu kierowcy w lusterku wstecznym. Jedźmy dalej.

Siv Winter odmówiła wypicia kolejnego kieliszka wina. Jej syn nalał więc sobie. Wino pomagało na wszystko. Było lekarstwem łagodniejszym niż whisky. Siv wyjechała z kraju, w którym strumień wina lał się bez przerwy. Czy raczej, w jej przypadku, ginu z tonikiem. Winter sądził, że wkrótce będzie

chciała wrócić.

Angela przeprosiła ich i wyszła z półspiącą Lilly w ramionach. Winter odprowadził je wzrokiem.

Słyszeli pluskanie wody w łazience.

– Jakie to uczucie być tu z powrotem? – zapytał Winter. – Jakie wrażenie zrobiło na tobie miasto?

– Jest niepodobne do siebie – odpowiedziała.

– To źle czy dobrze?

– Jeszcze nie wiem. – Ruchem głowy wskazała na butelkę. – Może jednak napiję się jeszcze trochę.

Winter nalał jej wina.

– Wy też nie jesteście tacy jak przedtem – mówiła dalej. – Ty i Angela.

– Aha?

– Naprawdę.

– Nie wiem, czy to według ciebie dobrze, czy źle.

– Naprawdę nie wiesz?

– Naprawdę.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś, Eriku. Aż tak bardzo się nie zmieniłeś. Żebyś miał nagle zgłupieć.

– Może tak. Mam bóle głowy. Może to dlatego, że zgłupiałem.

– Uważam, że powinienes się wziąć w garść.

Nie odpowiedział. To przywilej matki mówić takie rzeczy synowi. Napił się wina. Już mu nie smakowało, było cholernie lekkie. Potrzebował whisky. Potrzebował czegoś, co ma smak. I moc. Teraz riesling był jak woda. Równie dobrze mógł go sobie nalać z kranu.

– Angela wygląda na przygnębioną – powiedziała matka.

– O czym właściwie rozmawiałyście?

– O niczym.

– O niczym? Ze mną ci się nie uda. – Wstał. – Przepraszam.

Poszedł do salonu, wziął z kredensu jedną z butelek whisky i nalał sobie dwa, trzy centymetry. Upił łyk i zabrał szklankę ze sobą do kuchni.

– Chcesz może ginu z tonikiem? – zapytał.

– Dziękuję, już nic więcej nie chcę.

Popatrzyła na jego whisky, ale nic nie powiedziała.

Winter usiadł.

– Przez jakiś czas było bardzo ciężko. Miałem te bóle głowy... do tego praca.

– A nie zawsze powodem jest praca?

– Angela uważa, że nigdy mnie nie ma w domu.

– A jesteś?

– Jestem w domu teraz na przykład.

Znów łyknął whisky. Ona przynajmniej miała jakiś smak. Pomagała na wszystko. Whisky to napój diabła, ale jeśli się umie diabła kontrolować, jest najlepszym lekarstwem świata. Umiał dopilnować, żeby diabeł nigdy nie miał do niego dostępu.

– Naprawdę musicie o tym porozmawiać – stwierdziła matka. – Jesteście rozsądnymi ludźmi. Dojrzałymi. Wkrótce skończysz pięćdziesiąt lat, Eriku. Nie możesz żyć jak młodzieniec.

– Jak młodzieniec? Więc żyję jak młodzieniec? Co ja takiego robię?

– Późno założyłeś rodzinę. Zawsze się trochę martwiłam z tego powodu. Wyglądało to tak, jakbyś jeszcze nie był dojrzały. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć.

– Oto nadchodzi chwila prawdy.

– Już nic więcej nie powiem.

– Ależ powiedz. Dlaczego nie. Zaraz przyjdzie Angela, może się włączy do terapii.

– Teraz znów jesteś niemądry, Eriku.

Łyknął ze szklanki kolejny raz. Ku jego zdziwieniu okazało się, że alkohol się skończył. Wstał, poszedł do salonu i wrócił z kolejną whisky. Był spokojny. Wszystko się ułoży. To tylko naturalny niepokój matki o dziecko i jego styl życia. Nie należy się przejmować. Wszystko jest dobrze. Nadejdzie zima, z kąsającym mrozem. To będzie dobre. Za dużo było tego słońca. To nigdy nie jest dobre. Matka w końcu też nie wytrzymała. On dobrze znosi słońce, ale nie tak długo. Pół roku na Costa del Sol – to była jego granica. Tak sądził. Z drugiej strony...

Znów usiadł przy stole.

– Może jestem głupi – powiedział.

Matka się uśmiechnęła.

– Ale tylko czasami – dodała. – Tak naprawdę nie jesteś głupi.

Taksówka kręciła się na rondzie Mariaplan. Ademar widział, jak jakaś kobieta wychodzi z księgarni Mariaplans bokhandel. Kilka lat temu zaproszono go tam na spotkanie poświęcone jego książce. Pamiętał właścicieli, porządni ludzie. Nie pokazał się tam więcej. W tej chwili nie miał mdłości. Taksówka przejechała obok cukierni i sklepu rowerowego, skręciła w jedną z mniejszych uliczek za Kungsladugårdsskolan, skręciła w lewo, potem w prawo. Taksówkarz wypatrywał tabliczek z nazwą ulicy.

– Stilla gatan – powiedział Ademar.

– To tutaj – stwierdził kierowca i zatrzymał się przed jednym z domów. Były połączone sklepieniami, miały wieże i blanki, jak drewniany zamek rozciągający się na całą dzielnicę, aż do cmentarza Västra kyrkogården.

Ademar zapłacił i wysiadł.

Usłyszał, że gdzieś nad jego głową ktoś otwiera okno. Podniósł wzrok.

Dwa piętra wyżej stał Christian Lejon. Machał do niego ręką. Wskazał na bramę, bez słowa. Ademar podszedł do wejścia. Brama była otwarta. Szedł schodami na górę. Drzwi mieszkania stały otworem. Przeszedł przez próg i ruszył do pokoju, który widział na końcu przedpokoju. Rozpoznał sylwetkę Lejona.

– Możesz zamknąć za sobą drzwi – rzucił Lejon, nie odwracając się.

Ademar wrócił do drzwi i zamknął je.

Mieszkanie sprawiało wrażenie pustego, opróżnionego. Żadnych mebli, żadnych tkanin. Pachniało kurzem, zaduchem, choć Lejon otworzył okno.

Ademar poszedł do pokoju, w którym czekał Lejon.

Z okna widać było suwnicę stoczni po stronie Hissing. Älvsborgsbron rozpinał swój łuk po lewej. W wieczornym

świetle jarzył się czerwienią i zielenią.

– Lubię ten widok – powiedział Lejon, nie odrywając od niego wzroku.

– Tak.

– Wyrosłem w tym mieszkaniu. Kiedy byłem mały, zawsze tu stałem. Patrzyłem na dźwigi i czekałem, aż mój tata wróci z pracy. Stawałem tu zawsze po powrocie ze szkoły. Wiedziałem, że on siedzi w jednym z tych dźwigów, które widzę.

Ademar pokiwał głową.

– Aż pewnego dnia nie wrócił do domu – ciągnął Lejon.

– Co się stało?

– A jak myślisz? Te pieprzone świnie go zamordowały, oczywiście.

Lejon nadal nie odrywał wzroku od widoku za oknem. Czarne sylwetki dźwigów wyglądały jak zwierzęta z prehistorycznych czasów. Z okresu stoczni.

– Nie miał żadnych szans – ciągnął Lejon. Odwrócił się do Ademara. – Przychodzę tu czasem, żeby o tym pomyśleć. Dobrze mi robi, kiedy o tym trochę pomyślę.

– To naprawdę takie dobre?

Lejon się zaśmiał.

– Lubię cię, pisarzu.

Ademar zatoczył ręką łuk.

– Wprowadzasz się?

– Nie.

– Wyprowadzasz się?

– Nie – odparł Lejon z uśmiechem. – Zawsze tak to wygląda.

– Wynajmujesz to mieszkanie?

– Należy do mnie – powiedział Lejon. – Już od dawna.

Ademar skinął głową. Lejon chciał mieć puste muzeum swojego dzieciństwa. Mauzoleum. To jest w porządku. To chore, ale w porządku.

– Cały dom do mnie należy – dodał Lejon.

– Pozostałe mieszkania też stoją puste?

Lejon znów się roześmiał. Od pustych ścian echo odbijało się jak w wąwozie. Jak przez całą drogę od wymarłych stoczni za

oknem, pomyślał Ademar.

– Kurwa, naprawdę cię lubię – powiedział Lejon.

– Dlatego mnie tu zaprosiłeś? Bo chciałeś mi o tym powiedzieć?

– Chciałem ci pokazać ten widok.

– Jest piękny.

– Zabrali mi go. Ten widok. Ale go odzyskałem.

– Tak. Właśnie widzę.

– Odzyskałem wszystko, co mi zabrali – powiedział Lejon. – I jeszcze trochę.

– Rozumiem.

– Poza ojcem. Jego nie mogłem odzyskać. Matki też nie. Ją też mi zabrali. A potem wysłali mnie na wyspę.

– Na wyspę?

– Na Brännö. Na kolonie. Musiałem tam jechać. Zesłanie. To się nazywa zesłanie.

Ademar skinął głową.

– Tam poznałem twoją siostrę – dodał Lejon i znów odwrócił się do Ademara.

– Rozumiem.

– Ale potem i ją mi zabrali.

– Jacy oni? Kogo masz na myśli? To ci sami oni, o których już mówiłeś?

– Nie. Ale to takie same świnię. Wszystkie świnię są takie same, czyż nie? Zgadzasz się ze mną?

– Jest dużo świń – zgodził się Ademar. – Tu mogę ci przyznać rację. Jakie świnię były na Brännö?

Lejon nie odpowiedział. Znów patrzył przez okno. Ademar spojrział w tę samą stronę. Ta sama martwa scena, można było tak na to spojrzeć. Albo żywa scena. Dźwigi były martwe, ale nadal stały. A północny brzeg rzeki dostał nowe życie. Tysiące ludzi tam zamieszkały, pomyślał. Most jest ich pełen. Widział lśniące karoserie i światła samochodów jadących przez most.

– Przeczytałem twoją książkę – powiedział Lejon.

– To nie jest książka. Jeszcze nie jest gotowa.

– To prawda.

– Nie będzie żadnej książki – dodał Ademar.

– Co masz na myśli? – Lejon patrzył na niego. Świdrował go wzrokiem. W jego oczach tliło się szaleństwo. A może to było coś innego. – Co ty, kurwa, mówisz? Jak to nie będzie książki?

– Straciłem ochotę. Nie dojdę już do niczego. A twoja wizyta raczej mi nie pomogła.

Lejon złapał go za ramiona.

– Moja wizyta była najlepszą rzeczą, jaka ci się przytrafiła. Nie rozumiesz tego? To była opatrność. To nie był przypadek. To Bóg zderzył twoje auto z moim chryslerem. To była jego ręka. Ona zaprowadziła mnie do ciebie. Ona nas połączyła!

– Jesteś wierzący? – zdziwił się Ademar, próbując uwolnić się z uścisku. Nie był zbyt mocny. Gangster chciał tylko zaznaczyć swoją obecność. Pokazać pasję. W jego oczach była pasja.

– Nic nie zrozumiałeś – stwierdził Lejon i puścił go. – Ja ci pomogę napisać tę książkę do końca.

Winter płynął przez morze. Nie wiedział, jak daleko dotarł. Wokół niego była tylko linia horyzontu, ogromny okrąg. A więc był na środku morza. Mógł wybrać, w którą stronę będzie płynął dalej. Wszystko było otwarte. To oznaczało, że jego życie jeszcze się nie skończyło. Zrozumiał to. To był znak. Popłynął dalej na zachód i zobaczył nad sobą most. Wiedział, że tam będzie, jeśli tylko popłynie kawałek dalej. Most rozpościerał się od horyzontu do horyzontu. Najdłuższy most świata. Obejmował całą północną półkulę. Powstał w Göteborgu, na północnym brzegu. Znów dał pracę dawnym stoczniom. Przepłynął pod mostem i pomyślał, że mógłby go dotknąć, gdyby tylko chciał. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Ktoś stał na szczycie i wołał do niego. Głos brzmiał jak wycie. Puste i metaliczne jak syrena. Rozpoznawał ten dźwięk, syrenę. Prawie całe dorosłe życie spędził wśród syren. Teraz siedział na pokładzie żaglówki i patrzył na głowę unoszącą się nad powierzchnią wody. Ktoś go zastąpił w wodzie. To była dziewczynka, płynęła do wysepki, które prąd przyniósł z zachodu. Może cię podwieźć?! – zawołał. Ale ona go nie widziała, tylko płynęła, płynęła. Syrena dalej buczała jak

donośny krzyk. To brzmiało jak krzyk dziecka. Słyszał swoje imię. Nie chciał porzucać żaglówki. Wskazywał innego Erika, weźcie jego. Widział, jak głowa dziewczynki się oddala, przesuwa w stronę wysepek. A potem zniknęła. Usłyszał swoje imię. Krzyk. Swoje imię.

– Eriku! Eriku!

Poczuł dłoń na ramieniu. Była prawdziwa.

Otworzył oczy. Było wystarczająco dużo światła, żeby mógł rozpoznać twarz Angeli. Wyglądała, jakby się nad nim unosiła.

– Ktoś cię szuka – powiedziała.

– Kto taki?

Usiadł na łóżku.

– Nic nie powiedział.

– Co, do chol... przecież to numer zastrzeżony.

Angela wyglądała na trochę wystraszoną. Jakby ktoś się włamał do domu. W ręce trzymała słuchawkę. Winter przejął ją od niej.

– Halo? Halo? Kto mówi?

Usłyszał szum. Może oddech. Brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka.

Ktoś słuchał. Słyszał, że ktoś na drugim końcu słucha.

– Kto tam jest, do diabła!?

W słuchawce nadal szumiało. Teraz nikogo tam nie ma, pomyślał.

Sygnal się urwał.

Wpatrywał się w telefon. Potem przeniósł wzrok na Angelę. Zegar na jej nocnym stoliku pokazywał wpół do czwartej. Widział kabel. Biegł od jego ręki do telefonu. Słyszał jakieś odgłosy z przedpokoju. Nocna rozmowa obudziła matkę. Ale to nie była rozmowa.

– Co mówił?

– Tylko pytał o ciebie – powiedziała Angela. – Pytał o Erika Wintera.

– I co powiedziałaś?

– Zapytałam, o co chodzi, oczywiście.

– I co on na to?

– Nic więcej nie powiedział.

– Zobaczymy, czy da się ustalić, skąd dzwonił. Ale nie jestem zbyt wielkim optymistą. – Wiedział, że to prawie niemożliwe. – A ty nie rozpoznałaś głosu?

– Nie. Ale właściwie jeszcze spałam. Nie wiem, co... kto to był. – Angela spojrzała na telefon, jakby już nigdy więcej nie zamierzała brać go do ręki. Jak gdyby koszmarny sen urzeczywistnił się w jej własnej sypialni.

– To mógł być zwykły wariat – powiedział Winter. – Albo pomyłka. To chyba najbardziej prawdopodobne.

– Tak sądzisz?

– Tak może być.

– Ktoś, kto by się pomylił, nie znałby twojego nazwiska – zauważyła Angela.

– To się zdarza.

– On wiedział, do kogo się dodzwonił. Aż taka głupia nie jestem.

– Co się dzieje? Kto to był?

Pytanie padło od drzwi. Winter zobaczył matkę.

– Pomyłka – rzucił.

34

– WIĘC CZEGO MY WŁAŚCIWIE SZUKAMY? – zapytał Winter. Siedzieli w cukierni Ahlströma. Korsgatan za oknami była pełna przechodniów odwiedzających butiki w oczekiwaniu na weekend.

– Mordercy – odparł Ringmar, wbijając widelczyk w leżący na talerzyku kawałek rolady z kremem.

– To zbrodnia – stwierdził Winter. – Morderstwo to zbrodnia.

– Jedna z wielu.

– Co wiemy o Sellbergu?

– Niezbyt dużo.

– Chyba prowadził raczej spokojne życie.

– Poza awanturę z sąsiadem.

– Tak mówi sąsiad.

– Nie wierzysz temu pisarzowi, Eriku?

- Może żyje w świecie fantazji. Może wymyślił tę historię.
- Nie sprawia wrażenia wariata.
- Jest pisarzem. Poważnym pisarzem, o ile dobrze zrozumiałem.
- Więc musi być trochę szalony, o to ci chodzi?
- Tak myślę.
- Ringmar uśmiechnął się i włożył do ust kawałek ciastka.
- To prawdziwy klasyk – mruknął. – Mmm...
- Sellberg został zamordowany z jakiegoś powodu – powiedział Winter. – To nie był rabunek. Morderca czekał na niego na parkingu. Wiedział, że się tam zjawi.
- Wiedział, że się tam zjawi właśnie wtedy. To masz na myśli?
- Tak.
- Skąd mógł to wiedzieć?
- Po prostu wiedział.
- Ale skąd?
- Sellberg mu powiedział – odparł Winter.
- Albo morderca powiedział to jemu.
- Tak. Powiedział mu, żeby podjechał do garażu.
- Żeby podjechał samochodem Richardssona.
- Właśnie.
- Richardsson tam na niego czekał.
- Niekoniecznie.
- W takim razie gdzie był Richardsson? Musiał chyba czekać na samochód.
- Nie na parkingu.
- A kto czekał w takim razie?
- Ktoś inny.
- Kto inny?
- Ktoś, kto wiedział.
- Kto słyszał, jak rozmawiali? Jak Richardsson prosił Sellberga, żeby zostawił tam auto?
- Ktoś, kto jechał za nim – dodał Winter.
- Wiemy, że Sellberg dzwonił do Richardssona, do biura – powiedział Ringmar. – To mogło być wtedy.
- Albo morderca po prostu jechał za nim.

Ringmar odłożył widelczyk.

– Nie zjesz swojej napoleonki? – zapytał, wskazując na talerzyk Wintera.

Winter nie odpowiedział. Wyglądał przez wielkie okno. Jakaś kobieta odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Przynajmniej tak to wyglądało. Było piątkowe popołudnie. Cieszyła się.

Odwrócił się do Ringmara.

– Ten drugi telefon do mnie. Naprawdę ktoś potrzebuje pomocy?

– Nie wiem, Eriku. Łatwiej byłoby po prostu pofatygować się na komendę.

– Nie. To zbyt widoczne. On jest pilnowany.

– Więc dlaczego nie powiedział wprost przez telefon, o co chodzi?

– Nie wiem. Może z tego samego powodu.

– A może to była tylko zabawa – stwierdził Ringmar. – Ktoś się z nami bawi.

– Właśnie.

– Mówiłeś o układaniu puzzli. Może jest ktoś, kto już to robi. Ktoś zdążył przed nami. My też jesteśmy elementami układanki.

– A nie zawsze tak jest?

– Nie – odparł Ringmar. – Nie jesteśmy kawałkami puzzli. Zwykle to my trzymamy je w rękach. Ale teraz ktoś trzyma w rękę nas.

– Kto?

– Może Richardsson – rzucił Ringmar.

– Nie, Bertil. On się boi. On się boi tak bardzo, że ukrył się przed wszystkimi. Nawet przed rodziną.

– Może to on jest mordercą – podsunął Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Para starszych ludzi wstała od sąsiedniego stolika. Mężczyzna powściągliwie skinął Winterowi głową. Może go rozpoznał, może znał go z prasy, radia albo telewizji. Ale teraz było tego o wiele mniej. Policja Zachodniej Gotlandii wreszcie zdecydowała się zatrudnić rzecznika i to on ją reprezentował. Tak było lepiej. Zawsze przemawiała do ludzi ta sama twarz. Może to uspokaja. Wszystkie zbrodnie są

podobne.

– I nie zostawił żadnych śladów – powiedział Ringmar.

– Nie.

– Mówię o mordercy. Mordercy z parkingu przy Pedagogu.

– Na razie żadnych śladów – potwierdził Winter.

Strumień przechodniów na deptaku zaczął rzednąć. Zapadał zmierzch. Ringmar dokończył ciastko i wypił resztę kawy.

– Co robisz w weekend, Eriku?

– Nie wiem. Może pojedziemy na działkę, do Billdal.

– Własna plaża.

– Mhm...

– Kiedy właściwie zaczniesz budować ten dom?

– Własna plaża wcale nie jest taka zła – odparł Winter.

– Ale czy macie tam spokój? Jeśli nie stoi tam dom? Kiedy was tam nie ma.

Winter wstał.

– A co ty planujesz?

– Nic.

– Będziesz sam?

– Tak.

– Wybierz się jutro z nami.

– Jeszcze zobaczę.

– Zadzwoń do ciebie jutro przed południem – powiedział Winter.

Wyszli na Korsgatan. Zmierzch zapadał szybko.

– Czuć zimę w powietrzu – powiedział Ringmar.

– Świetnie.

– Nie jesteś freakiem lata?

– Co to za kretyńskie określenie?

– Właśnie je wymyśliłem – odparł Ringmar. – Mam cię podwieźć?

– Nie, przejdę się.

– Idziesz do Saluhallen?

– *As a matter of fact, yes.*

– No to cześć – rzucił Ringmar.

– Chodź ze mną.

– Ja już zrobiłem zakupy, koleżko.

- Nie pij za dużo wieczorem, Bertil.
- Coś takiego nazywa się projekcja.
- To się nazywa empatia. Troska o bliźniego.
- Co zrobisz na kolację?
- Chyba ravioli. Z ricottą i ziołami, do tego pieczona cukinia.
- Winter ruszył w stronę Domkyrkan. – I jeszcze kotlety jagnięce. Plus trochę marmolady z czerwonej cebuli.
- Trochę marmolady z czerwonej cebuli – powtórzył Ringmar. – Poproszę o to w budce z hot dogami na Mariaplan. Dziś wieczorem.
- Mylisz to z keczupem.
- To też sobie zamówię.
- Nie musisz żyć tak prosto, Bertil.
- Do jutra, Erik.

Zaniósł zakupy z powrotem do komendy. Nie były zbyt ciężkie.

Wchodząc na piętro wydziału, usłyszał, że ktoś coś mówi podniesionym głosem. Głos odbijał się od ścian pustego korytarza. Rozpoznał go.

Kiedy ruszył korytarzem, głos ucichł. Usłyszał tylko trzask odkładanej na widełki słuchawki.

Z pokoju wypadł Bergenhem.

Przystanął na jego widok.

– Cześć, Lars.

– Cześć, cześć.

– Jak tam sprawy?

Bergenhem nie odpowiedział. Ruszył. Kiedy go mijał, Winter położył mu dłoń na ramieniu. Bergenhem znów się zatrzymał.

– Czy to z Martiną rozmawiałeś?

Na to też Bergenhem nie odpowiedział. Drgnął, jakby chciał się uwolnić z uścisku. Uwolnić się spod władzy przełożonego.

– Dokąd idziesz, Lars?

– Ja... pojedę do domu. Skończyłem na dzisiaj. Jest piątkowy wieczór.

Ani razu nie spojrzał Winterowi w oczy. O co tu chodzi?

– Rozmawiałem z Martiną – powiedział Winter.

- Ach tak?
- Niepokoi się o ciebie. Nie odzywałeś się.
- Właśnie to zrobiłem.
- Słyszałem.
- Tamto to nie była Martina.

Bergnhem patrzył w ceglana ściąnę. Była żółta. Jak siki.

- Aha – powiedział Winter.
- Mogę już iść?
- Nie wygłupiaj się, Lars.
- Co?
- Dlaczego nie miałbyś iść? – odparł zdumiony Winter.
- Okej, okej – rzucił Bergnhem i ruszył do wyjścia.

Winter odwrócił się za nim. Chciał coś powiedzieć, ale dał sobie spokój.

Wszedł do gabinetu. Telefon dał mu znać, że dostał SMS-a.

To była Aneta.

Jan Richardsson był członkiem Zakonu Coldinu.

Tam nazywał się Jansson. Richard Jansson. Najprostszy trik na świecie. Nawet nie trik.

Zakon Coldinu.

Winter podszedł do sejfu i wyjął krzyż. Nagle wydał mu się taki niepozorny, jakby nie miał znaczenia. Jakby już nie znaczył tak wiele, teraz, kiedy odkryli, jaki ma związek z Richardssonem.

Wrócił do biurka i wybrał numer komórki Anety.

- Cześć, tu Erik.
- Dostałeś moją wiadomość?
- Tak. Jestem u siebie.
- Dzwoniłam też na komórkę.
- Miałem wyłączoną.

Nie pytała dlaczego. Wyłączył telefon, kiedy weszli z Bertilem do Ahlströma. Ringmar miał komórkę, to powinno wystarczyć. Potem zapomniał włączyć. Naprawdę zapomniał.

- Jest jeszcze coś – powiedziała Aneta.

Winter złapał Bergnhemę w połowie drogi do Korsvågen. W telefonie szumiał ruch uliczny. Bergnhem słuchał muzyki,

jakiegoś rocka.

– Chcę cię tu widzieć najpóźniej za dziesięć minut – rzucił Winter.

– Co jest? Ja by...

– Wracaj tu natychmiast, do cholery!

Rzucił słuchawką. Zabrzmiało to prawie tak samo jak wtedy, kiedy Bergenhem rzucił słuchawką chwilę wcześniej. Winter żałował, że zaklął. Ale to było spontaniczne. Bergenhem jest dorosły. Czasami polecenia mogą brzmieć trochę ostrzej.

Przechadzał się po pokoju, tam i z powrotem. Widział tramwaj przejeżdżający przez granatowy mrok na Stampgatan, w rzadkich smugach elektrycznego światła. Wyglądał, jakby się śpieszył. Piątkowy wieczór. Wieczór możliwości. Mógł być długi. Podniósł zakupy z podłogi, poszedł do kuchni, żeby je włożyć do lodówki. Kupił trochę ostryg i kilka scampi. Zadzwoiła jego komórka.

– Czy to ty miałeś kupić coś na kolację? – zapytała Angela.

– Właśnie trzymam zakupy w ręce.

– Myślałam, że powinieneś już być w domu.

– Coś mi wypadło. To potrwa jeszcze chwilę.

– Gdzie jesteś?

– W komendzie. Muszę jeszcze chwilę porozmawiać z Bergenhemem.

– A jak tam u niego? Stało się coś jeszcze?

– Tak.

– A co mówi Martina? Co ona robi?

– To nie to. Przynajmniej nie bezpośrednio.

– To o co w takim razie chodzi?

– Potem ci wytłumaczę. On właśnie tu idzie.

– Mam już zacząć gotować kaszę? Ile godzin to potrwa?

– Nie mam pojęcia, do jasnej...

Urwał.

Uspokój się.

Idioto.

– Angelo, kochanie, wróć tak szybko, jak tylko będę mógł. Przepraszam. Kupiłem ostrygi i scampi. Będą kotlety jagnięce. Wykreślamy ravioli. Zrobię aioli do scampi.

Wróć do domu i będę miły, pomyślał. I przyniosę ostrygi.
Angela już rzuciła słuchawkę. Rozpoznał ten odgłos.

Wrzucił reklamówki do lodówki. Jedna spadła na podłogę. Podniósł ją i znów wcisnął między kartony skwaśniałego mleka i skazany na śmierć słoik dżemu. Coś w reklamówce pękło. Jakiś sok wypływał z lodówki na podłogę. Zamknął drzwi, podszedł do umywalki, urwał kawałek papierowego ręcznika, wrócił do lodówki, wytarł ją i podłogę. Kiedy się pochylał, jego głowa dudniła jak tramwaj na Stampgatan przed chwilą, stamp-stamp-stamp. Miał brudne i lepkie dłonie, znów musiał iść do umywalki i je umyć. W głowie mu huczało, z jednej strony na drugą, od horyzontu do horyzontu. Wróciło wspomnienie snu z ostatniej nocy. Było gdzieś przez cały czas.

Na korytarzu minął plan komendy. Miał kształt ludzika, który skacze do góry, z rękami w powietrzu i szeroko rozstawionymi nogami. Tylko bez głowy.

Zobaczył, że jedzie winda. Wysiadł z niej Bergenhem.

– Idziemy do mnie – rzucił Winter.

– O co chodzi? – zapytał Bergenhem.

Winter nie odpowiedział.

Wrócili do jego pokoju. Na całym piętrze byli tylko oni. Ich kroki odbijały się echem od pustych ścian.

– Przed chwilą rozmawiałem z Anetą – powiedział Winter.

Bergenhem się nie odzywał. Wciąż stał tuż za drzwiami. Winter nie zaproponował, żeby usiadł.

– Znałeś Jana Richardssona, zanim my go poznaliśmy? – zapytał Winter.

Czuł, jak mu pulsuje lewa skroń. To nie był ból głowy, nie migrena ani zapalenie opon mózgowych. To było napięcie innego rodzaju. Wewnętrzne spięcie. Nie wiedział, co to było. Czuł, że tętni w nim krew.

– Co... znałeś... – powtórzył Bergenhem. Śledził wzrokiem przejeżdżający za oknem tramwaj. Wieczór zrobił się jeszcze bardziej granatowy.

– Nie dosłyszałeś pytania? – rzucił Winter.

– Spokojnie – powiedział Bergenhem.

– Spokojnie? Tak to traktujesz? Tak to traktowałeś? Czy ty

wiesz, co zrobiłeś, Lars?

Bergenheim nie odpowiedział.

– Ukrywałeś dowody – oświadczył Winter. – To właśnie robiłeś.

– Nie.

– Utrudniałeś śledztwo. Moje śledztwo. – Podszedł krok bliżej do Bergenhema i do drzwi. – Kiedy poznałeś Jana Richardssona, Lars?

35

– CHODZIŁEM TYLKO W JEDNO MIEJSCE. Niezbyt dużo razy. Samuel je znał.

– Samuel?

– Mój przyjaciel. Samuel.

Bergenheim siedział na krześle przy biurku. Winter stał przy oknie. Nie mógł siedzieć.

– Ten, u którego teraz mieszkasz?

– Tak, w tej chwili tak.

– A Richardsson tam był? W tym lokalu, o którym mówisz.

– Widocznie tak.

– I nic nie powiedziałaś.

– Nie... wiedziałem wtedy, że to był on.

– Ale potem! Potem, Lars!

Wyglądało to tak, jakby Bergenheim skinął głową. A może tylko lekko się pochylił do przodu.

– Wiedziałaś, że on tam był, Lars! W tym cholernym klubie, do którego ty też chodziłeś! Wiedziałaś o tym! Ale nic nie powiedziałaś.

– Ja chcia...

– Nie chciałeś zdradzić swojej tajemnicy – przerwał mu Winter. – Tak, rozumiem. Nie, właściwie nie rozumiem. – Pokręcił głową. Poczul powiew na karku. Otworzył okno. Piątkowy wieczór był chłodny. Nadsięgnął chłodny mrok.

– Byleś tam tamtej nocy, kiedy znalazłeś samochód na Älvsborgsbron?

Bergenheim potrząsnął głową.

– Nie słyszę, co mówisz, Lars.

– Nie, nie byłem – powiedział cicho Bergenhem.

– Jak mogę ci wierzyć? – zapytał Winter. Znów oddalił się o kilka kroków od okna. – Jak mogę wierzyć w cokolwiek, co mówisz, Lars? Po czymś takim?

Wcześniej nie mógł widzieć jego twarzy. Teraz ją zobaczył. W kiepsko oświetlonym pokoju była bardzo blada. Biała. To już nie była twarz.

– Na Boga, Lars, badamy przeszłość Richardssona i po drodze znajdujemy ciebie.

Twarz, która kiedyś należała do Larsa Bergenhema, odwróciła się do komisarza Erika Wintera. Teraz grali inne role, teraz nie tylko się różnili. Zmienili się na zawsze. Nic już nie będzie takie samo. Winter czuł to tak samo wyraźnie jak chłodny powiew chwilę wcześniej. To uczucie nie zniknęło, kiedy podszedł jeszcze bliżej. Zrobiło się chłodniej.

– Nie musisz już nic mówić – powiedział Bergenhem. – Wszystko rozumiem.

– Rozumiesz? Co takiego rozumiesz?

Bergenhem nie odpowiedział.

– Co jeszcze wiesz, Lars? – zapytał Winter. – Jest więcej rzeczy, których nam nie powiedziałaś?

– Nie. Nic już nie ma.

– Jak mam ci wierzyć?

Bergenhem wstał.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Winter.

– Pójdę.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Bergenhem zaśmiał się dziwnie. Ten śmiech był tak samo zimny jak powiew z okna. Nie, nie zimny. To było coś innego. Winter nie potrafił tego nazwać. Próbował. Śmiech miał teraz dużo wspólnego z twarzą Bergenhema. To nie był śmiech.

– Chcesz mnie aresztować, Eriku?

Bergenhem szedł w stronę drzwi.

Winter też wstał.

– Dokąd idziesz? Lars?

Bergenhem nie odpowiedział. Był już przy drzwiach.

Odwrócił się.

– Na razie, Eriku – powiedział. Wyszedł i zniknął mu z oczu.

Winter słyszał jeszcze jego kroki na cholernym korytarzu. Rozbrzmiewały jak na kamiennej pustyni. Nie mógł się ruszyć. Czuł się, jakby utknął w kamieniu. Nie mógł za nim biec. Widział to w jego oczach. Gdyby go dotknął, któryś z nich by ucierpiał.

Angela widziała to w jego oczach, kiedy stanął w przedpokoju.

Wziął na ręce Elbę, przytulił mocno i czule.

– Więc księżniczka jest dzisiaj w domu? – powiedział.

– Zrobisz na kolację ravioli, tato?

– Ravioli. Dzisiaj nie, kochanie. Ale usmażę kotlety. I dostaniesz kilka dużych scampi.

– Hurra!

Elsa uwielbiała scampi. I jego aioli.

Angela pogładziła go po karku.

– Jak się czujesz, Eriku?

Postawił Elbę na podłodze.

– Siostrzyczka śpi?

– Ona ciągle śpi – odparła nadąsana Elsa. – Kiedy będzie jedzenie?

– Nie wiedziałem, co mam zrobić, Angelo. – Wyciągnął rękę po kieliszek z winem. – Czy zrobiłem dobrze, czy źle. Kiedy tak tam stałem. Czy w ogóle powinienem coś powiedzieć.

– Chyba byłeś zmuszony.

– Właśnie. Ale nie od razu. Nie dzisiaj.

Siedzieli jeszcze przy stole. Elsa już prawie zasnęła, więc Winter zaniósł ją do łóżka. Nie chciał jej budzić i zmuszać do mycia zębów. Mówiła, że zrobiła to jeszcze przed kolacją.

– Może byłem niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu – powiedział. – A może niewłaściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Wiesz, jak się czułem tuż przedtem. Kiedy zadzwoniłaś.

– Zapomniałam o tym – odparła z uśmiechem.

– Ale ja nie. Byłem cholernym idiotą. – Podniósł kieliszek i próbował patrzeć przez przejrzystą czerwień. Ripassa. Wino kupił wcześniej, w tym tygodniu. Jeszcze potrafi coś zrobić dobrze. – Jestem cholernym idiotą.

– Czasami.

– Teraz już tak nie będzie.

– Jeśli tylko będziesz brał tabletki.

– Obiecuję. Ale czy to takie proste?

– Tak.

Uśmiechnął się i łyknął wina. Ripassa ma więcej wszystkiego: więcej alkoholu, więcej koloru, więcej zapachu. Ten, kto pije to wino, staje się mniejszym idiotą.

– Co Lars teraz robi?

Winter odstawił kieliszek.

– O co ci chodzi?

– Co się teraz z nim stanie.

– Nie wiem, Angelo. Musimy się temu przyjrzeć. Ja muszę się przyjrzeć. Nie miałem do czynienia z czymś takim. Jeszcze nigdy.

– Nie o to mi chodziło, Eriku. Myślałam o tym... jak on się czuje. – Wstała, podeszła do drzwi balkonowych, otworzyła je i odwróciła się do niego. – Co on teraz robi? Mówił ci, dokąd się wybiera?

– Nie. Dzwoniłem do niego na komórkę kilka minut po tym, jak wyszedł. Dzwoniłem też z samochodu.

– Zadzwoń teraz – podsunęła.

– Teraz? Tak uważasz?

– Tak. Trochę się niepokoję, kiedy słyszę, co mówisz.

Winter poszedł do przedpokoju. Wziął do ręki starą bakelitową słuchawkę. Wybrał numer komórki Bergenhema. Zaczekał, aż włączy się poczta głosowa.

– Cześć, Lars, mówi Erik. Zadzwoń, jak odsłuchasz. Musimy porozmawiać na spokojnie. Na razie.

Wrócił do pokoju. Angela wyszła na balkon.

– Zimno – powiedział, stając obok niej.

– Nie złapałeś go, domyślałem się.

– Nie.

- Może zadzwońmy do domu? Do Marty?
- Nie wiem, Angelo. Co... sam nie wiem.
- Ja też nie.

Jasny wieczór rozpościerał się pod balkonem, poza balkonem. Sylwetki dachów wyglądały jak rysunki z komiksu. Wyraźne linie, ostre kolory. Winter pomyślał o Kaczogrodzie, pięknie rysowanym w dawnych komiksach z Kaczorem Donaldem. Ale to nie był Kaczogród. Może w czasach, kiedy zaczynał pracę w policji, był. Teraz to miasto stało się Gotham City.

Tramwaj przejechał z łoskotem przez wieczór jak świetlista gąsienica. Widział, jak ludzie wsiadają i wysiadają. Vasaplatsen był jak prostokąt zimnego, ostrego światła. Na północnym krańcu obelisk sterczał jak samotny palec na tle czerwonego nieba. Jakiś śmiech wzbil się z dołu do nich, na balkon. Winterowi przypomniał się śmiech Berghema w jego pokoju. Już wiedział, z czym mu się kojarzył: z powietrzem uchodzącym z ciała, które już nie żyje. Kiedy to usłyszał pierwszy raz, myślał, że zemdleje. To było straszne. To było w jakimś mieszkaniu w Johannebergu. Samotny policjant. Martwy mężczyzna w kałuży krwi na środku kuchni. Nagle się zaśmiał.

O jedenastej dziesiątej w sobotnie przedpołudnie Fredrik Halders, Magda Halders i Aneta Djanali wsiadli na prom Fröja na Saltholmen. Osiemnaście minut później zeszli na ląd w Brännö Rödsten. Hannes nie chciał się z nimi wybrać, miał dodatkowy trening piłkarski: właśnie był na najlepszej drodze na San Siro, Camp Nou albo Old Trafford. Halders nauczył go wszystkiego, co sam umiał.

To był kolejny niewiarygodny dzień, słoneczny i przejrzysty. Słońce nadal dawało trochę ciepła. W cieśninie nie czuli tak bardzo wiatru, ale wiał.

Haldersa ruszyło sumienie. Dawno temu obiecał dzieciom łódź. Widział dwie żaglówki w drodze na pełne morze. Cholera, może jeszcze nie jest za późno. Jeszcze nie ma pięćdziesięciu lat. Jeszcze pół życia przed nim. Pół życia i pół morza. Ile coś

takiego może kosztować? Nieważne, zawsze może pożyczyć. Może wziąć pożyczkę pod zastaw domu. Powinien porozmawiać o tym z Anetą. To byłby dobry powód. Powinni razem zrobić coś nowego.

Ale to też było nowe.

Szli Husviksvägen na południe. W ogrodach, które mijali, było cicho, jakby wszyscy mieszkańcy byli gdzie indziej. Może w kościele. Kiedy schodzili na ląd, słyszeli kościelne dzwony. W wielu ogrodach leżały jeszcze sterty liści, jak ostatnie pozdrowienie jesieni. Było równocześnie lato, jesień i wczesna zima. Powietrze było ostre, szczypało w nos.

Kąpielisko tworzyło kilka niewielkich plaż rozciągających się między skałami. Pomosty wyglądały na nowe, jakby je zbudowano tego lata. Wieża do skoków była starsza. Kiedy tu byłem ostatni raz? – pomyślał Halders. Czy w ogóle kiedyś tu byłem?

– Byliśmy tu kiedyś? – zapytała Magda.

I nagle sobie przypomniał. To był taki dzień jak dzisiaj, ale trochę wcześniej, prawdziwe lato.

– Tak, kiedy byłaś mała. Byliśmy tu kilka razy.

– Mama też była z nami?

– Tak, kochanie.

Słońce otaczała leciutka mgiełka, jakby coś z morza wypłynęło na niebo i wyspy trochę dalej na zachód. Halders wziął córkę za rękę. Wydało mu się, że widzi w jej oczach podobną mgiełkę. Może w jego oczach też była. Margareta lubiła szkiery. To ona mówiła o tym, żeby tu kupić dom. Może coś więcej niż tylko letni domek.

Usiedli na skałach.

Aneta zaczęła wyciągać z koszyka prowiant.

– Już będziemy jeść? – zdziwiła się Magda.

– A co, nie jesteś głodna? – zapytała Aneta.

– Jestem... ale wolałabym jeszcze trochę zaczekać. Najpierw chcę się przejść i rozejrzeć.

– To zróbmy tak – zgodził się Halders. – Zaczekamy. Co powiesz, Aneto?

– Jasne.

Magda ruszyła w stronę wieży do skoków. Wyglądało to prawie, jakby podskakiwała. Grała kiedyś w piłkę ręczną, ale przestała. Teraz nie chciała trenować żadnego sportu. Halders nie zmuszał jej do niczego. Dużo siedziała w swoim pokoju, czytała książki. Czytała wszystko. Odkąd Aneta wyprowadziła się z domu, zrobiła się jeszcze bardziej cicha. Próbował z nią rozmawiać, ale nie znajdował odpowiednich słów. Tak to odczuwał. Nie wiedział, co ma powiedzieć ani jak ma powiedzieć. Zresztą i tak nic nie wiedział. To Aneta wiedziała. Wiedziała, jak będzie wyglądała ich przyszłość.

– Pięknie tu – powiedział.

– Tak.

– Mogłabyś tu zamieszkać, Aneto?

– Tutaj? Znaczy na tej wyspie?

– Właśnie, na przykład. Na szkiełach.

– Mieszkać na stałe?

– Tak. Co byś na to powiedziała?

Nie dostał odpowiedzi. Aneta śledziła wzrokiem Magdę. Dziewczynka zaczęła się wspinać na wieżę, ale potem chyba się rozmyśliła. Spojrzała za siebie, na nich oboje. Chyba się uśmiechnęła. Halders pomachał do niej. Ona też pomachała. Aneta również do niej pomachała.

– Robi się duża – powiedziała.

– Tak.

– Teraz, kiedy jej nie widziałam... przez jakiś czas, mam wrażenie, że nagle tak wyrosła.

Halders położył dłoń na jej ramieniu.

Widział łzy w jej oczach. Pojawiły się, kiedy wymawiała ostatnie słowa.

– Boże, dlaczego to powiedziałam – rzuciła.

– Aneto. Jak to z nami będzie? Co mamy zrobić?

– Może my też się kawałek przejdziemy? – zaproponowała, wstając.

Bergnhem zbiegał z ostatnich stopni. Chciał wyjść. Przez wahadłowe drzwi widział już wchodzący do środka mrok. Jeśli tam wejdzie, już zostanie. Nie mógł oddychać. Jeśli tylko uda

mu się wydostać, znów złapie oddech. Przebiegł obok recepcji. Kobieta siedząca za kontuarem popatrzyła za nim. Coś zawołała. Ktoś inny odwrócił się i powiedział kilka słów, chyba dwa. Nie słyszał, co to były za słowa. Był już na zewnątrz, cudowne powietrze wypełniło mu płuca, wdarło się jak rzeka. Pił powietrze. Przed chwilą, w środku, wstrzymywał oddech przez dziesięć minut. To był rekord świata.

W samochodzie odczekał chwilę. W środku było cicho. Był prawie sam w tej części parkingu. W drzewach ruszał się wiatr. Nie słyszał go. Puścił muzykę z odtwarzacza, ale nie słyszał, co to było. Wyłączył. Z komendy wyszedł Winter. Światło odbijało się w jego włosach. Wyglądało jak aureola, jakby miał wokół głowy świetlistą wstęgę. Zniknął po drugiej stronie, pewnie tam zostawił samochód. Bergenhem opuścił głowę na kierownicę. Nie był w stanie myśleć. Nie był w stanie słuchać. Nic nie widział. Nic nie widzę, myślał, ale tu się mylił. Kiedy podniósł głowę, widział wszystko.

Powoli objechał Dworzec Centralny. Mógł jechać tak wolno, jak tylko chciał, na ulicy nie było nikogo innego. Można by powiedzieć, że jest jeszcze za wcześnie. Ludzie z popołudniowego szczytu na ulicach miasta wrócili do domu, a imprezowicze jeszcze nie wyszli z domów. Ten czas był jak próżnia, czarna dziura, w której nic się nie działo. Wszyscy byli w domach.

Zawahał się przed wjazdem na most Götaälv. Hisingen był jego domem, jakkolwiek na to patrzeć. Zjechał na bok, skręcił na północny parking przy dworcu, zatrzymał się. Taksówki czekały na klientów. Dworzec też czekał. Za dziesięć minut pociąg ekspresowy ze Sztokholmu X2000 miał wjechać na peron i wypluć setki pasażerów. Odezwała się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

Zadzwoń do mnie.

Ale nie zadzwonił. Włączył silnik, wjechał na obwodnicę, potem w Gullbergsvass. Na Gullbergs strandgata mijal zardzewiałe wraki, gazownię w Marieholm. Zawrócił przy Cash i pojechał z powrotem. Komórka znów zapiszczała. Leżała na siedzeniu obok, jarzyła się niezdrową zielenią. Wziął ją do ręki:

Zadzwoń do domu.

Zaśmiał się.

Zadzwoń do domu!

Zaparkował pod gazownią. To była prawdopodobnie najbrzydsza budowla w Göteborgu, nawet słowo budowla było dla niej za ładne. Mówiło się, że zostanie przerobiona na mieszkania. Powodzenia.

– Chciałaś, żebym zadzwonił.

Siedział z komórką przyciśniętą do ucha. Przecież zadzwonił. Nie podłączył zestawu głośnomówiącego. Teraz jej głos zupełnie inaczej brzmiał w jego uchu.

– Gdzie jesteś, Lars?

– Siedzę w samochodzie.

– Nie o to mi chodziło. W którym miejscu jesteś?

– Ehh... Gullbergsvass. Gazownia.

– Co tam robisz?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Co się w ogóle stało?

– Nic się nie stało. W każdym razie nie stało się nic nowego.

– Przycisnął komórkę do ucha jeszcze mocniej. – Dlaczego chciałaś, żebym zadzwonił?

– Ada czekała od szóstej.

– Od szóstej? A która jest?

– Wpół do ósmej.

– Miałem ją odebrać?

– Nie pamiętasz już?

– Nie... nie, nie pamiętam.

– Lars.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Poszła do koleżanki. Jest u Lisy.

– Kurwa.

– Nie musisz kląć.

– Zadzwonię do niej.

– Zostawiła komórkę w domu.

– Nie chce, żeby dzwonił?

– Tego nie wiem, Lars.

– Pozdrów... pozdrów ją ode mnie. Powiedz...

– Co mam jej powiedzieć? Co?

Jakiś samochód nadjechał z przeciwka i zaświecił mu prosto w oczy. Ale to nie bolało. Głowa bolała go od przyciskania komórki. Przycisnął ją jeszcze mocniej. Zobaczył czerwone tylne światła. Gdzieś w oddali jarzył się most. Był piękny, był najpiękniejszą rzeczą, jaką w tamtej chwili widział.

– Co mam jej powiedzieć? – powtórzyła Martina.

– Tylko... pozdrów... ją.

– Co z tobą, Lars? Co robisz? To brzmi tak dziwnie.

Przycisnął cholerną komórkę do ucha jeszcze mocniej, jakby chciał ją przepchnąć na drugą stronę głowy. Od ucha do ucha.

– Możesz... tu przyjechać, jeśli chcesz.

Nie odpowiedział. Most wyglądał, jakby się zbliżał. Jarzył się i jarzył. Ale to był statek przesuwany się po rzece. Właśnie wypływał w morze. Nie zbliżał się, to było tylko złudzenie.

Wypuścił komórkę z ręki.

W jego uchu wył orkan. Słyszał głos Martiny dobiegający gdzieś z oddali.

Winter czekał przy telefonie. Bergenhem nadal się nie zgłaszał. Słyszał, że Angela jest w łazience. Ktoś gwizdał na podwórku ich kamienicy. Kuchenne okno było otwarte. Melodia się urwała. Podwórze miało straszną akustykę. Najgorzej było, kiedy ktoś gwizdał.

Wybrał inny numer.

Nie musiał czekać długo, jeden sygnał, może nawet pół.

– Tak?

Martina mówiła zduszonym głosem.

– Mówi Erik. Erik Winter.

– Erik. Dlaczego dzwonisz?

– Rozmawiałaś wieczorem z Larsem?

– Tak. Właśnie teraz. Przed chwilą. Co... czy coś się stało?

– Nie, nie. Tylko trochę się niepokoję.

– Dlaczego?

– Jak się czuł?

– Ale co się stało? Powiedz, co jeszcze się stało?

Co jeszcze się stało. Co miał powiedzieć? Nie chciał nic

mówić. Nie dzisiaj i nie Martinie. Chciał się tylko dowiedzieć, jak się Lars czuje.

– Gdzie on jest?

– On... siedział w samochodzie. Przy gazowni. Tam przy zakładach tytoniowych. Nie wiem, dlaczego tam był. Nie powiedział mi. A potem połączenie się zerwało.

– Zerwało?

– Próbowałam zadzwonić jeszcze raz, ale nie odbiera.

– Aha. Rozumiem.

– Co mam teraz zrobić?

Winter zastanawiał się gorączkowo. Miał przed oczami niedawną twarz Bergenhema. To, co kiedyś było twarzą.

– Czy on dzisiaj pracuje? – zapytała Martina. – Jest teraz na służbie?

– Nie. Ale wyślę tam radiowóz – odparł Winter. – W okolicy gazowni.

22:30

ŁÓDKA DOBIJAŁA DO POMOSTU. Wszystko było tak ciche, jak tylko mogło być. Morze naprawdę było jak lustro. Nie było nawet najłżejszego wiatru. Powierzchnia wody wyglądała jak gładka i przezroczysta podłoga. Można by po niej iść aż do Danii.

Pomyślała o chłopaku, który siedział na dziobie żaglówki. Mógł popłynąć do Danii i jeszcze dalej.

Kiedy będzie większa, też będzie żeglować. Jachtem można dotrzeć wszędzie. Na morzu nie ma żadnych murów. Można nawet okrążyć ziemię. W każdym razie ona zamierzała to zrobić, opłynąć dookoła świata. Wszystkie kontynenty. Chciała zobaczyć wszystko.

A teraz chciała wrócić do ośrodka. Tam miała przynajmniej łóżko. Mogli na nią krzyczeć, jeśli chcieli. Christian na pewno ją obroni. Poczula, że jest jej zimno. Wiało, kiedy płynęli. Łódka wytwarzała własny wiatr. Nie była zbyt duża, ale naprawdę szybka. Mało brakowało, żeby motor był większy od łódki. Dałby radę zanieść ich do Danii. Może nie dookoła świata, ale

prawie.

Ten, co siedział na dziobie, wyskoczył z łódki. Chwycił linę.

– Pora wysiadać – rzucił chłopak siedzący za jej plecami.

Podniósł się, stał obok niej.

– Chcę wracać – powiedziała.

Nie odpowiedział.

– Zimno mi.

– Myślałem, że trochę popływamy.

– Pływać? Nie chcę pływać. Jest już zimno.

– Nie, nie. Teraz wcale nie robi się zimno. Pokażę ci.

– Nie chcę. Chcę wracać do ośrodka.

– Myślałem, że go nie lubisz.

– Raczej nie możesz nic o tym wiedzieć.

– Przecież stamtąd uciekłaś.

– Wcale nie uciekłam, wiesz? Wyszłam sobie tylko, żeby chwilę popływać.

– Wszystko na to wskazuje, no jasne.

– O czym ty mówisz!?

Nagle poczuła uderzenie w ramię. Odebrała to jako uderzenie. Nie była na to przygotowana.

Odwrociła się. To był ten, który sterował łódką.

– Złaćcie – powiedział. – Zejdźcie na pomost.

Nie słyszała przedtem jego głosu.

– Ja chcę wracać!

– Uspokój się – powiedział ten drugi. – Musimy najpierw wysiąść z łódki, nie?

Potknęła się, kiedy wysiadała. Zobaczyła niebo, wirowało nad jej głową. Teraz było trochę ciemniejsze, jeszcze bardziej niebieskie.

Złapał ją ten, który już stał na pomoście.

36

BERGENHEM WŁĄCZYŁ SILNIK. Widział, jak po drugiej stronie rzeki, nad Ringön, migocze światło. Wyglądało to na jakiś system sygnalizacji. Może to nawet było coś takiego. Właśnie finalizowano jakiś przemysł. Transport kontenerowy.

Kontenerom nie robi różnicy: zło czy dobro. Całe północne nabrzeże jest pełne kontenerów przepelnionych dobrem albo złem. Narkotyki przyplływają w kontenerach. Ludzie przyplływają w kontenerach. Znowu zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Erik Winter. Erik Sprawiedliwy. Czego znowu chce? Mam oddać legitymację i broń? Że też mnie nie aresztował, nie wsadził do paki. Utrudnianie śledztwa. Powinienem im powiedzieć. Nie było nic do opowiadania. Ledwo go widziałem. Tam. Powinienem o tym powiedzieć. Nie było czasu. Przecież pracowałem. Czy to nie ja znalazłem auto na moście? To uruchomiło całą sprawę. Nie wiemy, dlaczego tam stało, ale to ja je znalazłem. Pięć minut później mogło go nie być. Ktoś był w pobliżu. Czuję to. Pod autem? Nie zaglądałem przecież pod podwozie. Ktoś mógł wisieć pod mostem. Takie rzeczy już się zdarzały. Można się ukryć. Pod samochodem. Dlaczego tam nie zajrzałem? A ten Edwards? Sprawiał wrażenie, jakby o niczym nie miał pojęcia. Wie więcej, niż mówi. Powinienem z nim pogadać jeszcze raz. Umiałbym to poprowadzić lepiej niż Winter. Czego on chce? Znowu dzwoni. Nie muszę odbierać. Nie jestem na służbie. To moje życie prywatne. Teraz jestem osobą prywatną. Teraz jestem sobą. Muszę stąd odjechać. Silnik już się grzeje. Popełniłem przestępstwo, samochód na jałowym biegu przez ponad minutę, ale kiedy to robiłem, byłem osobą prywatną.

– Magda? Magda! – Halders wołał córkę. Nigdzie jej nie widział. Jeszcze przed chwilą szła w stronę wieży. – Magda!?

– Tu jestem, tato.

Wyszła zza skały.

– Schowałaś się?

– Nie.

– Przespacerujemy się. Trzeba się trochę przejść – powiedział Halders.

– Nie chcę nigdzie iść. Już się nachodziliśmy.

– Okej.

– Możesz iść sam, Fredriku. Ja tu zostanę z Magdą.

Aneta otoczyła ramieniem szyję dziewczynki. Ale jest

chudziutka, pomyślała. Sama skóra i kości. Czy ona teraz się taka zrobiła?

Magda wyglądała na zadowoloną.

– Dziewczyny zostają – powiedziała Aneta i uśmiechnęła się do niej.

– Przejdę się tylko kawałek – oznajmił Halders. – Możemy zjeść, jak wrócę.

– Jasne.

– Aneto?

– Tak?

– To jest... to... – Urwał. – Możemy jeszcze porozmawiać potem. Zanim wrócimy do miasta. Aneto?

Skinęła głową.

– Ja... ja się mogę zmie...

– Idź już, Fredriku – przerwała mu.

Halders szedł w górę Ramdalsvägen do skrzyżowania. Ścieżka Miłości biegła w drugą stronę, przez wierzchołek góry. Skręcił w lewo, w dół Husviksvägen, i szedł jeszcze kawałek w prawo, aż dotarł do Bönekällan. Tak się nazywała krótka uliczka. Biegła stromo pod górę. Szedł nią, aż się skończyła i zmieniła w ścieżkę na szczyt. Drzewa rosły gęsto, jak w skierowej dżungli. Wiele straciło już liście, a mimo to widoczność była ograniczona. To była puszcza. Po prawej stronie w gąszczu ukazała się jakaś szopa. Podeszedł bliżej. Okazało się, że to coś dużo większego niż szopa, raczej letni domek. Pilnie potrzebował remontu. Wyremontować i sprzedać za kilka milionów, pomyślał. Kiedy się stanie na dachu, widać morze.

Wszedł na werandę. Trzeszczała ze starości i zaniedbania. To tak jak w życiu, pomyślał. Wiek i zaniedbanie. To się wiąże. W końcu człowiek już nie daje rady.

Zajrzał przez okno do środka. Przynajmniej było całe, z tego co widział. W domku było czarno, same kontury, które mogły być czymkolwiek. Może łóżkiem, może stołem. Nacisnął klamkę. Dlaczego? Zwykła ciekawość. Gdyby go ktoś zobaczył, zawsze może powiedzieć, że jest policjantem. Albo maklerem.

Ciekawe, do kogo to należy. Kto mógłby coś takiego posiadać? Trochę dziwne położenie jak na letni domek. Może to jakaś stara wędzarnia należąca do któregoś z domów stojących przy uliczce na dole. Może postawiono tu ten dom, żeby poczekać na morze. Pewnego dnia poziom wody się podniesie i woda dojdzie aż tutaj. Zresztą już tu była. Jakieś dwadzieścia metrów dalej widział migoczące między drzewami bajorko. To też było niezwykle. Zbiornik wodny na szczycie wyspy. Woda powinna przecież tylko otaczać wyspę, a nie wylewać się z jej środka. Ale ona się nie lała. Powierzchnia wody była spokojna, jak martwa. Była zupełnie czarna, jak noc bez sztucznego światła. Nie słyszał ptaków, żadnych odgłosów, nic. Bajoro było większe, niż sądził, kiedy widział je z daleka między drzewami i skałami. Pewnie było diabelnie głębokie, szczelina w skałach aż do samego środka ziemi. Jak morski grób. Stał na jego brzegu. Woda wyglądała jak smoła. Mógłby po niej chodzić. Chodzić po wodzie. Przeszedł wzdłuż brzegu na drugą stronę i po chwili stanął w najwyższym punkcie wyspy. Stamtąd było widać wszystko. Na zachodzie otwarte morze. Kilka statków handlowych wypływało w morze, z pokładami wyładowanymi klockami kontenerów. Widział biały prom, pewnie do Fredrikshavn. W dole widział Husvik, a nawet pomost, wysepki i skały trochę dalej. Dużo ich było. Tutaj było właściwie więcej ładu niż wody, a mimo to wszystko otaczała woda.

Popatrzył w drugą stronę, na zapuszczoną chatę. Stamtąd przyszedł. Czy w powierzchni jeziora nie odbijał się dom? Jak odcisk? Prawie tak to wyglądało, choć nie powinno. Odległość była za duża.

Coś mignęło w jednym z okien, tam, w lesie, błysk trwający sekundę. Halders podniósł wzrok, spojrzął na niebo. Słońce stało w tym samym miejscu, tak samo odporne jak zawsze. Nie oddaliłoby się dobrowolnie. Nie poruszyło się. Nie było chmur. Na niebie nie było ptaków ani samolotów.

Więc dlaczego w oknie mignęło?

Poruszyło się. Słońce się nie ruszało. To okno się poruszyło.

Winter pojechał radiowozem do gazowni. Aspirant siedzący

za kierownicą ani jego kolega o nic nie pytali. Nie pierwszy raz zabierali komisarza spod domu.

– Czego szukamy? – zapytał kierowca.

– Zatrzymaj się tu – rzucił Winter.

Wysiadł i ruszył wyboistą promenadą. Nie było samochodów, tylko stare łajby w różnym stadium rozpadu. Szedł w stronę parkingu. Stały tam trzy samochody, ale żaden nie należał do Bergenhema. Gazownia rzucała na plac wielki cień, czarny na czarnym. Okrągłą budowlę oświetlała od tyłu sieć miejskich autostrad.

Winter wrócił do radiowozu. Usiadł z tyłu.

– Możecie mnie podrzucić do Eriksbergu? – poprosił.

– Spokojnie – rzucił kierowca i zjechał z pobocza na jezdnię. Był bardzo młody. Jest młodszy niż ja, kiedy byłem młody, pomyślał Winter. Wygląda jak licealista. Ten drugi jest niewiele starszy. Wygląda na studenta.

– Wieczór się jeszcze nie zaczął – powiedział student.

– No właśnie – przyznał Winter.

– Ale trochę później może się zrobić ostro – dodał licealista.

– Jasne, że się zrobi – odparł student. – A za kilka tygodni będą wypłaty. Będzie się działo.

– Będzie się działo – powtórzył licealista.

– Może ludzie powinni dostawać wypłatę dopiero po weekendzie – ciągnął student. – Albo może powinno się wypłacać pieniądze każdego dnia po trochu.

– Dobry pomysł – stwierdził licealista.

– Wtedy nie wszyscy będą musieli być królami knajpy w ten sam wieczór – dodał student.

– Dlaczego do tej pory nikt na to nie wpadł? – zdziwił się licealista.

– Ktoś musi być pierwszy – powiedział student. – Minister pracy.

– Minister płac – dodał licealista.

– A jest w ogóle ktoś taki? – zapytał student.

Winter przysłuchiwał się banałom dolatującym z przednich siedzeń. Może to była czysta ironia. Albo głupota. Może chłopcy powtarzali te same słowa setki razy, jak aktorzy w komedii.

Albo w tragedii. Dzisiaj on jest publicznością, kiedy indziej ktoś inny, jakiś przedstawiciel półświatka. Dla tych młodych policjantów z przodu to sposób na to, żeby skrócić sobie wieczór, a może również trzymać na wodzy strach.

Skrećili na Götaälvbron. Stara, trzeszcząca wersja następcy, kawałek dalej na zachód. Winter nie pamiętał, kiedy ostatni raz przejeżdżał przez ten most. Teraz jeździło tędy więcej autobusów i tramwajów. Trasa biegu maratońskiego też tędy prowadziła. Większość kierowców wołała jednak stać w korkach w Tingstadstunnel albo na Älvsborgsbron.

Kierowca jechał Lundbyleden na zachód, do tunelu. Nie musiał tędy jechać. Może lubił tunele. To uczucie, jakby się jechało przez ogromny, opróżniony ze wszystkiego pokój. Byli w środku sami. Tunel ciągnął się całymi kilometrami. Oświetlało go niezdrowe niebieskie światło, wyglądało jak rozprysnięty ołów. Tunel był dłuższy, niż Winter zapamiętał. Nie pamiętał zbyt dużo z Hisingen, bo nie bywał tam zbyt często. To się miało zmienić. Hisingen przejmowało miasto, zarówno część naziemną, jak i przestępcze podziemie. To była prawdziwa Hising Island, zwana Action. Najbardziej dynamiczna wyspa Szwecji.

Wyjechali z tunelu. Licealista skrećił na Eriksberg.

– Dokąd teraz? – zapytał i odwrócił się na chwilę do Wintera.

– Nie wiem dokładnie. Gdzieś na Skeppspromenaden. Chyba jakoś w centrum dzielnicy.

– Możemy pojechać koło Kvarnen – rzucił student.

– Wiem – odparł licealista.

Byli coraz bliżej. Domy stawały się coraz wyższe. Prawdziwy *skyline*.

Kiedy mijali dawny młyn, Winter popatrzył na niego. Wyglądał jak twierdza, warowny zamek z dawnych czasów, z czasów potęgi.

– Przerobili go na mieszkania – powiedział student. – Odjazdowe. W stylu penthouse.

– Znam kogoś, kto tam mieszka – wtrącił licealista.

– Naprawdę? Kogo?

– Nie znasz. Taka jedna laska.

- Laska? Znasz laskę, co ma penthouse w Kvarnen?
- Tak.
- Przepraszam, że się wtrącam – powiedział Winter – ale czy któryś z was wie, gdzie się zaczyna Skeppspromenaden?
- Co... aha... tam się zaczyna – odparł zaskoczony licealista. Kiwnął głową gdzieś przed siebie i podjechał jeszcze kilka metrów.
- Tu. – Wskazał ręką. Zatrzymał radiowóz. – Niedaleko. Trzeba tylko zejść w dół, na nabrzeże. Sörhallskajen to się chyba nazywa.
- Znasz tę okolicę – stwierdził Winter.
- Laska z Kvarnen – skomentował student.
- Zamknij się – odpowiedział jego kolega.
- Nie musicie czekać – powiedział Winter, gramoląc się z tylnego siedzenia.
- Nie potrzebuje pan pomocy? – zapytał student.
- Nie mogę dłużej zabierać wam czasu – odparł Winter. Spojrzał na zegarek. – Weekend właśnie zaczyna się na dobre.
- Czego pan szuka? – zapytał student.
- Nie wiem do końca.
- To się częściej zdarza? Że się nie wie? Kiedy się pracuje w kryminalnym? Że się tak wychodzi i obserwuje... tak po prostu?
- Czasami. Ale przeważnie prowadzimy sami – odparł Winter.
- Dlaczego dzisiaj nie wziął pan samochodu?
- Wypiłem trochę przedniej valpolicelli – wyjaśnił Winter i zamknął za sobą drzwi.

Halders przyglądał się domowi, oknu. Teraz nic się nie poruszało. Nic nie błyskało, żadnych refleksów. Może to jego oczy. Musiał mrugać co trzy sekundy. Zapomniał zabrać okulary przeciwsłoneczne. Słońce cały czas oślepiało. Jeszcze gorzej było, kiedy wszędzie wokół było morze. W taki dzień jego powierzchnia wyglądała jak srebrna folia aluminiowa.

Zsunął się ze szczytu wzgórza wzdłuż skalnej szczeliny. Jezioro wyglądało jak czarna dziura. Może słońce zdążyło się

kawałek przesunąć. Teraz woda była jeszcze czarniejsza.

Znów wszedł na werandę. Właściwie nie była to weranda, raczej podest wieńczący kilka schodków. Ciągnął się kilka metrów w obie strony. Halders znów nacisnął klamkę. To samo co przedtem. Drzwi zdawały się być jedyną solidną rzeczą w tej rudерze. Drzwi i okno. Zwykle takie rzeczy psują się pierwsze, wybite kamieniami przez chuliganów, ale może na Brännö nie było chuliganów. Wszyscy zostali deportowani na Asperö albo Styrsö.

Spróbował obejść domek, ale chwasty i inne dzikie zarośla o ostrych kolcach i liściach mu to uniemożliwiły. Pod boczną ścianą rosło kilka krzaków róży. Skały dochodziły aż do tylnej ściany. Ścianę domu od płaskiej skalnej ściany dzieliło tylko kilkadziesiąt centymetrów. Albo dom się przemieścił, albo skała, a może budowniczy miał szczególny dar lokowania obiektów w przestrzeni. Halders znów zajrzał przez okno. Może to wyjaśniało, dlaczego w domu jest tak ciemno. Z drugiej strony nie wpadała ani odrobina światła. Nadal widział te same ponure kontury. Nikt nie zrobił przemeblowania, odkąd zaglądał tam ostatnio. Ale kto miałby się tam ukrywać? I co on miał z tym wspólnego? Może jakiś dzieciak, jakiś chuligan. Pijak. Mimo wszystko była sobota.

– Halo? – zawołał. – Halo!? Jest tu kto?

Nie usłyszał odpowiedzi, zresztą wcale się jej nie spodziewał.

Oczy spletały mu figła.

Mógł wyłamać drzwi, ale chyba nie było takiej potrzeby. Nie po to tu przyjechał, żeby wyłamywać jakieś drzwi. Był tu po to, żeby spróbować naprawić swój związek. Wszystko wskazywało na to, że był w gorszym stanie niż ta rudera. I nagle poczuł, że wcale nie jest taki pewny. Ani niepewny. Może jest jakaś nadzieja. Zszedł z werandy.

Sześćoletnie dziecko bawiło się czerwoną piłką w ogrodzie przy domu na rogu Bönekällan i Husviksvägen. Halders podniósł rękę, żeby do niego pomachać. Wystraszone dziecko popatrzyło na niego i uciekło, zniknęło za domem. Może tutejsi nie są przyzwyczajeni do obcych, przynajmniej nie o tej porze roku. Może dziecko było opóźnione w rozwoju. Przecież to

wyspa. Słyszał jakieś głosy zza domu, ale nikt się nie pokazał. Może wszyscy siedzieli tam stłoczeni ze strachu: ojciec, matka, dzieci, jeden dziadek, drugi dziadek, obie babki i prababka. Najlepiej sobie iść.

Aneta i Magda czekały na kocu. Jedzenie już było przygotowane.

– Gdzie byłeś, tato?

– Poszedłem na szczyt góry.

Wskazał, skąd przyszedł, i usiadł na kocu.

– Wysoko było?

– Aż się w głowie kręciło.

– Mogę tam pójść?

– Tam nie ma nic specjalnego, kochanie. O wiele przyjemniej jest tutaj, na plaży.

– Zamoczyłam stopy w wodzie!

Uniosła do góry swoje małe stopy. Dopiero teraz zobaczył, że są bose.

– I nie było zimno?

– Nie!

– Ja też zamoczyłam – powiedziała Aneta. I podniosła stopy do góry. – Nie było zimno.

– No to zostałem tylko ja – stwierdził Halders. Zrzucił buty, ściągnął skarpety i poszedł na brzeg.

Woda nie była zimna.

Ciepło było mu też w środku, w brzuchu, w piersi. I w głowie. Wydało mu się, że Aneta się uśmiechnęła. Może to słońce znów spletało mu figła. Spojrzał w górę. A ono uśmiechnęło się do niego, stare, poczciwe słońce. Poczul się spokojniejszy, niż powinien być.

Winter stał przy bramie domu przy Skeppsromenaden 3. Sam nie wiedział, co powinien zrobić. Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Bergenhema. Odpowiedział mu tylko anonimowy głos poczty głosowej. Skąd oni biorą te zimne głosy? Są sztucznie generowane? A może są ludzie, którzy naprawdę tak mówią? Kobieta, której metaliczna gadka odzywała się na sekretarce Swedbanku, na pewno była spikerką

w wiadomościach albo prezenterką.

Zadzwoiła jego komórka.

– Znalazłeś go, Eriku?

– Nie.

– Dzwoniłam do Martiny – powiedziała Angela. – Kilka minut temu.

– I co?

– Powiedziałam, że chciałam się tylko dowiedzieć, jak się czuje. Że wiem o wszystkim.

– To dobrze.

– Nie wie nic nowego. Lars nie dzwonił dziś wieczorem.

– Zapytałaś?

– Tak. Powiedziałam, że chcesz z nim o czymś porozmawiać.

– Okej.

– Gdzie jesteś?

– W tej chwili stoję przed domem, w którym mieszka, w Eriksbergu. Czy raczej jego przyjaciel, jak mówi.

– Co zamierzasz zrobić?

– Właściwie nie wiem, Angelo. Pójść sobie chyba.

– A nie możesz zadzwonić domofonem? Do domu? Jeśli tam jest, to jest.

– Ja... ja chcę przede wszystkim z nim porozmawiać.

O dzisiejszym wieczorze. Albo popołudniu.

– Postaraj się zaraz potem wrócić do domu.

– Tak.

– My też musimy porozmawiać, Eriku.

– Porozmawiać o czym?

– Eriku...

– O czym jeszcze mamy rozmawiać, Angelo?

– To... pogadamy, jak będziesz w domu. Bo przecież było tak... nie byłeś sobą ostatnio... – Przerwała. – Bez sensu, żebyśmy teraz zaczęli przez telefon. Wracaj do domu, Eriku. Wróć szybko.

– Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Cześć.

Rozłączył się.

Jakiś mężczyzna przeszedł obok niego. Wstukał kod do bramy na panelu w ceglanej ścianie. Otworzył drzwi. Odwrócił

się jeszcze.

– Mogę panu jakoś pomóc?

Winter potrząsnął głową.

Zaraz sobie pójdzie. Tak postanowił.

– Szuka pan kogoś?

Mężczyzna zrobił się podejrzliwy. Puścił drzwi, pozwolił, żeby się zatrzasnęły, choć nie wszedł do domu.

– Nie, nie – powiedział Winter. Odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Kim pan jest?

Winter nie odpowiedział.

– Halo! – słyszał za sobą. – Halo!

37

KOŚCIÓŁ MASTHUGGSKYRKAN po drugiej stronie rzeki wyglądał jak twierdza. Umocnienia do obrony przed złymi duchami. Reflektory na kamiennej fasadzie rzucały światło w noc, tworząc jasną drogę dla wszelakiego dobra tego świata. Kiedy Winter jako dziecko chodził z rodzicami do kościoła, słyszał kazanie pastora na temat wszelakiego dobra tego świata. Jakby kościół miał być pełen dobrych rzeczy. Myślał wtedy o dobrych rzeczach do jedzenia, o słodyczach, ale nigdy nic takiego tam nie widział. Najbliżej była może komunia. Kiedy po raz pierwszy do niej przystąpił, zdziwił się, że wino jest słodkie. Opłatek przykleił mu się do podniebienia. Ale nadal chadzał do Domu Pana. W coś trzeba przecież wierzyć. Bez wiary zostaje tylko świat we władaniu diabła. Znał każdy jego kilometr kwadratowy.

Stał na Sörhallskajen. Wołanie za jego plecami ucichło. Szedł dalej, w dół Skeppspromenaden. Mężczyzna nie szedł już za nim. Nie chciał wiedzieć, nie chciał wchodzić do domu, w którym Lars w tej chwili mieszkał. Tymczasowo. Do tymczasowego domu, pomyślał. Lars żył tymczasowo. To było teraz jego życie. Jego życie. Jeśli jeszcze ja tam wejde, będzie tylko gorzej. Musi nam wystarczyć praca. Dzwoniłem do tego cholernego domu. Nikogo nie było. Lars by odpowiedział,

gdyby tam był.

Szedł dalej na zachód. Älvsborgsbron kilka kilometrów dalej jarzył się jak Golden Gate Bridge. Złota brama. Brama ze złota wiodąca do miasta. Albo z niego.

Minęło go jakieś rozbawione towarzystwo, w drodze do River Café na Dockpiren. Słyszał śmiechy. Widział kilka osób czekających na prom. Älvsnabben powoli dobijał do nabrzeża. Na krańcu pirsu jarzyły się światła restauracji. Towarzystwo znów wybuchnęło zbiorowym śmiechem. Prom przybił. Winter spojrzął w stronę Eriksbergstorget. Zobaczył szyld „Hotell 11”.

Bergenhem jechał przez Långedrag. Jak tu trafił? Nie wiedział. Pamiętał tylko, że wyruszył spod Gullbegrsvass. Pamiętał zapach przy fabryce tytoniu. Był tam. Jechał przez Götatunneln, był w nim sam. Nic więcej nie pamiętał. A teraz jechał od strony Saltholmen, więc musiał tam być i zawrócić. Był na Saltholmsgatan.

Kilkaset metrów dalej skręcił w lewo. Przejechał kolejne kilkadziesiąt metrów krętą ulicą. Zatrzymał się przed domem. To tutaj. To tutaj przyjechał tamtego ranka, kiedy wszystko się zaczęło. Pamiętał, że był to dość ciepły poranek, jak wszystkie inne. Czy raczej świt. Podobny świt będzie pewnie jutro. Kolejne jutro. Jakie ono będzie?

Wysiadł z samochodu. Na drugim piętrze świeciło się w kilku oknach. Przed domem nie było auta. Ulica była pusta.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, zdawał się go nie poznawać. Bergenhem słyszał kroki na schodach, kiedy zadzwonił do drzwi. Wyraźnie było je słyhać, jakby dom nie miał jeszcze izolacji.

– Tak?

– Czy pan mnie poznaje? – zapytał Bergenhem.

– Kim pan jest?

Ale właśnie go rozpoznał. Bergenhemowi powiedziała to mowa jego ciała. Słowa nie miały znaczenia.

– Mogę z panem chwilę porozmawiać?

– Już rozmawiałem – odparł Roger Edwards. – Nie mam nic więcej do powiedzenia. Rozmawiałem niedawno z tym drugim.

Z komisarzem.

– Winterem.

– Tak, z Winterem. Nie mam nic do powiedzenia. Czego pan jeszcze chce? Dlaczego przychodzi pan tak późno?

– Wcale nie jest późno.

– Czego pan chce?

– Mogę wejść na chwilę?

– Czy wy możecie tak po prostu przychodzić do ludzi do domu? Kiedy chcecie?

– Tak.

Edwards wyraźnie zastanawiał się, co ma teraz powiedzieć. W końcu otworzył drzwi.

– Dobrze, to niech pan wchodzi. Ale nie dam rady rozmawiać godzinami.

– Dlaczego?

– Co?

– Dlaczego nie da pan rady?

– To żart?

– Nie.

– Załatwmy to możliwie szybko. Proszę wejść.

Bergnhem poszedł za nim do salonu. Na pierwszy rzut oka wyglądał na nieumeblowany. Jakby Edwards właśnie się wprowadzał albo wyprowadzał.

– Czy pan się przeprowadza?

– Co? Wy... wyprowadzam się. Sprzedałem dom.

– Kiedy?

– Co kiedy? Kiedy się wyprowadzę?

– Tak.

– Kiedy tylko umowa sprzedaży zostanie sfinalizowana. W ciągu miesiąca, mam nadzieję. Już zacząłem przenosić rzeczy.

– Dokąd?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Śledztwo nadal się toczy – powiedział Bergnhem. – Musi pan podać swój adres.

– Sztokholm – powiedział Edwards. – Ciężarówka już wyjechała. Rörstrandsgatan. Nie pamiętam numeru. Chyba

pięć.

Bergenheim skinął głową.

– O co jeszcze chciał pan zapytać?

– Był pan tam, prawda?

– Co?

– Na moście. Tamtego ranka. Pański samochód. Pan tam był.

– Byłem tam? Mówi pan, że tam byłem? A widział mnie pan?

– Nie. Ale to nie znaczy, że pana tam nie było.

– Gdzie miałbym być w takim razie?

– Pod autem?

Edwards nie odpowiedział. Wyglądał przez wielkie okna, raczej przez szklaną ścianę. Jakby wiedział, że ktoś tam stoi. Zerkał w tamtą stronę kilka razy.

– Czy ktoś tam jest? Na dworze? – zapytał Bergenheim.

– Co?

– Nie jest pan sam?

– Teraz w ogóle nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Co się stało na moście? – zapytał Bergenheim.

– Nie wiem więcej od pana. Pan wie więcej. Pan tam był. Ja nie.

– Pan tam był. – Bergenheim ruchem głowy wskazał na drzwi, na ulicę za nimi. – Kiedy zobaczyłem pana wtedy, jak pan idzie ulicą, nie rozumiałem tego. Ale teraz rozumiem. Pan tam był. Wiedział pan, o co chodziło, dlaczego tu przyjechałem.

Edwards jeszcze raz wyjrzał przez okno. Bergenheim widział ogród, ale był to tylko pusty czarny prostokąt. Edwards spakował też swój ogród i przetransportował go do Sztokholmu. Może posadzi go na dachu domu przy Rörstrandsgatan. Czy to na Vasastan? A może na Söder? Bergenheim pamiętał pewien wieczór w barze na Vasastan. To było przed Martiłą. Przed wszystkim. Przed Adą.

– Jak się pan czuje?

Słyszał głos Edwardsa z daleka, jakby Edwards wyszedł do ogrodu i mówił do niego stamtąd.

– Co pan mówił?

– Nie wygląda pan... dobrze. Jest pan chory? Jak się pan czuje?

– Wszystko w porządku.
– Nie jest w porządku. Pański szef wie, że pan tu jest?
– My tak nie pracujemy.
– Oczywiście, że tak. Przynajmniej tyle się dowiedziałem o pracy kryminalnych. Człowiek tak po prostu nigdzie sobie nie jedzie. Coś się może stać.

– Co się może stać? Niech pan odpowiada na moje pytania.

– Nie chcę już odpowiadać na żadne pytania.

– Nie ma pan odwagi?

– Niech pan już idzie. Powinien pan iść.

Znów rzucił okiem za okno.

Bergnhem przeciął pokój na ukos i otworzył drzwi balkonowe.

– Niech pan nie wychodzi – ostrzegł go Edwards.

Bergnhem nie odpowiedział i wyszedł na niewielki trawnik.

Nie zauważył ciosu. Wszystko zrobiło się czerwone. A potem czarne.

Winter wszedł do hotelowego lobby. Bar był czerwony i czarny, skóra albo skaj. Czerwony i czarny to nie jest łagodna kombinacja. Quality Hotel 11 miał tego wieczoru dużo gości. Przynajmniej tłok w barze na to wskazywał.

Winter podszedł do kontuaru. Musiał chwilę stać w kolejce. Kiedy znalazł się przed barmanem, zamówił piwo Staropramen z beczki. Chciało mu się pić. Wziął kufel i zapłacił. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że przy stoliku na lewo od wejścia, pod oknem wychodzącym na atrium, siedzi Christian Lejon. On też go zauważył. Uśmiechnął się i uniósł szklanekę. Martini. Winter nie uniósł kufła. Odwrócił się z powrotem do baru i łyknął piwa. Słyszał wokół siebie głosy, śmiechy, przekleństwa. Ludzie zaczęli się upijać. Może przez cały miesiąc trwa weekend z wypłatą. Był piątkowy wieczór. Piątek przez cały tydzień. Ludzie na chwilę wyrwali się z kieratu. Można pić. Co innego można zrobić, żeby zapomnieć? Zostać królem haremu. Stał w samym środku stada królów. Kilka królowych. Jedna z nich spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Nie odwzajemnił uśmiechu. Odwróciła się do innej królowej i coś powiedziała.

Wyglądało to tak, jakby szeptała. Obydwie się uśmiechnęły. Winter odwrócił się w drugą stronę. Niedługo zabraknie mu stron.

Barman nachylił się do niego. Coś powiedział.

– Co? – Winter przysunął do niego głowę. – Co pan mówił?

– *Mister Lejon would like you to join him at his table* – powtórzył barman. Brzmiało to tak, jakby był Irlandczykiem. Wielu Irlandczyków pracowało w barach i pubach Göteborga. Ten też wyglądał na Irlandczyka: ciemnowłosa, kanciasty, niebieskawa cera, która nigdy nie oglądała słońca.

Barman dyskretnym skinieniem wskazał na stolik gangstera. Stały stolik. Winter odwrócił się w tamtą stronę. Lejon przyjaźnie kiwnął głową. Tym razem nie podniósł szklanki. Wszystkie stoliki były zajęte, ale Lejon siedział przy swoim sam. Wokół niego stały trzy puste fotele.

– *Tell him I've got other things to do* – odparł Winter i znów odwrócił się do baru.

Barman spojrzał na jego szklankę. Nadal była prawie pełna. Gość chciał pić sam. To było w porządku. Ale mister Lejon nie będzie zachwycony.

– *I would advise you to accept his invitation* – powiedział barman.

– *And if I don't? Will he kill me?*

– *Probably* – odparł barman z uśmiechem. Miał dobre zęby. Standard życia w Republice Irlandzkiej się poprawił. – *Shall I get you anything else?*

– *No* – powiedział Winter. – *I brought my own gun.*

Wziął piwo i przeciskając się przez tłum, ruszył w stronę stolika Lejona. Prawie nic po drodze nie rozlał. Lejon wstał i czekał na niego. Wskazał mu wolny fotel. Był czarnoczerwony. To była skóra, nie skaj. Trudniej utrzymać w czystości, ale lepiej wygląda. Fotele wyglądały na nowe. Cały bar sprawiał wrażenie nowego.

Lejon wyciągnął rękę. Winter uściśnił ją, niemal odruchowo. Dłoń Lejona była ciepła i twarda. Nie wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie musiał pan sam przynosić swojej szklanki – powiedział

Lejon.

– Jestem przyzwyczajony radzić sobie bez służby – odparł Winter.

Lejon się uśmiechnął. Kiwnął głową w stronę fotela.

– Zastanawiam się, dlaczego jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy – powiedział.

– To nie moja wina – stwierdził Winter.

– To niczyja wina. Po prostu tak się złożyło.

– Ale pan wie, jak wyglądam – powiedział Winter.

– Kto tego nie wie? Przecież jest pan znany.

– Pan też.

– Ależ to nic w porównaniu z Winterem. Gdyby pan był rzeczywistą postacią, grałby pan główną rolę w książce. W powieści, może w kryminale. Tak bardzo jest pan znany.

Skoro o książce mowa... Winter podniósł piwo i spoglądał na Lejona znad brzegu szklanki. Nie zamierzał spotykać się z Lejonem. Nie teraz i nie w taki sposób. A może to właśnie to doprowadziło go w to miejsce. Nie wiedział, ile Lejon wie o tym, co on wie o tym, co wie Lejon. Może wcale go to nie obchodziło. Może tylko cieszył się, że Winter wie. O książce.

– Co pan tutaj robi? – zapytał Lejon.

– Jest piątkowy wieczór – odparł Winter. – Słyszałem, że w piątkowe wieczory jest tu bardzo przyjemnie. Chciałem się przekonać.

– Słusznie – przyznał Lejon. – Tutaj naprawdę jest bardzo przyjemnie.

– Widzę, że siedzi pan przy stoliku sam.

– Teraz już nie.

– Nie ma pan żadnych przyjaciół, panie Lejon?

– Teraz mam.

– Dobrze się pan tu czuje? W tej dzielnicy? – zapytał Winter, unosząc kufel.

– To mój dom – odparł Lejon.

– Ale czy w dzień nie jest tu cholernie głośno? Przecież w tej chwili budują na całym terenie Eriksbergsvärdet. Trudno chyba odpocząć.

– Nie.

- Nie boli pana głowa od hałasu?
- Dlaczego pan o to pyta?
- To chyba naturalne pytanie.

Lejon patrzył na Wintera swoim chłodnym spojrzeniem.

– To jest moje miasto – powiedział Lejon. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby znów zaczęło żyć. Długo było wymarłe. Teraz spokojnie mogą trochę pohłasować.

– Domyślam się, że ma pan do tego wyjątkowe podejście. Do nowej części miasta.

– Nowej? Mój ojciec tu pracował – powiedział Lejon. – Tu zginął.

– Wypadek?

– Nie. To było morderstwo.

Winter się nie odezwał. W barze zrobiło się jeszcze głośniejsze. Jakiś facet próbował zabrać dwa wolne fotele od ich stolika, ale Lejon szybko machnął dłonią. To było jak cios karate. Mężczyzna się wycofał.

– Bez niego w ogóle nie byłoby tego miasta – powiedział Lejon. – I mam tu na myśli cały Götedefuckingborg.

– Pewnie tak – przyznał Winter.

– A co robił pański ojciec?

– Grał w golfa – odpowiedział Winter.

– Rozumiem.

– Co pan rozumie?

– Pan z daleka pachnie klubem golfowym.

– Nigdy nie grałem.

– To nie ma znaczenia. – Lejon się uśmiechnął. – To kwestia klasowa.

– A pan swoją porzucił – stwierdził Winter.

– W jakiś sposób tak. Chociaż jednak nie.

– Doprawdy?

– Ja nie zapomniałem.

– Czym się pan zajmuje, panie Lejon?

Gangster znieruchomiał ze szklanką w połowie drogi do ust. Odstawił ją z powrotem.

– Przecież pan wie, panie Winter.

– Co by powiedział pański ojciec, gdyby wiedział?

– Rewanż. Uznałby, że to rewanż.
– Rewanż na kim?
– Na tych bydlakach, co go zabili.
– Czy to im sprzedaje pan swój towar?
– Sprzedaje? Ja niczego nie sprzedaję. To nie moja robota.
– Szefowie. Dyrektorzy. Kapitałiści. Szychy związkowe. Oni to kupują?

– Nie jestem sprzedawcą.
– Czy raczej dzieci, panie Lejon? Młodzież. Biedni. Najbiedniejsi. Najbardziej poszkodowani. Ograbieni imigranci. Zgwałcone kobiety. Zgwałcone dzieci.

– To wszystko jest bardzo odległe od pańskiej klasy, panie Winter.

– To nie jest odległe od mojej rzeczywistości.

– Co pan wie o rzeczywistości?

– Mam do niej bliżej niż pan, panie Lejon.

– Ja niczego nie sprzedaję – powtórzył Lejon. – Poza tym chcę się jeszcze chwilę porozkoszować swoim drinkiem.

– Szukam pistoletu – powiedział Winter.

– Nie ma pan własnego? – zapytał Lejon. – Wydawało mi się, że widzę jakieś wybrzuszenie pod marynarką, kiedy pan siadał.

– Pistolet TT – mówił dalej Winter. – Niedawno zastrzelono z niego człowieka.

– To tamten z parkingu? – Lejon pokręcił głową. – Okropne. Okropna historia.

– Właśnie. Więc rozumie pan chyba, że zależy nam na znalezieniu narzędzia zbrodni.

– Ależ rozumiem, jak najbardziej. Ale dlaczego szukacie tutaj?

– Szukamy w całym mieście.

– Na przykład w hotelowym barze w piątkowy wieczór.

– Na przykład.

– Dlaczego mi pan o tym mówi, panie Winter? O tym pistolecie?

– Sam pan pytał. I mam nadzieję, że może mi pan pomóc.

– Jasna sprawa. Jak tylko się czegoś dowiem, od razu zadzwonię.

Winter wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął wizytówkę.

- Ma pan coś do pisania?
- Oczywiście – powiedział Lejon i wyciągnął z kieszeni srebrzysty ballograf. Winter wziął go do ręki.
- Na odwrocie zapiszę panu drugi numer komórki.
- Pufny? – zapytał Lejon.
- Oczywiście jest tajny, ale ufam panu.
- Nikomu pary nie puszczę.

Kiedy Winter znalazł się z powrotem na placu, zobaczył, że do Dockpiren przybija prom. Puścił się biegiem. To było lepsze niż taksówka. Potrzebował wiatru na twarzy.

Stał na pokładzie i głęboko wdychał słone powietrze. Był sam. Kilku młodych ludzi zeszło pod pokład. Usiedli. Widział, jak wznoszą toast puszkami piwa. Usłyszał śmiech. Piątkowy wieczór na morzu.

Prom przybił do Klippan. Sjömagasinet jarzył się światłami. Dawno tam nie był. Kiedy to wszystko się skończy, zabierze całą rodzinę do Sjömagasinet i zapomni o całym świecie.

Zadzwoiła komórka. Spojrzał na zegarek. Wpół do jedenastej. Nie rozpoznał numeru, który się wyświetlił na ekranie. Od razu rozpoznał głos.

- Co ty narobiłeś!?
- O co chodzi, Lotto?
- Znów rozmawiałeś z Bennym? Obiecałeś, że już nie będziesz!
- Ale Lotto, co się dzieje?
- Jestem u przyjaciółki. Co ty sobie myślisz, do cholery? Że jeszcze będę chciała siedzieć w domu? Że możemy jeszcze zostać w domu? Przyszłam tu trzy minuty temu.
- Co się stało?
- Benny dzwonił. Benny Mafioso Vennerhag.
- Czego chciał?
- Czego chciał? A jakie to ma znaczenie?
- Groził ci?
- To, że dzwonił, to już wystarczająca groźba. Na Boga,

Eriku, miałam nadzieję, że już nigdy w życiu nie będę musiała usłyszeć tego głosu. Rozumiesz! Wszystko zniszczyłeś.

– Co zniszczyłem?

Nie odpowiedziała. Słyszał, jak oddycha do słuchawki. Coraz wolniej.

– Co on powiedział, Lotto?

– Powiedział, że chce powiedzieć tylko trzy słowa. Wiesz, jakie to były słowa?

– Nie musisz powtarzać.

– Powiedział, że myślał, że ty ze mną o tym rozmawiałeś. Był pewien. Że rozmawiałeś ze mną o nim! Co ty mu obiecałeś, Eriku?

– Nic. Absolutnie nic.

– Rozmawiałeś z nim? O mnie?

– Taaak...

– Nie jesteś lepszy od nich – odparła Lotta i rzuciła słuchawką.

Część czwarta

38

SOBOTNI PORANEK BYŁ JASNY. Angela otworzyła okno w sypialni, a potem poszła zrobić dzieciom śniadanie. Winter poczuł rześką woń miasta. To nie było morze, ale należało do niego. Pomyślał o morzu. Nagle ta myśl zaczęła go przerażać.

– Więc już nie śpisz?

Usiadł na łóżku. Angela weszła z tacą. Nie zasłużył na to.

– Tato, tato! – zawołała Lilly, wskakując na łóżko. Elsa usiadła na krawędzi. Nie była już taka dziecinna. Angela postawiła tacę na podłodze. Winter poczuł zapach kawy i świeżych croissantów.

– Elsa zjechała na dół do piekarni – powiedziała Angela.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Winter, porywając rogalik. – Brawo, Elsa. – Z przyjemnością powąchał croissant. – To fantastyczna rzecz. Świeże pieczywo na śniadanie.

Jego córka była z siebie dumna, ale to nie było nic szczególnego. Już od jakiegoś czasu umiała sama zjechać windą na dół i zrobić małe zakupy. Właściwie od kilku lat. Gdyby to samo zrobiła Lilly – to rzeczywiście byłoby coś fantastycznego.

– Śniadanie do łóżka – powiedział Winter.

– Późno wróciłeś do domu – odparła Angela.

Nagle Elsa jakby się czegoś wystraszyła. Widział to w jej oczach. Spojrzała na Angelę: dlaczego tak powiedziałaś? On się może rozżłościć, że tak mówisz.

– Nie patrzyłem na zegarek – stwierdził lekkim tonem.

– Może śniadanie do łóżka dobrze ci robi.

Uśmiechnęła się. Elsa się uśmiechnęła. Lilly zeskoczyła z łóżka i wybiegła z sypialni.

– Zapomniałam o soku – powiedziała Angela. – Mogłabyś go przynieść, Elso? Stoi na blacie.

Elsa zsunęła się z łóżka.

– Nie trzeba – rzucił Winter.

Coś łupnęło w kuchni. Ale przynajmniej nie był to brzęk

tluczonego szkła, całe szczęście.

– Zobaczę, co to dziecko narobiło – powiedziała Elsa.

Nie słyszeli płaczu.

Elsa pobiegła do kuchni. Jej bose stopy cicho bębniły po drewnianej podłodze. Angela odsunęła zasłonę. Promienie słońca zabarwiły podłogę na kolor bursztynu.

– Nie złapałem go – oznajmił Winter.

– Może teraz jest w domu.

– A gdzie jest to w domu?

– Nie wiem. – Ruchem głowy wskazała na stojącą na podłodze tacę. – Pij kawę, zanim wystygnie.

– Nie wszedłem na górę, do mieszkania w Eriksbergu. – Winter podniósł porcelanową filiżankę do ust. – Może powinienem był to zrobić.

– A potem?

Usłyszeli dobiegający z kuchni głos Elsy. Potem Lilly coś powiedziała. Śmiechy. Żadna katastrofa.

– Spotkałem wczoraj groźnego człowieka – powiedział Winter.

– Groźnego? Dla kogo? Dla ciebie?

– Dla wszystkich.

Opowiedział jej o spotkaniu z Lejonem.

– Jest zamieszany w morderstwo, którym się zajmujesz? – zapytała Angela.

– Nie wiem. Pewnie niebezpośrednio. Ale mógł dostarczyć broń. On albo któryś z jego zbirów. Ma dużo zbirów pod sobą.

– Że też ktoś taki chodzi wolno. Musisz być ostrożny, Eriku.

– Zawsze jestem ostrożny.

– Nigdy nie jesteś ostrożny.

– Tym razem będę.

– Lars jest ostrożny?

– W związku z czym?

– W związku ze swoim życiem.

– Nie wiem, Angelo. To mnie niepokoi.

– Ma myśli samobójcze?

– Nie wiem. Mogłem tego nie zauważyć.

– Próbowalesz.

– Może. W każdym razie próbowałem go znaleźć. Ale go nie powstrzymałem. Kiedy wyszedł z mojego pokoju.

– Nie chciał zostać.

– Mogłem go zatrzymać.

– Jak? Siłą?

– Nie. Słowami. Nie wiedziałem, jakich słów użyć.

– Kiedy znów będzie na służbie?

Bergnhem nie stawił się na służbę w południe. Möllerström był na miejscu, zadzwonił do Ringmara, który był rezerwą. Ringmar zadzwonił do Wintera. Było kilka minut po dwunastej. Winter czekał na taki telefon. Sam próbował skontaktować się z Bergnhemem. Angela dzwoniła do domu, do Martiny. W Torslandzie nikt nie odbierał.

– Wyślijcie wóz do Eriksbergu – powiedział Winter.

– Właśnie jadę do miasta – oświadczył Ringmar.

– Ja też pojadę.

– Co powie rodzina?

– Nadrobimy to kiedy indziej.

To właśnie ten weekend, pomyślał Winter, odkładając słuchawkę. To się stanie w ten weekend, a potem wszystko się skończy. Teraz się zdecyduje.

– Może być wszędzie – powiedział Ringmar.

– Albo nigdzie.

– Nie ma go? Nie żyje?

– Tak.

– Samobójstwo?

– Tak.

– Wierzysz w to?

– Nie.

– Gdzie mamy zacząć szukać?

Na biurku Wintera zadzwonił telefon.

– Tak?

Słuchał przez chwilę, a potem odłożył słuchawkę.

– Bergnhem nie spędził nocy w Eriksbergu. Rozmawiali z facetem, który tam mieszka.

Znów telefon.

Angela.

– Złapałam Martinę. Od wczoraj nie rozmawiała z Larsem.

– Dzięki, Angelo.

– Co zamierzacie zrobić?

– Szukać go. Na pewno go znajdziemy.

– Boję się, Eriku.

– Ja też.

– Może pojedę z dziewczynkami nad morze.

– Później spróbuję do was dołączyć. Zadzwoń. Pa.

Rozłączył się.

– Od czego zaczniemy? – zapytał Ringmar.

– Od mostu – odparł Winter. – Älvsborgsbron. Tam wszystko się zaczęło.

– Co masz na myśli?

– Lars znalazł samochód na moście. Przyjechał tam nie wiadomo skąd. Z jakiegoś szemranego miejsca, nie mam pojęcia. Widzi auto. Co robi?

– Dzwoni na policję.

– A potem? Co robi?

– Jedzie do właściciela. Do Rogera Edwardsa do Långedrag.

– Właśnie.

– I co?

– Może pojechał tam znowu. Może chce wyjaśnić sprawę na własną rękę. To dlatego wczoraj wieczorem nie chciał tu zostać. Nie chciał mnie słuchać. Chciał jak najszybciej wyjść i zabrać się do pracy. Chciał zacząć wszystko od początku.

– Odzyskać honor – dodał Ringmar. – Albo pojechał do lasu i się powiesił.

– Do jakiego lasu?

Ringmar wyjrzał przez okno. Nie było tam żadnego lasu, tylko jeden jesion, trzy klony i dwie brzozy. Drzewa były prawie ogołoczone z liści. Miasto było prawie ogołoczone. Rozebrane w oczekiwaniu na zimę.

– Całe miasto jest otoczone lasem – powiedział Ringmar. – Lasem i skałami.

– I morzem – uzupełnił Winter.

- Mógł pojechać na wybrzeże.
- Może jest w drodze – powiedział Winter.
- Co masz na myśli?
- Pojechał do Långedrag.
- W takim razie tam zaczniemy? – zapytał Ringmar.

Ringmar poszedł do siebie po kurtkę. Winter wahał się przez chwilę, patrzył na telefon. Wziął słuchawkę do ręki i wybrał numer, który znał na pamięć od dzieciństwa.

Odebrała Bim. Głos miała bardzo podobny do głosu Lotty.

- Cześć, Bim.
- Cześć, wujku Eriku.
- Jak tam u was?
- No... chyba dobrze. Chcesz pogadać z mamą?
- Jeśli ona chce gadać ze mną.
- Na pewno. Powiem jej. Na razie.

Czekał. Patrzył na stojący na podłodze panasonic. Odtwarzacz milczał. Ostatnio nie słuchał zbyt dużo muzyki. Nie wiedział dlaczego. Nagle za nią zatęsknił.

- Eriku.
- Cześć, Lotto.
- Przepraszam, jeśli... byłem wczoraj taka zdenerwowana.
- W porządku.
- Wystraszyłam się po prostu. Za dużo złych wspomnień.
- Obiecał nie dzwonić do ciebie, zanim z tobą nie porozmawiam, Lotto.

– Dlaczego w ogóle mamy mieć z nim cokolwiek wspólnego? Mówiłam ci. Nie chcę się z nim kontaktować. Nigdy. Nie chcę, żebyś ty to robił. To nie jest dla ciebie dobre. To się naprawdę może źle skończyć, Eriku.

– Ale muszę jeszcze o tym z nim porozmawiać. Tak nie może być. Żeby on do ciebie wydzwaniał.

- No właśnie.
- Porozmawiam z nim.
- A czy to coś pomoże?
- Tak.
- Jakiego on ma na ciebie haka?
- Nie ma na mnie żadnego haka – odparł Winter. – Nikt nie

ma na mnie haka.

Było sobotnie popołudnie. Na Eckragatan było spokojnie. Mimo pięknej pogody ludzie siedzieli w domach. Prace w ogrodach zostały zakończone. Winter usłyszał szczekanie psa. Nagle ucichło, jakby ktoś tego psa uderzył.

– Wygląda na opuszczony – powiedział Ringmar, ruchem głowy wskazując na dom.

– Poprzednio też tak wyglądał.

– Nie ma zasłon. Czy on mieszka sam?

– Tak.

– Gdzie jest jego auto?

– Nie wiem. Wchodzimy.

– I co mu powiesz?

Winter nie odpowiedział.

Wysiedli z jego mercedesa. W oknie sąsiedniego domu ukazała się twarz. Kobieta. Patrzyła na nich chwilę, a potem zniknęła.

Winter zadzwonił do drzwi. Dzwonek wyraźnie rozbrzmiewał w środku, jeszcze bardziej blaszany niż przedtem. Jak echo w pustce. Winter znów nacisnął guzik. Ringmar stanął przy jednym z wielkich okien po lewej i zaglądał przez rzadkie żaluzje.

– Chyba nie ma sensu dzwonić – powiedział.

– Co?

– Chyba nie ma go w domu. Tam nie ma nawet mebli.

Winter stanął przy oknie. W środku było pusto. Podłoga była wyczyszczona, wszystko, co na niej stało, zostało wymiecione, powynoszone.

– Idziemy na tyły – rzucił.

Wielkie panoramiczne okna były zasłonięte szerokimi żaluzjami. Nie dało się zajrzeć do środka. Winter spojrzał w górę. Znów zobaczyli w oknie twarz sąsiadki. Kobieta drgnęła i wycofała się.

– Jesteśmy pilnowani – powiedział i kiwnął głową w stronę sąsiedniego domu. To był stary budynek, drewniana willa, trochę staroświecka.

– Dał nogę, drań jeden – powiedział Ringmar. – Będziemy musieli wydać list gończy.

– Wchodzimy – zdecydował Winter.

– Wchodzimy? Teraz? Chcesz się włamać?

– Tak.

– Ta kobieta w oknie natychmiast podniesie alarm.

– Nic na to nie poradzimy.

Firanka zadrżała w oknie, w którym przedtem było widać kobietę. Stała tam nadal.

– Mam jej pokazać legitymację? – zapytał Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Patrzył w dół. Trawnik miał tylko kilka metrów kwadratowych powierzchni. Miejsce, w którym stali, było wydeptane, tuż przed drzwiami prowadzącymi wprost do pokoju. Winter pociągnął za klamkę. Drzwi były otwarte.

– Co to, kurwa – rzucił Ringmar.

– Nie musimy się włamywać – stwierdził Winter.

Otworzył drzwi.

Salon, do którego prowadziły, był prawie pusty. Na środku stały tylko stół i fotel.

– Wyprowadził się – powiedział Ringmar. – W każdym razie prawie.

– Ale kiedy? – zdziwił się Winter. – Musiał to zrobić teraz, w ostatnich dniach.

Weszli do pokoju.

– Wiedzieliśmy, że chciał sprzedać dom? – zapytał Ringmar.

– Nie. Będziemy musieli to sprawdzić.

Ringmar się schylił. Przeciągnął palcami po podłodze, potem spojrzął na nie w świetle wpadającego przez okno słońca.

– Dużo kurzu – powiedział. – Widzisz, co jest w rogach? – Wskazał głową kąt pokoju. – Całkiem duże koty kurzu.

– Lepsze trochę brudu w kąciku niż czyste piekło – powiedział Winter.

– Nie jestem pewien, Eriku.

– Przejdziemy się.

– Zostawimy ślady w tym kurzu.

– I dobrze. Będzie wiadomo, że to nasze.

Przeszli przez salon, jeden za drugim, jak po ścieżce.

W kuchni zostały stół i trzy krzesła.

– Dlaczego trzy? – zdziwił się Ringmar.

Winter otworzył lodówkę. Nie była całkiem pusta: karton mleka, kostka margaryny, niedojedzony ser, kilka słoików dżemu i ogórków. Może zawsze tak wyglądała. Lodówka kawalera.

– To wyprowadził się czy nie? – zapytał Ringmar.

– No to się włamaliśmy – stwierdził Winter.

– Nie podoba mi się to – powiedział Ringmar.

– Sąsiadka nie zadzwoni na policję, Bertil.

– Nie o to mi chodziło. – Ringmar rozłożył ręce i powiódł wzrokiem po ścianach, podłodze, suficie, skromnym umeblowaniu. – Nie podoba mi się klimat w tej chałupie.

Winter nie odpowiedział.

Poszedł z powrotem do salonu. Stał w drzwiach i popatrzył na trawę.

– Dość mocno zdeptana w tym miejscu – powiedział, zwracając się do Ringmara, który przyszedł za nim.

– Może tędy wchodził i wychodził.

– Hm... Trochę za bardzo zdeptane jak na to.

Winter wyszedł na trawnik i przykucnął. Przyglądał się źdźbłom trawy. Przed zimą zaczęły tracić zieloną barwę. Dzięki temu zobaczył małe ciemniejsze plamki.

– Coś kapało na tę trawę – powiedział i wstał.

– Co chcesz zrobić?

– Wezwać ekipę techniczną.

– Teraz?

Usłyszał jakiś dźwięk i podniósł wzrok. Kobieta z okna wyszła ze swojego domu drzwiami prowadzącymi na werandę. Szła w ich stronę.

Ringmar zrobił kilka kroków w jej stronę. Przystanąła.

Wyciągnął portfel i zaczął szukać legitymacji.

– Jesteśmy z policji kryminalnej. – Pokazał jej. – Komisarz Ringmar i komisarz Winter.

– Oni to robili przez całą noc – powiedziała kobieta.

– Słucham?

Wyglądała na starszą, niż im się wydawało, kiedy stała w oknie. Miała siwe włosy. Może należała do tych, co żyją z wyglądania przez okno.

– Wynosili. Czy co oni tam robili – powiedziała. – W środku nocy przyjechała ciężarówka.

– W środku nocy? Kiedy dokładnie?

– Może o trzeciej. O wpół do trzeciej. Obudził mnie hałas. – Poglądziła się po policzku. – Zasnęłam już. Ale łatwo się budzę. Od śmierci mojego męża.

– Co tu się działo? – pytał dalej Ringmar. – Co tu się działo w nocy?

– Wynosili rzeczy. Meble i inne takie.

Ringmar skinął głową.

– Żeby coś takiego załatwić w środku nocy! – zachnęła się oburzona kobieta.

– Ile osób było tu w nocy? – zapytał Winter.

– Tego nie wiem. Było ciemno. Latarnia stoi kawalek dalej – powiedziała kobieta, wskazując na ulicę. – O ile działa. Przeważnie nie działają. Nikt nie naprawia. Mówiłam do...

– Dwie? – przerwał jej Winter. – Trzy? Cztery?

– Nie wiem. Co najmniej dwie. Widziałam tylko, jak dwie coś nosiły. Może to były ciągle te same.

– Rozpoznała pani kogoś? – zapytał Winter.

– Nie. Było za ciemno.

– Nie rozpoznała pani Rogera Edwardsa?

– Kogo?

– Rogera Edwardsa. To jego dom. On tu mieszka.

– Nie. Ach tak, to on się tak nazywa. Nie, nie rozpoznałam go. Nie tej nocy. Ani jego, ani jego żony.

– Jego żony?

– Tak, jego żony.

– Ma żonę? – Winter popatrzył na Ringmara, potem znów na kobietę. – Skąd pani wie, że ma żonę?

Nagle na twarzy kobiety pojawił się wyraz niepewności. Przedtem nie była niepewna, tylko wkurzona.

– Tego nie wiem... widziałam ją tu kilka razy. Myślałam, że to jego żona. Nie jest jego żoną?

PIĘTRO NIE BYŁO PRZEPEŁNIONE, ale też nie całkiem puste. W jednym z pokoi stało niepościelone łóżko. Pokoje właściwie wyglądały, jakby ktoś w nich mieszkał.

- Co tak naprawdę oni wynosili? – zdziwił się Ringmar.
- Bergehema – odparł Winter.
- Gdzie jest Edwards?
- Bardzo dobre pytanie.
- Kto jeszcze tu był?

Winter nie odpowiedział. Wpatrywał się w łóżko. Podszedł bliżej.

- Na tej poduszce jest krew – powiedział.

Ekipa techniczna przyjechała do domu Edwardsa tuż przed zmrokiem. Mimo słonecznej pogody to miał być krótki dzień. Dzień się kurczył z każdą kolejną cholerną dobą. Nie mieli przed sobą wielu dni. Może żadnego. Winter wiedział, że to by były długie dni i noce, mnóstwo pracy, ale to by nie wystarczyło. Bo to będzie teraz. W ten weekend wszystko stanie się jasne. W sobotę albo w niedzielę.

Zabrali Bergehema. Był o tym przekonany. Dlaczego? Dlaczego nie zostawili go tutaj?

Czy zabrali także Edwardsa?

Kim byli?

Czy to był tylko Edwards?

Kim była żona Edwardsa?

Nie musiał mówić technikom, czego mają szukać.

Mieli szukać wszystkiego.

Wkrótce się dowie, czyja to krew. Czyja była. Już nie należała do nikogo. Była martwa, zaschnięta. Ślad, może wskazówka. Drogowskaz. Droga do śmierci, pomyślał. Oto czym jest dla mnie krew. Pieprzony Lars. Pieprzony Winter. To ja go tutaj wysłałem. To ja. Miał się zrehabilitować. Powiniennem przytrzymać gówniarza za kołnierz i zmusić, żeby usiadł. Nie udało mi się. Mam to na sumieniu.

Patrzył w dół, na łóżko. Prześcieradło miało żółtawy odcień, ale nie od zachodzącego za oknem słońca. Słońce było czerwone, miało ten sam kolor co zaschnięta krew.

– Auto Larsa stoi gdzieś w pobliżu – powiedział Winter, podnosząc głowę. – Nie sądzę, żeby mieli czas porzucić je sto kilometrów stąd.

– To zależy, ilu ich było – stwierdził Ringmar. – Będziemy musieli jeszcze raz pogadać z babą z sąsiedztwa.

– Z kobietą z okna – poprawił Winter. – Jest naszym jedynym świadkiem. Zasługuje na szacunek.

– Mam niewyparzoną gębę – powiedział Ringmar.

Wskazał na okno.

– Plotki chyba już się rozeszły – powiedział.

– Co?

– Oto zbliżają się Fredrik i Aneta.

– Byliśmy na Brännö – powiedział Halders. – Kiedy jechałem z Saltholmen, zobaczyłem radiowozy.

– Strasznie był ciekawy – dodała Aneta.

– I kto to mówi – odciął się Halders.

Stali na ulicy, obok jego auta. Winter wyszedł do nich. Pomachał do Magdy. Dziewczynka nadal siedziała z tyłu. Wyglądała na zmęczoną. Uśmiechnęła się blado i też do niego pomachała.

– Sądzę, że Lars tu był – powiedział Winter.

– To dom tego Edwardsa, prawda? – zapytała Aneta.

– Tak.

– Lars tu był? – zapytał Halders. – Co masz na myśli?

– Sądzę, że tu był wieczorem albo w nocy.

– Nie rozmawiałeś z nim?

– Zniknął – wyjaśnił Winter. – Wczoraj wieczorem.

– Nie da się z nim skontaktować? – zapytał Halders.

– Nie.

– Nie miał mieć służby w weekend?

– Właśnie.

– Kurwa mać.

– Myślisz, że coś mu się stało w tym domu? – zapytała Aneta.

– Tak. Myślę, że go stąd wywieziono.

- Ale kto?
- Edwards to pierwsze nazwisko – powiedział Winter. – Ale nie był sam.
- Skąd wiesz?
- Sąsiadka widziała w nocy co najmniej dwie osoby. Coś wynosiły z domu.
- Wielki Boże! – wykrzyknęła Aneta. Potem spojrzała na dziewczynkę na tylnym siedzeniu auta. – Musimy zawieźć Magdę do domu, Fredriku. Nie może tu zostać. Mam pojechać?
- Jeślibyś zechciała, będę wdzięczny – powiedział Halders.
- Hannes jest przecież sam w domu – dodała Aneta.
- Halders spojrzał na nią. Powiedziała: w domu. Najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi. Nie zapytał.
- Zadzwońię z domu – powiedziała i obeszła samochód.
- Usiadła za kierownicą. Winter widział jej bladą twarz, była bledsza od uśmiechu dziewczynki. Słońce na wyspie nie pomogło, teraz też nie było w stanie.
- Zadzwońię – powtórzyła Aneta, zatrzasnęła drzwi i odjechała.
- Magda znów pomachała. Winter pomyślał o córce Bergenhema. Ada i Magda były chyba w podobnym wieku.
- Traktuj mnie tak, jakbym był na służbie – oświadczył Halders. – Znajdziemy go. I tamtych skurwysynów też.
- Wszyscy szukają – powiedział Winter. – Cała policja.
- Oby.
- Byliście na Brännö? – zapytał Winter.
- Tak. Przyszło mi to do głowy, kiedy byłem tam z tobą. Ten pomysł, żeby pojechać tam na wycieczkę.
- Winter pokiwał głową.
- Zadzwo niła jego komórka.
- Tak?
- Przejdę się po okolicy – powiedział Halders.
- Nie znaleźliśmy żadnego pośrednika, który by próbował sprzedać dom Edwardsa – powiedział Möllerström.
- Szukajcie dalej.
- Jasne.
- Sprawdźcie też, czy kupił coś innego w Göteborgu. Albo

w innym mieście. Może coś niedawno wynajął.

– W innym mieście? Gdzie mam zacząć?

– Od Sztokholmu.

– Okej.

– A jak idzie z listą członków tego klubu gejowskiego, który odwiedzali Bergenhem i Richardsson?

– Nazywasz to listą członków? Mamy jakieś dziesięć nazwisk. To był nielegalny lokal. Widziałeś nazwiska, które mamy. Kilka nowych się zapowiada. Chyba jakiś ważny polityk, tak mi się wydaje. Tym razem z partii umiarkowanej.

– Może sobie nawet być trockistą – powiedział Winter. – Albo Adwentystą Dnia Siódmego. No i czekam jeszcze na tego wielkiego mistrza Zakonu Coldinu, miał się odezwać. Dlaczego nie dzwoni?

– Nie wiem. Sprawdzę to jeszcze raz. A jak wam tam idzie?

– Okaże się, co mają ludzie Öberga. Ale Lars raczej tutaj nie wróci.

– Niech to szlag – zaklął Möllerström. – Ludzie są przerażeni. Wielu dzwoniło i dobrowolnie chce objąć służbę.

– Świetnie.

– A co ty teraz zamierzasz, Eriku?

– Skontaktować się ze światem przestępczym.

Zadzwoił z auta. Benny nie odbierał. Był tam, w tej swojej wypasionej willi w Järkholmen, ale nie chciał odebrać telefonu. Był tchórzem. To typowe dla wszystkich gangsterów.

Jechał ścieżką rowerową. Kilka kapitalistycznych świń grało w golfa na idealnie wypielęgnowanej trawie. Pomyślał o swoim ojcu. Miał kartę członkowską klubu Hovås. On nigdy nie wszedł na żaden green ani fairway. Miał obawy. Może to z powodu tych idiotycznych dialogów, których musiał wysłuchiwać, kiedy przyjeżdżał po ojca.

Vennerhag stał na trawniku. W rękach trzymał kij do golfa. Robił wymach. Nie przerwał, kiedy Winter wchodził po pięknych kamiennych schodach. Piłeczka przemknęła zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego. Wpadła do wody po drugiej stronie ścieżki rowerowej.

Vennerhag podniósł wzrok.

– Oj, mało brakowało. Przepraszam.

Winter podszedł do niego, wyrwał mu z ręki kij i rzucił na trawnik.

– O co chodzi?

Winter złapał go za ramię. Było silne, ale on też nie był ułamkiem. Mógłby mu solidnie przywalić, Vennerhag o tym wiedział. Już kiedyś to zrobił. W oczach Vennerhaga widział strach. Nie chciał dostać lania. Nikt nie chce.

– Nie chciałem, Eriku! Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Ty się nie odzywałeś. Ja czekałem. Dostałeś ode mnie nazwi...

– Tu nie chodzi o Lottę – powiedział Winter. – Przynajmniej nie w pierwszej kolejności. – Zwolnił uchwyt. – Będę z tobą szczerzy. Straciliśmy jednego z naszych ludzi. Chyba został porwany, może zamordowany. W każdym razie nie ma go.

Vennerhag pogładził się po ramieniu. Palce Wintera zostawiły na nim czerwone ślady.

– Na Boga, uspokój się trochę. Rozumiem, że jesteś poruszony. Ale uspokój się.

– Nie mamy czasu – wyjaśnił Winter. – Nie ma czasu na spokój.

– Będziesz przychodził mnie pobić za każdym razem, kiedy ktoś z twoich ludzi zniknie? – zapytał Vennerhag.

– To się zdarzyło raz – odparł Winter. – I wtedy znałeś odpowiedź. A teraz coś wiesz? Masz jakąś odpowiedź?

– Odpowiedź? Przecież ty, kurwa, jeszcze o nic nie zapytałeś.

Winter usłyszał za sobą kroki.

– Benny? Co się dzieje? Kto to jest?

Winter się odwrócił. Na patio za pasem trawy stała kobieta. Wyglądała na świeżo przebudzoną. Miała na sobie jakiś poranny szlafrok, choć ranek dawno minął. Był prawie wieczór. Niebo i morze zabarwiły się na lodowatoniebiesko i czerwono. Winter nie widział dobrze jej twarzy. Nie mógł ocenić, ile ma lat. Miała ciemne włosy, spięte w niedbały kok. Na nogach miała ranne pantofle na wysokich obcasach.

– To nic takiego – powiedział Vennerhag i machnął ręką. –

Wracaj do domu.

– Ale...

– Właź! – krzyknął Vennerhag. – Wracaj do domu i zamknij się!

Kobieta odwróciła się na pięcie i po szerokich kamieniach poszła do domu. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

Vennerhag spojrział na Wintera. Cofnął się o krok.

– Nie wiem, o czym mówisz, Eriku. Skąd mam, do jasnej cholery, wiedzieć coś o jakimś zaginionym policjancie! Jak mógłbym się dowiedzieć?

– Wiedziałeś o Lejonie – rzucił Winter.

– Wiedziałem? To tylko nazwisko, które ktoś kiedyś wymienił. Ten cholerny pistolet. Ja tylko słyszałem to nazwisko. Lejon. To twoja robota, żeby zobaczyć jakiś związek, jeśli jakiś jest.

– Roger Edwards?

– Co?

– Słyszałeś już kiedyś to nazwisko?

– Nie. Edwards.

– Roger Edwards.

– Nie.

– Jan Richardsson?

– Nie.

Vennerhag potrząsnął głową.

– Jacob Ademar?

– Co to za nazwisko? Hiszpańskie?

– Kojarzysz je?

– Nie.

– Bengt Sellberg.

– Nie... to znaczy tak, to przecież ten zastrzelony.

– Berit Richardsson?

– Znowu Richardsson?

– Berit. Berit Richardsson.

– Nigdy nie słyszałem.

– Beatrice?

– Co?

– Beatrice, Beatrice Kolland. Albo Beatrice Ademar.

- Kto to taki?
- Dziewczynka, która zniknęła.
- Kiedy?
- W 1975 roku.
- Zniknęła? Ale jak zniknęła?
- Była na koloniach na Brännö. Poszła popływać. Nikt jej już nigdy nie zobaczył.
- A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?
- Jeszcze tego nie wiem, Benny. Kiedy się dowiem, wszystko stanie się jasne.
- Brzmi to jak jakieś cholerne puzzle.
- Lejon też ma z tym jakiś związek.
- Naprawdę?
- Wszystkie nazwiska, które wymienilem, mogą mieć z tym związek. I jeszcze inne. Bergenhem. Możliwe, że zniknęła w związku z tym, co się tam stało latem 1975 roku.
- W jaki sposób Lejon jest w to zamieszany?
- Myślę, że tam wtedy był – odparł Winter.
- Tam? Wtedy? Kiedy zaginęła ta dziewczynka?
- Tak.
- I on to zrobił?
- Ale co zrobił? – zapytał Winter.
- No nie wiem. Przecież zniknęła. Sam mówiłeś, że był zamieszany.

Winter spojrzał na morze. Teraz na horyzoncie było więcej odcieni niebieskiego niż czerwonego. Benny miał co najmniej trzysta pięknych zachodów słońca rocznie. Tuż przed domem. Coś takiego może wpłynąć na człowieka. Może się zacząć zastanawiać nad sensem życia.

– Roger Edwards – powiedział znów Winter. – Jeśli słyszałeś to nazwisko, to chcę, żebyś mi to powiedział, Benny.

– Kto to jest?

Vennerhag podążył wzrokiem za spojrzeniem Wintera, w stronę Askimfjorden. Przyglądał mu się, jakby go widział po raz pierwszy. Jakaś motorówka z warkotem płynęła na południe. To był przyjemny odgłos.

– Dom w Långedrag – powiedział Winter. – Architekt.

Podejrzewamy, że Bergenhem odwiedził go dziś w nocy.

– Dlaczego tak podejrzewacie?

– Podejrzewamy, Benny. Wierz mi.

Vennerhag odwrócił się do Wintera.

– Edwards – powtórzył Winter.

– Sądzisz, że twój kolega spotkało coś złego? Berg...

Berge...

– Bergenhema. Tak, sądzę, że spotkało go coś bardzo złego.

– Nie znam żadnego Edwardsa – odpowiedział Vennerhag.

Wpatrywał się w coś innego, coś za plecami Wintera. Winter odwrócił się i zobaczył twarz kobiety, w oknie na piętrze. Była tak samo niewyraźna tam, na górze, jak przed chwilą na dole.

– Nie byłem dla niej miły – stwierdził Vennerhag. – To było głupie. Zasluguje na coś lepszego.

– Nie pytałem, czy znasz Edwardsa, Benny. Pytałem, czy słyszałeś to nazwisko.

Vennerhag spojrział mu w oczy. Potem znów uciekł spojrzeniem na morze.

– Może kiedyś.

– Kiedyś? Co masz na myśli? Kiedyś? W jakich okolicznościach?

– To było auto...

– Tak?

– Jego auto było zamieszane w jakąś sprawę. Nie pamiętam, jaka to była marka.

– Dlaczego słyszałeś o jego aucie, Benny?

Vennerhag nie odpowiedział.

– Co słyszałeś? Co wiesz?

– To było na Älvsborgsbron – powiedział Vennerhag. – Jakaś strzelanina.

– Tak?

– To wszystko.

– Dlaczego ktoś wtedy wymienił jego nazwisko? – zapytał Winter.

– To był jego samochód.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Tylko tak słyszałem.

- Gdzie to słyszałeś?
 - Co?
 - Jak się o tym dowiedziałeś?
 - Dlaczego... po prostu słyszy się takie rzeczy.
 - Kto ci o tym mówił?
 - To nie ma znaczenia, Eriku. Wierz mi. To naprawdę nie ma znaczenia.
 - Dlaczego wypłynęło nazwisko Lejon?
 - Nie nadążam.
 - Podajeś mi nazwisko Lejon. Przedtem, Benny. Dlaczego ono w związku z tym wypłynęło?
- Vennerhag nie odpowiedział. Winter widział odpowiedź w jego oczach.
- Czy nazwisko Lejon zostało wymienione razem z nazwiskiem Edwards? – zapytał Winter.
- Vennerhag ledwo zauważalnie skinął głową.
- Nie słyszałem, Benny.
 - Tam było coś z tym autem. I z Edwardsem.
- Winter czekał na dalszy ciąg.
- Przykro mi, że twój kolega wpadł w tarapaty. Ten Bergenhem.
 - Wiesz, gdzie może być?
 - Nie, kurwa. Co ty myślisz, Eriku? Chyba tak naprawdę tak o mnie nie myślisz?

Jacob Ademar znów próbował pisać. Próbował odtworzyć ostatnie lato swojej siostry od tak dawna, że się rozciągnęło. Było już długie jak całe życie. Tyle że to było krótkie życie. Nie mógł się z tym pogodzić. Dlatego pisał. Ostatnio czuł się tak, jakby pisał w wodzie. W morzu. Nie dam rady pójść dalej. Wszystko kończy się na Ścieżce Miłości. Nikt nic więcej nie wie. Nikt nie chce wiedzieć.

Podniósł wzrok znad komputera. Usłyszał jakiś odgłos. Na ulicy przed domem nie było żadnego samochodu. Nie widział reflektorów w przejrzystym mroku.

Co takiego słyszał?

Zmierzch już przeszedł w ciemność. Ponad godzinę temu

zapalił lampę nad komputerem.

Wstał i wyszedł do przedpokoju. Zapalił lampę nad drzwiami, włożył buty i wyszedł na dwór. Powietrze było rześkie i gęste. Było czymś więcej niż obietnicą zimy. Za kilka tygodni mógłby spaść pierwszy śnieg. Czekał na niego. Nie chciał już lata, żadnego lata.

Znowu jakiś odgłos.

Dobiegał z sąsiedniej działki.

Dom stał pusty od czasu zniknięcia sąsiada. Odkąd zniknął. Został zastrzelony.

Zanim ja zostałem ostrzelany. Sądzę, że ktoś strzelał również do mnie. A może po prostu przypadkiem tam się znalazłem. Niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu.

To był trzask łamanych gałązek. Jedna gałązka. Jakby ktoś chodził po suchej trawie. Od wielu tygodni nie widziała deszczu. Stała się sawanną.

Usłyszał za sobą dzwonek telefonu. W swoim domu.

Czy ktoś stoi w ogrodzie? To krzak czy człowiek?

Czy to ma związek ze mną?

– Halo!?! Czy ktoś tam jest? Halo?

Telefon przestał dzwonić.

Podszedł do niskiego żywopłotu. Postać okazała się krzakiem. Teraz to zauważył. Usłyszał jakiś odgłos, dobiegał z za domu. Odgłos otwierania drzwi. Bardzo możliwe, że to było to. Ktoś wchodził do domu. To nie jego interes. Nie był policjantem. Mógł zadzwonić na policję. Ale to też nie był jego interes.

Telefon zadzwonił znowu. Widocznie komuś bardzo zależało.

Ostatni raz rzucił okiem na ciemny dom sąsiada i wszedł na schodki prowadzące na ganek. Drzwi zostawił otwarte. Brzęczący telefon stał w przedpokoju.

– Tak? Halo?

– Potrzebuję twojej pomocy, teraz.

– O co chodzi?

– Nie pytaj. Rób po prostu to, co mówię.

– Co się stało? – zapytał Ademar.

– Wszystko się pieprzy. Książka. Nie będzie takiego zakończenia, jakie sobie zaplanowałem.

SIEDZIELI W CHRYSLERZE LEJONA. To ten samochód doprowadził do mnie tego diabła. Siedzę w nim po raz pierwszy. I ostatni, mam nadzieję.

Mieli się spotkać w galerii sztuki Röda Sten*. Budynek został niedawno pomalowany na żółto, ale w ciemnościach prawie nie było widać koloru. W ciemnościach wszystkie kamienie są czerwone, pomyślał Ademar.

Lejon zaparkował kilka metrów od rzeki. Puste parkingi za nimi wyglądały jak rozległe ciemne pola. Älvsborgsbron był czarny w elektrycznym świetle. Suwnica po drugiej stronie w świetle reflektorów była groteskowo wielka i żółta. Powykręcane stalowe członki. Rzeźba Dalego. Jeśli wyciągnę rękę, będę mógł jej dotknąć, pomyślał Ademar. Nie zamierzam wyciągać ręki.

Tuż przy dźwignicy, po lewej, mieszkał Lejon. Styrgången. Pod nią wyrastało nowe miasto. Połówki domów, jak po wojnie albo przed wojną. W tym świetle prawie wszystko wygląda jak ruiny.

Lejon się nie odzywał. Odebrał go przy Sankt Sigfrids plan. Nie chcę jechać aż pod twój dom, powiedział. Może być pod obserwacją. Jesteś paranoikiem? – zapytał go. Tylko kiedy mam powody, odparł Lejon. Jeśli człowiek ma powody, to nie jest paranoikiem, stwierdził Ademar. Lejon zaśmiał się zimno i odłożył słuchawkę.

W końcu zaczął mówić.

– Ten cholerny gliniarz z wydziału kryminalnego wrócił – powiedział.

– Kto? Masz na myśli Wintera?

– Nie. Ten młodszy. Jeden z ludzi Wintera.

– Wrócił gdzie?

– Dla ciebie to nie ma znaczenia. Ale to komplikuje całą sprawę. Zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

– Dla mnie? A co ja mam z tym wspólnego?

– Czy nie pracujesz właśnie nad zakończeniem książki? –

zapytał Lejon. Położył rękę na kierownicy, przekreślił ją o kilka centymetrów. – Czy właśnie tego nie robimy? Czyż nie obiecałem, że ci pomogę ją dokończyć? Żeby naprawdę była gotowa!?

Ademar zobaczył w jego oczach błysk szaleństwa. Nie potrzebował reflektorów. To światło miało własne zasilanie. Facet był wariatem. Nie był paranoikiem, to było coś o wiele gorszego.

– Obiecałeś – przyznał Ademar.

– No widzisz. Obiecałem. A potem przychodzi ten palant i się wpieprza.

– Kto?

– Gliniarz! Ciągle mówię o tym psie. Czego on tam szukał, co?

– Dlaczego nie możesz powiedzieć, gdzie był? Gdzie to się stało?

Lejon puścił kierownicę. Przyglądał się Ademarowi rozżarzonymi oczami. Mieniły się czerwono i czarno.

– Jeszcze się tego dowiesz – powiedział. – To się wiąże z twoją książką. Nie chcę zdradzać zakończenia za wcześnie.

– Znasz zakończenie?

– Tak.

– No to możesz ją dokończyć sam.

Lejon znów zaśmiał się tym zimnym śmiechem.

– Lubię cię, Ademar – powiedział. – Ale ja nie umiem pisać. Umiem tylko opowiadać.

Jeszcze raz spojrzął na most. Wyglądał, jakby w każdej chwili miał na nich spaść. Zbliżył się do nich, teraz był wprost nad ich głowami. Konstrukcja wyglądała jak pajęczyna z filmu grozy, pajęczyna metalowych prętów i słupów. To jest film grozy, pomyślał Ademar. Książka grozy.

– Mogę ci pokazać – powiedział Lejon. – Pokażę ci.

Znów się uśmiechnął.

– Co możesz mi pokazać?

Lejon nie odpowiedział. Wyglądał, jakby nagle zapomniał, co powiedział przed chwilą. Wiele jest zakamarków w mózgu socjopaty. Pajęczyna. Nie chcę nic o tym wiedzieć, pomyślał

Ademar. Nie chcę oglądać tego, co ma mi do pokazania. Kiedy mi to pokaże, zabije mnie. Wszystkich zabija. Zabije wszystkich, którzy występują w tej historii.

– Po co chciałeś się ze mną spotkać? – zapytał Ademar.

– Co mam z nim zrobić? – powiedział Lejon, odwracając się znowu do niego.

– Z kim zrobić?

– Z tym gliną. On też występuje w tej historii. Co mam z nim zrobić?

– Gdzie on jest?

– Dobrze ukryty – odparł Lejon i dodał ponury uśmiezek. – W szczególnym miejscu.

Ademara przeszył zimny dreszcz. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Jakby nadciągnęła epoka lodowcowa, nie po prostu zima.

– W miejscu szczególnym dla nas – powiedział Lejon.

– Dla nas?

– Tak. Dla ciebie i dla mnie. I dla Beatrice.

– Lepiej nic nie rób z tym gliniarzem – powiedział Ademar.

– Zupełnie nic?

– Żyje?

– To chyba jasne, że żyje! Nie pytam o to, jak się pozbyć ciała. Na to przyjdzie czas później.

– Jeśli chcesz się pozbyć ciała, dlaczego pytasz mnie o radę?

Lejon nie odpowiedział.

– Nie będziesz się pozbywał żadnego ciała, Lejon. Nic temu policjantowi nie zrobisz. Domyślam się, że już jest ranny. Masz go po prostu gdzieś zostawić, w bezpiecznym miejscu. Na pogotowiu. Żadnego porzucania ciała. Widział cię?

– Nie widział absolutnie nic.

– Ale teraz sam mi wszystko opowiedziałeś.

– Nic nie opowiedziałem. Nic nie słyszałeś.

– Jeśli pójde na policję, może mi uwierzą.

– I co im powiesz? Zresztą i tak nie pójdziesz. Wiem, że do niego nie pójdziesz, do tego komisarza, Wintera. Wtedy wszystko się skończy o wiele za wcześniej. – Znów się uśmiechnął. – O wiele za wcześniej. To będzie zbyt nagle

zakończenie.

– Wypuść go, Lejon.

– Nie sądzę, żebym miał to zrobić.

– On nie występuje w mojej książce – ciągnął Ademar.

– Nie decydujesz o tym sam.

– Nie jest nam potrzebny. Nie należy do naszej książki.

Lejon nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby przyglądał się suwnicy. Jego życie toczyło się wokół niej. Nigdy jej nie opuścił.

– A książka istniała, zanim ty się w tym wszystkim pojawiłeś – powiedział Ademar.

– Tu się mylisz – odparł Lejon. – Byłem w niej od samego początku.

Winter i Ringmar kluczyli między pijakami na Avenyn. *Saturday night fever*. Sodoma i Gomora z każdej strony eleganckiej ulicy. Motłoch szwendał się stadami. Jakaś grupka na przejściu dla pieszych nie chciała ich przepuścić. Stanęli na pasach i pokazywali wulgarnie gesty. Jeden wystawił goły tyłek.

– Mam ich powystrzelać? – zapytał Ringmar.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł Winter, dociskając gaz do dechy.

Grupka rozpierchła się na boki. Ringmar usłyszał krzyki. Dobiegały z tłumu kłębiącego się na chodniku. Winter nic nie słyszał.

– Pewnego pięknego dnia któregoś dopadnę – powiedział.

– Pięknego wieczoru.

– Jak ten dzisiaj.

Przejechał przez Heden. To była najkrótsza droga. Kolejni rozweseleni sobotni imprezowicze musieli uciekać na boki.

– Zawsze chciałem zrobić coś takiego – powiedział Winter, kiedy byli po drugiej stronie i skręcili pod komendę. – Przedtem jeździłem tylko na rowerze.

Zaparkował tuż przed wejściem.

– Nie możemy wyzywać się na całym Göteborgu za zniknięcie Larsa – powiedział Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

Wysiedli. W milczeniu jechali windą.

Zadzwoniła komórka Wintera.

– Tak?

Słabo było słyszeć.

– Proszę zaczekać, muszę wysiąść z windy.

Na korytarzu rozpoznał głos Marka Bergtofta. Jeden z nowych ludzi w wydziale. Wyglądał jak młodsza wersja Bergehema, o ile ktokolwiek mógł wyglądać młodziej od Larsa. Wysłał go do Eriksbergu razem z Linn Karlsson, inną nową policjantką. Ciągłe pojawiał się ktoś nowy. To się nazywa przepaść pokoleniowa. Wywalić starych, zatrudnić nowych. Ale on jeszcze nie był na wylocie, nawet Bertil nie. Nikt ze starej dobrej paczki. Nie godził się z tym, żeby Larsa traktować jako nienależącego do nich. Po prostu był nieobecny.

– Odkąd się zjawiliśmy, w mieszkaniu jest ciemno – powiedział Bergtoft.

– Żadnego ruchu?

– Nic. Całkowity spokój.

– Auto?

– W każdym razie nie stoi tu, na parkingu.

– Rozumiem.

Szukali Lejona po całym mieście. Teraz on był kluczem, jednym z kilku. Kawalkiem puzzli. Może nie wiedział, ile Winter wie albo się domyśla. Nie wiedział o Bennym Boyu. Albo wiedział i nie zawracał sobie tym głowy. A może zamierzał coś z tym zrobić. Winter prosił Benny'ego, żeby był ostrożny, a on tylko serdecznie się roześmiał.

– Mamy tam wejść? – usłyszał głos Bergtofta przez elektryczny szum.

– Nie. Zostańcie na zewnątrz. Jak tylko coś się będzie działo, dzwoni – powiedział Winter i rozłączył się.

– O ile coś się będzie działo – poprawił go Ringmar.

– Coś się dzieje – stwierdził Winter. – Przecież jest *Saturday night*, do diabła.

Möllerström wyszedł do nich ze swojego pokoju.

– Znalazłem rodziców Edwardsa – oznajmił.

– Nie mów, że mieszkają w Sydney – rzucił Ringmar.

– Co... nie, mieszkają w Kungälv.

Mieszkali, ściśle rzecz biorąc, w Ytterby, przy Marstastrandvägen.

Winter prowadził przez halaśliwy Tingstadstunneln. Ruch narastał wraz z narastającą desperacją królów i królowych wieczoru w barach i klubach Göteborga. Powoli zbliżała się północ albo o wiele za szybko, jeśli spojrzeć na to z drugiej strony. W tunelu były głównie taksówki. Desperackie jazdy tam i z powrotem. Bezsensowna miłość. Był sobotni wieczór: bezsensowna miłość. I piątek, wtorek, niedziela: bezsensowna miłość.

Ruch na autostradzie był nieco mniejszy.

Nie dzwonili, żeby uprzedzić, że przyjadą. Radiowóz przejechał najpierw obok domu rodziców Edwardsa: tak, w oknach się świeciło.

– Bergenhem puka do drzwi Edwardsa i dostaje w głowę – powiedział Ringmar, wyglądając przez okno na czarną rzekę płynącą wzdłuż autostrady. Coś w rodzaju barki poruszało się w zwolnionym tempie. Kilka bezsensownych lamp paliło się wzdłuż relingu. – A potem go wywożą.

– Na to wygląda – zgodził się Winter.

– Najpierw Edwards go powala, a potem dzwoni po pomoc?

– Bergenhem nie pozwoliłby się zaskoczyć Edwardsowi – stwierdził Winter.

– W takim razie ktoś już przedtem tam był – powiedział Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Jechali przez Nordre älv, musiał się przygotować do zjazdu na Marstrand.

Zadzwoił jego telefon.

– Radiowóz znalazł brykę Bergenhema na Hinsholmen – powiedział Möllerström. – Między żagłówkami, przy stoczni. To niedaleko od Eckran.

– Tak, wiem.

– Technicy właśnie się nią zajęli.

– Okej.

– Na razie nic nie wiadomo o krwi na źdźbłach trawy –

mówił dalej Möllerström.

– To krew Larsa – stwierdził Winter. – Dzięki, Janne. – Rozłączył się. – Właśnie, słyszałeś wszystko, Bertil.

Ringmar skinął głową.

– Więc ktoś był w domu Edwardsa i czekał – podjął wątek.

– Dlaczego?

– Może Lars ich na czymś nakrył? Zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć.

– Co to było? – zapytał Winter.

– Jakaś twarz?

– Czyja?

– Lejona.

– To możliwe – przyznał Winter. – Ale dlaczego Edwards ucieka?

– Wiedział, że kiedyś się zjawimy i będziemy szukać Larsa.

– Mógł udawać, że nic nie wie, zachować zimną krew. Już to robił.

– Nie miał odwagi.

– Dlaczego?

– Ryzyko było za duże – stwierdził Ringmar.

– Właśnie.

– Więc gdzie Edwards jest teraz?

– W Ytterby?

– Nie. Nie dlatego tam jedziemy.

– Nie – zgodził się Winter. – Nie dlatego.

Dom był cichy i ciemny. Radiowóz dyskretnie zaparkował przecnicę dalej. Winter wysiadł ze swojego wozu i podszedł do patrolu.

– Zgasili pół godziny temu – poinformował go inspektor policji. W jego wieku.

Winter skinął głową i wrócił do swojego mercedesa.

– Obawiam się, że musimy obudzić starszych państwa – powiedział.

Przeszli przez ulicę.

Dzwonek przy drzwiach był zbyt głośny.

Po kilku minutach na piętrze zapaliło się światło. Okno

otworzyło się ze zgrzytem. Winter widział za szybą niewyraźną twarz.

– Co to jest? – usłyszeli głos starego mężczyzny. Trzeszczał i skrzypiał jak chwilę wcześniej okno. – Czego chcecie?

– Policja – powiedział Winter. – Chcielibyśmy z państwem porozmawiać.

– Teraz? Policja? Co... o co chodzi? Nie możecie przyjechać jutro? Byliśmy już w łóżku. Spaliśmy. – Starzec urwał. Winter usłyszał jakiś inny głos. – Moja żona nie czuje się dobrze.

– Nie. Musimy porozmawiać z państwem teraz. Przepraszam, ale czy może pan zejść na dół i nas wpuścić? Bardzo proszę.

Twarz zniknęła.

Czekali na małych betonowych schodkach. Ogródek był całkiem mały, jak metr cienia koło domu. Radiowóz stał na swoim miejscu w mroku, po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie wiadomo. Syn mógł szukać schronienia u starych rodziców. Schronienia przed czym? Winter położył dłoń na swoim sig sauerze. Widział, że Ringmar też jest przygotowany.

W przedpokoju zapaliło się światło. Przez mleczne szkło w drzwiach padła na nich poświata.

Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna miał na sobie szlafrok, który musiał pochodzić z poprzedniego stulecia. Podpierał się laską. Miał siwe, prawie białe włosy, nadal dość gęste. Może jego syn był do niego podobny. Winter nie był w stanie przypomnieć sobie twarzy Rogera Edwardsa. Było tam coś jeszcze. Ktoś jeszcze. Inna twarz na sekundę stanęła mu przed oczami. Kto to mógł być? Już zniknął.

– Proszę... no to niech panowie wejdą – powiedział starzec.

Winter dokonał prezentacji.

– Karl Edwards – przedstawił się gospodarz.

Winter uściskał mu dłoń. Była chłodna i twarda.

– Moja żona nie czuje się dobrze... czy ona też musi przy tym być?

– Nie sądzę – uspokoił go Winter.

Ciągle stali w przedpokoju.

– O co chodzi? – zapytał Edwards.

Był wysoki. Kiedy był młodszy, musiał być naprawdę wielkim facetem. Syn nie odziedziczył wzrostu ojca.

– Czy możemy gdzieś usiąść? – zapytał Winter.

– Tak, proszę. – Edwards zaprowadził ich do salonu. Już przedtem zapalił lampę podłogową, przygotował się. – Proszę usiąść.

Usiedli. Karl Edwards nadal stał. Winter wstał.

– Kiedy kontaktował się pan z synem ostatni raz, panie Edwards?

– Z synem? Z moim synem? Chodzi wam o Rogera?

– Ma pan więcej synów?

– Ehm... nie. Tylko Rogera.

– Kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał?

– Nie pamiętam tak dobrze. Czasem mam problemy z pamięcią. Boel pamięta lepiej. Moja żona. Boel.

– Czy to było w tym tygodniu? – zapytał Ringmar. – Coś pan sobie przypomina, panie Edwards?

– Tak, pamiętam, że to nie było w tym tygodniu. Dawniej, może miesiąc temu.

– Zechciałby pan zapytać żonę?

– Teraz?

– Tak, prosimy bardzo.

Edwards skinął głową i wyszedł z pokoju. Podpierał się laską. Chodził całkiem sprawnie. Winter słyszał, jak się wspina po schodach. Laska stuknęła w drewno jak trzecia noga.

Czekali. Gdzieś w pokoju tykał zegar. Winter zauważył go na ścianie, za plecami Ringmara. Pokazywał kwadrans po północy. Była już niedziela. Usłyszał kroki, schodziły w dół.

– To było w zeszłym tygodniu – oświadczył. – W piątek w zeszłym tygodniu.

– Czy to pan z nim rozmawiał, panie Edwards?

– Tak, ja.

– O czym panowie rozmawiali?

– Nie... pamiętam tego. Nie tak dobrze. O niczym specjalnym.

Chyba będziemy musieli wydrzeć żonę z łóżka, pomyślał

Winter.

– Zamierzał się przeprowadzić – powiedział Edwards. – To pamiętam.

– Ach tak? A mówił dokąd?

– Do Sztokholmu, jak sądzę. Tak. Do Sztokholmu. Szukał tam pracy. Nie wiem, czy coś znalazł. Jest architektem.

Winter skinął głową.

– Dlaczego pyta pan o Rogera? – zapytał Edwards. – Czy coś się stało?

– Chcemy tylko się z nim skontaktować – zapewnił go Winter. – Chcemy tylko o czymś porozmawiać.

– Byliście u niego w domu? W Långedrag? Tam mieszka. A może już się przeniósł?

– Nie wygląda na to – powiedział Winter. – Ale wieczorem go tam nie było.

– Czy pański syn ma żonę? – zapytał Ringmar.

– Co? Czy Roger ma żonę? Nie, nie ma. W każdym razie powinienem o tym pamiętać. Nie, nigdy nie był żonaty. Dlaczego pan o to pyta?

– Chciałem tylko wiedzieć – wyjaśnił Ringmar. – A może narzeczoną? Przyjaciółkę? Spotyka się z kimś?

– Nie, nic o tym nie wiem.

– Ostatnio podobno regularnie odwiedzała go jakaś kobieta – powiedział Ringmar.

– Ach tak... tego nie wiem. Nie wiem wszystkiego o jego życiu. Nie wiem za dużo tak naprawdę. Ale pytaliście o to jego siostrę? To mogła być ona.

– Siostra? – zdziwił się Winter.

– Spotykają się dość często. Ona przyjeżdża do nas częściej niż Roger. Musicie ją spytać. Też mieszka w Göteborgu. W Örgryte.

– Jak się nazywa? – zapytał Winter.

– Berit. Ale nie Edwards. Jest mężatką. Po mężu nazywa się Richardsson.

BERIT RICHARDSSON. Winter spojrział na Ringmara. Ringmar popatrzył na starego człowieka, na ojca.

– Berit Richardsson to pańska córka? – zapytał Winter.

– Tak. – Starzec wpatrywał się w twarz Wintera. – Znacie ją?

– Kiedy ostatnio pan się z nią widział? – zapytał Winter.

– Dość dawno temu. Nie potrafię powiedzieć.

– Opowiadała państwu, co się stało?

– A co się stało? Że nie możecie... skontaktować się z Rogerem? Nie, tego nie mówiła. Chyba nie mogła wiedzieć? To przecież teraz? Dziś wieczorem? W nocy?

– Chciałbym, żeby pańska żona zeszła na chwilę, panie Edwards.

– Ale ona jest chora. Nie jest ubrana. Leży w łóżku.

– Możemy w takim razie wejść do niej na chwilę? Zapytamy tylko o państwa córkę. O Berit. Będziemy stali w drzwiach.

– Chwileczkę – poprosił Karl Edwards i znów wyszedł z pokoju, podpierając się laską. Teraz było mu wyraźnie trudniej. Słyszeli jego kroki na schodach, trzy stuknięcia. Słyszeli głosy na górze. Usłyszeli wołanie. Ciche.

– Halo?

– Halo? – odpowiedział Winter i wyszedł z pokoju. Edwards stał na najwyższym stopniu.

– Proszę... proszę na górę w takim razie. Możecie ją tu zapytać.

Weszli na górę.

Pani Edwards leżała na łóżku, prawie siedziała. Za plecami miała mnóstwo poduszek.

W jej twarzy było coś znajomego. Oczy. Jej piękne oczy.

– Przepraszamy najmocniej, że panią niepokoimy, pani Edwards. Chciałbym zapytać tylko o jedną rzecz.

Skinęła głową.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z córką? Z Berit Richardsson?

– To było chyba tydzień temu – odpowiedziała zaskakująco mocnym głosem. Mocniejszym niż głos męża. – Jaki dzisiaj jest

dzień? Jest... – urwała i popatrzyła na budzik stojący na nocnej szafce – ...już się zrobiła niedziela. W takim razie to było tydzień temu.

– Czy córka opowiadała o swoim mężu? O Janie?

– Nie, a co miałyby mówić? My... nie wiem, czy w ogóle o niego pytałam.

– Zniknął – powiedział Winter. – W zeszłą niedzielę już go nie było. – Nie chciał powiedzieć, jak długo go nie było. Zresztą teraz nie mógł sobie przypomnieć, jak długo go nie było. – Nie mówiła pani o tym?

– Nie. Nigdy.

– To Jan też zaginął? – wtrącił się Karl Edwards.

– Co się stało? – zapytała jego żona.

– Nie wiemy – odparł Winter. – To dlatego tu jesteśmy. Musimy się dowiedzieć tak dużo, jak tylko się da.

– My nic nie wiemy – zapewnił Edwards.

Wyglądał na autentycznie skołowanego. Wpadli w środku nocy, zasypali ich gradem pytań, zamieszali w życiu dwojga starych ludzi. To było konieczne. Tam, w mieście, już rozpętała się burza.

– Czy coś państwa łączy z Brännö? – zapytał Winter.

Żadne nie odpowiedziało. Mieli dość tematów do przemyślenia. Szokujących. Ale to właśnie się stało. To był ten moment, kiedy trzeba zadać nieuniknione pytania. Winter próbował dostrzec jakiś związek. Próbował się domyślić, jakie relacje łączyły bohaterów dramatu. Zawsze do tego się wszystko sprowadza. Tej nocy zbliżył się do rozwiązania. Musiał iść dalej. Brännö było w tym dramacie punktem centralnym. Nie był nim Göteborg ani Örgryte, ani Lunden, ani Långedrag. Ta krzywa wyspa na południowych szkiecach była centrum wydarzeń.

– Czy ktoś z państwa rodziny ma jakieś związki z Brännö? Z wyspą na południowych szkiecach.

– Dlaczego pan o to pyta? – zapytał Karl Edwards.

– Mają państwo jakieś powiązania z nią? – zapytał Winter znowu. – Jakiegokolwiek. Czy kogoś tam państwo znają na przykład.

- Tak, Jan stamtąd pochodzi. Jan Richardsson.
- Wiem – przyznał Winter. – Jakiś inny związek?
- Wie pan? – upewniła się Boel Edwards.

– Tak. Czy poza tym mieli państwo do czynienia z Brännö?

Żadne nie odpowiedziało. Edwards spoglądał na żonę. Ona patrzyła gdzieś w bok. W ścianę. Coś było w tym pokoju, coś niewypowiedzianego. Winter to czuł. Nie chcieli o tym mówić. To była hańba. Widział to. Rozpoznawał to. Tego się właśnie nauczył. W tych starych ludziach była rana, która nigdy się nie zagoiła. Zabiorą ją ze sobą do rodzinnego grobowca.

– Chodzi o Rogera? – zapytał Winter.

Boel Edwards drgnęła.

– Co go łączy z Brännö?

Karl Edwards potrząsnął głową. Jego żona wyglądała jak skamieniała. Jej twarz zastygła, zmieniła się w maskę, w której Winter widział rozpacz.

– Nie mamy już sił – powiedział Edwards.

– Co jest z państwa synem? – zapytał Winter. – Co zrobił?

Karl Edwards nie odpowiedział.

– Co zrobił!?

Boel Edwards wzdrygnęła się, jakby Winter uderzył ją laską. Laską jej męża.

– On... nic nie zrobił – odparł wreszcie Karl Edwards. – To nie był on.

– Czego nie zrobił? Co ma pan na myśli?

– On nie miał nic wspólnego z tamtą dziewczynką. Nic.

Edwards spojrział na żonę. Zsunęła się z poduszek. Miała się już nigdy nie podnieść.

– Tak nam powiedział – ciągnął Karl Edwards. – Mówił prawdę.

– Z tamtą dziewczynką? – Winter poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Jakby ktoś mu przeciągnął ostrzem noża po potylicy. – Z jaką dziewczynką?

– On nie miał z tym nic wspólnego – powtórzył Edwards. – Nawet go tam nie było w ten wieczór. Był w mieście, popłynął łódką. Tak nam powiedział. Jego tam nie było!

Głos miał coraz mocniejszy, brzmiało to prawie jak piskliwy

krzyk.

– Czy państwa syn, Roger, był tamtego lata w ośrodku kolonijnym na Brännö? – zapytał Winter. Nie musiał nic wyjaśniać, wszyscy w tym pokoju wiedzieli, o które lato mu chodzi.

– To był tylko miesiąc – powiedział Karl Edwards. – Nawet nie codziennie. – Podszedł krok bliżej. Uniósł laskę o kilkadziesiąt centymetrów. W błagalnym geście. – To nawet nie była jego łódka!

Kiedy wracali do miasta, Winter nadal czuł, że włosy jeżą mu się na karku. Czuł też na sobie spojrzenie Ringmara, kiedy stał w drzwiach sypialni Edwardsów. Bertil wszystko słyszał.

– Więc chłopak był jakimś pomocnikiem na koloniach – powiedział.

– Tak.

– I rodzice to ukrywali? Tak mamy to rozumieć?

– Tylko część o udziale swojego syna.

– Ale przecież nie brał w tym udziału?

– Według nich nie. Sam też by nie potwierdził. Ale to ciągle tylko ich wersja.

– Więc jaka jest prawda?

– To wie tylko on – stwierdził Winter. – I może dziewczynka, Beatrice. I może znajdzie się ktoś jeszcze.

– Kto?

– Zbliżamy się do tego, Bertil. Zbliżamy się.

– Ale nazwisko Edwards najwidoczniej nie figuruje w aktach śledztwa w sprawie dziewczynki – powiedział Ringmar.

– Nie, to prawda.

– Co to w ogóle było za śledztwo?

– Nie rozmawiali ze wszystkimi. Z dziećmi z kolonii. A może nie było nic do zapisania. Żadnych zeznań. Chyba nikt nic nie widział.

– Śledztwo zostało umorzone, zanim się zaczęło.

– Tak.

Byli w Backa. Mijali jedno centrum handlowe za drugim. To było dość upiorne miejsce: między budynkami i parkingami nie ruszali się ani ludzie, ani samochody. Martwe miejsce.

– Czy to Berit Richardsson bywała w domu Rogera Edwardsa? – zapytał Ringmar. – I to ją widziała sąsiadka?

– Tak sądzę. To musiała być ona.

– Co tam robiła? – drążył dalej Ringmar.

– To był jej brat.

– Jak myślisz, o czym rozmawiali?

– Chciałbym to wiedzieć – powiedział Winter.

– Będziemy musieli ją zapytać.

Jechali przez Tingstadstunnel. Mijali mnóstwo taksówek, mnóstwo ich było przed i za nimi. W mieście nadal trwało weekendowe szaleństwo. Wieczór się skończył przed kilkoma godzinami, ale noc była jeszcze młoda.

– Może zapytamy ją teraz? – zaproponował Ringmar.

– Jeszcze jedna nocna wizyta?

Winter minął Gårda na E6.

Potem skręcił na zjazd do Örgryte.

Przy Sankt Sigfrids plan mieli czerwone światło. Stary kościół w Örgryte czaił się w mroku jak ruiny. Opuszczony klasztor. Światło nie chciało się zmienić. Stali sami na skrzyżowaniu. Winter przejechał na czerwonym.

Zaparkował dziesięć metrów od domu Richardssonów. Nad żywopłotem widzieli piętro. W domu nie paliło się światło, w innych willach przy ulicy też nie.

– Mówiliśmy jej o jej bracie? – zapytał Ringmar. – Że on też się pojawia w tym śledztwie?

– Nie.

– Hm... Nie, nie było powodu. Powinniśmy teraz wparować w środku nocy i o tym opowiedzieć? Wystraszyć śmiertelnie dzieciaki?

– Może już są wystarczająco wystraszone – powiedział Winter. – Boją się. Cholernie się boją.

– Właśnie. Kto by się nie bał. Dziecko. Dorosły też.

– Ale tu nie chodzi tylko o zniknięcie ojca – powiedział Winter. – Tu jest jeszcze coś innego.

– Coś, co ma związek z Edwardsem? – upewnił się Ringmar.

– Tak sądzę.

– Poza tym brat na pewno jej wszystko mówił – ciągnął

Ringmar. – Nawet jeśli my tego nie zrobiliśmy.

– Tak. Jest jeszcze jedno pytanie: co się stało na wyspie latem 1975 roku – powiedział Winter. – 23 lipca 1975 roku. Teraz, kiedy wiemy, że oni są rodzeństwem.

– Więc mamy ważne powody, żeby z nią porozmawiać – stwierdził Ringmar. – Ale chyba możemy poczekać do jutra rana?

– Czy Bergenhem może czekać do jutra rana?

– Nie. Nie, jasne, Eriku, niech to szlag trafi.

Ale Winter się zastanawiał. Zamknął oczy. Myślał o całym tym dramacie. O zamieszanych w niego ludziach. O tych, którzy nim kierowali, o roli, jaka przypadła jemu. Nigdy nie było dla niego innej roli niż główna. Nie powinno być żadnych wątpliwości.

Nagle włączył silnik.

– Jest jeszcze ktoś, kogo powinniśmy obudzić najpierw – powiedział i wyjechał na ulicę. – To niedaleko.

Jechali Danska vägen na północ, minęli Szkołę Katolicką. W tym mieście było miejsce dla każdej wiary. Każda miała swoją świątynię.

Lovisagatan była cicha jak zawsze. Kawalek wsi w wielkim mieście. Winter widział zarysy drzew i krzaków w lasku po drugiej stronie.

Dom Ademara był tak samo ciemny jak wszystkie inne przy ulicze.

Wysiedli.

Kiedy stanęli przed drzwiami, Winter spojrzał na sąsiedni dom. Teraz był to dom duchów. Dom Sellberga był domem śmierci, mieszkała tam śmierć. Ale śmierć Sellberga jakby wyblakła. Tyle innych rzeczy się wydarzyło. W tej chwili śmierć Sellberga wydawała się najmniej ważną częścią śledztwa. A co było ważne? Jakie odpowiedzi były ważne, te najbardziej niezbędne odpowiedzi? Teraz przez kilka następnych godzin muszą zaliczać same trafienia. Nie ma czasu. Nadejdzie świt, a potem wszystko się skończy.

Załomotał do drzwi. To było skuteczniejsze niż dzwonek. Znów uderzył pięściami w drzwi.

W przedpokoju zapaliło się światło.

– Co to? Kto tam?

Głos tłumiły grube drzwi, ale to był głos Ademara.

– Winter. Winter i komisarz Ringmar. Chcemy z panem porozmawiać.

– Teraz?

– Tak, teraz. Niech pan otworzy.

– Jest środek nocy.

– Otwieraj te drzwi!

Drzwi się otworzyły. Ademar miał na sobie podkoszulek i slipy. Mrużył oczy w świetle lampy.

– Proszę, tylko zamknijcie za sobą – powiedział. – Jest zimno.

Weszli. Ringmar zamknął drzwi.

– Chodźmy do kuchni.

Ademar szedł przodem. Zapalił lampę nad kuchenką.

– Za kawę dziękujemy – powiedział Winter. – Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Lejonem, panie Ademar?

– Co, to... a nie usiądziecie? – Ademar wskazał na drewniane krzesła stojące wokół kuchennego stołu.

– Kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał?

– Dlaczego pan pyta?

– Niech pan odpowie na pytanie, do cholery!

– Proszę się uspokoić. O co chodzi? Co ma...

– Mamy zaginionego policjanta – przerwał mu Winter. – Poza innymi zaginionymi. Ale teraz najważniejszy jest Lars Berghem. Wiem, że ma pan kontakt z Lejonem. Jeśli on ma z tym coś wspólnego, chcę, żeby mi pan to powiedział. – Winter zrobił krok naprzód. – Chyba nie muszę mówić, jakie to ważne.

– Obawiamy się, że Berghem jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie – powiedział Ringmar.

– Wiemy, że Lejon jest śmiertelnie niebezpieczny – dodał Winter.

– Mówił coś o Berghemie? – zapytał Ringmar.

– Nie wiem, jak... on się nazywa – wyznał Ademar.

– Co? – Winter podszedł jeszcze bliżej. – Co pan powiedział?

– Coś mówił.

Ademar widział twarz Wintera. Była zacięta, zaciśnięta. Nie rozpoznawał go. Przypominała twarz Lejona. Musiał starannie dobierać słowa. Mógł znów zostać pobity, nie chciał już zbierać ciosów. Nadal miał problemy z chodzeniem i z oddychaniem. Boże, nie miał nawet czasu się zastanowić. Będzie musiał to powiedzieć. To było teraz, w ten wieczór. Musi mieć czas do namysłu, każdy musi. Jest w niebezpieczeństwie. Lejon jest psychicznie chory.

– Powiedział coś? Czy Lejon coś powiedział?

– Mówił o tym policjancie. Myślę, że o nim mówił.

– Co? Naprawdę!?

Winter podszedł jeszcze o krok bliżej. Teraz dzieliło go od Ademara zaledwie kilkadziesiąt centymetrów.

Ademar podniósł rękę do twarzy, jakby chciał się zasłonić.

– Po prostu o nim wspomniał.

– Kiedy to było?

– Niedawno. Dziś wieczorem. Kilka godzin temu.

– I pan się z nami nie skontaktował?

– Nie... wiedziałem... skąd mogłem wie...

Cios trafił go w brzuch.

– Eriku!

Ringmar rzucił się do przodu i złapał Wintera za ramiona.

– Gdzie on jest, ty bydlaku! Gdzie jest Bergenhem?! – krzyknął Winter. Po jego ciosie ciało Ademara złożyło się na pół jak scyzoryk. – Gdzie on jest? Co Lejon z nim zrobił?

Ademar próbował złapać oddech. Winter nie trafił w jego pęknięte żebra. Mógł oddychać. Nie dostał aż tak mocno. Czuł w ustach kwaśny smak. Usiłował coś powiedzieć. Próbował wypluć to coś kwaśnego. Nie chciał splunąć na Wintera. Wtedy by go zabił.

– On... mi groził – wykrztusił Ademar. – Mówił, że mnie zabije. Zabije.

– To ja cię zabiję – syknął Winter.

Ale nie uderzył. Ringmar trzymał go mocno za ramiona. Niedźwiedź ujarzmiający wściekłego lwa.

– Gdzie on jest? Gdzie jest Bergenhem!? Czy Lejon

powiedział, gdzie on może być?

– Nie. Nie, nie, nic takiego nie powiedział. On tylko chciał... o tym rozmawiać. To dlatego chciał się ze mną spotkać. Nie chciał mieć z nim do czynienia. Był wściekły, że Berghemem się... nawet nie wiem, gdzie to było. Gdzie on przyszedł. Nie wiem.

– My wiemy – rzucił Winter. – Czy Lejon mówił, dokąd mógł wywieźć Berghemem?

– Nie. Nie, przysięgam. Prawie nic nie powiedział.

– Kurwa! – zaklął Winter. – Puść mnie, Bertil. Już nie tknę tej kanalii.

Winter potrząsała ramionami. Ringmar uwolnił go z uścisku.

Kanalia, pomyślał Ademar. Nie jestem kanalią. To niesprawiedliwe. Nie jestem w stanie bronić się przed szaleństwem.

Winter odwrócił się od niego. Zamierzali wyjść. Wreszcie pójda! Niewiele im pomógł. Gardzili nim. Był nikim. Może przyczynił się do śmierci ich kolegi. To możliwe. Gdyby tylko zgłosił się z tym wcześniej. Pewnie dla nich to było możliwe. On ponosił odpowiedzialność. Zadzwoń natychmiast po spotkaniu z Lejonem.

Był... kanalią.

Zamknął oczy. Z okolic żołądka ciężki ból promieniował na całe ciało. To nie było nic takiego. Zobaczył pewien obraz. Widział most, dźwignicę i opuszczoną stocznię. Wieczny widok. Wieczne wspomnienie.

Puste mieszkanie pełne echa.

Dzieciństwo.

– Jest takie miejsce – powiedział, otwierając oczy.

Winter właśnie wychodził z kuchni. Zatrzymał się i odwrócił do niego. Tamten drugi policjant już zdążył wyjść.

– Co pan powiedział? – zapytał Winter.

– Jest... takie jedno miejsce. Lejon kiedyś mi je pokazał. Dom jego dzieciństwa. Mieszkanie. Stoi puste. – Słyszał swój własny głos. Brzmiało to jak paplanina. Chciał się zrehabilitować. – On je kupił. Cały budynek do niego należy, tak powiedział.

– Gdzie to jest?

– Gdzieś na zachód. Za Mariaplatsen, tak mi się wydaje.
– Jaki adres?
– Stilla gatan. Ulica nazywa się Stilla gatan. Nie pamiętam numeru. Ale byłem tam.

Stilla gatan rzeczywiście była cichą uliczką. Przejechali obok placu z piaskownicą na środku. Wszystkie okna były ciemne. Połączone budynki, jak warowne miasto. Ciągnęły się w obie strony, jak maszerujące oddziały.

– To wszystko jest jego? – zdumiał się Ringmar.

– Tak powiedział – odparł Ademar.

– Która klatka? – zapytał Winter.

– Tam. – Ademar wskazał bramę na lewo od piaskownicy.

Winter zaparkował na ulicy, dwadzieścia metrów dalej.

Wysiedli. Winter i Ringmar mieli w rękach latarki.

Cofnęli się kawałek.

– Tutaj – szepnął Ademar, kiedy znaleźli się przed właściwą bramą.

Winter popatrzył na numery nad wejściem: osiem–dziesięć. Uliczna latarnia rzucała w listopadową noc zamglone światło.

Weszli.

– To te drzwi – powiedział Ademar, wskazując kolejne drzwi po lewej.

Winter nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Wyjął wytrych. Po kilku sekundach w zamku coś szczyknęło.

– Trzecie piętro – rzucił szeptem Ademar.

Weszli na schody, nie zapalając światła. Winter szedł pierwszy. Zatrzymali się przed drzwiami, które wskazał Ademar.

Winter i Ringmar popatrzyli na siebie.

Winter ruchem głowy nakazał Ademarowi, żeby stanął pod ścianą, za jego plecami. Na schodach panowała absolutna cisza. Gdzieś szumił wentylator, brzmiało to jak nieprzerwany szept.

Winter wsunął coś do zamka. Ademar widział, jak wstrzymał przy tym oddech. Zamek ustąpił z cichym jękiem. Brzmiało to jak jęk. Winter nacisnął klamkę. Kiwnął głową do Ringmara. Pozwolił, żeby drzwi powoli się uchyliły. W środku było

ciemno. Ademar nic nie słyszał. Winter stał przed nim, drżał z napięcia. On i ten drugi policjant mieli teraz w rękach pistolety. Czekali. Drzwi były otwarte. Na co oni czekają? Nasłuchiwali. Z mieszkania nie dobiegał żaden dźwięk. Wentylacja też ucichła.

Nagle Winter zniknął. Ademar musiał chyba mrugnąć oczami. Był już w środku. Winter wszedł do środka. Ten drugi jeszcze stał na zewnątrz. Trzymał przed sobą pistolet, na wysokości twarzy. Z mieszkania nadal nic nie było słychać.

Winter widział jasne kontury za oknem pokoju znajdującego się na wprost wejścia. Rozpoznał je. Tak samo wyglądały w nocy, kiedy się patrzyło z drugiej strony. Nocne światła sprawiały, że w mieszkaniu było jaśniej, niż można się było spodziewać. Światło było miękkie, srebrzyste i złote. Winter stał jeszcze chwilę w przedpokoju. W ciszy. Panowała cisza. Śmiertelna cisza. Rozpoznawał ją. Słyszał ją już.

Zrobił krok naprzód, jeszcze jeden. Nie potrzebował dodatkowego oświetlenia. Zgasił latarkę, prawie nie czuł jej w dłoni. W drugiej trzymał broń. Jeszcze jeden krok, jeszcze kilka.

Znalazł się w salonie. Nie było w nim mebli. Zupełnie jak w domu Edwardsa, tylko jeszcze bardziej pusto.

Na podłodze leżało ciało. Jak kontur na srebrnym tle, pozioma sylwetka. Ciało leżało twarzą do podłogi. Nie było widać żadnych szczegółów. Nie było żadnych kolorów poza srebrnoszarym. Winter widział kark i tył głowy. Srebrne. Czuł, że serce podchodzi mu do gardła, aż do samego gardła. Wydawało mu się, że rozpoznaje tę głowę na podłodze.

Podjął decyzję. Zrobił kilka szybkich kroków, chwycił zwłoki za ramię i odwrócił.

Roger Edwards patrzył na niego pustym wzrokiem. Na środku czoła miał dziurę. Wyglądała jak trzecie oko.

42

WINTER USŁYSZAŁ, ŻE DO POKOJU wchodzi Ringmar.

– Czy to... czy to...

– To nie Lars – uspokoił go Winter.

Ringmar stanął obok niego.

– To Edwards! – rzucił Winter i puścił ramię mężczyzny. Miał wrażenie, jakby dotykał lodu. Ciało pozostało w tej samej pozycji. Twarz Edwardsa była jak z lodu, jak zamarznięta maska. Biała maska z krwi. Teraz Winter dostrzegł krew wokół ciała. Była srebrzystoszara, jak prawie wszystko w tym pokoju.

– No to masz swój dziewiąty wystrzał – powiedział Ringmar.

– Może cały czas był przeznaczony dla niego – stwierdził Winter. – Lars przyszedł i w czymś przeszkodził. – Winter nadal pochylał się nad zwłokami, z jednym kolaniem na podłodze. Podniósł wzrok na Ringmara. – W takim razie teraz pistolet leży na dnie rzeki. Przy krzyżu Coldinu w Eriksbergu.

– Wygląda na to, że wszystko zaplanował – powiedział Ringmar.

– Jeśli pistolet tam teraz leży, to znaczy, że zamordowanie Edwardsa było przewidziane od samego początku – wyjaśnił Winter.

– Musimy tam jutro wysłać nurków – zdecydował Ringmar.

– Jutro to dzisiaj – odparł Winter. – Zadzwonimy do straży przybrzeżnej od razu.

– Musimy posłać więcej ludzi do mieszkania Lejona.

– Ale jego tam nie będzie – powiedział Winter.

– Gdzie w takim razie będzie?

Winter nie odpowiedział.

– Dlaczego Edwards został zamordowany tutaj? – zapytał Ringmar, patrząc na zwłoki.

– Może to było jakieś spotkanie – odparł Winter. – Ostatnie spotkanie.

Winter nie wybierał się do Eriksbergu. Wrócił do centrum przez noc wyczekującą świtu. To miała być długa noc. Ale na pewno ostatnia. Obawiał się nadejścia świtu.

Na Örgrytegatan, przed domem Richardssonów, było tak samo cicho jak przedtem. Tam nic się nie wydarzyło. Wszędzie gdzie indziej wszystko się działo, pomyślał Winter.

Kiedy dzwonił do drzwi, przypomniał sobie imię córki. Tova.

Ładne imię. Tej piekielnej nocy zostanie wyrwana ze snu. Sen to bezpieczeństwo. A on przychodzi z wieścią o śmierci. Robił to już tyle razy, że niemal weszło mu to w krew. Ale dzieci. Tova i Erik. Nie mógł czekać do jutra. I tak będą wtedy w domu. To w końcu niedziela. Ale to coś bardzo brutalnego. Popatrzył na Ringmara. Ringmar wpatrywał się w drzwi. Wyglądał na zniechęconego. Winter znów nacisnął dzwonek. Odwrócił się. Na ulicy stał tylko jego samochód. Lśnił groźnie pod staroświecką latarnią. Czas w Örgryte płynął wolno, często tak jest w lepszych dzielnicach. Ale teraz ten czas dogonił rzeczywistość.

W przedpokoju zapaliło się światło. Okienko w drzwiach było tylko wąskim prostokątem. Światło było słabe i lęklive, jak płomień stearynowej świecy. Jakby pełgało niezdecydowanie. Winter spojrział na zegarek. Godzina wilka zaczęła wyć.

– Co się dzieje? Kto tam?

To był głos Berit Richardsson. Winter nie widział twarzy w okienku. Umieszczono je zbyt wysoko dla człowieka. Światło zapaliło się również na piętrze. Tova i Erik się obudzili.

– Erik Winter – powiedział. – I komisarz Bertil Ringmar.

– Czego... czego chcecie?

– Proszę, niech pani otworzy – poprosił Winter.

W środku światło znów zachybotało. Ona ma latarkę, pomyślał Winter. Latarka przy łóżku. Na wypadek nocnej wizyty. Nie jesteśmy pierwsi.

Nagle światło padające przez okienko w drzwiach nabrało mocy.

Drzwi się uchyliły.

Winter zobaczył jej twarz. Te oczy, już je widział ostatniego wieczora. Najpierw w Ytterby. Potem w Kungsladugård. *Meet the family*.

– Co się dzieje, mammo?

Winter rozpoznał głos Erika. Nie widział go.

– To... policja, Eriku. To są... chcą mi coś powiedzieć. To... idź na górę i połóż się. To nie potrwa długo.

– Ale...

– Wracaj do łóżka! – powiedziała ostrzejszym tonem.

Winter usłyszał kroki na schodach. To też nie był pierwszy raz tego wieczoru. Ale te były szybsze i lżejsze.

Berit Richardsson otworzyła im drzwi na całą szerokość.

– Jest środek nocy – powiedziała.

– Przykro mi – odparł Winter. – Możemy gdzieś usiąść na chwilę?

– Co się stało? – W nieprzyjemnym świetle przedpokoju twarz miała bladą i piękną. Nie była z lodu, jak twarz jej brata, ale tak samo biała. Teraz Winter widział, jak są do siebie podobni, teraz, kiedy o tym wiedział. Nie było wątpliwości.

– Co się stało? – powtórzyła. – Przecież widzę, że coś się stało!

– Czy możemy usi...

– Chodzi o Rogera! – wykrzyknęła. – Coś się stało Rogerowi!

Winter skinął głową.

– Co on z nim zrobił!?

– On? – powtórzył Winter. – Co to za on?

– O Jezusie! Mówiłam mu... mówiłam, żeby... żeby...

Wyglądała, jakby za chwilę miała stracić równowagę. Winter ją objął.

– Chodźmy do pokoju – powiedział. Znał rozkład domu. Kiedy spojrział w górę, zobaczył twarz dziewczynki. Stała na schodach. To była ta sama twarz, ta sama twarz po raz kolejny. Tak samo biała.

Kiwnął do niej głową. Dziewczynka odwróciła się gwałtownie i uciekła na górę. Nic nie powiedziała. Była w białej koszuli nocnej z jakimś niebieskim wzorem.

Zaprowadził Berit Richardsson do salonu, na fotel. Opadła na siedzenie. Winter zajął miejsce naprzeciwko niej. Ringmar został przy drzwiach. Może będzie musiał porozmawiać z dziećmi. Może powinien do nich pójść. Tak.

– Idę na górę – powiedział.

Winter skinął głową.

– Czy on nie żyje? – zapytała Berit Richardsson, podnosząc na niego wzrok. – Czy Roger nie żyje?

– Tak.

Ukryła twarz w dłoniach. Winter widział, jak jej ramiona

zadrżały, jakby poraził ją prąd. Czekał. Drgnęła jeszcze raz, a potem spojrzała znad dłoni.

– Jak to się stało?

– Tego nie wiemy. Dlatego tu jesteśmy. Znaleźliśmy pani brata dzisiaj w nocy w pewnym mieszkaniu. Został zastrzelony.

– Zastrzelony? Zastrzelony?

– Ktoś go zastrzelił – powtórzył Winter.

– Tam? Czy to się stało tam?

– Jeszcze nie wiemy na pewno. Ale sądzę, że tak. – Dlaczego ona o to pyta? – pomyślał. – Ekipa techniczna właśnie tam jest. Wkrótce się dowie...

– Gdzie to było? – przerwała mu. – W jakim mieszkaniu?

– W zachodniej części miasta. W pobliżu Mariaplan. Wiemy, że to mieszkanie należy do niejakiego Lejona, Christiana Lejona.

Skinęła głową. Skinęła!

– Zna go pani? – zapytał Winter.

Popatrzyła na niego. W jej oczach było coś więcej niż smutek. Coś więcej niż zagubienie. Albo przerażenie. To była... świadomość. Coś wiedziała. Nie wiedział tylko, co to było. Ale czekano tu na niego. Może nawet na wiadomość o tej śmierci. Nie czyjejkolwiek śmierci.

– Mówiłam mu – powiedziała, wpatrując się w swoje dłonie.

– Mówiłam Rogerowi, żeby uciekał.

– Uciekał? Przed czym miałby uciekać?

– Przed tym człowiekiem. To musiał być on. Jak on się nazywa? Jak pan powiedział? Lejon? To musi być on. To właśnie on... zmuszał Rogera do tego.

– Zmuszał do czego?

Nie odpowiedziała.

– Słyszała pani już to nazwisko?

Potrząsnęła głową.

– Do czego pani brat był zmuszany?

– Nie wiem, jak to nazwać. Szantaż? Nie, to było... to było coś gorszego. Nie wiem, jak mam to nazwać.

– Brat mówił pani o tym?

Pokiwiała głową.

Z pietra dały się słyszeć jakieś głosy. Kroki. Berit Richardsson podniosła wzrok, spojrzała w górę. Winter słyszał głos, spokojny głos. Potem jeszcze jeden. To Ringmar i dzieci.

– Dlaczego był szantażowany?

Berit Richardsson oderwała wzrok od sufitu.

– Nie wiem. Tego nie wiem.

Mówiła do swoich dłoni. Trzymała je przed oczami jak rękopis. Jakby odczytywała linie z wnętrza dłoni. Linie życia, pomyślał Winter. Ale już wiedziała, co tam było zapisane. Wiedziała.

– To bardzo ważne, żeby pani nam powiedziała – oświadczył Winter. – Jeden z naszych kolegów... policjant, zniknął. Sądźmy, że mógł go uprowadzić Christian Lejon. Jest w wielkim niebezpieczeństwie. – Zrobił krótką przerwę. – Prawdopodobne jest też, że to Lejon zastrzelił pani brata.

Drgnęła, kiedy usłyszała ostatnie słowa.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Kto?

– Lejon. Wiecie, gdzie on jest?

– Nie. A pani wie?

Znów potrząsnęła głową.

– Przykro mi – przyznał Winter.

Nadal studiowała linie we wnętrzu swoich dłoni.

– Dlaczego Lejon szantażował pani brata?

– Nie wiem. Nie wiem!

– Dlaczego Lejon mógł go do czegoś zmuszać?

Nie odpowiedziała.

– Myślę, że pani wie.

Znów potrząsnęła głową.

– Musiał być jakiś powód – powiedział Winter. – Nawet jeśli był fałszywy. Albo zmyślony. Albo poległ...

– Niech pan przestanie! – krzyknęła zniecierpliwiona. Winter widział łzy w jej oczach. – On próbował się z panem skontaktować!

– Próbował... się ze mną skontaktować?

To było jak szok. Mógł tylko bezradnie powtórzyć jej słowa. Myślał o tych rozmowach telefonicznych, o dwóch

anonimowych telefonach. Wołanie o pomoc. Nie, to nie mogło tak być. To nie mógł być on.

– Próbował – mówiła dalej Berit Richardsson. – Nie miał odwagi. Próbował. Ale... wydawało mu się, że ktoś śledzi każdy jego krok. W końcu się nie odważył. I mnie też zabronił. Mówił, że ja też mogę być w niebezpieczeństwie.

– Dlaczego chciał się skontaktować akurat ze mną?

– Nie wiem. Może słyszał o panu. Nie mam pojęcia. Może wszystko się zaczęło od samochodu. Kiedy pański... ten policjant przyszedł do niego do domu. Z policji kryminalnej.

– Lars Bergnhem – wyjaśnił Winter. – To on zaginął. Został porwany.

– Boże.

Podniosła wzrok znad swoich dłoni. Ułożyła ręce na kolanach. Winter usłyszał, że ulicą przejeżdża samochód. Zaczynał się poranny ruch. Ale godzina wilka jeszcze się nie skończyła. Nie był zmęczony. Był rozgorączkowany. Krew pulsowała mu w krtani. Ale głowa go nie bolała. Tylko bardzo chciało mu się pić.

– Powiedziała pani, że to się zaczęło od samochodu. Co to miało znaczyć?

– Tamten policjant znalazł na moście auto Rogera. Wtedy to się zaczęło.

– Co się zaczęło?

– Szantaż!

– Co się stało w samochodzie?

– Roger dostał ten pistolet. Którym potem... którego miał użyć.

– Użyć? Do czego użyć?

– Żeby... – urwała. Jej dłonie nadal spoczywały na kolanach. Popatrzyła na coś na ścianie. Winter podążył za jej spojrzeniem. Nic tam nie było.

– Żeby zastrzelić Bengta Sellberga? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie, jakby tego nie usłyszała.

– Miał zastrzelić Bengta Sellberga? – powtórzył Winter. Skinęła głową, ledwie zauważalnie.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Tysiąc razy już powtarzała, że nie wie. Ale on będzie pytał kolejny tysiąc razy.

– Co najmniej jeden strzał z pistoletu padł w tym samochodzie – powiedział. – Znaleźliśmy w środku pocisk.

– Nic o tym nie wiem.

– Czy pani brat próbował zabić tego kogoś, kto go szantażował? – zapytał Winter. – Chciał zastrzelić Lejona?

– Nie wiem.

– Nic o tym nie mówił?

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego porzucił samochód?

– Tego... nie wiem.

– Dlatego, że padł ten strzał?

– Nie wiem.

Mówimy o twoim bracie, pomyślał Winter. Został zamordowany. Nic więcej nie wiesz? Nie chcesz wiedzieć? Czy boisz się tak samo, jak on się bał?

– Czy pani brat tam był, kiedy nadjechał Lars Berghem? Był na moście?

Nie odpowiedziała.

– Musiał pani o tym mówić.

– On... się ukrył.

– Czyli był tam?

Skinęła głową. Mniej więcej jedno skinienie na cztery zaprzeczenia. To i tak niezły wynik. Winter pamiętał przesłuchania, podczas których przesłuchiwany ani razu nie kiwnął głową i nie powiedział słowa.

– Dlaczego?

– Bał się. – Podniosła na niego wzrok. – Czy to takie dziwne?

– Był tam ktoś jeszcze?

– Tego nie wiem.

– Nie mówił o tym? Brat pani tego nie powiedział?

Potrząsnęła głową.

– Do kogo strzelał?

– Nie wiem!

Znów ukryła twarz w dłoniach. Powiedziała coś, czego Winter

nie zrozumiał.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

– Już nie mogę – usłyszał wyraźnie.

Dłonie tłumili słowa. Znów doleciały ich głosy z piętra. Winter spojrzął na zegarek. Nie mogli zostać dłużej. Musieli jechać dalej. Ale jeszcze chwilę powinien posiedzieć. Było jeszcze kilka pytań, które chciał zadać.

Nachylił się. Zobaczył swoje odbicie w mlecznym szkle stolika. Było białe jak lód.

– Ten szantaż... czy to miało coś wspólnego z Brännö?

Berit Richardsson drgnęła. Naprawdę drgnęła, jakby wyciągnął rękę i niespodziewanie jej dotknął. Podniosła wzrok.

– Nie rozumiem? Brännö?

– Pani brat przez kilka lat pomagał dostarczać towary do ośrodka kolonijnego na Brännö. Towary ze stałego ładu. Organizowano tam kolonie letnie. Zna pani to miejsce?

– Tak, ale tam już nic nie ma.

– Latem 1975 roku zaginęła dziewczynka, zniknęła z kolonii.

– Dziewczynka?

– Nazywała się Beatrice Kolland. Pewnego wieczoru tamtego lata po prostu zniknęła. Nigdy się nie odnalazła. Nadal nie wiadomo, co się z nią stało.

– Nic... o tym nie wiem.

– Pamięta pani, kiedy to się stało?

– Nie.

– Pani brat nic o tym nie mówił?

– Mój brat? Nie. Dlaczego miałby coś o tym mówić? To było... tak dawno temu.

– On tam był tamtego lata. Czy był zamieszany w zniknięcie tej dziewczynki?

– Nie, nie. Nigdy nic o tym nie powiedział. Nigdy.

– Czy to dlatego go szantażowano?

Potrząsnęła głową. Tym razem to mogło być tak albo nie.

– Czy to dlatego...

– Dość! – przerwała mu podniesionym głosem. Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. – Niech pan już idzie! Nie mam już siły!

Wstał. Berit Richardsson znów osunęła się na fotel. Podszedł do wielkiego okna. Przypominało okno w domu jej brata. W dawnym domu jej brata. Ale bratem jest się nadal, nawet po śmierci. Niebo nadal było ciemne, czarne od nocy. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

Odwrócił się z powrotem w stronę pokoju. Siostra zamordowanego przyglądała mu się. Może patrzyła na niego cały czas, kiedy stał plecami do niej.

Wrócił na sofę, usiadł. Berit Richardsson była już trochę spokojniejsza. Wiedziała, że padną kolejne pytania.

– Czy pani mąż też jest w to zamieszany?

Nie odpowiedziała. Nie dlatego, że nie знаła odpowiedzi. Umiał to rozpoznać.

– Pani mąż poznał Beatrice tamtego lata – powiedział Winter. – Jan Richardsson też tam był.

– To kłamstwo!

– Ale on się wycho...

– Nie znał jej! – przerwała mu Berit Richardsson. – Kto tak mówi? Powiedziała... – zaczęła i urwała.

– Powiedział to pani? Rozmawialiście o tym?

– Nie, nie.

– Czy w całej tej sprawie chodzi o tę dziewczynkę? O Beatrice?

– Nic o tym nie wiem. Naprawdę nic.

– Gdzie jest pani mąż? Gdzie jest Jan Richardsson?

– Sądzi pan, że bym nie powiedziała, gdybym wiedziała? Czy nie byłabym wtedy tam? Czy on nie byłby tutaj?

– Jest na Brännö? Może być na wyspie?

– Gdzie miałby być? Nie był tam od... wielu lat. Nie mamy tam domu. Nic tam nie mamy.

Winter kiwnął głową.

– Nie znamy tam nikogo. – Nachyliła się nad stolikiem w jego stronę. Pierwszy raz się poruszyła. – Czy nie szukaliście wszędzie? Nie przeszukaliście całej wyspy?

– Dlaczego pani pyta?

– Czy to takie dziwne pytanie?

– Wie pani, że tam szukaliśmy?

Znów potrząsnęła głową.

– Ale my to zrobiliśmy. Szukaliśmy na całej Brännö. Przeszukaliśmy całą wyspę. I inne wyspy. I wzdłuż wybrzeża. Naprawdę staraliśmy się odnaleźć pani męża, pani Richardsson.

Skinęła głową.

– Tak samo jak teraz usiłujemy znaleźć Larsa Bergenhema. Czas ucieka. O wiele za szybko. Czy pani coś jeszcze wie? Czy może nam pani pomóc, pani Richardsson? Przyda nam się każda pomoc.

Powiedziała coś, czego Winter nie dosłyszał.

– Co pani powiedziała?

– Tak samo jak Rogerowi przydałaby się każda pomoc.

Wciąż siedziała w tej samej pozycji. Jakby zastygła, zamarzła w tej pozie. Ale w jej twarzy zobaczył coś, czego przedtem w niej nie było. W jej oczach. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie straszliwie zmęczonej, ale w jej oczach był jakiś płomień. Coś tam płonęło.

Nagle zrozumiał, co to było.

W jednej chwili zrobił się zimny jak lód. Zrobił się gorący jak pożar.

Zrozumiał.

Z jakiegoś powodu przez całą ostatnią przekłętą godzinę siedział w tym domu i zamęczał ją pytaniami.

To było to. To był powód.

– Czy pani pomogła bratu, pani Richardsson?

Nie odpowiedziała. Ani nie skinęła głową, ani nie pokręciła. Nadal siedziała w tej samej pozycji. W jej oczach ciągle się paliło.

– Jak mu pani pomogła? – zapytał Winter.

Nie był pewien, czy patrzyła na niego, czy na coś za nim. Jakby był przezroczysty.

– Pani brat nie mógł zastrzelić Sellberga – oświadczył Winter. – Na tę noc miał alibi.

Berit Richardsson skinęła głową.

– Mówił, że był na konferencji – ciągnął Winter. Kłamał. Musiał to powiedzieć. Ze względu na zabitego. Ze względu na

jego mordercę. – On nie mógł tego zrobić.

– To dobrze dla niego – powiedziała Berit Richardsson.

W jej głosie było coś nowego, jakaś twardość. Wstąpiły w nią nowe siły. Winter podejrzewał, że podjęła decyzję. W końcu się zdecydowała. To tylko kwestia czasu, zawsze chodzi tylko o czas. A ona wiedziała. Wiedziała, że kłamie, było jej to nawet na rękę.

– Miał zabić Jana – powiedziała i spojrzała mu prosto w oczy. – To było następne... zadanie.

Winter kiwnął głową.

– Ale on nie mógłby nikogo zastrzelić. – Nadal nie spuszczała wzroku z jego twarzy. – Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Ale ostrzelał dom Sellberga – odparł Winter.

Berit Richardsson skinęła głową.

– Nie był w stanie podejść bliżej – powiedziała. – Nigdy by sobie z tym nie poradził.

– Dlaczego nie odmówił?

Usłyszeli głosy, dobiegały z piętra. Przedtem długo było cicho. Winter myślał już, że wszyscy na górze śpią, łącznie z Bertilem.

Berit Richardsson spojrzała w górę. Wpatrywała się chwilę w sufit, ale nie chodziło jej o sufit.

Chodziło o leżące w łózkach dzieci.

Winter poczuł, że lodowate zimno przenika jego ciało. Jeszcze zimniejsze niż przedtem. Ogarnęło wszystkie kości.

Berit Richardsson spojrzała na niego.

Widziała, że zrozumiał.

Nagle przypomniał sobie, jak przyjechali z Bertilem do tego domu tej nocy, kiedy znaleziono zastrzelonego Sellberga. Był świt, ale miał jeszcze w sobie dużo z nocy. Berit Richardsson otworzyła im drzwi. W czerwonym szlafroku, który wyglądał jak kimono. Mocno zawiązane w talii. Okutane całe ciało. Musiała go dopiero co na siebie narzucić. Może pod spodem miała bieliznę.

– Jest takie powiedzenie, że krew jest gęstsza niż woda – powiedziała. – Zna je pan?

– Tak.

- Rozumie pan?
- Tak.
- Wierzy mi pan?
- Tak.
- Sellberg zrobił coś strasznego.
- Co zrobił.
- Tamta dziewczynka... to był on.
- To był on? Co zrobił?

Nie odpowiedziała. Nagle Winter odniósł wrażenie, że światło w jej oczach zgasło.

- Gdzie ona jest, pani Richardsson? Gdzie jest Beatrice?
- Ja nie wiem. Ja nie wiem.

Spojrzała na niego jeszcze raz.

– Nie wiem nic więcej. Wiem tylko tyle. Co mi opowiadali. To był ten Sellberg. Nie wiem co. Nie wiem dlaczego.

– Był sam?

– Czy to nie wystarczy? Czy nie dowiedział się pan wystarczająco dużo?

Znów z góry dobiegły głosy, teraz donośniejsze. Chciały wiedzieć. Za chwilę Tova i Erik zjedą na dół. To była ostatnia godzina. Dla Berit Richardsson to była ostatnia noc z dziećmi. Kolejna tragedia, jaką za sobą zostawiał. Powinien jeszcze spytać o rolę jej męża w życiu Beatrice, czy raczej w jej śmierci, ale nie był w stanie.

Usłyszał kroki na schodach.

- Co pani zrobiła z pistoletem? – zapytał tylko.
- Oddałam go Rogerowi – odparła, wstając z fotela.

22:45

WODA NIE BYŁA ZIMNA. Nie była. Ale jej mimo to było zimno. Czują, jak dygoce.

On stał obok, w wodzie.

– Ścigamy się? – zapytał.

W tej chwili zaczęła się strasznie bać.

To było coś w jego uśmiechu.

Chłopcy szli za nią i przed nią, jakby jej pilnowali. Jakby była

jeńcem, naprawdę była ich jeńcem. Nie tak jak na koloniach. Bardziej naprawdę. Bardziej nieprzyjemnie. To było okropne. Nikt nie nie mówił.

Minęli pomost. Wyglądał jak parkiet do tańca. Na scenie stała czarna skrzynia, czarne pudło. Może zespół, który tu grał, zostawił jakiś głośnik. Słyszała muzykę aż w ośrodku, wszyscy słyszeli. Wszyscy na całej wyspie słyszeli tę muzykę. Większość zeszła do pomostu. Prawie przez całą drogę do Sandvik słyszało się śmiechy.

Dzieciom z kolonii nie wolno było tam chodzić. Wszystkim dzieciom, tym mniejszym i tym większym. Fajnie by było popatrzeć na tańce na pomoście w Brännö. Chociaż raz. Żeby któraś z wychowawczyń choć raz z nimi poszła. Na kilka minut, pół godziny.

Ten, co w łodzi siedział za nią, nagle złapał ją i wciągnął na pomost.

– A teraz zatańczymy – powiedział i zakręcił się z nią w kółko. – Czy nie jestem świetnym tancerzem?

Śmiał się.

Czuła od niego alkohol. Wcześniej tego nie zauważyła. Na morzu bryza rozwiewała wszystkie zapachy, poza zapachem soli.

Próbowała się uwolnić.

– Pójdziemy na Ścieżkę Miłości?

Mocniej schwycił ją za nadgarstki. Zabolalo.

– Aj! Puść mnie!

Nie puścił.

– Puść mnie! Puść!

Próbowała go kopnąć w piszczel. Bała się, ale chciała się uwolnić. Lepiej się bać, niż pozwolić się tak trzymać.

Wreszcie ją puścił.

Śmiał się.

Powiedział coś. Nie słyszała. W uszach jej huczało. Dlatego że się bała. W jej głowie szalała wichura.

– Może będziemy się ścigać pod wodą? – powiedział.

– Ści... ścigać pod wodą?

– Kto da radę być pod wodą najdłużej? Możemy urządzić taki

konkurs.

– Jaaa... nieee... chcę.

Czuła, że szczeka zębami. Słyszała to. Słyszała jakiegoś morskiego ptaka. To był przeciągły odgłos. Jakby mewa się z niej śmiała.

– Zrobimy to! – powiedział. – Ale najpierw musisz zdjąć kostium kąpielowy.

– Cc... co?

– Pod wodą nie potrzebuje się kostiumu, prawda?

43

WINTER SŁYSZAŁ PRZYCISZONE GŁOSY. Dobiegały z salonu. Przynajmniej wydawały się ciche. Berit Richardsson czekała tam z dziećmi. Z Tovą i Erikiem. Chłopiec obrzucił go przelotnym spojrzeniem, kiedy obok niego przechodził.

Winter i Ringmar czekali w kuchni. Za kilka minut miał przyjechać patrol po Berit Richardsson. Mieli ją wyprowadzić z domu. Z dziećmi zostaną ludzie z pogotowia opiekuńczego. Nadal była noc, ostatnia godzina wilka. Ktoś płakał w pokoju.

– Chodźmy już stąd, kurwa – rzucił Ringmar.

Winter wreszcie zobaczył na ulicy światła radiowozu. Wstał.

Na policyjnym parkingu wyłączył silnik. Siedzieli w milczeniu. Przez Skånegatan przejechał autobus. Ostatni nocny albo pierwszy dzienny.

Winter ruchem głowy wskazał miejsce na parkingu. Dziesięć metrów dalej.

– Tam Lars zawsze zostawia swoje auto – powiedział.

Ringmar nie odpowiedział.

– A jeśli jest zajęte, robi rundę i wraca w to samo miejsce. Pewnie to jakiś przesąd.

– Cieszę się, że nie mówisz o nim w czasie przeszłym – rzucił Ringmar.

– Nie ma czasu przeszłego – odparł Winter. – Jest tylko czas terażniejszy. – Spojrzał na Ringmara. – Jadę tam.

– Dokąd?

– Na wyspę.
– Przecież przeczesaliśmy całą Brännö, Erik. Rozmawialiśmy ze wszystkimi stamtąd. Sprawdziliśmy domy.
– Wiem. Ale czuję, że muszę pomyśleć. Tam, na miejscu. To tam się wszystko zaczęło. Muszę tam trochę pochodzić.
– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – zapytał Ringmar.
– Nie, Bertil. Jesteś potrzebny tutaj. Musimy znaleźć Larsa. Musimy go szukać. Wszędzie.

Ringmar ziewnął.

– Przepraszam.
– Jedź do domu i prześpij się kilka godzin, Bertil.
– Nie jesteś zmęczony, Erik?
– Nie.

Ale potrzebował morskiej bryzy na twarzy. Uderzyła go w Källö sund. Poczul morze na skórze, wilgoć i sól. W ustach miał słony smak. To wypłukało smak mocnej kawy, którą poczęstował go z termosu szyper łodzi straży przybrzeżnej. Czuł, jak jego spojrzenie na wietrze nabiera ostrości. Może myśli też. Nad wysepkami nadal rozciągało się nocne niebo, ale ranek już czekał.

Kiedy wysiadł na przystani Brännö, zadzwoniła jego komórka.

– Słyszałem, że popłynąłeś na wyspę – powiedział Halders.
– Właśnie zszedłem na ląd.
– Dzwoniłem do Bertila. Nie mogłem już spać. Kurwa, wcale nie mogłem spać, jeśli mam być szczery. Słyszałem wszystko.
Winter szedł w górę drogą zaczynającą się na przystani. Słyszał delikatny szum fal.

– Kiedy my ostatnio byliśmy na wyspie, zrobiłem małą rundę – powiedział Halders. – To nic szczególnego, ale jednak. Kiedy usłyszałem, że ty tam jesteś... Jest taka mała uliczka, która prowadzi na szczyt góry, nad Husvik. Nazywa się Bönekällan.

– Znam ją – powiedział Winter. – Zaraz tam będę.
– Okej. Więc poszedłem nią w górę. Pooglądać widoki. Jest tam małe jeziorko. I kiedy byłem na szczycie, zobaczyłem budynek, kawałek od jeziorka. Mały domek. To na pewno był

jakiś refleks słoneczny. Nie mogło to być nic innego. Ale wydawało mi się, że okno się poruszyło.

– Okno się poruszyło?

– Jestem pewien, że to było słońce. Poszedłem do tej chałupy i wszystkie okna były zamknięte. Drzwi zamknięte na klucz. Nikogo tam nie było. Zaglądałem do środka.

– Wydaje mi się, że coś o tym domu było w naszych papierach – powiedział Winter. – Byliśmy tam.

– Właśnie. Chciałem ci tylko to powiedzieć, skoro już tam jesteś.

Winter skrzył w Bönekällan.

– Rzucę na to jeszcze okiem – obiecał.

– To dobrze – ucieszył się Halders. – Jeśli chcesz, mogę do ciebie dołączyć.

– Chciałem tylko się tu trochę przejść i zebrać myśli – powiedział Winter.

– Ach tak, to znaczy, że mnie nie potrzebujesz.

– Łódź przyplynie po mnie za półtorej godziny.

– No to na razie, Erik. W takim razie idę szukać Larsa.

– Znajdź przy okazji Lejona.

– Możesz być pewien, że dopadniemy skurwiela. Cześć.

Winter schował komórkę do kieszeni płaszcza. Stał u stóp góry. Droga na szczyt kryła się wśród krzaków, paproci, drzew. Dżungla. Zaczął się przez nią przedzierać. Gdzieś w połowie drogi zobaczył czarną taflę stawu. Tylko dlatego, że wiedział, że tam jest. Woda lśniła w ostatnich promieniach księżyca. Spojrzał w górę. Księżyc był blady, jakby przezroczysty. Wydawało mu się, że widzi przeświecające przez niego gwiazdy.

Z góry widział morze, wyspy, małe wysepki i skały. To był jeden z najwyższych punktów na szkieletach. Widział wszystko. Morze w oddali było srebrne. Wyspy były powleczone srebrem. Wszystko wyglądało jak morze albo ląd. Odwrócił się i popatrzył w dół. Jezioro było jak jar wpadający w głąb góry. Czarne oko. Otaczała je taka sama dżungla jak ta, przez którą przedzierał się przed chwilą, żeby się dostać na górę. Wyglądało to tak, jakby można było do niego dotrzeć tylko

drogą powietrzną. Nikt nie zbliżył się do jego brzegu przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Nie widział żadnych ścieżek prowadzących nad wodę. Wszystko było zarośnięte.

Kiedy schodził na dół, potknął się o korzeń i musiał się podeprzeć ręką. Poczul nagły ból w nadgarstku. Jasna cholera. Cały ciężar ciała opierał na tej ręce. Wstał powoli i zaczął masować nadgarstek. Ból powoli bladł, jak niebo nad jego głową. Zaczynało świtać. Zszedł ostrożnie na polanę nad Bönekällan. Skręcił w lewo i znów przeszedł przez zarośla. Od domu dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów, może czterdzieści. Domu, chaty, rudery. Dom był czarny, tak samo czarny jak jezioro i dżungla. Sprawdził drzwi. Zamknięte na klucz. Nie pamiętał, do kogo ta ruina należała, może czytał o tym w aktach dawnego postępowania przygotowawczego. Kiedyś ktoś tu pewnie mieszkał, ale teraz wyglądało to raczej jak szopa na narzędzia. Podeszedł do jednego z dwóch frontowych okien i przycisnął twarz do szyby. Przyjemnie chłodziła czoło. Miał ochotę przyłożyć jeszcze obolały nadgarstek. Ból był nadal wyraźny, ale jakby bardziej odległy, jakby zamierzał odejść na dobre. Gdzieś za morze. Nic sobie nie złamał. Może skręcił. Lewa ręka. Na szczęście została mu jeszcze prawa.

W domu było ciemno. Widział zarysy mebli, krzesło, chyba stół. Nie dało się rozpoznać szczegółów. Po lewej od podłogi odcinał się mniejszy prostokąt, czarno na czarnym. Winter widział zarysy czegoś, co musiało być galkami od łóżka. Staroświeckie łóżko. Po prawej było okno. Wpadało przez nie blade światło świtu. Świt nastał szybko, jakby wreszcie się zdecydował. To była bardzo długa noc. Kawa na łodzi postawiła go chwilowo na nogi, kawa i morskie powietrze. Ale teraz miał wrażenie, że nieprzespana noc i wszystkie przeżycia dają o sobie znać. Próbował stłumić ziewnięcie. Czuł się głupio, ziewając szeroko z twarzą przyklejoną do szyby. Szyba nadal chłodziła mu czoło. Okno z drugiej strony pokoju pokazywało tylko skały, jakby góra przysunęła się do domu. Musieli tę chałupę postawić tuż przy skalnej ścianie, może dla ochrony przed wiatrem. Skałę od ściany dzieliło najwyżej kilkadziesiąt centymetrów. Nagle zobaczył, że po skalnej ścianie zsuwa się

płonący promień. Płonął na złoto na srebrzystym tle. Okno z drugiej strony wychodziło na wschód. Za górą właśnie wschodziło słońce, osuwało się po tej skale. Winter śledził drogę promienia w dół, potem przez okno. Oświetlił krzesło, którego zarysy widział chwilę wcześniej. Potem stół, był tam też stół. Płonące światło przesuwało się powoli po podłodze, słońce wspinało się coraz wyżej na wschodnie niebo i oświetlało to miejsce, jedno z najdalej wysuniętych na wschód w całym kraju.

Drewniana podłoga starego domu wyglądała teraz jak bursztyn. Słońce trafiło na jeden z drążków łóżka. Gałka wyglądała jak cebulasta kopuła z jakiegoś dalekiego kraju na wschodzie. Światło padło na drugi słupek. Winter zobaczył dolną część łóżka. Promień wędrował coraz dalej.

Wtedy zobaczył mężczyznę. Leżał na łóżku.

Wzdrygnął się. Uderzył czołem o szybę. Ból w nadgarstku wrócił z całą siłą. Szyba była cała. Nadal przyciskał do niej twarz.

Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy.

To był Jan Richardsson.

Leżał bez ruchu, jakby był martwy, ale nie był martwy. Ręce miał wyprostowane, trzymał je wzdłuż ciała. Mrugał, ale nie spuszczał z niego wzroku.

Musiał cały czas tak leżeć i patrzeć na mnie. On widział mnie, a ja nie widziałem jego. Miał nadzieję, że sobie pójdę. Pewnie bym to zrobił, gdyby słońce się nie pokazało. Powinien wiedzieć, że tej jesieni słońce wschodzi codziennie.

Richardsson nadal się nie ruszał. Winter nie widział sznura ani kajdanek. Uniósł bolącą dłoń i pomachał przez okno. Drzwi. Wstań i otwórz drzwi. W prawej ręce już trzymał się sauera. Richardsson poruszył głową, spojrzął w bok. Drzwi. Usiadł na łóżku, opuścił nogi na podłogę. Wstał, zachwiał się lekko, odzyskał równowagę. Znow popatrzył na Wintera. Winter wskazał na drzwi. Richardsson skinął głową i zniknął mu z pola widzenia. Teraz całe wnętrze było oświetlone. Kiedy Winter odsunął twarz od okna, stwierdził, że zrobił się dzień. Teraz to było zupełnie inne miejsce.

Oderwał się od okna. Takie miał wrażenie. Przeszedł cztery kroki do drzwi. W zamku coś szczęknęło. Stał pod ścianą z pistoletem w wyciągniętej dłoni. Drzwi się otworzyły. Tamten stał za nimi. Słyszał go z drugiej strony.

– Nie ruszać się!

Ruch za drzwiami zamarł.

– Niech pan idzie prosto przed siebie – powiedział Winter.

Usłyszał, jak Richardsson zaczyna iść. Zobaczył, jak wyłania się zza drzwi.

– Niech pan się nie rusza – polecił.

Stał przed Richardssonem. Nie był uzbrojony. Nie był nawet całkiem ubrany. Miał na sobie brudną koszulę, płócienne spodnie i grube skarpety. Jego podbródek porastała nierówna szczecina, włosy miał zmierzwione. Nie wyglądał na polityka.

– Co pan tu robi? – zapytał Winter.

– O to samo chciałbym zapytać pana – odparł Richardsson.

Winter uderzył go w brzuch lewą ręką. Ból wystrzelił do łokcia, jak skupione promienie słońca. Zapomniał. Richardsson zachwiał się i zrobił krok w tył, z powrotem do drzwi. Usiadł na podłodze z nieprzyjemnym hukiem.

– Skurwiel – powiedział Winter. Wszedł za nim do domku. Stał nad nim i usiłował opanować ból, przyciskając prawą dłoń do nadgarstka. Nadal trzymał w ręce pistolet. Richardsson uniósł rękę, żeby się zasłonić.

– Już nie będę pana bił – oświadczył Winter. – Co pan tu robi?

– Ja... ja... tu jestem.

– Co pan tu robi? – powtórzył Winter.

– Nic nie robię. Zupełnie nic.

– Jak się pan tu znalazł?

– Przypląnąłem promem.

Sprawił wrażenie bardzo wystraszonego. Winter nie sądził, żeby się zgrywał: na wyspę można było dotrzeć tylko promem.

– Kiedy pan przypląnął?

– To było... jaki dzień jest teraz...

– Jest niedziela. Niedziela rano.

– Wczoraj. Wczoraj wcześniej rano. A może to było w piątek późnym wieczorem...

– Niech pan wstanie – powiedział Winter.

Cofnął się dwa kroki. Richardsson powoli stanął na nogi.

– Kto pana tu przywiózł?

– Ja... przyjechałem sam.

– Bzdura.

Winter zrobił krok do przodu. Nadal miał w dłoni pistolet. Richardsson wyglądał tak, jakby się spodziewał kolejnego ciosu. Albo czegoś gorszego. To przez moją twarz. Pewnie sam bym jej w tej chwili nie rozpoznał. Ale on mnie rozpoznaje. Nie muszę się przedstawiać.

– Kto pana tu ukrył? Lejon?

Richardsson nie odpowiedział. Ale Winter zobaczył coś w jego oczach.

– Jeśli to Lejon, to lepiej, żeby się pan przyznał. Jest ostatnim człowiekiem, na którym może pan polegać. Już zamordował Rogera Edwardsa.

Richardsson drgnął. Nawet nie próbował tego ukrywać. Można kłamać tylko do pewnej granicy. Richardsson już dawno ją przekroczył. Albo teraz, kiedy przybył na wyspę. Kiedy wrócił do domu. Trudniej jest kłamać, kiedy się jest w domu.

– Naprawdę – mówił dalej Winter – zastrzelił Edwardsa.

– Skąd wiecie?

– Wiemy.

– Czy... złapaliście go? Lejona?

– Nie. Ale w tej chwili szuka go pięćdziesięciu policjantów.

A pan może nam pomóc.

Richardsson spojrział na stojący przy łóżku stół. Leżał na nim telefon komórkowy.

– On jest... mówił, że tu przyjedzie – powiedział Richardsson.

– Kto? Lejon?

Richardsson skinął głową.

– Kiedy?

– Co?

– Kiedy ma przyjechać?

– Wkrótce... – Richardsson popatrzył na zegarek. – Teraz,

rano.

– Kiedy dzwonił?

– W nocy.

– Dlaczego ma przyjechać?

– Ma mi pomóc się stąd wydostać.

– To prawda – stwierdził Winter. – Pomoże się panu stąd wydostać na dobre. Zamorduje pana. – Winter podszedł jeszcze krok bliżej. – Jedzie tu po to, żeby pana zabić!

– Skąd... pan wie? Nie, to niemo...

– Zlecił to Rogerowi Edwardsowi.

– Co?

Richardsson sprawiał wrażenie, jakby nagle zobaczył ducha. Wpatrywał się w Wintera, ale widział kogoś innego.

– Edwards nie mógł tego zrobić – ciągnął Winter. – Tak samo jak nie był w stanie zamordować Sellberga.

– Ale kto... kto to zrobił?

– Pan tego nie wie, panie Richardsson?

– Nie.

– Dlaczego pan uciekł? Dlaczego pan zniknął?

– On powiedział, że tak będzie najlepiej. Lejon.

– Mój Boże, to cud, że pan jeszcze w ogóle żyje.

Richardsson patrzył w podłogę.

– Zaginął jeszcze ktoś – powiedział Winter. – Mój kolega Lars Bergenhem. Inspektor kryminalny z mojego wydziału. Pan go zna. Lars Bergenhem. Gdzie on jest?

– Nie wiem. – Richardsson nadal wpatrywał się w podłogę. Jakby już właściwie nie słuchał. – Ja nie wiem.

– Czy Lejon o nim mówił?

– Nie.

– Gdzie jest Bergenhem?

– Nie wiem!

Richardsson podniósł wzrok. Słuchał. Trząsł się.

– Gdzie pan był, zanim pan się tu znalazł?

– Trochę... tu i tam. Byłem na innej wyspie.

– Czy to Lejon panu pomógł?

– Nie... tak... on mnie znalazł. On się ze mną skontaktował.

– Jak?

Richardsson nie odpowiedział.

– Dlaczego miałby panu pomagać?

Richardsson nie odpowiedział.

– Czy pan nie rozumie, co to znaczy, że on pana umieścił akurat tutaj!?

Richardsson potrząsnął głową.

– Czy ktoś inny wie, że pan tu jest? – zapytał Winter.

– Ktoś inny? Niby kto?

– Ktoś z pańskich dawnych przyjaciół.

– Nie mam tu żadnych przyjaciół.

Drzwi za plecami Wintera poruszyły się. Odwrócił się. To był wiatr. Drzwi kiwały się w tę i w tę. Teraz na dworze był ranek, początek dnia. Widać było gęste zarośla na zboczu wzgórza. Nadal były zielone. Gdzieś z oddali dobiegał warkot łodzi. To było coś z dużym motorem.

– Kiedy Lejon miał przyjechać?

– Jak mówiłem... teraz, dziś rano.

– O której?

– Nie wiem.

– Miał przyjechać sam?

– Tego nie wiem.

Richardsson podszedł krok bliżej. Spojrzał mu w oczy.

– Gdzie jest moja żona? – zapytał. – Co się z nią stało?

– Dlaczego pan o to pyta? – Winter wytrzymał jego spojrzenie. Richardsson patrzył na niego rozgorączkowanym wzrokiem. Może miał gorączkę. Wyglądał na chorego. Twarz miał pozbawioną koloru. Była ciemna jak pokój, w którym leżał, kiedy on przyciskał czoło do szyby.

– Dlaczego pan o to pyta? – powtórzył Winter.

Richardsson popatrzył na komórkę na stolku.

– Baterie się kończą – powiedział. – Nie mogę do nikogo zadzwonić.

– Pańska żona tu dzwoniła?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ona... nie wiedziała. – Richardsson nadal patrzył mu w oczy. – Naprawdę. Ona o niczym nie wie. Nie chciałem

mówić. A Lejon... Lejon...

– A Lejon co? – dopytywał się Winter.

– Czy on... o Boże! Czy on jej coś zrobił? I dzieciom!?

Richardsson wyglądał, jakby jego umysł znów zaczął pracować, jakby szok minął.

Teraz sobie przypomni, pomyślał Winter.

– Nie – odparł Winter. – Nie może jej już nic zrobić.

– Skąd pan to wie?

– Bo ona jest u nas – wyjaśnił Winter.

– U was? Dlaczego?

Winter nie odpowiedział. Richardsson czekał na odpowiedź. Stał teraz tuż przed nim. Winter czuł kwaśny zapach jego niemytego ciała.

– Nie wie pan? – zapytał Winter.

– Co mam wiedzieć? Co takiego?

Wtedy Winter zrozumiał, że naprawdę nie ma pojęcia. Że Richardsson nadal o wielu rzeczach nie wie. Ale wie o wielu innych. O tym, co zrobił. O tym, czego jest winien. O tym, co było powodem tego wszystkiego, co dzieje się teraz, w terażniejszości. Co jest jego wielką winą. Nie ma czasu przeszłego. To się dzieje tutaj. Teraz. Czas został w tym teraz uwięziony i Winter nie zamierzał go wypuszczać. Wszystko zeszło się w jednym czasie o tym poranku, ostatnim poranku.

– Co mam wiedzieć? – powtórzył Richardsson, tym razem głośniej.

– Pańska żona zastrzeliła Sellberga – wyjaśnił Winter.

– Nie!

Z twarzy Richardssona zniknęły wszystkie kolory. Jakby spadła z niej cieniutka maska.

– Nie! To nie może... to nieprawda!

– Nie kłamię w takich sprawach – powiedział Winter.

– Boże! Wielki Boże! O Jezusie! Jezu Chryste! – Richardsson osunął się na kolana. Zwracał się teraz do Boga. Bóg go nie słuchał. Na to było za późno. Może zawsze było za późno. Winter wiedział, że Richardsson został członkiem wspólnoty po opuszczeniu wyspy. Tam nie wierzył już w Boga, jak zresztą większość ludzi.

– Jezu! Jezu! – wykrzykiwał nieustannie. Imię odbijało się od ścian małego pokoju. – Jezusie!

– Zrobiła to za brata – powiedział Winter. – On nie mógł tego zrobić. Więc załatwiła to za niego. – Winter też przyklęknął. Podparł się bolącą ręką. Ból znów ogarnął całe ramię. Ale dłoń nadal trzymał na podłodze. Próbował uchwycić spojrzenie Richardssona. – Zrobiła to dla Rogera. I dla pana.

Richardsson nie odpowiedział.

– Dla pana, panie Richardsson! Zabiła człowieka z pańskiego powodu.

Richardsson podniósł wzrok znad swoich splecionych dłoni. Nadal klęczał.

– Z powodu pańskiej winy – powiedział Winter. – Co to była za wina, panie Richardsson? Na czym polegała? Twoja wina, Richardsson? Wina Rogera. Wina Sellberga.

– Nie, nie. – To brzmiało jak jęk. Richardsson wyginał dłonie, jakby chciał je spleść w wieczny uścisk, modlitwę do Boga na zawsze. – Nie, nie, nie!

– Niech pan mówi, panie Richardsson. Niech pan opowiada. Niech pan opowie wszystko tu i teraz! Co zrobiliście? Co zrobiliście z Beatrice Kolland?

– NIE!

To był ryk. Przedarł się obok Wintera i wypadł drzwiami. Winter poczuł podmuch wiatru. Nagle Richardsson złapał go za ramiona. Rozplótł palce z modlitewnego gestu. Bönekällan, Źródło Modlitwy, pomyślał Winter. To tutaj. W tej chwili. Usiłował się oswobodzić. Palce Richardssona głęboko wbiły mu się w ramiona. W lewym czuł silny ból.

– NIE!

Telefon na stołku odezwał się ostrym dźwiękiem. Zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu.

44

KRZYK RICHARDSSONA BRZMIAŁ TAK, jakby dobywał się z przepaści, ale telefon zabrzmiał jeszcze bardziej szokująco. Richardsson spojrzał na niego, jakby chciał go uciszyć

wzrokiem. Spojrzał na Wintera.

– To on – stwierdził Winter. – To Lejon.

Richardsson nie odpowiedział.

– To on panu dał tę komórkę, prawda?

Richardsson skinął głową.

Komórka zadzwoniła znowu. Dzwonek brzmiał jak ryk samolotu podchodzącego do lądowania. Albo jak motorówka przybijająca do pomostu. Do pomostu Brännö. Winter chwilę wcześniej słyszał silnik motorówki. Teraz nie było go słyhać. Morderca był w drodze. Na szczyt góry. Winter czuł, że pistolet dotyka jego żeber. Chłodna stal. Pomyślał o srebrze, o morzu tam, w dole. Ciało miał gorące, osiągnęło temperaturę wrzenia.

– Odebrać – nakazał Winter. – Musi pan odebrać. Odebrać telefon.

– Dlaczego?

– Żeby myślał, że wszystko jest normalnie – powiedział Winter.

– Nic nie jest normalne.

– Odbierz!

Richardsson drgnął. Na kolanach przysunął się do stołka. Wyglądało to jak jakiś religijny rytuał. Oczyszczający obrzęd. Oczyszczał podłogę kolanami i w ten sposób próbował oczyścić siebie samego. Jego kolana zostawiły na podłodze ślad. Od dziesiątków lat zbierał się tu kurz. Winter czuł go w nosie. Kilka razy o mało nie kichnął. Potem to mijało. Kurz wylatywał przez otwarte drzwi. Winter wyrztał na zewnątrz. Cały świat był niedzielnym porankiem. Teraz już na pewno. Słońce było wszędzie. Pojawiły się nawet cienie. Widział cień dachu, pod którym stał. Ten cień padnie na mordercę, kiedy nadejdzie z dołu.

– Halo? Halo?

Słyszał za sobą głos Richardssona.

– Halo?

Odwrócił się.

– Rozłączył się – powiedział Richardsson.

Komórka zadzwoniła jeszcze raz.

– Halo?

Winter słyszał głos. Brzmiał jak silnik. Nie było słów, tylko szum: wznosił się i opadał.

– Jestem tutaj – mówił Richardsson do telefonu. Potem słuchał. – Spałem. – Znów słuchał. – Jestem... wyczerpany. – Słuchał. – Okej. – Słuchał. – Otworzę.

Odłożył komórkę na stołek, jakby parzyła go w dłoń. Popatrzył na Wintera.

– On tu idzie. Jest na dole, przy przystani.

– Sam?

– Nic o tym nie mówił.

Winter spojrział na zegarek. Za pół godziny łódź straży przybrzeżnej przybije do wyspy. Wyjął portfel, znalazł numer i wystukał go.

Nie było sygnału.

Wybrał numer Ringmara. Nic. Halders. Też nic. Do domu. Znów nic.

Richardsson cały czas mu się przyglądał.

– Tutaj trudno złapać zasięg – powiedział. – To chyba przez tę skałę za domem. Nie da się nigdzie dodzwonić.

– Ach tak, a do kogo w takim razie pan dzwonił?

– Do Lejona.

– Kiedy?

– Kiedy... kiedy się tu znalazłem. Kiedy... on pojechał.

– Dlaczego?

– Nie... powiedział, jak długo mam tu być.

– Pan kłamie – powiedział Winter. Podszedł do niego krok bliżej. – To niesłychanie ważne, żeby mi pan wszystko powiedział, panie Richardsson. Zaraz tu będzie morderca. Chce pana zabić. Będzie próbował zabić mnie. Nie mogę zadzwonić po pomoc. – Spojrział mu w oczy. – Do kogo pan dzwonił?

– Do... znajomego.

– Znajomego? Do kogo?

Richardsson milczał.

– Gdzie?

– Tutaj...

– Tutaj? Na tej wyspie? Dzwonił pan do kogoś z wyspy?

Richardsson skinął głową.

– Mówił pan, że jest na Brännö?

Richardsson nie opowiedział. Wyglądał, jakby nasłuchiwał kroków. Ale nie usłyszał kroków. W najlepszym razie zobaczą, że ktoś się zbliża. Ale Lejon może mieć własną ścieżkę do domu. Może zsunie się po skalnej ścianie z tyłu. Może nadciągnie z najmniej spodziewanej strony.

– Kto wie, że pan tu jest, panie Richardsson?

– Boris.

– Boris? Kto to taki?

– On jest... kościelnym.

– Boris? Nazywa się Boris Hjelm. Właśnie. Rozmawiałem z nim. Co mu pan powiedział?

– Nic.

– Nic? Dzwoni pan po trzydziestu latach i nie mówi nic?

– Powiedziałem tylko, że tu jestem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może się bałem. Bałem się!

– Co powiedział? Co Boris powiedział?

– Nie... mówił dużo. On nigdy dużo nie mówi. Co tu było do gadania.

– Czy on tu był?

– Nie.

– A ma przyjść?

– Nie... nie mówiliśmy o tym.

– Mówił mu pan o Lejonie?

– Nie. Ja chciałem tylko... żeby ktoś wiedział, że tu jestem.

– Ma pan numer tego telefonu? – Winter kiwnął głową w stronę komórki.

– Nie. Nie miałem odwagi.

Winter znów wyjrzał przez otwarte drzwi. Mógł wyjść na słońce, wejść na szczyt góry i spróbować łapać sygnał. Mógł stać na wierzchołku i wymachiwać rękami, jak semafor dla statków w dole. Ale nie wyszedłby z tego cało. Za kilka minut będzie tu Lejon. Wypełźnie z dżungli albo się w niej schowa. Jak prawdziwy lew, tak się przecież nazywa, Lejon to lew. Ale lwy chyba nie żyją w dżungli? Ich domem jest sawanna. To nie tutaj. To nie jest naturalne środowisko Lejona. To nie jest

miejsce dla nikogo, pomyślał. To niedobre miejsce. Ta głębia. Pomyślał o jeziorku. To grób. Znow o tym pomyślał.

Grób.

Spojrzał na Richardssona. Dla niego pobyt tutaj musiał być męką. Właśnie tutaj. Blisko grobu. Czy tak było? Czy był blisko grobu?

– Dlaczego tutaj? – zapytał Winter.

Richardsson nie odpowiedział. Gapił się na drzwi. Cały czas były otwarte. Winter podszedł i zamknął je. Potem stanął przy najbliższym oknie, pod ścianą. Cień padał w drugą stronę. Gdyby miał szczęście, nikt by go z zewnątrz nie zauważył.

– Dlaczego akurat ten dom? Dlaczego tutaj?

Richardsson potrząsnął głową. To najgorsza z możliwych odpowiedzi. Na południu Indii oznacza tak. W innych krajach nie. Właściwie może znaczyć wszystko pomiędzy.

– Do kogo należy ten dom? – zapytał Winter.

– Tego nie wiem.

– Czy Lejon go kupił? Do niego należy?

– Nie wiem.

– Kiedy pan był młody, panie Richardsson. Kiedy mieszkał pan na wyspie. Do kogo wtedy należał?

Richardsson nie odpowiedział.

– Czy to był wasz dom? Należał do pańskiej rodziny?

Richardsson powoli skinął głową. Może to było greckie nie. Winter miał to gdzieś. Teraz już wiedział.

– Czy Lejon wie?

– Tego... nie powiedział. Nie wiem.

Richardsson nagle rozejrzał się po całym pokoju, jakby go widział po raz pierwszy. Ale to nie był pierwszy raz. To był jeden z wielu razy. To miał być ostatni raz. Richardsson o tym wiedział. Cokolwiek się stanie, to będzie ostatni raz.

A co się tu stało przedostatnim razem? Coś się stało w tym pokoju. To nie tylko Sandvik, Husvik, morze, kolonie. To było tutaj. W tej piekielnej ruderze. Góra. Jeziorko. Dżungla. Wtedy też była tu dżungla. To była prastara puszcza.

Lejon wiedział o tym. Wiedział, co tu się stało. Albo się domyślał. Przywiózł tu Richardssona. Może zamierzał też

przywieźć Edwardsa. Doprowadzić do spotkania Edwardsa z Richardssonem. To nie miało być ich pierwsze spotkanie. Ale stracił cierpliwość. Coś się stało. Tym czymś był Lars Bergenhem. Kiedy pomyślał o Larsie, poczuł nagle ukłucie bólu nad lewym okiem. Jakby ból z lewego ramienia zawędrował do głowy. Czuł, że zbliża się łagodna fala bólu. Jeszcze powolna, jak szum morza na plaży. To nie z powodu Larsa. To stres, który się nawarstwił przez ostatnią dobę. Napięcie. Brak snu. Brak jedzenia, picia. Wszystkiego. Czuł, że zbliża się atak. Zamknął oczy. Fala zalała go całego. Uderzyła o brzeg, który teraz był zrobiony ze skał, to nie był miękki piasek. Znow był w stanie oddychać. Domyślił się, że Richardsson mu się przygląda. Otworzył oczy.

– Co się dzieje? – zapytał Richardsson.

– To nic takiego.

– Źle się pan czuje? Nie wygląda pan dobrze.

– Czuję się świetnie. – Winter znow wyjrzał przez okno. Nic się nie poruszało. Fala w jego głowie czekała. Znieruchomiła na chwilę. – Czuję się świetnie. – Odwrócił się z powrotem do Richardssona.

– Jak pan myśli, dlaczego Lejon akurat tu pana przywiózł? Tutaj umieścić?

– Nie wiem.

– Wie pan! Odpowiedz, do cholery!

Kolejna fala zalała mu czaszkę jak beton. Na kilka sekund zupełnie go obezwładniła. O mało nie stracił równowagi. Próbował się czegoś złapać, próbował złapać się ściany. Nie udało mu się. Leciał w dół. Podłoga była tak daleko. Próbował się podeprzeć lewą ręką. AAUUU! Dwa rodzaje bólu zderzyły się w jego ciele. Przed oczami zrobiło mu się czerwono. Mdłości szarpnęły jego żołądkiem. Starał się oddychać. Oddychał ciężko. Usiłował nie zwymiotować. Czuł pod sobą podłogę. Znow złapał się ściany.

Wstał. Otworzył oczy. Łzy paliły go pod powiekami. Jak słona woda, jakby nurkował w morzu.

– Na Boga! – zawołał Richardsson. – Pan jest chory.

Winter potrząsnął głową. Teraz on to zrobił. Chciał

zaprzeczyć, ale to było potwierdzenie.

– Pan się musi położyć – powiedział Richardsson.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślał Winter. Właściwy chory we właściwym momencie. Lejon mógł w tej chwili przyłożyć mu lufę do czoła, a jego tylko by ucieszył dotyk chłodnej stali.

– To... to przejdzie – wydusił i oparł się o ścianę prawą ręką. Lewa do niczego się nie nadawała. Może miał złamany nadgarstek. Próbował kilka razy.

Próbował obserwować, co się dzieje za oknem. To było kilka osobnych miejsc. Znow zamknął na chwilę oczy. Widział wszystko ostrzej. Wszystkie te miejsca zlały się w jedno. Było cicho, cudowny jesienny dzień. Roślinność otaczała ich z każdej strony. Zakłète miejsce, w którym nic w przyrodzie nie umiera. Miał nadzieję, że dotyczy to również jego.

Wbił wzrok w Richardssona.

– Co się tu stało?

Richardsson patrzył na niego, jakby za chwilę znów miał paść na podłogę.

– Co Lejon panu powiedział?

Richardsson nie patrzył na niego. Patrzył ponad nim, przez okno. Cały zeszywniał, jego twarz też znieruchomiała. Potem podniósł rękę i wskazał przed siebie. Winter spokojnie odwrócił się do okna.

Jacob Ademar powoli szedł między drzewami.

45

RICHARDSSON STAŁ OBOK WINTERA. Wydzielał ostry zapach. To był raczej strach niż brak higieny. Winter rozpoznawał ten zapach, ten odór, ale nigdy wcześniej nie czuł go tak wyraźnie.

Woń strachu wypierała z jego głowy ból. Jakby ból z niego opadał, wsiąkał w czerwoną podłogę. Przerazenie drugiego człowieka łagodzi migrenę. Może powinien opowiedzieć o tym innym ludziom cierpiącym na migrenę. On na nią nie cierpiał. Widział Ademara. Pisarz rozglądał się na wszystkie strony jak

myśliwy. Stał bez ruchu, jakby nasłuchiwał. Odwrócił się, spojrział tam, skąd przyszedł. Za nim było widać tylko dziką roślinność.

– Czy pan go zna? – zapytał Winter.

Richardsson nie odpowiedział. Winter nie był pewien, czy patrzy na Ademara. Richardsson zachowywał się tak samo jak Ademar. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby Ademar miał być tylko zwiadowcą.

– Muszę wiedzieć, czy pan go zna – szepnęła Winter.

– Nie, nie znam go. Kto to jest?

W tej chwili Ademar patrzył prosto w okno. Stał w całkowitym bezruchu, jakby coś zobaczył, jakiś ruch.

– On nas widzi – powiedział Richardsson i zadrżał. Winter złapał go za ramię lewą ręką. Czuł ból w uszkodzonym nadgarstku, przypominający ból migrenowy. Pulsował w lewej części ciała, ale mimo to Winter nie rozluźniał uścisku. W prawej ręce trzymał pistolet. Richardsson najwyraźniej odyskiwał równowagę. To nie mogła być gra. Nic, co robił, nie było grą. Wcześniej Winter zastanawiał się, czy go nie przywiązać, ale nie znalazł nic, co by się do tego nadawało. Mógłby go jeszcze zakneblować. Ale na to i tak nie było czasu. A teraz liczył się tylko Ademar, tam, w lesie. I to, co nadchodziło w ślad za nim.

Winter wziął do ręki komórkę. Była martwym przedmiotem. Kątem oka zarejestrował ruch.

Szyba rozprysnęła się na kawałki.

Usłyszał strzał, zanim zobaczył pękające okno. Nie całe, kula załatwiła górną połowę. Poczul na twarzy zimny podmuch. Widział wiatr poruszający się w gałęziach niemal martwej brzozy za Ademarem. Pisarz wyglądał jak żywy znak zapytania. Jego usta się poruszały. Jakby szukał słów, tych, których mu brakowało. Pisarz pozbawiony słów. Gapił się na rozbitą szybę. Potem spojrział za siebie.

Wszystko to stało się w ułamku sekundy.

– Padnij! – krzyknął Winter. – Na podłogę.

Richardsson padł na podłogę. Winter nadal stał, przyciśnięty do ściany. Widział połowę przestrzeni za oknem. Usiłował

dojrzyć coś za Ademarem. Nic się nie ruszało.

Kolejny strzał!

Kula świsnęła przez wybite okno, przeleciała przez pokój, rozbiła szybę w oknie naprzeciwko i odłupiała kawałek skalnej ściany. Winter widział to wszystko po kolei. Jak na zwolnionym filmie.

– Boże, Boże – słyszał laments rozplaszczonego na podłodze Richardssona. Spojrzał w dół. Richardsson chyba zamierzał się podnieść, żeby uklęknąć.

– Niech pan leży!

Bóg ci teraz nie pomoże, myślał Winter. Nie pomoże nam. Teraz tylko my sami możemy sobie pomóc. Ale jak? Rozejrzał się szybko. W pokoju nie było nic, czego mógłby użyć. Cztery bezwartościowe ściany, dwa rozwalone okna. Zamknięte drzwi, to wszystko. Lejon mógł się prześliznąć między tylną ścianą domu a skałą i otworzyć ogień przez rozbite okno. Mógł nadal strzelać od frontu. Może wcale nie był sam. To był Lejon, to nie mógł być nikt inny. To było oblężenie. To było szaleństwo. Jak ja się tu znalazłem? Jak Ademar w tym wylądował? Nadal go widział. Ademar nadal stał na polanie jak skamieniały. Jak statua. Oświetlony słońcem wyglądał, jakby był pokryty warstewką złota. Złotych listków. Wyglądał, jakby czekał na kolejny strzał, który trafi go w plecy.

– Winter!

Najpierw pomyślał, że to Ademar go zawołał. Ale Ademar odwrócił się, żeby zobaczyć, skąd dobiega głos. Popatrzył w dżunglę. Winter nie widział za nim nikogo.

– Winter! Wiem, że tam jesteś!

To był głos Lejona.

– Rzuć broń!

– To on! – powiedział Richardsson. Leżał na podłodze i patrzył w górę. – On nas zastrzeli! Niech pan nie oddaje broni!

W takim razie oddam ją tobie, pomyślał Winter. Ale to by nie było dobre rozwiązanie. Richardsson by się nie sprawdził podczas wymiany ognia.

– Ja rzuciłem broń! – zawołał Lejon. – Już zrobiła, co do niej

należało!

Winter usiłował się zorientować, skąd dobiega głos. Ale widział tylko połowę sceny.

– Czego chcesz?! – zawołał.

Richardsson drgnął, kiedy usłyszał jego głos. Zabrzmiał w pokoju jak wystrzał z pistoletu. Winter czuł w ręce ciężar broni. Jedyne zabezpieczenie. Ale nie był pewien, czy to wystarczy. Myślał o łodzi straży przybrzeżnej. Powinna właśnie przybijać do pomostu Brännö. Może za późno, już po strzałach. Kiedy pracuje silnik, na łodzi można ich nie usłyszeć. Co robią, jeśli się nie zjawi? Będą czekać? Zadzwonią po posiłki? Zejdą na ląd, żeby go szukać? Wspinaczka w górę Bönekällan może trochę potrwać. Pewnie najpierw zajmą się resztą wyspy. Sandviksdalen. Prawdopodobnie właśnie tam będą się go spodziewać. Tam, gdzie kiedyś stał ośrodek kolonijny.

– Winter! Jak tam!?! – zawołał Lejon. – Jak się macie!?!

Winter nie odpowiedział. Przykleknął, a potem ostrożnie przesunął się pod oknem na drugą stronę. Zobaczył jakiś ruch za grubym pniem drzewa. Coś tam mignęło. To mogło być ramię, a może gałąź poruszająca się na wietrze. Wiało trochę mocniej. Słońce nadal świeciło, jak tylko mogło, a niebo ciągle było idiotycznie niebieskie. Ale wiatr przybrał na sile. Winter pomyślał o żaglach. Przypomniał sobie, jak sam jako młody chłopak pływał żagłówką. Pływał po tej cieśninie. Latem 1975 roku. Czy to tędy płynął? Czy to tutaj ta przygoda miała się skończyć? Ademar nadal się nie ruszał, stał jak głaz na środku polany. Schwytny pomiędzy. Czy to tak miała się zakończyć jego książka?

Winter spojrzał w dół, na Richardssona. Jak on się czuł? Jak się mamy? Całkiem nieźle, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Spojrzał w górę. Mieli dach nad głową. Wyjrzał przez okno. Żyli. Był piękny jesienny dzień. Powietrze było rześkie. Czuł je przez najeżone odłamkami okno. Powietrze niesło zapach soli i morza. Sól morską, młode ziemniaki z masłem i koperkiem, przemknęło mu przez myśl w pół sekundy. Ale to nie był sezon na młode ziemniaki. Chcę to przeżyć jeszcze raz w ziemskim życiu, pomyślał. Młode ziemniaki ze śledziem, do tego setka

wódki. Ten bandyta, tam, za oknem, w tym mi nie przeszkodzi. Nie zamierzam umierać, w każdym razie nie przed czerwcem przyszłego roku.

– DOBRZE! – zawołał. – MAM SIĘ DOBRZE!

Może to się poniosło aż do przystani. Żeby tylko nie wzięli tego dosłownie. Poczul łupnięcie w głowie. Za głośno krzyczał. Boże, jeśli istniejesz, pozwól mi zachować zdrowie przez najbliższą godzinę. Potem mogę pójść do szpitala. Pozwolę zrobić ze sobą wszystko.

– To dobrze! – odrzyknął Lejon. – Tak powinno być.

Winter podejrzewał, że gangster stoi za pniem drzewa. Musiał się tam przedostać, kiedy on pełzał pod oknem. Może widział cień. Słońce przesunęło cień w jego stronę.

– Nie mam z tobą nic do załatwienia, Winter! – zawołał Lejon. – Możesz odejść, kiedy zechcesz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?! – odrzyknął Winter.

– Po prostu odejdz. Chcę się tylko spotkać z moim starym przyjacielem Richardssonem. Czekal na mnie. Chcę mu pomóc się stąd wydostać.

Pomóc mu się stąd wydostać. To mówił szaleniec. Winter spojrzal na Richardssona. Odczołgał się od okna. Siedział pod północną ścianą. Kiedy uslyszal swoje nazwisko, podniósł wzrok.

– Po prostu spadaj stąd, Winter! – zawołał Lejon.

– Nie ma tak łatwo, Lejon – odparł Winter.

– Dlaczego? Obiecuje, że nic ci się nie stanie.

– Tu się nikomu nic nie stanie, Lejon.

– Właśnie o tym cały czas mówię!

– Najlepiej będzie, jeśli to ty natychmiast wrócisz do miasta – zawołał Winter.

– Nie, to nie będzie najlepsze!

– To co będzie najlepsze?

– Już mówiłem! To ty wrócisz do miasta, Winter!

– Zabiorę ze sobą Richardssona! – krzyknął Winter. –

I Ademara.

– Ademar nie chce z tobą jechać!

Winter popatrzyl na Ademara. Dlaczego on, u diabla, ciągle

tam stał? Dlaczego nie skorzystał z okazji, żeby się gdzieś schronić? Dlaczego nie próbował?

– Mogę go zapytać! – zawołał. – Sam zapytam Ademara.

– Jacob i ja jesteśmy tutaj, żeby dokończyć robotę! – odkrzyknął Lejon. – Mamy książkę do dokończenia!

– Gdzie jest Bergenhem?! – zawołał Winter.

Nie dostał odpowiedzi. Ademar nadal stał w tym samym miejscu. Wyglądał jak niewidomy, jakby wolał nic nie widzieć ani nie słyszeć.

– Co się stało z Bergenhemem? – pytał dalej Winter. – Z moim kolegą. Gdzie on jest?

– Dość tego, Winter. Tu chodzi o ciebie. To ty masz sobie stąd iść.

– Co z nim zrobiłeś? Z Bergenhemem?

Lejon nie odpowiedział.

– Co zrobimy? – Winter usłyszał głos Richardssona. – Co pan zrobi?

– Czekamy – odparł Winter. – To jedyne, co możemy w tej chwili robić.

– Czekamy na co?

– Aż ktoś tu przyjdzie. – Popatrzył na Richardssona. – Pański kolega Boris. Kościelny. Czy on może tu przyjść?

– Nie...

– Dlaczego nie?

– Bo ja... tak mu powiedziałem, żeby tu nie przychodził.

– Musimy to przeciągać – powiedział Winter. – Zyskać na czasie. Rozmawiać z nim.

– Może już nie będzie chciał rozmawiać – odparł niepewnie Richardsson.

– Oni zawsze chcą – stwierdził Winter. A potem zawołał: – Dlaczego zabiłeś Edwardsa?

Nie dostał odpowiedzi.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Nie chciał już w tym uczestniczyć – odezwał się Lejon. Brzmiał teraz inaczej, jakby nagle stał się kimś innym. Jego głos był wyższy, jakby bardziej spięty. – Nie chciał w tym siedzieć do końca!

– Do jakiego końca? – zawołał Winter.

– Tego, oczywiście. Tego, który jest teraz. To właśnie jest koniec.

– Edwards miał tu być? Na tej górze?

– Naturalnie.

– Dlaczego?

– Wszyscy mieli tu być!

– Wszyscy? O jakich wszystkich ci chodzi?

Lejon nie odpowiedział. Winter nie wiedział, gdzie w tej chwili jest. Mógł się przemieszczać w zaroślach, kiedy rozmawiali. Mógł się tym wszystkim znudzić i posłać serię w dom. Ale Winter nie sądził, żeby się znudził. To była jego wielka chwila. To było zakończenie.

– Dlaczego zastrzeliłeś go w swoim mieszkaniu przy Stilla gatan? Dlaczego tam?

Lejon nadal nie odpowiadał.

– Dlaczego nie u niego w domu? Dlaczego nie zrobiłeś tego za jednym zamachem, kiedy zastrzeliłeś Bergehema?

– Nie zastrzeliłem go! – odkrzyknął Lejon. Teraz brzmiał spokojniej, jakby słowa Wintera go uspokoiły. Jakby dostał szansę, żeby powiedzieć prawdę.

– Kto go zastrzelił?! – zawołał Winter.

– Nikt go nie zastrzelił – odparł Lejon. – Ale chcę ci opowiedzieć o Edwardsie. Ten pieprzony skurwysyn do niczego się nie nadawał. Był bezwartościowy. Przez całe życie był do niczego. Co to ma za znaczenie, że nie żyje? I tak zostałby ukarany. Zabrali go na Stilla gatan, bo tak im powiedziałem. Nie mogliśmy zabrać twojego kolegi. Ale Edwards mógł iść sam. Dałem mu jeszcze jedną szansę. Miał popłynąć z nami na wyspę. Powiedziałem, że ma tu zastrzelić Richardssona. Ale to był tylko żart! Nie dostałby naładowanej broni. Chciałem się z nim trochę podroczyć, i z tą świnią, która jest tam z tobą, w środku. Chciałem, żeby cierpieli jak najdłużej. Póki sam tu nie przyjadę. Wtedy mieli pocierpieć jeszcze trochę.

– Dlaczego mówiłeś, że Edwards mógł iść sam? – zapytał Winter. – Bergehema nie mógł iść sam?

– Edwards nie chciał tu przyjechać! – krzyknął Lejon, jakby

nie usłyszał ostatniego pytania. – Odmawiał. Tak samo, tak sobie pomyślałem, jak odmawiał zastrzelenia Sellberga. Że tego nie zrobi. Ale mnie nie chodziło o to, żeby zastrzelił Sellberga! To też był żart! Chciałem, żeby Sellberg też tu przyjechał! Żeby tu był! W tej chwili!

– Ale dałeś Edwardsowi naładowany pistolet – powiedział Winter.

– Miał poćwiczyć! – zawołał Lejon. – I nawet to zrobił. Chociaż nie liczyłem, że naprawdę to zrobi. Zresztą on tego nie zrobił! – Zaśmiał się głośno. – Oczywiście wiem, kto to zrobił. Naprawdę ją za to podziwiam.

– Gdzie jest Bergenhem?! – krzyknął Winter.

– Tak więc Edwards dostał karę trochę wcześniej niż to bydłę, który jest tam z tobą – ciągnął Lejon. – Można powiedzieć, że to było działanie impulsywne, choć ten palant zaczynał mnie już męczyć. Przykre, że to się stało w moim mieszkaniu. W mieszkaniu mamy i taty. Ale co można na to poradzić.

– Nie możesz tam wrócić! – krzyknął Winter. – Nie możesz nigdzie wrócić. Poddaj się. Wszystko skończone. To koniec. Miałeś swoją zemstę. Sellberg i Edwards nie żyją. Richardsson tu, w środku, jest prawie nieżywy, zapewniam cię. Więc skończ już z tym.

Nie dostał odpowiedzi.

– Książka jest skończona.

Na to też Lejon nie odpowiedział. Może się namyślał. Może słuchał. Winter popatrzył na Richardssona. Nadal wyglądał, jakby się wybierał na własną egzekucję. Słowa Wintera go nie uspokoily. Winter nie był spokojniejszy. Może jego próby powstrzymania Lejona przynajmniej na jakiś czas przyniosły odwrotny skutek. Morderca tylko się odprężył, mógł się trochę wygadać.

– WINTER!

Winter drgnął. Teraz Lejon krzyczał głośniej. Przy dobrym wietrze taki krzyk powinno być słyhać u stóp góry. Przecież tam mieszkają ludzie, przy skrzyżowaniu, tam gdzie Bönekällan odchodzi od Husviksvägen. Gdzie zaczyna się

wspinać na zbocze góry. Nikt z nich nic nie słyszał? Czyżby wszyscy pojechali do miasta? Do kościoła? To chyba kościelne dzwony właśnie się odezwały? Tak. Nagle usłyszał je z daleka, z północy, z północnego wschodu. Chyba nie powinny teraz dzwonić? Bicie dzwonów opadało w dół skalnej ściany za jego plecami.

– Chcę, żebyś wyszedł z tej szopy, Winter. Bez broni. Wyjdź z rękami do góry!

– Nie wyjdę – odpowiedział Winter.

Rozległ się strzał.

Ademar podskoczył.

Krzyknął.

Winter sam podskoczył w miejscu.

Ademar zaczął padać na ziemię. Znów ruch w zwolnionym tempie.

Winter widział krew na nogawce jego spodni.

Ademar krzyknął jeszcze raz. Leżał na ziemi. Tkwił tam w bezruchu tak długo, że Winter prawie o nim zapomniał. Jakby stał się częścią natury.

– Wyjdź! – krzyknął Lejon. – Wylaż, Winter!

– Kurwa, Lejon, co ty robisz! – krzyknął Winter.

– Wyjdź z rękami do góry! Bo inaczej wpakuję w Jacoba jeszcze jedną kulę!

Ademar ucichł. Może słuchał. Albo zemdlał, z powodu szoku albo utraty krwi. Jedną nogę miał czerwoną. Albo czarną. Winter nie mógł ocenić, czy to była prawa, czy lewa. Jakiś podłużny cień padał na niego, jakby miał na ciele czarną przepaskę.

– On jest niewinny! – krzyknął. – Jacob Ademar nie ma z tym nic wspólnego!

– To nieprawda! – Głos Lejona brzmiał teraz inaczej, jakby pożałował tego, co zrobił. – Ale ja nie chcę tego robić. On ma mi pomóc przy książce. Albo ja pomogę jemu. Tylko musisz nam dać Richardssona! Bo inaczej nie będzie żadnej książki!

– Nie strzelaj! – krzyknął Winter.

– Oddaj mi Richardssona!

– Nie strzelaj! Nie strze...

Wystrzał rozdarł słowa Wintera na pół. Tym razem trafił Ademara gdzieś w okolice ramienia lub przedramienia. Jego ciało drgnęło. Winter widział strużkę krwi wytryskującą z ciała. Nie krzyczał. Na Boga, on umiera. Ten wariat go zastrzeli na śmierć. Już przekroczył granicę. Wie, że ja wiem. Wie, że wiemy o Edwardsie. Zamierza sam dokończyć tę przeklętą książkę. Poświęci Ademara. Poświęci wszystko. Dlaczego? Za to, co się tu stało latem 1975 roku? Teraz to znaczy dla niego wszystko. To dlatego tu przyjechał. Zmierzał tutaj, tak samo jak ja. Zmierzał tutaj od tamtego czasu. Zaplanował tu coś na dzisiaj. Miał coś zrobić z Richardssonem. Może z Edwardsem, gdyby Lars nie pokrzyżował mu planów. Zabrałby ze sobą Ademara jako świadka. Jako... kronikarza. Właśnie. Nie przewidział, że mogę tu być. Ale *the show must go on*. Zaplanował show. Śmiertelny obrządek w pełnym słońcu. Stałem mu na drodze. A tam, na drodze, stoi Ademar. Trzeba się pozbyć wszystkiego, co stoi na drodze.

Kolejny strzał!

Zobaczył, jak ziemia porusza się przy głowie Ademara. Pisarz leżał bez ruchu. Winter nie sądził, żeby nie żył. Jeśli człowiek nie ma przestrzelonej na wylot głowy, potrzebuje więcej czasu, żeby umrzeć. Może Lejon spudłował. Może zrobił to celowo, pierwszy i ostatni raz.

Będę musiał improwizować. Brać po kolei sekundę za sekundą.

To przecież tutaj mierzałem.

– Przestań strzelać! – zawołał. – Okej, wychodzę!

Lejon nie odpowiadał.

– Wychodzę! – powtórzył Winter. – Wychodzę z rękami do góry!

Richardsson podnosił się z podłogi.

– Niech pan tego nie robi! – powiedział. – On pana zastrzeli!

– Stał na nogi. – Zastrzeli nas obu!

– Musimy zaryzykować – odparł Winter. – Jeśli nic nie zrobię, zastrzeli Ademara. – Zrobił krok w stronę drzwi. – Może nawet już to zrobił.

– Jeśli tak, to nie musi pan wychodzić.

– Ja tak nie działałam – wyjaśnił Winter. – Mogę tu zaczekać jeszcze chwilę, ale wtedy on na pewno umrze. Ja tak nie umiem funkcjonować.

– Ale co to da, jeśli on nas zabije? Co wtedy? Wtedy wcale nie będzie pan funkcjonował.

– Może da się tego uniknąć – powiedział Winter. Słyszał własny głos. Brzmiał pewnie, całkiem pewnie. Ale bardzo się bał tego, co miało się stać. Wyjście tymi drzwiami mogło oznaczać dobrowolne udanie się na własną egzekucję.

Wsunął pistolet za pasek od spodni, na plecach. Zaciągnął pasek o jedną dziurkę mocniej.

Otworzył drzwi.

– Wychodzę!

Ademar leżał bez ruchu piętnaście metrów dalej.

Winter powoli wyszedł.

Poczuł we włosach powiew wiatru.

Podniósł ręce. Spojrzał w górę. Niebo było większe niż kiedykolwiek wcześniej. Bardziej błękitne. Poczuł się jak więzień w nieskończenie wielkiej celi. Jak się z niej wydostanie?

– Nie ruszaj się, Winter!

Lejon był bliżej, ale nadal nie było go widać. Mógł być wszędzie. Winter widział, że nie stoi za pniem drzewa.

– Muszę podejść do Ademara! – krzyknął.

– Nie ruszaj się!

– Nie! Muszę go obejrzeć. Idę.

I ruszył. Zamknął oczy. Tak, mam zamknięte oczy. Może tak będzie lepiej. Cekał na kulę. Czy usłyszę strzał, zanim pocisk mnie trafi?

Szedł. Otworzył oczy. Od ciała Ademara dzieliło go tylko kilka kroków. Nadal idę. Żyję. Dotarłem. Pochyliam się. Ademar miał zamknięte oczy. Wyglądał, jakby był pogrążony w miłosierdnym śnie. Ale twarz miał bladą, powoli bielała. Kolejny szok. Z rany w ramieniu już nie płynęła krew. To chyba nie było nic poważnego. Gorzej wyglądała noga. Winterowi wydało się, że widzi pod kolanem kawałek kości. To mogło być coś innego. Zerwał z szyi szalik i obwiązał mocno nogę Ademara, nad

kolanem. Wstał, zdjął płaszcz, marynarkę, potem koszulę. Podarł ją na pasy i opatrzył nogę pisarza najlepiej, jak potrafił. Potem ostrożnie dotknął jego ramienia. Ademar nadal spał. Winter odsunął kurtkę z rany. Krwi nie było tak dużo, jak się obawiał. Kula drasnęła skórę i poleciała dalej, w zarośla albo w ścianę domu. Kiedy to wszystko się skończy, znajdą ją, tak samo jak znaleźli pociski w domu Sellberga kilkadziesiąt lat temu. Wydawało mu się, że to było bardzo dawno. To, co się działo wtedy, mogło równie dobrze wydarzyć się w 1975 roku, i w pewnym sensie tak właśnie było. Rok 1975 był teraz. Przeszłość była teraz. Nie było czasu minionego. Lato 1975 – to było wszystko, co się liczyło dla Lejona. I dla pozostałych. Dla leżącego przed nim Ademara. Kilka razy o mało nie przyplącił tego życia. Pewnie w końcu przypląci. Pewnie zabije ich wszystkich. Gdzie jest Lejon? Wyłączył go ze świadomości, kiedy zajmował się rannym. Na początku miał poczucie, jakby był na scenie. Ale potem to minęło.

Podniósł wzrok.

Lejon stał w drzwiach.

Przed sobą trzymał Richardssona.

Winter zobaczył broń w jego rękach. Karabin automatyczny. Wiedział to od chwili, kiedy usłyszał pierwszy strzał. To nie był TT, choć i jego można było używać w trybie automatycznym. Ale Lejon porzucił tamten pistolet, dokładnie tak jak powiedział. Leżał na dnie rzeki. Jestem tego pewien. Wiedział, że się tego dowiem. Trop z Zakonem Coldinu był tylko tropem pobocznym, ale ważnym. Może sam chciałby wiedzieć. Przeszukanie dna pod krzyżem w cieśninie. Chciał wiedzieć. Chciał, żebyśmy wykonali swoją pracę. On nie wie wszystkiego. Jest tutaj po to, żeby się dowiedzieć.

Nagle wszystko stało się jasne.

Lejon chciał wiedzieć, tak samo jak on. Chciał się dowiedzieć!

Nie znał wszystkich odpowiedzi.

To Richardsson znał odpowiedzi.

Richardsson mógł wszystko opowiedzieć.

Może miał to zrobić, a potem zginąć.

Winter myślał o tym, klęcząc przy ciele Ademara. Pisarz

wiedział tylko to, co wiedział Lejon. Nie doszedł dalej, nie dalej niż on. Nie dalej niż Lejon, nawet jeśli Lejon wniósł do tej historii nowe okoliczności, szersze tło. Lejon był tłem. Tutaj tym właśnie był.

I chciał wiedzieć. Wkrótce dowiedzą się wszystkiego. I wkrótce pewnie ja też umrę. Nie rozumiem, jak mi się to udało, że jeszcze żyję. Jestem praktycznie martwy.

– Wstawaj, Winter.

Winter spojrział na twarz Ademara. Był spokojny, odprężony. Nadal był nieprzytomny. Ciągle jeszcze żył. To było najlepsze, taką powinien mieć nadzieję.

Wstał.

– Ten facet musi jak najszybciej dotrzeć do szpitala – powiedział.

– Rozumiem – rzucił Lejon. – Ręce do góry!

Winter podniósł ręce.

Lejon uderzył Richardssona kolbą karabinu. W szyję.

Richardsson padł twarzą w dół, potem na kolanach zaczął odsuwać się na bok. Lejon podniósł wzrok.

– Odwróć się – powiedział do Wintera.

– Dłacz...

– Odwróć się!

Lejon zobaczył kolbę pistoletu. Gdybym miał podkoszulek. Zdjąłem koszulę. Dobry uczynek.

Lejon przeszedł obok Richardssona. Richardson nadal na kłęczkach odsuwał się gdzieś w bok.

Winter poczuł, jak Lejon wyciąga mu kolbę zza paska.

– To by i tak nie przeszło – powiedział.

– Co zamierzasz zrobić? Zastrzelić mnie? – zapytał Winter.

– Nie, nie. Zrobimy sobie mały spacer. A raczej powspiniemy się trochę.

– Dokąd?

– Nie byłeś tam, na górze? Na pewno byłeś. Przecież taki wścibiński skurwiel z ciebie.

Winter poczuł uderzenie w ramię. W prawe ramię.

– Idź w stronę domu. – Znów cios. – Idź!

Ruszył w stronę domu. Richardsson podniósł wzrok, spojrział

na niego. Próbował coś powiedzieć. Nic nie było słyhać.

– Wstawaj! – rozkazał Lejon.

Uderzył Richardssona kolbą w lewe ramię.

– No wstawajże, kurwa!

Richardsson próbował się podnieść. Nogi rozjeżdżały mu się na wszystkie strony, jakby stał na śliskim lodzie.

Wreszcie udało mu się wstać. Winter nie widział jego oczu. Richardsson nie miał już spojrzenia. Zaraz ruszy. Wspinaczka, mały spacerek. *Dead man walking*.

Wokół było cicho, śmiertelnie cicho. Umilkły nawet kościelne dzwony. Nic nie było słyhać ani z nieba, ani z morza. Wiatr przestał wiać. Na niebie nie było ptaków. Żadnego warkotu rybackich łodzi. Żadnych gwizdków okrętowych. Gdzie się wszyscy podziali? Winter nasłuchiwał, chciał usłyszeć jakikolwiek dźwięk. Nic nie było. Wszyscy o nim zapomnieli. Więc tak to wygląda. Na koniec nikt o człowieku nie pamięta.

– No to idziemy – rozkazał Lejon.

46

SŁOŃCE PALIŁO WINTERA W OCZY. Szedł za Richardssonem. Richardsson nie odwracał się za siebie. Kilka metrów za Winterem pochód zamykał Lejon. Małe gałązki smagały Wintera po twarzy. Wcześniej ich nie zauważył. Skóra go paliła, skóra i oczy.

Zaczęli się wspinać na górę. Richardsson potknął się w jakiejś szczelinie i zjechał w dół. Winter złapał go, ścisnął za ramiona. Wydawały się chude, jakby cały Richardsson w ciągu tej ostatniej godziny zrobił się wychudzony i kruchy. Tak właśnie było. Winter też czuł się całkowicie bezsilny. Jakby cała jego moc wsiąkła w ziemię. Tak działa strach. I pistolet maszynowy Lejona. Kilka razy czuł jego lufę na plecach. Może udało mu się uratować Ademarowi życie, ale tylko na chwilę. Ademar umrze. Wszyscy umrą. Ta wspinaczka jest ostatnią rzeczą, jaką w życiu robią. Oparł rękę o skalną ścianę. W cieniu była wilgotna. Szkoda, że nie mam rękawiczek, pomyślał. Do diabła, jakie to teraz ma znaczenie, pomyślał zaraz potem. To tak, jakby

więzień prowadzony na egzekucję omijał kałuże, żeby sobie nie zmoczył stóp.

– Stać!

Byli w połowie drogi.

Z obu stron otaczała ich gęsta dżungla.

Richardsson się odwrócił. On już jest martwy. Widziałem już takie twarze? Wiem. Na pewno wyglądał tak samo. Nie. W tej chwili myślę o tym, żeby rzucić się w bok, może wystarczy, jeśli na ułamek sekundy wywołam zamieszanie.

Ale Lejon był za daleko, dzieliło ich zbyt wiele metrów.

– Zatrzymać się!

Nikt się nie ruszył.

– W lewo! Idziemy w lewo!

Skołowany Richardsson patrzył to na Wintera, to na Lejona. W lewo. Nie było żadnego lewo. Winter nie widział nic poza zwartą ścianą krzaków, gałęzi, pni, paproci i sterczących na boki ostrych traw, które mogły być prehistoryczną trzcina z czasów, kiedy morze sięgało aż tutaj. Teraz zostało tylko jezioro. Z lewej. Widział odbłaski słońca na jego powierzchni. Coś mignęło jak czarne oko, zamrugało. Może to było złudzenie. Ale właśnie tam szli.

Zobaczył coś, co przypominało otwór w ścianie.

Ścieżka. Czyjeś ślady. Świeżo wydeptana ścieżka.

Zobaczył, że Richardsson też zauważył.

– Na ścieżkę! – rzucił Lejon.

Mówił podniesionym głosem. Winter słyszał w nim napięcie. On też szedł nad jezioro. On też nie wiedział.

Richardsson wszedł w dżunglę. W wysokiej trawie ktoś wydeptał wąską ścieżkę. Była nowa, jakby ktoś szedł tędy w ostatnich dniach. Albo nocach. Sucha trawa zaczynała się podnosić. Jeszcze kilka dni i wszystkie ślady by zniknęły. Po nas też, pomyślał Winter. Ostatni raz ktoś idzie tą ścieżką.

Widział już taflę wody. Wyglądała jak pokryta smołą. Była idealnie gładka. Wśród drzew nie było wiatru. Roślinność wokół jeziora była wysoka na metr, jak mur. Ale ścieżka prowadziła do samej wody. W murze była szeroka na kilka metrów wyrwa. Stali w niej. Byli na miejscu. Woda była trochę

niżej, pół metra poniżej muru. Jezioro było większe, niż Winter sobie wyobrażał, stojąc na szczycie góry. Nie mogło być zbyt głębokie. Wydawało mu się, że przy brzegu widzi dno. Wszystko było czarne. Żadnego odcienia brązu. Wydawało mu się, że widzi na dnie kamienie. To był kamień, duży kamień. Lśnił matowo. Winter podniósł wzrok, spojrzął na błękitne niebo, ale nie było na nim słońca. Wołało świecić nad morzem. To miejsce, w którym stali, zostało zapomniane. Nad wodą rozciągały się cienie, jak całun. Czarne na czarnym. Ale coś odbijało się w białym kamieniu.

Stali bez ruchu. Richardsson patrzył w głębinę. Lejon stał za ich plecami. Winter nie chciał się odwracać. Lejon czekał na coś. Wszyscy czekali. Nagły strzał rozerwie ciszę. Potem jeszcze jeden. A potem zrobi się cicho.

– To tutaj – powiedział Lejon.

Nikt się nie poruszył.

– Poznajesz to miejsce?

Richardsson poruszył głową.

Odwrócił się do Lejona. Wiedział, że mówi do niego.

– To tutaj ją przyprowadziliście, tak?

Richardsson nie odpowiedział. Wyglądał, jakby nie słuchał. Patrzył na Lejona swoimi czarnymi oczami, ale równie dobrze mógł się przyglądać drzewom z tyłu, na ścieżce prowadzącej w dół, ku morzu i życiu tam, w dole.

– To tu ją zabraliście, ty ścierwo!

Lejon zrobił krok naprzód. Richardsson drgnął.

– Ty, Sellberg i Edwards. Wszyscy tu byliście. Tu ją przyprowadziliście!

Richardsson potrząsnął głową.

Lejon uniósł lufę pistoletu.

Winter stał pomiędzy nimi.

Mam się rzucić do wody? – myślał gorączkowo. Coś muszę zrobić.

– Nie ruszaj się, Winter!

– Ja... się wcale nie ruszałem.

Nagle Lejon się uśmiechnął. Uśmiech zajaśniał zaskakującą bielą, jak świeżo wypolerowane srebro wśród tych przeklętych

cieni.

– Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty, Winter. Nie byłeś zaproszony.

Winter nie odpowiedział.

– Sam się wprosiłeś. Nie powinieneś tego robić.

– Ty też nie powinieneś tego robić.

– Czego robić? Czego nie powinienem robić?

– Nie powinieneś do niego strzelać. Jest winien. Ty nie musisz go karać.

– Nie muszę? A kto to zrobi? Ty? Policja? Ha, ha. To już się przedawniło. Jakby nigdy się nie zdarzyło. Kto teraz coś udowodni? – Wskazał na Richardssona. – Ta świnia wszystkiego się wyprze. Teraz też zaprzecza. – Wycelował lufę w Richardssona. – Zaprzeczasz? Czy jednak to zrobiłeś?

– Co... co zrobiłem?

Richardsson mówił bardzo cicho, jego głos był cichszy od szeptu. Ale oni słyszeli. W tej śmiertelnej ciszy wszystko było słyhać. Normalny głos brzmiałby jak ryk.

– To ty – powiedział Lejon. – Widziałeś, jak schodzi w dół Ścieżką Miłości, i poszedłeś z nią nad zatokę. Potem zjawili się tamci dwaj.

Coś zamigotało w jego oku. Na Boga, on płacze. Winter zobaczył łzę, potem jeszcze jedną.

– Widziałeś, jak moja Beatrice idzie ścieżką – mówił Lejon.

– Nie. Nie.

– Widzisz? – Lejon zwrócił się do Wintera. – On zaprzecza.

Lejon zrobił krok naprzód. Od Richardssona dzieliło go teraz zaledwie kilka metrów.

– Znałeś to cholerne bajoro, to tutaj ją wrzuciliście. To tu ją utopiliście!

– Ty... nie zrozumiałeś.

– Co? Nie zrozumiałem? Czego nie zrozumiałem?

Richardsson nie odpowiedział.

– Tu nie ma nic do rozumienia – powiedział Lejon. – Nie muszę nic rozumieć. I tak jest już na to za późno.

Zrobił jeszcze krok w stronę Richardssona i uderzył go kolbą w twarz.

Potem wycelował broń w Wintera.

– Nie ruszaj się!

– Nie ruszałem się.

Lejon odwrócił się z powrotem do Richardssona.

– Właż do wody!

– Cc... co?

– Właż do wody!

– Dlaczego czekałeś tak długo? – zapytał Winter.

– Co?

Lejon popatrzył na niego.

– Dlaczego tak długo czekałeś z tą karą? – powtórzył Winter.

– Z karami dla nich. Przecież minęło tyle lat.

– Nie wiedziałem – odparł Lejon. – Do niedawna o tym nie wiedziałem.

– Jak się dowiedziałeś?

Lejon nie odpowiedział. Wpatrywał się w Richardssona, jakby chciał go zastrzelić natychmiast, tam gdzie stał.

Potem znów spojrzał na Wintera.

– A jakie to ma, kurwa, znaczenie?

– Chcę wiedzieć. Jak się dowiedziałeś?

– Znam różnych ludzi – odparł Lejon.

– Znasz ludzi?

– Znam ludzi, którzy znają tego skurwiela – powiedział Lejon, ruchem głowy wskazując na Richardssona. – Ale dowiedziałem się o tym dopiero niedawno.

– Jak się dowiedziałeś?

– Pomyśl o krzyżu – powiedział Lejon. – Znaleźliście go, prawda? I te inne krzyże. Liczyłem na to. Pomyślałem, że trochę mi pomożecie w poszukiwaniach. Pomożecie szukać pod powierzchnią. – Z uśmiechem popatrzył na Wintera. – Ja też nie byłem całkiem pewny. Wtedy nie. Teraz jestem pewny. – Znów spojrzał na Richardssona. – Znam ludzi z tego cholernego zakonu. Rozumiesz? Richardsson tam był. Nazywał się tam Richard Jansson! Myślał, że nikt go nie rozpozna, że może swobodnie mówić. Tak go poznałem. Chociaż go nie poznałem. – Lejon spojrzał na Richardssona. – Właściwie cię nie znałem, prawda? Nie znałem bydlaka, którym już wtedy

byłeś!

– Nie zrozumiałeś! – krzyknął Richardsson. – Nie wiesz, co się stało!

– Zamknij się! – ryknął Lejon. – Zamknij się, bydlaku!

Odwrócił się do Wintera. Nagle znów zaczął wyglądać jak uosobienie spokoju. Wskazał na Richardssona.

– Richard Jansson. Ten, co tu stoi. Ta kupa gówna. Myślał, że ucieknie przed Brännö. Może by mu się nawet udało. Minęło wiele lat, przez wiele lat nie mogłem nic zrobić. Najpierw byłem jak sparaliżowany. Można powiedzieć, że nie czułem się dobrze. A potem, kiedy poczułem się lepiej, miałem na głowie inne sprawy. Ale pewnego dnia... pewnego dnia wszystko wróciło. Wiedziałem, że muszę coś z tym zrobić. Naprawdę musiałem coś zrobić.

– Jak trafiłeś na Sellberga? – zapytał Winter.

– Przez klub – wyjaśnił Lejon.

– Klub? Jaki klub?

– Klub, do którego chodził. To też był tajny klub. – Na twarzy Lejona ukazał się upiorny uśmiezek. – Tam też chodzili tacy, co nie chcieli, żeby ktoś się o tym dowiedział. Mój kumpel go prowadził. Nigdy tam nie chodziłem. Nienawidzę pedałów. Ale on mi opowiadał. – Lejon znów się obrzydliwie uśmiechnął. – Mieliśmy też czasem innego znanego gościa. Ty go znasz.

– Gdzie on jest!? – krzyknął Winter. – Gdzie jest Bergenhem?

Lejon nie odpowiedział. Znów wpatrywał się w Richardssona. Richardsson stał ze spuszczoną głową. Oczekiwanie.

– Więc wreszcie znowu spotkałem Richardssona i Sellberga. Sellberga nie było trudno zidentyfikować. Choć zmienił nazwisko, tak mi się wydaje, ale to nie miało znaczenia. Był do siebie podobny. A ten skurwiol śmiertelnie się go bał. – Lejon zrobił krok w stronę Richardssona. – Nie było tak? Byłeś niewolnikiem Sellberga, prawda?

– To nie... to nie był on. To nie my. To był Edw... to był Edwards – wyduśił Richardsson. – To Edwards...

– Stul pysk! – przerwał mu Lejon. – Stul pysk! Nie próbuj zwałać winy na innych, skurwielu!

Lejon popatrzył Winterowi w twarz.

– Próbuje ratować skórę. Zwała wszystko na Edwardsa, jakby to mogło coś pomóc. – Zaśmiał się. – Teraz nic mu nie pomoże. Ale ty jeszcze nie wiesz, jak na niego trafiłem, prawda? Opowiem ci o tym i będziemy mieć wszystko załatwione. To dzięki jego siostrze. Berit. Dzielna mała Berit! Kiedy znalazłem Janssona, nieważne, jak się nazywa, znalazłem też jego rodzinę. A kiedy sprawdzałem jego żonę, okazało się, że jej panińskie nazwisko brzmi znajomo. Kiedy wiele lat później zacząłem się zastanawiać nad tym, co się tam stało tego lata, pojawiło się to nazwisko. A teraz się odnalazło, w otoczeniu Richardssona. Czy to był przypadek? Dowiedziałem się, że ona ma brata, który jest za granicą. Siedział tam kilka lat. Ale w końcu wrócił do domu. Pomyślał chyba, że wszystko poszło w zapomnienie. Tak się mówi? Iść w zapomnienie? Ale nie poszło. – Lejon znów spojrzał na Richardssona. – Nigdy nie pójdzie.

– Ty... ty się mylisz – wykrztusił Richardsson. – Beatrice jest...

– Zamknij się! – krzyknął Lejon. – Zamknij się! Zamknij się! Jeśli jeszcze raz wypowiesz jej imię, rozwalę ci łeb jednym strzałem, ty pieprzona, podła świnió! Włóż do wody, mówiłem ci. No już, do wody!

– Co ty chcesz zrobić? – zapytał Winter. – Co zamierzasz zrobić? – Usiłował zapanować nad głosem. To było niemożliwe.

– Co... on ma zrobić?

– Ma ją wyciągnąć! – krzyknął Lejon. – Ten skurwysyn jest jej to winien. Ma wyciągnąć moją Beatrice!

Znów uderzył Richardssona w twarz. Z jego ust już ciekła krew.

Lejon kopnął go w biodro. Richardsson runął pół metra w dół, do wody. Powierzchnia jeziora rozstąpiła się pod nim. Zniknął pod nią z ogłuszającym pluskiem. Tak to zabrzmiało w uszach Wintera. Jak wybuch. Winter odruchowo spojrzał w niebo, żeby zobaczyć, czy utworzył się na nim gazowy grzyb.

Po chwili ukazała się twarz Richardssona. Wypłynęła na powierzchnię. Próbował oddychać, ale wyglądało to tak, jakby

nie był w stanie wciągnąć powietrza do płuc. Jego usta otwierały się i zamykały. Lejon obserwował go, a równocześnie pilnował Wintera.

Richardsson wreszcie zaczął oddychać. Brzmiało to jak szloch. Chyba klęczał w wodzie. Winter widział jego ciało pod powierzchnią. Upadek poruszył szlam na dnie. Lustro wody powoli się wygładzało. Richardsson szlochał coraz ciszej. Nic nie wyciągnie, pomyślał Winter. Lejon go tam zastrzeli. Do tego wszystko zmierza. A potem przyjdzie kolej na mnie.

– Dalej, rusz się! – rozkazał Lejon.

Richardsson patrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Krew płynęła przez nie z góry. Miał rozbite czoło, jakby założył czerwoną opaskę. Jego włosy wyglądały jak namalowane.

– Wstań!

Richardsson znów spróbował stanąć na nogi. Prawie mu się udało, ale od razu stracił równowagę. Jego głowa zniknęła pod wodą. Winter widział jego nogi. Odbijały się od dna. Nabral rozpędu, popłynął parę metrów, jakby niesiony prądem. Było widać głowę. Usiłował oddychać, z trudem łapał powietrze. Powietrze było czarne, jak węgiel. Znów spróbował stanąć na dnie. Nagle zaczął dziko wymachiwać rękami. Wyglądało to tak, jakby chciał się wzbić w powietrze i odlecieć. Jakby chciał wyskoczyć z wody. Krzyknął. Winter usłyszał ten krzyk. To już nie był szloch. To był krzyk potwornego przerażenia. Richardsson patrzył prosto na niego. Nie patrzył na Lejona. Wpatrywał się w niego oczami pełnymi przerażenia. Bił rękami w wodę, jakby się opędzał od napastnika. Znów krzyknął.

Chyba usiłował coś złapać. Coś tam było! W wodzie! Winter szybko rzucił okiem na Lejona, ale Lejon nadal stał bez ruchu. Uniósł tylko karabin na wysokość pasa. Richardsson wydawał dźwięki, jakich Winter jeszcze nigdy nie słyszał. Widział, że próbuje złapać coś, co leży w wodzie, a może to odpycha, próbuje odsunąć, uciec od tego!

Trzymał w ręce rękę. Richardsson trzymał rękę! To nie była jego ręka. Puścił ją. Ręka utrzymywała się na powierzchni, pływała jak kawałek drewna. Winter rozpoznawał pod powierzchnią coś jeszcze, wielki cień, jak ogromna ryba.

Wypływał do góry. Ręka należała do tego cienia. To było ciało. Ukazało się na powierzchni. Unosiło się na wodzie. Oderwało się od dna! Richardsson musiał je uwolnić. Winter zobaczył włosy, potylicę, drugą rękę. Ciało odwracało się w wodzie, powoli odpływało, przekreśliło się pod wodą jeszcze raz i znów wypłynęło. Widział coś, co było tylko wielkim białym głazem. To ten kamień widział, kiedy spoglądał w wodę za pierwszym razem. To był kamień, nic innego, tylko kamień. Zamknął oczy, nie słyszał już krzyku Richardssona, nie słyszał go, bo sam krzyczał. Zrozumiał to, choć nie było nic do rozumienia, nic nie dawało się zrozumieć, wszystko było bez sensu, wszystko było skończone, puste, martwe i białe, jak twarz Bergenhema.

– Lars! – Teraz Winter słyszał swój własny krzyk. – Lars! – To było tylko słowo. To tylko jakieś ramię, które Richardsson trzymał. Drugie było pod wodą. Twarz Bergenhema znów zniknęła pod powierzchnią. Jaśniała z daleka, wyglądała jak kamień. – Lars! – Zrobił krok w stronę Lejona. – Dlaczego!? Lejon!? Dlaczego!?

Lejon nie odpowiadał. Obserwował toczącą się w wodzie walkę. Richardsson zmagał się ze zwłokami Bergenhema. Walka była wyrównana. Mieli takie same szanse. Richardsson znów na chwilę zniknął pod wodą, jakby pociągnięty przez Bergenhema. Wyglądało to jak potworny wodny balet.

Nagle Lejon się zachwiał. Złapał się za głowę, skroń, oko. Broń zadrzęła mu w ręce. Zamknął na sekundę oczy. Otworzył, znów się lekko zachwiał. W wodzie nadal toczyła się walka. Lejon sprawiał wrażenie, jakby starał się nie spuszczać z niej wzroku. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć bólu. Winter to znał. Przypomniawszy sobie, Lejon miewał ataki migreny. To była migrena. Winter nie miał migreny, ale to na pewno było to. Wiele rzeczy może wywołać atak migreny. Najpowszechniejszą przyczyną jest stres. Lejon był w wielkim stresie. Tu nie chodziło o zabijanie. Był mordercą, ale nie był pozbawiony uczuć, przynajmniej nie w tej chwili. Wydawało mu się, że jest blisko Beatrice. Był z powrotem w przeszłości. To było tu i teraz. Może pomyślał, że Richardsson znalazł w wodzie ciało Beatrice. Nie. Wiedział, że Bergensem też tam

jest. Chyba musiał wiedzieć?

Lejon, walcząc z bólem, chwiejnie zrobił krok naprzód.

Winter rzucił się naprzód.

Dzieliły ich trzy, może cztery metry.

Leciał w powietrzu.

Lejon widział, że na niego pędzi. Podniósł karabin i strzelił. Kula przeleciała obok Wintera. Zobaczył, jak wbija się w ziemię pod jego stopami. Po strzałach przed domem Lejon nie przestawił karabinu na ogień automatyczny. Rzucił się do tyłu. Winter nadal unosił się w powietrzu. Ciągłe jeszcze nie wylądował. Jeśli Lejon strzeli jeszcze raz, będzie tak leciał przez całą drogę, aż do nieba. Nigdy nie wyląduje. Wieczorem zasiądzie razem z Bergenhmem u stołu bogów. O tyle rzeczy chciał go zapytać. O tyle rzeczy chciał zapytać siebie samego. Dlaczego pozwolił Bergenhmowi wyjść z pokoju, z korytarza, ze swojego pieprzonego wydziału, z pieprzonej komendy. Wspomnienie jak biała twarz w wodzie. Biała twarz. *Indian summer* się skończyło. Chciał o wszystkim zapomnieć. Nigdy nie rozstawać się w niezgodzie. Zobaczył Aninę, widział ją w łóżku. To był ostatni obraz. Rozstawać się jak przyjaciele. Zawsze rozstawać się w przyjaźni. Kiedyś nadejdzie ostatnia godzina. To teraz. Teraz ten bydlak mnie zastrzeli. Znów podnosi lufę do strzału. Wstaje. Już nie leczę. Wylądowałem na ziemi. Nigdy nie doleczę do nieba. Zostanę pochowany w ziemi. To będzie pogrzez...

I nagle głowa Lejona eksplodowała na jego oczach. Rozprysła się na tysiąc kawałków. Wszystko może się rozpaść. Oczy jeszcze miał w twarzy, patrzyły we wszystkie strony, na Wintera, na Richardssona, na Bergenhema, na niebo, ziemię i w wodę. Stał bez ruchu, jeszcze stał, ze śmiercionośną bronią w rękach. Ale teraz nic mu to nie pomagało. Powoli osuwał się na ziemię. Głowę miał oskalpowaną. Potworny widok. Klęczał. Pistolet wypadł mu z rąk. Był coraz bliżej ziemi. Ten sam cholerny zwolniony film co zawsze. Lejon nie żył, ale nadal się ruszał. Upadał i upadał. Winter usłyszał wystrzał w tej samej chwili, kiedy kula rozwalila głowę Lejona. To musiała być potężna broń. Jak wybuch bomby. Leżał na ziemi. Kiedy

wreszcie wylądował, zarył twarzą w ziemię i w trawę. Czuł w ustach smak ziemi. Smakowała jak krew. Jak żelazo. To była krew. Splunął krwią. Musiał uszkodzić zęby, odgryźć pół języka.

– Erik!? Jak się czujesz!? Erik!? Erik!?

Tylko jeden człowiek zwracał się do niego po imieniu w ten sposób.

Spojrzał w górę.

Benny Vennerhag stał tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał Lejon. Trzymał w rękach coś, co wyglądało jak działo bezodrzutowe.

– Erik!? Erik!?

Uratowany przez przestępcze podziemie, pomyślał Winter. Nadal czuł w ustach smak ziemi. Spróbował splunąć jeszcze raz. Za Vennerhagiem coś się poruszyło. Coś wyszło z zarośli. Ademar. Kuśtykał dwa kroki za Bennym Boyem. Stał tam, oświetlony od tyłu słońcem. Trudno było rozpoznać jego twarz, ale to był on, to był pisarz. Książka jest skończona, pomyślał Winter. Prawie skończona.

23:00

GDYBY WIEDZIAŁA, JAK SIĘ NAZYWAJĄ, może nic by jej nie zrobili. Bo znałyby ich nazwiska. Ale potem pomyślała, że gdyby ich znała, byłoby jeszcze gorzej. To tak jak zostać porwanym przez kogoś, kto zdejmuje czarną maskę i widzi się jego twarz.

Lepiej nie pytać o imiona. Wydawało jej się, że jeden z nich ma na imię Bengt, przynajmniej tyle wiedziała. Chyba któryś z pozostałych to powiedział. To znaczyło, że ona... że oni nie przejmowali się tym, czy ona wie, bo mieli...

A może nie przejmowali się tym, bo to była tylko zabawa.

Wkrótce będzie z powrotem w ośrodku.

Może odwioz ją motorówką.

Będzie musiała coś wymyślić, kiedy wróci.

Może on będzie pytał. Jutro. Jutro Christian na pewno ją zapyta. Stał na pomoście. To na pewno był on.

– Kostium!

Nie chcę. Nie! Nie! Jeśli zdejmę kostium, będą mogli zrobić ze mną wszystko. Nie mogę go zdjąć. Muszę mieć na sobie kostium!

– Nie chcę!

– Ściągaj kostium!

– Nie chcę! Zostawcie mnie!

– Czy nie chcemy...

Inny głos, jeden z pozostałych. Przerwali mu.

– Zamknij się! Chodź tu i pomóż!

Próbowała krzyczeć, zaczęła krzyczeć. Głosy niosą się na dziesiątki kilometrów, kiedy jest tak cicho. Słońce zaszło. Kiedy nie było słońca, dźwięki rozchodziły się w powietrzu jeszcze lepiej.

– NA POMOOO...

Któryś z nich uderzył ją otwartą dłonią w usta. Zabolało. Chyba wybił jej ząb. Próbowała się uwolnić. Wgryzła się w dłoń z całej siły.

– AJ!

Czuła w ustach smak krwi. To mogła być jej własna. Dłoń, którą miała w ustach, zniknęła. Była zakrwawiona, widziała wyraźnie. Była prawie czarna.

– Roger! Pomóż, do cholery!

Ktoś zacisnął na jej ustach inną dłoń. Znów próbowała krzyczeć. Nie wiedziała, czy ją słyszą. Nie słyszała już własnego głosu. Wszędzie były inne głosy. Jakby te głosy ją rozszarpały. Wszystko i wszyscy ją szarpali. Chcieli ją rozszarpać na strzępy. Próbowała zanurzyć się w wodzie. Stali w wodzie, wszyscy stali w wodzie. Gdyby tylko mogła zanurkować, po prostu zniknąć w wodzie. Kiedy znieruchomiała i próbowała się zanurzyć, któryś z nich ją puścił. Pogryzła się w wodzie. Widziała tylko nogi. Nie mieli kąpielówek, żaden nie miał. Widziała mokre nogawki džinsów. Była w wodzie, czuła pod sobą dno. Próbowała płynąć. Widziała pomost, widziała morze. I wysepkę kawałek dalej. Nazywała się Svensholmen, zapamiętała to. Mogła przepłynąć obok niej. Gdyby jej się udało minąć Svensholmen, byłaby bezpieczna.

Świetnie pływała, była szybka. Gdyby tylko mogła się wydostać spomiędzy tych nóg. Nie dogoniliby jej. Motorówki nie było. Mogłaby się schować za skałami. Może pojawiłaby się jakaś inna łódka. Żaglówka. Pomyślała o chłopaku, który stał na dziobie, kiedy się mijali. Wyglądało na to, że płynął sam. Łódź nie była za duża. Może on by ją uratował. Dlaczego nie krzyknęła do niego, kiedy obok siebie przepływali? Bała się? Dlaczego nie wyskoczyła z motorówki? Mogła się po prostu rzucić do wody! On by ją zobaczył. Zrozumiałby, że potrzebuje pomocy.

Ktoś chciał ją rozszarpać, ale nadal była wolna. Może mogłaby popłynąć do Styrsö i schować się tam. Tam byli ludzie, mogłaby pobiec do pierwszego domu, jaki by zobaczyła.

Rzuciła się między parę nóg w dzinsach. Nikt jej nie trzymał. Zaczęła płynąć, płynęła, płynęła! Znow widziała pomost, płynęła! Oni krzyczeli za nią. Ktoś ją złapał, ale wierzgała nogami tak, że musiał puścić. Płynęła dalej! Widziała całe morze! Była wolna!

47

WINTER POLICZYŁ DO DZIESIĘCIU, jedenastu, dwunastu i stanął na nogi. Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich dni raz za razem był nokautowany.

Richardsson nadal był w wodzie. Sięgała mu do pasa. Jakby poziom się podniósł, kiedy powierzchnia znow się wygładziła.

Walka się skończyła. Bergenhem! Boże miłościwy! Lars! Znow zobaczył twarz Larsa, choć była pod wodą. Miał ją widzieć już zawsze. Nigdy tego nie zapomni. Tego, o czym chce się zapomnieć, nigdy się nie zapomina. To, co chce się zatrzymać, przeważnie znika na zawsze.

Wszedł do wody. Nie było mu ani zimno, ani ciepło. To była tylko woda, sięgała mu do kolan. Potem do ud. Szedł w stronę Richardssona. Richardsson się nie ruszał. Winter czuł, jak zdradzieckie dno dotyka jego butów. Dziwił się, że nie zapada się w muł albo w ruchomy piasek. To jezioro wciągało wszystko. Dlatego tam było. Kiedy to wszystko się skończy,

każe je zasypać. Ale to się nigdy nie skończy. Będzie pamiętał tę twarz, do której właśnie zmierza. Podszedł do Richardssona. Richardsson patrzył na niego, jakby myślał, że zamierza go utopić. Może potem. Albo pozwoli, żeby Benny go odstrzelił. Jeśli Richardsson miał coś wspólnego ze śmiercią Larsa, był już właściwie martwy. Spojrzał na Benny'ego. Vennerhag nachylał się nad ciałem Lejona jak sanitariusz w czasie wojny. Podniósł wzrok. Zawołał coś. Winter nie usłyszał. Był głuchy. Może Richardsson coś do niego mówił. Jego usta się poruszały. Ale ja jestem głuchy. Bóg obdarzył mnie w tej chwili łaską i odebrał słuch. Dzięki ci, Boże. Oślepnąć – to byłoby zbyt wiele łaski.

Zanurzył się. Woda była jak śluz. Czuł to na twarzy. Pachniała jak śluz. Cuchnęła wszystkim, co było martwe od tysiąca lat. Stu lat. Trzydziestu lat. Dwóch dni. Poczuł, że dotyka ręki Larsa. Czekala na niego. Poczuł pod palcami jego rękę, szyję, jego twarz. Czekala na niego. Przyciągnął ciało do siebie. Nadal byli pod wodą, on i jego kolega, kolega od tak wielu lat. Jego przyjaciel. Kusila go myśl, żeby zostać. Ciemność łagodniała, kiedy trzymał Larsa w objęciach. Nie miał problemów z oddychaniem, bo wcale nie musiał oddychać. To było przedziwne uczucie. Stał się rybą. Może Lars też był rybą. Mogliby zostać tam, na dole. Może spotkaliby Beatrice. Nie wiedział gdzie, ale był pewien, że ją spotka. Teraz sobie przypomniał. Przypomniał sobie wszystko. To ten spokój tu, pod wodą, to sprawił. Już raz ją widział. Machał do niej ręką, kiedy przepływała obok motorówką, która o wiele za szybko mknęła przez cieśninę. Ona też do niego pomachała. Miała ciemne włosy. Jego włosy zbiełaly od słońca. Były długie. Jej włosy nie były takie długie. Machala do niego. On też machał. W motorówce było trzech chłopców. Nie rozpoznawał ich. Może jednego. Chyba wozil towary przez cieśninę, ale wtedy miał inną łódkę. Dziewczynka miała na sobie czerwony płaszcz kąpielowy. Wygladał jak wielka flaga. Trzepotał za nimi w pędzie, kiedy mijali jego żaglówkę. Był na niej wtedy sam. Próbowal poprawić coś przy żaglu. Nie pamiętał, co to było. Ale zapamiętał ją. Szukał tego wspomnienia. Właśnie się odnalazło, ale było za późno. Na wszystko było za późno. Lars patrzył

gdzieś obok niego, patrzył w górę swoimi pięknymi oczami. Może coś się tam ruszało na zewnątrz, pojawił się jakiś cień. Ale to się nie liczyło. Bardzo chciało mu się spać. Potrzebował snu. A potem zakończy to śledztwo. Tylko się chwilę prześpi. Spać. Położyć...

Poczuł, że coś chwyta go za ramię. Zostawcie mnie. Idźcie sobie. *Go away*. To coś nie puszczało. Powoli wypuszczał z objęć Larsa. Lars powoli mu się wymykał, odpływał gdzieś. Próbował łapać go po omacku, ale odpłynął w ciemność. Nie mam już siły w palcach. Nie dam rady go złapać.

Jakaś siła wyciągnęła go na powierzchnię. Nagle poczuł na twarzy wiatr. Bolało go gardło, czuł ból w płucach, gdzieś na samym dnie. Bolał go cały brzuch, podbrzusze, nogi. Nie czuł stóp. Ból kończył się gdzieś nad stopami. Może stopy tkwiły w szlamie.

– Erik! Erik! Na Boga, Erik!

Teraz usłyszał. Już nie był głuchy. Próbował patrzeć. Nadal widział. Zobaczył niebieskie niebo. Tylko tyle zobaczył, to mogło wystarczyć. Ktoś trzymał go za płaszcz, ktoś trzymał jego twarz nad wodą. W piersi nadal bolało, ale już nie tak przeszywająco.

– Erik! Erik! Oddychasz? Oddychaj wreszcie, kurwa!

Coś wybuchło mu w klatce piersiowej. Zaczął oddychać. Powietrze wdarło się do jego krtani jak żelazny grot. Słyszał, jak się dławi. To były straszne odgłosy. Czy to on? Czuł w ustach śluz, wymiociny i wodę. Chciał natychmiast obmyć usta. Próbował złapać wodę jedną ręką, zebrać ją jak płachtę. Poczuł ból w przegubie. Przypomniał sobie. Kiedyś coś sobie zrobił w tę rękę. Nie pamiętał tylko kiedy.

Niebo nad jego głową się przesunęło. Było przekrzywione. Widział też powierzchnię jeziora, drzewa i krzaki. Zobaczył, że ktoś leży na ziemi. Widział, że ktoś siedzi obok. Ktoś go niósł, wynosił z jeziora. Próbował się uwolnić, ale nie miał siły, jeszcze nie. Wkrótce tam wróci. Nie mogą przecież zostawić tam Larsa. Wiedzą, że Lars tam jest? Musi ich zapytać, kiedy tylko znów nauczy się mówić.

Usłyszał głosy. Leżał na ziemi. Nie, siedział.

Ktoś siedział naprzeciwko niego.

– Erik.

To jego imię. Rozpoznał je.

Rozpoznał człowieka, który siedział przed nim w kucki.

– Benny.

– Z powrotem wśród żywych – powiedział Benny.

Poczuł nieprzyjemny smak w ustach. Drapało go w gardle. Całe ciało pulsowało bólem, oprócz głowy. W głowie nie czuł nic.

– Co się stało?

– Wszystko – odparł Benny.

– Skąd się tu wzięłeś?

– Tym nie zawracaj sobie głowy.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał jeszcze raz.

– Można powiedzieć, że miałem Lejona na oku.

Miał Lejona na oku. Czy to Lejon leżał teraz na ziemi? Vennerhag podążył za jego spojrzeniem.

– Już go nie ma wśród nas – powiedział.

Winter przełknął ślinę. Miał wrażenie, jakby przełykał żelazo.

– Ten drugi nadal jest z nami. Wyglądał źle, ale się wylize.

– Drugi?

– Ten, co leżał przy domu. Czy jak nazwać tę rudere. – Vennerhag się uśmiechnął. – Co za pieprzone miejsce.

Winter skinął głową. Co za pieprzone miejsce. Znów poruszył głową. Nigdzie nie widział Ademara.

– Gdzie on jest?

Vennerhag kiwnął głową w stronę grubego pnia. Winter zobaczył postać leżącą u jego stóp, jak narośl, jak jeden z korzeni. Postać uniosła rękę i pomachała. On też podniósł prawą rękę i pomachał. Popatrzył na Benny'ego.

– Był jeszcze jeden – powiedział.

– Ten z wody? Jego też musiałem wyciągać. Wyglądał, jakby tam przymarzył. – Vennerhag wskazał inny pień. Siedział przy nim Richardsson. Ręce trzymał przed sobą. Chyba nie było mu najwygodniej.

Po chwili zobaczył linę opasującą pień. Benny był przygotowany na każdą okazję.

– Związałem go. Pomyślałem, że tak będzie najbezpieczniej. Nie wiedziałem, do którego obozu należy.

Do którego obozu. Winter zamknął oczy. Który obóz. Było kilka obozów. Było wiele... wiele obozów w tej sprawie. Obozy, obozy. Do którego on sam należał? A Benny? Ademar? Jan Richardsson? Berit Richardsson? Lejon? Sellberg? Edwards? Do dwóch różnych czy to były części tego samego? Nie.

Wydawało mu się, że słyszy inne głosy, gdzieś dalej. Pomyślał, że chyba słyszy szum skrzydeł na niebie. Spojrzał w górę. Zobaczył wielkiego ptaka. Zaczął obniżać nad nimi lot. Jego skrzydła wirowały nad tułowiem jak śmigło. Był ze stali.

– Nadciąga kawaleria – powiedział Vennerhag. – Najwyższy czas.

– Skąd wiedzieli?

– Zadzwoniłem po nich, rzecz jasna. – Vennerhag spojrział na Richardssona. – Ten tam cały czas bełkotał coś o jakimś wypadku. To był wypadek, powtarzał co chwilę, jeszcze jak byłeś w tym cholernym bajorze. – Popatrzył mu w twarz. – Rozumiesz, o co mogło mu chodzić?

Winter skinął głową.

– Czy to tamto ciało? Ciało, które... tam leży.

– Nie.

– Naprawdę?

– To inne ciało. Ale ono też tam jest.

– Inne ciało?

– Tak.

Vennerhag sprawiał wrażenie, jakby chciał zadać jeszcze kilka pytań, ale się rozmyślił. Znow zerknął na Richardssona.

– Całkiem odleciał. – Potem znow spojrział na Wintera. – Eriku. Jest jeszcze coś...

Winter patrzył mu w twarz. Za Vennerhagiem ryczał helikopter. Trudno było cokolwiek usłyszeć. Ale słyszał coraz lepiej. Zdawało mu się, że może usłyszeć wszystko. Słyszał głosy zbliżające się od Bönekällan, małą ścieżką prowadzącą do jeziora. Słyszał Bertila, Fredrika, Anetę. Stara paczka. Jeden za wszystkich... Oni jeszcze nie wiedzieli. Miał dla nich wieści.

– Erik...

Nadal patrzył w twarz gangstera. Vennerhag odłożył gdzieś swoją groźną broń. Jeszcze raz przy nim przykucnął.

– Co jest, Benny?

– Chodzi o... Lottę. Wiesz... sądzisz, że mógłbyś z nią jeszcze raz porozmawiać? – Vennerhag rozłożył ręce, wskazując na ogrom zniszczeń, obraz katastrofy. – O mnie. Po tym wszystkim. Że... ja tu byłem? Myślisz, że możesz jej o tym powiedzieć? Tylko o to cię proszę.

Winter nie miał siły odpowiedzieć.

Ogromne podziękowania jak zwykle należą się komisarzowi policji kryminalnej Torbjörnowi Åhgrenowi, zastępcy szefa wydziału technik kryminalistycznych Policji Regionalnej w Göteborgu.

Chciałbym także serdecznie podziękować mojemu redaktorowi Peterowi Karlssonowi i wydawcy Stephenowi Farran-Lee.

CZARNA SERIA

Talent i pisarska pasja Edwardsona sprawiają, że jego powieści wprost kipią od emocji. Pod tym względem autor nie ma sobie równych wśród Szwedów.

Dagens Nyheter

Napisany z rozmachem kryminał, który od pierwszej do ostatniej strony wciąga i zapiera dech w piersi. Autor po raz kolejny skutecznie rozbudza ciekawość czytelników.

Svenska Dagbladet



Åke Edwardson

Prawie martwy

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Dziewiąty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze